

Cykl SIGMA FORCE

# JAMES ROLLINS



# DIABELSKA KORONA

ALBATROS

**O tym, że są rodzaje broni groźniejszej od atomowej, Sigma Force wie już od dawna.**

**Teraz jedna z nich może wywołać katastrofę.**

**Nowe Pearl Harbor.**

### **Wyspa węży**

Grupa naukowców, bada populację węży, które zawładnęły wysepką w pobliżu Brazylii. Kiedy nieznani sprawcy przypuszczają atak i niszczą na niej wszystko, co oddycha, tylko profesorowi Matsui udaje się ująć z życiem i zabrać stamtąd martwego gada.

### **Inwazja na Hawaje**

Wyspa Maui, na której przebywa komandor Gray Bierce, zostaje zaatakowana przez roje gigantycznych os. Monstrualne owady są śmiertelne i rozmnażają się w makabryczny sposób. Jeśli szybko nie zostanie odkryta metoda ich zwalczania, jedynym wyjściem będzie zrzućenie na Hawaje bomb atomowych.

### **Bursztynowy szlak**

Agenci Sigmy szybko łączą ze sobą oba ataki i powiązują je z wykradzioną Amerykanom bryłą bursztynu znalezioną w grobie założyciela Instytutu Smithsona. Wierząc, że odkrycie miejsca, z którego została wydobyta, pomoże im w walce z inwazyjnym gatunkiem, ruszają śladem podróży Jamesa Smithsona - od Tallina przez Gdańsk po kopalnię soli w Wieliczce. Oprócz wroga deptającego im po piętach muszą walczyć z czasem, by ocalić Hawaje, ludzkość i... najniewinniejszą istotę pod słońcem.



JAMES  
ROLLINS  
DIABELSKA  
KORONA

Z angielskiego przełożyła  
MARIA GĘBICKA-FRĄC

ALBATROS

Wydanie elektroniczne

## JAMES ROLLINS

Amerykański pisarz, z zawodu weterynarz, z zamiłowania pływacz i grotolaz. Absolwent University of Missouri, karierę literacką rozpoczął w 1999 r. powieścią o wyprawie do wnętrza Ziemi, **Podziemny labirynt**. Kolejne m.in. **Ekspedycja, Amazonia** oraz książki z cyklu SIGMA FORCE zapoczątkowanego w 2004 r. **Burzą piaskową** – których akcja toczy się często w niedostępnych rejonach świata, dżunglach, głębinach oceanów, podziemnych grotach oraz na pustyniach i lodowcach – odniosły międzynarodowe sukcesy.

[jamesrollins.com](http://jamesrollins.com)

*Tego autora*

LODOWA PUŁAPKA  
AMAZONIA  
OŁTARZ EDENU  
EKSPEDYCJA  
PODZIEMNY LABIRYNT

**Cykl SIGMA FORCE**

BURZA PIASKOWA  
MAPA TRZECH MĘDRCÓW  
CZARNY ZAKON  
WIRUS JUDASZA  
OSTATNIA WYROCNIA  
KLUCZ ZAGŁADY  
KOLONIA DIABŁA  
LINIA KRWI  
OKO BOGA  
SZÓSTA APOKALIPSA  
LABIRYNT KOŚCI  
SIÓDMA PLAGA  
DIABELSKA KORONA

**James Rollins, Grant Blackwood**  
**Cykl z Tuckerem Wayne'em**

WYŁĄCZNIK AWARYJNY

**James Rollins, Rebecca Cantrell**  
**Cykl ZAKON SANGWINISTÓW**

EWANGELIA KRWI  
NIEWINNA KREW  
DIABELSKA KREW

Tytuł oryginału:  
THE DEMON CROWN  
Copyright © James Czajkowski 2017  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2019

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frąc 2019

Redakcja: Marta Grał

Ilustracje na okładce: Ansis Klucis/Shutterstock, Novi Elysa/Shutterstock

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

ISBN 978-83-8125-550-9

*Wydawca*

WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.

Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa

[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

[Facebook.com/WydawnictwoAlbatros](https://Facebook.com/WydawnictwoAlbatros) | [Instagram.com/wydawnictwoalbatros](https://Instagram.com/wydawnictwoalbatros)

*Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.*

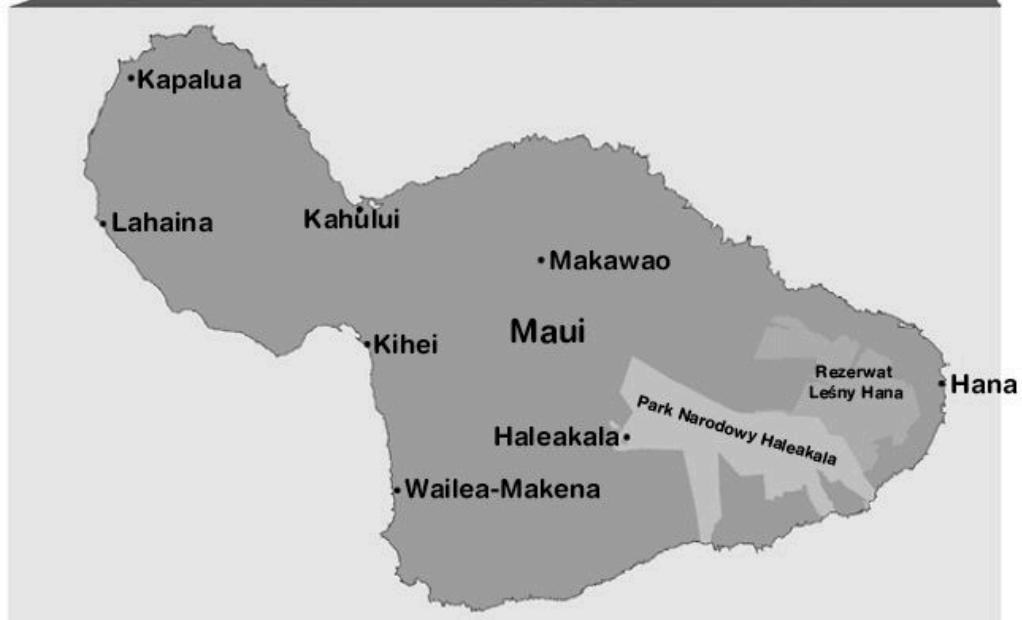
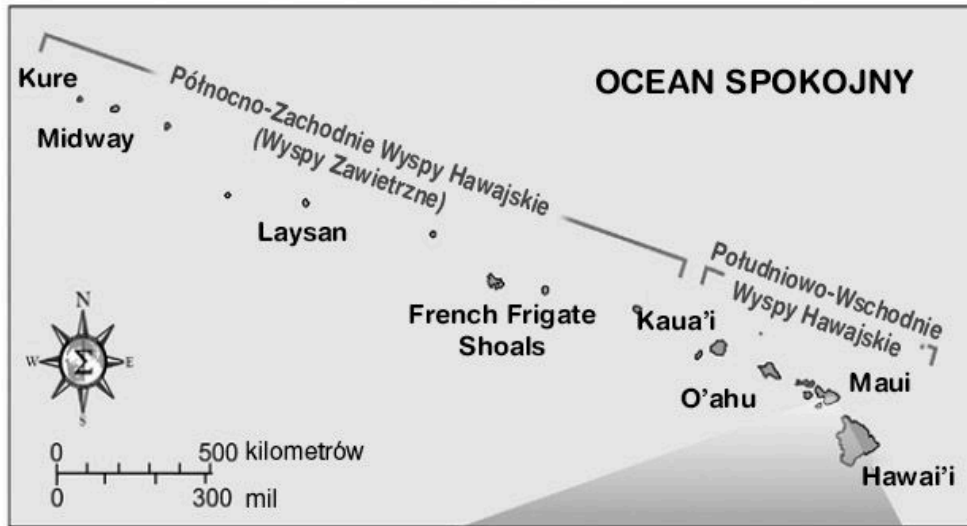
Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, [hachi.media](http://hachi.media)

*Dla Mamy Carol  
za to, co przez całe życie dawała  
wszystkim wokół niej*



# Podziękowania

Na każdej stronie tej książki pozostało wiele odcisków palców należących głównie do pewnego kręgu krytyków, którzy towarzyszą mi od początku mojej kariery pisarskiej, kiedy byłem pełnoetatowym praktykującym wegetarianinem, piszącym opowiadania bezpiecznie spalone w ogródku za domem. Przede wszystkim dziękuję zżytej grupie czytelników będących moimi pierwszymi redaktorami. Należą do niej: Sally Ann Barnes, Chris Crowe, Lee Garrett, Jane O’Riva, Denny Grayson, Leonard Little, Judy Prey, Caroline Williams, Christian Riley, Tod Todd i Amy Rogers. I jak zawsze specjalne podziękowania dla Steve’a Preya za jego wspaniałe mapy... i Davida Sylviana za to, że kazał mi stać mocno na ziemi i jednocześnie dodawał mi skrzydeł... i Cherei McCarter za liczne ważne informacje historyczne i naukowe zamieszczone na tych stronach... i Hiroakiego Enda, który pomagał przy tłumaczeniach z japońskiego (wszelkie błędy to moja wina)... i Paulinie Szylkiewicz za zgodę na wykorzystanie mapy ojca w tej książce, oraz Monice Szczepie za ułatwienie kontaktu. Na koniec i z wielką niechęcią muszę podziękować Steve’owi Berry’emu za pomoc przy niektórych szczegółach historycznych związanych ze Smithsonian Institution (przez przypadek obaj zajmowaliśmy się historiami powiązаныmi z tym kompleksem). I oczywiście wyrazy ogromnej wdzięczności dla wszystkich w HarperCollins za to, że zawsze mnie wspieracie, szczególnie Michaelowi Morrisonowi, Liate Stehlik, Danielle Bartlett, Kaitlin Harri, Joshowi Marwellowi, Lynn Grady, Richardowi Aquanowi, Tomowi Egnerowi, Shawnowi Nichollsowi i Anie Marii Alessi. I oczywiście podziękowania dla wszystkich ludzi odgrywających zasadniczą rolę na każdym etapie produkcji: dla mojej nieocenionej redaktorki, która jest ze mną od mojej pierwszej książki wydanej dwadzieścia lat temu, Lyssy Keusch, i jej pracownicy koleżanki, Priyanki Krishnan; i dla wszystkich za ich ciężką pracę: dla moich agentów, Russa Galena i Danny’ego Barora (wraz z jego córką Heather Baror). I jak zawsze muszę dodać, że wszystkie błędy dotyczące faktów czy szczegółów – mam nadzieję, że nie ma ich zbyt wiele – biorę na swoje barki.



# Z zapisków historycznych



Siedziba Sigma Force mieści się w podziemiach Smithsonian Castle, masywnej budowli z wieżyczkami, wzniesionej w 1849 roku na skraju National Mall. W późniejszych latach wokół tego szacownego gmachu powstał rozległy kompleks muzeów, placówek badawczych i laboratoriów Smithsonian Institution. Zanim jednak to nastąpiło, w czasach wojny secesyjnej w tym jednym budynku mieściły się wszystkie kolekcje Smithsona.

Ale jaki był prawdziwy początek tego olśniewającego świadectwa nauki?

Dość dziwne, że tę instytucję założył nie Amerykanin, ale ekscentryczny brytyjski chemik i mineralog, niejaki James Smithson. Po jego śmierci w roku 1829 spadek w wysokości pół miliona dolarów (w dzisiejszych czasach to około dwunastu milionów, a wówczas mniej więcej 1/66 budżetu federalnego) został przekazany Stanom Zjednoczonym na ufundowanie „placówki dla podwyższania i szerzenia wiedzy wśród ludzi”.

Do dziś jednak darczyńcę spowija mgiełka tajemnicy. Po pierwsze, chociaż James Smithson nigdy nie postawił nogi na amerykańskiej ziemi, swój majątek i bogatą kolekcję minerałów zostawił właśnie temu nowemu narodowi. Ponadto za życia nigdy nie wspominał o zamiarze zapisania w testamencie takiego hojnego daru Stanom Zjednoczonym i co dziwne, po śmierci jego bratanek pochował go w Genui, nie w Anglii. Niewiele wiadomo o Jamesie Smithsonie – między innymi dlatego, że pod koniec wojny secesyjnej, w roku 1865, w Castle wybuchł gwałtowny pożar. Ogień

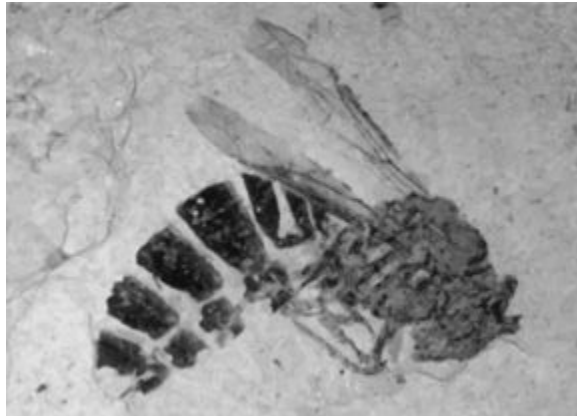
oszczędził parter (jedyne szkody zostały spowodowane przez wodę), natomiast strawił wyższą kondygnację. Większość papierów Smithsona – łącznie z jego pamiętnikami i dziennikami naukowymi – uległa zniszczeniu. Tak oto bezpowrotnie przepadł życiowy dorobek tego człowieka.

Śmierć Smithsona nie tylko nie położyła kresu intrygującym zagadkom związanym z jego życiem, ale także je podsyciła. Zimą 1903 roku słynny amerykański wynalazca Alexander Graham Bell na przekór wyraźnym życzeniom zarządu Smithsonian Castle, tak zwanej rady regentów, wybrał się do Włoch i włamał do grobu fundatora w Genui. Umieścił jego kości w cynkowej trumnie i popłynął parowcem do Stanów Zjednoczonych. Po powrocie pochował je w Castle, gdzie spoczywają do dzisiaj.

Dlaczego wynalazca telefonu przeciwstawił się kolegom z zarządu i w takim pośpiechu zabrał doczesne szczątki Smithsona? Czy, jak twierdziła większość, chodziło tylko o to, że grobowi dobroczyńcy we Włoszech zagrażało zniszczenie wskutek powiększania znajdującego się w pobliżu kamieniołomu? A może za tą decyzją kryło się coś więcej – najpierw niespodziewana darowizna ekscentrycznego Anglika, później tajemniczy pożar, który zniszczył jego spuściznę, i na koniec dziwna podróż Alexandra Bella po jego kości?

Jeśli chcecie poznać szokującą prawdę o tym mrocznym amerykańskim sekrecie, czytajcie dalej...

# Z zapisków naukowych



*Palaeovespa florissantia* – osa, która żyła 34 miliony lat temu.

Zdjęcie z archiwum National Park Service

Jakie zwierzę jest najgroźniejsze na naszej planecie? Policzmy. Rekiny zabijają średnio sześć osób rocznie, a lwy dwadzieścia sześć. O dziwo, ofiarami ataków słoni pada pięćset osób. Od ukąszeń węży dwa razy tyle. Oczywiście my, ludzie, zajmujemy znacznie wyższe miejsce w tej hierarchii – ofiarami morderstw pada czterysta tysięcy osób rocznie. Ale prawdziwy zabójca w świecie zwierząt jest znacznie mniejszy i o wiele groźniejszy. Chodzi o skromnego komara. Ten roznoszący mnóstwo chorób – malarię, żółtą febrę, gorączkę Zachodniego Nilu i wirusa Zika – latający krwiopijca powoduje ponad milion zgonów rocznie. Co więcej, jego ukąszenia są główną przyczyną śmiertelności dzieci poniżej piątego roku życia.

O niechlubną koronę zabójcy rywalizują jednak z komarami inne maleńkie bestie – muchy tse-tse, które są przyczyną śmierci dziesięciu tysięcy osób rocznie. Trafnie nazwane zabójcze pluskwiaki z rodziny zajadkowatych (*Reduviidae*) są jeszcze lepsze, mają bowiem na koncie dwanaście tysięcy ofiar. W ostatecznym rozrachunku jakiś owad co roku zabija jedną osobę na sześć tysięcy.

Dlaczego to takie ważne? Otóż służy jako ostrzegawcze przypomnienie, że żyjemy nie w erze człowieka, ale raczej – jak było to przez ponad czterysta milionów lat – w erze owadów. Ludzie pojawili się na tej planecie zaledwie trzysta tysięcy lat temu, natomiast owady istniały eony przed dinozaurami; rozmnażały się i rozprzestrzeniały, wypełniając każdą niszę ekologiczną. Co więcej, obecnie stawia się hipotezę, że właśnie one przyczyniły się do wymarcia dinozaurów, o ile wręcz go nie spowodowały. Jak? Z najnowszych badań nad skamielinami wynika, że te maleńkie drapieżniki atakowały ociężałe jaszczury, już zagrożone i osłabione przez zmiany klimatyczne pod koniec kredy, i dzięki swojej drapieżności i roznoszeniu chorób wniosły znaczący wkład w ich wyniszczenie. W sprzyjającym momencie prehistorii wykorzystały przewagę, żeby ostatecznie pozbyć się z planety swojego głównego rywala – konkurującego z nimi o wszystkie nowe rośliny i kwiaty – i za jednym zamachem zakończyć erę dinozaurów.

Co oczywiście rodzi pytanie dotyczące najnowszego rywala owadów w walce o kurczące się zasoby naturalne Ziemi: Czy możemy być ich następnym celem?



*Nie mogę uwierzyć, aby miłosierny i wszechmocny Bóg miał celowo stworzyć gąsieniczniki [Ichneumonidae] z osobliwą zaiste intencją, aby żywiły się one żywym ciałem gąsienic.*

KAROL DARWIN,  
list do botanika Asy Graya z 22 maja 1860 roku

*Nikt ich tak naprawdę nie lubi*

J.K. ROWLING,  
*Harry Potter i Księżę Półkrwi*

# Prolog

Genua, Włochy

31 grudnia 1903 roku

godzina 11.07 czasu miejscowego

Pasażerom zależało na czasie, więc powóz jak szalony gnał przez omiataną śniegiem Genuę. Gwałtownie podskoczył na ostrym zakręcie wąskiej ulicy.

Alexander Graham Bell jęknął. Wciąż dochodził do zdrowia po gorączce, której się nabawił podczas transatlantyckiej podróży. Co gorsza, od czasu, gdy dwa tygodnie temu wraz z żoną przybył do Włoch, nic nie szło gładko. Włoskie władze na każdym kroku rzucały mu kłody pod nogi, utrudniając plan ekshumacji szczątków Jamesa Smithsona, założyciela Smithsonian Institution. Chcąc sobie ułatwić zadanie, Alexander był zmuszony działać jak szpieg i ambasador – rozdawać łapówki, kłamać i oszukiwać. Była to gra dla znacznie młodszego człowieka, nie dla mężczyzny grubo po pięćdziesiątce. Napięcie nieźle dało mu się we znaki.

– Alec, może powinniśmy poprosić stangreta, żeby zwolnił – zwróciła się do niego żona, chwytając go za rękę.

Poklepał ją po dłoni.

– Nie, Mabel, pogoda się zmienia. I Francuzi depczą nam po piętach. Teraz albo nigdy.

Trzy dni wcześniej, gdy tylko zdobył wszystkie odpowiednie pozwolenia, niespodziewanie pojawiło się kilku dalekich francuskich krewnych Smithsona, wysuwających roszczenia do ciała i niemających pojęcia, o co naprawdę toczy się gra. Zanim te francuskie zawalidrogi zdążyły umocnić swoje pozycje, zdołał przekonać włoskie władze, że skoro Smithson cały swój majątek zapisał Stanom Zjednoczonym, darowizna z pewnością musi obejmować również jego doczesne szczątki. Poparł swoje twierdzenia garściami lirów wsuwanych we właściwe ręce, jednocześnie

z całą stanowczością deklarując – zupełnie bezpodstawnie – że prezydent Theodore Roosevelt wspomaga jego misję.

Dzięki temu wybiegowi zyskał przewagę nad Francuzami, ale nie mógł liczyć, że długo się ona utrzyma.

Teraz albo nigdy.

Położył dłoń na piersi, na kieszeni, gdzie schował złożony kawałek papieru ze zwęglonymi brzegami.

Mabel zwróciła na to uwagę.

– Wierzysz, że to wciąż tam jest? – spytała. – W jego grobie, pogrzebane wraz z nim?

– Musimy się upewnić. Pół wieku temu ktoś był bliski zniszczenia tej tajemnicy. Nie możemy pozwolić, żeby Włosi dokonali dzieła.

W 1829 roku James Smithson został pochowany przez swojego bratanka na małym cmentarzu na szczycie nadmorskiego wzniesienia w Genui. W owym czasie cmentarz należał do Brytyjczyków, ale Włosi zachowali prawo do gruntu. Od kilku lat pobliski kamieniołom powoli wygryzał sobie drogę przez wzgórze i teraz jego właściciele chcieli zagarnąć wszystko, łącznie z cmentarzem.

Dowiedziawszy się o tym zagrożeniu, zarząd muzeum zaczął debatować, czy ratować kości założyciela Smithsonian Institution, zanim zostaną wysadzone w powietrze i wpadną do morza. W tym czasie w ręce Alexandra wpadł stary list. Napisał go pierwszy sekretarz tej placówki, Joseph Henry, człowiek, który nadzorował budowę Castle i który w końcu zmarł w jego murach.

– Henry nie był głupi – mruknął do siebie Alexander, gładząc gęstą brodę.

– Wiem, jak bardzo go podziwiałeś – powiedziała pocieszającym tonem Mabel. – I cenileś jego przyjaźń.

Pokiwał głową.

Na tyle, żeby zgodnie z jego wskazówkami przybyć na ten cmentarz we Włoszech, pomyślał.

W liście napisanym rok przed śmiercią Henry przytoczył zdarzenie z czasów wojny secesyjnej, kiedy sytuacja zmieniała się na niekorzyść Południa. Otóż w jednym ze starych dzienników Smithsona znalazł dziwną notatkę. Natknął się na nią tylko dlatego, że szukał dodatkowych zapisków dotyczących darowizny, próbując zrozumieć, dlaczego ten człowiek był taki hojny dla kraju, którego nigdy nie odwiedził. Podczas poszukiwań znalazł informację o czymś, co nie zostało zapisane Stanom Zjednoczonym. Do Castle trafiła cała kolekcja minerałów – dorobek życia

Smithsona – z wyłączeniem jednej rzeczy. Był to przedmiot, który zgodnie z wolą zmarłego jego bratanek złożył wraz z nim do grobu.

Ta osobliwość wzbudziła zainteresowanie Henry'ego na tyle, że zaczął skrupulatnie czytać pamiętniki i dzienniki Anglika. Wreszcie znalazł wzmiankę o czymś, co autor nazwał Diabelską Koroną. Smithson wyraził ubolewanie, że przez niego znalezisko pochodzące z kopalni soli w rejonie Morza Bałtyckiego ujrzało światło dzienne. Twierdził, że może ono wyzwolić coś strasznego.

– *Najprawdziwsze hordy piekielne na ten świat...* – szepnął Alexander, cytując z jego dziennika.

– Naprawdę uważasz, że to możliwe? – zapytała Mabel.

– Ktoś podczas wojny secesyjnej wierzył w to dostatecznie mocno, żeby podjąć próbę spalenia Smithsonian Castle do gołej ziemi.

Przynajmniej tak sądził Henry, dodał w myślach.

Po odkryciu zagadkowej notatki Henry rozmawiał o niej z kilkoma członkami zarządu; zastanawiał się nawet głośno, czy przedmiot wspomniany przez Smithsona może być użyty jako jakaś forma broni. Trzy dni później w Castle wybuchł tajemniczy pożar, którego celem, jak się zdawało, było zniszczenie spuścizny po Smithsonie: jego papierów i kolekcji minerałów.

Biorąc pod uwagę tę zbieżność w czasie, Henry podejrzewał, że ktoś ze Smithsonian podzielił się jego obawami z konfederatami. Na szczęście dziennik ze wzmianką o znalezisku przechowywał w swoim biurze, dzięki czemu nie pochłonęły go płomienie, chociaż okładka zwęgliła się, a wiele kartek było nadpalonych. Henry zdecydował, że nie ujawni swojego odkrycia, i powiadomił o nim tylko zaufany krąg współpracowników. Utworzyli w muzeum tajną grupę, której przez lata powierzano najmroczniejsze sekrety Smithsonian – informacje często tajone nawet przed prezydentem.

Jednym z przykładów był tajemniczy symbol wytatuowany na nadgarstku łotra, którego Henry w końcu powiązał z pożarem. Człowiek ten zmarł przed przesłuchaniem, podcinając sobie gardło sztyletem. Henry w swoim liście naszkicował symbol ku przestrodze dla przyszłych pokoleń.



Tatuaż wyglądał jak wersja symbolu masońskiego, nikt jednak nie wiedział, jaką rolę mógł reprezentować. Dziesiątki lat później, kiedy grób Smithsona był zagrożony, członkowie założonej przez Henry'ego grupy skontaktowali się z Alexandrem Bellem i pokazali mu list Henry'ego. Zwerbowali go do swojej sprawy, wiedząc, że pomyślne przeprowadzenie misji na włoskiej ziemi będzie wymagać osoby o jego pozycji i sławie.

Chociaż Alexander nie był pewien, co – jeśli w ogóle cokolwiek – znajdzie w grobie Smithsona, zgodził się podjąć tego zadania, a nawet osobiście je sfinansować. Niezależnie od wyniku, nie mógł odmówić.

Był to winien Henry'emu.

Powóz zakołysał się na ostatnim zakręcie i dotarł na szczyt wzniesienia. Roztaczał się z niego rozległy widok na Genuę i port, w którym tłoczyło się tyle barek z węglem, że człowiek niemal mógłby przebyć zatokę, przeskakując z jednej na drugą. Blżej wzywał mały cmentarz, chroniony przez biały mur zwieńczony kawałkami potłuczonego szkła.

– Spóźniliśmy się? – zaniepokoiła się Mabel.

Alexander rozumiał jej obawy. Część cmentarza już zniknęła, pożarta przez kamieniołom, z którego wydobywano marmur. Gdy wysiadł z powozu na przejmujący wiatr, zauważył w dole coś, co mogło być tylko dwiema roztrzaskanymi trumnami. Zadrżał, wcale nie z zimna.

– Pośpieszmy się.

Poprowadził żonę przez cmentarną bramę. Czekala na nich grupka ludzi kulących się z zimna pomimo grubych płaszczów. Kilku urzędników i trzech robotników stało w pobliżu okazałego grobowca otoczonego żelaznym ogrodzeniem. Alexander śpiesznie podszedł, schylony na wietrze, obejmując żonę ramieniem.

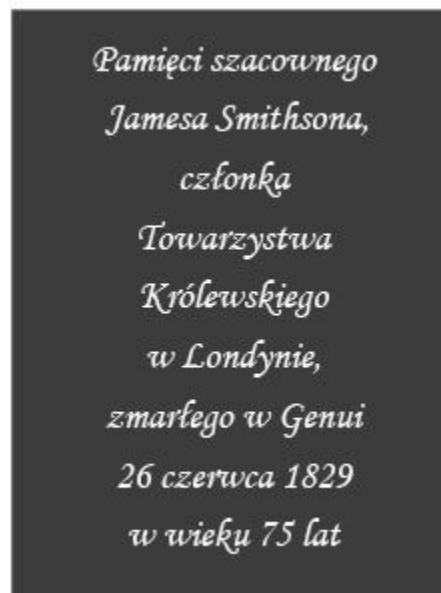
Skinął głową amerykańskiemu konsulowi, Williamowi Bishopowi.

Ten postukał w zegarek.

– Słyszałem, że francuski prawnik jedzie pociągiem z Paryża. Powinniśmy zacząć.

– Zgadza się. Im prędzej wejdziemy na pokład *Księżniczki Ireny* z kośćmi naszego szacownego kolegi i ruszymy do Ameryki, tym lepiej.

Gdy Alexander podszedł do grobu, zaczął padać śnieg. Na szarym marmurowym cokole widniała prosta inskrypcja.



Bishop podszedł do jednego z włoskich przedstawicieli władz i odbył z nim krótką rozmowę. Zaraz potem dwóch robotników zaczęło używać łomów. Strzaskali plombę na marmurowym wieku, żeby je podnieść. W pobliżu trzeci robotnik szykował cynkową trumnę. Gdy tylko przeniosą do niej kości Smithsona, skrzynia zostanie zalutowana, by mogła odbyć podróż przez Atlantyk.

Gdy ludzie pracowali, Alexander z pogłębiającym się marsem na czole jeszcze raz spojrzął na inskrypcję.

– Dziwne.

– Co takiego? – zapytała Mabel.

– Tu jest napisane, że Smithson zmarł w wieku siedemdziesięciu pięciu lat.

– I co z tego?

Pokręcił głową.

– Smithson urodził się piątego czerwca tysiąc siedemset sześćdziesiątego piątego. Wedle moich obliczeń, w chwili śmierci miał tylko sześćdziesiąt cztery lata. Pomylili się o jedenaście lat.

– Czy to ważne?



Wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, ale przypuszczam, że bratanek znalazłby prawdziwy wiek stryja. Gdy robotnicy w końcu zdjęli pokrywę, Bishop dał mu znak, by podszedł bliżej grobowca.

– Może pan powinien pełnić honory – powiedział.

Alexander doceniał gest, jednak chciał się sprzeciwić. Z drugiej strony, zaszedł już za daleko, żeby się teraz wycofać.

Jeśli się powiedziało „a”, trzeba powiedzieć „b”.

Dołączył do Bishopa, który stał przy otwartym grobie, i zajrzał do środka. Drewniana trumna dawno zmurszała; okrywała szkielet kocem ciężkiego próchna. Alexander z czcią sięgnął do środka po czaszkę. Niemal się spodziewał, że rozpadnie mu się w palcach, lecz kiedy rozgarnął próchno i ją wyjął, stwierdził, że zachowała się w zaskakująco dobrym stanie.

Cofnął się, patrząc w oczodoły fundatora Smithsonian.

Jak mówiła inskrypcja, Smithson był szacownym członkiem brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego, jednego z najznamienitszych towarzystw naukowych świata. Co więcej, został do niego przyjęty w wieku, w jakim Alexander skończył studia. Już wtedy poznano się na zdolnościach angielskiego naukowca. Później, jako chemik i mineralog, wiele lat życia spędził na podróżach po całej Europie, podczas których zbierał minerały i próbki rudy.

Jednakże z życiem tego człowieka wiązało się tyle niewiadomych.

Na przykład, dlaczego zapisał swój majątek i zbiory Stanom Zjednoczonym?

Lecz jeden fakt był bezdyskusyjny.

– Tyle ci zawdzięczamy – szepnął Alexander do czaszki. – Twoja hojność na zawsze zmieniła nasz młody kraj. Twoja spuścizna nauczyła największe umysły Ameryki, że należy odłożyć na bok małostkowe ambicje i pracować razem dla wspólnego dobra.

– Dobrze powiedziane – skomentował Bishop, wyciągając dłoń w rękawicze. Pogoda pogarszała się z minuty na minutę i konsul wyraźnie chciał zamknąć tę sprawę.

Alexander nie protestował. Przekazał czaszkę, żeby mogła zostać umieszczona w cynkowej trumnie, i skierował uwagę z powrotem na grób. Już wcześniej spostrzegł w kącie prostokątny kształt.

Sięgnął do grobu i odgarnął próchno, odsłaniając metalową skrzynkę.

Czy to mogło być źródłem takiej konsternacji?

Musiał wyteńczyć wszystkie siły, żeby ją wyciągnąć. Była strasznie ciężka. W końcu ją wydobył i postawił na sąsiednim grobie. Bishop kazał robotnikom przenieść kości, po czym podszedł do Alexandra. Mabel też zbliżyła się do męża.

– To to? – zapytała.

– Pozwolę sobie jeszcze raz przypomnieć – zwrócił się Alexander do Bishopa. – Nie będzie żadnej oficjalnej ani nieoficjalnej wzmianki o tym przedmiocie. Czy to jasne?

Konsul skinął głową i zerknął na mężczyzn zajmujących pracę.

– Dobrze pan zapłacił za milczenie.

Alexander, usatysfakcjonowany, otworzył zatrzasak i uniósł wieko skrzynki. Wewnątrz na warstwie piasku leżało coś wielkości i koloru dyni. Przez chwilę z zapałym tchem patrzył na znalezisko.

– Co to jest? – rzuciła Mabel.

– Wygląda... wygląda na bryłę bursztynu.

– Bursztynu? – W głosie Bishopa zabrzmiała nutka chciwości. – Jest cenny?

– W miarę. Chociaż to nic wyjątkowego. Zasadniczo skamieniała żywica. – Alexander pochylił się, marszcząc brwi. – Bishop, zechce pan pożyczyć latarnię od tamtego robotnika?

– Po co?

– Po prostu to zrób, człowieku. Czas ucieka.

Gdy konsul odszedł, Mabel stanęła przy ramieniu męża.

– Co sądzisz, Alec?

– Chyba coś dostrzegam. W bursztynie. Ale ledwie, ledwie.

Bishop wrócił z latarnią, Alexander wziął ją, podkręcił płomień i przysunął blisko przejrzystej bryły. Jarzyła się bogatą miodową barwą, ujawniając to, co skrywała w środku.

Mabel ze świstem wciągnęła powietrze.

– To kości?

– Chyba tak.

Wyglądało na to, że grób Smithsona zawierał więcej niż tylko jego rozpadający się szkielet.

– Ale czyje? – wtrącił się konsul.

– Nie mam pojęcia – odparł Alexander. – Z pewnością czegoś prehistorycznego.

Pochylił się, mrużąc oczy. W sercu bursztynu spoczywała mała trójkątna czaszka wielkości pięści, z wystającym rzędem ostrych zębów. Wyglądała na gadzią, może

należała do małego dinozaura. Mniejsze kości unosiły się w rozjarzonej bryle. Wyobraził sobie, jak żywica pradawnego drzewa spływa na martwe stworzenie, poruszając kości, i na wieki pozostawia je w tej pozycji.

Te mniejsze tworzyły nad czaszką upiorną aureolę.

Jak korona.

Zerknął na żonę, która nabrała głęboko powietrza, gdy również to zobaczyła. Zrozumiała, że mają przed oczami coś, o czym napisał Smithson – coś trafnie nazwanego Diabelską Koroną.

– Niemożliwe – szepnęła.

Pokiwał głową. W kieszeni miał nadpaloną kartkę z dziennika, tę, na której Smithson napisał o tym znalezisku.

To z pewnością niemożliwe, jak powiedziała Mabel, pomyślał Alexander.

Miał jednak w pamięci słowa Smithsona.

*Strzeżcie się, albowiem to, co zawiera Diabelska Korona, żyje...*

Przebiegł go lodowaty dreszcz strachu.

*...i jest gotowe rzucić piekielne hordy na ten świat.*

Waszyngton, USA

3 listopada 1944 roku

godzina 20.34 czasu miejscowego

– Uważaj na szczury – przestrzegł James Reardon, stojąc przy wejściu do tunelu. – W ciemności grasują prawdziwe bydlaki. W zeszłym miesiącu jeden odgryzł robotnikowi czubek kciuka.

Archibald MacLeish zdusił drżenie odrazy, gdy powiesił marynarkę na haczyku obok drzwi. Miał niezupełnie odpowiedni strój na wyprawę w podziemia, bo wieczorne zebranie w Bibliotece Kongresu przeciągnęło się i nie miał czasu się przebrać.

Patrzył w dół schodów, które prowadziły do starego tunelu łączącego Smithsonian Castle z jego sąsiadem po drugiej stronie, National Mall. Nowszy gmach, Muzeum Historii Naturalnej, został udostępniony zwiedzającym w 1910 roku po tym, jak konne wozy przewiozły dziesięć milionów eksponatów z Castle do ich obecnego domu. Dwa budynki przez dziesięć lat korzystały z tego długiego na ponad dwieście metrów tunelu, ale po późniejszych modernizacjach przejście zostało zamknięte i tylko od czasu do czasu zaglądała tam brygada konserwatorów.

No i przerośnięte gryzonie.

Mimo wszystko Archibald wierzył, że można ponownie wykorzystać ten opuszczony tunel. Jako dyrektor Biblioteki Kongresu i szef Komisji do spraw Ochrony Dóbr Kultury, na początku drugiej wojny światowej został wyznaczony do zabezpieczenia narodowych skarbów. Obawiając się nalotów bombowych, jakich ofiarą padł Londyn podczas bitwy o Anglię, osobiście nadzorował transport bezcennych dokumentów – Deklaracji Niepodległości, Konstytucji, nawet kopii Biblii Gutenberga – do bezpiecznego Fort Knox. Narodowa Galeria Sztuki też przeniosła swoje najcenniejsze arcydzieła do Biltmore House w Karolinie Północnej, a Gwiazdzisty Sztandar zakopano głęboko w Parku Narodowym Shenandoah.

Archibaldowi nie podobała się taka prowizorka. W 1940 roku próbował przeforsować bardziej trwałe rozwiązanie, mianowicie budowę schronu przeciwlotniczego pod National Mall. Niestety, Kongres odrzucił jego pomysł z powodu kosztów.

Pomimo niepowodzenia Archibald nie zrezygnował ze swojego pomysłu – i dlatego teraz znajdował się w piwnicach Smithsonian Castle, gdzie urządzono tymczasowe schrony przeciwlotnicze dla personelu muzeum. Trzy tygodnie wcześniej wynajął dwóch inżynierów, żeby ocenili realne szanse potajemnej budowy skarbcza przy tunelu. Przedwczoraj podczas inspekcji inżynierowie znaleźli w nim boczne drzwi, w połowie National Mall. Były ukryte za rurami i zamurowane.

Archibald natychmiast powiadomił Jamesa Reardona, obecnego podsekretarza Smithsonian. James, stary przyjaciel, popierał jego pomysł budowy schronu przeciwlotniczego. Obaj mieli nadzieję, że odkrycie tajnego pomieszczenia może odnowić zainteresowanie budową schronu, zwłaszcza w obliczu tego, za czym sprawą się tutaj znajdowało. Nazwisko tego człowieka widniało na tabliczce przymocowanej do stalowych drzwi za warstwą usuniętych cegieł.

*Alexander Graham Bell.*

Informacji towarzyszyło ostrzeżenie.

To co leży za tymi drzwiami, jest zarówno cudem, jak i zagrożeniem jedynym w swoim rodzaju. Może na zawsze zmienić naszą przyszłość albo, w złych rękach, skazać nas wszystkich na zgubę. My, niżej podpisani, uznaliśmy niniejszy przedmiot za zbyt zdradliwy, aby wydobyć go na światło dzienne, nie śmiemy go jednak zniszczyć – albowiem jego serce być może skrywa klucz do życia po śmierci.

Były to niezwykle słowa, ale podparte podpisami pięciu członków zarządu Smithsonian. James zweryfikował nazwiska. Wszyscy już nie żyli i nie znaleziono innych dokumentów dotyczących okoliczności, jakie doprowadziły Bella i tych pięciu do ukrycia czegoś pod National Mall, nie wspominając o utajnieniu tych zabiegów przed innymi ówczesnymi regentami.

Archibald uszanował podjęte przez nich środki ostrożności i podzielił się odkryciem tylko ze swoim przyjacielem Jamesem. Dwóch zaprzysiężonych do zachowania tajemnicy inżynierów czekało teraz na dole, gotowych wyłamać zamek i zobaczyć, co prawie cztery dziesiątki lat temu wymagało tyle zachodu.

– Powinniśmy się pośpieszyć – rzucił James, spoglądając na zegarek kieszonkowy.

Archibald zrozumiał. Już mieli godzinę spóźnienia z powodu przedłużonego zebrania.

– Prowadź – powiedział.

James zwinnie zbiegł na dół. W przeciwieństwie do niego Archibald szedł powoli, ostrożnie manewrując na stromych, wąskich schodach. Ale przecież James był

piętnaście lat młodszy i więcej czasu spędzał na nogach, pracując w terenie jako geolog. Archibald był pięćdziesięcioczeroletnim poetą, którego Franklin Delano Roosevelt posadził za biurkiem albo, jak w owym czasie on sam to ujął, „prezydent zdecydował, że chcę zostać dyrektorem Biblioteki Kongresu”.

Wszedł do wilgotnego tunelu. Drogę przed nimi oświetlał rząd osłoniętych drucianą siatką żarówek pod niskim stropem. Kilka było zbitych, wielu brakowało i pomiędzy plamami blasku zalegały długie plamy ciemności.

James zapalił grubą latarkę i ruszył w głąb tunelu.

Archibald podążył za nim. Przejście było na tyle wysokie, że mógł iść wyprostowany, mimo to garbił się i pochylał głowę. Starał się trzymać jak najdalej od ciemnych rur pod sufitem, zwłaszcza że od czasu do czasu słyszał chrobot pazurów i szmer przemykających tam szczurów.

Po kilku minutach James nagle się zatrzymał.

Archibald niemal na niego wpadł.

– Co się...

Z korytarza przed nimi dobiegły ostre trzaski.

Zaniepokojony James obejrzał się, marszcząc czoło.

– Wystrzały. – Zgasił latarkę i z kabury pod roboczą bluzą wyjął pistolet Smith & Wesson.

Archibald nie miał pojęcia, że przyjaciel jest uzbrojony, ale biorąc pod uwagę wielkość grasujących tu gryzoni, miało to sens.

– Wracaj. – James przekazał mu latarkę, po czym oburącz chwycił pistolet. – Sprowadź pomoc.

– Skąd? O tej porze w Castle jest pusto. Zanim podniosę alarm, będzie za późno. – Archibald uniósł długą latarkę jak pałkę. – Idziemy razem.

Stłumiony wybuch rozstrzygnął sprawę.

James skrzywił się i ruszył blisko ściany; w miarę możliwości trzymał się cienia. Archibald wziął z niego przykład.

Po kilku krokach runęła na nich napędzana przez wybuch chmura pyłu. Archibald dostał ataku kaszlu, ale powietrze szybko się przeczyszcilo. Czego nie można było powiedzieć o samym korytarzu. Po podłodze i rurach płynęły potoki ciemnych sylwetek.

Szczury... setki szczurów.



Archibald zdusił krzyk, przyciskając się plecami do ściany. Coś spadło mu na ramię i odskoczyło z ostrym piskiem. Inne małe cienie przebiegały po jego butach. Kilka wspięło się na nogawki, jakby był drzewem zalewanym przez powódź.

James niewzruszenie szedł dalej, nie zwracając uwagi na gryzonie piszczące pod nogami.

Gdy dotarli do ciemnego odcinka pod zbitymi żarówkami, dostrzegli w dali blask wskazujący, że na podłodze leżą dwie latarki. W kałuży światła spoczywało ciało.

Jednego z inżynierów.

Nagle w polu widzenia pojawiły się czarne sylwetki.

Trzech zamaskowanych mężczyzn.

James opadł na kolano i natychmiast strzelił. Głośny huk sprawił, że Archibald podskoczył, na wpół ogłuszony.

Jeden z intruzów okręcił się na pięcie i uderzył w ścianę. James wstał i biegnąc przed siebie, oddał drugi strzał. Archibald zamarł na sekundę, po czym ruszył za nim. W panującym chaosie rozświetlanym przez fleszowe błyski z lufy zobaczył, że jeden z zamaskowanych mężczyzn próbuje podnieść rannego towarzysza, ale James nie ustępował – w biegu pociągał za spust. Pociski krzeszały iskry, uderzając w rury i betonowe ściany.

Trzeci intruz uciekał tunelem z dużą torbą w ręce, na oślep strzelając przez ramię. Strzały padały dziko, bo mężczyźni najwyraźniej zależało przede wszystkim na ucieczce. Jego towarzysz w końcu pobiegł za nim, zmuszony przez ostrzał do porzucenia ciała bezwładnie leżącego na ziemi.

Jamesowi i Archibaldowi udało się zmniejszyć dystans do ściganych, lecz z nóg zbiła ich kolejna eksplozja. Z otwartych drzwi po lewej stronie wybuchły płomienie i rozprzestrzeniły się po wnętrzu tunelu.

Archibald osłonił twarz ramieniem.

Gdy ogień przygasł, James znów ruszył naprzód.

Jego przyjaciel dokonał szybkiej oceny strat, gdy dotarli do drzwi. Inżynier, który leżał skulony na progu, został zabity strzałem w tył głowy. Drugi – też martwy, w ubraniu zapalonym przez wybuch – leżał w pomieszczeniu. Płomienie szalały w głębi małej betonowej komory, przemieniając ją w piec, trawiąc regał i spoczywające na nim książki. Płonące kartki wirowały w pełnym dymu powietrzu.

James przykucnął obok leżącego na ziemi napastnika. Zgasił tłące się ubranie, po czym go przeszukał.

Archibald skupił uwagę na komorze. Pośrodku stał wysoki do pasa marmurowy postument. U jego stóp leżała przewrócona i otwarta metalowa skrzynka, prawdopodobnie strącona przez wybuch. Była pusta, pomijając piasek, który się z niej wysypał, gdy spadła na podłogę.

Wyobraził sobie ciężki worek w rękach uciekającego złodzieja. Ze ściśniętym sercem zrozumiał, że to, co ukrył tu Bell ze swoją grupą, właśnie przepadło. Mimo to, przyciągnięty widokiem czegoś, co wystawało z piasku, zasłonił ręką usta i nos i skoczył w ścianę gorąca.

Przestąpił nad martwym inżynierem, żeby dosięgnąć do skrzynki. Przykucnął, chwycił róg czegoś, co wyglądało na stary notes albo dziennik, i szarpnął. Skórzana okładka była poczerniała od ognia znacznie starszego niż ten, który szalał tu teraz. Szybko przewertował znalezisko – wielu kartek brakowało, część była nadpalona.

Pomyślał, że złodzieje musieli przeoczyć szczątki starego dziennika ukryte w piasku na dnie skrzynki. Czując, że to znaczące odkrycie, zabrał je ze sobą i wyszedł z komory.

– Spójrz na to – powiedział James, który kuczał przy zwłokach. Już zdarł wełnianą maskę z twarzy napastnika.

Archibald spojrział i zamarł, zszokowany tym, co zobaczył.

– Boże... to kobieta.

Ale nie była to jedyna niespodzianka. Złodziejka miała czarne włosy i szerokie kości policzkowe, a skośne martwe oczy zostawiały niewiele wątpliwości co do jej pochodzenia.

– Japonka – mruknął Archibald.

James pokiwał głową.

– Prawdopodobnie japoński szpieg – rzucił. – Ale chciałem, żebyś zobaczył to. – Podniósł bezwładną rękę i pokazał znak wytatuowany po wewnętrznej stronie nadgarstka. – Mówi ci to coś?

Jego przyjaciel pochylił się i przyjrzał tatuażowi.



– Masz jakiś pomysł, co to oznacza? – zapytał James.

Archibald spojrział na płonącą komorę. Drzwi leżały przekrzywione, wyrwane z zawiasów. Wygrawerowana tabliczka jarzyła się w blasku ognia, jakby podkreślając ostrzeżenie związane z tym, co niegdyś zostało tu ukryte.

*...zagrożenie jedyne w swoim rodzaju.*

– Nie – odparł. – Ale dla dobra narodu, a może i świata, musimy się tego dowiedzieć.

CZĘŚĆ PIERWSZA  
**KOLONIA**

Σ

# 1

Ilha da Queimada Grande, Brazylia  
8 marca, godzina 15.45 czasu miejscowego

Martwy mężczyzna leżał twarzą do ziemi, w połowie na piasku, w połowie na trawie.

– Biedakowi prawie udało się dotrzeć do łodzi – zauważył profesor Ken Matsui.

Odsunął się na bok, żeby młoda lekarka, Ana Luiz Chavos, obejrzała zwłoki. Każdemu, kto oficjalnie stawiał stopę na Ilha da Queimada Grande, wyspie leżącej jakieś trzydzieści kilometrów od wybrzeża Brazylia, musiał towarzyszyć lekarz i przedstawiciel brazylijskiej marynarki wojennej.

Porucznik Ramon Dias, ich militarny eskortant, poszedł obejrzeć małą łódź motorową, zakamuflowaną i ukrytą wśród kamieni kilka metrów dalej. Prychnął drwiąco i splunął w fale.

– *Caçador furtivo...* idiota.

– Mówi, że ten człowiek z pewnością był przemytnikiem – wyjaśnił Ken swojemu doktorantowi. Przybyli na tę daleką brazylijską wysepkę z Uniwersytetu Cornella.

Oscar Hoff miał dwadzieścia siedem lat, ogoloną na łyso głowę i wytatuowane lewe ramię i przedramię. Jego wygląd sugerował, że jest prawdziwym twardzielem, ale były to tylko pozory, na które mogła się od biedy nabrać studentka oceniająca książkę po okładce. Teraz jego ziemista cera i usta wykrzywione tak, jakby zbierało mu się na wymioty, świadczyły o tym, że po raz pierwszy w życiu widzi zwłoki. Oczywiście stan zmarłego nie polepszał sytuacji. Ptaki i kraby nie próżnowały; ciało otaczała wielka czarna plama krwi, która wsiąkła w piasek.

Doktor Chavos nie wydawała się przejęta stanem zwłok. Obejrzała jedną gołą rękę, potem drugą i przysiadła na piętach. Rzeczowym tonem powiedziała coś po portugalsku do Diasa, po czym zwróciła się do fal, patrząc w stronę słońca nisko wiszącego na niebie. Do zmroku zostały zaledwie dwie godziny.

– Martwy co najmniej od trzech dni – zawyrokowała głośno i wskazała lewe ramię mężczyzny. Od łokcia do nadgarstka ciało było poczerńiałe, z wyraźnymi zmianami martwiczymi. Spomiędzy rozłożonych tkanek połyskiwała biała kość.

– Ukąszenie węża.

– *Bothrops insularis* – osądził Ken, zerknąwszy na pobliskie skały i w kierunku lasu deszczowego, który porastał wyżyny tej wysepki o powierzchni pół kilometra kwadratowego. – Żararaka wyspowa.

– Dlatego nazywamy to miejsce Wężową Wyspą – wtrącił Diaz. – To ich wyspa. I mądrze zrobicie, gdy to uszanujecie.

Zagrożone wyginięciem żararaki opanowały wysepkę Queimada Grande, więc miała do niej dostęp tylko brazylijska marynarka. Kiedyś żołnierze przybywali tu co dwa miesiące, żeby robić przegląd latarni morskiej. Latarnia została zautomatyzowana, gdy pewnej nocy pierwsza rodzina latarników – żona, mąż i troje dzieci – straciła życie. Węże wśliznęły się przez otwarte okno, a gdy próbowali uciec, pokąsały je inne, zwisające z gałęzi wzdłuż ścieżki prowadzącej na plażę.

Od tamtej pory zakazano tam wstępu turystom. Od czasu do czasu naukowcy dostawali pozwolenie na wizytę, ale nawet im musieli towarzyszyć lekarz zaopatrzonego w antidotum i eskorta wojskowa.

Jak dzisiaj.

Mając znaczne wsparcie japońskich finansistów, Ken zdołał wywalczyć zgodę na wyprawę, i to niemal w ostatniej chwili, tuż przed zapowiadającym na jutro sztormem. Obaj z doktorantem musieli pędzić biegiem z hotelu w małej nadmorskiej wiosce Itanhaém, żeby wykorzystać okazję. Ledwie zdążyli do łodzi.

Ana Luiz wstała.

– Powinniście jak najszybciej złapać i zabezpieczyć wasze dwa okazy, żeby wrócić na ląd, zanim zrobi się ciemno. – Ich ponton Zodiac został na plaży w sąsiedniej piaszczystej zatoczce. – Nie chcecie tu być po zmroku.

– Uwiniemy się – obiecał Ken. – To nie powinno zająć wiele czasu, zważywszy na liczbę żararak zamieszkujących tę wyspę. – Podniósł hak na długim drążku i zwrócił się do Oscara, żeby udzielić mu instrukcji. – Tutaj jeden wąż przypada na metr kwadratowy. Dlatego trzymaj się z tyłu i pozwól mi prowadzić. I pamiętaj: tylko parę kroków dzieli cię od śmierci ukrytej za skałą albo wylegującej się na drzewie.

Oscar spojrział na zwłoki na plaży. Stanowiły wystarczające przypomnienie, że należy zachować wyjątkową ostrożność.

– Dlaczego... dlaczego ktoś ryzykował i pojawił się tu w pojedynkę?



– Na czarnym rynku jedna żararaka kosztuje ponad dwadzieścia tysięcy dolarów – wyjaśniła Ana Luiz. – Czasami więcej.

– Przemysł dzikich zwierząt to opłacalny interes – dodał Ken. – Natknąłem się na kilku takich biopiratów w różnych zakątkach świata.

I te zwłoki nie są pierwszymi, jakie widziałem, a które były konsekwencją takiej chciwości, pomyślał.

Chociaż tylko o dziesięć lat starszy od swojego doktoranta, Ken podróżował do różnych zakątków świata i większość czasu spędzał w terenie. Miał doktoraty z entomologii i toksykologii i wykorzystywał obie te dziedziny do badania związków chemicznych występujących w jadzie zwierzęcym.

Połączenie dyscyplin mogło się wydawać odzwierciedleniem jego mieszanych korzeni. Ojciec Kena, Amerykanin pochodzenia japońskiego w pierwszym pokoleniu, spędził dzieciństwo w obozie dla internowanych w Kalifornii, a matka Niemka jako młoda dziewczyna po wojnie wyemigrowała z kraju. Krążyła anegdota, że ich rodzina w środku przedmieścia stworzyła warownię Osi.

Rodzice Kena zmarli dwa lata temu, jedno niecały miesiąc po drugim, zostawiając mu mieszaną spuściznę w postaci bladej karnacji, gęstych ciemnych włosów i lekko skośnych oczu.

Mieszane pochodzenie – zwane przez Japończyków *hafu* – bez wątpienia ułatwiło mu zdobycie grantu, dzięki któremu mógł przyplłynąć na tę wyspę. Japoński koncern Tanaka Pharmaceuticals pokrył część kosztów wyprawy badawczej na Queimada Grande. Jej celem było odkrycie następnego cudownego leku ukrytego w koktajlu toksyn zawartym w jadzie mieszkańców tej wyspy.

– Idziemy – zarządził.

Oscar z trudem przełknął ślinę i skinął głową. Zajął się rozkładaniem teleskopowego chwytaka. To narzędzie pozwalało bezpiecznie łapać węża, ale Ken wolał używać zwyczajnego haka, bo wtedy gad mniej się stresował. Jeśli kleszcze były użyte zbyt agresywnie, wąż mógł zareagować na zagrożenie i zacząć szaleć.

Po opuszczeniu plaży ostrożnie stąpali w wysokich do połowy uda skórzanych butach. Piasek szybko ustąpił pasowi skał porośniętych niskimi krzakami. Pięćdziesiąt metrów dalej na zboczu wabił ciemny skraj lasu deszczowego.

Miejmy nadzieję, że nie będziemy musieli się tam zapuszczać, żeby znaleźć nasze okazy, pomyślał Oscar.

– Szukaj pod krzakami. – Ken pokazał, jak to robić. Wyciągnął zakrzywiony czubek tyczki i podniósł najniższe gałęzie. – Ale nie próbuj ich tam łapać. Pozwól, żeby najpierw wysliznęły się na otwartą przestrzeń.

Chwytał się trząsł, gdy Oscar próbował naśladować swojego mentora, podnosząc gałęzie pobliskiego krzaka.

– Weź głęboki oddech – poradził mu Ken. – Wiesz, jak to robić. Dokładnie tak, jak ćwiczyliśmy w zoo.

Oscar skrzywił się i zajrzał pod pierwszy krzak.

– Czy... czysto.

– Dobrze. Po jednym kroku.

Szli na czele. Ken próbował zmniejszyć napięcie swojego doktoranta.

– Kiedyś wierzono, że żararaki sprowadzili na wyspę piraci pragnący chronić zakopany skarb – powiedział lekkim tonem.

Ana Luiz zaśmiała się, a Dias tylko uniósł brwi.

– Więc nie piraci, jak się domyślam – mruknął Oscar.

– Nie. Ten gatunek węży zamieszkiwał te tereny, kiedy jakieś jedenaście tysięcy lat temu podniósł się poziom morza i woda zalała most lądowy łączący dzisiejszą wyspę z wybrzeżem. Odizolowane żararaki nie miały prawdziwych wrogów i szybko się rozmnażały. Ale jedyne źródło pożywienia znajdowało się na drzewach.

– Ptaki.

– Wyspa leży na głównym szlaku migracyjnym, więc zapas pokarmu jest co roku uzupełniany. Ale ptaki okazały się trudniejszą zdobyczą niż czworonogi. Wąż może się wspinać na drzewo, ale nie jest w stanie rzucić się w pogoń za ukąszonym ptakiem. Dlatego na drodze ewolucji żararaki wykształciły jad pięć razy silniejszy niż mają ich kuzyni na lądzie.

– Żeby szybciej zabijał ptaki.

– Właśnie. Jad jest naprawdę wyjątkowy, to istny róg obfitości trucizn. Nie tylko rozpuszcza tkanki, ale również powoduje niewydolność nerek, zatrzymanie akcji serca, wylew krwi do mózgu i krwotok jelitowy. Zawarte w nim hemotoksyny wyglądają wysoce obiecująco jako punkt wyjścia do opracowania nowych leków na choroby serca.

– I dlatego tu jesteśmy – wtrącił Oscar. – W nadziei na wynalezienie następnego kaptoprylu.

Ken się uśmiechnął.

– Przynajmniej na to liczą ci zacni ludzie w Tanaka Pharmaceuticals.

I nie było to z ich strony strzelanie w ciemno. Kaptopryl – najlepiej sprzedający się lek na nadciśnienie firmy Bristol-Myers Squibb – został wyizolowany z jadu żararaki zwyczajnej, bliskiej kuzynki żararaki wyspowej.

– I kto wie, co jeszcze można odkryć w całej tej znajdującej się tu truciźnie? – podjął Ken. – Koncern Elan Pharmaceuticals niedawno wypuścił na rynek prialt, silny lek przeciwbólowy. Otrzymano go z toksyny znalezionej w ślimakach morskich, stożkach jadowitych. W jadzie helodermy arizońskiej odkryto proteinę, która jest badana jako cudowny lek na alzheimera. Koncerny na całym świecie dużo inwestują w programy odkrywania leków opartych na jadzie.

– Wygląda na to, że toksykolog specjalizujący się w jadowitych zwierzętach może mieć swoje pięć minut. – Oscar wyszczerzył zęby. – Może sami powinniśmy wejść w ten biznes. „Jady to my”.

Ken żartobliwie trącił doktoranta hakiem na węże.

– Skup się na złapaniu swojego pierwszego okazu, później pogadamy o spółce.

Wciąż uśmiechnięty, Oscar podszedł do następnego kolczastego krzaka. Pochylił się i podniósł dolne gałęzie. Coś śmignęło przed nim i prześliznęło się po skałach. Wrzasnął i odskoczył, zderzając się przy tym z Aną Luiz. Oboje upadli na ziemię.

Długi na ponad pół metra wąż zmierzał prosto ku ich ciepłym ciałom.

Ken wysunął hak i złapał gada w połowie długości. Podniósł go wysoko, uważając, żeby nie zrobić tego gwałtownie i nie wyrzucić go w powietrze. Ciało węża natychmiast zwiotczało, mała głowa kołysała się, język śmigał.

Oscar próbował odczołgać się dalej.

– Nie ma obawy – uspokoił go Ken. – To tylko kolejny z mieszkańców Queimada Grande. *Dipsas indica*, znany również jako pożeracz węży. – Położył gada na ziemi. – Zupełnie nieszkodliwy.

– Myślałem... myślałem, że chce mnie zaatakować – wyjąkał Oscar, czerwony z zakłopotania.

– Zwykle te małe pożeracze węży są płochliwe. To dziwne, że cię ścigał, muszę przyznać. – Ken spojrzał wzdłuż trasy obranej przez węża. – Chyba że tylko próbował dostać się na plażę.

Jak kłusownik...

Zmarszczył czoło, nagle zaniepokojony. Spojrzał w przeciwnym kierunku na skały i rosnący za nimi las. Położył węża na ziemi i pozwolił mu uciec w stronę plaży.

– Idziemy – ponaglił i wspiął się na zbocze.

Za skalistym garbem znajdowała się zasłana piaskiem niecka. Stał na krawędzi, zszokowany nieprawdopodobnym widokiem.

Skały i piasek zaścieniała płatanina złoto-brązowych ciał. Były ich setki. Królowe Queimada Grande, żararaki wyspowe.

– A niech mnie... – szepnął Oscar, drżąc od stóp do głów.

Ana Luiz przeżegnała się, a Dias uniósł karabin i wycelował w piaszczyste zagłębienie.

Był to zbędny środek ostrożności.

– Wygląda na to, że wszystkie nie żyją – powiedział Ken.

Ale co je zabiło?

Żaden z długich na metr złotych węży się nie poruszał. I były tam nie tylko węże. Na dnie leżało kolejne ludzkie ciało, nieruchome, twarzą w dół.

Dias powiedział coś po portugalsku do Any Luiz, a ta pokiwała głową. Ken trochę znał język Brazylii i zrozumiał, że ten człowiek z pewnością był współnikiem leżącego na plaży kłusownika. W każdym razie byli podobnie ubrani.

Mimo braku bezpośredniego zagrożenia wszyscy stali jak wrośnięci w ziemię, sparaliżowani przez makabryczny widok.

Oscar pierwszy odzyskał mowę.

– Ten facet jeszcze oddycha?

Ken zmrużył oczy. Na pewno nie. Ale jego doktorant miał lepszy wzrok niż pozostali. Klatka piersiowa mężczyzny wznosiła się i opadała, jakkolwiek płytko, nierówno.

Ana Luiz zakłęła pod nosem i ruszyła ku niecce, już zdejmując torbę medyczną z ramienia.

– Zaczekaj – rzucił Ken. – Pójdę pierwszy. Może niektóre z nich jeszcze żyją. A poza tym nawet martwy wąż może ukąsić.

Spojrzała na niego, z niedowierzaniem marszcząc czoło.

– Są niezliczone historie o ludziach, którzy odcięli głowę grzechotnikowi czy ko-brze, a potem zostali ukąszeni, gdy ją podnieśli. Nawet kilka godzin później. Wiele zwierząt zmiennościelnych ma taki pośmiertny odruch.

Ruszył przed lekarką, podnosząc hakiem i odsuwając z drogi kolejne węże. Powoli szedł w dół zbocza. Wszystkie żararaki wyglądały na martwe, żaden nie zareagował na jego obecność, co było znaczące, biorąc pod uwagę agresywny charakter gatunku.

Schodząc, czuł coraz bardziej intensywny dziwny zapach. Spodziewał się smrodu padliny długo leżącej w słońcu, ale pod nim wykrył mdlącą słodycz, jakby kwiat zakwitł w zgniliźnie. Z jakiegoś powodu odór przyprawił go o szybsze bicie serca, jakby budził w nim wrodzony zmysł ostrzegający przed niebezpieczeństwem.

Mając wyostrzone zmysły, w końcu Ken zauważył, że w pobliskim lesie panuje niepokojąca cisza. Ani śpiewu ptaków, ani brzęczenia owadów, tylko szelest liści. Zatrzymał się i uniósł rękę.

– O co chodzi? – zapytała Ana Luiz.

– Wracaj.

– Ale...

Cofnął się o krok, potem drugi, zmuszając ją to zrobienia tego samego. Skupił wzrok na mężczyźnie leżącym na ziemi. Teraz dobrze widział jego twarz. Oczy zniknęły. Czarna krew zaschła na nosie, skrzepła w nozdrzach.

To był trup.

A jednak pierś się poruszała, chociaż na pewno nie wydymana przez ostatnie tchnienie.

Coś w nim jest, coś żywego.

Przyśpieszył, chociaż bał się oderwać wzrok od ciała. Słyszał, że Ana Luiz już dotarła do innych. Z lasu dobiegł nowy hałas. Niosący się z cieni niski pomruk postawił mu włosy na głowie. Hałasowi towarzyszyło dziwne głuchoe stukanie. Chciał przypisać je zderzającym się gałęziom, ale przecież nie było wiatru.

Wyobraził sobie grzechoczące kości.

Odwrócił się i biegiem pokonał ostatnie kilka metrów w górę zbocza.

– Musimy się zmywać z tej wy... – wysapał na szczycie, zmęczony.

Przerwała mu eksplozja. Po jego prawej stronie, z zatoczki, gdzie zostawili ponton, wzniosła się w niebo kula ognia. Mały czarny helikopter przebił się przez słup dymu. Karabiny zagrzechotały pod kadłubem. Pociski krzeszały iskry na skałach, wzbijały gejzery piasku.

Oscar upadł pierwszy, z rozoraną szyją.

Dias próbował odpowiedzieć ogniem, ale nagle poleciał do tyłu.

Ana Luiz odwróciła się do ucieczki i dostała w plecy.

Ken rzucił się z powrotem do niecki. Spóźnił się o ułamek sekundy. Ogień wybuchł w jego ramieniu. Siła uderzenia poderwała Kena w powietrze. Upadł i zaczął się staczać między zimne ciała martwych gadów.

Gdy się zatrzymał, znieruchomiał, na wpół pogrzebany w węzłach. Słyszał, jak śmigłowiec przemyka nad nim, a potem wraca, zakreślając niskie półkole.

Wstrzymał oddech.

W końcu maszyna odleciała nad plażę, prawdopodobnie żeby sprawdzić, czy ponton na pewno został zniszczony. Ken słuchał cichnącego dudnienia wirników.

Odlatuje?

Bał się ruszyć, mimo że z lasu dobiegał niepokojący pomruk, teraz głośniejszy. Lekko przekręcił głowę, żeby widzieć skraj lasu. Mgła – ciemniejsza niż cienie – sączyła się między gałęziami drzew, wznosiła nad korony. Dziwne klekotanie brzmiało coraz donośniej, wścieklej.

Coś nadchodzi...

Nagle świat stanął w ogniu.

W lesie zabrzmiały potężne wybuchy i nad drzewami wzbiły się spirale ognia. Kanonada kolejnych eksplozji ogarniała porośnięte lasem wyżyny. Wokół Kena spadały płonące kawałki strzaskanych pni i gałęzi. Czarny dym, duszący i gryzący, toczył się nad skałami, pochłaniając pozostałą część wyspy.

Ken laźł na czworakach, krztusząc się i kaszląc.

Na języku czuł gorzki chemiczny smak.

Napalm... a może jakiś zapalający defoliant.

Z płonącymi płucami wygramolił się z niecki i potoczył ku plaży. Zmierzał ku wodzie, do małej łodzi zakamuflowanej wśród skał przez kłusowników. Modlił się, żeby dym skrył jego ucieczkę. Na wpół ślepy, rękami wymacał chłodną wodę. Wśliznął się do niej i przesuwając ku samotnej łódce.

Za nim ogień rozprzestrzenił się i pochłaniał wyspę, powoli wypalając ją do gołej skały.

Ken dotarł do łódki, wgramolił się przez burtę i padł na plecy. Chciał czekać do zachodu słońca, zanim zaryzykuje wypłynięcie na otwartą wodę. Całun dymu i ciemność powinny osłonić go przed oczami patrzącymi z nieba.

Przynajmniej taką miał nadzieję.

Tymczasem wykorzystywał ból w ramieniu, żeby zostać skupionym i podsycać pragnienie, które płonęło w nim z takim żarem jak pożoga szalejąca na wyspie.

Przytulał do piersi torbę.

Zawierała martwego węża żararakę, którego zabrał przed ucieczką.

Będę wiedział, co się tu stało.

## 2

Tokio, Japonia

4 maja, godzina 8.38 czasu miejscowego

Sędziwy mężczyzna siedział na kamiennej ścieżce w świątynnym ogrodzie. Przyjmował tradycyjną pozycję *seiza* – z wyprostowanymi plecami, pośladkami na piętach, ze zgiętymi kolanami. Ignorował głęboki ból w dziewięćdziesięcioletnich kościach. Za nim starożytna pagoda Kan’ei-ji była oprószona ostatnimi tej wiosny płatkami wiśni. Minęły trzy tygodnie od pełni słynnego sezonu, kiedy turyści tłumnie przybywali do tokijskich parków, żeby pożerać wzrokiem i fotografować piękną harmonię szczytu kwitnienia.

Takashi Ito wolał te ostatnie dni sezonu. Powietrze przesyciła melancholia, która odzwierciedlała smutek panujący w jego sercu. Użył małego wachlarza, żeby zwiać suche, kruche płatki z wysokiego do pasa kamienia przed swoimi kolanami.

Podmuch poruszył smużkami dymu płynącymi z kadzielnicy u stóp kamienia. Z mieszaniny kyary, wonnej żywicy drewna agarowego, i koboku, ekstraktu z kory magnolii, wznosił się zapach. Takashi wachlarzem przyganiał do siebie pasemka dymu, pragnąc zawartego w nich błogosławieństwa i tajemnicy.

Jak często bywało w takich chwilach, w jego myśli wśliznął się fragment wiersza Ōtagaki Rengetsu, dziewiętnastowiecznej buddyjskiej mniszki.

*Smużka*

*Wonnego dymu*

*Z kadzidelka*

*Znika bez śladu:*

*Dokąd zmierza?*

Śledził wzrokiem samotną smużkę, dopóki nie zniknęła, zostawiając po sobie tylko słodki zapach.

Westchnął.

Jak ty przed tyloma laty, moją najdroższa Miu.

Pogrążony w modlitwie, zamknął oczy. Co roku przychodził tutaj w rocznicę ślubu, kiedy to Miu w tajemnicy związała swoje serce z jego sercem. Mieli w owym czasie zaledwie po osiemnaście lat, byli pełni nadziei na wspólne życie, połączeni tyleż przez miłość, co przez wspólny cel. Przez dziesięć lat razem się szkolili, doskonaląc umiejętności, które miały im być potrzebne. W tym brutalnym czasie świętowali sukcesy i pielęgowali siniaki po karach zadanych im przez twardych panów. Zostali dobrani w parę z powodu wzajemnie uzupełniających się talentów. On był nieustępliwym kamieniem, ona płynącą wodą. On był grzmotem i siłą, ona ciszą i cieniem.

Uważali się za niezwycięzonych, zwłaszcza wtedy, kiedy byli razem.

Takashi skrzywił usta, zdegustowany tą młodzieńczą głupotą.

Otworzył oczy i wciągnął do płuc ostatnie tchnienie dymu wznoszącego się z kadzielnicy. Skrawki kadzidła obróciły się w popiół. Kyara była znacznie cenniejsza niż złoto i nawet jej japońska nazwa oznaczała „cenna”.

Co roku palił kyarę ku pamięci Miu.

Ale ta rocznica była wyjątkowa.

Popatrzył na pałeczki koboku tłące się na talerzu z miki. Stanowiły nowość w jego rytuale. Palenie koboku było wielowiekową tradycją samurajów, służącą oczyszczeniu umysłu i ciała przed bitwą. On w ten sposób dopełniał swoją miłość do Miu starą obietnicą.

Pomścić jej śmierć.

Spojrzał na pokryty liniami starożytnego pisma kamień, który miał przed sobą. Nie był to nagrobek jego żony. Jej ciało stracił na zawsze wieki temu. Wybrał ten granitowy blok jako namiastkę nagrobka z powodu znajdujących się na nim słów, które w roku 1821 napisał jej pradziad, Sessai Matsuyama.

Przodek Miu ustawił ten pomnik w buddyjskich ogrodach, żeby pocieszyć duchy tych, których zabił. Sessai wspierał rozwój nauki i dzięki niemu powstało wiele opracowań naukowych, łącznie z *Chuchi-jo*, anatomicznym studium owadów, obecnie uważanym za skarb narodowy z powodu artystycznych rysunków przedstawiających motyle, świerszcze, koniki polne, nawet muchy i dowodzącym, że piękno można znaleźć w najmniejszych istotach. Aby mogło powstać to wielkie dzieło, w imię nauki złapano, nabito na szpilki i zasuszono mnóstwo owadów. Nękań pocuciem winy Sessai Matsuyama wzniósł ten pomnik ku ich pamięci, pragnąc



uhonorować ich wkład i może złagodzić ciężące mu karmiczne brzemie z powodu śmierci tych stworzeń.

Miu przyprowadzała go tu wiele razy, z twarzą jaśniejącą z dumy. Miała nadzieję, że zainspirowana jego pasją, w końcu pójdzie w ślady pradziadka. Ale nawet takie proste marzenie rozwiało się jak dym, unicestwione jednym strzałem.

Takashi podciągnął rękaw koszuli, żeby odsłonić wewnętrzną stronę nadgarstka. Na cienkiej jak papier skórze widniał cień tatuażu, takiego samego, jaki kiedyś w tym samym miejscu ozdobił miękkie ciało Miu. Symbol wyobrażał zestaw narzędzi obejmujących półksiężyc i czarną gwiazdę. Noszenie tego znaku było zaszczytnym dowodem, że przetrwali twarde szkolenie w zakspirowanej organizacji Kage. Wspomniał, jak całował jej nadgarstek po wytatuowaniu, jak jego usta pragnęły wysssać ból spowodowany przez ukłucia igłą. Ten akt związał ich równie mocno, jak potajemne małżeństwo.

Ale symbol związku z Miu spłowił.

Takashi opuścił rękaw i spojrzał na ogień trawiący resztki kadzidła. Aromatyczne smugi rozpływały się w powietrzu.

Dokąd zmierzają?

Nie znał odpowiedzi. Wiedział tylko, że stracił Miu na zawsze. Zginęła podczas ich pierwszej misji, mającej na celu kradzież skarbu przed nosa wrogów. Palił go wstyd, gdy wspominał, jak w ciemnym tunelu uciekał od jej martwego ciała, zmuszony do tego przez strzały i pragnienie, żeby jej ofiara nie poszła na marne.

W ostatecznym rozrachunku misja zakończyła się powodzeniem. Później, gdy poznał prawdziwą naturę zdobyczy wyniesionej z tamtego przeklętego tunelu, uznał to za omen. Teraz jego spojrzenie prześliznęło się po znakach wyrytych na starożytnym monumencie. Miu nie mogła pójść w ślady przodka, ale on zrobił to za nią.

Lekko się uklonił i zaczął wstawać. Dwóch służących chciało mu pomóc, lecz odprawił ich ruchem ręki, biorąc sobie za punkt honoru podniesienie się o własnych siłach. Dokonał tego i przyjął podaną mu laskę. Zacisnął kościste palce na złotej gałce w kształcie dziobatej głowy i ognistego tułowia feniksa.

Po dziesiątkach lat badań wreszcie miał dokonać zemsty i przywrócić Japonii dawną chwałę – w tym celu miał użyć tego samego skarbu, za który Miu zapłaciła życiem.

Usatysfakcjonowany odwrócił się i pokuśtykał przez ogród w kierunku pagody, stukając laską w rytm łomoczącego serca. Świątynia Kan'ei-ji została założona

w siedemnastym wieku. Na jej terenach utworzono park Ueno, gdzie obecnie znajdowały się miejskie zoo i muzea narodowe. Upadek świątyni zaczął się w roku 1869, kiedy cesarz Japonii właśnie tam zaatakował ostatnich szogunów klanu Tokugawy, którzy próbowali zagarnąć władzę dla siebie. W drewnianych ścianach podobno wciąż można znaleźć dziury po kulach, pamiątki dawnego oblężenia.

Ostatnimi czasy niewiele zaglądało do tej samotnej świątyni; jej krwawa przeszłość niemal popadła w zapomnienie.

Ale ja sprawię, że naród upokorzony przez wojnę przypomni sobie o dawnej chwale.

Takashi okrążył pagodę i przeszedł pod gałęziami wielkiej wiśni. Jego ruch strącił ostatnie kwiaty. Płatki unosiły się wokół niego, jakby Miu go błogosławiła. Z łagodnym uśmiechem szedł ku ulicy, gdzie czekała jego limuzyna. Wspierając się na lasce, kciukiem drugiej ręki potarł wyblakły tatuaż na nadgarstku.

Już niedługo.

Wkrótce połączy się z Miu – ale jeszcze nie teraz, najpierw musi dokonać zemsty i wynieść cesarską Japonię na jej prawowite miejsce władcy świata.

Gdy siedział w limuzynie, jego umysł odplynał w przeszłość, co z każdym mijającym rokiem zdarzało się coraz częściej. Oboje z Miu byli nieślubnymi dziećmi mężczyzn z arystokratycznych rodów. Odrzuceni z powodu grzechów swoich ojców przez obie rodziny, trafili do Kage. Miu została tam sprzedana. Takashi postanowił wstąpić do organizacji z goryczy.

W owym czasie społeczeństwo niewiele wiedziało o Kage, której nazwa oznacza po prostu „cień”. Szeptano o niej plotki. Niektórzy wierzyli, że jej członkowie są potomkami okrytego hańbą klanu ninja; inni nawet uważali ich za duchy. Takashi w końcu poznał prawdę, zgodnie z którą Kage wywodziła się z odległej przeszłości. Organizacja miała wiele nazw, przybierała różne oblicza na całej kuli ziemskiej. Używając do swoich celów mrocznej alchemii i później nauki, rosła w siłę i zapuszczała korzenie głęboko we wszystkich krajach. Jej członkowie byli cieniami kryjącymi się za władzą.

W Japonii, gdy wybuchła wojna, na krótko wyszli z ukrycia, wietrząc okazję w panującym chaosie. Ciągnęło ich do krwi i bólu płynącego z kierowanych przez Japończyków obozów, w których moralność nie miała prawa głosu. Cesarska armia stworzyła tajne ośrodki badawcze w północnych Chinach – najpierw w twierdzy Zhongma, później w Pingfangu – gdzie specjalizowano się w rozwoju broni biologicznej i chemicznej.

Na potrzeby projektu wojsko nie tylko spędzało mieszkańców chińskich wiosek, lecz także ściągało wziętych do niewoli Rosjan i innych jeńców wojennych. Trzy tysiące japońskich naukowców przeprowadzało eksperymenty na żywym materiale. Zarządzali ludzi węglikiem i dżumą, po czym przeprowadzali operacje bez znieczulenia. Zamrażali kończyny więźniów, żeby badać odmrożenia. Gwałcili kobiety, zarządzali je kiłą. Testowali miotacze ognia na ludziach przywiązanych do słupów.

W tych ośrodkach członkowie Kage pracowali w cieniu, na pozór służąc pomocą, a tak naprawdę wypatrując korzyści, jakie mogliby odnieść z wiedzy uzyskanej dzięki przeprowadzającym tam upiornym eksperymentom.

W owym czasie do przywódców Kage dotarła wiadomość o odkryciu czegoś, co, jak wierzyli, zostało stracone na zawsze. Próbowali zdobyć to niemal sto lat wcześniej – potencjalną broń niepodobną do żadnej innej – ale ponieśli porażkę. Gdy ze Stanów Zjednoczonych wyciekły pewne informacje, nadarzyła się druga szansa. Pod koniec 1944 roku wysłano małą grupę specjalną, której członkowie biegle władali językiem angielskim.

Misja zakończyła się powodzeniem, ale Miu przyplaciła to życiem.

Niestety, wojna skończyła się zbyt szybko, kiedy Amerykanie rzucili bomby atomowe na Hiroszimę i Nagasaki. Takashi zawsze się zastanawiał, czy powód takiego radykalnego posunięcia mógł być powiązany z kradzieżą dokonaną w tunelu pod ich stolicą.

W ostatecznym rozrachunku nie miało to znaczenia.

Po wojnie Takashi zabezpieczył to, co zostało skradzione: bryłę bursztynu. Zawarta w niej tajemnica była zbyt niebezpieczna, żeby zająć się nią w owym czasie. Musiały minąć dziesiątki lat, zanim rozwój nauki umożliwił wykorzystanie zdobyczy – tyle czasu, że nawet na Kage przyszedł koniec.

Kilka lat temu Amerykanie odkryli istnienie organizacji i wywlekli jej tajemnice na światło dzienne, gdzie cienie zawsze marnieją i umierają. Do tego czasu Takashi zdążył wspiąć się w hierarchii Kage tak wysoko, że poznał jej inne nazwy, łącznie z tą używaną przez Amerykanów.

Gildia.

Podczas czystki, która nastąpiła po zdekonspirowaniu, większość różnych frakcji mrocznej siatki została wyrwana z korzeniami i zniszczona, ale niektóre elementy przetrwały. Jak na przykład pewien dziewięćdziesięcioletni mężczyzna, którego niewielu uznałoby za groźnego. Inni rozproszyli się i ukryli. Od tamtej pory Takashi

i jego wnuk potajemnie zbierali te zbłąkane nasiona i czekając na odpowiedni moment, tworzyli własny oddział samurajów.

I teraz, po tylu badaniach – przeprowadzanych w odległych laboratoriach i w warunkach naturalnych w starannie wybranych miejscach za granicą – wreszcie mieli opracowaną śmiercionośną broń o nieobliczalnej sile.

Wybrali również pierwszy cel, jako demonstrację dla świata i jednocześnie cios w organizację, która zniszczyła Gildię.

Konkretnie dwoje agentów, którzy ogromnie się przyczynili do jej upadku.

Gdy limuzyna odłączyła się od potoku pojazdów i zahamowała, Takashi się uśmiechnął. Czuł uniesienie na myśl, że miejsce pobytu tej dwójki też jest ważnym omenem. To tam cesarska Japonia zadała pierwszy druzgoczący cios śpiącemu olbrzymowi – i tam on, Takashi, zada drugi.

Spustoszenia będą znacznie większe niż te spowodowane na wyspach w przeszłości. Pierwszy atak zapowie koniec obecnego porządku świata i zainauguruje bolesne narodziny nowego, w którym cesarska Japonia będzie władać po wieczne czasy.

Wyobraził sobie dwa wybrane cele.

Kochankowie, jak Miu i ja.

Choć o tym nie wiedzieli, byli równie jak Miu skazani na zgubę.

### 3

Hana, Hawaje, wyspa Maui

6 maja, godzina 17.08 czasu miejscowego

To dopiero jest życie...

Komandor Grayson Pierce wylegiwał się na spieczonych przez słońce czerwonych piaskach zatoki Kaihalulu. Sezon na Hawajach jeszcze się nie zaczął i zbliżał się wieczór, więc miał dla siebie małą zatoczkę z czerwono-czarną plażą. Co więcej, tylko tutejsi ludzie znali to wyjątkowe miejsce i dotarcie do niego wymagało uciążliwej wędrówki.

A jednak warto było zadać sobie trochę trudu, żeby w nagrodę cieszyć się nieskalanym pięknem tej ustronnej zatoczki.

Otaczały ją strome urwiska porośnięte drzewami żelaznymi. Przez stulecia bogate w żelazo skały skruszyły się w czerwony piasek, tworząc tę wyjątkową plażę schodzącą w ciemnoniebieskie wody Pacyfiku. Niedaleko od brzegu ciężkie fale rozbijały się o zębate czarne rafy, wyrzucając w powietrze wodną mgiełkę migoczącą w promieniach zachodzącego słońca. Przy brzegu osłonięta przez rafę woda łagodnie pluskała na piasku.

Z fal wyłoniła się naga postać skąpana w świetle słońca, z twarzą uniesioną ku niebu. Kaskada czarnych włosów sięgała jej do połowy pleców. Gdy brnęła do brzegu, odsłaniając coraz więcej ciała, z migdałowej skóry spływały wodorosty, a po nagich piersiach i płaskim brzuchu ściekały strumyczki wody. Szmaragdowy dżet w pępku skrzył się równie jasno, jak oczy skierowane na Graya.

Nie powitał go szelmowski uśmiech. Jej rysy dla niewyrobionego oka pozostały stoickie, on jednak zauważył, że nieznacznie przekrzywiła głowę, leciutko uniosła prawą brew. Szła ku niemu ze zmysłową gracją lwicy podkradającej się do zwierzyny.

Oparł się na łokciach, żeby lepiej delektować się widokiem. Nogi wciąż miał skąpane w świetle dnia, ale resztę nagiego ciała spowił cień, gdy słońce opadło za urwisko za jego plecami.

Seichan wyszła na gorący piasek i zbliżała się do Graya. Gdy dotarła do niego, stanęła tak, że jej stopy znalazły się po obu stronach jego nóg. Zatrzymała się na granicy cienia, skąpana w świetle słońca, jakby w ten sposób próbowała sprawić, żeby dzień potrwał jeszcze trochę dłużej.

– Nie – rzucił ostrzegawczo.

Zignorowała go i potrząsnęła grzywą mokrych włosów, zasypując go zimnymi kropelkami. Ciarki przeszły mu po opalanej skórze. Seichan ani na chwilę nie odrywała wzroku od jego twarzy.

– Co? – zapytała, jeszcze wyżej unosząc łuk brwi. – Za zimno?

Opadła na jego biodra, usiadła na nim i pochyliła się, kładąc dłonie na piasku. Patrzyła mu w oczy, jej piersi muskały jego tors.

– Zajmijmy się rozgrzewką – wymruczała.

Wyszczrzył zęby w uśmiechu i objął ją. Przesunął dłonie na jej talię i naprężył ramiona w żelaznym uścisku. Podparł się na kolanie i Seichan znalazła się pod nim.

– Już jestem rozgrzany.

Godzinę później pochłonęły ich cienie, wraz z resztą plaży. Jasne światło dnia jeszcze rozpałało tęcze w mgiełce wznoszącej się nad rafami.

Gray i Seichan leżeli przytuleni, wciąż nadzy pod kocem, zaspokojeni i wyczerpani. Rozgrzewał ich przygasający żar namiętności, utrudniając rozstrzygnięcie, gdzie jedno się zaczyna, a drugie kończy. Gray mógłby tak leżeć do końca świata, ale wiedział, że niebawem zrobi się zupełnie ciemno.

Wyciągnął szyję, patrząc na urwiska okalające zatoczkę.

– Powinniśmy ruszyć, póki jeszcze widać szlak. – Zerknął na suszące się na piasku stroje piankowe i stertę sprzętu, którego używali podczas nurkowania na rafie wokół przylądka Ka'uiki. – Zwłaszcza jeśli chcemy zabrać stąd nasze kłamoty.

Seichan zamruczała, wyraźnie nie mając chęci stąd odejść.

Wynajęli domek na południe od miasteczka Hana na malowniczym wschodnim wybrzeżu Maui, w regionie bujnych lasów deszczowych, wodospadów i odosobnionych plaż. Planowali spędzić na Hawajach tylko dwa tygodnie, ale minęły trzy miesiące, a oni wciąż tu byli.

Wcześniej podróżowali przez pół roku, przenosząc się z miejsca na miejsce bez żadnego planu poza tym, że okrążają kulę ziemską. Po wyjeździe z Waszyngtonu jakiś czas spędzili w otoczonym murami średniowiecznym miasteczku we Francji; mieszkali na strychu byłego klasztoru. Później polecili na sawanny Kenii, gdzie przez dwa tygodnie wędrowali z jednego obozu do drugiego wraz z ponadczasowym strumieniem tamtejszej fauny. W końcu trafili do tętniącej życiem aglomeracji Bombaju i pławili się w panującej tam żywołowości. Następnie, znów szukając spokoju, polecili odrzutowcem do Perth w Australii, gdzie wynajęli ciężarówkę i pojechali daleko w głąb interioru. Po tej długiej pustynnej wyprawie, chcąc oczyścić się z kurzu, ruszyli do kurortu z gorącymi źródłami w górach Nowej Zelandii. Gdy naładowali akumulatory, podjęli nieśpieszną podróż przez Pacyfik; przeskakiwali z wyspy na wyspę, z Mikronezji do Polinezji, aż w końcu osiedli tutaj, w miejscu będącym prawdziwym rajem.

Gray od czasu do czasu wysyłał widokówkę do swojego największego przyjaciela, Monka Kokkalisa. Robił to głównie dlatego, żeby ci w Waszyngtonie wiedzieli, że żyje, że nie został uprowadzony przez wrogie siły. Czuł się zobowiązany, ponieważ odszedł nagle, bez ostrzeżenia, bez zgody zwierzchników. Przez ponad dziesięć lat pracował dla Sigma Force, tajnej jednostki powiązanej z DARPA, Agencją Zaawansowanych Projektów Badawczych podlegającą Departamentowi Obrony USA. Gray i wszyscy jego koledzy byli wcześniej żołnierzami jednostek specjalnych; z różnych powodów zwolniono ich ze służby, a następnie dla ich wyjątkowych predyspozycji czy umiejętności zwerbowano do Sigmy. Przekwalifikowani, wyszkoleni w różnych dyscyplinach naukowych, służyli jako agenci terenowi DARPA, chroniąc Stany Zjednoczone i cały świat przed wszelkiego rodzaju zagrożeniami.

Z akt komandora Graya Pierce'a wynikało, że jest specjalistą w dziedzinie biologii i fizyki, ale w rzeczywistości miał znacznie głębszą wiedzę. Zyskał ją dzięki nepalskiemu mnichowi, z którym spędził jakiś czas i który nauczył go szukania równowagi we wszystkim, zaszczepiając mu taoistyczną filozofię jin i jang.

Swego czasu nauki mnicha pomogły Grayowi pogodzić się z trudnym dzieciństwem. Dorastając, zawsze tkwił między przeciwieństwami. Jego matka, nauczycielka z katolickiego liceum, wpajała mu głęboką duchowość, ale była też znakomitym biologiem, żarliwą wyznawczynią ewolucji i rozumu.

Na drugim biegunie był oczywiście ojciec: mieszkający w Teksasie Walijczyk, nafiarcz, który w średnim wieku uległ wypadkowi i był zmuszony przyjąć rolę gospodyni domowej. W konsekwencji jego życiem rządziły poczucie niższości i gniew.

I przekazał je buntowniczemu synowi.

Z czasem, powoli, dzięki pomocy Paintera Crowe'a, dyrektora Sigma Force, Gray odnalazł ścieżkę pomiędzy tymi przeciwieństwami. Nie była wcale krótka. Ciągnęła się w przeszłość i w przyszłość i wciąż się po niej miotał.

Kilka lat temu matka zginęła w wyniku ataku – cywilna ofiara bitwy Sigmy z organizacją terrorystyczną znaną jako Gildia – a on sam, chociaż niewinny, wciąż zmagał się z poczuciem winy.

Inaczej było ze śmiercią ojca. Gray bezpośrednio przyłożył do niej rękę. Ojciec, przykuty do łóżka, w coraz gorszym stanie, powoli odchodził w otępiającą mgłę alzheimera, zatracając się kawałek po kawałku. W końcu, posłuszny ojcowskiej prośbie o uwolnienie – *Obiecuj mi...* – podał mu śmiertelną dawkę morfiny.

Nie miał poczucia winy w związku z tą śmiercią, ale też nie mógłby powiedzieć, że się z nią pogodził.

Wtedy Seichan wyciągnęła do niego rękę, oferując swego rodzaju koło ratunkowe, i zaproponowała, żeby na jakiś czas oderwał się od obowiązków, uciekł od wszystkiego i od wszystkich.

Chwycił jej rękę i tak właśnie zrobił.

Seichan miała własne powody, żeby zniknąć. Kiedyś była zabójczynią na usługach Gildii, od wczesnych lat życia szkoloną do służenia organizacji. Po kilku starciach z Sigmą przeszła na drugą stronę, zwerbowana przez Paintera Crowe'a. Przyczyniła się do zlikwidowania Gildii, ale popełnione w przeszłości zbrodnie zmusiły ją do wiecznego pozostawania w cieniu. Wciąż w wielu krajach figurowała na listach najbardziej poszukiwanych osób; Mosad wydał rozkaz zabicia jej na miejscu.

Sigma zapewniła byłej zabójczyni pewną ochronę, ale Seichan nigdy do końca nie uwolniła się od przeszłości.

Tak więc uciekli razem i wykorzystywali ten czas na zagojenie się ran, na odkrywanie samych siebie i tego drugiego. Nikt nie próbował skontaktować się z Grayem nawet po tym, jak się nie stawił na pogrzebie ojca. Po prostu szanowali jego potrzebę zniknięcia.

Przez dziewięć miesięcy podróżowali z fałszywymi papierami, ale nie miał złudzeń. Wiedział, że Sigma śledzi go z powodów profesjonalnych i osobistych. Zespół pod wieloma względami przypominał rodzinę.

Gray doceniał to, że dali mu swobodę ruchu.

Z pewnością na to zasłużyłem, myślał. W głębi duszy wiedział jednak, że cała ta podróż jest iluzją, chwilą wytchnienia przed tym, zanim prawdziwy świat runie



wokół nich z trzaskiem. Ostatnio czuł narastające ciśnienie, niejasne napięcie, którego źródła nie umiał namierzyć. Było to nie tyle wrażenie nadciągającego zagrożenia, ile uczucie, że zbliża się koniec wakacji.

Wiedział, że Seichan też to czuje.

Stała się bardziej humorzasta, mniej spokojna i zadowolona. Gdyby była lwicą w klatce, krążyłaby za kratami. Gray co do jednego nie miał wątpliwości: ona nie bała się końca tej podróży – pragnęła go.

Podobnie jak on.

Wzywał ich świat.

Niestety, nie czekał, aż sami się zgłoszą.

Cichą chwilę na plaży zakłóciło dudnienie.

Gray usiadł prosto; oddech mu przyśpieszył, gdy zaskoczyło szkolenie z lat służby w komandosach. Nie było bezpośredniego zagrożenia, ale niezliczone tury na omiatanych piaskiem pustyniach nauczyły go zwracania uwagi na wszystkie szczegóły otoczenia. Weszło mu to już w krew. Drobne mięśnie się naprężyły i wzrok się wyostrzył, gdy szykował się do błyskawicznej reakcji.

Po drugiej stronie zatoki Kaihalulu pojawiły się trzy samoloty – cessny caravany, sądząc po kształtach. Małe samoloty latały pomiędzy wyspami i ich widok nie był niczym niepowszednim, Gray uznał jednak za dziwne, że lecą w zwartym szyku, jakby piloci mieli szkolenie wojskowe.

– To nie wycieczka – powiedziała Seichan, która spostrzegła jego napięcie i obiekty zainteresowania. – Co sądzisz?

Gdy samoloty zbliżyły się do wyspy, skrzydłowe oderwały się w prawo i lewo. Środkowy leciał prosto ku ich zatoczce. Gray jednocześnie zarejestrował kilka szczegółów. Nie były to cessny caravany, ale ich smuklejsze i znacznie szybsze siostry, model znany jako TTx. Każda z tych jędz miała duże lufy umocowane pod kadłubem.

Zanim Gray zrozumiał, co się dzieje, ze zbiorników wystrzeliła ciemnoszara mgła, tworząca grube smugi za każdym samolotem. Silny wiatr gnał je w kierunku brzegu, w kierunku ich zatoczki.

Środkowy samolot kierował się prosto na nich. Gdy przemknął nad rafą, wyrzucił resztę ładunku. Leciał ku brzegowi nisko, nie zwalniając. Gray spodziewał się, że zwiększy wysokość i skręci nad wysokim przylądkiem Ka'uiki.

Samolot uderzył w lesiste czerwone urwisko.

Wybuch wstrząsnął drzewami i wyrzucił wysoko w powietrze kawałki skały. Kula ognia potoczyła się w niebo, niesiona na słupie oleistego dymu. Gray przytulił Seichan, używając koców jako prowizorycznej osłony przez deszczem płonących szczątków i gradem przemieszanych z piaskiem kamyków.

Dotarły do niego echa innych wybuchów, oznaczających śmierć pilotów dwóch pozostałych maszyn. W pobliżu duży głaz spadł blisko brzegu, wzbijając gejzer wody.

Mimo to Gray ignorował bezpośrednie zagrożenie i skupiał uwagę na toczącej się w ich stronę szerokiej czarnej chmurze napędzanej przez wiatr.

Sploszona hukiem białopióra czapla wzbiła się z niedalekiego lasu. Uciekała od dymu i ognia w kierunku zatoki. W pewnej chwili musiała wyczuć zagrożenie, jakie stanowiła ta złowieszcza chmura, bo zaczęła szybko bić skrzydłami, żeby się wznieść ponad nią.

Bystry ptaszek.

Udało jej się wzbić nad mgłę – ale nie dość wysoko. Ciemnoszara macka wysunęła się w niebo, jakby wyczuwając przelatującą zwierzynę. Lot czapli gwałtownie się skończył, gdy musnęła tę groźbę. Skrzydła załopotwały w spanikowanym rytmie. Ptak skręcił się w powietrzu, z jego dziobu wyrwał się krzyk. Nagle runął w wąskiej spirali ku morzu i zniknął w wiszącej chmurze.

– Trucizna – powiedziała rzeczowo Seichan.

Gray nie był taki pewny. Przywołał na myśl mackę dymu szukającą ptaka. Bez względu na charakter zagrożenia, byli w tarapatach.

Spojrzał w prawo i lewo. Trzy samoloty zostawiły nad wschodnią linią brzegową połąć mgły, szeroką na półtora kilometra, jeśli nie więcej.

A my jesteśmy w samym środku.

Gdy ciemna mgła podpływała, przez huk fal przebił się cichy pomruk. Seichan poderwała głowę, najwyraźniej też go słysząc.

Gray ściągnął brwi.

Co, do licha?

Zmrużył oczy, patrząc na zagrożenie. Brzęcząca chmura lekko zmieniła kierunek i sunęła niezależnie od wiatru... zdradzając, że jest żywa.

Uświadomił sobie, że to rój.

Biorąc pod uwagę ten nowy szczegół, rozważał możliwości. Jeśli ruszą trudnym szlakiem wzdłuż urwisk, nie zdążą dotrzeć w bezpieczne miejsce. Zostaną pochłonięci przez chmurę jak pechowa czapla.

Gray musiał się pogodzić z nieuchronnym.  
Byli w pułapce.

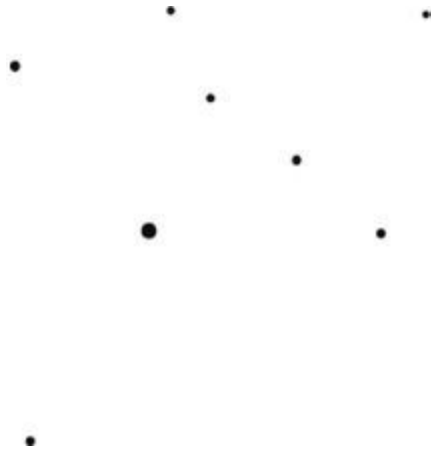
# ZWIADOWCZYNI

Ze smukłym ciałem stworzonym do osiągnięcia dużych prędkości zwiadowczyni prowadziła innych w kierunku brzegu. Gorączkowo trzepotała skrzydełkami w powietrzu, ale tak naprawdę prowadził ją instynkt. Nie zważając na nic innego poza tym, co tysiące lat temu zostało zapisane w jej kodzie genetycznym, pędziła ku zapachowi zielonych liści i słodkiej wody.

Cel istnienia określił jej formę. Miała najdłuższe czułki wśród wszystkich swoich sióstr, z rozczapierzonymi na końcach kruchymi włoskami, żeby tym lepiej wychwytywać najdrobniejsze wibracje. Większą część jej głowy stanowiły fasetowe oczy, patrzące bez mrugania w kierunku celu. Miała nieszczęśliwie długie skrzydła i masywny tułów, co zapewniało jej większą zwrotność i zwinność w powietrzu. Mały odwłok był pełen gruczołów wydzielających feromony. Nie miała żądła, bo nie była wojowniczką.

Jej krótkie istnienie miało jeden cel: wchłaniać bodźce zewnętrzne. Dzięki delikatnym włoskom sensili – komórek nerwowo-czuciowych – pokrywającym ciało była wyjątkowo wrażliwa na zmiany chemiczne i wahania temperatury. Sensile wspomagały nawet słuch, chociaż duże membrany napięte na pustych wgłębieniach po obu stronach głowy lepiej spełniały tę funkcję. Dodatkowe sensile w aparacie gębowym chłonięły zapachy z powietrza, wyczuwając pożywienie albo wodę, a także monitorując otaczający ją potok feromonów towarzyszy.

W locie wyczuwała tych najbliższych, rejestrując w mózgu ich pozycję.



Chłonęła coraz więcej informacji, aż osiągnęła próg. Niezdolna przyjąć więcej danych, wyrzuciła je ze swojego ciała. Niesione przez feromony, dotarły do najbliższych sąsiadów, a ci przekazali je dalej, zmieniając rytm bicia skrzydłami albo hałaśliwie pocierając odnóża.



Informacje szybko płynęły do innych, którzy odbierali je, dzielili się nimi i rozprzestrzeniaли w narastającej kaskadzie.

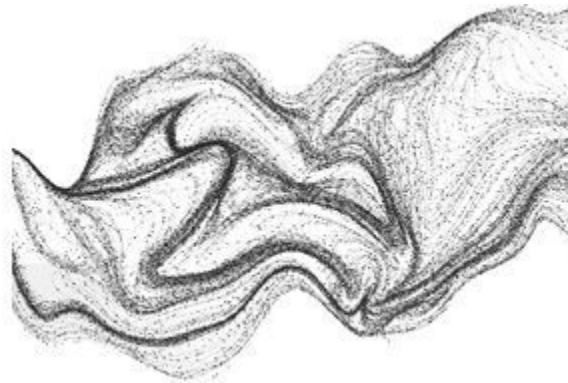


Niebawem wszyscy wiedzieli to co ona. Jej wysiłki zostały nagrodzone, gdy informacje wracały do niej, jeszcze bardziej wyostrzając jej zmysły. Po jakimś czasie jej ciało wchłaniało tyle samo danych, ile emitowało.

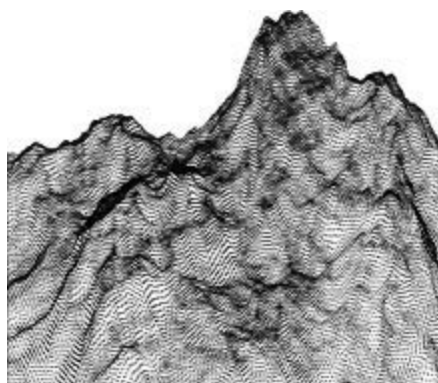
Zwiadowczyni zaczynała wtedy tracić poczucie odrębności.



Gdy leciała, napływanie i wysyłanie informacji przyspieszało i stawało się prądem, który zalewał rój, wiązał go i w idealnej harmonii kierował do celu.



Cel stał się widoczny, gdy rój przemykał nad rozfalowaną wodą. Szczegóły uzupełniały się kropka po kropce, kawałek po kawałku, dostarczane przez zmysły zwiadowczyni i jej towarzyszek. Widziana tysiącami oczu linia brzegowa stawała się coraz wyraźniejsza. Dalej z huczących fal wznosiła się skalna ściana.



Zapach liści przybierał na sile, gdy rój opadał w kierunku nowego terytorium. Istniały tam inne formy życia, o czym świadczył ruch, krzyki, nawet oddechy. Ale nie stanowiły zagrożenia.

To przekonanie było taką samą częścią jej kodu genetycznego jak skrzydła czy czułki.

Rola i cel zwiadowczyni dobiegały końca. Zwolniła, coraz słabsza, i wchłonął ją rój. Kilka jej mniejszych siostr, wyczerpanych przez obowiązek, spadło do słonej wody.

Już nie były potrzebne.

Gdy zbliżało się lądowanie, do przodu wysunął się szereg robotnic, tworząc czoło roju. Ta nowa kasta miała własny genetycznie zdeterminowany cel: ocenić niebezpieczeństwo i wyeliminować zagrożenie.

Jedna z nowych robotnic przemknęła w powietrzu. Znacznie większa od zwiadowczyni, już miała złowieszczo podkulony odwłok i eksponowała postrzępione żądło i dojrzały gruczoł jadowy u jego podstawy.

Od tego momentu obowiązek przejmowała ta nowa klasa łowczyń-zabójczyń. Wojowniczeki.

## 4

Hana, Hawaje, wyspa Maui

6 maja, godzina 18.34 czasu miejscowego

Seichan zrozumiała, że nie mają czasu.

– Zostaw piankę – powiedziała, wciągając dół bikini. Patrzyła na zmierzający w ich stronę kotłujący się rój.

Gray rzucił skafander, w który zaczął się ubierać. Już miał na sobie spodenki kąpielowe. Po wielu tygodniach spędzonych na słońcu jego skóra lśniła bogatą opalenizną, a włosy o popielatym odcieniu – rozczochrane i długie do kołnierzyka – nabrały jaśniejszej barwy, co podkreślało błękit jego oczu. Nie golił się od kilku dni; zarost przyciemniał jego twarz o ostrych rysach.

Z błyskiem w oczach Gray spojrział na Seichan, podnosząc z piasku butlę do nurkowania przypiętą do kamizelki ratowniczo-wypornościowej. Zarzucił sprzęt na ramię i sięgnął po drugi zestaw.

Seichan podbiegła do niego, podniosła z piasku maskę, zawiesiła ją na szyi, po czym wzięła butlę i zarzuciła na plecy. Gdy pędziła z Grayem po czerwonym piasku, szelki wpijały się w jej nagie ramiona. Czarna chmura wznosiła się wysoko, nad całą zatoczką. Brzęczenie przerodziło się w niski ryk. Skrzydła nawiewały na plażę dziwny mdląco-słodki zapach, jakby lawendy rosnącej na gnoju. Seichan czuła go nie tylko w nosie, ale też na języku.

Wstrząsnął nią mimowolny dreszcz odrazy.

Gray wzdrygnął się u jej boku, uchylając głowę i machając ręką w powietrzu.

Coś uderzyło ją w ramię. Zabolało, jak strzał grubą gumką recepturką. Spojrzała w to miejsce i zobaczyła, że do skóry przywiera podobny do osy owad ze skrzydłami rozmytymi w brzęczącą smugę. Był duży – długi jak jej kciuk. Miał czarny, lśniący odwłok rozjaśniony paskami wściekłego szkarłatu. Zszokowana jego wielkością, na chwilę zwolniła.

Użądlił ją, zanim zdążyła go strącić.



Ból był natychmiastowy, jakby ktoś wbił zapaloną zapałkę w otwarte skaleczenie. Później było jeszcze gorzej.

Wypuściła powietrze i opadła na kolano. W ramieniu eksplodował rozdzierający ból, jakby mięśnie odrywały się od kości. Gray próbował rozgnieść osę podeszwą. Zdołał połamać jej skrzydła, ale twarde ciało po prostu zapadło się w piasek. Uparty owad natychmiast się wygramolił i popędził ku Seichan, która rzuciła się do tyłu. Gray kopniakiem wrzucił osę do wody.

W tym czasie mięśnie Seichan zwiotczały; ręka bezużytecznie zwisała u boku. Ból się nasilał. Po policzkach spływały jej łzy. Nigdy nie doświadczyła takiego cierpienia. Gdyby miała siekiere, odrąbałaby sobie rękę.

Wypuściła powietrze przez drżące usta.

– Gr... Gray...

– Musimy zejść pod wodę – powiedział, podnosząc ją.

Taki mieli plan: użyć sprzętu do nurkowania, żeby uciec z zagrożonej zatoczki.

Chciała posłuchać, ale nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Słaniała się, coraz bardziej zdezorientowana. Świat się kołysał. Upadła twarzą w piasek i dostała konwulsji.

Gray złapał ją i powlókł, trzęsącą się, w fale, podczas gdy z góry spadały osy jak czarny grad.

Uderzały w piasek, przemykały obok ich twarzy, bombardowały krzaki i liście. Chcąc jak najszybciej uciec przed atakiem, Gray wziął Seichan w ramiona i rzucił się pod wodę.

Ale nawet w zimnej głębi jej ciało płonęło.

## Godzina 18.37

Dalej, skarbie, trzymaj się...

Naciągnął maskę i trzymał Seichan pod sobą, gdy wymachiwał nogami, schodząc głębiej pod wodę. Ciężar sprzętu pociągał ich w dół wzdłuż spadzistego dna. Zdesperowany, obawiając się najgorszego, wolną ręką nałożył maskę na nos i oczy Seichan. Podciągnął ją, poluzował pasek, odchylił dolny skraj maski i usunął z niej wodę.

Ciało Seichan drżało pod nim, ale najgorsze drgawki minęły. Przyjrzał się jej twarzy, gdy wsuwał między jej wargi ustnik inflatora. Miała otwarte oczy, ale widać było tylko białka. Wyraźnie wciąż była oszołomiona.

Sięgnął do jej ręki i z ulgą poczuł, że palce się zacisnęły.

Dochodziła do siebie.

Dasz sobie radę sama? – zapytał, korzystając z systemu znaków płetwonurków.

Chyba zrozumiała, bo skinęła głową.

Dobrze.

Machnął ręką, żeby złapać swój inflator, i włożył ustnik do ust. Oddychając, spojrzał w górę. Słońce prawie zaszło, ale przez warstwę wody dostrzegł drobne czarne cętki unoszące się na powierzchni. Niektóre się poruszały. W większości były maleńkie, chociaż nie brakowało większych, oznaczających obecność tych potwornych os.

Dorastając na wzgórzach Teksasu, Gray miał za sobą niejedno spotkanie z pszczołami i słyszał opowieści sąsiadów o rojach zafrykanizowanych pszczoł, słynących z polowań na ludzi zagrażających ich gniazdu. Nawet wskoczenie do stawu czy jeziora nie gwarantowało bezpieczeństwa, bo pszczoły krążyły nad wodą, czekając, aż intruz wynurzy głowę, i znów atakowały.

Patrzył na rój.

Zdawało się, że ten gatunek ma taki sam plan.

Na szczęście nie musimy wypływać po powietrze, pomyślał Gray.

Przynajmniej miał taką nadzieję.

Zanim ruszyli w drogę, uregulował pływalność, korzystając z kieszeni trzymających, po czym pomógł Seichan zrobić to samo. Unosili się niespełna dwa metry pod powierzchnią. Zadowolony, prowadził Seichan przez zatokę, cały czas nad nią czuwając. Nie miał pojęcia, jakie inne niespodzianki mogą czyhać w jądzie osy.

Wciąż miał przed oczami udręczoną twarz Seichan. W przeszłości widział, jak została postrzelona, zraniona nożem, nawet dźgnięta w brzuch żelazną włócznią. Żadna z tych rzeczy jej nie spowolniła. A dziś ukąszenie osy rzuciło ją na kolana, co oznaczało, że owad musiał mieć w sobie jakąś potwornie silną truciznę. Gray przypuszczał, że kilka użądleń zatrzymałoby pracę serca.

Pamiętając o tym niebezpieczeństwie, odpływał coraz dalej od brzegu. Minął rafy i kierował się ku jaśniejszej wodzie za klifami Ka'uiki. Od czasu do czasu spoglądał przez ramię. Mimo dyfrakcji wciąż widział cieniastą chmurę roju nad wodą. Wiele owadów wylądowało, ale wyglądało na to, że większość przezornie trzyma się linii brzegowej.

Może rój czekał, żeby duże osy oczyściły drogę.

Gray musiał przyznać, że to rozsądna taktyka.

Płynął, starając się uciec z cienia chmury. Niestety, słońce w końcu zaszło. Zapadł zmierzch i trudno było powiedzieć, czy rój wciąż się kłębi nad wodą.

Zastanawiał się, czy nie wypłynąć i nie zapalić latarki ledowej, żeby sprawdzić, jak wygląda niebo, lecz odrzucił ten pomysł. Jeśli nawet oddalili się od roju, światło mogłoby przyciągnąć uwagę owadów.

Płynął więc dalej, kierując się wskazaniem kompasu, który miał na nadgarstku. Lepiej dmuchać na zimne.

Nie mógł jednak płynąć w nieskończoność. Bez kombinezonów piankowych chłód wody szybko pozbawi ich sił, zwłaszcza Seichan. Stopniowo zwalniała, wlokąc za sobą lewą rękę. Wiedział, że jak najszybciej musi wydostać ją z wody i zapewnić jej ciepło. Z tą myślą skręcił na południe, zmierzając ku odległej o półtora kilometra plaży, gdzie na wulkanicznym urwisku stał ich nadmorski dom.

Woda powoli ciemniała. Wkrótce ledwie widział własne ręce, nie mówiąc o Seichan. W końcu uległ; wyjął latarkę z kieszeni kamizelki i nacisnął guzik. Jasność w wodzie na chwilę go oślepiła. Skrzywił się w duchu, przestraszony, że światło wskazuje rojowi cel ataku.

Ale nie miał wyboru.

Gdy jego oczy przywykły do blasku, ujrzał nocny świat pod falami. W dole i przed nimi sterczały krawędzie rafy. Wszystko wydawało się w ruchu. Jasnożółte i czerwone ukwiały kołysały się w prądzie, pod sobą widział kolczaste czarne grzbiety jeżowców. Z przodu ławica ryb uciekała im z drogi, omijając poruszającego się wolniej orlenia. Gdy przepływali nad ścianą koralowców, śmignął przed nimi biały nos żarłacza grubego, napędzanego ruchami masywnego ogona.

Poza zasięgiem światła poruszały się inne większe cienie.

Gray przypuszczał, że to żółwie morskie, których jest pełno wokół Maui, i pilnie wypatrywał prawdziwych drapieżników grasujących w tych wodach. Żarłacze tępo-głowe i tygrysy czasami atakowały pływaków i nurków. Nie zamierzał powiększać statystyk.

Zerknął na Seichan. Została daleko z tyłu. Zwolnił i zaczekał na nią i na migi zapytał, jak się czuje. Uniosła uządloną rękę, żeby utworzyć kółko z kciuka i palca wskazującego, na znak, że jest w porządku, chociaż zrobiła to z wielkim trudem. Organizm odzyskiwał siły, ale trucizna dała jej się we znaki, podobnie jak długie nurkowanie.

Skinęła na niego i skrzywiła się – nie z bólu, lecz z irytacji.

Łatwo było odczytać jej zdeterminowaną minę oznaczającą: „Płyn dalej. Dotrzymam ci kroku, cholera”.

Obrócił się i płynął, ale teraz blisko niej.

Tylko upór doprowadził cię tak daleko, pomyślał.

Każdy ruch rękami i nogami powoli oddalał ich od groźnej części brzegu i przybliżał do celu. Gray od czasu do czasu spoglądał na kompas.

Powinno już być niedaleko.

Jednak dotarcie na płycizny ich plaży zajęło im kolejne pół godziny. Gray pierwszy wystawił głowę w momencie, gdy prawie skończyło im się powietrze. Wskaźniki doszły do czerwonej strefy. Sprawdził, czy niebo jest czyste, po czym pomógł Seichan wyjść na małą skalistą plażę. Z ulgą zrzucili butle na skraju wody.

Wciąż obejmując Seichan w talii, czuł jej drzenie. Niemal ją niósł, gdy szli w kierunku klifu. Na szczycie stał ich dom, wabiący jasnym oknem.

Wyrwała się z jego uścisku i opadła na kolana.

– Idź... – wychrypiała, wskazując ręką dom.

– Nie zostawię cię. Powlokę, jeśli będę musiał.

Nie wiedział, czy zdołałby dotrzymać tej obietnicy. Miał wrażenie, że ma nogi z gumy.

– Nie... – Spojrzała na niego gniewnie, oddychając ciężko, i machnęła ręką ku północy. – Sta... stadion.

Pokręcił głową, nie rozumiejąc, o co jej chodzi... i nagle pojął.

O nie!

Zesztywniał. Adrenalina wpompowała stal w jego nogi.

Rankiem zaparkowali jeepa przy Uakea Road, między ośrodkiem kultury i Hana Ball Park, kompleksem sportowym ze świeżo przystrzyżonym boiskiem do baseballu, piłki nożnej, koszykówki i kilkoma kortami tenisowymi. Wcześniej Seichan zwróciła uwagę na znak zapowiadający, że wieczorem odbędzie się turniej małej ligi. zaproponowała, żeby wieczorem kupić hot dogi i oglądać rozgrywki.

Gray wyobraził sobie położenie parku.

W linii prostej leżał niespełna pół kilometra od czerwonej plaży.

Wyobraził sobie zamieszanie panujące na meczu.

Muzyka, okrzyki, światła...

– Weź motor – powiedziała Seichan. – Musisz ich ostrzec.

Spojrzał w stronę domu. Wypożyczyli dwa motocykle, żeby pokonywać szlaki zbyt wąskie dla dwuśladowego pojazdu.

Zerknął na Seichan, a ona wyczytała troskę z jego twarzy i zmarszczyła brwi.

– Dotrę tam o własnych siłach. Może trochę to potrwa, ale powiadomię Sigmę, każe im zmobilizować miejscowe siły szybkiego reagowania. – Znowu wyciągnęła rękę. – Idź. Zanim będzie za późno.

Skinął głową, bo wiedział, że ma rację.

Sprawdził, która godzina. Gra zacznie się za dziesięć minut. Nie zdąży na czas, ale musi zrobić co w jego mocy. Zaciskając zęby, pobiegł do wijącej się zakosami ścieżki, która prowadziła do domu.

Gdy dotarł na górę, obejrzał się i zobaczył, że Seichan stoi. Nogi jej się trzęsły, ale wciąż miała zdeterminowaną minę. Ich oczy się spotkały. Oboje znali niebezpieczeństwo, ku któremu miał pognać.

I teraz już wiedzieli na pewno: wakacje się skończyły.

## 5

Waszyngton, USA

7 maja, godzina 1.55 czasu miejscowego

Painter Crowe od miesięcy spodziewał się tego telefonu.

Kłopoty zawsze miały sposób, żeby znaleźć komandora Graya Pierce'a, więc Painter, jako dyrektor Sigmy, miał na oku błędnego agenta podczas jego długiej podróży dokoła świata. Nie mogli wyobrazić sobie ani przewidzieć tego konkretnego kłopotu.

Rój os?

Zmęczony, ale podekscytowany, przeczesał palcami czarne włosy, zatykając za ucho śnieżnobiałe pasmo. Dziesięć minut temu, po zakończeniu rozmowy z Seichan, powiadomił o niebezpieczeństwie swoich zwierzchników w DARPA i odpowiednie władze na Hawajach. Siedząc za biurkiem, zastanawiał się nad tą dziwną sytuacją; wziął sobie do serca słowa, które powiedziała Seichan, zanim się rozłączyła.

„To nie był przypadkowy akt Matki Natury. To był atak biologiczny”.

Jego uwagę przyciągnęło pukanie do otwartych drzwi. Do biura weszła szczupła kobieta. Kapitan Kathryn Bryant była jego zastępczynią. Dawno minęła północ, ale długie do ramion kasztanowe włosy miała gładko uczesane i splecione w warokcz – fryzura była równie konserwatywna, jak jej strój: granatowy żakiet, świeżo wyprasowana biała bluzka i czarne skórzane spodnie. Jedynym błyskiem koloru była spinka na klapie: mała żabka z emaliowanego złota. Był to podarunek od grupy wodno-łądowej, do której dołączyła podczas morskiej operacji zwiadowczej, gdy pracowała dla wywiadu wojskowego. Jeden z uczestników misji nie wrócił. Kat nosiła spinkę ku jego pamięci.

Po okresie służby wojskowej Painter zwerbował ją do Sigmy jako analityczkę. Szybko zajęła kierownicze stanowisko i stała się niezbędną dla prowadzonych przez agencję operacji – może nawet bardziej niż niezbędna.

– Na tych wyspach rodzi się znacznie większy problem – powiedziała szorstko.

– Co masz na myśli?

Podeszła do biurka z tabletem w ręce i wskazała jeden z trzech płaskich monitorów zamontowanych na ścianach biura. Na ekranie ukazała się mapa Hawajów. Painter obrócił krzesło, żeby lepiej widzieć obraz. Trzy największe wyspy były upstrzone małymi czerwonymi kropkami.

– Nie tylko Maui została zaatakowana. – Kat podeszła i postukała w czerwoną strefę na wschodnim wybrzeżu wyspy, gdzie, jak zameldowała Seichan, doszło do ataku. – Otrzymaliśmy doniesienia o podobnych incydentach na O’ahu i Hawai’i.

Painter wstał i podszedł do niej. Miał nadzieję, że to były odosobnione zdarzenia, może akt ekoterrorystów próbujących udowodnić swoje racje.

Kat wskazała na mapie stolicę stanu, Honolulu.

– Mniej więcej w tym samym czasie, kiedy rozbiły się trzy cessen na Maui, czwarta rozbiła się w pobliżu przylądka Diamond. – Przesunęła palec na największą wyspę Hawajów. – W Hilo szpital prosi o natychmiastową pomoc. Nie są w stanie przyjąć wszystkich poszkodowanych. Zgłoszono kilka ofiar śmiertelnych.

Painter przypomniał sobie ostrzeżenie Seichan.

*To nie był przypadkowy akt...*

Wyglądało na to, że miała rację. Atak był skoordynowany.

– Na razie nie mamy żadnych wieści z Kaua’i ani z mniejszych wysp – kontynuowała Kat. – Podejrzewam jednak, że to tylko kwestia czasu. Kazałam Jasonowi monitorować wszystkie serwisy informacyjne, media społecznościowe i tamtejszą policyjną łączność radiową.

– Dlaczego akurat tam? – zastanawiał się na głos Painter. – Dlaczego Hawaje?

– Mamy za mało informacji, żeby wysuwać jakiegokolwiek przypuszczenia. – Kat przyglądała się mapie. – Ale może jednym z powodów jest odosobnienie Hawajów. Poza bezpośrednim zagrożeniem dla mieszkańców wprowadzenie agresywnego obcego gatunku może spustoszyć odizolowany ekosystem archipelagu.

Już samo to mroziło krew w żyłach, lecz Painter wiedział, że takie długofalowe troski będą musiały poczekać. Najpierw trzeba znaleźć odpowiedź na bardziej naglące pytanie.

– Z czym właściwie mamy do czynienia? Co wypuszczono na tych wyspach?

Kat obróciła się w jego stronę.

– Już rozmawiałam z entomologiem z National Zoo. Doktor Samuel Bennett jest czołowym ekspertem w tej dziedzinie, szanowanym na całym świecie. Wysłałam

mu opis przekazany przez Seichan. Sądzę, że nie ma wielu gatunków os osiagających takie rozmiary.

– Dobrze. Im pręcej się dowiemy, co to takiego, tym lepiej.

Była to jedna z kluczowych korzyści, jakie Sigma czerpała z lokalizacji pod Smithsonian Castle. Dzięki temu centrum dowodzenia miało błyskawiczny dostęp do wielu laboratoriów i ośrodków badawczych Smithsonian Institution, łącznie z National Zoo.

Z tego miejsca mogli również nawiązać szybki kontakt z pobliskimi ośrodkami władzy, tak na Kapitolu, jak w Białym Domu. Painter nie wątpił, że jego bezpośredni zwierzchnik w DARPA, generał Gregory Metcalf, już powiadomił górę i organizuje grupę reagowania kryzysowego.

Tylko że te tryby i koła wciąż poruszały się zbyt wolno.

Właśnie dlatego istniała Sigma: żeby w razie konieczności dokonywać chirurgicznych cięć. Stanowili pierwszą linię walki z chimerycznymi, nieprzewidywalnymi zagrożeniami, jakie niosły nowe technologie. W obliczu szybkiego i wielokierunkowego rozwoju nauki na całym świecie Stany Zjednoczone potrzebowały zespołu, który mógłby reagować równie szybko i sprawnie. Było to motto Sigma Force: *Zawsze jesteśmy pierwsi.*

Zadzwoiła komórka. Kat spojrzała na numer.

– Zdaje się, że nasz entomolog jest nocnym markiem. Dzwoni doktor Bennett.

– Daj go na głośnik.

Skinęła głową, stuknęła w ekran i położyła telefon na biurku między nimi.

– Dziękuję, że tak szybko pan się odezwał, doktorze Bennett – powiedziała.

– Zadzwoił do mnie asystent i powiedział, że sprawa jest pilna, co oczywiście wzbudziło moje zainteresowanie. Nie otrzymuję wielu pilnych telefonów z DARPA. Nie w moim fachu. I nie w środku nocy.

– Jesteśmy wdzięczni za chęć współpracy. – Skinęła do Paintera. – Jest ze mną mój szef.

– Tak, rozumiem. Więc o co chodzi?

– Otrzymał pan opis osy?

– Owszem. To drugi powód, dla którego tak szybko oddzwoniłem: bo od razu mogę odpowiedzieć na pani pytanie. Z podobnym pytaniem zwrócił się do mnie ktoś jakiś miesiąc temu. Chodziło o opisaną przez panią osę. Prawie osiem centymetrów długości. Czarny tułów i szkarłatne paski na odwłoku.

Painter pochylił się nad telefonem.



– Kto się z panem skontaktował?

– Ktoś z Japonii, naukowiec pracujący dla koncernu farmaceutycznego. Proszę chwileczkę poczekać. Podejdę do komputera i znajdę jego nazwisko w ostatnim e-mailu.

Gdy czekali, Kat spojrzała na Paintera i przekrzywiła głowę.

I to byłoby na tyle, jeśli chodzi o zawsze pierwszą Sigmę.

Bennett mówił, szukając informacji:

– Jak powiedziałem tamtemu badaczowi, opisany okaz nie pasuje do żadnego gatunku błonkoskrzydłych. Najbliższy byłby szerszeń azjatycki, który może osiągnąć siedem i pół centymetra długości, ale jest czarno-żółty. Druga pod względem wielkości jest osa z Nowego Meksyku, znana z tego, że poluje na tarantule. Jest granatowo-czarna i ma pomarańczowe skrzydła.

Painter skrzywił się na myśl o uzgodnieniu przez przedstawicieli tych gatunków.

– Gdybym miał okaz, mógłbym dowiedzieć się więcej – dodał Bennett. – Może to heterochromatyczny mutant któregoś ze znanych gatunków. Innymi słowy, spokrewniony genetycznie, ale inaczej ubarwiony.

Kat westchnęła.

– Niestety, wkrótce będziemy mieli mnóstwo okazów do przestudiowania.

– Oczywiście, chętnie się tym zajmę... O, mam ten e-mail! – Bennett odchrząknął.

– Ten naukowiec nazywa się Ken Matsui. Z nagłówka wynika, że jest profesorem na Uniwersytecie Cornella. Wydział toksykologii.

Painter ściągnął brwi.

– Czy nie mówił pan, że prośba napłynęła z Japonii?

– Owszem. Zdaje się, że ma grant z Tanaka Pharmaceuticals. Przesłał e-mail z ich siedziby w Kioto. Mogę wysłać państwu dane kontaktowe.

– Będziemy zobowiązani – powiedziała Kat. Podziękowała doktorowi, zakończyła rozmowę i spojrzała na szefa. – Co sądzisz?

– Najwyraźniej ktoś spotkał się z tym gatunkiem długo przed dzisiejszym atakiem. – Painter usiadł za biurkiem. – Musimy jak najszybciej porozmawiać z tym profesorem Matsuiem.

– Załatwię to. – Kat już chciała wyjść, lecz się zawahała. – A co z Grayem i Seichan?

– Zorganizowanie służb ratowniczych zajmie trochę czasu. Na razie są zdani na siebie.

– A co z facetem, którego tam mamy?

Dyrektor westchnął. Przez dziewięć miesięcy nie tylko tropił Graya, ale również rozmieszczał wzdłuż jego trasy zmieniających się agentów Sigmy. Na początku zwrócił się do męża Kat, Monka Kokkalisa, który zamykał prowadzoną z Interpolem sprawę dotyczącą szajki przemytników zwierząt; był w Paryżu, więc miał niedaleko do miasteczka na południu Francji, gdzie zaszył się Gray. Następnie skontaktował się z Tuckerem Wayne'em, przebywającym wtedy w RPA, w rezerwacie przyrody, którego był współwłaścicielem; poprosił, żeby był gotów, na wypadek gdyby Gray potrzebował pomocy podczas włości po Czarnym Kontynencie. Później sytuacja wyglądała podobnie. Było to może głupie marnowanie zasobów, ale Painter znał Graya i wiedział, że prędzej czy później znajdą go kłopoty – albo sam je znajdzie.

To była tylko kwestia czasu.

Co do Hawajów, nietrudno było znaleźć chętnych do przyjęcia tego zadania. Nikt nie miał nic przeciwko spędzeniu kilku tygodni na plaży.

Pechowo dla Graya dyżur na Hawajach pełnił pewien szczególny agent.

– Kowalski jest po drugiej stronie Maui – odezwał się cierpko Painter. – W ośrodku wypoczynkowym w Wailei. Powiadomiłem go, ale dotarcie do śmigłowca i przelot zajmie mu godzinę.

– Więc Gray i Seichan są naprawdę sami.

– Możliwe, ale na ile znam Graya, będzie robić co w jego mocy, żeby pomóc.

– Chcesz powiedzieć, że bez wahania będzie nadstawiać karku.

Uśmiechnął się krzywo.

– To robi najlepiej.

## 6

Hana, Hawaje, wyspa Maui

6 maja, godzina 20.02 czasu miejscowego

Gray, nisko zgarbiony nad kierownicą, pędził motocyklem po Hana Highway, kierując się na północ. Zignorował nakazaną prędkość, a nawet dwukrotnie ją przekroczył. Jego koszulka łopotała na wietrze. Nie miał czasu odpowiednio się ubrać. Wciąż miał na sobie spodenki kąpielowe. Przed wyjazdem włożył podniszczone buty turystyczne, które leżały na werandzie wynajętego domu.

Gdy minął sklep wielobranżowy Hasegawa, mocno wcisnął hamulce, zaskoczony widokiem szeregu czerwonych świateł tylnych. Nie chcąc utknąć w tym korku, skręcił na pobocze i pomknął wzdłuż stojących pojazdów.

Źródło zatoru szybko stało się jasne.

Przez wytłumiający kask usłyszał syreny. Przyśpieszył, czując serce łomoczące w gardle.

Czyżbym się spóźnił?

Zmartwiony, przejechał przez trawnik kościoła i skręcił w następną boczną ulicę, Hauoli Road, zmierzając ku hałasowi i błyskającym światłom. Hana Ball Park leżał kilkaset metrów dalej, przy ulicy, która prowadziła do ośrodka zdrowia. Na parkingu stał wóz strażacki wraz z dwoma ambulansami i radiowozami. Gray dojeżdżał do parku, gdy nad jego głową przeleciał żółty śmigłowiec.

Zahamował z poślizgiem, rzucił motocykl i biegiem pokonał resztę drogi. Ludzie stali na chodniku, gapiąc się na krzątanicę ratowników. Zdenerwowani rodzice prowadzili przez tłum dzieci, niektóre w strojach małej ligi. Trybuny stadionu baseballowego były pełne, ale większość kibiców stała odwrócona plecami do boiska i patrzyła przez drogę na pojazdy ratownicze.

Bez wątpienia gra została odwołana albo opóźniona z powodu całej tej aktywności.

Pobliskie boisko do piłki nożnej przemieniło się w tymczasowy teren piknikowy. Bliżej, wzdłuż Hauoli Road, stał rząd ciężarówek z lodami, hot dogami, a nawet potrawami z grilla. Z głośników ryczała hawajska muzyka, konkurując z zawodzeniem syren.

Gray przebijał się przez tłumy w kierunku parkingu ośrodka zdrowia. Chciał znaleźć kogoś, kto tu dowodził. Idąc, popatrywał w niebo. W blasku świateł nie dostrzegł śladu obecności roju. Co więcej, nikt wokół niego nie wydawał się spanikowany; ludzie byli zaintrygowani.

Skoro nie ma roju, to po co te wszystkie pojazdy ratownicze?

Spojrzał na śmigłowiec, który skręcił nad lasami za przychodnią, kierując się ku przylądkowi Ka'uiki. W snopie reflektora ukazała się smużka dymu płynąca w nocne niebo.

Gray skrzywił się na myśl o cenniejszej uderzającej w kopulaste wzgórze Ka'uiki. Teraz rozumiał, dlaczego ratownicy już są na miejscu. Zamieszanie spowodowała katastrofa trzech samolotów.

Zapewne z tego powodu odwołano rozgrywkę, ale ludzie zostali w Ball Park, żeby obserwować przebieg akcji.

Ten zbieg okoliczności mógł doprowadzić do nieszczęścia.

Śpieszył dalej, omijając tkwiące w korku auto, którego kierowca wyklócał się z kimś stojącym przed maską. Jakby dla ostatecznego zaakcentowania swoich racji, kierowca wcisnął klakson, nasilając panującą kakofonię.

Gray wzdrygnął się, słysząc niespodziewany hałas. Szedł, co chwilę spoglądając w niebo.

Czy całe to zamieszanie przyciągnie rój, czy go odstraszy?

Wreszcie dotarł do parkingu przed przychodnią. Spostrzegł krępego czarnoskórego mężczyznę o szpakowatych włosach, ubranego w niebieskie spodnie i wykrochmaloną białą koszulę z dużą odznaką. Na ramię miał zarzuconą żółtą marynarkę, pasującą do stojącej tuż obok jasnożółtej ciężarówki. Prawdopodobnie był to komendant straży pożarnej Hany. Towarzyszył mu wielki Hawajczyk w workowatym kombinezonie strażackim.

Mówili podniesionymi głosami, żeby wzajemnie się słyszeć, więc Gray zarejestrował fragment ich rozmowy.

Z radiem w ręce Hawajczyk pochylił się w stronę szefa.

– ...opuścili Watanabego do wraku. Mówi, że nie ma ciała.

– Więc pilot wyskoczył przed zderzeniem?

Strażak w kombinezonie ociężale wzruszył ramionami.

– Na to wygląda.

Gray niczego takiego nie widział, co oznaczało, że cessny nie miały załogi – leciały jak drony. Wiedział, że model TTx jest wyposażony w najnowocześniejszego autopilota, ale nie na tyle dobrego, żeby wykonać taką sztuczkę, nie bez dodatkowego podrasowania.

Podszedł bliżej, żeby przyciągnąć uwagę obu mężczyzn, i zdjął kask motocyklowy.

– Pilota nie było – powiedział.

Zmierzyli go wzrokiem od stóp do głów, lekceważąco marszcząc czoła. Nie mógł ich winić za tę reakcję. Nieogolony, ze zmierzwionymi włosami, ubrany tylko w koszulkę, kąpielówki i buty turystyczne, nie wyglądał na najbardziej wiarygodne źródło informacji. Poza tym wiedział, że miejscowi z dużym dystansem podchodzą do każdego, kto jest *haole*, czyli obcy.

– Byłem na plaży czerwonego piasku, kiedy samoloty się rozbiły – dodał szybko, żeby go nie odprawili, i wyciągnął rękę. – Gray Pierce, były ranger, obecnie komandor w DARPA.

Oczywiście minął się z prawdą, chociaż tylko odrobinę.

Komendant zignorował jego gest i patrzył na niego z cierpką miną, ale strażak w kombinezonie zmrużył oczy, wyraźnie zmieniając zdanie o stojącym przed nimi *haole*.

Gray opuścił rękę.

– Macie większy problem. Niebezpieczeństwo znacznie poważniejsze niż jakikolwiek rozprzestrzeniający się pożar. Te samoloty zostały rozbite celowo, ale zanim to się stało, wyrzuciły w powietrze roje os.

– Os? – Komendant uniósł brwi i przewrócił oczami.

Ufność, jaka jeszcze przed chwilą malowała się na twarzy strażaka, zniknęła bez śladu. Gray doszedł do wniosku, że pewnie obaj uznali, że jest na haju po wypaleniu mocnego lokalnego zioła, które tutaj praktycznie było podstawową uprawą.

Usiłował znaleźć właściwe słowa, żeby im uświadomić ogrom zagrożenia.

– To duże osy. Nigdy takich nie widziałem. Jedna użądliła kobietę, z którą byłem na plaży. Prawie natychmiast jad ją obezwładnił. – Wskazał ręką grupę chłopców w strojach małej ligi, śmiejących się i przekomarzających po drugiej stronie ulicy. – Obawiam się, że wystarczyłoby parę żądeł, żeby zabić...

Komendant stracił cierpliwość.

– Nie mamy czasu na te bzdury – rzucił, po czym zwrócił się do strażaka: – Palu, zabierz stąd tego dupka.

Mężczyzna w kombinezonie zawahał się, nawet zerknął w niebo.

– Wiem, jak to brzmi, ale musicie mnie wysłuchać. – Gray skupił się na Hawajczyku, wiedząc, że komendant go nie wysłucha. Znał z wojska upartych przełożonych, ludzi zbyt dumnych ze swoich stopni, żeby widzieli coś więcej poza czubkiem własnego nosa.

Palu wydawał się rozdarty wewnątrz.

– Szefie, może przynajmniej sprawdźmy jego historyjkę – zaproponował.

– Jakbyśmy mieli ludzi, żeby szukać wiatru...

Radio w ręce Palu zatrzeszczało. Wszyscy trzej na nie spojrzeli, gdy z głośniczka wybuchł chrapliwy wrzask.

Palu przysunął je do ust.

– Powtórz, jedyńka. – Przekrzywił głowę, słuchając, ale odpowiedź napłynęła z góry.

Rytmiczne dudnienie skierowało ich uwagę w niebo. W pole widzenia wpłynął żółty śmigłowiec z napisem STRAŻ POŻARNA na spodzie kadłuba; kołysał się jak szalony... i nagle runął w las za ośrodkiem zdrowia. Chrzęst i trzask przebiły się przez jazgot syren i muzykę. Tłum umilkł, gdy w niebo potoczyła się ognista kula.

W jej blasku przez chwilę widzieli ciemną chmurę, wysoko piętrzącą się nad lasem niczym czarna fala gotowa runąć na Hanę.

Palu spojrział na Graya, ale ten mógł tylko stwierdzić rzecz oczywistą.

– Za późno. Już tu są.

# WOJOWNICZKA

Potęźnie bijąc czterema skrzydełkami, wojowniczka leciała na czele roju. Jej ostrzegające brzęczenie niosło się do innych, gdy oceniała zagrożenie i ukształtowanie terenu. Rzędy przetchlinek – maleńkich otworków wzdłuż tułowia i odwłoku, przez które oddychała – wibrowały ze złością, wyrzucając świszczący krzyk do jej kasty.

Wojowniczki tworzyły straż przednią; porozumiewały się za pomocą dźwięku i zapachu. Wszystkie miały wyciągnięte do przodu, kołyszące się czułki, badające zapachy niesione wiatrem.

Słodycz...

Ciało...

Sól...

Dzieliły się tym, czego się dowiedziały.

Gdy czekała z innymi, zgięła czułki, tkając w mózgu mapę zapachów. Coraz wyraźniej czuła źródło pokarmu dla roju. Wznosił się przed nią obłok woni.



Melanż zapachów podsycił jej głód, co z kolei spowodowało uwolnienie hormonów agresji. Skurcz mięśni w odwłoku sprawił, że z rowków po obu stronach żądła wysunęły się ostre kolce, ostrząc jej broń.

Ostatni raz machnęła czułkami i skupiła się na źródle rokosznego aromatu.

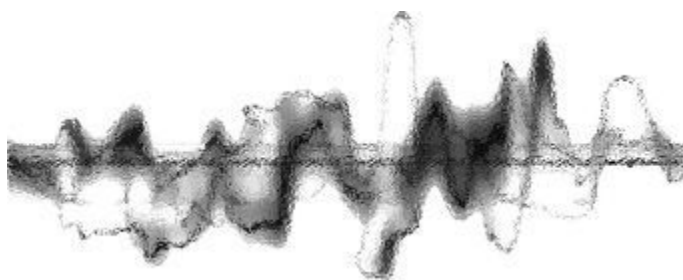
Instynkt kazał jej nim zawładnąć.

Jej siostry czuły to samo.

Wysyłając sygnały jedna drugiej, jak jeden mąż runęły z czoła roju, nurkując w kierunku źródła. Gdy opadały, zwarły szyk, tworząc ciemną strzałę wymierzoną w cel.

Inne zmysły pobierały informacje, uzupełniając to, co wojowniczką już wiedziała.

Duże błony na pustych wgłębieniach po obu stronach jej głowy wibrowały, wprawiane w ruch przez miriady dźwięków, które przebijały się przez mgłę zapachów. Wściekłe brzęczenie roju płynęło do przodu i wracało z kolejnymi szczegółami o leżącym przed nimi terenie. Z każdym ruchem skrzydeł dowiadywała się coraz więcej i dzieliła z innymi, jak one z nią. Struktury i kształty zbudowane z dźwięku i echa zaczęły się zespalać.



Gdy pędziły w dół, stała się wojowniczką i armią, jednocześnie jednostką i rojem. Namierzyła źródło woni. Napędzana przez stary instynkt terytorialny, nie pozwoli, żeby cokolwiek ją zatrzymało. Wydrukowana w kodzie DNA pamięć genetyczna wymazała strach. Jej pradawne siostry powalały większych wrogów niż każdy, kogo dotąd spotkała w tym nowym kraju.

A jednak gotując się do bitwy, wezwała więcej zmysłów do pomocy.

Dwoje dużych czarnych oczu – każde złożone z kilku tysięcy heksagonalnych faset – badało to, co miała przed sobą. Chłoneła kolory i kształty, chociaż jej zmysł wzroku wyewoluował w jednym celu: wykryć ruch.

I wykrywała każde drgnienie, śmigając przez całun aromatów i odorów. Wszystko było w ruchu, ale jej mózg analizował kierunki i prędkość w tym chaosie. Pozwalał uszeregować zagrożenia.

Ignorowała to, co uciekło.

Nie stanowiło bezpośredniego zagrożenia.

Wiedziała, że musi rozprawić się ze wszystkim, co tarasowało jej drogę, rzucało wyzwanie jej dominacji. Jej skrzydła rozmyły się w smugę, napędzane przez agresję, gdy mknęła do celu.

Ale oczy wypatrywały największego zagrożenia.

Jej uwagę przyciągnął ruch – potok ruchu w jej stronę.



Skupiła ją na zbliżającym się pojedynku, doprowadzając swój gniew do wrzenia. Obraz rywala przebił się przez szum informacji odbieranych przez zmysły. Wciąż był to niematerialny cień.



Rzuciła się w jego stronę, wciąż dostrojona do innych wojowniczek. Jej czułki wychwyciły sygnał bólu, gdy jedna z jej kasty została stratowana. Inne natychmiast, przyciągane przez śmierć, pomknęły szlakiem feromonów; zamierzały pomnożyć swoją siłę i truciznę, żeby zniszczyć to, co zabiło ich siostrę.

Zignorowała zdarzenie, koncentrując się na zmierzającym prosto ku niej niebezpieczeństwie.

Obraz rywala stał się wyraźniejszy.



Oceniła sylwetkę i wyszukała najlepsze miejsce do przypuszczenia ataku. Czowała słony zapach krwi i potu, ale instynkt kierował ją do dwutlenku węgla buchającego z oddechu. Eony doświadczenia nauczyły ją, żeby uderzyć w źródło i tam wsączyć truciznę.

Podwinęła odwłok i przygotowała żądło.

Zagrożenie pędziło w jej stronę.

Opuściła głowę, machnęła skrzydełkami i zanurkowała, przypuszczając atak.



# 7

Hana, Hawaje, wyspa Maui

6 maja, godzina 20.22 czasu miejscowego

W biegu zatrzasnął osłonę kasku motocyklowego – w ostatniej chwili, jak się okazało. Duża osa uderzyła w nią tak mocno, że polikarbon zadźwięczał. Owad przywarł sześcioma odnóżami, dwa centymetry od jego nosa. Skrzydełka rozmywały się we wściekłą smugę. Uzbrojony odwłok dźgał osłonę z taką siłą, że było słycać uderzenia, jakby zdesperowany dzięcioł kuł pień drzewa.

Gray przez chwilę patrzył, robiąc zezą, oceniając wroga z bliskiej odległości.

Na chwilę sparaliżował go głęboko zakorzeniony strach, jakby coś pradawnego w jego kodzie genetycznym reagowało na zagrożenie. I może tak było. Kiedyś czytał, że fobie mogą zmienić ludzkie DNA przez epigenezę, przekazując lęk z pokolenia na pokolenie jak instynkt przetrwania w środowisku śmiertelnie groźnych drapieżników.

Zadrżał na widok długiego niemal na centymetr ostrego żądła, które tłuło w osłonę.

Zanim zdążył się ruszyć, gruba rękawica uderzyła w kask i strąciła osę.

– Już!

Odwrócił się i zobaczył strażaka Palu stojącego ze srebrnym kocem.

– Okryj się i znajdź sobie kryjówkę!

Gray zarzucił na ramiona lekki koc i zacisnął go pod szyją. Koc sięgał tylko do kolan i nie osłaniał łydek, ale był lepszy niż nic.

Palu zdążył włożyć pozostałe elementy ubrania bojowego. Poza żółtymi spodniami, kurtką i kaskiem miał chroniącą przed ogniem kominiarkę z autonomicznym aparatem oddechowym, który zasłaniał prawie całą twarz. Ciągnąc na ramieniu biały wąż, drugą ręką wskazał w kierunku ośrodka zdrowia.

– Ruszaj! – zawołał.

Gray spojrział w tamtą stronę. Komendant straży siedział w samochodzie, trzymając radio przy ustach. Jego głos dudnił z wnętrza pojazdu.

– Natychmiast się schronić! Gdzie tylko można! W samochodach, domach, ośrodku zdrowia. Opuścić otwartą przestrzeń!

Ostrzeżenie padło za późno. Ludzie biegali we wszystkie strony. Wybuchło pandemium podkreślane przez ryk hawajskiej muzyki z głośników na stadionie. Do chóru dołączyły piski, przekleństwa i krzyki.

Obok Graya przebiegł ojciec z dziewczynką na ramieniu, odganiający ścigające go osy. Dziecko szlochało ze strachu i bólu po użądleniu; miało dużą czerwoną pręgę na policzku. Mężczyzna wpadł na auto i jakiś dobry samarytanin odważył się otworzyć tylne drzwi i ryknął, każąc im wsiadać.

Podobne sceny rozgrywały się wszędzie wokół. Domy i sklepy przyjmowały ludzi, ale zbyt wiele osób wciąż miało się po parku i na ulicach. Ciała padały na chodnik. Rodzice kulili się nad dziećmi, osłaniając je, atakowani przez osy. Strażacy, policjanci i ratownicy próbowali pomagać, ciągnąc w bezpieczne miejsce każdego, kogo mogli, i cierpiąc za swoje starania. Było ich zbyt mało, żeby nieść skuteczną pomoc.

Co nie znaczy, że się poddawali.

– Ruszaj! – rozkazał Palu, opuszczając na wysokość bioder prądownicę węża połączonego ze zbiornikiem wozu strażackiego.

W głębi ulicy inny strażak podłączył wąż do hydrantu, który trzeci ratownik odkręcał wielkim kluczem. Nagle trysnęła woda. Strażak machał dyszą, próbując strącić rój strugami wody. Ale było to jak porywanie się z motyką na słońce.

W Grayu narastała zimna pewność.

Muszę zapewnić im więcej czasu, pomyślał.

Chwycił Palu za ramię i wskazał zbiornik wozu strażackiego.

– To system CAF?! – krzyknął przez osłonę kasku.

Palu przytaknął.

Gray przypuszczał, że wóz jest wyposażony w ciśnieniowy system wytwarzania gęstej piany do walki z ogniem.

I miał nadzieję, że nie tylko z ogniem.

– Za mną!

Gdy się odwrócił, strząsnął osy ze srebrnego koca. Zdawało się, że odbijający światło materiał dezorientuje owady.

Miejmy nadzieję, że to się nie zmieni.

Ruszył Uakea Road do motocykla. Modlił się o powodzenie swojego planu... i o to, by wąż Palu był dostatecznie długi.

Zerknął przez ramię i zobaczył, że Hawajczyk dotrzymuje mu kroku, zapierając się nogami, żeby ciągnąć ciężki biały wąż.

Gray przyśpieszył, zostawiając Palu, wierząc, że ten jakoś sobie poradzi. Dotarł do rzędu pojazdów zaparkowanych wzdłuż Hauoli Road i podszedł do tego z hawajskimi lodami. Był szczelnie zamknięty, pełen dorosłych i dzieci.

– Już nikt się nie zmieści! – krzyknął właściciel przez siatkowe drzwi. Siatka była dość gęsta, żeby zatrzymać wielkie osy, które próbowały przegryźć cienki drut i wdrzeć się do środka.

– Nie szkodzi – wydyszał Gray i podszedł do rozsuwanego okna. – Niech pan mi poda butelki z syropem.

– Co?

– Ale już!

Spojrzał na leżące kilka kroków dalej upuszczone lody. Pokrywała je masa os.

Okienko się rozsunęło i ktoś podał mu butelkę syropu jagodowego. Gray rzucił ją jak koktajl Mołotowa. Butelka przeleciała wysoko nad pobliskim ogrodzeniem i rozbiła się na asfalcie pustego kortu tenisowego.

Odwrócił się w stronę ciężarówki.

– Więcej!

Ludzie podawali mu butelkę po butelce, a on je rzucał. Jego wysiłki szybko zostały nagrodzone. Osy, przyciągane zapachem cukru, zaczęły się gromadzić na korcie. Nawet te pełzające po siatkowych drzwiach zrezygnowały z próby wgryzienia się do środka i odleciały w kierunku łatwiejszego łupu.

Gray miał nadzieję, że jego podstęp się uda. Kiedy był dzieckiem, natrętne szerszenie, osy i pszczoły bywały plagą niezliczonych rodzinnych pikników. Pamiętał, jak ojciec kiedyś połknął osę, która wpadła do puszki z piwem. Przypuszczał, że te stworzenia nie różnią się od swoich mniejszych kuzynów.

Kto nie lubi deserów?

Nie wiedział, ile os zmieni kierunek, ale każda odciągnięta od atakowania tych, którzy zostali na zewnątrz, da ratownikom więcej czasu na udzielenie pomocy potrzebującym.

– Nie mam więcej! – krzyknął właściciel lodziarni na kółkach, przyciągając jego uwagę.

Gray pokiwał głową i podszedł do stojącego kilka kroków dalej Palu.

– Zaczekaj, aż rój się zgromadzi... wtedy daj im popalić.

– Jesteś *lolo buggah* – powiedział Palu w wyspiarskim żargonie. Prawdopodobnie była to obelga, ale szeroki uśmiech sugerował, że wielki mężczyzna jest pod wrażeniem. – A teraz zabieraj *okole* w bezpieczne miejsce.

– Jeszcze nie. – Gray spojrział na sunące wysoko grube macki os.

Może niektóre z tych łajdaczek nie są łase na słodczyce.

Skulił się w srebrnym kocu i pobiegł do następnej ciężarówki z wymalowanym na burcie tańczącym hot dogiem. Powtórzył to samo co wcześniej, tym razem ciskając rozdarte paczki frankfurterek na pobliskie boisko do koszykówki.

Gdy rzucił ostatnią, na prawo od niego wystrzelił wielki pióropusz białej piany. Zobaczył, że Palu klęczy na kolanie, z dyszą wycelowaną w kierunku kortu tenisowego. Strażak zalewał krążące w powietrzu osy, pokrywając je pianą, aż spadały na gęsty dywan tych, które ucztowały wśród potłuczonych butelek syropu.

– Radzę sobie, brachu! Idź!

Gray się zastanawiał, co jeszcze zrobić, ale zapomniał o wszystkim, gdy osa użądliła go w łydkę. Cofnął się, jakby to mogło mu w czymś pomóc. Druga lanca bólu pomogła mu odzyskać rozsądek. Zdrapał osę butem i na nią nastąpił, co chyba ją tylko rozdrażniło. Musiał trzaskać obcasem, żeby rozgnieść owada na chodniku. Wreszcie usłyszał satysfakcjonujący chrzęst.

W tym czasie druga noga stała się wieżą ognia.

Pokuśtykał ulicą, ale osy albo spostrzegły, że jest w kiepskim stanie, albo przyciągnął je zapach zmiążdżonej towarzyszki, bo rzuciły się za nim. Kask dźwięczał od uderzeń i Gray czuł, jak owady bombardują srebrny koc.

Ból sięgnął do biodra, jeszcze bardziej ograniczając mu swobodę ruchów. Gray zasysał powietrze przez zaciśnięte zęby. Oczy zaszyły mu łzami. Cały świat stał się bólem. Chciał paść na ziemię i wrzeszczeć.

Zmuszał się jednak do kuśtykania, zmierzając ku szklanym drzwiom ośrodka zdrowia. Wydawały się nieprawdopodobnie dalekie...

Nigdy ci się nie uda.

Z każdym pełnym udręki krokiem stawał się coraz bardziej o tym przekonany. Stracił władzę w prawej nodze. Przechylił się i oparł o maskę forda taurusa. Ludzie patrzyli na niego ze współczuciem, ale nie mogli go przyjąć do zatłoczonego auta.

Brak miejsc w gospodzie.

Odbił się od maski, żeby podjąć mozolną wędrówkę ku ośrodkowi. Zbyt długo miał odsłoniętą rękę. Zanim ją schował pod kocem, na nadgarstku wylądowała osa.

Wprawdzie ją strząsnął, zanim zdążyła go użądlić, ale stracił i tak już chwiejną równowagę.

Upadł, wymachując rękami, co tylko przyciągnęło jeszcze więcej os.

Chciał zwinąć się w kłębek i ukryć pod kocem, gdy nagle coś uderzyło go w plecy i przez kilka sekund toczył się po chodniku.

Sapnął, gdy zrobiło mu się biało przed oczami. Nabrał głęboko powietrza i dopiero wtedy zrozumiał, że osłona kasku jest pokryta pianą, podobnie jak większość ciała. Palu musiał pośpieszyć mu na ratunek. Ktoś złapał go w pasie i postawił na nogi.

Gray przetarł osłonę.

To Palu go podtrzymywał.

– Idziemy!

Gray nie czuł potrzeby zgłaszania sprzeciwu.

Strażak na wpeł go niósł, drugą ręką wciąż obsługując prądownicę. Gdy przechodzili przez boisko do koszykówki, polał pianą osy obżerające się frankfurterkami.

Nagle wąż prychnął. Łuk piany zamienił się w ciekącą strużkę.

Zbiornik był pusty.

Palu rzucił wąż i mocniej chwycił Graya, szykując się do biegu. W tym momencie rozległ się nowy hałas.

Ostre uporczywe szczekanie.

Przyciągnęło ich uwagę w lewo. Przestraszony terier przyczał się obok bazy domowej na boisku do baseballu. Czerwona smycz ciągnęła się do chłopca leżącego na boku pod ogrodzeniem. Malec miał odgiętą do tyłu głowę, w kącikach jego ust pieniała się ślina. Ręce i nogi podrygiwały konwulsyjnie.

Miał wstrząs anafilaktyczny.

Gray rzucił się w tamtą stronę, ale drogę blokowała wysoka siatka osłaniająca. Będą musieli ją okrążyć, żeby dotrzeć do dziecka. Takie opóźnienie mogło oznaczać jego śmierć, ale musiał zaryzykować.

Palu chciał go powstrzymać – może też rozumiał daremność próby ratunku – lecz w końcu zaklął i pośpieszył za nim do odległej o piętnaście metrów bramy.

Nie zdążymy na czas, pomyślał Gray.

Kończyny chłopca już znieruchomiały, a szczekanie psa przeszło w żalospowyt.

Gray próbował się śpieszyć, ale adrenalina i desperacja nie łagodziły przejmującego bólu. Osy bombardowały ich przy każdym kroku. Gołe nogi miał pokryte

pianą, jednak zdeterminowany owad przebił się przez tę ochronną warstwę i użądlił miękkie ciało pod lewym kolaniem.

Wybuch nowego bólu zmusił Graya do krzyku.

U jego boku Palu też krzyknął i klepnął się w brzuch. Osa znalazła drogę pod strażacką kurtkę. Spanikowany, puścił Graya, rozpiął ją i strząsnął owada z piersi, ale ból rzucił go na rękę i kolana.

Teraz obaj leżeli na ziemi. Grayowi trzęsły się ręce i nogi, pokonane przez truciznę. Spojrzał na chłopca. Podchwycił rozpaczliwe spojrzenie teriera, błagające o pomoc.

Wybacz, piesku, nic nie...

Nagle jego uwagę przyciągnął jakiś ruch na boisku. Z nieba opadł się długi kręty cień i spadł na belkę miotacza.

Gray zamrugał, próbując zrozumieć, co widzi.

Lina.

Popatrzył w górę na wiszący wysoko duży cień. Był to helikopter ze zgaszonymi światłami, zapewne dlatego, żeby nie przyciągnąć roju.

Ktoś zsunął się po linie i wylądował na ziemi. Para butów uderzyła w belkę miotacza. Wielka postać, ubrana w strój nurka z kapturem, maską i nawet butlą na plecach, wyprostowała się. Za osłoną maski porośnięta siwym zarostem twarz krzywiła się z niezadowolenia, gdy przybysz oceniał sytuację.

Gray nie miał pojęcia, skąd nagle się tu wziął ktoś, kogo znał, ale nie miało to znaczenia. Wskazał ogrodzenie i co sił w płucach wrzasnął:

– Kowalski! Bierz dzieciaka!

## Godzina 21.17

Dwadzieścia minut później Gray stał za zamkniętymi szklanymi drzwiami ośrodka zdrowia. Patrzył na następstwa ataku roju. Naliczył kilkanaście ciał leżących na boiskach. Zapewne poza zasięgiem jego wzroku było więcej ofiar.

Zjeżdżały się wozy ratownicze z ekipami w kombinezonach ochronnych. Ale sytuacja wciąż była dramatyczna. Kłębiące się ciemne wiry os nadal omiatały park i puste ulice, podczas gdy większa mroczna chmura wisiała wyżej.

Podszedł do niego Kowalski.

– Lekarz mówi, że dzieciak wydobrzeje. Psu też nic nie jest.



– Dzięki, zjawileś się w samą porę.

Gray wyobraził sobie, jak wielkolud zarzuca chłopca na ramię, a potem łapie psa za kark. Pomógł jemu i Palu dotrzeć do ośrodka kultury, gdzie grupa pielęgniarek i lekarzy nie szczędziła starań ze skąpym wyposażeniem, żeby pomóc poszkodowanym.

Kowalski już mu wyjaśnił, jak to się stało, że się tutaj zjawiał. Wyglądało na to, że Painter miał komandora na oku. Normalnie Graya wkurzyłoby takie niańczenie, nawet dyskretne, ale dziecko przeżyło tylko dzięki ostrożności dyrektora, więc raczej nie mógł narzekać.

– Zawsze musisz się pakować w kłopoty, co? – powiedział Kowalski. Zdjął kombinizon i teraz był w butach z cholewkami, długich do kolan bojówkach i koszulce firmy Tommy Bahama. Z krzywą miną wskazał swój strój. – Wybierałem się z Marią na romantyczną kolację do Four Seasons, kiedy dostałem telefon, że mam ratować ci dupę.

Wyglądało na to, że Kowalski uznał przydzielone mu zadanie za płatny urlop na Hawajach i zabrał ze sobą swoją przyjaciółkę, doktor genetyki Marię Crandall, która kiedyś pomogła Sigmie w misji. Stanowili dziwną parę, ale przecież Maria w pracy zajmowała się neandertalczykami. Najwyraźniej Kowalski był w jej typie.

– Swoją drogą, może wyszło mi to na dobre. Maria chciała pójść do knajpy, gdzie serwują surowe jedzenie. – Olbrzym pokręcił głową. – Jaki jest sens płacić w lokalu, w którym niczego nie gotują? To głupie, tyle ci powiem.

– Wygląda na to, że pasowałbyś tam idealnie.

Kowalski zmarszczył niskie czoło.

– Co przez to rozumiesz?

Przerwali rozmowę, gdy z biura wyszły dwie osoby: Hani Palu i jego dowódca, Benjamin Renard.

Palu pozbył się ciężkiej kurtki, ale zachował workowate żółte spodnie z jasnoczerwonymi szelkami. Poklepał Kowalskiego po plecach. Mogliby być braćmi, chociaż z innych matek. Obaj mieli prawie po dwa metry wzrostu i ciemne włosy ogolone niemal do gołej skóry. Ale Hawajczyk miał bardziej zaokrągloną twarz i z pewnością mniej blizn.

No i usposobieniem różnili się jak dzień od nocy.

Palu uśmiechał się szeroko i często, nawet w ponurych okolicznościach. Kowalski chodził z wiecznym marsem na czole, jakby w każdej chwili spodziewał się najgorszego.

Komendant Renard podszedł i wyciągnął telefon komórkowy w stronę Graya.

– Do pana. Dzwoni dyrektor Crowe.

– Dziękuję. – Gray wziął komórkę i odszedł kilka kroków. Nie był zaskoczony, że Painter zdołał go tu wytropić.

Podniósł telefon do ucha.

– Jak wygląda sytuacja? – zapytał.

– Miałem nadzieję, że ty mi powiesz – odparł Painter. – Przynajmniej jeśli chodzi o wydarzenia na Hawajach. Maui nie była jedynym celem ataku. Doszło Honolulu i Hilo na wyspie Hawai'i.

Gray odwrócił się ku szklanym drzwiom, próbując wyobrazić sobie zabójczy rój w głównych miastach na tych dwóch wyspach.

– Poza tym Kat podejrzewa – ciągnął Painter – że celem mogło być również miasto Lihue na Kaua'i, ale być może ocaliła je nagła ulewa z silnym wiatrem, przepędzając rój nad ocean.

– Jeśli tak, to skąd wiesz, że Lihue było celem?

– Niedaleko od miasta morze wyrzuciło na brzeg cessnę. Bez pilota.

– Cessnę TTx?

– Właśnie.

Wynikające z tego wnioski zawisły w powietrzu. Gray był zaskoczony, z jaką łatwością po dziewięciu miesiącach wpadł z powrotem w rytm relacji z dyrektorem. Wiedział też, że Painter czegoś mu nie mówi, i zaczął snuć domysły.

– Zostały zaatakowane jakieś inne miejsca na Maui? – zapytał.

– Nie, tylko Hana.

Gray rozważył ten szczegół. Na Maui istniały większe ośrodki, na przykład miasto Kahului z lotniskiem międzynarodowym i pas miejscowości turystycznych po drugiej stronie wyspy.

– Dlaczego ktoś miałby uderzać na taką miejscinę jak Hana? – zastanowił się na głos.

– To dobre pytanie.

Komandor wrócił myślą do trzech samolotów lecących w stronę brzegu, ze środkowym zmierzającym prosto ku plaży czerwonego piasku, i nagle zrozumiał.

– Chyba że wzięli na cel nie Hanę – rzucił. – Chodziło im o nas.

Dwie pieczenie na jednym ogniu.

Spojrzał przez szybę w drzwiach na ciała leżące na boiskach.

Czy oni wszyscy zmarli z mojego powodu?

– Podejrzewamy to samo – przyznał Painter. – Jeśli mamy rację, to oznacza, że ktoś wie, że tam jesteście. Ktoś, kto jest dość blisko, by wiedzieć, że byliście na tej plaży.

Gray wzdrygnął się wewnątrz.

Jeśli się dowiedzą, że przeżyliśmy...

Skierował spojrzenie na południe, tam gdzie kogoś zostawił.

Seichan...

## 8

Hana, Hawaje, wyspa Maui

6 maja, godzina 21.33 czasu miejscowego

Z werandy starego domu Seichan patrzyła, jak intruz zakrada się przez ogrodzenie i sunie po ogrodowej ścieżce. Poruszał się ukradkowo, trzymając się najgłębszych cieni, zbliżając krótkimi, błyskawicznymi skokami.

Czekała w pobliżu drzwi.

Przez cały wieczór czekała na tę wizytę.

Osunęła się na kolano. Nie chciała spłoszyć intruza.

Dotarł do schodów werandy i zniknął z jej pola widzenia.

Śmiało, już...

Jakby słysząc jej wezwanie, wskoczył na werandę i lekko wylądował na deskach. Nikły blask z przysłoniętego okna kuchni odbił się w szklistych oczach, które spojrzwały na nią ze spokojem.

– Czas najwyższy – szepnęła do gościa.

Odpowiedziało jej płaczliwe miauczenie.

Postawiła na werandzie talerz z mielonym tuńczykiem.

Czarna kotka spojrziała na poczęstunek i odwróciła łeb. Wyprężyła długie łapy, rozczapierzając pazury i udając brak zainteresowania.

– Nic więcej nie dostaniesz.

Po kolejnej chwili wahania kotka machnęła ogonem i podeszła. Obwąchała talerz i tuńczyka, po czym zabrała się do jedzenia, z początku ostrożnie, później z większym entuzjazmem.

Seichan powoli wyciągnęła rękę i jednym palcem pogładziła ją po łebku. Odpowiedział jej niski pomruk, chociaż kotka nie przerwała jedzenia. Była dzika, ale Seichan od ponad trzech miesięcy przywabiła ją coraz bliżej. Widziała jej nabrzmiałe sutki, co sugerowało, że ma gdzieś ukryty miot.

Gray beształ ją za dokarmianie bezdomnego kota; mówił o zniszczeniach powodowanych przez te zwierzęta na wyspie, o zagrożeniu dla wielu gatunków ptaków.

Nie słuchała go. Pamiętała swoje życie na ulicach po ucieczce z sierocińca w Laosie. Była równie dzika jak ta kotka i robiła co mogła, żeby przeżyć. W końcu Gildia ją znalazła i wyszkoliła, cyzelując te same umiejętności przetrwania w bardziej śmiertelnościm celu.

Patrzyła na wygłodniałą kotkę. Chociaż uwolniła się od Gildii, jej część nigdy w pełni nie uciekła od przeszłości. Dlatego karmiła bezdomne zwierzę, jednocześnie próbując ignorować głębsze motywy swoich poczynań.

Gray miał dość na głowie.

Po śmierci ojca potrzebował ucieczki od prawdziwego świata. Zakończył życie tego dumnego człowieka, oszczędzając mu cierpienia i utraty godności, i mogło się wydawać, że pogodził się z tym, ale w głębi duszy pozostał znękany. Seichan nieraz widziała, jak pustym wzrokiem wpatruje się w dal. Nigdy nie mówił o ojcu, ale duch tego człowieka krążył przy jego ramieniu. W nocy Gray często rzucał się na łóżku albo wstawał, żeby posiedzieć na werandzie.

Pozwalała mu na te prywatne chwile.

Wyprostowała się z westchnieniem i dała kotce dokończyć posiłek. Potarła ramię, próbując rozmasować mięśnie zdrętwiałe po użądleniu. Ogień w ramieniu zgasł, ale tępy ból pulsował pomiędzy oczami. Był jednak skutkiem napięcia, nie jadu.

Patrzyła na północ, w kierunku źródła swojego niepokoju.

Co cię zatrzymuje tak długo?

Wcześniej Gray zadzwonił do niej z ośrodka zdrowia w Hanie, dając jej znać, że nic mu nie jest. Był to jedyny kontakt. Przykazał, żeby została w domu, gdyż w miasteczku panował chaos. Przypuszczała, że uzgadnia działania z Sigmą w Waszyngtonie, czego potwierdzeniem było niespodziewane przybycie Joego Kowalskiego.

Mimo wszystko była zdenerwowana, spragniona informacji.

Dalekie echo syren z Hany ucichło, ale cisza, która nastąpiła, tylko podsyciła jej złe przeczucia.

Podeszła bosą do poręczy werandy. Drewno zaskrzypiało, gdy się na nim oparła. Według dozorca dom został zbudowany w połowie lat czterdziestych, mniej więcej w czasie, kiedy zamknięto ostatnią plantację trzciny cukrowej. Kryte strzechą domostwo stało sto metrów od drogi, przycupnięte na klifie wulkanicznym, wsparte

przez grube bambusowe podpory wycięte z pobliskiego lasu. Wszystkie meble były wykonane z miejscowego drzewa koa.

Przez minione senne tygodnie Gray i Seichan mieli okoliczne tereny wyłącznie dla siebie. W większości porastał je dziewiczy las, fragment Hawajów zachowany w naturalnym stanie, ale bliżej pejzaż był rajem pełnym papai i bananowców rosnących wśród strzelistych palm. W dzikich ogrodach kwitły żółte plumerie, czerwony imbir i różowe hibiskusy.

Seichan zatrzymała spojrzenie na drewnianej huśtawce zwisającej z pobliskiego mangowca. Spędzili tam z Grayem wiele godzin, zagubieni w myślach, patrząc na wydłużające się cienie późnego popołudnia.

Wciągnęła do płuc balsamiczne powietrze.

To miejsce przypominało jej dom w małej wietnamskiej wiosce. Dżungla była inna, ale cechowało ją znajome wrażenie pozaczasowości i związku z naturą. Mimo woli sięgnęła palcami do małego wisiora ze smokiem na szyi, podarunku, który dostała od matki, zanim została wyrwana z jej życia. Seichan była kochana, miłość przemieniała ich małą chatę w magiczny pałac.

Może właśnie dlatego czuła się tutaj jak w domu.

Patrzyła na huśtawkę, myśląc o palcach Graya splecionych z jej palcami, gdy razem tam siedzieli.

Dzięki niemu to miejsce stało się domem.

Krażyła po werandzie, niezdolna uciec od trwogi, od przecucia, że to wszystko się kończy. Wierzyła w jego miłość, owszem, ale nie ufała sobie, swojej zdolności do zaakceptowania uczucia. Miesiące spędzone w podróży były cudowne; nie wyobrażała sobie, że mogłaby z kimś innym przeżyć wspanialsze chwile. Tylko że ta podróż była jak sen, z którego w końcu będzie musiała się zbudzić.

I co wtedy?

Czy ich miłość przetrwa konfrontację z surową rzeczywistością? Czy w ogóle powinna przetrwać?

Kotka zamruczała, przyciągając jej uwagę.

– Nie marudź. Nic więcej nie ma...

Zwierzę stało odwrócone zadem do talerza i patrzyło na palmowy las. Głębokie warczenie zamieniło się w ciche syczenie, gdy czujnie przypadło na brzuch.

Seichan wzięła z niej przykład i przykucnęła. Odsunęła się od blasku kuchennego okna.

Ktoś tam jest.

## Godzina 21.38

Gray po raz trzeci wybrał numer. Siedział w biurze ośrodka zdrowia i korzystał z telefonu stacjonarnego, żeby skontaktować się z Seichan. Dom stał poza zasięgiem sieci komórkowej, co ograniczało możliwości.

Komandor usłyszał jeden sygnał, po czym zapadła martwa cisza.

Rzucił słuchawkę.

Wcześniej rozmawiał z Seichan, ale teraz sytuacja kryzysowa musiała spowodować przeciążenie linii. Sklął się w duchu za to, że nie zabrał w podróż telefonu satelitarneho, ale urządzenie było własnością Sigmy. Poza tym wtedy zależało mu na prywatności i nie chciał, żeby ktoś go wytropił.

Niewiele to dało.

Zerknął na Kowalskiego, który stał na korytarzu. Z telefonem czy bez, Painter miał go na oku.

Wiedząc, że się nie dodzwoni, Gray wyszedł do holu. Kowalski, który opierał się o ścianę, wyprostował się na jego widok. Trzymał w zębach zgaszone cygaro. Rosła pielęgniarka siedząca za biurkiem piorunowała go wzrokiem, jakby zachęcając, żeby spróbował je zapalić.

Gray przerwał ten impas.

– Nie dodzwoniłem się. Pobiegnę do motocykla i pojedę do domu.

– Może martwisz się bez powodu – burknął olbrzym. – A poza tym, na ile znam Seichan, to nawet jeśli wpadła w tarapaty, sama sobie poradzi.

Gray wiedział, że prawdopodobnie Kowalski się nie myli, ale wolał nie ryzykować. Jeśli on i Seichan byli celem tego ataku, miał zamiar stawić czoło wszelkim reperkusjom u jej boku.

– Zostań tutaj. – Zauważył znajomą barczystą postać przy głównych drzwiach. – Palu, czy któryś z twoich ludzi ma strój, który pasowałby na mnie? Kurtkę, może spodnie?

Strażak odgadł jego zamiary.

– Chcesz wyjść z budynku?

– Być może moja przyjaciółka ma kłopoty. Muszę pojechać do domu.

– Dobra, pojedę z tobą.

– Dzięki, ale na moim motocyklu jest za mało miejsca.

– Kto mówi, że weźmiemy twój motorek? – Palu uniósł rękę. Z palca zwisały kluczyki. – Mam coś lepszego.

Wielki Hawajczyk ruchem głowy wskazał zaparkowanego kilka metrów od wyjścia jasnożółtego SUV-a. Na bocznych drzwiach widniały słowa DOWÓDCA BATALIONU. Najwyraźniej pojazd należał do jego szefa, który obecnie był zajęty rozmową przez radio.

– Poza tym znam skrót – dodał Palu. – Dostarczę cię tam *wikiwiki*.

Gray skinął głową, z zadowoleniem przyjmując propozycję.

– No to jazda.

– Jeśli on jedzie, to ja też.

Gray drgnął, słysząc burkliwy głos za plecami. Kowalski przyszedł za nim, poruszając się zaskakująco bezszelestnie jak na kogoś tak potężnie zbudowanego.

Palu wzruszył ramionami.

– Tym lepiej.

– Świetnie. – Gray machnął ręką w stronę drzwi. – Jedziemy razem.

Kowalski na chwilę przystanął, żeby zapalić cygaro i obrzucić pielęgniarkę wyzywającym spojrzeniem, po czym we trzech pobiegli przez chmurę dymu z grilla ustawionego przy wejściu. Gryzący całun miał odstraszać wciąż brzęczące osy.

Zdawało się, że najgorszy atak się skończył. Na niebie mrugały gwiazdy. Większość roju odleciała w gęsty las deszczowy na północno-wschodnim zboczu góry Haleakala, drzemiącego wulkanu, który zajmował połowę Maui. Bezpośrednie zagrożenie przeminęło, chociaż Gray podejrzewał, że widzieli tylko wierzchołek góry lodowej.

Ale walka z tym zagrożeniem będzie musiała poczekać.

Dotarli do samochodu komendanta Renarda, forda SUV-a wyposażonego w syreny i światła na dachu. Palu wskoczył za kierownicę, a Gray zajął miejsce obok niego. Kowalski rozwalił się na tylnym siedzeniu.

Palu zapuścił silnik.

Gdy ruszyli, Gray usłyszał przy uchu znajome brzęczenie. Schylił głowę i obejrzał się: po wewnętrznej stronie szyby wspinała się duża osa.

Kowalski wyjął cygaro i niedbałym ruchem przytknął rozżarzony koniuszek do owada. Gdy osa eksplodowała ze skwierczącym pyknięciem, z powrotem wsunął je do ust.

W porządku, może jednak ten facet ma swoje zalety, pomyślał Gray, siadając wygodnie.



## Godzina 21.44

Seichan kuciała, patrząc, jak czarna kotka ucieka po schodach werandy i znika w kwitnących zaroślach. Ona nie mogła tego zrobić. Przynajmniej jeszcze nie. Musiała założyć, że niezależnie od tego, kim są intruzi, otoczyli dom.

Rozważała możliwości.

Cień albo ogień.

Gildia wbiła jej do głowy te dwa podejścia w sytuacji, gdy zostanie przyparta do muru. Cień oznaczał zachowanie spokoju, ukradkowość i stosowanie podstępów, żeby wysliznąć się z wnyków. Albo mogła rozpalić adrenalinę i przystąpić do bezpośredniego ataku, żeby rozerwać sidła.

Niestety, nie miała pistoletu, żeby wystrzelać sobie drogę. Gdy przenosili się z kraju do kraju, siłą rzeczy nie mogli przewozić broni. Podróżując jako cywile, nie byli w stanie obejść praw celnych, a zbyt krótko przebywali w poszczególnych miejscach, żeby zawracać sobie głowę nabywaniem broni na czarnym rynku.

Nie była jednak zupełnie bezbronna. Miała sztylety, noże do rzucania i doskonale wyważony chiński tasak zawinięty w skórę. Tylko jeden celnik miał zastrzeżenia do tej kolekcji. Usprawiedliwiając posiadanie takiego zbioru „sztućców”, oznajmiła, że jest szefem kuchni pracującym jako wolny strzelec, i na dowód przedstawiła podrobiony *diplôme de cuisine* z akademii kulinarniej Cordon Bleu.

Niestety, teraz noże były schowane w sypialni, a ona wolała nie wchodzić do domu, żeby się nie odsłonić.

Co nie zostawiało jej innej możliwości, jak podążyć ścieżką cienia.

Podjęła decyzję w ciągu jednej sekundy – w następnej już była w ruchu.

## 9

Hana, Hawaje, wyspa Maui

6 maja, godzina 21.45 czasu miejscowego

– Czy ktoś ją widzi?

Masahiro Ito stał na szczycie urwiska nad huczącymi falami i słuchał raportów swoich *genin*, rozlokowanych wokół krytego strzechą domu. Przybyli pięćdziesiąt minut temu pontonem, wiosłując bez świateł, i wyszli na brzeg pięćdziesiąt metrów na północ od celu, żeby nikt ich nie zobaczył ani nie usłyszał.

Przeklinał tego, kto ostrzegł ich cel. Rozkazał innym pozostać w ukryciu i czekać na powrót Amerykanina. Dziadek Masahira chciał, żeby tej nocy zlikwidowali kobietę i żołnierza.

Ale sytuacja się zmieniła. Ich cel – Eurazjatka, zdrajczyni Kage – rozplynęła się w powietrzu tuż po tym, jak zajęli pozycje. W jednej chwili karmiła kota, a w następnej zniknęła z werandy. Stracili element zaskoczenia, więc nie mogli dłużej czekać. Masahiro postanowił pozbyć się kobiety, zanim ta powiadomi partnera o zasadzce.

– Nie, *Chūnin* Ito – zameldował przez radio jego zastępca. – Nikt jej nie widzi.

Masahiro zacisnął zęby.

Pięciu ludzi było zabójcami Kage, zwerbowanymi przez jego dziadka po rozbiciu organizacji. Globalną czystkę przetrwało niewiele osób kierujących organizacją. Z tego, co Masahiro wiedział, tylko dziadek uniknął śmierci.

Bo kto zwróciłby uwagę na dziewięćdziesięcioletniego starca?

I to był błąd.

Gdy Kage przestała istnieć, dziadek go osłonił, nie ukrywając w jakiejś dziurze, ale wysyłając w blask jupiterów. Masahiro został wicedyrektorem działu badawczo-rozwojowego Fenikkusu Laboratories, firmy dziesiątki lat temu założonej przez Takashiego, a nawet członkiem zarządu firmy.

Dziadek przydzielił mu jednak obowiązek, o którym nikt z zarządu nie miał pojęcia: zbieranie *genin* – szeregowych żołnierzy Kage, tych, którzy się rozproszyli po rozbiciu organizacji. Wziął ich pod swoje skrzydła i stworzył mniejszą, ale znacznie groźniejszą grupę.

Pod kierunkiem dziadka Masahiro wzorował tę nową grupę na *shinobi*, tajemniczych wojownikach feudalnej Japonii, w późniejszych czasach zmitologizowanych i przedstawionych w fałszywym świetle pod nazwą *ninja*. Takashi był zwolennikiem dawnych zwyczajów z okresu, kiedy Japonia stała u szczytu chwały. Choć miał ponad pięćdziesiąt lat, mianował się *jōnin*, czyli przywódcą grupy. Jego wnuk otrzymał tytuł *chūnin*, czyli „średni człowiek”. Podlegali mu bezpośrednio wszyscy *genin*.

Taka struktura przez wieki sprawdzała się u *shinobi*. Masahiro, żeby doskonalić umiejętności swoich żołnierzy, sięgał nawet po niektóre elementy starożytnego szkolenia. Właśnie dlatego nosił na plecach tradycyjną katana. Miał też *kusarigama* – stalowy sierp na okręconym w talii długim łańcuchu z obciążnikiem na końcu.

Była to dawna broń *shinobi*. Idąc z duchem czasu, wzbogacił arsenał. On i jego ludzie mieli ciemnozielone stroje kamuflujące z lekkimi kevlarowymi kamizelkami, a także pistolety maszynowe Minebea 9 mm, wyposażone w tłumiki i lunetki noktowizyjne.

Każdy członek grupy uderzeniowej nosił tradycyjną *tenugui*, chustę używaną do zasłaniania twarzy, ale mogącą służyć również jako pas albo nawet podręczna lina. Masahiro podciągnął *tenugui* wyżej na nos.

Gdzie jest ta kobieta?

Sfrustrowany, wiedział, że nie może dłużej czekać.

– Ruszamy – rozkazał. – Zabić na miejscu.

## Godzina 21.47

Seichan chowała się w gałęziach stuletniego mangowca z rozpostartą na dziesięć metrów koroną, pod którą zalegały plamy głębszego cienia. Balansowała boso na wystającym konarze grubym jak jej udo.

Chwilę wcześniej przeskoczyła nad poręczą werandy, starając się nie musnąć rozklekotanej konstrukcji. Przypuszczając, że wróg ma noktowizory albo gogle

termowizyjne, wturlała się pod werandę i za pale, na których stał dom, po czym skulona pomknęła w najgłębszą część ogrodu i wspięła się na najbliższe drzewo.

Spodziewała się, że intruzi skoncentrują uwagę na domu i okolicznym terenie.

Miejmy nadzieję, że nie wyżej, modliła się w duchu.

Tkwiała nieruchomo na swojej grzędzie, bezgłośnie oddychając przez nos. Nagle usłyszała szelest liści. Ciemniejsza łata cienia wsunęła się pod rozłożystą koronę drzewa. Czekając na swoją chwilę, Seichan wypatrywała innych w najbliższym sąsiedztwie.

Nikogo.

Spróbowała ocenić rozlokowanie intruzów. Oceeniła liczbę ludzi niezbędną do otoczenia domu i uznała, że grupa liczy od pięciu do siedmiu osób.

Niedobrze, ale radziła już sobie w gorszych sytuacjach.

Tylko że wtedy była uzbrojona w coś więcej niż mango.

Musi wystarczyć.

Ostrożnie rzuciła dojrzały owoc w lewo.

Gdy postać na dole obróciła się tamtym kierunkiem, z okiem przy celowniku, Seichan sięgnęła do sznura okręconego wokół konara. Wisiała na nim huśtawka, na której spędziła z Grayem wiele leniwych godzin. Podciągała linę, nachylając deskę huśtawki.

Zanim mężczyzna się odwrócił, bezszelestnie zeskoczyła z gałęzi. W locie zarzuciła sznur na jego głowę i wylądowała obiema nogami na przekrzywionym siedzeniu huśtawki. Jej ciężar zacisnął pętlę na szyi ofiary. Balansując na desce, chwyciła głowę i dokończyła to, czego nie dokonała lina.

Kręg pękł i kończyny mężczyzny zwiotczały.

Seichan zeszła z huśtawki i zabrała jego broń.

I tyle, jeśli chodzi o taktykę cienia.

Uniosła pistolet.

Nadeszła pora na ogień.

## Godzina 21.52

Hałas od strony domu przyciągnął uwagę Masahira. Trwał atak. Słumione strzały brzmiały nie głośniejsze niż klaskanie. Opuścił pozycję na szczycie urwiska. Jego ludzie wreszcie wypłoszyli kobietę z kryjówki.

Teraz to tylko kwestia czasu...

Zapadła cisza i przez kilka sekund słyszał tylko szum fal. Potem znów wybuchły strzały, lecz z innej strony, bliżej jego pozycji.

Nagle nabrał podejrzeń. Przykucnął i dotknął mikrofonu ukrytego pod fałdami zasłaniającej usta chusty *tenugui*.

– Jak sytuacja?

Czekał z walącym sercem. Czuł, że stało się coś złego.

Potwierdziła to następna seria strzałów.

Zgłosił się Jiro, jego zastępca.

– Zdobyła broń – odparł zadyszczanym głosem zdradzającym napięcie. – Załatwiła trzech naszych.

Rozmowę przerwały kolejne stłumione pyknięcia. Masahiro usłyszał ostry krzyk. Czterech...

Furia ścisnęła mu pierś.

– *Chūnin* Ito, lepiej wycofaj się do łodzi – poradził cicho Jiro.

Zanim Masahiro zdążył odmówić, w radiu zabrzmiał głos innej osoby, zmysłowy i opanowany.

– Albo możesz na mnie poczekać – powiedziała bezbłędnie po japońsku.

Masahiro ścisnął rękojeść broni. Wyglądało na to, że kobieta ma coś więcej niż pistolet zabrany jednemu z jego ludzi.

Szydziła z niego.

– A może jesteś zbyt wielkim *koshinuke*?

Obelga go rozgniewała. Nie był tchórzem. Zorientował się, że kobieta prowokuje go do podjęcia pochopnej decyzji. Odetchnął głęboko.

– Zejdę do łodzi i zaczekam tam na ciebie, *genin* Jiro – odezwał się spokojnie.

– Rozumiem. Znajdę ją.

Rozległo się drwiące parsknięcie.

– No to się zabawimy.

## Godzina 21.56

Seichan stała zwrócona plecami do palmy, gdy rozmowa się skończyła. Miała zamknięte oczy, w ręce trzymała zdobyte radio. Usłyszała ostatnie słowa Jira wypowiedziane szeptem gdzieś po lewej stronie.

Odezwała się przez radio, żeby ich wypłoszyć albo sprowokować. Jej plan zawiódł, ale zdołała namierzyć zabójcę, który był z nią w lesie. Już doszła do wniosku, że grupa przybyła łodzią; prawdopodobnie dobili do brzegu gdzieś na północ od domu. Na południu linia brzegowa była zbyt skalista, a fale przyboju za silne.

Zastanawiała się, czy nie popędzić na plażę, zanim przywódca ucieknie na morze. Wcześniej wykorzystała zaskoczenie i znajomość terenu, żeby pokonać czterech mężczyzn, ale ostatni blokujący ją napastnik – ten nazywany Jirem – będzie ostrożny i gotowy.

Trudno.

Oceeniła, że nie zdąży w porę dotrzeć na plażę, i skupiła się na pojmaniu go żywcem. Planowała go przesłuchać; już miała przed oczami noże schowane w szafce nocnej.

Zmuszę go do mówienia.

Ruszyła w lewo; przemykała przez gąszcz bez poruszenia ani jednej gałązki. Co chwilę przystawała, żeby skorzystać z lunety noktowizyjnej. Widziała wszystko w jasnych odcieniach zieleni. Wytężyła słuch, rejestrując każdy trzask, szelest i stukot.

Zapamiętała okolicę, jak zawsze, kiedy zjawiała się w jakimś nowym miejscu. Po tak wielu latach nawyk stał się odruchem, jak oddychanie. Znała tu każdy krzak, drzewo i skałę, gdy więc zauważyła głąz między drzewami papai, czterdzieści metrów na lewo, wiedziała, że nie powinno go tam być.

Opadła na kolano za krzewem hibiskusa, wycelowała i wystrzeliła dwa pociski w tułów. Nie oderwała oka od celownika; widziała, że kule podarły materiał kamuflujący i przewróciły cel – ujawniając ramę ze skrzyżowanych gałęzi.

Przynęta.

Zmełła w ustach przekleństwo, rzucając się w prawo. Obok niej krzew hibiskusa eksplodował, siekany serią pocisków. Wylądowała na ziemi, przetoczyła się przez bark i wstała. W biegu strzeliła na oślep w kierunku przeciwnika. Nie spodziewała się, że trafi, chciała tylko, żeby zanurkował pod osłonę.

Zgrzytała zębami, uciekając. Po raz drugi go nie zlekceważy. Zrezygnowała z pomysłu pojmania żywcem przebiegłego mężczyzny. W walce z kimś takim tylko jedna gra gwarantowała bezpieczeństwo.

Zabij, bo inaczej zginiesz.

Niestety, nie udało jej się przejrzeć tej gry. Gdy obiegła garb skały wulkanicznej, po drugiej stronie znalazła czekającą postać, z bronią na wysokości jej piersi.

Wpadła w pułapkę. Została wypłoszona celowo. Od razu wiedziała, że człowiek, który przed nią stoi, to nie Jiro.

Tylko jego dowódca.

Sukinsyn wcale nie uciekł do łodzi.

W wyobraźni ujrzała jego uśmiech pod maską – gdy do niej strzelił.

## Godzina 22.02

Masahiro poczuł rozkosz zabijania.

Niestety, przedwcześnie. Kobieta wpadła w jego pole widzenia i nie zatrzymując się, wykorzystwała pęd, żeby skrócić. Zwęziła cel, wysoko unosząc ręce. Pierwsze pociski minęły jej brzuch tak blisko, że rozdarły bluzkę.

Zanim Masahiro zdążył wycelować, opuściła rękę. Skradziona broń uderzyła go w nadgarstek. Poczul taki ból, że pistolet wypadł mu z dłoni.

Na szczęście silne uderzenie sprawiło, że kobieta też straciła broń.

Patrzyli na siebie przez ułamek sekundy... i ruszyli w tym samym czasie.

Kobieta wyprowadziła sierpowego, jednocześnie kucając, żeby odzyskać pistolet. Masahiro odskoczył, by uniknąć ciosu, i chwycił rękojeść katany.

Gdy podniosła broń, wyrwał miecz z pochwy i zamachnął się, mierząc w jej twarz. Uchyliła się w ostatniej chwili – ostrze przemknęło tuż obok jej nosa.

Nie puścił krwi, ale szkoda została wyrządzona.

Wzorem *shinobi*, miał w pochwie silny środek drażniący. Dawni wojownicy do poskramiania swoich ofiar używali sproszkowanego czerwonego pieprzu; on unowocześnił metodę, stosując mieloną paprykę Naga Jolokia i wybielacz w proszku.

Efekt był natychmiastowy.

Kobieta sapnęła, gdy chmura pyłu uderzyła w jej oczy; odruchowo wciągnęła środek drażniący przez nos głęboko do płuc.

Strzeliła na oślep, charcząc i kaszląc, gdy się wycofywała.

Masahiro schował się za skałą i czekał, aż przeciwniczka opróżni magazynek. Kiedy to się stało, uniósł pistolet i ruszył w pościg. Zamierzał osobiście powalić tę zwierzynę.

Ale nawet na wpół ślepa była bardzo szybka.

Kilka kroków dalej ktoś wyskoczył z lasu.

Jiro.

Masahiro wskazał kobietę i ruszyli razem, obaj pragnąc ją zabić.

Ślepa, pozbawiona tchu, nie miała szans na ucieczkę.

## Godzina 22.04

Seichan biegła z wyciągniętymi przed siebie rękami. Łzy spływały jej po policzkach, każdy oddech palił jej płuca. Miała wrażenie, że zamiast oczu ma w czaszce dwa rozżarzone węgle.

Czuła się tak, jakby biegła przez płonący las.

Tylko że las był wilgotny i ciemny.

Wpadła na drzewo, potrącając pień ramieniem. Wchłonęła siłę uderzenia i skręciła w narzuconym przez nią kierunku, żeby utrzymać się na nogach. Upadek oznaczałby śmierć. Słyszała trzask łamanych gałęzi i tupot butów ścigających ją mężczyzn.

Przez ból i łzy skupiła wzrok na rozmytym blasku przed sobą, latarni w nocy – oświetlonym oknie domu. Musi dotrzeć do schronienia, zapewnić sobie czas na wyjęcie noży i, przy odrobinie szczęścia, przemycie załzawionych oczu.

Nie miała wyboru.

Zmuszała nogi do ruchu, biegnąc w kierunku światła. Wykorzystała oceaniczną bryzę i nachylenie terenu, żeby ją prowadziły. Drapały ją kolczaste gałęzie. Ostre wulkaniczne kamienie wbijały się w podeszwy stóp. A jednak biegła coraz szybciej, a tamci ją gonili.

Spodziewała się, że lada chwila poczuje pociski wbijające się w plecy.

Wreszcie wybiegła z lasu, chociaż krzaki i niskie gałęzie drzew próbowały ją zatrzymać. Wpadła do ogrodu. Blask kuchennego okna przyzywał, jasny jak słońce w piekących oczach.

Tak blisko...

Nagle jej świat eksplodował.

Na prawo od niej wybuchły dwie supernowe wyłaniające się z za domu, pędzące prosto na nią.

Oślepiąca przez blask, zamarła jak jeleń w światłach samochodu.

Światła...

– Seichan! Padnij! – zadudnił nieprawdopodobnie donośny głos.



Posłuchała, ufając człowiekowi, który skradł jej serce. Przebiegła kilka kroków w jasności i upadła na brzuch. Bliźniacze supernowe przemknęły nad nią. W podmuchu spowodowanym przejazdem dużego samochodu załopotiała jej podarta bluzka. Poczowała zapach spalin, gdy samochód ją minął.

Za nią wybuchły strzały.

A po chwili rozległ się głuchy łoskot ciała uderzającego w metal.

Leżała, zbyt zmęczona i obolała, żeby się ruszyć.

Trzasnęły drzwi samochodu, ktoś podszedł i ukląkł przy niej.

– Nic ci nie jest? – zapytał Gray.

– Już nic. – Przetoczyła się z jękiem, ledwie widząc jego twarz. – Załatwiliście... obu?

– Tylko jednego. W ostatniej chwili zepchnął tego drugiego z drogi.

Wyobraziła sobie tę sytuację i wiedziała, co to oznacza.

Jiro się poświęcił, żeby ocalić przywódcę.

– Kowalski rzucił się za nim, ale sukinsyn zniknął w ciemności. Nawet jeśli go nie znajdziemy, nie sądzę, żeby tu wrócił.

Seichan popatrzyła w las.

Przynajmniej nie dziś, pomyślała.

## Godzina 22.12

Masahiro płynął pontonem, oddalając się od brzegu. Okrążył wulkaniczny cypel, który odgrodził go od urwiska w pobliżu domu. Już skontaktował się z hydroplanem, żeby go zabrał z wyspy.

Z westchnieniem spojrział w stronę brzegu.

Bioatak przebiegł zgodnie z planem. Jedynym wyjątkiem była Kaua'i, gdzie nagły sztorm pokrzyżował tamtejszą operację. Na innych wyspach już się zaczęło i nic nie zatrzyma tego, co miało nastąpić.

Obrócił się ku otwartemu oceanowi.

Mimo powodzenia palił go wstyd.

Nie dopełnił wendety dziadka. Dwie osoby mające największy udział w rozbiciu Kage wciąż żyły.

I to z jego winy.

Nie zamierzał powtórzyć tej porażki; wyciągnie z niej wnioski.

Tymczasem będzie z satysfakcją patrzeć, jak Hawaje płoną – zwłaszcza że zniszczą je sami Amerykanie.

Nie będą mieli wyboru.

Kiedy prawda wyjdzie na jaw, świat tego zażąda.

Uśmiechnął się w fałdach *tenugui*.

Do tego czasu będzie z przyjemnością oglądać cierpienie.

CZĘŚĆ DRUGA  
**FAZA ROZWOJU**

$\Sigma$

# 10

Waszyngton, USA

7 maja, godzina 15.05 czasu miejscowego

Dwanaście godzin po ataku na Hawaje Kat Bryant szła przez centrum łączności Sigmy. Wysokie kubki ze Starbucksa rozgrzewały jej dłonie. Z wyjątkiem krótkiej drzemki nie spała całą noc, pobudzana przez kofeinę i adrenalinę.

Nic niezwykłego w tej robocie.

Zatrzymała się pośrodku kolistego pomieszczenia. Światła były przygaszone jak na mostku atomowego okrętu podwodnego. Wszędzie wokół technicy obsadzali stanowiska komputerowe; blask monitorów oświetlał ich twarze. Centrum pełniło funkcję cyfrowych oczu i uszu Sigmy. Informacje płynęły w obie strony, od i do różnych agencji wywiadowczych, krajowych i zagranicznych.

Kat była panią tego królestwa, pająkiem tej cyfrowej sieci.

Wszedł Painter z udręczoną miną. Z pewnością wracał ze spotkania z szefem, generałem Metcalfem z DARPA.

– Co nowego? – zapytał.

– Mamy zaktualizowany raport dotyczący ofiar.

Skrzywił usta, wyraźnie zbierając się w sobie.

– Jest źle?

– Bardzo źle. – Kat podniosła ze stołu tablet. – Na wszystkich wyspach są pięćdziesiąt cztery ofiary śmiertelne, ale ponad tysiąc osób jest hospitalizowanych, w różnym stanie, więc liczba zgonów z pewnością wzrośnie.

Painter pokręcił głową.

– I nie wiadomo, ilu poszkodowanych albo zabitych przybędzie w przyszłości, kiedy rój się zdomowi.

– Wybuchnie chaos, to pewne. Zwłaszcza że miejscowe służby ratownicze nie mają planu postępowania na wypadek takiego ataku. Wciąż go opracowują.

– Czy ktoś już się przyznał?

– Nie. Ale przypuszczam, że ci co zwykle rzucą się na to nieszczęście i spróbują przypisać sobie zasługę.

Co jeszcze bardziej skomplikuje dochodzenie, pomyślał Painter.

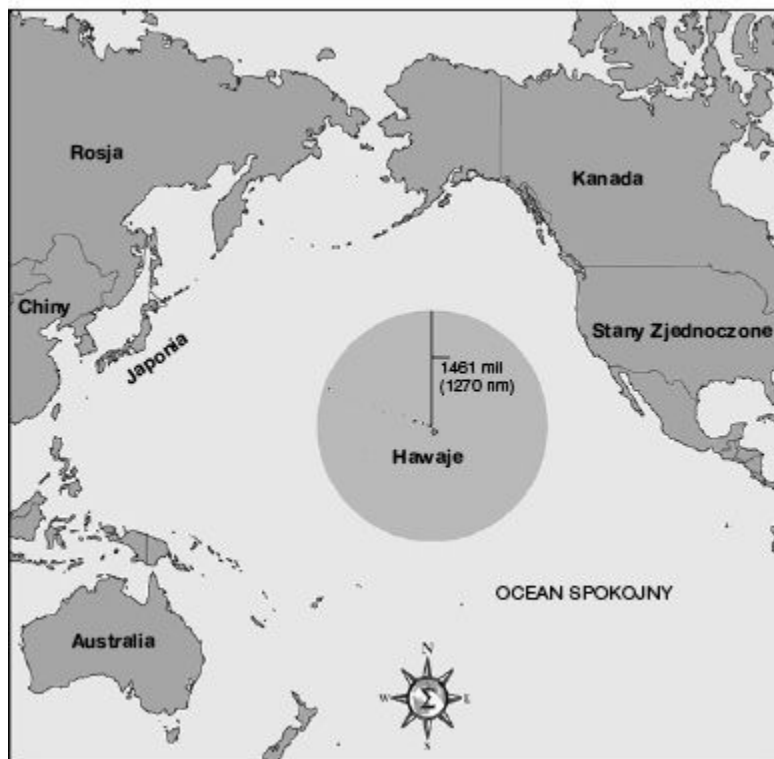
– Co wiadomo o rozbitych cessnach? – zapytał.

– Wszystkie bezzałogowe, jak drony. Wiemy, że wszystkie... to znaczy przynajmniej te, które nie spłonęły doszczętnie, zostały skradzione w różnych miejscach świata. Najwcześniejsza kradzież miała miejsce dwa lata temu.

– Więc ktoś od dawna przygotowywał ten atak.

– Na to wygląda.

Kat odstawiła kawę, postukała w klawiaturę i wczytała mapę Oceanu Spokojnego. Archipelag Wysp Hawajskich wraz z dużym obszarem Pacyfiku był otoczony przejrzystym czerwonym kręgiem.



– Maksymalny zasięg cessny TTx wynosi prawie tysiąc trzysta mil morskich. – Wskazała krąg. – Co oznacza, że wystartowały skądś w tej strefie.

Painter pochylił się nad mapą.

– Chyba że gdzieś dalej i po drodze uzupełniły zapas paliwa.

Kat odwróciła się i uniosła brew.

– Flota bezzałogowych cessen? Sądzę, że taki widok przyciągnąłby uwagę. – Spojrzała na ekran. – Nie, dam sobie głowę uciąć, że punkt wyjściowy tej napaści był gdzieś w tej strefie.

– To ogromny obszar.

– Ponad osiemnaście milionów kilometrów kwadratowych. Dwa razy więcej niż kontynentalne Stany Zjednoczone.

Painter ze ściągniętymi brwiami patrzył na ekran.

– W tym regionie muszą być setki wysp.

– Do tego trzeba doliczyć rafy i płycizny. Ale liczbę można zawęzić tylko do tych miejsc, które są dość duże, żeby zmieścił się na nich pas startowy. – Kat westchnęła.

– Co prawda nawet wtedy jest ich mnóstwo.

– Czy zapisy z radarów na Hawajach dostarczyły nam jakichś wskazówek?

– Niestety, nie. Ich systemy lądowe mają zasięg nieco ponad trzysta kilometrów. W momentach gdy radary coś wyłapały, samoloty nadlatywały ze wszystkich stron.

Jeden z techników odsunął fotel i z wahaniem spojrzał na Kat, niepewny, czy może się odezwać.

– O co chodzi? – rzuciła.

– Telefon do pani na naszym bezpiecznym kanale.

– Od kogo?

– Przedstawił się jako profesor Ken Matsui. Twierdzi, że prosiła go pani o kontakt.

Kat zerknęła na dyrektora.

– Toksykolog z Cornella. Ten, który wysłał pytanie do doktora Bennetta z National Zoo.

Painter obrzucił ją pytającym spojrzeniem.

– Chodzi ci o ducha?

– Wygląda na to, że powstał z martwych.

W nocy Kat przygotowała dossier naukowca. Według raportu z Brazylii profesor – wraz z doktorantem i dwojgiem Brazylijczyków – zaginął na morzu i został uznany za ofiarę sztormu.

– Powinniśmy odebrać w moim biurze – zasugerowała Kat.

Zabrała kubek kawy i poprowadziła Paintera do sąsiedniego pokoju. Biuro było skromne i funkcjonalne, pasujące do jej powierzchowności. Miała w nim tylko kilka osobistych drobiazgów: zdjęcia córeczek, Penelope i Harriet, i stojącą między nimi fotografię męża, Monka, z córkami na kolanach. Krępy mężczyzna wykrzywił

twarz, jakby doskwierał mu ciężar pięcio- i siedmiolatki. Z takimi potężnymi ramionami i klatką piersiową pęczniejącą pod koszulką Zielonych Beretów z łatwością mógłby żonglować tą dwójką – co, biorąc pod uwagę żywy temperament dziewczynki, od czasu do czasu było konieczne.

Kat podeszła do biurka i zatrzymała spojrzenie na zdjęciu. Monk zabrał dziewczynki na obóz w Catskills. Zamierzała do nich dołączyć, ale obecny kryzys uziemił ją w Waszyngtonie.

Chyba jestem nie tyle pajakiem sieci cyfrowej, ile uwięzioną w niej muchą, pomyślała.

Wiedziała jednak, że mąż zaopiekuje się Penny i Harriet. Z bólem musiała przyznać, że zrzuca na niego coraz więcej obowiązków. Chociaż on wcale się nie uskarżał. Z jednej strony zazdrościła Grayowi i Seichan, którzy wzięli sobie urlop, żeby razem spędzić długi czas, bez żadnych przerw; właśnie coś takiego była winna Monkowi, rodzinie. Z drugiej – wiedziała, że nigdy nie mogłaby zrezygnować z regularnej dawki adrenaliny.

Napiła się kawy.

Ani z kofeiny...

– Mam rozmówcę na dwójkę – powiedział technik przez interkom.

Odstawiła kubek i przełączyła telefon na głośnik.

– Profesorze Matsui, dziękuję, że pan oddzwonił.

– Nie mam wiele czasu. O co chodzi?

Międzynarodowe połączenie było kiepskie, ale wyraźnie usłyszała podejrzliwość w głosie rozmówcy. Zerknęła na Paintera, a on machnął ręką na znak, że ma kontynuować.

Udała, że nie wie o rzekomej śmierci profesora.

– Entomolog z National Zoo podał nam pańskie nazwisko. Kontaktował się pan z nim w związku z niezwykłym gatunkiem os.

Nastąpiła długa przerwa. W tle słychać było szept, jakby Matsui z kimś się naradzał.

Kat wymieniła spojrzenie z Painterem.

Co się tam dzieje?

– Owszem – potwierdził po chwili Matsui. – Ale chyba wszyscy wiemy, że jest za późno.

– Co ma pan na myśli?

– Odokuro został uwolniony.

– Odokuro?

– Tak nazwałem ten gatunek błonkoskrzydłych. Od japońskiego demona, *gashadokuro*. Proszę mi wierzyć, to odpowiednia nazwa. Studiowałem te okazy przez dwa miesiące. Ich cykl życiowy przekracza najśmielsze wyobrażenia.

– Chwileczkę. Badał pan ten organizm? Gdzie? W Kioto? – Kat pamiętała, że ostatnio profesor przebywał w ośrodku badawczym japońskiego koncernu farmaceutycznego.

– Już nie jestem w Kioto – odparł.

– Więc gdzie pan jest?

– Lecę na Hawaje. Odrzutowcem Tanaki. Powinniśmy wylądować za godzinę.

– Dlaczego pan tam leci?

– Żeby na własne oczy ocenić kolonię. Tylko w ten sposób będę wiedział na pewno.

– Co? – zapytała, czując zimny dreszcz strachu.

– Czy będziecie musieli zrzucić bomby atomowe na Hawaje.

## Przestrzeń powietrzna nad północnym Pacyfikiem

Godzina 9.28 czasu miejscowego

Ken Matsui patrzył przez okno samolotu HondaJet 420. Czekał, aż opadnie szok wywołany jego słowami. Dwa umieszczone nad skrzydłami silniki niosły ich ku lotnisku w Honolulu. Samolot był najszybszym odrzutowcem w swojej klasie, ale musieli zatankować na atolu Midway. Krótki przestój na ziemi sprawił, że Ken miotał się po małej czteromiejscowej kabinie, zirytowany opóźnieniem.

Nie powinienem się zgodzić na zachowanie milczenia.

Gniewnie spojrzał na smukłą sylwetkę Aiko Higashi. Kobieta twierdziła, że należy do japońskiej Agencji Bezpieczeństwa Publicznego, nadzorującej i prowadzącej śledztwa dotyczące zagrożenia narodowego, a także monitorującej lokalne grupy ekstremistyczne. Ale Ken podejrzewał, że jest kimś więcej. Nosila się jak osoba po szkoleniu wojskowym; co do tego nie miał wątpliwości. Miała prosto ściętą grzywkę i krótkie włosy. Jej granatowy kostium był równie sztywny jak jej górna warga. Od miesięcy, podczas których była jego cieniem, rzadko miała inny niż surowy wyraz twarzy.



W końcu Kathryn Bryant wróciła do rozmowy. Ken wątpił, że jest szeregowym pracownikiem DARPA. Nie chciał z nią rozmawiać, ale Aiko nalegała, że musi do niej zadzwonić. W tej chwili przysłuchiwała się rozmowie, lekko pochylona na fotelu.

– Dlaczego pan uważa, że takie drastyczne posunięcie może być konieczne? – zapytała Bryant.

– Ponieważ widziałem na własne oczy zniszczenia spowodowane przez Odokuro.

– Gdzie? Jak?

Spojrzał na Aiko. Ta ledwie dostrzegalnie skinęła głową. Już mu przykazała, że nie powinien niczego taić, jakby знаła tę kobietę i ufała jej na tyle, żeby nie mieć nic przeciwko podzieleniu się z nią informacjami.

Ken natomiast nie wiedział, komu ufać. Rodzice zaszczepili w nim zdrową podejrzliwość wobec rządu. Oboje z pierwszej ręki wiedzieli, jak łatwo można zostać przeżutym albo wyrolowanym przez tych, którzy sprawują władzę. Ojciec opowiadał mu o nieludzkich warunkach panujących za kolczastym drutem obozów dla internowanych Japończyków, gdzie przebywał w dzieciństwie. Obóz utworzono na malowniczym podnóżu Sierra Nevada, niedaleko miasteczka Independence, czyli „niepodległość”, którą to nazwę Ken uznał za ironiczną i jednocześnie przygnębiającą. Jego matka Niemka też wyniosła przykre doświadczenia z wojny w jej rodzinnym kraju. Rzadko mówiła o tamtych czasach, ale nauczyła go kwestionowania władzy i stawania w obronie ciemniejących.

Mimo głęboko zakorzenionej nieufności Ken wiedział jednak, że musi opowiedzieć swoją historię.

Zwłaszcza teraz.

– Zdarzyło się to osiem tygodni temu... – zaczął, czując, jak głos więźnie mu w gardle.

Tak niedawno?

Wydawało się, że minęły wieki.

Zobaczył w wyobraźni uśmiechniętą twarz swojego doktoranta, Oscara Hoffa. W głowie huczało mu wspomnienie strzałów. Zamknął oczy, odsuwając od siebie ból i strach towarzyszący tamtej wyprawie. Poczucie winy skręcało mu trzewia. Pięść przyciśnięta do brzucha odzwierciedlała jego wewnętrzne napięcie.

– Co się stało? – ponagliła go Bryant.

Przełknął ślinę, po czym nieśpiesznie zdał relację z wypadków na Ilha da Queimada Grande, w przeklętym miejscu, które porucznik Ramon Dias nazwał Wyspą

Węży. Gdy kontynuował opowieść, mówił coraz szybciej, czując powracającą panikę tamtego dnia. Opisał zwłoki – przemytników i węży – i atak z powietrza.

– Zrzućli na wyspę bomby zapalające, spalili wszystko do gołej ziemi. Ale ja uciekłem... i nie z pustymi rękami. Zabrałem okaz, jedną żararakę. Pod osłoną nocy popłynąłem na wybrzeże, do małej brazylijskiej wioski. Bałem się, że jeśli ktoś się dowie, że przeżyłem...

– ...to zostanie pan zabity – dokończyła rzeczowo rozmówczyni.

Jej słowa sprawiły mu zaskakującą ulgę. Wiedział, że spora część wstydu i wyrzutów sumienia ma mniej wspólnego ze śmiercią Oscara niż z jego późniejszym milczeniem. Ciężar poczucia winy nieco zelżał. Otworzył pięść i rozluźnił rękę.

Spróbował wyjaśnić swoje powody.

– Wiedziałem, że muszę wrócić z tym, co zabrałem z wyspy, i spróbować zrozumieć, co się tam stało. Dlatego zwróciłem się do kolegi, do zaufanej osoby w koncernie Tanaka. Potrzebowałem ich głębokich kieszeni, żeby zabrali mnie z Brazylii i dostarczyli w bezpieczne miejsce, zanim ktokolwiek dowie się, że żyję.

– I Tanaka zaopatrzył pana w fałszywe papiery.

Ken zerknął na Aiko. Znow skinęła głową, jak gdyby potwierdzając, że ona i jego rozmówczyni rzeczywiście się znają.

– Tak. Bezpiecznie dotarłem do Kioto, gdzie zaszyłem się w laboratorium, żeby zbadać to, co znalazłem. Ciało węża było pełne instarów tego gatunku osy.

– Instarów?

– Larw w pierwszym stadium – wyjaśnił. – Pożerały węża od środka.

Przypomniał sobie makabryczny widok, kiedy rozciął węża w laboratorium. Białe larwy wysypały się z ciała.

Ale nawet nie to było najgorsze.

– Wróćmy do tej wyspy – odezwała się Bryant. – Wygląda na to, że to odizolowane miejsce było poligonem doświadczalnym dla kogoś, kto później przypuścił atak na Hawaje.

– Prawdopodobnie ma pani rację, chociaż nie przypuszczałem, że mają takie koszarne plany. Założyłem, że na wyspie znajdowało się tajne laboratorium, w którym eksperyment wymknął się spod kontroli i dla bezpieczeństwa oczyszczono to miejsce, wszystko tuszując.

– Czy pańskie zjawienie się tam akurat wtedy było przypadkowe?

– Z początku tak właśnie myślałem – przyznał. Wówczas zbagatelizował tę zbieżność; uznał, że po prostu zjawił się w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie.

Przynajmniej tak próbował sobie wmówić.

– A teraz ma pan wątpliwości?

Milczał. Z czasem rzeczywiście narosły w nim podejrzenia. Z tego powodu czuł się odizolowany i nieufny, zwłaszcza na obcej ziemi. Podejrzewając, że został złapany w pułapkę, zaryzykował wysłanie e-maila do kolegi po fachu, entomologa w National Zoo, z zapytaniem, czy wie coś o tym gatunku os. Sprawa utknęła w martwym punkcie, ale musiał spróbować.

Kobieta znowu się odezwała.

– Powiedział pan, że koncern Tanaka Pharmaceuticals finansował większość pańskich badań, przyznając panu granty. Czy to oni zlecili panu zdobycie próbek jadu z wyspy?

– Tak – odparł z wahaniem, lecz Aiko nawet nie drgnęła powieka.

– Zastanawiam się, czy w Tanace nie podejrzewali, że na wyspie działa konkurencja, i czy nie wysłali pana specjalnie, żeby to sprawdzić.

Miał wrażenie, że rozmówczyni odczytuje jego paranoidalne lęki. Nigdy nie wyraził ich na głos, ale zachodził w głowę, czy nie trafił na tę wyspę jako pionek w grze szpiegostwa przemysłowego. W Japonii prowadzenie interesów było krwawym sportem z operacjami często przeprowadzanymi w cieniu. Czyżby ktoś w Tanace usłyszał pogłoski o tym, co się dzieje na Queimada Grande?

Czy wysłali mnie tam specjalnie, żeby zyskać pewność?

Ta myśl zmroziła mu krew w żyłach.

Ale kobieta jeszcze nie skończyła.

– Jeśli mam rację, to może oznaczać, że szpiegdy Tanaki skierowali pana na tę wyspę na podstawie informacji uzyskanych z innej firmy, prawdopodobnie japońskiej.

– Dla... dlaczego japońskiej?

– Sugeruje to wybór celu wczorajszego ataku.

Ken nagle zrozumiał jej tok rozumowania.

Dlaczego o tym nie pomyślałem?

Aiko dała mu znak, żeby podał jej telefon satelitarny.

Zawahał się, ale zrobił to.

Pochyliła się nad telefonem.

– *Kon'nichiwa*, kapitan Bryant. Mówi Aiko. Aiko Higashi. Przepraszam, że cię nie uprzedziłam, że jestem na pokładzie z profesorem Matsuim. Chciałam się przekonać, czy dojdiesz do tego samego wniosku co nasza agencja.

– Cześć, Aiko – powiedziała Bryant, ani trochę niezaskoczona obecnością oficera wywiadu. – Wyciągnięcie wniosku było dość proste, zwłaszcza że od początku miałam podejrzenia. – Jej następne słowa zaskoczyły Kena. – To może być powtórka Pearl Harbor.

– Biologiczne Pearl Harbor – zgodziła się z nią Aiko.

Ken odwrócił się do okna, gdy odrzutowiec mknął w kierunku łańcucha wysp wznoszących się przed nimi z oceanu.

Jeśli mają rację, to czy lecę prosto do strefy wojny?

Waszyngton, USA

Godzina 15.55 czasu miejscowego

Kat wyprowadziła dyrektora ze swojego biura do centrum łączności.

Zakończyła rozmowę satelitarną, która pod koniec nabrała tempa, gdy odrzutowiec zbliżał się do wysp. Poinstruowała Aiko, żeby zmienili miejsce lądowania z Honolulu na Kahului na Maui. Stamtąd mieli lecieć do Hany, żeby dołączyć do Graya i pozostałych agentów Sigmy i ocenić kolonię roju na tej wyspie.

Nie zdążyła wypytać o dokładne szczegóły zagrożenia, co ją frustrowało, ale już przygotowała plan działania. Zaczęła go omawiać z szefem.

– Aiko powiedziała, że zaraz po wylądowaniu prześle wyniki badań profesora Matsuiego nad Odokuro. Jeśli nie masz nic przeciwko, chciałabym skonsultować się z doktorem Bennettem, entomologiem z National Zoo, i usłyszeć jego zdanie.

– Zdecydowanie możemy wykorzystać jego doświadczenie. – Painter dotknął jej ramienia, gdy doszli do drzwi na korytarz. – Na ile ufasz tej kobiecie, tej Aiko Higashi?

Kat wzięła głęboki oddech.

– Znamy się na gruncie zawodowym, ale poza tym niewiele mi o niej wiadomo. Trafiłyśmy do służb wywiadowczych mniej więcej w tym samym czasie. Kiedy ja byłam w wywiadzie marynarki, ona pracowała dla japońskiego Ministerstwa

Sprawiedliwości i została zwerbowana przez Agencję Bezpieczeństwa Publicznego. Dwa lata temu zniknęła z radaru i teraz znowu się pojawiła.

– I co według ciebie to oznacza?

– Kilka miesięcy przed jej zniknięciem islamiści zabili w Syrii dwóch japońskich jeńców. Wojsko zaczęło naciskać na premiera. Ich konstytucja, uchwalona po drugiej wojnie światowej, ogranicza aktywność szpiegowską za granicą. Wielu ludzi u władzy próbuje to zmienić, żeby scentralizować i rozszerzyć japońskie operacje wywiadowcze.

– Uważasz, że Aiko może być agentką jakiejś niedawno powstałej agencji?

– Tak sędzę. Japońskie agencje wywiadowcze są podzielone, więc wyszkolenie oficerów prowadzących i agentów terenowych do przeprowadzania operacji poza granicami zajęłoby im długie lata.

– Podejrzewasz, że świadomi powolnego działania maszyny rządowej, ominęli konstytucję i w tajemnicy zaczęli ten proces?

– Ja bym tak zrobiła. – Kat wzruszyła ramionami. – Poza tym Japończycy są skryci, jeszcze bardziej niż Brytyjczycy. Wiesz, że do istnienia MI-six przyznali się oficjalnie dopiero w dziewięćdziesiątym czwartym.

– Załóżmy, że Aiko Higashi rzeczywiście należy do tajnej agencji wywiadowczej... Czy to coś nam mówi o jej wiarygodności?

Kat prowadziła Paintera przez centrum łączności do wyjścia.

– To samo co o mojej – odparła. – Jak przyjdzie co do czego, na pierwszym miejscu postawi interesy swojego kraju.

Painter pokiwał głową.

– Będziemy musieli mieć to na uwadze.

Już chciała zostawić dyrektora i odejść, ale zanim się odwróciła, technik łączności spojrział na nią przepaszająco i podniósł słuchawkę telefonu.

– O co chodzi? – spytała.

– Kolejna rozmowa. Wygląda, że pilna.

Spojrzała na zegarek. Z pewnością samolot Aiko jeszcze nie wylądował.

– Simon Wright – dodał technik.

Painter podszedł do niej.

– Kurator Castle?

Zaskoczona Kat uniosła brwi. Simon, zwany Kasztelanem, jako jedyny w muzeum wiedział o podziemnej kwaterze Sigmy.

– Czego chce? – zapytał.

Technik przeniósł spojrzenie na Paintera.

– Prosi, żeby pan przyszedł na spotkanie do Pokoju Regentów w Castle. Przekazuje prośbę w imieniu Eleny Delgado, dyrektor Biblioteki Kongresu.

Nie kryjąc zaskoczenia, Painter wziął słuchawkę.

– O co chodzi, Simonie?

Kat podeszła do szefa i usłyszała odpowiedź:

– Doktor Delgado mówi, że ma informacje dotyczące wydarzeń na Hawajach, coś z czasów ufundowania Castle.

Painter osłupiał.

– Jakie informacje? O co jej chodzi?

– Nie wiem na pewno, ale twierdzi, że wie coś o tym, co zostało uwolnione na Hawajach. I że ma ostrzeżenie z przeszłości.

– Ostrzeżenie? Od kogo?

– Od Alexandra Grahama Bella.

Hana, Hawaje, wyspa Maui

7 maja, godzina 11.05 czasu miejscowego

Stojąc na nasłonecznionym parkingu, Gray patrzył, jak na pobliskim boisku do piłki nożnej ląduje mały śmigłowiec. Drugi – ewakuacyjny – stał na boisku do baseballu. Tymczasowe namioty medyczne rozbite na stratowanej murawie zapoła łopotały w podmuchach silnej porannej bryzy.

Wszędzie wokół na ulicach stały pojazdy służb ratowniczych. Przybyły w nocy, podążając krętą, uciążliwą trasą wzdłuż poszarpanej linii brzegowej. Z megafonów bez przerwy padały rozkazy, które powiększały panujący hałas.

Zabrano już martwych, ale wciąż przeprowadzano selekcję poszkodowanych. Ludzie w poważnym stanie trafiali do różnych szpitali na Maui, a ci w krytycznym nawet na inne wyspy. Ponieważ Honolulu i Hilo też zostały zaatakowane, w szpitalach zaczynało brakować miejsc.

Ze śmigłowca wysiadły dwie osoby. Gray uniósł rękę. Przybysze go zauważyli i schyleni pod obracającymi się łopatami, ruszyli w jego stronę.

Gdy podeszli, Gray rozpoznał ich dzięki opisowi dyrektora Crowe'a.

Profesor Ken Matsui przyciskał do piersi skórzaną aktówkę, gdy śpieszył przez boisko. Toksykolog wyglądał na trzydzieści pięć lat, a jego opalona twarz i zmarszczki wokół oczu świadczyły tym, że dużo czasu poświęca na badania w terenie. Ubrany w spodnie khaki, buty z cholewkami i roboczy bezrękawnik na koszuli z długimi rękawami, wyglądał na gotowego do pracy.

Za nim szła agentka japońskiego wywiadu. Aiko Higashi była chuda jak szczapa i elegancko ubrana. Powiodła wzrokiem po panującym wokół zamieszaniu. Gray nie wątpił, że ogarnęła wszystko tym jednym spojrzeniem. Został powiadomiony, w jakim celu przysłano tu tych dwoje: ocenić poziom zagrożenia, jakie stanowi kolonia os.

Zadanie Graya polegało na dopilnowaniu, żeby zrobili to jak najszybciej – co oznaczało, że musi ich najpierw zabrać z chaosu panującego w Hanie i pokonać wszelkie biurokratyczne przeszkody, które mogłyby ich spowolnić.

Gdy profesor Matsui podszedł, podali sobie ręce, ale naukowiec patrzył na pacjenta wiezionego na noszach do helikoptera medycznego.

– Co oni robią? – spytał. – Wygląda to tak, jakby cały obszar już objęto kwarantanną.

– Na to już za późno, profesorze – powiedziała Aiko. – W tym momencie lokalna kwarantanna byłaby stratą środków, zwłaszcza że zaatakowane zostało więcej wysp. Później, jeśli ocena sytuacji rzeczywiście okaże się tak złowieszczą, jak pan przewiduje, federalne służby ratownicze będą potrzebować tych środków... a i one nie wystarczą.

Gray spojrział na nią spod zmarszczonych brwi.

– Co ma pani na myśli?

– Hawaje będą musiały zostać poddane kwarantannie, objęte blokadą. Od tej chwili nikt nie powinien opuścić tych wysp.

Gray rozważał te ponure wieści, gdy prowadził dwójkę przybyszów do jeepa. Wcześniej Painter przekazał mu opinię profesora, że jedynym rozwiązaniem może być zrzuć bomb atomowych.

Ale jeśli nikomu nie będzie wolno opuścić tych wysp...

Zatrzymał profesora przy jeepie.

– Ile czasu zajmie panu dokonanie wstępnej oceny?

– Mniej niż dzień. Lecz jeśli potwierdzą się moje najgorsze obawy, będziemy mieli nie więcej niż trzy dni, zanim staniemy w obliczu nieuchronnego. – Profesor Matsui patrzył twardym wzrokiem na Graya, dając do zrozumienia, że wie, o czym mówi. – Proszę mi wierzyć, jeśli do tego dojdzie, ci pozostali na wyspie będą nas błagać o zrzuć bomb.

Jakiś lekarz w niebieskim fartuchu usłyszał koniec rozmowy, gdy mijał ich grupę. Spojrział na nich pytająco.

Nie chcąc wywoływać paniki, Gray zapędził wszystkich do jeepa.

Palu już siedział za kierownicą. Gray potrzebował kogoś, kto zna teren, i zwerbował hawajskiego strażaka. Palu zgodził się, gdy komandor przedstawił mu powagę sytuacji. Nietrudno było przekonać tego wielkiego mężczyznę.



Gdy tylko wszyscy wsiedli, Palu ruszył na przełaj w kierunku wynajętego domu, omijając główną drogę. Jechali szlakami, a w pewnym momencie nawet prosto przez plantację kokosów należącą do miejscowego przedszkola.

Profesor Matsui przytrzymał się klamki, gdy auto podskakiwało, ale nie odrywał wzroku od zielonych bujnych łąk i rozległych połąci lasu deszczowego wspinającego się ku chmurom, które otulały szczyt góry Haleakala.

– Dobry Boże, mam nadzieję, że się mylę – mruknął do siebie.

Podobnie jak my wszyscy, pomyślał Gray.

Wreszcie dotarli do domu. Palu zaparkował przed werandą. Kowalski siedział w fotelu, z butami na poręczy, z telefonem satelitarnym przy uchu. Skinął głową do Graya, gdy wysiedli, ale nie przerwał rozmowy, którą prowadził.

– Słono za to zapłaciłem – mówił. – Powiedz sukinsynowi, że domek przy basenie jest twój. Jeśli będzie podskakiwać, wezmę jeden z tych parasoli plażowych i wetknę mu go tam, gdzie cholerne słońce nie dochodzi.

Jego dziewczyna Maria zaproponowała, że zatrzyma się w pobliskim miasteczku Wailea. Była genetykiem, więc jej wiedza fachowa mogła okazać się przydatna w czasie obecnego kryzysu.

Wcześniej taka decyzja wydawała się rozsądna, ale teraz, znając prawdziwą skalę zagrożenia, Gray pomyślał, że być może bez potrzeby naraża jej życie.

W drzwiach pojawiła się Seichan. Zmrużyła spuchnięte powieki, patrząc na nieznajomych. Zatrzymała spojrzenie na Aiko Higashi, wyraźnie ją oceniając i szacując potencjalną rywalkę. Odzyskała wzrok po ataku, ale jej skórę pokrywały siniaki, zadrapania i skaleczenia.

Gray wszedł po schodach i zatrzymał się przy niej.

– Mamy napoje i jedzenie – zwrócił się do Aiko Higashi i profesora Matsuiego. – Możemy wymienić się informacjami, gdy będziecie się posilać. Za godzinę chcę ruszyć w drogę.

Profesor skinął głową.

– Im wcześniej, tym lepiej – rzucił.

Wszyscy go poparli. Gray dokonał prezentacji.

Naukowiec uściśnął dłoń Seichan.

– Proszę mówić mi Ken. – Powiódł wzrokiem po całej grupie na znak, że pozostali też mają się tak do niego zwracać, ale zaraz potem zwrócił spojrzenie na Seichan. W ten sposób reagowała większość mężczyzn, a nawet wiele kobiet.

Gdy wchodzili do domu, Gray ostentacyjnie objął ją w tali. Dla dobra profesora.

Pożarłaby cię żywcem, przemknęło mu przez głowę.

Zaprowadził ich do wąskiego stołu z drewna koa. Wiklinowy wentylator obracał się pod sufitem, mieląc gorące powietrze. Gdy wszyscy usiedli, Gray oparł się o oparcie krzesła. Wbił wzrok w profesora.

– Z czym właściwie mamy tu do czynienia? – zapytał.

## Godzina 11.28

Ken otworzył torbę, wyjął laptop i teczki. Przewertował je, zapewniając sobie czas na zebranie myśli. Czuł na sobie badawcze spojrzenia nieznanymi i ciężar swojej odpowiedzialności.

Od czego zacząć? – zastanawiał się.

Wreszcie zdecydował się na teczkę ze zdjęciami.

– Nazwałem ten gatunek *Odokuro horribilis*. Nie wiem wszystkiego o tych owadach, ale wiem, że rzeczywiście są straszne.

Seichan poruszyła się na krześle, lekko się krzywiąc.

– Rozpoznaję słowo *odokuro* – powiedziała głosem chrapliwym po odniesionych obrażeniach. – To potwór z mitologii japońskiej.

Skinął głową.

– *Gashadokuro* jest starożytnym duchem, ogromnym szkieletem, który powstał z kości poległych na polach bitewnych. Gdy się zbliża, grzechotanie kości jest jedynym ostrzeżeniem.

Profesor znowu spojrział na teczkę, wbrew woli sięgając pamięcią do Queimada Grande. Znów widział ciemną mgłę wznoszącą się nad lasem deszczowym. Wspomnił dziwne głuchoe stukanie, które towarzyszyło pojawianiu się roju. Nawet pamiętał, jak wtedy pomyślał, że ten odgłos przypomina grzechot kości.

Ale nie tylko dlatego wybrał imię tego potwora.

– Kiedy *gashadokuro* raz cię zwietrzy – podjął – będzie na ciebie polować i nic go nie powstrzyma. Zbudowany z luźnych kości, może nawet rozsypywać się na mniejsze kawałki i przeciskać przez wąskie szpary, żeby znowu się złożyć po drugiej stronie.

– Jak rój – mruknął Gray.

Ken przytaknął ruchem głowy.

– I gdy już cię złapie – ciągnął – nie ma zmiłuj, nie ma sposobu, żeby go zatrzymać. Pożre twoją skórę, narządy i krew i na koniec doda twoje kości do własnych.

– Coś mi mówi, że nie spodoba mi się ciąg dalszy twojej opowieści – wtrącił Joe Kowalski, z jękiem odchylając się na krzesło.

A żebyś wiedział, pomyślał Gray.

– Dość historii o duchach – zarządził i zwrócił się do profesora: – Opowiedz nam o tych osach.

– Racja. – Ken odchrząknął. – Przede wszystkim ten gatunek nie pochodzi z żadnego laboratorium. Z moich pierwszych badań DNA wynika, że nie jest tworem inżynierii genetycznej. Wygląda na naturalnego drapieżnika, coś pradawnego, najpewniej prehistorycznego. Znalezione skamieniałości os pochodzące z okresu jury. Od tamtej pory osy się różnicowały i rozmnażały. Dzisiaj znamy ponad trzydzieści tysięcy gatunków, co świadczy o nadzwyczajnym instynkcie przetrwania tych owadów. Żeby przetrwać, stosowały wszelkiego rodzaju strategie i często włączały do swojego arsenału cechy i umiejętności innych organizmów.

– A ten gatunek, z którym mamy do czynienia? – zapytał Gray.

– Nigdy nie widziałem żadnego innego, który byłby równie wszechstronny i zaradny. Dla przykładu, większość gatunków os można podzielić na społeczne i samotnych łowców. – Spostrzegł ich skonsternowane miny i wyjaśnił: – Społeczne, jak szerszenie i osy pospolite, budują gniazda, mają królową, która składa jaja, robotnice zajmujące się zdobywaniem pożywienia i ochroną ula oraz trutnie służące do zapładniania. Kąsają zwykle wtedy, gdy czują się zagrożone, i zadanie bólu jest dla intruza sygnałem, że ma się wycofać.

Hawajczyk Palu potarł się po brzuchu.

– Aha, odebrałem wiadomość głośno i wyraźnie.

– Otóż to. A jeśli intruz zbyt długo ignoruje ostrzeżenie, kolejne osy mogą wpompować tyle jadu, że go uśmiercą.

Gray się skrzywił.

– Widzieliśmy to zeszłej nocy – zauważył.

– Ale osy społeczne – kontynuował profesor – są stosunkowo łagodne w porównaniu z samotnymi. – Przyłapał się na wpatrywaniu się w Seichan i przemknęło mu przez głowę, że ta kobieta może być uosobieniem opisywanych owadów. – Samotnice wypracowały unikalną i zabójczą strategię przetrwania. Nie mają gniazd ani rojów jak osy społeczne. Łowcy z tego gatunku, wszystkie samice, używają żądeł w dwóch celach. Najważniejszy jest ten, do którego pierwotnie służyło żądkło.

– To znaczy? – zapytała Seichan.

Chcąc wyjaśnić, Ken musiał podać więcej szczegółów.

– Żądło błonkoskrzydłych, do których należą pszczoły, szerszenie czy osy, początkowo było pokładełkiem, biologiczną strzykawką służącą do przebijania się przez twardą tkankę i składania pod nią jaj. Z czasem ewoluowało i zamieniło się w broń.

– Jak? – zapytał Palu, wciąż pocierając miejsce na brzuchu.

– Kiedy królowa jako jedyna w roju zaczęła składać jaja, inne samice już nie potrzebowały zbiornika nasiennego u podstawy pokładełka. Przekształciły go, wykorzystując w bardziej użytecznym celu: jako broń.

Gay zrozumiał.

– Wypełniając go jadem – dodał.

– Właśnie. Dlatego nie ma co się przejmować samcami os czy pszczół. Nie składały jaj, więc nie mają żądeł.

Kowalski ciężko wzruszył ramionami.

– Nie mam zamiaru zaglądać osie pod spódniczkę, żeby zdecydować, czy jest chłopakiem, czy dziewczynką. Jak na mnie ląduje, to ją rozgniatam.

Gray skinął ręką na Kena.

– Mów dalej. Wróc do tych samotnic. Zakładam, że skoro nie mają królowych, wciąż używają pokładełek do składania jaj.

– Zgadza się. Jak już mówiłem, żądła służą dwóm celom. Do składania jaj i do wstrzykiwania trucizny, która znieczula żywiciela. Takie uząddlenie rzadko jest bolesne. Co więcej, czasami może powodować wręcz euforyczny haj. Są gąsienice, które wpadają w taki trans, że chętnie pozwalają się zawlec do dziury w ziemi i pogrzebać żywcem. Co więcej, toksyny różnią się w zależności od gatunku. Niektóre paraliżują gospodarza. Inne mogą spowodować, że zdezorientowany żywiciel będzie naprawdę walczyć w obronie rozwijających się w nim larw. Ale wszystkie te strategie jadowe łączą jeden cel.

– Jaki? – zapytała Seichan.

– Pozostawić gospodarza przy życiu. – Ken zobaczył, że rozumieją, co z tego wynika, mimo to dodał: – Kiedy larwy się wylęgną, mają gotowy posiłek.

Zobaczył odrazę na twarzach słuchaczy.

Lepiej, żeby od razu poznali prawdę, uznał.

Przypomniał sobie kłębowisko białych larw w rozciętym ciele węża.

– A osy zrzucone na te wyspy? – zapytał Gray. – Zakładam, że skoro przybyły jako rój, to mamy do czynienia z gatunkiem społecznym.

– Nie. – Ken powoli pokręcił głową. – Ten gatunek reprezentuje obie formy.

– Co?! Jak to możliwe?

– Jak powiedziałem, to pradawny gatunek, który prawdopodobnie istniał przed podziałem os na dwa obozy. Ma cechy obu dróg ewolucyjnych. – Profesor dał swoim słuchaczom czas na to, by to sobie przyswoili, po czym podjął: – I pomimo zniszczeń spowodowanych w nocy nie widzieliście najgorszego, co mogą zrobić.

Gray się wyprostował.

– Co masz na myśli?

– Społeczne zachowanie tego gatunku ma jeden cel.

– Jaki?

– Znalezienie miejsca na rójkę.

Kowalski zmarszczył czoło.

– Co to jest rójka?

– Lot godowy i kopulacja. – Ken powiódł wzrokiem po obecnych przy stole. – Do czego nie wolno nam dopuścić.

– Dlaczego? – spytał Gray, ściągając brwi.

Profesor nie ukrywał powagi i strachu.

– Bo gdy do tego dojdzie, to miejsce przemieni się w piekło na ziemi.

# TRUTEŃ

Malutki truteń był niemal ślepy i głuchy. Wytężał dwoje maleńkich czarnych oczek złożonych z nie więcej niż tuzina fasetek, ale świat pozostawał bezbarwną plamą w odcieniach szarości. Widział szczegóły dopiero wtedy, gdy znajdował się blisko jakiegoś obiektu.

Na głowie miał dwa czułki, dłuższe niż całe ciało i zakończone kępkami delikatnych włosków. W locie machał tymi narządami zmysłów, na podstawie zapachu określając swój świat.

Usiadł na płatkę, przyciągnięty aromatem słodkiego nektaru. Zbadał czułkami źródło zapachu, wciskając głowę głębiej w kielich kwiatu. Nie posiadając silnych zuwaczek, wysunął długi języczek i ssał bogactwo ukryte w sercu płatków.

Posiadał się, zadowolony. Rój rozlokował się w gęstym cienistym lesie – chociaż on z powodu słabych zmysłów ledwie słyszał brzęczenie. Gdy opróżnił kielich, wspiął się na skraj płatkę, oczyścił odnóża z pyłku i otrzepał skrzydełka.

Musi być gotowy.

Nagle to poczuł – z początku słabo, później wyraźniej.

Feromony. Do ich wykrywania wyewoluowały jego komórki zmysłowe. Kierowany przez czułki, obrócił ślepą głowę i nie mogąc się oprzeć, poleciał w kierunku źródła. Feromony rozpały maleńkie zwoje nerwowe w jego głowie. Przyśpieszył. Szaleńczo machał skrzydłami, wypalając rezerwy nektaru w swoim ciele.

Nie dbał o to.

Podążał szlakiem zapachu. Skomplikowana mieszanina hormonów i woni przytłoczyła go, wypełniła jego szary świat, układając się w zamglony kształt.



Pędził wraz z innymi ku nagrodzie. Zderzali się, odbijali, wywalczali sobie drogę w kierunku źródła. Każdy chciał być pierwszy. Aromat napędzał go tak samo jak cukier w brzuchu. Mięśnie w jego tułowiui stanęły w ogniu.

Przed nim zapach przeradzał się w cieniistą sylwetkę.



Nagle, gdy znalazł się blisko, małe oczka dostrzegły cel... i cień się zmateria-  
lizował.



Sto razy większa od niego, krążyła, wydzielając feromony gotowości, rozpylając mgiełkę ewolucyjnego nakazu. Rzucił się wraz z innymi przez te miazmaty, żeby do niej dotrzeć. Nadciągali ze wszystkich stron, wspinali się na nią, gorączkowo się przepychali. Małeńki truteń wylądował wśród nich i uczepił się jej ostrymi pazurkami, które miał na trzeciej parze odnóży. Inni uderzali w niego, nawet złamali mu skrzydełko. Mimo to wbił pazurki głęboko w pancerz odwłoku i mocno się trzymał.

Walczyła z nimi. Miotła się i wykręcała. Wymachiwała i drapała odnóżami.

W końcu ich połączony ciężar ściągnął ją z liściastej korony na miękką ściółkę.

Małeńki truteń walczył z innymi o pozycję. Z jej boków wciąż płynęły feromony, wznoszące się jak para z dziesiątków małych porów. Upojony i przyciągany zapachem, przysunął się do najbliższej przetchlinki.

Gdy się tam znalazł, hormony sprawiły, że jego odwłok się skurczył, wysuwając narząd kopulacyjny. Wbił go przez przetchlinkę w jeden z jej niezliczonych jajowodów. Zwarty z samicą, naprężył odwłok. Wpompował w nią wszystko, aż została z niego pusta skorupka.

Nie mając nic więcej do zaoferowania, złożył swoje mocne odnóża i oderwał się od niej. W konsekwencji stracił edeagus, który utknął w jajowodzie jak korek.

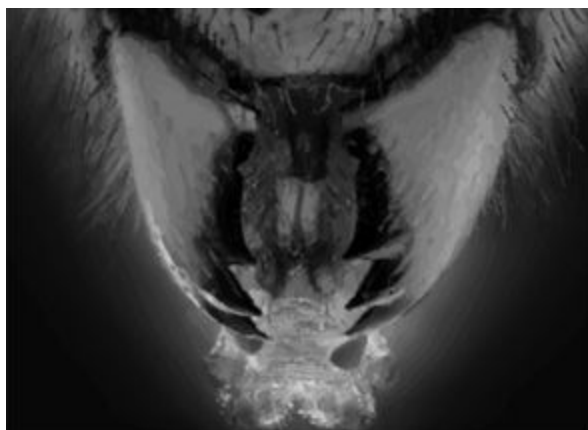
Truteń upadł na ziemię, okaleczony i ze złamanym skrzydełkiem.

Inne też odpadały od jej wielkiego ciała.

Choć nic w nim nie zostało, jego obowiązek jeszcze się nie skończył.

Z mgiełki i mroku wyłonił się cień, coraz wyraźniejszy w jego małeńkich oczach. Rozpoznał, co się zbliża.





Żuwaczki.

Wiedział, że jeszcze coś jest jej winny.

Była głodna.

## 12

Hana, Hawaje, wyspa Maui

7 maja, godzina 11.49 czasu miejscowego

Gray opierał się o kuchenny stół. Patrzył, jak profesor Matsui z teczki z napisem ODOKURO wyjmując zdjęcia różnych os – małych i wielkich – i rozkłada je na starym drewnie.

Gray próbował zrozumieć, na co patrzy.

– To kasty os jednego gatunku – wyjaśnił Ken, układając zdjęcia. – Zróżnicowanie dorosłych postaci pod względem wielkości jest fascynujące. Anatomia narzuca im konkretną rolę w roju.

Przed chwilą opowiedział im o larwach znalezionych w wężu zabranym z brazylijskiej wyspy, które hodował w laboratorium w Kioto. Mówił, jak obserwował wylinkę, gdy przechodziły kolejne fazy larwalne, aż poczwarki rozwinęły się w widoczne na zdjęciach dojrzałe osobniki.

Wskazał zdjęcie niedużej osy z długimi czułkami i ciałem pokrytym delikatną szczecinką.

– Weźmy na przykład te maleńkie zwiadowczynie – powiedział. – Ich anatomia wydaje się stworzona wyłącznie do gromadzenia danych sensorycznych i dzielenia się nimi z rojem. Przypuszczam, że są czymś w rodzaju inspektorów oceniających terytorium.

Gray przyjrzał się owadowi.

– Chyba widziałem je martwe w wodzie, kiedy uciekliśmy z Seichan z plaży.

– Naprawdę? – Ken potarł szczękę. – Może spełniły swoje zadanie, kiedy rój wylądował, i zdechły. To interesujące.

Może dla ciebie, pomyślał Gray.

Zaskoczenie profesora świadczyło jednak o tym, jak mało wiedzą o swoim wrogu. Studiując gatunek zaledwie przez dwa miesiące, Ken poczynił znaczące postępy, lecz pozostało wiele niewiadomych, zwłaszcza że prowadził badania w laboratorium,

nie w terenie. Chociaż biorąc pod uwagę makabryczny stan tej brazylijskiej wyspy, ograniczenie obserwacji do laboratorium było pewnie rozsądne.

Ken postukał palcem w następne zdjęcie. Przedstawiało przyszpiloną do tablicy osę. Obok leżała mała linijka pozwalająca ocenić wielkość owada. Opancerzone ciało w czarne i szkarłatne paski miało ponad siedem i pół centymetra długości.

– Wiem, że się z tym spotkaliście – powiedział.

Gray skrzywił się i pokiwał głową.

– Jad tej nieplodnej samicy jest rogiem obfitości toksyn – oznajmił profesor. – Niestety, nie miałem dość czasu, żeby zidentyfikować wszystkie składniki. Ale cel robotnicy jest oczywisty.

Komandor mógł się domyślić.

– Oczyszczanie drogi dla roju – wtrącił.

– I obrona terytorium lęgowego – dodał Ken.

Gray uniósł brwi.

– Wcześniej wspomniałeś o roju szukającym miejsca odpowiedniego do rójki.

– Tak. Lepiej, żebyście rozumieli, o co toczy się gra. – Profesor zaczął przeglądać zdjęcia. – Te pierwsze dwa ilustrują to, o czym mówiłem. Gatunek zachowuje się jak typowe osy społeczne. Tworzy rój z robotnicami pełniącymi różne funkcje. Niektóre są poszukiwaczkami, inne obrończyniami. Ale są również takie, które nazwałem żniwiarkami i ogrodniczkami. Mamy tu typowy dla roju podział obowiązków. – Wreszcie znalazł to, czego szukał, i podsunął Grayowi dwa zdjęcia. – Ta para jest inna. Tu zamiast jednej królowej władającej rozmnażaniem w roju zajmuje się kolektyw os samotnic. I gdy znajdą odpowiednie miejsce, zaczną się roić.

Gray przyglądał się zdjęciom. Jedno było powiększeniem maleńkiej osy, niewiele większej od zwyczajnej mrówki.

– To samiec – wyjaśnił Ken. – Będzie kopulować z większą samicą widoczną na drugim zdjęciu.

Kowalski zaświstał przez zęby.

– W porównaniu z tym robaczkiem wygląda jak lotniskowiec.

Było to trafne porównanie. Samica, jeszcze większa niż żądłące osy z ubiegłej nocy, miała prawie trzysta centymetrów.

Całe szczęście, że nikogo z nas nie ucięły te okazy, przemknęło przez głowę Kowalskiego.

Następne słowa Kena umocniły go w tym przekonaniu.

– Jest prawdziwą fabryką jaj – powiedział. – Nigdy nie widziałem czegoś takiego. Kopuluje jednocześnie z setkami trutni, żeby maksymalnie wypełnić spermatekę. Później zjada wyczerpane samce.

– Zjada? – Kowalski z obrzydzeniem pokręcił głową. – Przypomnijcie mi, żebym nigdy nie narzekał, że Maria po wszystkim chce się przytulić.

– Święte słowa, *braddah*, święte słowa – zgodził się z nim Palu.

Profesor nie zwracał na nich uwagi. Jego twarz wyrażała naukową ciekawość, nie odrazę.

– Ten gatunek bez potrzeby nie marnuje zasobów. – Wskazał odwłok samicy. – Spójrzcie na żądło. Długie na ponad centymetr. Jaja w odwłoku leżą jak na taśmociągu. Kiedy samica znajduje gospodarza, wbija tę igłę w jego ciało i wstrzykuje tysiące jaj. I spójrzcie na jej grube tylne odnóża; są nadzwyczaj potężne. Mogą o siebie uderzać, jak człowiek pstryka palcami. Kiedy osy robią to w grupie, rozlega się dziwny grzechoczący dźwięk. I głośny, mniej więcej tyle decybeli, ile osiągnąją cykady.

– Po co to robią? – zainteresowała się Seichan.

– Sądzę... sądzą, że to coś w rodzaju prymitywnego sonaru.

Zmrużyła obolałe oczy.

– Sonaru?

– Nawet współczesne osy wykorzystują taką metodę. Używają sonaru, żeby ocenić, czy w potencjalnym żywicielu nie ma larw, czy ich cel nie został sparaliżowany przez inną samicę.

– Innymi słowy – wtrącił Gray – pukają do drzwi, żeby sprawdzić, czy ktoś jest w domu.

Ken przełknął ślinę; jego spojrzenie na chwilę stało się nieobecne.

– To niepokojący odgłos. I zwiastuje początek końca.

– Dlaczego? – rzuciła Seichan.

– Bo jeszcze nie powiedziałem wam najgorszego. Nikt nie zadał mi najważniejszego pytania o ten prehistoryczny organizm.

Seichan ściągnęła brwi.

– Jakiego pytania?

Gray się domyślił.

– Jeśli ten gatunek jest taki pradawny, to skąd się wziął? Jak to się stało, że te osy żyją? – spytał.

Niestety, Ken znał odpowiedź.

– Bo nie wymarły.

Godzina 11.58

I o mało tego nie przegapiłem, dodał w myślach Ken.

Wiedział, że gdyby nie natknął się na ostatni szczegół dotyczący cyklu życiowego gatunku, już byliby skazani na zgubę. Nikt nie znałby prawdziwego zagrożenia niesionego przez kolonie tych os. Wiedział, że musi powiadomić władze o skali niebezpieczeństwa, i zaczął od tej grupy ludzi powiązanych z agencją DARPA.

Chodził wzdłuż stołu, starając się nie okazać zaniepokojenia.

– Wcześniej wspomniałem, jak sprawnie osy ewoluowały od czasu pojawienia się w jurze, jak opracowały przebiegłe strategie przetrwania, tworząc swoją unikalną niszę w ekosystemie. Niektóre gatunki wybierają tylko jeden rodzaj żywiciela, żeby złożyć jaja, natomiast inne korzystają z takich organizmów, jakie akurat są w pobliżu. Wiele współczesnych os może nawet rozmnażać się bez kopulacji. Co więcej, u niektórych gatunków nie ma samców.

– Mnie to pasuje – mruknęła Seichan.

– A co z tymi osami? – zapytał Gray.

– Odokuro wykształciły kilka strategii rozmnażania. Jak u niektórych współczesnych os, z każdego jaja wylęgają się liczne larwy. Wszystkie są multipotencjalne, co oznacza, że każda może przekształcić się w osobnika należącego do jednej z kast, w zależności od zapotrzebowania. – Wskazał ręką rozrzucone zdjęcia. – Nadal nie rozumiem, jakie sygnały środowiskowe albo stresory powodują, że larwa przeobraża się w takie, a nie inne imago. Ale ta metoda zapewnia szybkie powiększanie się kolonii. Cykl przemiany z jaja w postać dorosłą trwa około dwóch tygodni. I prawdopodobnie ten gatunek rozmnaża się bez przerwy. Oceniam, że wielkość roju będzie rosła w postępie geometrycznym, ograniczanym tylko przez ilość pożywienia i liczbę odpowiednich żywicieli dla larw. Zwykle wielkość roju jest ograniczona przez jedyną królową. Kiedy środowisko staje się wrogie, na przykład zimą, kolonia wymiera. Przeżywa tylko królowa. Zakopuje się i hibernuje w czasie mrozów, a gdy nadchodzi wiosna, wychodzi, pełna jaj, gotowa założyć nową kolonię.

Gray sposepniał.

– Ale nie w tym wypadku – zauważył.

Ken przytaknął.

– Rój Odokuro będzie po prostu rósł i rósł.

– Powiedziałeś na początku, że mamy tylko trzy dni. Dlaczego? Skoro dojrzewanie os trwa dwa tygodnie, to skąd ten termin ostateczny?

– I czy nie mówiłeś wcześniej, że te gnojki nie umierają? – wtrącił Kowalski. – Sam sporo ich rozgniotłem. Dla mnie wyglądały na zupełnie martwe.

Profesor pokiwał głową.

– Odpowiedź na oba pytania jest taka sama. To inny sposób, w jaki rój zapewnia sobie przetrwanie. Podobnie jak gatunki złożone z samych samic, Odokuro może rozmnażać się bezpłciowo. Proces zachodzi podczas stadium larwalnego, zwłaszcza kiedy osiągają trzeci instar... trzeci etap rozwoju.

– Co, jak przypuszczam, nastąpi za trzy dni – powiedział Gray.

– Omal tego nie przeoczyłem. Pozwólcie, że wyjaśnię. Po złożeniu jaja prawie natychmiast wylęga się z niego ładunek larw pierwszego instaru. Są żarłoczne i jedzą bez chwili przerwy. W ciągu jednego dnia przechodzą wylinkę i stają się drugim instarem. Proces się powtarza, a potem larwy robią coś wyjątkowego. Na tym etapie są dostatecznie małe, żeby wwiерcić się w kości żywiciela i zagnieździć w szpiku.

Kowalski zadygotał z odrazy.

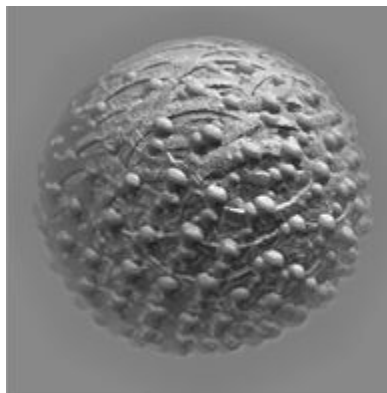
– Ta historia od razu mi się nie podobała – burknął.

– Musicie zrozumieć, że wszystkie osy przebiegle wykorzystują gospodarza do ukrywania swoich larw, nawet czasami pozwalają mu pełzać, zupełnie nieświadomego inwazji, dopóki nie jest za późno.

– Co się dzieje, kiedy larwy znajdują się w kościach? – zapytał Gray.

– Z początku myślałem, że tylko żywią się bogatym szpikiem, kiedy jednak obejrzałem tkankę pod mikroskopem, znalazłem pozostawione w niej dziwne resztki. Byłem gotów je zignorować jako odchody larw, ale drobiny były zbyt regularne i liczne. Proszę, pokażę.

Ken przewertował zdjęcia, znalazł to z mikroskopu elektronowego i puścił je w obieg.



– Dla mnie wygląda jak jakieś dziwne jajo – powiedział Palu. – Pokryte mnóstwem pęcherzy.

Gray zmrużył oczy, patrząc na zdjęcie.

– Co to jest?

– Zasadniczo Palu ma rację – odparł Ken. – To wysuszona cysta, wielkości mniej więcej jednej dziesiątej ziarnka ryżu. Jest pełna pęcherzyków. Zawiera ich ponad tysiąc. W każdym pęcherzyku znajduje się miniaturowy genetyczny klon trzeciego instara, różniący się od niego tylko maleńkimi guzkowatymi pazurkami.

Pokazał im zdjęcie.



– Pamiętajcie, jak mówiłem, że osy czasami przyjmują strategię innych organizmów? – Postukał w zdjęcie. – Oto przykład.

– Nie rozumiem – przyznał się Gray. – Co to za strategia?

– Słyszeliście o niesporczakach?

Pokręcili głowami.

– Wyglądają podobnie do tego. Czasami są zwane „niedźwiedziami wodnymi” z powodu pulchnego wyglądu, ale zasadniczo są mikrozwierzętami, mającymi niewiele ponad pięć setnych milimetra długości.

– A co mają wspólnego z tymi osami? – zapytał Gray.

– Niesporczaki są starsze niż osy... prawie dwa razy starsze, pojawiły się w kambrze. Ale dzisiaj można je znaleźć w każdym środowisku, ponieważ są nadzwyczaj odporne. W niesprzyjających warunkach mogą wejść w stan kryptobiozy, hibernacji podobnej do śmierci. Zwijają się w wysuszoną kulkę zwaną baryłką. W tym stanie zawieszenia mogą przetrwać w temperaturze od prawie zera absolutnego do stu pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Nie wspominając o ogromnym ciśnieniu albo próżni kosmicznej. Mogą nawet znieść potężne dawki promieniowania. Są dosłownie niezniszczalne.

Ken wskazał cystę na zdjęciu.

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym japońscy naukowcy dowiedli, że baryłki mogą wrócić do życia po stu dwudziestu latach kryptobiozy. Nowsze badania sugerują, że mogą przetrwać znacznie dłużej, jeśli nie całą wieczność.

Gray podniósł zdjęcie.

– I jesteś przekonany, że osy zapożyczyły tę umiejętność przetrwania od niesporczaków?

– Dlaczego nie? – Ken wzruszył ramionami. – Niesporczaki też nauczyły się tej sztuczki od innych gatunków. Prawie osiemdziesiąt procent ich genomu pochodzi od prehistorycznych roślin i grzybów. Łącznie z tym, co uważano za ciemną materię życia.

– A co to takiego?

– To określenie odnosi się do bakterii istniejących na granicy życia i śmierci. Zidentyfikowano je niedawno i nazwano mikroorganizmami Łazarza. Jak *Natronobacterium*, które wróciły do życia po stu milionach lat uwięzienia w kryształach. Albo kolonie *Virgibacillus*, które odżyły po trwającym dwieście pięćdziesiąt milionów lat uspieniu. I to tylko dwa przykłady. Prawdopodobnie wiele innych czeka na odkrycie.

– I sądzisz, że osy przyswoiły sobie te pradawne strategie przetrwania. Dlaczego? W jakim celu? – zapytał Gray.

– Uważam, że to ewolucyjne zabezpieczenie. Zostawiają za sobą niezniszczalny szlak genetyczny, ukryty i chroniony w kościach martwych żywicieli. Może po to, by czekać, aż kości rozpadną się w proch, pozwalając cystom się rozprzestrzenić. Przy odrobinie szczęścia zostaną zassane do płuc albo spożyte przez niczego niepodejrzewające zwierzę. We wnętrzu odpowiedniego gospodarza larwy się wyklują i będą kontynuować cykl życiowy, przechodząc czwarty i piąty etap rozwoju, aż w końcu jako dorosłe osy wygryzą sobie drogę na zewnątrz, pozwalając odrodzić się rojowi.

– Jak feniks z popiołów – odezwała się po raz pierwszy Aiko Higashi.

Ken zwrócił uwagę na zadumę w jej głosie, jakby uznała ten szczegół za znaczący. Zignorowała jednak jego pytające spojrzenie, więc kontynuował:

– Za trzy dni roje na tej wyspie zakorzenią się w środowisku, w szpiku jego kości, tak głęboko, że nie będzie można ich wykorzenić. I to jeszcze nie koniec.

– To znaczy? – zapytał Gray.



– Pamiętajcie, że te osy utrzymują gospodarzy przy życiu. Ptaki, choć pełne pasożytujących w nich larw, będą fruwać i je roznosić, gryzonie będą się przemieszczać. Zwierzęta migrują.

– A ludzie podróżują – dodał posepnie Gray.

– Jeśli nie stworzymy tutaj czegoś w rodzaju pasa przeciwpożarowego, szybko rozprzestrzenia się na cały świat – przestrzegła Aiko.

– Wzniesając chaos w całej biosferze. – Ken spróbował sobie wyobrazić, co nastąpi. – Podczas krótkiego okresu badań przeprowadziłem testy, żeby zobaczyć, czy te osy mają jakieś preferencje, jeśli chodzi o wybór żywicieli.

Seichan pochyliła się w jego stronę.

– I?

– Nie mają. – Wskazał zdjęcie samicy z odwłokiem pękającym od jaj. – To żądło ewoluowało w jurze. Poza tym, że ma prawie centymetr długości, jest zbudowane z tkanki twardej niemal jak stal. Było przeznaczone do przebijania twardej skóry, wnikania między pancerne płyty dinozaurów. W porównaniu z prehistorycznymi jaszczurami współczesne zwierzęta są łatwym łupem. I co najgorsze, nie mamy naturalnej ochrony przed tym pradawnym gatunkiem.

– To znaczy, że jesteśmy jak kaczkę na strzelnicę – podsumował Kowalski.

Gray powoli kiwał głową, analizując informacje.

– Z pewnością nie brakuje współczesnych przykładów szkód spowodowanych przez gatunki inwazyjne – odezwał się po chwili. – Pytony w Parku Narodowym Everglades na Florydzie. Europejskie króliki w Australii. Azjatycki karp w naszych jeziorach.

– I to tylko gatunki przeniesione z jednego kontynentu na drugi. My mówimy o stworzeniu niewidzianym na tym świecie od eonów. – Kena ogarniała frustracja, bo brakowało mu słów na wyrażenie prawdziwej skali zagrożenia. – Widziałem, co się stało na Queimada Grande. Te osy będą siał spustoszenie wśród wszystkiego, co pełza, chodzi i fruwa. Nawet zniszczenie lokalnego środowiska nie będzie miało dla nich znaczenia.

– Bo mają zapasowy plan przetrwania – dokończył Gray, odsuwając zdjęcie cysty. – Dlatego musimy temu zapobiec.

Ken westchnął i pomyślał: „Łatwo powiedzieć”.

Komandor wstał.

– Co mamy zrobić? – spytał.

Profesor odwrócił się w stronę okna, ku ogrodom połyskującym w jasnym świetle południa.

– Najpierw musimy znaleźć miejsce, gdzie osiadł rój.

Gray podszedł do kredensu i wrócił z mapą wyspy.

– Masz jakieś pojęcie, gdzie powinniśmy zacząć poszukiwania?

– Z moich krótkich badań wynika, że Odokuro raczej nie są budowniczymi gniazd jak osy społeczne – odparł Ken. – Podejrzewam, że pod tym względem bardziej przypominają osy samotne. Jeśli tak, będą szukać nor, żeby stworzyć podziemne schronienia.

Palu pochylił się nad mapą.

– Pasaty wieją z tej strony. – Wyrysował linię od Hany w lasy na zboczu Haleakali.

Przyglądał się przez chwilę mapie, po czym w nią postukał.

Wielki Hawajczyk spojrział na pozostałych z szerokim uśmiechem.

– Chyba wiem, gdzie mogą być te małe gnojki.

# 13

Waszyngton, USA

7 maja, godzina 18.01 czasu miejscowego

Painter przeszedł przez ośmioboczną rotundę na piętrze Smithsonian Institution. Drzwi prowadziły do różnych biur, ale on zmierzał do tych, za którymi znajdował się wspaniały Pokój Regentów. Zza uchylonych drzwi dobiegały głosy.

– Zobaczymy, o co chodzi z tym wezwaniem – szepnął do Kat.

Mówił ściszym głosem nie z konieczności zachowania tajemnicy, ale z szacunku dla historii starej budowli. Kościelny charakter tego miejsca, z wielkimi przestrzeniami, prywatnymi kaplicami i długimi galeriami, skłaniał do refleksji nad przeszłością. Painter mógł sobie wyobrazić, jak pierwszy sekretarz, Joseph Henry – którego brązowy posąg stał przed Smithsonian Castle – chodzi tymi korytarzami. Krążyły nawet plotki, że w budowli straszy. W Pokoju Regentów kiedyś odbywały się seanse spirytystyczne, organizowane przez samego Henry’ego na prośbę Lincolna, który chciał przekonać żonę, Mary Todd, że media są oszustami.

Dyrektor Sigmy, rozgrzewany miłością do tego miejsca, uśmiechnął się na myśl o takiej scenie. Oboje z Kat przyjechali tutaj windą z podziemnej kwatery głównej. Muzeum zamknięto pół godziny temu, więc w dolnych salach zostało tylko kilku przewodników i strażników. Te chwile po godzinach, kiedy miał to miejsce prawie wyłącznie dla siebie, zawsze sprawiały mu przyjemność. Czasami wędrował po salach po północy, wykorzystując ciszę, żeby pomogła mu uspokoić myśli. Dzięki temu oczyszczał umysł i wyraźniej dostrzegał problemy. Smithsonian Castle był kamiennym świadectwem szacunku dla nauki, dla lekcji, jakich udziela historia. To mu przypomniało o ważnym obowiązku Sigmy.

Kat opuściła telefon, gdy się zbliżyli do drzwi Pokoju Regentów.

– Doktor Bennett potwierdził, że otrzymał notatki z badań profesora Matsuiego. W wiadomości napisał, że natychmiast je przejrzy.

Painter pokiwał głową. Przed wyjściem na to spotkanie odbył krótką rozmowę z Grayem i wysłuchał skrótowego raportu o osach wypuszczonych na Hawajach. Miał nadzieję, że może entomolog z National Zoo rzuci więcej światła na zagrożenie.

Zwłaszcza że Gray podał ostateczny termin.

Trzy dni.

Z tego powodu Painter nie był zadowolony z wezwania; nie chciał tracić czasu, chociaż musiał przyznać, że jest zaciekawiony. Co nowego może wnieść do sprawy dyrektorka Biblioteki Kongresu? Jak obecny kryzys może być powiązany z powstaniem Smithsonian Castle albo, co jeszcze mniej prawdopodobne, z Alexandrem Grahamem Bellem, wynalazcą telefonu?

Był tylko jeden sposób, żeby się dowiedzieć.

Painter zapukał do drzwi i otworzył je na całą szerokość. Skinął na Kat, żeby weszła, i podążył za nią.

Pośrodku Pokoju Regentów stał okrągły stół ze słońcem na blacie, symbolem Smithsonian Institution. W oknach wychodzących na Mall wisiały aksamitne zasłony. Tutaj co kwartał spotykało się osiemnaścioro członków zarządu.

Teraz były tu tylko dwie osoby.

Kustosze Castle, Simon Wright, obszedł stół, żeby się z nimi przywitać. Ten około czterdziestopięcioletni mężczyzna od młodości miał białe włosy. Zapuścił je do ramion i zaczesywał do tyłu jak starzejąca się gwiazda rocka.

– Dyrektorko Crowe, dziękuję za przybycie. Kapitan Bryant... Kat, zawsze miło cię widzieć. Jak dziewczynki?

Kat uścisnęła jego dłoń i uśmiechnęła się na myśl o szczerzej serdeczności tego człowieka. Cała trójka znała się od ponad dziesięciu lat.

– Wysłałam je na obóz z Monkiem.

– Bez dzieci? Bez męża? Zatem muszę przeprosić za zakłócenie tego, co zwykle z pewnością jest dla ciebie rzadką chwilą odpoczynku.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, rozumiem.

Simon przedstawił ich Elenie Delgado, dyrektorce Biblioteki Kongresu. Jego zachowanie stało się bardziej formalne. Elena została mianowana na swoje stanowisko zaledwie cztery miesiące temu; objęła je jako pierwsza Latynoska w dziejach. Nikt z nich jeszcze jej dobrze nie znał.

Painter podziwiał jednak jej dokonania. Była najmłodszą z czterech córek imigrantów, którzy przybyli do Kalifornii. Dzięki wynikom w nauce i sporcie zdobyła

podwójne stypendium na Stanfordzie. Zrobiła doktorat z historii amerykańskiej, a jako pływaczka zdobyła srebrny i złoty medal olimpijski na igrzyskach w Monachium. Po zakończeniu kariery sportowej zainteresowanie historią skłoniło ją do przesiadywania w bibliotekach i zrobiła drugi doktorat z bibliotekoznawstwa na pobliskim Uniwersytecie Maryland.

Z radością uściśnęła jej dłoń. Miała silny uścisk. Wyglądało na to, że mimo sześćdziesięciu czterech lat zachowała olimpijską formę. Jedynym ustępstwem na rzecz wieku były okulary do czytania wiszące na szyi na srebrnym łańcuszku, na którym były też dwa krzyżyki.

– Wiem, że pański czas jest cenny – powiedziała i pociągnęła ich do stołu. – Ale jestem przekonana, że to ważne.

Na stole przed nią leżały dwie księgi. Jedna była oprawiona w grubą skórę, spękaną i poczerniałą, jakby ktoś próbował ją spalić. Druga wyglądała na nowszą – opasana elastycznym paskiem, ale ręcznie zszywana oprawa sugerowała, że księga ma co najmniej kilkadziesiąt lat.

Elena niemal władczo położyła dłoń na jednej z nich.

– Te tomy pochodzą ze specjalnego zbioru przekazywanego każdemu kolejnemu dyrektorowi Biblioteki Kongresu. Niewielu wie o tej prywatnej kolekcji. Przez stulecia książki znikły z półek różnych muzeów, więc postanowiono stworzyć specjalny zbiór z egzemplarzami ważnymi dla naszego narodu, niekoniecznie bezcennymi jak nasza kopia Biblii Gutenberga, ale których wartość jest na tyle duża, żeby szczególnie je chronić.

Simon pokiwał głową.

– Elena ma rację. Jako kustosz mogę potwierdzić, że spora część zbiorów Smithsonian ma tendencję do rozpływania się w powietrzu. Ogółem zniknęło jakieś dziesięć procent naszych eksponatów i książek. I to nie były drobiazgi. Zaginęło prawie czterdzieści przedmiotów, z których każdy jest wart co najmniej milion dolarów.

– Zostały skradzione?

Kustosz wzruszył ramionami.

– Niektóre. Inne zostały wypożyczone i nigdy nie wróciły. I jestem pewien, że spora część została po prostu błędnie skatalogowana i zaginęła gdzieś w naszych magazynach w Suitland.

Painter znalazł miejsce, o którym mówił Simon. Było to Museum Support Center w Suitland w stanie Maryland. W pięciu budynkach, każdy wielkości boiska

do futbolu, przechowywano czterdzieści procent zbiorów Smithsonian Institution, ponad pięćdziesiąt milionów przedmiotów.

– Właśnie dlatego – zaczęła Elena – powstała potrzeba wyłączenia z dostępnej kolekcji tych książek, które może pod względem wartości nie zasługują na ścisłą ochronę, ale są zbyt ważne, żeby ryzykować ich utratę. Uważajcie to za naszą wersję Archiwum Watykańskiego.

Painter wskazał książki leżące na stole.

– I te dwie pochodzą z tego zbioru.

Dyrektorka Biblioteki Kongresu uśmiechnęła się, czego, jak się zdaje, nie robiła często. Dotknęła nowszej książki.

– Co więcej, nasze archiwum założył autor tej książki. Archibald MacLeish, dziewiąty dyrektor Biblioteki Kongresu, który pełnił obowiązki podczas drugiej wojny światowej. Wówczas zlecono mu ochronę naszych skarbów narodowych. Jak wicie, zostały one podzielone i ukryte w różnych miejscach w całym kraju. Po ustąpieniu ze stanowiska, gdy został zastępcą sekretarza stanu, wciąż odczuwał potrzebę kontynuacji tego projektu. Zgromadził tę wyjątkową tajną kolekcję i zostawił ją swojemu następcy.

– Zaczynając od napisanej przez siebie książki? – zapytał Painter.

– I wielu innych. Chociaż myślę, że utajnił zbiór przede wszystkim po to, żeby te dwie zniknęły z widoku.

Kat zacisnęła rękę, jakby chciała je powstrzymać od złapania i przewertowania tomów.

– Co je wiąże z obecnymi wydarzeniami na Hawajach?

– Wszystko... a może nic. Nie wiem. Ale kiedy opowiedziałam Simonowi o historii tych książek, uznał, że powinnam podzielić się nią z wami. – Elena z niemałą podejrzliwością spojrzała na Paintera i Kat. – Dwoje pracowników DARPA, jak rozumiem.

Simon nie puścił pary z ust o Sigmie, ale nie był zbyt dobrym kłamcą. Dyrektorka biblioteki wyraźnie podejrzewała, że za przynależnością do agencji kryje się coś więcej.

Painter pominął tę kwestię milczeniem.

– Więc co to za historia?

– Najpierw powinnam wyjaśnić, że natknęłam się na te książki z powodu osobistego zainteresowania. Moja praca doktorska dotyczyła wojny secesyjnej i roli bliskich powierników Lincolna, kręgu, do którego należał Joseph Henry, pierwszy

sekretarz Smithsonian Institution w czasach, kiedy zbiory mieściły się w tym jednym budynku.

Painter, który wiedział o bliskiej znajomości tych dwóch mężczyzn, znowu przypomniał sobie o seansach spirytystycznych, które odbywały się w tym pokoju.

Elena usiadła.

– Wszystko zaczyna się od Josepha Henry’ego i pożaru, który podczas wojny secesyjnej niemal strawił Smithsonian Castle.

Opowiedziała fantastyczną historię dotyczącą Jamesa Smithsona, człowieka, który zostawił swój majątek młodemu narodowi, spuściznę na założenie instytucji nazwanej jego imieniem. Opierała się głównie na relacji zawartej w dzienniku MacLeisha, który opisał, jak Joseph Henry dowiedział się o tajemniczym przedmiocie pogrzebanym w grobie Smithsona w Genewie, o czymś zwanym Diabelską Koroną. Dziesiątki lat po śmierci Smithsona Alexander Graham Bell wyruszył na tajną misję, żeby ocalić szczątki darczyńcy i przywieźć je do Stanów wraz z tym przedmiotem, podobno niebezpiecznym, uważanym nawet za broń.

– Co znalazł? – zapytała Kat.

– Według MacLeisha była to bryła bursztynu z zachowanymi wewnątrz kośćmi gada, może małego dinozaura. Jak wcześniej Smithson, wynalazca zostawił tajemniczy list, w którym ostrzegał, że znalezisko może być równie cudowne, jak niebezpieczne.

Painter uniósł brwi.

– Cudowne? Pod jakim względem?

– Bell twierdził, że być może zawiera tajemnicę życia po śmierci. Nie wyjaśnił jednak, jak doszedł do takiego szalonego wniosku.

Popatrzył na Kat. Ona też słyszała relację Graya o pradawnych osach nękających Hawaje, o tym, że mogą wchodzić w stan zawieszenia czynności życiowych, zwany kryptobiozą, i obsiewać kości swoich ofiar cystami, co gwarantowało zmartwychwstanie roju nawet po wielu stuleciach.

Elenie nie umknęła ta wymiana spojrzeń.

– Czy to coś dla was oznacza?

– Może, ale proszę mówić dalej. Jakie były dalsze losy znaleziska?

– Bell, może biorąc przykład ze Smithsona, uznał, że najlepiej będzie ponownie je zakopać. Ale na amerykańskiej ziemi.

– Gdzie? – zapytała Kat.

– W tajnej komorze przy starym tunelu, który łączy Castle z Muzeum Historii Naturalnej.

Mimo powagi sytuacji Painter nie mógł pohamować zdumienia.

Wszystko zaczęło się na naszym podwórku?

– Podczas drugiej wojny światowej – ciągnęła dyrektorka Biblioteki Kongresu – MacLeish badał możliwość budowy schronu przeciwlotniczego, żeby ochronić nasze skarby narodowe.

– I znalazł komorę Bella.

– Niestety, odkrycie nie przeszło niezauważone. MacLeish podejrzewał, że jeden z inżynierów biorących udział w projekcie dopuścił do wycieku informacji. Wiadomość dotarła do uszu naszego ówczesnego wroga, którego oczywiście zainteresowało ostrzeżenie Bella dotyczące ukrytego tam przedmiotu.

Kat, wyraźnie zafascynowana, pochyliła się.

– Co się stało?

– W tunelu doszło do strzelaniny. Bryłę bursztynu ukradli japońscy szpiecy. – Elena spojrzała na nich znacząco, jakby też się zastanawiała, czy atak na Hawajach może być echem Pearl Harbor. – MacLeish skopiował symbol wytatuowany na ciele jednego z napastników. Twierdził, że ma jakiś związek z podpalaczem Castle sprzed prawie stu lat, jakby w przeszłości ta sama grupa próbowała zniszczyć dowody istnienia tego przedmiotu.

– Jaki symbol? – zapytał Painter.

– Zaraz pokażę. – Elena założyła okulary i sięgnęła po książkę. – Nieco przypomina masoński.

– Masoński? – Painter z trudem przełknął ślinę, a Kat usiadła ze zmartwioną miną. – Czy przypadkiem nie jest to sierp księżycy z gwiazdą między rogami?

Dyrektorka Biblioteki Kongresu opuściła okulary i spojrzała na nich spod uniesionych brwi.

– Owszem. Skąd wiecie?

Kat zamknęła oczy i zakłęła pod nosem.

Painter dzielił jej odczucia.

Nic dziwnego, że Gray i Seichan byli celami, przemknęło mu przez głowę.

Elena stanęła między nimi.

– Może czas, żebyście wy zaczęli swoją opowieść.



## Godzina 18.33

Elena czekała na wyjaśnienia. W jej piersi narastał znajomy upór. Przez większość życia była traktowana protekcyjnie, najpierw przez ojca, który chciał, żeby wyszła za mąż i miała dom pełen małych *niños*, a później przez profesorów, którzy uważali, że dostała się do świata akademickiego tylko dzięki akcji afirmacyjnej.

Miała już swoje lata; po tym, jak sama wychowała córkę i stoczyła zwycięską walkę z rakiem piersi, nie cierpiała głupców i z pewnością nie zamierzała pozwolić, żeby ktoś taił przed nią informacje.

Co tu się naprawdę dzieje? – zastanawiała się.

Była podejrzliwa już wtedy, kiedy kustosz muzeum, Simon Wright, postanowił zaaranżować spotkanie z dwojgiem przedstawicieli DARPA w Pokoju Regentów.

Dlaczego tutaj?

Przyjrzała się młodej kobiecie – kapitan Kat Bryant przywodziła na myśl porządnie zasłane łóżko z wykrochmalonymi, po wojskowemu napiętymi prześcieradłami. Elena wyczuwała w niej sprzymierzeńca, zwłaszcza gdy kobieta obrzuciła szefa surowym spojrzeniem, jakby mówiła: „Bądźmy szczerzy z tą panią”.

Ale dyrektor Crowe sprawiał wrażenie równie upartego jak ona, jego plecy sztywniały, mięśnie szczęki się naprężyły. Gdy go zobaczyła, dziwnie zdumiała ją widok jego przystojnej twarzy o przenikliwych niebieskich oczach i ciemnych włosów z intrygującym śnieżnobiałym pasmem. Przypuszczała, że w jego żyłach płynie indiańska krew.

Teraz jednak nie był jej sprzymierzeńcem.

Kat wyczuła narastający impas i zaproponowała kompromisowe rozwiązanie.

– Zanim przedstawimy naszą historię, może pani dokończy swoją. – Wskazała książkę leżącą na stole. – Najwyraźniej opowieść Archibalda MacLeisha nie kończy się na kradzieży tego, co znaleziono w grobie Smithsona. Ta książka jest bardzo gruba.

Elena po chwili wahania głośno westchnęła, godząc się z tym, że takie rozwiązanie może być najlepsze.

Na razie.

– Ma pani rację co do historii MacLeisha – przyznała. – Odkrył istnienie komory w listopadzie czterdziestego czwartego... i tydzień później złożył rezygnację. W środku wojny. Sytuacja zmieniała się na niekorzyść Niemców, ale Japonia wciąż stanowiła zagrożenie na Pacyfiku. MacLeish obawiał się, że Japończycy rzeczywiście

mogą wykorzystać swoją zdobycz jako broń, więc postanowił rozpocząć poszukiwanie prawdy.

– Chciał odkryć pochodzenie bursztynu? – domyśliła się Kat. – I dowiedzieć się, skąd te obawy Smithsona?

– Właśnie. MacLeish zamierzał ruszyć jego śladem, ale okazało się to nielatte. – Elena wskazała nadpalony tom. – W tym dzienniku nie znalazł wzmianki o pochodzeniu znaleziska, a większość prywatnych papierów Smithsona zniszczył pożar. MacLeish był jednak zdeterminowany. Tuż po zakończeniu wojny udał się do Europy i szukał wiadomości o ludziach, którzy znali Smithsona. Potomków przyjaciół, kolegów po fachu, krewnych. Próbował odtworzyć jego dzieje wstecz, rozpoczynając od grobu.

– Znalazł coś? – zapytał Painter.

– Więcej tajemnic. Szczegółowo opisał swoje bezskuteczne poszukiwania. Trop urwał się w Estonii, w Tallinie na brzegu Morza Bałtyckiego.

Na twarzy Kat odmalowało się poczucie porażki.

– Więc nie odkrył pochodzenia znaleziska?

– Nie, ale usłyszał pewną historię od sędziwego geologa. Dziesiątki lat wcześniej, kiedy jego ojciec, też geolog, zaczynał pracę w zawodzie, miał okazję poznać się ze Smithsonem. Gdy pewnego razu pili w tallińskiej karczmie, wstawiony Smithson snuł pijacką opowieść, którą geolog uznał za czystą fantazję.

Painter zmarszczył czoło.

– O czym opowiadał?

– To była wstrząsająca historia grupy górników, którzy znaleźli bogate złożę bursztynu. – Elena dotknęła zwęglonego dziennika Smithsona. – Gdy kopali, coś wyrwało się na wolność. Straszna choroba roznoszona przez żądłące owady. Wielkie osy. Mówili, cytując: „zrodzone z kości ze skały”. Jedyнным sposobem na powstrzymanie owadów od ucieczki z kopalni było spalanie ich... wraz z przebywającymi tam górnikiemami... a następnie zapieczętowanie wejścia.

Kat zerknęła na swojego szefa, sugerując, że ta historia wcale nie musi być wyssana z palca, jak mogło się wydawać.

Painter się wyprostował.

– Powiedziała pani, że w Tallinie urwał się trop. Z pewnością MacLeish założył, że to tylko wymysły, i zrezygnował z dalszych poszukiwań.

– Może częściowo z tego powodu... ale chyba głównie dlatego, że usłyszał tę historię szóstego sierpnia czterdziestego piątego roku.

Dyrektor Sigmy nie od razu skojarzył tę datę.

– W dniu zrzucenia bomby na Hiroszimę – wyjaśniła Kat.

Elena pokiwała głową.

– Po tym zdarzeniu MacLeish przestał się martwić jakimś niejasnym zagrożeniem ze strony Japończyków. Uznał, że problem stał się nieaktualny.

Painter pokręcił głową.

– Najwyraźniej się mylił.

– Co prowadzi nas z powrotem do ataku na Hawaje – powiedziała Elena. – Jeśli naprawdę istnieje związek łączący to, co znaleziono w grobie Smithsona, z atakiem terrorystycznym na Hawajach, to może ktoś musi podjąć dzieło MacLeisha i odkryć, skąd pochodził ten bursztyn.

– Ma pani rację – przyznała Kat, po czym zwróciła się do szefa: – Jeśli profesor Matsui ma rację co do zagrożenia, jakie stanowi ten prehistoryczny gatunek, to wiedza o jego pochodzeniu może być bardzo ważna.

– Dlaczego?

– Dlatego że te osy w przeszłości wymarły. – Kat dostrzegła konsternację Paintera i dodała: – Dlaczego przestały istnieć? Dlaczego nie zdominowały dzisiejszego świata? Co je powstrzymało? Coś musiało sprawić, że ten agresywny gatunek zapadł w kryptobiozę, a w zasadzie zapadł się pod ziemię.

Elena za tym nie nadążała, ale wiedziała, kiedy zachować milczenie.

Painter spojrział na leżące na stole książki.

– Jeśli więc zdołamy się dowiedzieć, co je kiedyś powstrzymało...

– ...wtedy może będziemy mogli tego użyć, żeby znowu je powstrzymać – zakończyła za niego Kat.

Elena uznała, że pora wykorzystać swoją przewagę.

– Jeśli planujecie takie przedsięwzięcie... poszukiwanie tropów w Tallinie... będziecie musieli wiedzieć wszystko o podróży MacLeisha. – Położyła rękę na książce dawnego dyrektora Biblioteki Kongresu. – A gdzie ona, tam ja.

Painter wstał, wyraźnie gotów ją odprawić.

– Nie ma potrzeby narażać tych zabytkowych tomów. Wystarczą nam kopie.

Podniosła książki ze stołu.

– Nie, jeśli chcecie mieć nadzieję na powodzenie – spojrzała na niego twardo – będziecie potrzebować więcej niż to, co można znaleźć na tych stronach. Musicie zabrać ze sobą kogoś, kto zna więcej szczegółów dotyczących obu autorów, zwłaszcza Smithsona.

– Innymi słowy, panią? – zapytał sceptycznie Painter.

Kat dotknęła jego ramienia.

– Pamiętaj, mamy tylko trzy dni.

Elena nic nie wiedziała o takim terminie, ale była jej wdzięczna za wsparcie.

W końcu to kustosz, Simon Wright, przełamał impas. Spojrzał na Paintera spod uniesionych brwi.

– Według mnie to dobra chwila, żebyś zabrał nową panią dyrektor Biblioteki Kongresu na pełną wycieczkę po Castle.

## Godzina 19.05

Piętnaście minut później Kat przytrzymała drzwi windy. Rozbawił ją wyraz zaskoczenia i zdumienia, który pojawił się na twarzy Eleny Delgado, gdy weszła do podziemnego kompleksu pod Castle.

– Nigdy bym nie pomyślała, że takie miejsce istnieje... – wymamrotała dyrektorka Biblioteki Kongresu, robiąc wielkie oczy. – Czuję się jak Charlie wchodzący do fabryki czekolady.

Painter uśmiechnął się, wskazując drogę; najwyraźniej nabierał sympatii do tej upartej kobiety.

– Co, jak sądzę, czyni ze mnie Willy’ego Wonkę.

Elena się zarumieniła.

– Przepraszam. Chyba za dużo czasu spędzam z wnuczkami. Znam już ten film na pamięć.

Kat aż za dobrze знаła ten szczególny krąg piekła: niekończącą się pętlę odtwarzanego w tle filmu dla dzieci.

– Zabiorę panią do mojego biura – zaproponował Painter – a Kat zajmie się wszystkim, co dotyczy podróży.

– Jason już przygotowuje odrzutowiec – powiedziała Kat. – Za godzinę powinniśmy być w powietrzu.

Elena zerknęła na nią, wciąż oszołomiona.

– Tak szybko?

Kat przytaknęła.

Witamy w Sigmie, przemknęło jej przez myśl.

Rozstała się z Painterem i Eleną przed centrum łączności.

– Niedługo do was dołączę – obiecała. – Muszę dopilnować, żeby Jason był na bieżąco, zanim go zostawię.

Gdy odeszli, wypatrzyła swojego zastępcę, Jasona Cartera. Młody człowiek z kosmykiem jasnych włosów wiecznie sterczącym nad czołem garbił się między dwoma technikami.

– I jak? – zapytała.

Nie potrzebując dalszej zachęty, odpowiedział bez spoglądania w jej stronę:

– Właśnie skończyłem rozmowę z doktorem Bennettem. Zgodził się wam towarzyszyć. Mówi, że potrzebuje czterdziestu minut na zapakowanie wszystkich notatek profesora Matsuiego i że spotka się z wami na lotnisku.

– Dobrze.

Uznali, że jeśli chcą liczyć na powodzenie, to muszą mieć wsparcie – a nawet własnego entomologa. Jeśli istniała jakaś wskazówka dotycząca tego, co w przeszłości powstrzymało osy, zawodowe doświadczenie doktora Bennetta mogło okazać się bezcenne w jej znalezieniu.

– Gray się odezwał? – zapytała.

– Nie, jeszcze nie. Kiedy meldował się ostatnio, powiedział, że ruszają tropem roju. – Nie odwracając się, Jason wskazał łokciem wysoki kubek ze Starbucksa. – Waniliowa latte. Podwójna.

Podeszła i wzięła kubek w ręce, rozkoszując się jego ciepłem.

– Tylko podwójna?

– Poważnie? – rzucił, spoglądając na nią spod oka.

Zignorowała go i pociągnęła łyk dla odświeżenia umysłu.

– Co z tym napastnikiem, który urządził zasadzkę na Seichan i uciekł łodzią?

– Zniknął. Nie wiadomo, gdzie może być. Ale powiadomiłem agencje wywiadowcze po drugiej stronie Pacyfiku.

Kat zacisnęła zęby, obracając w głowie tysiące szczegółów. Nie cierpiała porzucić centrum Sigmy w takiej niepewnej sytuacji. Zostawiała Jasona z herkulesowym zadaniem. Nie tylko będzie musiał koordynować operacje na dwóch krańcach świata, ale też przekazywać najświeższe informacje Painterowi, żeby dyrektor mógł podjąć działania na polu politycznym i być może również militarnym.

Miejmy nadzieję, że to drugie nie będzie konieczne.

Jason z łatwością odczytał jej myśli.

– Nie ma obawy, szefowo. Dam sobie radę – zapewnił.

Skinęła głową.

Oczywiście, że tak.

Zastanawiała się chwilę, czy Jason ma wszystko, czego potrzebuje, w końcu usatysfakcjonowana obrzuciła pokój ostatnim spojrzeniem i zwróciła się do swojego zastępcy:

– W porządku, wszystko na twojej głowie. – Wycelowała palec w jego pierś. – Tylko niczego nie zepsuj.

– Rany, zbiłem jeden kubek, a ty mi wciąż to wypominasz.

– Mój ulubiony – mruknęła i wyszła.

Idąc korytarzem, trzymała w dłoniach gorącą kawę. Miała wrażenie, że o czymś zapomniała. Z otwartych drzwi gabinetu Paintera dochodziły głosy.

Weszła bez pukania... i stanęła jak wryta.

Aha, to jest to, o czym zapomniałam...

Masywny mężczyzna stał oparty o biurko Paintera, śmiejąc się z czegoś, co powiedziała Elena. Pokazywał dyrektorze Biblioteki Kongresu sztuczną rękę, demonstrując najnowsze rozwiązanie techniczne DARPA. Odłączył protezę od nadgarstka i poruszał sztucznymi palcami.

– Może pan kontrolować ją zdalnie! – Elena nie kryła zdumienia.

– I pod kciukiem ma wbudowaną kamerkę – oznajmił z dumą właściciel. – A w dłoni jest nawet pakiecik plastiku na te szczególne okazje, kiedy nie wystarcza zwyczajny uścisk dłoni.

– Monk? – Kat weszła do pokoju, zaskoczona widokiem męża. – Jak... co tutaj robisz?

Wyprostował się, wyraźnie zakłopotany. Miał na sobie szorty i bluzę z kapturem, z plaketką sosny i słowami OBÓZ WOODCHUCK na piersi.

– Pomyślałem, że może przyda wam się pomocna dłoń. – Potrząsnął protezą, próbując obrócić to wszystko w żart. Kat nie zmieniła wyrazu twarzy, więc wsunął protezę w tytanowy mankiet na nadgarstku. – Poza tym uznałem, że tylko w ten sposób mam szansę spędzić trochę czasu z żoną.

– Gdzie dziewczynki?

Machnął ręką nad ogoloną głową.

– Przypuszczam, że w tej chwili terroryzują wychowawców na obozie. Co oznacza, że są szczęśliwe jak dwa nadpobudliwe ślimaki.

Kat spojrzała na Paintera, podejrzewając, że to on ściągnął tu Monka.

Dyrektor się przyznał.

– Chyba nie sądziłaś, że będziesz jedyną przyzwoitką doktor Delgado i doktora Bennetta w Estonii – dodał.

Monk wyszczerzył zęby.

– Uznaj to za darmowe wakacje w Europie.

Kat przewróciła oczami.

Tylko że od tych wakacji zależał los świata.

Hana, Hawaje, wyspa Maui

7 maja, godzina 13.05 czasu miejscowego

Siedzący na miejscu pasażera Palu wyciągnął rękę.

– Następny w lewo.

– Gdzie? – Gray pochylał się nad kierownicą, patrząc zmrużonymi oczami na mur paproci i drzew. Gałęzie drapały karoserię wynajętego jeepa.

Jechali w ślimaczym tempie, telepiąc się błotnistymi szlakami, które w tej części Rezerwatu Leśnego Hana uchodziły za drogi. Zjechali z asfaltówki prawie godzinę temu, niedaleko sklepu Hasegawa skręcając na Mill Place. Gdy droga się skończyła, musieli omijać zbłąkane bydło i okrążyć pola taro.

Gray chciał jechać na przełaj, ale Palu pokręcił głową, uważając, że to przyniesie *pō'ino*, czyli pecha.

– Taro pochodzi z ciała pierwotnego syna Ojca Nieba i Matki Ziemi. Daje życie. Gray, nie chcąc kusić losu, jechał tak, jak prowadził go wielki Hawajczyk.

– Daleko jeszcze? – zapytał gderliwie Kowalski. Garbił się z tyłu obok profesora Matsuiego, który był sam.

Aiko Higashi została w domu, żeby omówić z Kat nowe szczegóły dotyczące zagrożenia, sięgające czasów drugiej wojny światowej i być może mające związek z Gildią.

Komandor spojrział w lusterko wsteczne. Seichan jechała za nimi na motocyklu. Uznali, że zwrotny pojazd może im się przydać w czekającym wyżej jeszcze trudniejszym terenie. Gdy Seichan usłyszała o potencjalnym udziale Gildii, stała się niezwykle cicha. Zresztą ostatnio w ogóle była małomówna. Wyraźnie coś ją trapiło, ale Gray dobrze ją znał i wiedział, że nie powinien zadręczać jej pytaniami. Pozwalał, żeby sama się z tym uporała.

Palu spojrział na kompas i odpowiedział na pytanie Kowalskiego:



– Jeszcze półtora kilometra... może dwa, *brah*. To znaczy, jeśli ostatnie ulewy nie zmyły drogi.

Kowalski jęknął, a Gray też miał ochotę to zrobić.

Palu wyciągnął rękę nad deską rozdzielczą.

– Zakręt! – zawołał.

Gray dostrzegł go w ostatniej sekundzie. Mocno przekręcił kierownicę, wprowadzając SUV-a w poślizg, i wjechał w lukę między drzewami. Ten szlak okazał się jeszcze węższy.

Komandor spojrział w lusterko wsteczne i zobaczył, że Seichan pokonała zakręt. Skulona nad kierownicą, sprawnie wjechała na szlak.

Wielkie liście paproci drzewiastych zwanych *hapu'u* muskały okna po obu stronach auta, jakby jechali przez prehistoryczną myjnię samochodową. I może tak było. Las wyglądał na dziewiczy, niektóre wielkie drzewa być może miały tysiące lat.

Koronkowy liść chlasnął w przednią szybę, jakby zakazując im dalszej jazdy.

Palu wyszczerzył zęby.

– Las was nie lubi, *haole*. Tylko *kama'aina* wie, dokąd was prowadzę.

Gray uwierzył mu na słowo. Wiedział, że głównym źródłem dochodu na wyspie jest turystyka, ale rdzenni mieszkańcy Hawajów starannie chronili miejsca, które uważali za swoją wyłączną własność. Na przykład ich protesty zablokowały budowę wartego miliony dolarów nowego teleskopu na szczycie świętej góry Mauna Kea.

Na wyspach linie podziałów były dosłownie wyrysowane w piasku.

Gray rozumiał troski miejscowych. Po spędzeniu tu trzech miesięcy uznał i szanował istnienie głębokiej więzi pomiędzy wyspą i jej ludem. Historia Hawajczyków była wpisana w każdą skałę, zwierzę i roślinę.

Jakby czytając mu w myślach, Palu spojrział na las paproci.

– Używamy złotych włosów, *pulu hapu'u*, do wypychania poduszek i materaców. Można nawet jeść liście i drewno. – Popatrzył na Graya i skrzywił usta. – Chociaż niedobre. Zły smak.

Komandor zastanawiał się, czy wykład Palu o tutejszym życiu jest nerwową paplaniną, czy raczej próbą podzielenia się z nimi tym, o co toczy się gra. Jeśli nie powstrzymają plagi na wyspach, wszystko przepadnie – nie tylko ziemia, ale też jej historia.

Wiedząc, że nie można do tego dopuścić, Gray jechał coraz głębiej w las. W miarę jak wspinali się na nierówne zbocze Haleakali, korony drzew wznosiły się coraz wyżej. Od czasu do czasu w prześwitach widzieli wybrzeże, które zostawili za

sobą. Z wysoka zamieszanie panujące wokół Hany wydawało się nieistotne – chaos wytłumiony przez odległość i majestatyczne oblicze góry.

Jeszcze wyżej mgła uwięziona pod koronami zgęstniała na tyle, że Gray musiał od czasu do czasu włączać wycieraczki. Las wokół nich nabrał upiornego charakteru.

– To drzewa koa? – odezwał się z tyłu profesor Matsui ściszym głosem, może z czci. Wskazał kępę wysokich drzew obsypanych żółtymi kwiatami.

Palu się uśmiechnął.

– Tak, *brah*. Kiedyś lasy koa porastały całą Haleakalę. Zostały tylko pojedyncze miejsca. Jak to. – Obrócił głowę, patrząc na pozostałych. – Między innymi z tego powodu nie mówimy *haole* o tym miejscu.

Ken się pochylił.

– Jednak opisane przez ciebie skupisko jaskiń lawowych, do których zmierzamy, jest dokładnie takim miejscem, jakiego potrzebują Odokuro. Idealnym miejscem na gody. – Popatrzył przez okno. – Zależy im na głębokiej jamie, ocienionej przez korony drzew, z obfitym źródłem wody. I spójrz tylko na te bogate w nektar kwiaty.

– Nie wspominając o mnóstwie gospodarzy – dodał Gray.

Las wokół nich tętnił życiem: widzieli ptaki, ssaki, owady.

Profesor ponuro pokiwał głową i usiadł wygodnie.

Gray próbował sobie wyobrazić cel ich podróży. Trzy tygodnie temu zwiedzał z Seichan jaskinię Ka'eleku na północnych przedmieściach Hany. Ta udostępniona turystom jaskinia lawowa była większa i łatwiejsza do przebycia niż inne, zdobiona stalaktytami i formacjami skalnymi w kolorze czekolady. Świetliki – miejsca, gdzie strop się zarwał i odsłaniał błękitne niebo – pomagały oświetlać długi tunel. Ka'eleku była popularną atrakcją turystyczną, która przypominała zwiedzającym o ognistej przeszłości Haleakali, kiedy potoki lawy bazaltowej – powierzchniowe *a'a* i podpowierzchniowe *pāhoehoe* – formowały wyspę Maui.

W zboczach Haleakali wiło się wiele jaskiń lawowych – większość ukryta w gęstym lesie, w miejscach znanych tylko tutejszym. Palu prowadził ich w kierunku splecionego węża jaskiń, które zapadły się dawno temu, otwierając dostęp do labiryntu tuneli, szybów i grot. Jeśli rój leciał w głąb wyspy wzdłuż trasy narzuconej przez pasat, wtedy miejsce to znalazło się na jego drodze.

Podczas jazdy Gray wypatrywał os, ale jak dotąd nie zauważył niczego niepokojącego. Było tak, jakby wszystkie zniknęły, może zmiecione do oceanu.

Gdybyśmy tylko mieli takie szczęście...

– Koniec drogi – rzucił Palu, wskazując przed siebie. – Dalej idziemy pieszo.

To było oczywiste. Bliźniacze koleiny kończyły się przed okazałym bananowcem z pióropuszem długich, szerokich liści na wysokości dwudziestu metrów. Drzewo było obwieszane i wspierane przez setki korzeni powietrznych, tworzących jakby palisadę pod liściastą koroną.

– Może być nieciekawie – zakrakał Kowalski.

Gray podzielał jego zdanie.

Pod drzewem stał stary volkswagen.

– Ktoś już tu jest – mruknął Gray.

Pału ściągnął brwi.

– To furgonetka Emmeta Lloyda. Ma biuro turystyczne w Makawao. Zabiera turystów na biwaki. Ten *kanapapiki* powinien być mądrzejszy i nikogo tu nie sprowadzać.

Gray spojrział na spowity mgłą las za bananowcem.

Szczególnie teraz, pomyślał.

## Godzina 13.31

Emmet wrzasnął na trójkę podopiecznych.

– Nie tak szybko!

Gramolił się w dół po śliskiej skale wulkanicznej; żeby nie stracić równowagi, przytrzymał się strzelistych tyczek bambusów rosnących po obu stronach. Po zwinięciu obozu, który rozbili wyżej na zboczu Haleakali, narzucił szybkie tempo. Przez całą noc nad szczytem góry przelatywały śmigłowce. Bez łączności komórkowej nie znali sytuacji, ale zdecydowanie działo się coś złego i z pewnością chodziło o coś więcej niż zwyczajną operację poszukiwawczo-ratowniczą.

Ale przynajmniej jesteśmy już niedaleko samochodu.

Może jeszcze półtora kilometra.

Ta kępa bambusów zawsze była dla niego znakiem orientacyjnym. Nie była tak rozległa jak bambusowy las na południowym wschodzie, ale tamten obszar Haleakali był zdeptany przez turystów. Takie miejsce z pewnością nie pasowało do wymalowanego na boku furgonetki sloganu reklamowego jego firmy.

*Chcesz przeżyć przygodę... zjedź z ubitego szlaku.*

Na wpół zjechał po śliskim od błota fragmencie szlaku, balansując, co mu przypomniało o dawnej sławie surfera. W dniach świetności był mistrzem, ale tamte

czasy minęły wieki temu. Chociaż jednak miał już pięćdziesiąt dwa lata, nie chciał zrezygnować ze swojej pasji i finansował życie na Maui, zabierając turystów – tych z żyłką survivalową – na dalekie biwaki w lasach Haleakali.

Trzy ostatnie noce spędził z małżeństwem i ich jedenastoletnim synem Benjamine.

– Zwolnij, Benjie! – krzyknął Paul Simmons; ciężko sapał, próbując dorównać zwinnemu jak kozica synowi.

Simmonsowie mieli firmę start-upową w San Rafael. Oboje byli wysportowani. Mąż był maniakiem crossfitu; żona, Rachel, codziennie ćwiczyła jogę. Pierwszego wieczoru Emmet z przyjemnością patrzył, jak wykonuje pozycje na brzegu oświetlonej przez księżyc sadzawki, z powierzchnią zaburzaną przez maleńki wodospad. Miała gibkie ciało; jej długie kasztanowe włosy, związane w koński ogon, kołysały się przy każdym ruchu. Kiedy wyginała się w łuk, oparta na rękach i stopach, z piersiami wycelowanymi w niebo...

Uśmiechnął się do tego wspomnienia.

Nieźła dodatkowa korzyść płynąca z tej roboty.

Wreszcie dopędził Paula i Rachel, podczas gdy ich syn mknął naprzód z niewyczerpaną energią młodości. Benjie zniknął za zakrętem w lesie bambusowym.

Emmet był pełen obaw, bo wiedział, jaki zdradliwy może być ten teren. Nie brakowało tutaj zamaskowanych przez mech dziur i zasłoniętych przez paprocie stromizn.

– Lepiej zawołajcie swojego dzieciaka – powiedział, wskazując przed siebie.

Paul nagle wrzasnął i pacnął ręką w kark.

Rachel odwróciła się, bardziej zmęczona niż zatroskana.

– Jezu, Paul. Co się stało?

Jej mąż machał ręką, jakby odpędzał coś sprzed twarzy; nagle jego ramiona podskoczyły do uszu i sapnięcie zamieniło się w krzyk bólu. Upadł na kolana, oburącz ściskając szyję.

Żona chwyciła go za ramię.

– Paul! – Emmet cofnął się o krok i rozejrzał. Zwykle ten bambusowy zagajnik wyglądał magicznie, z niezliczonymi wysokimi zielonymi słupami i parasolami zwieszonych liści, połączonymi przez węzowe pasma niskiej mgły. Teraz wydawał się upiorny, zupełnie obcy, a oni byli tu nieproszonymi gośćmi.

Poczucie grozy nasilił niski pomruk, na który Emmet wcześniej nie zwrócił uwagi, bo zagłuszał go swoim ciężkim posapywaniem. Teraz, gdy wstrzymał oddech, wyraźnie go usłyszał.

Co to?

Obrócił się dokoła, gdy Rachel podnosiła męża z ziemi.

Wszędzie wokół mgła falowała, wprawiana w ruch przez jakąś niewidzialną siłę. Złowrogi pomruk postawił mu włosy na głowie. Nigdy nie słyszał takiego dźwięku. Nagle dostrzegł we mgle brzęczące czarne cętki, nadlatujące ze wszystkich kierunków w ich stronę.

– Uciekać! – krzyknął.

Nie znał natury zagrożenia, ale wiedział, że są w niebezpieczeństwie.

Rachel zajmowała się drżącym mężem, który ledwie się trzymał na nogach.

– C... co?

Emmet minął ich i pobiegł w dół szlaku. Coś uderzyło go w ramię, lądując na długim rękawie koszuli. Wytrzeszczył oczy na ten widok. Na rękawie siedziała ogromna osa albo szerszeń, z wibrującymi skrzydłami. Zszokowany mężczyzna otarł ramię o łodygę bambusa i strącił owada.

O kurwa...

– Czeka! – zawołała za nim Rachel. – Pomóż mi!

Paul znów krzyknął – i chwilę później wrzasnęła jego żona.

Wbrew pozorom Emmet wcale ich nie porzucił. Byli dorośli i znali drogę na dół.

Biegł, napędzany przez poczucie obowiązku.

Benjie.

Emmet pośliznął się na zakręcie i o mało nie spadł z niskiego urwiska. Odzyskał równowagę, polegając na pamięci mięśniowej z czasów surfowania, i popędził dalej.

Do diabła, gdzie jest ten dzieciak?

Nagle go zauważył – nie na szlaku, ale w lesie po lewej stronie. Chłopiec albo zgubił drogę, albo coś go zaciekało i przyciągnęło.

Wszystko jedno...

– Wracaj tutaj! – ryknął Emmet.

Benjie, przerażony, stał jak wryty. Z pewnością słyszał krzyki rodziców. Patrzył na Emmeta, wahając się, czy może zaufać prawie nieznanemu mężczyźnie.

– Chodź, mały! Musimy zejść z tej góry! – Emmet dokładał starań, żeby jego głos nie zdradzał paniki. – Twoi rodzice są zaraz za mną. Wracaj na szlak.

Chłopiec śmigał wzrokiem we wszystkie strony. W końcu ramiona mu opadły i pobiegł ku ścieżce.

Dobrze, mały.

Robiąc trzeci krok, Benjie zniknął, połknięty przez podłoże.

Z ust Emmeta wyrwał się okrzyk zaskoczenia, powtórzony oktawę wyżej przez chłopca.

Spanikowany Emmet ruszył w tamtą stronę. Biegł przez las bambusowy, chwytając się łodyg, wprawiając je w kołysanie od góry do dołu. Zderzały się wokół niego z głuchym łoskotem.

Brzmiącym jak grzechot kości.

# MATKA

Po zjedzeniu samców czekała w chłodnej ciemności. Oszczędzała ruchy po kopolacji, skupiając się na swoim ciężkim odwłoku. Czułki zwinęły się na jej głowie, cztery skrzydła leżały na grzbiecie.

Syta, miała otępiałe zmysły.

Jej duże oczy patrzyły.

Wcześniej rój znalazł kryjówkę i zaprowadził ją tam szlakami feromonów. Usadowiła się w przytulnej ciemności z innymi, podobnymi do niej. Gdy się przygotowała, odnóżami posmakowała wody ściekającej po skalnej ścianie. Od czasu do czasu wysysała wilgoć.

Było to wszystko, czego teraz potrzebowała.

Zwoje nerwowe za jej oczami zareagowały na zmianę natężenia światła – z jasności w zupełną czerń. Wezbrały w niej hormony, sygnalizując, że jest bezpieczna. Odwzajemniła się i subtelnymi skurczami jajowodów zapłodniła tysiące jaj. Komórki się dzieliły, wypełniając jaja do punktu pęknięcia.

Kiedy skończyła, w jej odwłoku pulsowało żądanie.

Na czubku żądła utworzyła się kropelka jadu.

Nagle wybuchł alarm, płynący z dalekiego skraju ich terytorium.

Zagrożenie... i możliwość.

Po wybraniu miejsca dla matek wojowniczkich na jego obrzeżach oparły się naturalnemu pragnieniu atakowania wszystkiego, co się rusza. Ich agresja zmalała na potrzeby roju. Wpuszczały stworzenia do swojej domeny, te, które mogły służyć potrzebom roju. Pozwalały im podchodzić blisko, atakując tylko po to, żeby ból je przyspieszał.

Matka wyciągnęła czułki, żeby na podstawie dźwięków i zapachów monitorować pułapkę.

Jej odwłok podwijał się i prostował, poluzowując jaja i przesuwając je w kierunku ostrego pokładelka. Wciąż jednak czekała. Za ścianami jej towarzyszki robiły to samo. Niektóre trzepotały skrzydłami, wyrażając pragnienie. Kilka potrząsało

grubymi, twardymi odnóżami. W tunelu rozbrzmiewał każdy trzask. Echo pomogło nadać mu kształt.

Zaalarmowała ją nowa nuta.

Słuchała zmiany w kadencji brzęczenia roju. Mięśnie jej odnóży się naprężyły. Przycupnęła na skale. Kierowana instynktem, wierzgnęła trzecią parą odnóży, dołączając do klekoczącego chóru.

W końcu czułki wyłapały dwa zapachy: feromony zdobyczy i dwutlenek węgla w oddechu.

To wystarczyło.

Wzbiła się w powietrze; skrzydła brzęczały, żeby unieść jej ciężkie ciało. Skierowała się ku wydechom. Wszędzie wokół inne matki zerwały się do lotu albo stuknęły odnóżami. Echo pozwalało jej na łatwe wykrywanie przeszkód w czarnej jak smoła ciemności.

Choć oczy wciąż miała ślepe, mocno napięte membrany na wgłębieniach po obu stronach głowy wychwytywały każdą wibrację. Podążała wzdłuż strumieni feromonów. Chitynowe płytki ostrzyły jej żądkło, już posmarowane trucizną.

Jaja będą musiały zaczekać.

W locie zderzała odnóża, wysyłając daleko przed siebie falę ostrego dźwięku. Gdy wracał, wypełniał jej głowę i nadawał kształt ciemności. Ale zaczęła słyszeć coś więcej w tej chmurze wydechów.

Wibracje, którym nie mogła się oprzeć.

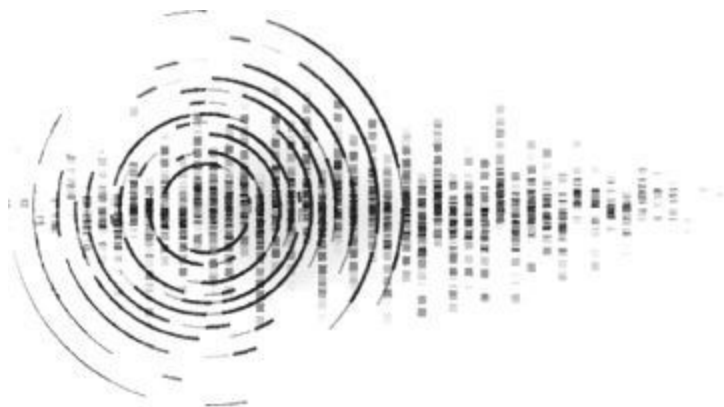


Powracały do niej echem, przyśpieszając jej lot. Musi być pierwsza. Dostrzegła światło, lecz zignorowała je i skupiła się na drzeniu w powietrzu.

Stało się wyraźniejsze.

Przerodziło się w rytmiczne, szybkie pulsowanie.





Opuściła głowę, wyciągnęła czułki i pędziła prosto w kierunku źródła dźwięku. W rozjaśniającym się tunelu klekotały ostrzejsze trzaski, prowokując ją do silnego zderzania odnóży, dodawania jej kadencji do chóru.

Z przodu ukazał się podrygujący kształt.

Spanikowane uderzenia ciągnęły ją w jego stronę.

Hałas roju penetrował ciało. Przez klatkę kości widziała walącą bryłę mięśnia. Podążała za chmurą dwutlenku węgla wydychanego przez cel i w końcu w nią wpadła.

Wylądowała na miękkiej skórze, znacznie delikatniejszej niż ta, którą nosiła w pradawnych wspomnieniach zapisanych w kodzie genetycznym. Kiedyś szukała większych ofiar, w których opancerzonych ciałach dudniło ogłuszające bicie.

Bez wysiłku wsunęła żądło w niestawiające oporu ciało. Mięśnie u podstawy odwłoku przeżyły się, głęboko wpompowując truciznę. Jej ofiara nie zareagowała. Jad nie miał sprawić bólu, tylko zapewnić kontrolę.

Po opróżnieniu woreczka jadowego odskoczyła, ale trzymała się blisko, trzepocząc skrzydłami nad celem. Rozsiewała nad nim sieć feromonów, znakując go jako swój. Inne matki, napęczniałe od jaj, poleciały w jasność, szukając żywicieli.

Ona krążyła.

Czulki kołysały się w powietrzu, gdy czekała.

Wciąż uderzała odnóżami, oceniając swoją ofiarę, upewniając się, czy ciało nie zostało uszkodzone przez wcześniejszą penetrację. Miała w odwłoku tysiące jaj. Każde zawierało wiele larw. Ich głód był jej głodem. Będą potrzebować mnóstwo mięsa, krwi, kości.

Chcąc im to zapewnić, czekała, aż trucizna spełni swoje zadanie.

Jej jad był przeznaczony do powalenia znacznie większej zdobyczy, więc nie trwało to długo.

Gdy słuchała, spanikowane pulsowanie stopniowo zwalniało, coraz słabsze.



Kawałek ciała w klatce kości drżał konwulsyjnie.

Nadszedł czas.

Znowu rzuciła się przez chmurę dwutlenku węgla i wylądowała na skórze. Wygięła odwłok. Jaja zajęły pozycję. Przy każdym użądleniu wstrzykiwała dziesiątki potomstwa.

A poskromioną ofiarę mogła dźgać bez końca.

Nie przestanie.

Mięsa jest mnóstwo.

Hana, Hawaje, wyspa Maui

7 maja, godzina 13.49 czasu miejscowego

Bez wątpienia to właściwe miejsce.

Pięć minut temu, gdy Gray zaparkował jeepa obok bananowca, usłyszał ciche krzyki niosące się po zalesionym zboczu. Obawiając się najgorszego, zostawił Palu, Kena i Kowalskiego, żeby się zorganizowali, zabrał ich ekwipunek i odjechał z Seichan na motorze.

Pochylał się nad kierownicą terenowej yamaha, poddając ciężkiej próbie opony i zawieszenie podczas ryzykownej wspinaczki wąskim szlakiem.

Seichan otaczała go ręką w talii. Drugą przytrzymała na ramieniu duży plecak z kocami ratowniczymi i apteczką, która zawierała między innymi autostrzykawkę z epinefryną.

Modlili się, żeby w porę dotrzeć do biwakowiczów, ale nagle krzyki ucichły.

Zbyt nagle.

Gray zgrzytnął zębami i wycisnął więcej mocy z czterosuwowego silnika. Wprawnie jechał po skalistym szlaku, niemal skacząc ze skały na skałę, czasami balansując na tylnym kole. Motocykl skarżył się warkliwie i wyrzucał spod tylnego koła fontanny błota.

Komandor przeszukiwał wzrokiem szlak.

Palu mniej więcej wskazał, gdzie są jaskinie wulkaniczne.

„Jedź szlakiem. Patrz, gdzie las przejdzie w zarośla bambusowe”.

Hawajczyk przestrzegł ich przed niebezpiecznym terenem. Labirynt tuneli w wielu miejscach się zapadł, więc na zboczu nie brakowało ukrytych szczelin i jam. Główne wejście, największy otwór, który Palu nazwał *puka*, znajdował się blisko małej, zasilanej przez źródło sadzawki.

Tam mieli się spotkać.

Palu i Kowalski pieszo śpieszyli za motocyklem, obaj z butlami propanu wyposażonymi w zapalniki iskrowe i zegary, uzyskanymi dzięki uprzejmości straży pożarnej.

To profesor Matsui wyznaczył taki kierunek działania. Plan polegał na wrzuceniu butli w różne świetliki w tunelach. Jeśli rój ukrył się pod ziemią, cel zespołu był dwojaki: wyrządzić osom jak największe szkody i rozproszyć te, które przeżyją. Ken miał nadzieję, że taka akcja opóźni rójkę.

Był to całkiem niezły plan.

Mógł zapewnić wyspie trochę czasu.

Oczywiście pod warunkiem, że już nie jest za późno...

Mogąc się o tym przekonać tylko w jeden sposób, Gray jechał coraz wyżej. Po kolejnej minucie ostro skręcił i las w cudowny sposób się zmienił. Drzewa i paprocie zostały w tyle, zastąpione przez dużą połąć zielonych bambusów. Mocne łodygi zdawały się maszerować przed nim we wszystkich kierunkach. Wśród kołyszących się szmaragdowych liści wisiała mgła.

Gray, widząc tę nagłą zmianę, ze świstem wciągnął powietrze.

Rozproszony, nie zauważył postaci chwiejnym krokiem wybiegającej z lasu. Mężczyzna upadł, uderzając barkami w bambusy po drugiej stronie ścieżki, i zniechęcił się.

Komandor ostro zahamował.

Chcąc uniknąć zderzenia, zjechał ze szlaku i wpadł w wysoki gąszcz paproci. Motocykl się przewrócił i Gray z Seichan wylecieli z siodelka. Zgodnie z zaleceniem profesora oboje mieli na sobie stroje pszczelarzy, które trochę zamortyzowały uderzenie.

Gray szybko się pozbierał i poprawił kapelusz z siatką.

Seichan wyciągnęła plecak z bujnego podszycia lasu.

Ruszyli ku mężczyźnie leżącemu na szlaku.

Pierwszy dotarł do niego Gray. Opadł na kolano. Mężczyzna był po pięćdziesiątce, łysiejący, wąsaty. Zapewne organizator wycieczki, Emmet Lloyd. Jego głowa kiwała się bezwładnie. Z ust ściekała ślina.

Gray chwycił go za policzki.

– Panie Lloyd, gdzie są pozostali?

Emmet może go słyszał, ale jego oczy nie chciały się skupić. Miał ogromne źrenice.

Odurzenie albo wstrząs...

Seichan przykucnęła obok niego. Miała otwartą apteczkę i już trzymała autostrzykawkę. Wbiła igłę w szyję mężczyzny, wstrzykując do organizmu epinefrynę.

Profesor Matsui, który zbadał toksyny znalezione w jadzie os – w tym się specjalizował – przestrzegł ich przed trucizną w żądlach wielkich matek.

„Potężna neurotoksyna”.

Epinefryna nie była lekiem, ale Ken powiedział, że powinna nieco osłabić skutki użądlenia.

– Panie Lloyd – powtórzył Gray.

Źrenice jakby zareagowały, ale mężczyzna pozostał oszołomiony i bezwładny.

– Gray! – rzuciła ostrzegawczo Seichan.

Zwrócił uwagę na jej ton i odwrócił się. Stała i wskazywała ręką w mglisty las. W dali od kępy paproci oderwała się kolumna ciemnego dymu. Usłyszeli niskie brzęczenie.

Rój.

Osy porzucały podziemne kryjówki, prawdopodobnie wywabione przez hałaśliwy warkot motocykla. Gray wyobraził sobie labirynt jaskiń wulkanicznych.

Zerknął w prawo. W białej mgłę kotłowało się więcej cieni.

Spóźnili się.

Z powrotem skupił uwagę na Emmecie i uderzył go w twarz.

I jeszcze dwa razy.

W końcu mężczyzna z irytacją skrzywił usta.

– Gdzie pozostali? – zapytał Gray.

Po długiej chwili drżąca ręka uniosła się i machnęła w górę szlaku. Ze zwiotczonych ust popłynęły niewyraźne słowa:

– Na górze...

– Ilu?

Wydawało się, że udzielenie odpowiedzi wymaga wszystkich sił.

– Dwoje... – wykrztusił mężczyzna. – Mąż, żona...

– Nie mamy czasu, żeby ich szukać – powiedziała Seichan ponuro.

Miała rację, ale jak mogli ich zostawić?

Usłyszeli nowy hałas za plecami. Oboje się odwrócili – zjawiał się Palu, truchtający w stroju pszczelarza. Miał butle w obu rękach i niósł je jak dwie poduszki. Jedynym znakiem wysiłku była warstewka potu połyskująca na jego opalanej twarzy.

Pomimo sytuacji błysnął zębami w uśmiechu.

– Proszę bardzo, *brah*.

Kowalski przydreptał za nim, zasapany, ledwie trzymając się na nogach. Rzucił butle i wsparł ręce na kolanach. Z jego ust płynęła nieprzerwana litania przekleństw.

– Chrystewszechmogącykurwatwojamać...

Gray wskazał rój wylatujący ze szczelin i otworów.

– Rozmieścimy ładunki. Zegary na pięć minut. Nie możemy pozwolić, żeby uciekło ich więcej.

Powodzenie planu zależało od zaskoczenia roju wtedy, gdy większa jego część będzie przebywać pod ziemią. Profesor powiedział, że osy przyciąga słodka woń propanu i często budują gniazda w pobliżu płomyków w kotłach gazowych. Propan jest wprawdzie bezwonny, ale producenci nadają mu zapach, żeby ostrzegał właścicieli domów przed wyciekami.

Planowali odkręcić butle, wrzucić je do labiryntu tuneli i pozwolić, żeby ciężki gaz rozszedł się w jaskiniach wulkanicznych, zanim się zapali. Jeśli zdołają umieścić butle dość szybko, zapach zwabi osy – przy odrobinie szczęścia tak blisko, że wybuch unicestwi je wszystkie.

Kowalski z jękiem włókł butle.

– Do roboty! – rzucił.

Palu się zawahał.

– Gdzie są ci biwakowicze? – spytał.

Gray wskazał ścieżkę.

– Na górze. Mąż i żona.

– Znam ten szlak. – Wielki Hawajczyk skinął na Kowalskiego. – Wrzucimy butle do tuneli, a później ich poszukamy.

Komandor wyobraził sobie nadciągającą burzę ognia.

– Pięć minut – przypomniał Kowalskiemu i Palu. – Czy ich znajdziecie, czy nie, zabierajcie dupy na dół, zanim czas się skończy.

Gdy odeszli, spojrzął na Emmeta. Schylił się i zarzucił bezwładnego mężczyznę na ramię. Kiedy się wyprostował, zobaczył, że Kowalski człapie w kierunku jednej z kolumn dymu, odganiając osy z drogi. Dotarłszy dostatecznie blisko, rzucił zbiornik w niewidoczną ze szlaku jamę.

Palu wziął z niego przykład, po czym razem poszli w górę zbocza, szukając kolejnych miejsc na umieszczenie ostatnich ładunków.

Komandor poprawił swój strój pszczelarza i ruszył na dół.

Seichan podeszła do motocykla.

Zanim Gray zdążył zrobić trzy kroki, Emmet się poruszył, niemrawo machając rękami.

– Nie, czekaj...

Gray przystanął i obrócił głowę.

– Co?

– Chłopiec... Benjie... – Mężczyzna wskazywał tam, skąd wybiegł z lasu. – Wpadł do dziury.

Seichan, która to usłyszała, westchnęła z irytacją.

– Pójdę go poszukać – rzuciła.

Gray się zawahał, ale spiorunowała go wzrokiem.

– Idź. – Postukała w tarczę zegarka.

Spojrzał na swój i ruszył na dół.

Pięć minut...

Zaczęło się odliczanie.

## Godzina 14.07

Seichan przedzierała się przez gęste poszycie z wrażeniem, że brnie przez bagno. Smagały ją paprocie, ciernie próbowały rozedrzeć polinyłonowy kombinezon, a błoto zasysało gumowe buty.

Sfrustrowana, miała ochotę ściągnąć ograniczający swobodę ruchów strój, ale przecież nie była na moczarach i to nie komary brzęczały w powietrzu. Odpędzała osy od siatki osłaniającej twarz i strzepywała te większe z ramion i piersi. Jej zaufanie do kombinezonu miało swoje granice. Dobrze pamiętała słowa Matsuiego, że ofiary os w prehistorycznej przeszłości były znacznie lepiej opancerzone niż ona.

Poza tym wystarczyło się rozejrzeć, żeby pamiętać o zachowaniu nadzwyczajnej ostrożności. Ziemię zaścielały małe ptaki, niektóre wciąż poruszające skrzydłami. Po prawej stronie nad krzakami sterczało poroże, znacząc miejsce, gdzie podobny los spotkał nakrapianego jelenia. I to, co uznała za omszały głaz, w rzeczywistości było powalonym dzikiem, którego z łatwością rozpoznała po zakrzywionych żółtych szablach.

Najwyraźniej osy były bardzo zajęte.

Świadoma niebezpieczeństwa, zapaliła wyjętą z kieszeni plecaka latarkę. Nie szczydziła starań, żeby jak najszybciej przechodzić od jednej kolumny do drugiej.

Do licha, dzieciaku, gdzie jesteś?

Co chwilę spoglądała na zegarek.

Zostały trzy minuty.

Nie chciała tu być, kiedy butle wybuchną. Miała jednak przed oczami przerażone dziecko uwięzione w tych ognistych tunelach i w jej piersi zrodził się gniew. Przeklęła rodziców za narażanie syna, choć przecież nie mogli przewidzieć tej sytuacji.

Mimo wszystko...

Przebiła się do następnej szczeliny i wpadła w buczącą chmurę zderzających się os. Zobaczyła sporej wielkości otwór. Zaświeciła w głąb na znajdujące się jakieś cztery metry niżej dno.

Nie dostrzegła niczego poza osami, które łączyły po każdej powierzchni.

Już się odwracała, gdy snop światła padł na drugą stronę zagłębienia i ujrzała w błocie mały odcisk buta, może tenisówki. Krawędź jamy wyglądała na świeżo wykruszoną.

Klnąc pod nosem, wróciła do badania tunelu. Ze swojego miejsca widziała tylko dno pod otworem. Przerażony, spanikowany chłopiec mógł się wczołgać głębiej. Wystarczyło parę metrów, żeby zniknął z pola widzenia.

Był tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Wiedziała, że zeskoczy z łatwością, ale wydostanie się będzie problemem. Miała w plecaku linę, uznała jednak, że rozwinięcie jej i przywiązanie do pnia zajmie zbyt dużo czasu.

Sięgnęła do talii. Nauczona doświadczeniem – po nocnym zaskoczeniu bez broni na tyłach domu – tym razem była w pełni przygotowana. Pod kombinezonem w pochwach na nadgarstkach i łydkach miała ukryte noże do rzucania. Do tego zadania wyjęła zza pasa duży chiński tasak.

Wybrała bambus grubości swojej ręki. Świeżo naostrzony nóż za pierwszym razem przeciął lodygę. Chwyciła ją, gdy się przewracała, zaniósła do jamy i opuściła na dół.

Dwie minuty.

Złapała zroszoną zieloną tyczkę, okręciła się wokół niej i zsunęła. Jej stopy opadły na matę os. Zignorowała niespokojną i żywiołową reakcję owadów na swoje wtargnięcie. Osy zerwały się ze ścian i wzbiły się głębiej w tunelach.

Kucnęła w obronie przed ich atakiem i zaświeciła w głąb tunelu.

Najpierw w jedną, potem w drugą stronę.



Przez wirującą chmurę dostrzegła błysk białej skóry i mały czerwony trampek.  
Benjie.

Wyciągnęła dłoń w gumowej rękawiczce, złapała go za kostkę i przyciągnęła bezwładne ciało. Nie miała czasu sprawdzić, czy żyje. Podniosła chłopca i zarzuciła go na ramiona jak strażak.

Przykucnęła i wybiła się. Oplotła bambusową tyczkę nogami. Używając butów jak kleszczy, zaczęła się podciągać. Poszłoby dobrze, gdyby świeżo ścięty koniec bambusa nie zatańczył w dzikim ślizgu na nierównym wilgotnym podłożu.

Przekreśliła się na bok, mocno uderzając w ścianę. Utrzymała się, ale koniec tyczki sunął dalej przez kilka sekund – aż znalazł punkt oparcia.

Wisiała długą chwilę, żeby zyskać pewność. Wewnętrzny zegar w jej głowie odliczał sekundy.

Mniej niż minuta.

Ruszyła na górę.

Jeszcze tylko metr.

Nagle w jej boku wybuchnął palący ból.

Zaskoczona, zsunęła się po tyczce. Zanim buty uderzyły w ziemię, mocno zaciśnęła palce, hamując upadek. Gdy balansowała z bezwładnym chłopcem, zerknęła w dół. Spostrzegła trójkątne rozdarcie w kombinezonie.

Rozdarł go ostry kamień, gdy uderzyłam w ścianę, uzmysłowiła sobie.

Osa – jedna z dużych wojowniczek – wypełzła z rozdarcia i odleciała, wykonawszy zadanie.

W oczach Seichan wezbrały łzy; cierpiała katusze.

Spojrzała w górę, mrugając.

Tak daleko...

Jej jedyna szansa na ucieczkę polegała na porzuceniu chłopca i jak najszybszej samotnej wspinaczce.

Czuła na szyi bicie jego serca, jakby ją błagał, żeby go nie zostawiała.

Wybacz...

Godzina 14.11

Gray stał pod pióropuszem liści bananowca i patrzył na porośnięte lasem zbocze Haleakali. Nie musiał spoglądać na zegarek. Z każdą mijającą sekundą jego serce biło coraz mocniej.

Z boku Ken klęczał obok oszołomionego Emmeta, który siedział oparty plecami o pień drzewa. Profesor przyciskał dwa palce do szyi przewodnika, badając puls.

Z lasu dobiegał trzask.

Gray wyprostował ramiona, gdy dwie rosłe postacie wpadły w pole widzenia, biegnąc przez las na łeb na szyję.

Kowalski i Palu.

Każdy z nich niósł kogoś na ramieniu.

– Znaleźliśmy ich. – Kowalski wyhamował z poślizgiem, sapiąc jak byk.

Profesor skinął na nich ręką.

– Dawać ich tutaj!

Kowalski albo go zignorował, albo opuściły go siły. Położył kobietę na zasłanej liśćmi ziemi i zadyszany klapnął na tyłek.

– Możesz przyjść tutaj.

Palu złożył swój ładunek obok kobiety.

Gray podszedł do nich, ale wciąż wpatrywał się w las.

– Gdzie Seichan?

– To znaczy? – spytał Kowalski, prostując plecy.

Komandor uświadomił sobie, że przecież on i Palu odeszli, zanim Seichan wyruszyła na poszukiwanie chłopca.

Hawajczyk zmarszczył czoło, patrząc tam gdzie on.

– Nikogo nie widzieliśmy w czasie schodzenia. Ale szliśmy *wikiwiki...* bardzo szybko.

Gray zrobił krok w stronę lasu.

W takim razie, do licha, gdzie...

Grzmiąca eksplozja ucięła jego niewypowiedziane pytanie.

## Godzina 14.12

Seichan turlała się po wilgotnych paprociach, rozmyślnie mocząc ubranie w przygotowaniu na wybuch i palący żar. Dwa metry za nią wystrzeliła w niebo spirala niebiesko-pomarańczowego dymu.

Leżała, patrząc na otaczające ją tornado. Wokół eksplodowały wirujące kolumny płomieni. Wyobraziła sobie ogień wypalający labirynt tuneli, płomienie wybuchające przez liczne otwory i szczeliny.

Odczołgała się, na wpół ślepa i głucha. Czuła pod sobą drżenie ziemi. Skała wulkaniczna była pocięta przez tunele i jaskinie. Siła eksplozji w zamkniętych przestrzeniach musiała jeszcze bardziej osłabić podłoże.

Gdy uciekała, otwierały się nowe szczeliny, wyrzucając dym, migocząc gasnącymi płomieniami. Drzewa się przewracały, bambusy kołysały.

Przedzierała się do szlaku. W pewnym momencie straciła kapelusz z siatką ochronną, ale na szczęście dym i gorąco przepędziły rój. Wreszcie dotarła do celu, starając się osłaniać chłopca własnym ciałem.

Porzucenie dziecka ani przez chwilę nie wchodziło w rachubę.

Szczególnie teraz.

Wcześniej, nie wiedząc, czy przeżyje, w milczeniu wyraziła żal – „Wybacz...” – ale przeprosiny były skierowane do Graya, bo dla dobra tego chłopca postanowiła zaryzykować wszystko, łącznie z ich wspólnym życiem.

Chociaż w głębi duszy wiedziała, że ryzykowała znacznie więcej, i gnębiło ją podwójne poczucie winy. Nie miała prawa...

Ziemia podskoczyła, przypominając Seichan, że jeszcze nie jest bezpieczna.

Mocniej chwyciła chłopca i biegła dalej. Dostrzegła błysk metalu i czarną gumową oponę. Motocykl.

Położyła chłopca na szlaku, przyprowadziła motor, oparła go o drzewo i podniosła dziecko. Chwilę później wsiadła na motocykl i posadziła chłopca na kolanach, opierając jego głowę na swoim ramieniu. Ścisnęła go ramionami, żeby sięgnąć do kierownicy.

Trzymaj się, Benjie... już niedługo.

Silnik zaskoczył przy trzecim kopnięciu. Seichan niemal zapłakała z ulgi, gdy tłoki w końcu ruszyły i maszyna zawarczała. Zanim wystartowała, góra gwałtownie zadygotała, niemal ją przewracając. Seichan spojrzała w prawo i zobaczyła, że zbocze się zapada, tworząc wielką dymiącą jamę, która szybko się powiększała, jakby chciała ją pochłonąć.

Pochyliła się nad chłopcem, dodała gazu i popędziła.

Gdy udało jej się dotrzeć wystarczająco daleko, świat wokół niej stał się jednocześnie mglisty i zbyt jasny. Potrząsnęła głową, co tylko sprawiło, że zaćmiło się

jej w oczach. Kolory zlały się wokół niej. Ścieżka i las rozpadły się w kalejdoskop strzaskanych obrazów, wirujących, wyraźniejszych i rozmytych.

Już nie wiedziała, czy jedzie pod górę, czy na dół.

Ani czy w ogóle się przemieszcza.

Gdy świat stracił znaczenie, przytuliła chłopca do piersi.

Wybacz...

Tym razem przeprosiny były skierowane do niego.

Zawiodła go.

## Godzina 14.24

Jeszcze zanim przebrzmiało echo wybuchów, Gray, Kowalski i Palu rzucili się w górę zbocza. Biegli w gęstym dymie, który spływał w las na dole i utrudniał zobaczenie czegokolwiek. Ziemia dygotała pod ich nogami; skały wulkaniczne pękały z grzmiącym trzaskiem, jakby góra rozdzierała się na kawałki.

Gray, spanikowany, słyszał w uszach dudnienie swojego serca.

Nagle przebiło się przez nie znajome zawrozczenie silnika.

Zatrzymał się na szlaku.

Z całunu dymu wystrzelił motocykl. Pędził prosto na nich. Gray z początku pomyślał, że Seichan garbi się nad kierownicą z typową dla niej zacieklą determinacją. Później zobaczył, że siania się na siodełku. Jedną ręką trzymała siedzącego na kolanach chłopca, drugą słabo zaciskała na kierownicy.

Wyglądała na ledwie przytomną, prawdopodobnie utrzymywana we względnie pionowej pozycji tylko przez odruch i żyroskopową równowagę pędzącej maszyny.

Gdy znalazła się bliżej, nie zwróciła na nich uwagi, mimo że Kowalski krzyczał i machał rękami. Motocykl coraz szybciej pędził w ich stronę.

Komandor i jego towarzysze przed chwilą wgramolili się na strome urwisko, pokonawszy szereg ryzykownych zakrętów.

Motocykl mknął prosto ku krawędzi urwiska.

– Z drogi! – ryknął Gray.

Kowalski i Palu zeskoczyli ze szlaku.

Gray zrobił to samo, ale zatrzymał się blisko ścieżki. Zaparł się nogami, napinając mięśnie. Miał tylko jedną szansę.

Skoczył, gdy motocykl się z nim zrównał, i uderzył barkiem w Seichan, zahaczając ramieniem również chłopca. Ściągnął oboje z siodełka i razem potoczyli się w płataninie rąk i nóg na kępę paproci po drugiej stronie szlaku. Motocykl jechał dalej i po chwili przemknął nad krawędzią urwiska. Szybował daleko, zanim w końcu się przechylił i spadł w las na dole.

Gray szybko sprawdził stan Seichan i chłopca.

Oboje wydawali się cali, ale byli nieprzytomni.

Kowalski i Palu podbiegli do niego. Obaj mieli zatroskane miny.

Komandor machnął ręką, wskazując w dół zbocza.

– Pomóżcie mi zabrać ich do jeepa.

Palu wziął chłopca, a Kowalski i Gray zajęli się Seichan. Po kilku minutach marszu ujrzeli bananowca.

– Chwała Bogu, jesteście cali i zdrowi! – zawołał Ken, który wybiegł im na spotkanie.

Wcale nie jestem tego taki pewny, pomyślał Gray, kładąc Seichan na ziemi.

– Profesorze, co im jest? – spytał, pokazując rodziców chłopcu.

Ken spojrzał na nich.

– Zdecydowanie porażeni neurotoksyną z żądła matki – orzekł. – Z czasem powinni dojść do siebie.

Gray wyczuł, że naukowiec nie mówi mu wszystkiego.

– Co jeszcze?

– Podczas waszej nieobecności obejrzałem przez lupę skórę pana Lloyda. Jest pożądlony, ale bez typowych czerwonych obrzmień, które otaczają bolesne ukąszenia wojowniczek.

Gray pamiętał, jak profesor mówił, że matka wiele razy kłuje gospodarza, żeby złożyć jaja.

– Uważasz, że został zainfekowany.

– Być może tych dwoje też. – Mówił o rodzicach Benjiego.

Komandor spojrzał na Seichan i Ken odczytał jego myśli.

– Ci dwoje byli jakiś czas na górze, nieprzytomni i unieruchomieni. Samica oszeka, aż żywiciel zostanie obezwładniony, zanim złoży jaja.

Więc jest nadzieja, pomyślał Gray.

Już miał uklęknąć obok Seichan, gdy potwornie wielka osa wypełzła z rozdarcia w jej kombinezonie i przysiadła; jej brzęczące skrzydła rozmywały się w smugę.

Gray rozpoznał owada na podstawie zdjęć profesora.

Matka.

Kowalski strącił ją na ziemię i rozgniół obcasem w oleistą czarną plamę.

Gray spojrział na Kena. Zdesperowana mina naukowca była wystarczającą odpowiedzią na niewypowiedziane pytanie komandora.

Nadzieja przepadła.

# 16

Hana, Hawaje, wyspa Maui

7 maja, godzina 15.38 czasu miejscowego

Po bezpiecznym powrocie do domu zmartwiony Ken stał na werandzie z rękami skrzyżowanymi na piersi. Oceaniczna bryza wraz z aromatem ogrodu niosła zapowiedź przedwieczornego deszczu. Idylliczna sceneria surowo kontrastowała z ciemnym całunem przywierającym do zbocza Haleakali.

Drżenie ziemi ustało i płomienie zgasły w wilgotnych lasach, ale Ken wiedział, że prawdziwe zagrożenie dla wyspy wcale nie minęło. Z niecierpliwością chciał poznać jego skalę, ale najpierw musiał się zająć innymi sprawami.

Ambulans, który zabrał rodzinę Simmonsów i organizatora wycieczek, zawrócił na żwirowym podejździe i skierował się ku drodze. Gdy w szaleńczym tempie zjeżdżali z góry, Palu wezwał przez radio sanitariuszy i kazał im czekać przed domem. Wprawdzie neurotoksyna przestała działać, ale poszkodowani wymagali dalszej opieki medycznej.

Palu skontaktował się ze swoim szefem i dopilnował, żeby poszkodowani zostali umieszczeni w izolatkach miejscowego szpitala. Wiedział, że należy ocenić i monitorować zarażenie pasożytami.

Ken napiął ramiona, mając przed oczami przerażoną twarz chłopca, jego łyż. Rodzina, chociaż na wpół przytomna, trzymała się razem. Nie wyjaśnił im, w jakim naprawdę są stanie.

To mogło zaczekać.

Wiedział jednak, że jego powściągliwość wynika bardziej niż ze szczerego współczucia z tchórzostwa... i z wyrzutów sumienia.

Gdybym wcześniej wszczął alarm w związku z tym zagrożeniem...

Siatkowe drzwi za jego plecami się otworzyły.

Stał w nich Gray.

– Seichan oprzytomniała na tyle, żeby odpowiedzieć na parę pytań, jeśli jesteś gotowy.

– Tak... jestem.

Profesor podszedł do drzwi. Gray krzepiąco ścisnął jego ramię, jakby mówiąc: „Jesteśmy w tym wszyscy razem”. Ken doceniał ten gest, ale wiedział, że tylko jedna osoba w ich grupie jest wyjątkowo zagrożona.

Seichan siedziała przy kuchennym stole. Miała popielatą skórę i szkliste oczy. Ścisnęła w dłoniach kubek kawy. Wcześniej Ken był z nią szczery. Zażądała tego; już podejrzewała najgorsze, gdy walczyła z otumanieniem spowodowanym przez toksynę.

Ken nalegał, żeby pojechała z innymi ambulansem, mając na uwadze jej zdrowie, a także zagrożenie, jakie mogła stanowić... Za trzy dni.

Odmówiła.

Gray usiadł na krześle blisko niej.

– Powiedz Kenowi to, co mówiłaś mnie.

Zapatrzyła się w parującą głębię kubka.

– Kiedy szukałam chłopca, widziałam leżące dokoła zwierzęta. Jelenia, dzika, setki ptaków.

– Żywe czy martwe? – zapytał profesor.

– Co do większości nie jestem pewna, ale niektóre jeszcze się ruszały.

– To niedobrze, ale też mnie nie zaskakuje. – Ken powoli usiadł, przyswajając sobie te informacje. – Jak już mówiłem, Odokuro nie są wybredne, jeśli chodzi o wybór gospodarzy. Z twoich słów wynika, że część tutejszej fauny już jest zainfekowana.

– Co zrobimy? – zapytał Gray.

Ken zmarszczył czoło.

– Trzeba wysłać ekipy na górę, spalić każde martwe zwierzę, chociaż nie wiem, czy to coś da. Większość zainfekowanych zwierząt otrząśnie się z neurotoksyny i rozpiezchnie. Co gorsza, osy, które przeżyły, w końcu znajdą nowe schronienie i proces zacznie się od nowa.

– Co to oznacza? – zapytał Gray.

– Że jest już za późno. – Odpowiedzi udzieliła Aiko Higashi, która z nieodgadnionym wyrazem twarzy stała wyprostowana po drugiej stronie stołu. – Osy złożyły jaja, więc musi się zacząć odliczanie. Za trzy dni nie będziemy mieli innego wyjścia, jak zamienić Hawaje w zaporę ogniową. Nie wolno dopuścić, żeby ten organizm opuścił tutejsze brzegi.



Profesor przypomniał sobie płomienie spowijające brazylijską wyspę.

Twarz Graya stężała. Najwyraźniej nie miał zamiaru się poddać.

– Profesorze, czy jest jakiś sposób na wytopienie larw w ich środowisku? Czy mają jakąś słabość, którą możemy wykorzystać, żeby zyskać na czasie?

Ken zauważył, że ręka Graya spoczywa na udzie siedzącej obok niego kobiety. Uznał, że dla niego ta sprawa ma także wymiar osobisty.

– Powtarzam, miałem za mało czasu na zbadanie tego gatunku. Próbowałem zwyczajnych środków. Jak ivermectin, lek skuteczny przeciwko szerokiemu wachlarzowi pasożytów wewnętrznych. – Pokręcił głową. – Bez powodzenia. Nic nie zadziało.

Seichan wbiła w niego spojrzenie.

– Co się stanie?

Naukowiec odwrócił wzrok. Kusiło go, żeby złagodzić prawdę, ale wiedział, że tej kobiecie zależy na brutalnej szczerości.

– Obejrzałem twoją skórę, gdy byłaś nieprzytomna. – Starał się mówić tonem pozbawionym emocji, ale głos mu się załamywał. – Zna... znalazłem ponad sto ukąszeń. Oceniam liczbę złożonych jaj na ponad kilka tysięcy. – Zerknął na nią przepaszająco.

– Mów dalej – poleciła mu.

– Prawdopodobnie kilka minut po wszczepieniu z każdego jaja wylęło się po dwadzieścia larw. Są mikroskopijne i będą przebijać się głębiej. Przypuszczam, że przez najbliższe dwadzieścia cztery godziny nie doświadczysz objawów klinicznych.

– A jutro?

– Rozpoczną drugi etap. Będą wtedy wielkości mniej więcej ziarnka ryżu. Wtedy zaczną powodować prawdziwe szkody. Na szczęście omijają ważne organy wewnętrzne, trzymając się z daleka od ośrodkowego układu nerwowego i serca. Nie jestem pewien, jak to robią. – Spojrzał jej prosto w oczy. – To będzie bolesne... chociaż nie tak straszne jak trzeciego dnia.

– Kiedy zaczną się wwiercać w moje kości – dodała ze stoickim spokojem.

Ken pomyślał o szczurach, których używał jako żywicieli w laboratorium w Kioto. Na tym etapie wiły się z bólu, gryząc same siebie. Niektóre rozdzierały sobie brzuchy, jakby chciały dosięgnąć źródła bólu. Opioidy nie uśmierzały ich męczarni. W końcu je uśpił i nie pozwolił, żeby się wybudziły w czasie pozostałych koszmarnych etapów.

– Będzie coraz gorzej – oznajmił.

– A na końcu? – zapytała.

Pokręcił głową. Nie mógł być aż tak szczery. Zamknął oczy, lecz wciąż widział dogorywające gryzonie. Trzecie i czwarte instary spustoszyły ich wnętrza, zanim je w końcu zabiły. Później zewnętrzna powłoka chroniła rozwijające się poczwarki. Po kilku dniach dorosłe osobniki wyszły z kokonów i wygryzły sobie drogę z martwych żywicieli.

Niestety, na własne oczy widział te przerażające narodziny. Wiedział, że nigdy nie zapomni tego widoku. Ciała szczurów kłębiły się od środka, jakby gryzonie wciąż żyły. To, co nastąpiło później, nawet w tej chwili przyprawiło go o drżenie.

Gray spostrzegł jego udręczoną minę.

– Musimy to powstrzymać, zanim będzie za późno – oświadczył.

Ken przełknął ślinę.

– Jak mówiłem, nie zadziałało nic, co wypróbowałem. Nie jestem pewien, czy odniósłbym sukces, nawet gdybym miał więcej czasu. Kiedy pasożytnicze larwy raz wgryzą się w tkanki, lekarstwa często są bezużyteczne. – Dla wyjaśnienia zadał pytanie: – Słyszeliście o musze śrubowej?

Palu zmarszczył czoło.

– Mucha śrubowa?

– *Cochliomyia hominivorax*. Składa jaja w ranach i larwy żerują w mięśniach gospodarza. Mogą go nawet zabić, jeśli się nie podejmie natychmiastowego leczenia.

– Jakiego leczenia? – zapytał Gray.

– Tylko chirurgicznego. Po prostu trzeba je wydłubać. Żadne lekarstwo nie może ich zwalczyć.

Gray spojrział na Seichan.

– Może zatem operacja... – zaczął, lecz Ken zgasił tę iskrę nadziei.

– Mucha śrubowa wgryza się płytko. Nie jak te larwy, które wkopują się głęboko, poza zasięg skalpela.

W powietrzu zawisła rozpacz.

Aiko, jakby czekała na tę chwilę, podeszła i oparła się o krzesło.

– Profesor Matsui powiedział, że pracował nad Odokuro tylko przez dwa miesiące. Ale jeśli historia z Waszyngtonu jest prawdziwa, ta o tym, co skradziono tam podczas drugiej wojny światowej, może to oznaczać, że ktoś zajmował się tymi osami od dziesiątków lat. Nasuwa się pytanie: dlaczego czekał z wypuszczeniem ich do teraz?

Nikt nie odpowiedział.

– Bo coś się zmieniło – podjęła. – Najprawdopodobniej dopiero niedawno znaleźli sposób umożliwiający kontrolowanie tego potwora. Może nawet opracowali lekarstwo.

Spojrzała na Seichan.

Ken ściągnął brwi.

– Nawet jeśli masz rację, to gdzie mamy zacząć szukać? – spytał.

Aiko wygięła usta w nieznacznym uśmiechu.

– Mam pewien pomysł.

– Jaki? – rzucił Gray.

– Zacznę od podkreślenia, że to, co powiem, opiera się na założeniach, które oczywiście mogą być błędne.

– Innymi słowy, stoimy na naprawdę twardym gruncie – parsknął drwiąco Kowalski.

Japonka go zignorowała.

– Przedyskutowałam to z kapitanem Bryant podczas waszej nieobecności.

– Rozmawiałaś z Kat? – zdziwił się Gray.

Skinęła głową.

– Połączyłyśmy siły. Znamy zasięg cennych użytych do dostarczenia rojów. Obie podejrzewamy, że ta sprawa ma związek z Japonią. Dlatego Kat sporządziła listę japońskich firm, które dzierżawią albo mają powiązania finansowe z wyspami leżącymi w zasięgu tego typu samolotów.

– I? – ponaglił ją Gray.

– Jest zaskakująco dużo możliwości. Azja poważnie inwestuje w całej Polinezji, między Chinami i Japonią trwa zaciepła rywalizacja. Ale jedno miejsce wzbudziło nasze szczególne podejrzenia. Pewien koncern farmaceutyczny kupił małą wyspę. Atol, ściślej mówiąc.

Wyjęła z kieszeni mapę i rozłożyła ją na stole. Zatytułowana PÓŁNOCNO-ZACHODNIE WYSPY HAWAJSKIE, ukazywała długi na półtora tysiąca kilometrów łańcuch wysepek na Oceanie Spokojnym, sięgający za Midway.

– Ten atol nie został naniesiony na mapę, bo jest zbyt mały, ale leży w pobliżu wyspy Laysan – wyjaśniła Aiko.

Postukała w mapę.

Palu podszedł bliżej.

– Znam te wyspy. Czasami żeglowałem tam z moim brachem. Bardzo ładne. Bardzo prywatne. Nieczęsto ktoś się tam zapuszcza.

– Większość wysp jest bezludna – potwierdziła Aiko.

Gray dołączył do Hawajczyka i pochylił się nad mapą.

– Ale dlaczego akurat ten atol wzbudził podejrzenia?

– Po pierwsze, dzierżawiąca go firma jest konkurentem Tanaka Pharmaceuticals, koncernu, który sfinansował badania profesora Matsuiego.

Aiko spojrzała na niego, ale nie potrzebował przypomnienia, że sponsorzy jego niefortunnej wyprawy badawczej na Queimada Grande mogli mieć jakiś swój mroczny cel, a jego wykorzystali jako nieświadomego pionka w grze szpiegostwa przemysłowego.

– Po drugie – ciągnęła Aiko – na tym atolu kiedyś znajdowała się stacja LORAN amerykańskiej Straży Wybrzeża. Pozostał po niej zaniedbany pas startowy i kilka opuszczonych budynków.

– Które po zmodernizowaniu mogłyby być dogodną bazą wypadową – wtrącił Gray.

– O jakiej firmie mówisz? – zapytał Ken.

– O tej, którą od kilku lat mamy pod lupą, chociaż z powodów, które chyba nie mają związku z obecną sprawą. Handel na czarnym rynku. Malwersacje finansowe.

– Aiko pokręciła głową, wyraźnie zirytowana. – Może nigdy ich nie przyszpilimy. Głównie dlatego, że japońskie prawo faworyzuje korporacje.

Ken wiedział, że to prawda.

– Jak się nazywa ten koncern?

– Fenikkusu Laboratories – odparła Aiko.

Odchylił się na krześle. Rozpoznał nazwę, która dopiero teraz nabrała dla niego większego znaczenia.

– O co chodzi? – zapytał Gray.

– *Fenikkusu* to po japońsku feniks – wyjaśnił profesor.

Aiko skinęła głową.

– Nieśmiertelne stworzenie odradzające się z popiołów.

– Ciekawe, skąd wzięli pomysł na taką nazwę – burknął Kowalski.

Japonka wzruszyła ramionami.

– Ale, jak zaznaczyłam, to tylko domysły i być może przypadkowa zbieżność. Na takiej podstawie nie możemy urządzić nalotu na ośrodki należące do Fenikkusu Laboratories.

– Dopóki nie znajdziemy twardych dowodów – dodał Gray.

Spojrzała na mapę.

– Które być może są na wysepce pośrodku Pacyfiku.

– W takim razie ruszajmy – zdecydował Gray.

Ken niemal widział kółka obracające się w jego głowie.

– Powiniennem wam towarzyszyć – powiedział Palu. – Znam te wyspy. Poza tym mam na Midway kuzynów, którzy mogą pożyczyć nam łódź. I zapewnić wiarygodną przykrywkę.

Gray powoli pokiwał głową, wyraźnie gotów przyjąć propozycję.

– Ja też – oświadczyła Seichan, wstając.

Oczy Graya zabłyszczały.

– Może lepiej, żebyś...

– Ruszam z wami.

Ken, który wiedział, co ją czeka, spróbował interweniować.

– Na razie powinnaś przebywać w izolacji. Jeśli nie w centrum medycznym, to przynajmniej tutaj.

Przeszyła go wzrokiem.

– Czy można się ode mnie zarazić, doktorze?

Odchylił się na krześle.

– Nie.

– W takim razie mam trzy dni – rzuciła i jak burza wypadła na werandę.

Gdy drzwi się za nią zatrzasnęły, Kowalski uniósł dłonie.

– Dla waszej wiadomości: ja się cieszę, że ona będzie z nami.

## Godzina 16.44

Gray ostrożnie wymknął się na werandę. Czekał, aż Seichan przestanie krążyć, zanim do niej podszedł. Uspokoila się dopiero po półgodzinie i usiadła na najwyższym schodku.

Ocecił wzrokiem burzowe chmury piętrzące się nad jej głową.

– Hej – odezwał się.

Zignorowała go, siedząc odwrócona plecami.

Niedobrze, pomyślał.

Podchodził powoli, jakby się bał ją spłoszyć. Zbliżył się do niej i zaoferował swoją wersję gałązki oliwnej.

– Zmiliłem trochę świeżego tuńczyka. – Patrzył na ogrody. – Skoro wyruszamy za godzinę, może chcesz jeszcze raz nakarmić swoją dziką kotkę.

Seichan z ciężkim westchnieniem wzięła od niego talerz.

Usiadł obok niej, ale jej nie dotknął, zostawiając kilkucentymetrową strefę buforową.

– A co z przykazaniem, że nie należy dokarmiać bezpańskich zwierząt? – mruknęła.

– Chyba nie musimy się martwić, że jeden kot zagrozi całej tutejszej biosferze.

– To zdecydowanie prawda.

Wciąż nie chciała na niego spojrzeć.

– Seichan...

– Jeśli mam paść, to w walce.

– Rozumiem. Znajdziemy lek. – Wyciągnął rękę, wnętrzem dłoni w górę. – Razem.

Ramiona jej opadły, uwalniając trochę gnieżdżącego się tam napięcia. Chwyliła jego dłoń, ich palce się splotły. Gray odwzajemnił uścisk, czując drżenie drobnych mięśni jej ręki.

– Wyjdiesz z tego – obiecał.

– Nie martwię się o siebie. – W końcu odwróciła się do niego, ze łzami spływającymi po policzkach. – Powinnam cię uprzedzić.

Z niepokojem zmarszczył brwi, aż się zbiegły nad nosem. Od prawie miesiąca wiedział, że coś ją trapi.

– O co chodzi?

Patrzyła na niego ze strachem lśniącym w oczach.

– Jestem w ciąży.

CZĘŚĆ TRZECIA  
**SZLAK BURSZTYNOWY**

Σ

Fujikawaguchiko, Japonia

8 maja, godzina 17.03 czasu miejscowego

Takashi Ito ignorował cichego gościa, siedząc z podkulonymi nogami przed niskim stołem. Był to tradycyjny *kotatsu*, składający się z nakrytej kołdrą drewnianej ramy umieszczonej nad wgłębieniem w podłodze, na którego wysypanym piaskiem dnie stało naczynie z żarzącymi się brykietami.

Chude, artretyczne kolana Takashiego spoczywały pod skrajem *kotatsu*, rozgrzewane żarem węgla. Była wiosna, ale z powodu wysokości chłód wisiał w powietrzu. Miejscowość wypoczynkowa leżała nad jeziorem Kawaguchi na północnym podnóżu góry Fudzi, osiemset metrów nad poziomem morza.

Kawaguchi, jedno z pięciu jezior otaczających świętą górę, zawsze słynęło z najpiękniejszego widoku na stożek wulkaniczny. Artyści przybywali tam od stuleci, żeby oddać piękno strzelistego, pokrytego śniegiem wierzchołka przegładającego się w płaskiej jak lustro wodzie.

I zawsze zawodzili.

Chcąc naprawdę docenić urodę krajobrazu, trzeba tu odbyć pielgrzymkę.

Takashi patrzył na szczyt przez szklaną ścianę. Właśnie dlatego wybrał to odległe miejsce, kilka kilometrów od licznych hoteli i restauracji miasta, na zbudowanie najnowszego kompleksu badawczego Fenikkusu Laboratories.

Widok zapierał dech w piersi.

Połyskujący szczyt Fudzi – idealnie symetryczny stożek – wznosił się na tle nieba. W miarę wędrówki słońca przez cały dzień zmieniał barwę, od krystalicznego diamentu po fioletowy, sinawy cień. Według mitologii shinto wulkan był domem nieśmiertelnego boga Kuninotokotachi. Nawet jego nazwa, Fudzi, jest synonimem słowa „nieśmiertelny”.

Takashi doceniał również dychotomię góry, jej spokój przy jednoczesnej skłonności do wybuchów gniewu. Fudzi, aktywny wulkan, wiele razy w dziejach pustoszył



okoliczne tereny. Podczas ostatniej erupcji w roku 1701 wyrzucił z krateru płonący żużel, niszcząc domy i świątynie, a chmury popiołu opadły na Tokio i znajdujące się w pobliżu tereny rolne, co doprowadziło do trwającego dziesięć lat głodu.

Ten sam szczyt był jednak również źródłem życiodajnej wody dla większości pól ryżowych i farm na tym obszarze.

Ta sprzeczność temperamentu uczyniła Fudzi duszą Japonii, symbolizując wielką wiedzę i pogodę ducha narodu, a zarazem jego chęć do niszczenia wszystkiego wokół w obliczu zagrożenia.

W dawnych czasach samurajowie mieli na zboczach góry ośrodki szkoleniowe. Ziemia, na której powstało laboratorium badawcze, niegdyś należała do szogunów rodu Tokugawy. Tam szkolili się wojownicy, którzy polegli w tokijskiej świątyni Kan'ei-ji. Takashi wyobraził sobie kamienny monument za pagodą, gdzie co roku palił kadzidło ku pamięci umiłowanej Miu.

Jak więc mógł wybrać inne miejsce na ośrodek?

Poza tym istniał praktyczny powód. Miasto Fujikawaguchiko leżało tylko sto kilometrów od Tokio, gdzie mieściła się główna siedziba koncernu. Taki wybór zapewniał szybki dostęp do stolicy przy jednoczesnym zachowaniu izolacji kompleksu.

Z konieczności.

Personel został starannie wyselekcjonowany pod względem lojalności, dyskrecji i wiedzy naukowej. Średnie wynagrodzenie wynosiło ponad sześć milionów jenów, co dodatkowo pomagało zachować dyskrecję – podobnie jak rygorystyczne środki bezpieczeństwa, w tym kamery monitorujące każdą osobę i każdy centymetr kwadratowy budynków i otaczających je terenów.

Oczywiście, takie metody nie zapobiegały plotkom, szeptanym przez konkurencję i tych, którzy mieli okazję zajrzeć za bramy otoczonego murem kompleksu.

Może powinienem wybrać bardziej konserwatywny projekt, pomyślał Takashi.

Na terenie ośrodka znajdowało się wiele zabudowań, ale wszystkie przyćmiewał główny obiekt, cud ze szkła i stali, w kształcie *gojū-no-tō*, pięciokondygnacyjnej pagody.

Takashi słyszał, jak go nazywano, czasami drwiąco, kiedy indziej z szacunkiem.

*Kōri no Shiro.*

Lodowy Zamek.

Doceniał tę nazwę i sam wziął ją sobie do serca. Była trafna, zwłaszcza w środku zimy, kiedy śnieg pokrywał ziemię. Szklany obiekt odbijał zamarznięty pejzaż, stając się jego częścią, lodową zjawą z pradawnej przeszłości Japonii.

Poza pięknem ten projekt miał cel praktyczny. Szkło i stal nie spłoną, kiedy góra Fudzi znów wpadnie w złość i wyrzuci na miasto grad płonącego żużlu. Co więcej, o czym wiedzieli nieliczni, obiekt był znacznie większy niż jego fasada. Miał pięć poziomów podziemnych, tyle samo, ile lśniło nad ziemią. Laboratoryjny bunkier – ulokowany na najniższym poziomie, odpornym na wybuch nuklearny – skrywał największe tajemnice koncernu.

Niebawem ta tajemniczość zostanie nagrodzona.

Takashi wiedział, że jego marzenia wkrótce się ziszczą. Rozpętane piekło na ziemi będzie zemstą za śmierć ukochanej żony Miu; świat podzieli jego cierpienie. Jednocześnie cesarstwo japońskie odzyska dawną chwałę.

Siedząc i czekając z milczącym gościem w prywatnym apartamencie na najwyższym piętrze szklanej pagody, zajmował się hobby uprawianym od młodości. Szklana tafla na kołdrze *kotatsu* służyła mu jako stół do pracy. Przy jego łokciu leżał otwarty laptop, przygotowany do zapowiedzianej wideorozmowy z wnukiem, ale Takashi skupiał uwagę na złożonej kartce.

Z wielką starannością zrobił dwa kolejne zgięcia i przeciągnął po nich palcem. Zainteresował się origami w dzieciństwie, zanim rodzina go wyrzuciła, i od tamtej pory sztuka składania papieru była jego nieodłącznym towarzyszem. Tworzyła powiązanie z przeszłością, osobistą i kulturową – z czasami, kiedy origami uprawiano tylko na dworach cesarskiej Japonii. Jego upodobanie pogłębiło się w okresie spędzonym z Miu. Złożył dla niej całą menażerię i wyhodował ogród papierowych kwiatów tylko po to, żeby zasłużyć na jej nieczęsty uśmiech. Przypuszczał, że między innymi dzięki origami podbił jej serce.

Teraz cenił tę sztukę, ponieważ go uspokajała i pomagała ćwiczyć zreumatyzowane palce, a nawet stanowiła matematyczne wyzwanie, pozwalające zachować umysł ostry jak zgięcia papieru. Przez dziesięciolecia klęczał u stóp mistrzów origami, doskonaląc swoje umiejętności. Jednym z jego nauczycieli był Akira Yoshizawa, zmarły kilka lat temu w wieku dziewięćdziesięciu czterech lat.

W wieku, który osiągnę pod koniec tego roku, przemknęło Takashiemu przez głowę.

Wykorzystując opracowaną przez Yoshizawę metodę składania na mokro, zwilżył czubki palców o gąbkę, żeby zrobić ostatnie zgięcie w swoim rękodziele. Kiedy skończył, postawił je na szklanym blacie.



Modliszka balansująca na papierowych nogach.

Jak zwykle, kiedy zaczął składać papier, nie planował, co zrobi. Pozwolił, żeby palce, posłuszne refleksyjnemu umysłowi, same nadawały kształt. Teraz jednak zrozumiał, dlaczego podświadomie wybrał akurat tę figurę.

Spojrzał nad stołem na kobietę klęczącą w tradycyjnym stylu *seiza*. Miała na sobie białe kimono wetknięte w obszerne czerwone spodnie *hakama*, słomiane sandały i skarpety *tabi* z osobnym palcem. Ciemne włosy splotła w warkocz zwinięty na czubku głowy, podtrzymywany przez ozdobne szpilki. Jej strój był typowy dla *miko*, dziewicy służącej w świątyni shinto.

Ale Takashi wiedział, że jedyną praktykowaną przez nią religią jest krew i śmierć.

Przyjrzał się modliszce i pojął, co go zainspirowało. Jak on, kobieta była wyszkoloną przez Kage zabójcą. Od siedmiu lat wraz z wnukiem potajemnie gromadził tych, którzy przetrwali pogrom; razem zbierali i szkolili małą armię złożoną ze współczesnych *shinobi*, tajemniczych wojowników feudalnej Japonii.

Ta kobieta jednak sama go znalazła i już dowiodła, ile jest warta. Dostarczyła informacje, które zostały potwierdzone przez jego kontakt w wywiadzie japońskim. Powiedziała mu, że grupa Amerykanów wybiera się do Estonii na poszukiwanie źródła bryły bursztynu – skarbu, za który Miu zapłaciła życiem. Pełen podejrzeń, już wysłał ludzi, żeby zajęli się uczestnikami tej dziwnej misji. Zamierzał poznać ich cel i wyeliminować potencjalne zagrożenie.

Laptop zapiszczał i ekran się zbudził.

Takashi wyciągnął rękę i stuknął w ikonkę telefonu, żeby uzyskać połączenie. Na ekranie ukazała się twarz wnuka. Ciemne oczy płonęły pod lśniącym od potu czołem, ale były spuszczone ze wstydu. Masahiro już zdał sprawozdanie z wypadków na Maui. Główna operacja przebiegała zgodnie z planem, ale splamiła ją jedna porażka.

Dwoje agentów Sigmy – sprawców upadku Kage – nadal żyło.

– *Kon'nichiwa, sofu* – wyburczał Masahiro, unosząc wzrok. – *Jōnin* Ito – poprawił się, chyląc głowę, gdy użył odpowiedniego tytułu. Z pewnością dostrzegł gniew

przyciemniający twarz dziadka i postanowił zrezygnować z nieoficjalnego stylu wypowiedzi. Wiedział, że musi zasłużyć na szacunek, zanim znowu nazwie go *sofu*, dziadkiem.

– Jak wygląda sytuacja w bazie?

Po ucieczce z Maui wnuk poleciał na wyspę Ikikauō. Baza ich operacji była zlokalizowana na małym atolu niedaleko Midway, gdzie podczas drugiej wojny światowej marynarka wojenna cesarskiej Japonii poniosła upokarzającą klęskę. Wypadało, żeby nowy atak przypuścić z tych samych wód.

– *Hai*. – Masahiro skinął głową. – Zebrano dane. Trwa rozmontowywanie klatek hodowlanych. O zmierzchu powinniśmy być gotowi do likwidacji bazy.

Takashi zobaczył, że kobieta siedząca po drugiej stronie stołu leciutko pokręciła głową. W ten sposób udzieliła mu rady. Spojrzał na nią.

– Jesteś pewna, że tam przybędą? – zapytał ją.

Przytaknęła skinieniem głowy. Była pewna, że Amerykanie – zwłaszcza dwoje agentów, którzy przeżyli zamach – wytropią Masahira na wyspie Ikikauō. Wydawało się to nieprawdopodobne, ale Takashi zdążył nabrać do niej zaufania.

Masahiro spostrzegł ich krótką wymianę gestów i spojrzeń.

– *Jōnin* Ito, wszystko przebiega zgodnie z planem – zaczął zmartwionym głosem. – Możemy...

Takashi uniósł dłoń, żeby go uciszyć.

– Straciłeś dobrego żołnierza. Genina Jira. Wysłałam ci następcę. – Przeniósł spojrzenie na towarzyszącą mu kobietę.

Jego wnuk ściągnął brwi.

– Przecież nie ma czasu.

Co ktoś tak młody może wiedzieć o czasie?

– Będziesz kontynuować operację zgodnie z planem – rozkazał Takashi. – Ale masz nową misję na Ikikauō. Szansę na odzyskanie honoru.

Podawał wnukowi szczegóły, podczas gdy kobieta siedziała w milczeniu. Jej palce spoczywały na sztylcie ukrytym w węźle spodni *hakama*. Zwała go *athamé*, ostrzem przeznaczonym do mrocznych celów. Miała swoje powody, żeby zwabić Amerykanów w pułapkę.

Instruuując wnuka, Takashi zwrócił uwagę na mały obrazek w kącie ekranu. Było to zdjęcie siedzącej naprzeciwko niego kobiety, ale widoczna na nim osoba w niczym nie przypominała ciemnowłosej, czarnookiej piękności o idealnej cerze.

Na zdjęciu widniał duch, śmiertelnie blada kobieta o niebieskich jak lód oczach, z włosami w kolorze świeżego śniegu. Czarne zębate półkole wytatuowane na prawej stronie twarzy ostro kontrastowało z pozbawioną pigmentu skórą. Teraz ten symbol był niewidoczny – zamaskowała go makijażem, co było jej specjalnością. W ciągu wielu lat współpracy z Kage nauczyła się przemieniać to puste płótno w niezliczoną ilość twarzy, stając się mistrzynią kamuflażu.

Nic dziwnego, że przetrwała czystkę.

Takashi dowiedział się o niej wszystkiego.

Przeczytał rosyjskie imię i nazwisko pod zdjęciem: Wala Michajłowa.

Ale nic o niej nie mówiły.

Trącił przycupniętą na szkle modliszkę, świadom, że jego palce instynktownie oddały naturę kobiety.

Oto, kim jesteś naprawdę.

Tallin, Estonia

8 maja, godzina 12.09 czasu miejscowego

– Mam wrażenie, że wpadliśmy do książeczki z bajkami – powiedział Monk.

Kat rozumiała, o co chodzi mężowi. Tallin był jedną z najstarszych europejskich stolic, z korzeniami sięgającymi trzynastego wieku. Pomimo burzliwej historii i licznych napaści dokonywanych przez sąsiadów, średniowieczne dziedzictwo zachowało się w nadzwyczajnym stanie.

Zwłaszcza na Starym Mieście.

Gdy Monk prowadził bmw, Kat patrzyła na brukowane ulice i kręte zaułki, przy których stały kryte czerwoną dachówką, pomalowane na pastelowe kolory urokliwe kamienice, w większości pochodzące ze średniowiecza. Nad nimi piętrzyła się wieża kościoła Świętego Olafa, do końca szesnastego stulecia będąca najwyższą budowlą świata.

Po drugiej stronie ulicy przyzywało jednak nowoczesne miasto, metropolia szklanych drapaczy chmur i kanciastej architektury. W nowym milenium Tallin zmienił swoje oblicze. Dawne miasto portowe na brzegu Morza Bałtyckiego, pełne papierni i fabryk zapalek, przерodziło się w Dolinę Krzemową Europy. Tutaj powstał Skype, a Estonia stała się najbardziej z informatyzowanym krajem w Europie.

Mimo tych zmian tallińczycy wciąż byli dumni ze swojej historii; oddawali jej hołd, na przykład organizując *Tallinna Vanalinna Päevad*, czyli Dni Starego Miasta Tallina. Kat i jej towarzyszy uprzedzono na lotnisku, że ten festiwal właśnie się odbywa. Na średniowiecznych ulicach tłoczyli się mężczyźni i kobiety w strojach z epoki. Niektórzy chodzili na szczudłach. Jeden kroczył wzdłuż stojących w korku pojazdów na pięciometrowych tyczkach. Wszędzie stały stragany z lokalnymi potrawami albo rękodziełem, co jeszcze powiększało panujący ścisk.

Do ich wolno jadącego samochodu podszedł chłopiec i zapukał w szybę. Trzymał koszyk estońskich słodczy: batonów czekoladowych i cukierków Kalev. Na jego ludowych spodniach i luźnej płóciennej koszuli były kolorowe hafty.

Monk wskazał go zza kierownicy.

– Powinniśmy kupić trochę łakoci dla dziewczynek.

Kat uniosła brew.

– Chcesz dać im więcej cukru? – Podejrzewała, że tak naprawdę chce cukierków dla siebie. Był nienasyconym łasuchem.

Najwyraźniej nie jedynym w tym towarzystwie.

– Szczerze mówiąc, nie miałbym nic przeciwko czekoladzie – odezwał się z tyłu doktor Bennett, patrząc przez okno.

– Ja też – powiedziała z szerokim uśmiechem Elena.

Kat uległa większości i opuściła szybę. Zapach pieczonych słodkości i skwierczącego mięsa zaostrzył jej apetyt. Kupiła kilka batoników i torebkę karmelków. Torebkę zatrzymała dla siebie, oczywiście w celach czysto naukowych, żeby ocenić jakość cukierków produkowanych w Estonii.

Gdy wyjechali ze Starego Miasta, korki znikły. Mimo pewnych utrudnień droga z tallińskiego lotniska do centrum zajęła im mniej niż pół godziny. Przed nimi ukazał się cel: Eesti Rahvusraamatukogu, estońska Biblioteka Narodowa.

– Robi wrażenie – oceniła Elena, patrząc na masywną budowlę.

Nakryty ciężką piramidą kolosalny siedmiopiętrowy ceglany gmach zajmował cały kwartał. Fasada wyglądała jak mauzoleum z epoki stalinowskiej: nijaka szara wapienna płyta zdobiona jednym oknem rozetowym. Miało to sens, ponieważ budowę biblioteki rozpoczęto w czasach, kiedy Estonia należała do Związku Radzieckiego. Prace zakończono po ogłoszeniu przez kraj niepodległości w 1988 roku.

Obecnie gmach był świadectwem estońskiego hartu ducha.

Ale dla ich małej grupy biblioteka ta była miejscem, gdzie mieli ruszyć śladami Archibalda MacLeisha.

Podczas trwającego osiem godzin lotu Kat przeczytała dziennik byłego dyrektora Biblioteki Kongresu. MacLeish przybył do Tallina w pełnym napięcia i goryczy czasie, kiedy Rosjanie okupowali miasto po przepędzeniu nazistów z wykorzystaniem nalotów bombowych. Zginęło wówczas wielu cywilów, w tym dzieci. MacLeish zanotował słowa nagryzmolone na murze zrujnowanego Teatru Estońskiego, wypisane przez buntowniczych mieszkańców: *Varemeist tõuseb kättemaks!* Zemsta powstanie z ruin! W owym czasie był pod wrażeniem siły tego narodu, i nawet dzisiaj

Estończycy pozostali zagorzałymi nacjonalistami, zdecydowanymi nigdy więcej nie znaleźć się pod okupacją, zwłaszcza rosyjską.

To tutaj MacLeish zakończył swoje poszukiwania źródła znaleziska Jamesa Smithsona – w dniu, kiedy na Hiroszimę spadła bomba atomowa Little Boy. Ambicje japońskie zostały udaremnione, więc zrezygnował z dalszych poszukiwań.

Zostawiając nam ich podjęcie, pomyślała Kat.

Gdy Monk zaparkował, spojrzała na masywny gmach, przez chwilę przytłoczona ogromem zadania. Jak mogą liczyć na to, że odkryją, skąd Smithson miał bryłę bursztynu? Zwłaszcza że zostało im na to mniej niż trzy dni?

Elena wyczuła jej rozpacz i spróbowała ją pocieszyć.

– Tutejsza Biblioteka Narodowa jest największa we wszystkich krajach bałtyckich. Poza tym, co widać nad ziemią, ma trzy poziomy podziemne, gdzie umieszczono najcenniejsze książki. Razem wzięwszy, regały zawierają ponad pięć milionów tomów, pieczołowicie przechowywanych w klimatyzowanych pomieszczeniach. Jeśli więc zostały jakieś ślady bytności Smithsona, to właśnie tu je znajdziemy.

Gdy wysiedli, doktor Sam Bennett spojrzał na fasadę. Potarł dłonią zarośniętą szczękę.

– Ale gdzie mamy zacząć szukać?

Entomolog był po sześćdziesiątce, chociaż dzięki włosom koloru siana, byстрыm niebieskim oczom i rumianej cerze wyglądał dwadzieścia lat młodziej. Kat wiedziała, że prowadzi rodzinne ranczo w Montanie, i rzeczywiście wyglądał na kowboja. Na tę podróż wybrał dzinsy, buty z cholewkami, kraciastą koszulę i sportową marynarkę.

Kat zauważyła, że Elena z umiarkowanym zainteresowaniem przygląda się mężczyźnie. Ta dotknęła łokcia Sama i wskazała wejście.

– Dyrektor Gregor Tamm powinien na nas czekać. Był na tyle miły, żeby zmobilizować personel do zebrania wszystkiego, co dotyczy Smithsona, szczególnie tego, co ma związek z okresem spędzonym przez niego w Estonii. Miejmy nadzieję, że znajdziemy jakieś wskazówki, gdzie szukać dalej.

– Brzmi nieźle. – Sam uśmiechnął się na znak uznania. – Nie ma to jak pociągnięcie za odpowiednie sznurki, żeby przyspieszyć bieg sprawy.

Elena wzruszyła ramionami, lekko się rumieniąc.

– Jedna z niewielu zalet stanowiska dyrektora Biblioteki Kongresu.

Kat kazała im ruszyć w kierunku długich schodów prowadzących do wejścia.

Monk szedł obok niej, trzymając ją za rękę.



– Ach, młodzieńcza miłość... – szepnął, ruchem głowy wskazując idącą przed nimi parę.

– Ciii – upomniała go, ale nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

Za imponującymi drzwiami wyszedł im na spotkanie szczupły mężczyzna w średnim wieku, wyciągając rękę do Eleny. Miał czarny garnitur, a jego ciemne włosy i rzadkie wąsy wyglądały jak świeżo nawoskowane. Z łatwością mógłby uchodzić za kamerdynera w jakimś arystokratycznym domu.

– *Tere tulemast*, doktor Delgado, witamy. – Położył rękę na piersi. – Dyrektor Tamm, rozmawialiśmy przez telefon.

Elena wyprostowała się, gdy wymieniali uścisk dłoni.

– Tak, dziękuję. Przepraszam, że zadzwoniłam do pana w środku nocy i że w ten sposób narzucam się pańskiemu personelowi.

– Nic nie szkodzi, zapewniam panią. Z przyjemnością przygotowaliśmy to, o co pani prosiła. Proszę ze mną. – Wskazał drugi koniec holu. – Zarezerwowaliśmy dla państwa prywatną czytelnię.

Po szybkiej prezentacji poprowadził ich do windy, obok kilku ekspozycji białych kruków. Stłoczyli się w kabinie. Na szóstym piętrze poszli długim korytarzem z regałami pełnymi książek po obu stronach. Tutaj wnętrza przywodziły na myśl średniowieczny zamek z galeriami, wysokimi łukami i ceglanyimi sklepieniami. Na piedestałach we wnękach stały posągi mitycznych stworzeń.

Kat wskazała dziwaczną rzeźbę mężczyzny o szczurzym ciele.

Zanim mogła zapytać, dyrektor Tamm spojrział na gości ze Stanów.

– Rozumiem, że Smithsonian Institution chce zdobyć więcej informacji na temat swojego darczyńcy z powodu zbliżających się obchodów.

– Owszem – odparła niepewnie Elena, wyraźnie zawstydzona okłamywaniem kolegi po fachu.

Kat zdjęła z niej odpowiedzialność.

– Smithson był zapalonym kolekcjonerem minerałów, podróżującym po Europie w poszukiwaniu niezwykłych okazów. Jak być może pan wie, jego zbiór przepadł w pożarze w dziewiętnastym wieku. Mamy nadzieję odtworzyć kolekcję na wystawę poświęconą założycielowi Smithsonian.

Przynajmniej taka była ich przykrywka.

– Wielce ambitny projekt – skomentował Tamm. – I jakże chwalebny sposób na uhonorowanie życia tego człowieka. O ile mi wiadomo, sława Smithsona jako

chemika i mineraloga została przyćmiona przez jego darowiznę i ufundowanie waszej instytucji.

– Właśnie to próbujemy naprawić – powiedziała Elena takim tonem, jakby rzeczywiście zapaliła się do tego pomysłu. – Ujawnić naukowca skrytego w cieniu darczyńcy.

Tamm pokiwał głową i poprowadził ich do drewnianych drzwi. Okute żelazem, wyglądały tak, jakby pochodziły ze starego estońskiego zamku.

– To czytelnia zwykle zarezerwowana dla naukowców z uczelni w Tallinie. Tu państwa zostawię, żebyście mogli przejrzeć zebrane materiały... A może, jako że osobiście zajmowałem się większością z nich, pomogę przy pracy.

– Oczywiście, pańska pomoc będzie mile widziana – zapewniła go Kat.

– To będzie dla mnie zaszczyt.

Otworzył drzwi i gestem zaprosił ich do pomieszczenia, które wyglądało jak przeniesione ze średniowiecznego klasztoru. Była tam nawet zaśnieżona zbroja, strzegąca stojących pod wszystkimi ścianami regałów pełnych zakurzonych tomów. Pośrodku stał długi drewniany stół otoczony krzesłami. Przed każdym był nachylny pulpit z lampą do czytania.

Kat spodziewała się zobaczyć zgarbionego mnicha, z mozołem pracującego nad iluminowanym manuskrypcem. Tymczasem przy komputerze obok jedyne okna stała młoda blondynka z włosami związanymi w koński ogon.

– To Lara – przedstawił ją Tamm. – Jedna z naszych najnowszych badaczek. – Uśmiechnął się do niej. – I moja córka.

Monk się zaśmiał.

– Idzie w ślady taty.

– Nie mógłbym być szczęśliwszy.

Kat zwróciła uwagę na promieniejącą z dumy twarz ojca i lekko zakłopotaną minę córki. Przypuszczała, że Lara woli stawiać na własne zasługi. A może było to tylko zakłopotanie, jakie zwykle w tym wieku czują córki, które są oczkiem w głowie ojca. Zastanawiała się, kiedy ich córki staną się równie drażliwe.

Jej mąż miał jednak inne zmartwienie.

– Miejmy nadzieję, że dziewczynki nie pójną w nasze ślady – szepnął do niej. – Sądzę, że powinniśmy zacząć je kierować ku bezpieczniejszym ścieżkom kariery, takim jak handel poduszkami.

– Na ile je znam, skończyłoby się na wojnie poduszkowej.

– Ha, to prawda – mruknął Monk ponuro. – Więc może księgowość.

Nie rozstrzygnąwszy kwestii przyszłości córek, podeszli za Tammem do stołu. Leżały na nim schludne stosy książek, periodyków i gazet.

Kat ogarnęła rozpacz na widok ich liczby.

– Jak widzicie – zaczął Tamm – byliśmy z córką dość zajęci. Ale gdybym wiedział, czego szukać, może mógłbym wskazać właściwy kierunek.

Skinęła głową.

– Staramy się podążać tropem Jamesa Smithsona, gdy podróżował po Europie, zbierając swoje okazy. Jesteśmy ciekawi, dlaczego przybył do Tallina.

– Ach... – Estończyk odwrócił się w stronę stołu, ręką przywołując córkę do pomocy. – W takim razie jesteście tutaj, żeby się dowiedzieć o *merevaigutee*, czyli bursztynie.

Kat cieszyła się, że dyrektor odwrócił się plecami, bo dzięki temu nie dostrzegł jej zaskoczonej miny. Elena i Sam byli równie zdumieni. Monk wyglądał na zmartwionego, jakby spodziewał się czegoś złego.

Tamm niczego nie zauważył.

– Otóż dokładnie wiem, dlaczego Smithson przybył do Tallina. – Odwrócił się. – Z powodu swojej tajemnicy dotyczącej bursztynu.

## Godzina 13.03

Skąd ten człowiek może o tym wiedzieć? – pomyślała zaskoczona Elena Delgado i cofnęła się o krok, zderzając się z doktorem Bennettem. Ten chwycił ją za łokieć i pomógł zachować równowagę. Jego mocne palce przydały jej siły, żeby rzucić wyzwanie dyrektorowi.

– Co ma pan na myśli? – zwróciła się do Tamma.

Estończyk podniósł ze stołu pożółkły traktat oprawiony w welin.

– To jeden z dokumentów naukowych Smithsona. Temat jest dość ezoteryczny, ale zachowaliśmy rzadką kopię w naszych zbiorach, ponieważ nawiązuje do historii naszego regionu.

Elena ostrożnie wzięła książkę i głośno przeczytała odręcznie napisany tytuł.

– *Relacja z eksperymentów z Duchem Bursztynu*. – Opuściła traktat. Wiedziała, że Smithson przeprowadził i opisał wiele eksperymentów chemicznych, ale to ją przerastało. – Nie rozumiem. Co próbował osiągnąć?

– Pozwoliłam sobie zgłębić to zagadnienie – odparła Lara, nieśmiało spuszcając wzrok. – W owych czasach Duch Bursztynu był również zwany kwasem z bursztynu. – Wskazała pożółkłe stronice. – Nawet Smithson tak go nazywa w swoich notatkach i wyjaśnia, w jaki sposób go uzyskał. Podgrzewając surowy bursztyn, otrzymał destylat, a z niego białawy proszek. Dzisiaj znamy ten związek pod nazwą kwas bursztynowy.

Monk odchrząknął, przyciągając uwagę Eleny. Wiedziała, że ten człowiek zdobył w Sigmie gruntowne wykształcenie medyczne.

– Czy to coś znaczy? – zapytała go Kat.

Wyciągnął protezę ręki po traktat. Elena mu go podała.

– Chciałbym to przeczytać, chociaż sporo wiem o kwasie bursztynowym. Jest produkowany przez mitochondria w naszych komórkach i stanowi element układu wytwarzającego energię. Tego, co utrzymuje nas przy życiu.

– Ale dlaczego Smithson miałby eksperymentować z tym Duchem Bursztynu? – zdziwiła się Elena.

Kat ze zmartwioną miną spojrzała na dyrektora Tamma.

– Czy Smithson przeprowadzał te eksperymenty w Tallinie? – spytała.

– Tak, ale niestety, nie odkrył niczego znaczącego. Prawdopodobnie dlatego zostawił tutaj te zapiski i nigdy oficjalnie ich nie opublikował. Jestem przekonany, że robił to wszystko w tajemnicy.

Elena wiedziała, że dyrektor ma rację. Tę tajemnicę Smithson zabrał ze sobą do grobu. Zastanawiała się jednak, czy nie zostawił jakichś wskazówek w dziennikach, które spłonęły w Castle podczas wojny secesyjnej.

A jeśli tak, to czy mógł ukryć coś gdzieś indziej?

Zanim mogła to przemyśleć, Monk zwrócił się do żony:

– Widzę, że coś ci chodzi po głowie.

Kat odsunęła się od Tamma i jego córki.

– Z relacji MacLeisha wynika – zaczęła ściszym głosem – że Smithson opowiedział o nieszczęściu w kopalni tutejszemu geologowi. Co sugeruje, że zdobył swoją bryłę przed przyjazdem do Tallina.

– To ma sens. – Monk pokiwał głową. – Ale dlaczego w ogóle przeprowadzał te eksperymenty?

– Może próbował znaleźć sposób na przywrócenie do życia czegoś, co było uwięzione w bursztynie? Z łatwością mogę go sobie wyobrazić jako człowieka, który

wierzy, że bursztyn posiada jakieś jeszcze nieznanne właściwości podtrzymujące życie, i próbuje to zrozumieć.

– Oczywiście poniósłby porażkę – wtrącił Sam. – Fizyczne właściwości bursztynu nie mają nic wspólnego z utrzymywaniem przy życiu kryptobiotycznych cyst, które drzemią w uwięzionych w nim kościach. Ten cud jest zawarty w kodzie genetycznym os.

– On jednak nie mógł o tym wiedzieć – zaznaczyła dość ostro Elena, czując, że musi wystąpić jako adwokat Smithsona. – I mimo niepowodzenia okazał się dość mądry, by uznać znalezisko za zbyt niebezpieczne, żeby podarować je Stanom Zjednoczonym... a zarazem zbyt cudowne, żeby je zniszczyć.

– Postąpił jak prawdziwy naukowiec – przyznała Kat. – Zabezpieczył wiedzę dla przyszłych pokoleń.

Elena pokiwała głową.

– Ten sam cel, tylko na większą skalę, przyświecał mu, kiedy fundował Smithsonian Institution.

Sam ściągnął brwi.

– Ale dlaczego w Ameryce? Zawsze mnie to zastanawiało.

Wzruszyła ramionami, mogąc się tylko domyślać motywów Smithsona.

– Urodził się w arystokratycznej rodzinie, ale ponieważ sytuacja finansowa jego rodziców pogorszyła się, nigdy tak naprawdę nie został zaakceptowany przez ludzi równych mu urodzeniem. Z tego powodu, jak sędzę, sztywna europejska struktura kastowa przepełniła go goryczą i zrozumiał, że jego największą nadzieją na zapoczątkowanie nowej epoki oświecenia jest Nowy Świat, gdzie ograniczenia statusu i klas nie będą dławić idei.

Elena sama skorzystała z dobrodziejstw takiego wolnego społeczeństwa; pochodząc z rodziny imigranckich robotników, została dyrektorką Biblioteki Kongresu.

Czy Smithson przewidział taki świat i zazdrościł przyszłym pokoleniom?

Monk skierował ich uwagę na bieżącą sprawę.

– Wszystko pięknie, ale jeśli Smithson zdobył bryłę bursztynu, zanim dotarł do tego miasta, to gdzie?

Tamm i jego córka wyraźnie próbowali zapewnić im prywatność, ale słysząc pytanie Monka, Estończyk podszedł do nich. Podejrzliwie zmrużone oczy wskazywały, że zaczyna się zastanawiać nad prawdziwym celem ich wizyty.

– Nie chcę być wścibski – zaczął, z rozważą dobierając słowa – ale jak już wspominałem, wiem, dlaczego pan Smithson przybył do Tallina. Może ta wiedza pomoże wam w poszukiwaniach.

Elena zerknęła na Kat. Tamm wyglądał na chętnego do współpracy. Przypuszczała, że ma z tym coś wspólnego jej stanowisko dyrektorki Biblioteki Kongresu USA.

Dzięki temu dołączyłam do tej wyprawy, pomyślała.

Kat musiała mieć podobne odczucia. Skinęła do niej głową, najwyraźniej zachęcając ją do wykorzystania autorytetu swojej funkcji.

– Dyrektorze, będę z panem szczerą – powiedziała Elena. – Próbujemy wytropić miejsce pochodzenia jednego z okazów Smithsona. Była to duża bryła bursztynu, ważąca około trzech kilogramów. – Wyciągnęła rękę, żeby pokazać przybliżoną wielkość.

Tamm zrobił wielkie oczy.

– Wyjątkowy okaz. Teraz rozumiem, dlaczego chcecie mieć coś takiego w waszej nowej kolekcji.

– Byłoby idealnie, gdybyśmy zdobyli próbkę z tego samego miejsca, z którego Smithson pozyskał swoją – dodała Kat. – Żeby przydać kolekcji autentyczności.

– No tak. A najlepszy jest bursztyn bałtycki – oznajmił Tamm z pewną dumą. – W prehistorycznej przeszłości te ziemie, nawet tereny obecnie zajęte przez morze, były porośnięte rozległymi lasami iglastymi. Z żywicy tych wielkich drzew powstały złoża bursztynu. Od tamtej pory fale wymywają na brzeg okruchy, ale starsze żyły biegną głęboko pod ziemią, niektóre są grubości nawet kilku metrów. – Powiódł po nich wzrokiem. – Proszę to sobie wyobrazić.

Elena mimo woli spojrzała pod nogi, próbując sobie wyobrazić wielkie złote kwiaty.

– Zatem nie powinno dziwić – kontynuował Tamm – że Smithson zawitał do tego regionu, szukając idealnego okazu bursztynu. Już w starożytności ludzie przybywali na te brzegi po bursztyn, słynący z urody i właściwości magicznych.

Elena uniosła brwi.

– Właściwości magicznych?

– Owszem. Na przestrzeni dziejów bursztyn ceniono z uwagi na właściwości uzdrawiające, a także jako amulet chroniący przed złem, bestiami i potworami.

Wymieniła spojrzenie z Kat, zastanawiając się, czy Smithson słyszał te same opowieści. Jeśli tak, to wspierało jej przypuszczenie, że przeprowadzał eksperymenty nie bez powodu; może chciał naukowo zweryfikować te fantastyczne twierdzenia.

Może nie tylko szukał podtrzymującej życie i uzdrawiającej substancji, ale również testował bursztyn, żeby się przekonać, czy może zapewnić ochronę przed złem.

Czy jego eksperymenty miały na celu znalezienie leku na to, co było ukryte w środku bryły?

Tamm przyciągnął jej uwagę.

– Nie mam pojęcia, gdzie Smithson znalazł taki nadzwyczajny okaz, ale znam ścieżkę, którą tu trafił. – Odwrócił się. – Pozwólcie, że pokażę.

## Godzina 13.27

Kat podeszła za dyrektorem do jego córki.

Miejmy nadzieję, że dokąds to prowadzi, pomyślała.

Tamm obejrzał się na pozostałych.

– Słyszeli państwo o szlaku bursztynowym?

Kat ściągnęła brwi, zaskoczona nagłą zmianą tematu.

– Jak starożytny szlak handlowy między Europą i Chinami, droga, którą przewożono jedwab i inne towary?

– Owszem. Ale to inna droga handlowa, znacznie starsza, wykorzystywana od pięciu tysięcy lat.

O czym on mówi?

Tamm spojrzął na córkę i szybko powiedział coś po estońsku. Lara skinęła głową, postukała w klawiaturę komputera i wczytała mapę Europy Środkowej.



Skupili się przed monitorem.

Tamm wskazał kropkowaną linię.

– To tak zwany szlak bursztynowy. Tą trasą ładunki cennego bursztynu podróżowały z Petersburga, gdzie są największe złoża, do Wenecji. Stamtąd statki przewoziły skarb przez Morze Śródziemne. – Spojrzał na Amerykanów. – Wiedzieliście, że pectorał Tutenchamona jest zdobiony kawałkami bałtyckiego bursztynu?

Duma biła z jego twarzy, gdy mówił o świetlanej historii rodzimego klejnotu.

– Nawet starożytni Grecy cenili bałtycki bursztyn, zwłaszcza z powodu jego mistycznych właściwości. Jakies dwa i pół tysiąca lat temu Tales z Miletu stwierdził, że potarty szmatką kawałek bursztynu przyciąga lekkie przedmioty. Stąd pochodzi nazwa elektryczność, od greckiego słowa *electron*, czyli właśnie bursztyn.

– Interesujące – rzucił Monk. – Ale co to ma wspólnego z Jamesem Smithsonem?

– Wszystko. – Tammowi zabłyszczały oczy, gdy wskazał mapę. – Smithson rozpoczął swoją wyprawę w Wenecji i podróżował na północ szlakiem bursztynowym, ale zakończył ją tutaj, w Tallinie. Niestety, nie wiem, dlaczego nie ruszył dalej.

Kat mogła się tego domyślać. Po niepowodzeniu eksperymentów zrezygnował z dalszych poszukiwań.

Estończyk postukał w miasto Tallin na mapie i przesunął palec.

– Przypuszczam, że Smithson znalazł ten okaz gdzieś wzdłuż tej trasy.



– Niewątpliwie tak było – przyznała Elena, spoglądając na Kat.

Ta popatrzyła na mapę, zniechęcona samą długością bursztynowego szlaku.

Jeśli tak, to jak możemy liczyć na znalezienie źródła w mniej niż trzy dni?

– Mój ojciec niezupełnie ma rację – wtrąciła się Lara, obrzucając ojca przeprasającym spojrzeniem, po czym udzieliła odpowiedzi na niewypowiedziane przez Kat pytanie: – Smithson zmierzał na północ z Wenecji, ale kiedy dotarł do Morza Bałtyckiego, popłynął statkiem wzdłuż wybrzeża do Tallina.

– Skąd o tym wiesz? – zapytał Tamm, nie kryjąc zaskoczenia.

– Dziś rano pozwoliłam sobie przejrzeć elektroniczne kopie list pasażerów statków z czasu pobytu Smithsona w naszym mieście. Znalazłam jego nazwisko na liście statku handlowego, który przyплыł z Gdańska.

Kat pochyliła się nad monitorem i prześledziła drogę do polskiego miasta na brzegu Morza Bałtyckiego.

Monk pochylił się obok niej.

– Jeśli wyruszył stamtąd, to znacznie zawęzi pole poszukiwań.

– Do połowy szlaku bursztynowego. – Kat westchnęła ciężko. – Ale to wciąż ogromny obszar.

Monk przytulił ramię do jej ramienia.

– Osiągaliśmy znacznie więcej, mając znacznie mniej – przypomniał żonie.

Prawda.

Wyprostowała się i spojrzała na Larę.

– Dowiedziała się pani czegoś więcej o podróżach Smithsona?

– Nie, niestety. – Lara skrzyżowała ręce na piersi. – Ale Gdańsk przez stulecia był światowym centrum handlu bursztynem. Kilka lat temu w mieście powstało wielkie muzeum bursztynu. Mają akta archiwalne sięgające powstania pierwszego cechu bursztynników w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym. Może mają też jakieś dokumenty dotyczące Smithsona.

Monk wzruszył ramionami.

– To strzał w ciemno – rzucił.

Kat pokiwała głową.

– Ale jak powiedziałaś, osiągnęliśmy więcej, mając znacznie mniej.

Gdy przygotowywali się do wyjazdu, Elena spacerowała w tę i w tę wzdłuż stołu. Patrzyła na spiętrzone na blacie świadectwa życia fundatora Smithsonian Institution. Było tak, jakby leżało tam jego ciało.

Czy to wszystko, co zostaje po naszym odejściu?

Smithson nie ożenił się, nie miał dzieci i chociaż jego nazwisko było wyryte wielkimi literami w kamieniu pamiątkowym na National Mall, niewiele osób wie cokolwiek o nim samym. Można tylko zbierać skrawki jego życia. Elena podniosła ręcznie napisany pożółkły traktat, próbując zrozumieć człowieka, który przez naukę pragnął polepszyć świat.

Odłożyła książkę na stół.

Zasłużyłeś na coś więcej.

– Dobrze się czujesz? – spytał Sam, podchodząc do niej.

Odwrociła się do tego mężczyzny, wyższego od niej o głowę i stojącego ciut za blisko jak na jej gust.

– Tylko zmęczona – odparła. – I może jednocześnie trochę podekscytowana.

– Doskonale to rozumiem. – Sam zerknął na Monka i Kat. – Ci dwoje nie potrafią zagrzać miejsca.

Uśmiechnęła się.

Z pewnością to prawda, przyznała w duchu.

Monk zakończył rozmowę z pilotem odrzutowca.

– Jeśli się pośpieszymy, za godzinę możemy być w powietrzu – zwrócił się do żony.

Kat pokiwała głową.

– W takim razie ruszajmy. Miejmy nadzieję, że nie ugrzęźniemy na Starym Mieście, gdzie wciąż trwa festyn.

Dyrektor Tamm rozumiał jej obawy.

– Może pokażę inną trasę na lotnisko, żeby uniknąć najgorszego ścisku. – Energetycznie ruszył w stronę masywnych drzwi. – W holu jest mapa.

Monk i Kat podążyli za nim, zabierając pozostałą dwójkę Amerykanów.

Gdy szli do wyjścia, Sam uniósł brew i spojrzał na Elenę.

– Rozumiesz, co mam na myśli.

Tamm otworzył drzwi.

– Parada jest przewidziana...

Uciął mu ostry trzask.

Bok szyi dyrektora eksplodował, zalewając krwią Kat. Mężczyzna wpadł z powrotem do pokoju.

Czas zwolnił.

Lara krzyknęła. Elena miała wrażenie, że krzyk dobiega z daleka.

Jakby to przećwiczyli, Kat przykucnęła i pociągnęła Tamma na bok, a Monk pchnął ramieniem okute żelazem drzwi i je zatrzasnął.

Usłyszeli ostre stukanie, gdy kolejne pociski uderzały w drzwi.

Sam chwycił Elenę w tali i pociągnął ją do tyłu.

Trzymając drzwi, Monk krzyknął przez pokój:

– Laro, jest stąd inne wyjście?!

Córka dyrektora stała sztywna, z ręką na gardle, z szeroko otwartymi oczami.

Kat przycisnęła dłoń do rany na szyi dyrektora, próbując zatamować krwotok.

– Laro, nie mamy wiele czasu – rzuciła.

Młoda kobieta patrzyła na powiększającą się kałużę krwi.

– Nie... – Jej odpowiedź była niskim jękiem.

## Północno-Zachodnie Wyspy Hawajskie 8 maja, godzina 0.02 czasu miejscowego

Gray stał sam na pokładzie ciemnego katamaranu. Sierp księżyca wisiał nisko nad wodą. Komandor spojrział na zegarek dla nurków, stalowy rolex submariner.

Prawie czas.

Zacisnął pięści, aż nabrzmiały mu mięśnie przedramienia, odzwierciedlając jego zniecierpliwienie. Dotarcie do celu zabrało im prawie siedem godzin; przybyli tu kilka minut przed północą. Na Maui zarekwirowali hondajeta należącego do Tanaka Pharmaceuticals i polecili nad archipelagiem Północno-Zachodnich Wysp Hawajskich, żeby wylądować na Midway. Tam spotkali się z krewnymi Palu, którzy mieli rybacki katamaran Calcutta 390 wyposażony w dwa silniki dieslowe 550 Cummins, i z prędkością czterdziestu węzłów pomknęli na południowy wschód, żeby dotrzeć na te wody.

Gray podniósł okulary, żeby przyjrzeć się celowi. Z odległości trzech kilometrów wyspa Iki kauō wyglądała jak lesisty garb wznoszący się nad falami. Kilka świateł mrugało na zachodniej stronie, oznaczając skupisko starych budynków amerykańskiej Straży Wybrzeża. Zabudowania graniczyły z małym pasem startowym z kruszonych koralu.

Wcześniej, gdy katamaran zbliżał się do wyspy, widzieli lądowanie niewielkiego samolotu.

Więc zdecydowanie ktoś jest w domu.

Wiedząc o tym, udawali rybaków. Trzymali się z dala od wyspy. Palu i jego dwaj kuzyni – niższe, krągłejsze wersje strażaka – rozstawili wędkę, zachowując się tak, jakby wyszli w morze na nocny połów.

Inni ukryli się na dole w małej kabinie. Planowali czekać, aż zajdzie księżyc, a gdy to nastąpi, wyskoczyć za burtę w strojach do nurkowania i popłynąć do

brzegu. Potrzebowali dowodu, że wyspa była punktem wyjścia do ataku, i chcieli się dowiedzieć, kto za tym wszystkim stoi.

Trudne zadanie... zwłaszcza na terytorium wroga.

Gray opuścił lornetkę i spojrział na mapę satelitarną wyspy, przypiętą do pulpitu przy kole sterowym. Wyspa o powierzchni czterech kilometrów kwadratowych była niemal okrągłym, okolonym przez rafy atolem. Jej najbardziej niezwykłą cechą było podłużne jezioro otoczone niskimi wzniesieniami porośniętymi gęstym lasem deszczowym. Ze starych akt Straży Wybrzeża wynikało, że jezioro ma ponad trzydzieści metrów głębokości i jest bardzo zasolone, co sugerowało istnienie połączenia z oceanem.

Uwagę Graya przyciągnęło plaskanie bosych stóp.

Palu przyszedł z rufy i dołączył do niego w maleńkiej sterówce. Wielki Hawajczyk spostrzegł przedmiot jego zainteresowania. Wskazał mapę.

– Dlatego nazywamy tę wyspę Ikikauō, czyli Małe Jajo. – Postukał w jeziorko. – Patrz, to żółtko.

– Rozumiem.

– Nazwaliśmy ją tak również z powodu życia, które się tu rodzi. Ziarnojady, kaczki, rybitwy, albatrosy. I okoliczne wody... możesz zanurzyć wiadro i wyciągnąć rybę. – Wyszczrzył zęby. – No, może przesadzam, ale nie bardzo.

Gray przypuszczał, że w ten sposób Palu ponownie przypomina mu o wszystkim, co jest zagrożone. Mężczyzna melancholijnie patrzył na morze.

– Według naszej mitologii – podjął półgłosem – właśnie stąd brat bogini Pele, Kāne Milohai, strzeże tych wysp. – Spojrzał na Graya. – Ale czasami nawet bogowie potrzebują wsparcia.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – obiecał Gray.

– Wiem, wiem. – Palu skierował wzrok na mapę. – Ale to miejsce jest zagrożone od dawna. Wszystkie te wyspy. – Zakreślił ręką łuk, ogarniając całość tego odległego zakątka swojej ojczyzny, po czym wskazał na południe. – Te wyspy leżą na skraju Wielkiej Pacyficznej Plamy Śmieci.

Komandor spojrział na morze. Czytał o wirującej galaktyce odpadków, która powstała w pobliskim wirze prądów oceanicznych. Wiedział, że plama zajmująca obszar dwa razy większy od Teksasu składa się z milionów wysepek śmieci pływających w zupie gumy, plastiku, starych sieci rybackich i innych odpadów.

Hawajczyk pokręcił głową.

– Powoli zatruwa nasze ziemie. Morze wymywa na plaże coraz więcej śmieci. Giną ptaki, żółwie morskie. Nikt nie zwraca na to uwagi. – Wzruszył ramionami. – Papahānaumokuākea pomaga, ale niewystarczająco.

Gray rozpoznał nazwę rezerwatu morskiego utworzonego wokół Północno-Zachodnich Wysp Hawajskich.

Palu skinął głową, wskazując mapę.

– Niestety, ta mała wyspa, Ikikauō, wraz z wieloma innymi leży poza granicami rezerwatu.

Komandor pokiwał głową.

– Prawdopodobnie dlatego korporacja ją wydzierżawiła. Będąc poza zasięgiem amerykańskiej agencji ochrony przyrody, mają wolną rękę i mogą tam robić, co tylko chcą.

– Możliwe, ale ta wyspa wciąż jest ważna dla mojego ludu. – Machnął kciukiem w stronę kuzynów. – Makaio i Tua mówią, że po wschodniej stronie są stare jaskinie z rysunkami naskalnymi, a nawet ruiny *heiau*, starożytnej hawajskiej świątyni.

Gray szanował to dziedzictwo, lecz Palu mówił mu o tym z jeszcze innego powodu.

Hawajczyk wskazał na mapie wschodni brzeg atolu.

– Może ci *kanapapikis* mają gdzieś ochronę przyrody, ale przypuszczam, że raczej nie grasują po tej stronie wyspy. – Znacząco spojrział na Graya.

Komandor w końcu zrozumiał.

– Mówisz, że to tam powinniśmy się skierować, gdy będziemy płynąć do brzegu?

Palu się uśmiechnął.

– Tam przyłapiemy ich z opuszczonymi spodniami. – Klepnął Graya po pośladku. – I skopimy im *okole*.

Gray potarł piekący pośladek i spojrział na księżyc.

Prawie zaszedł.

Czas w drogę.

Ruszył ku kabinie.

– Powiadomię pozostałych.

## Godzina 0.12

Seichan leżała na małej koi i udawała, że śpi.

Kowalski chrapał po drugiej stronie kajuty i brzmiało to tak, jakby się dusił. Hałas był taki, że ledwie słyszała Kena i Aiko szepczących przy stoliku w kambuzie. Co nie znaczy, że próbowała ich podsłuchiwać.

Leżała z dłonią rozpostartą płasko na brzuchu.

Próbowała ocenić, co się w niej dzieje. Z zamkniętymi oczami wyobrażała sobie mikroskopijne larwy ryjące w niej jak robaki w zgniłym jabłku. Nie czuła ich obecności, a na pewno nie czuła bólu. Według profesora, to niedługo się zmieni.

Jej dłoń szukała oznak innego życia.

Który to miesiąc?

Po drodze Gray próbował wypytać ją o ciążę, ale udzielała lakonicznych odpowiedzi.

Może sześć tygodni.

Wyobraziła sobie dziecko w tym wieku. Z tego, co czytała, było wielkości pestki granatu. Z wyczuwalnym tętnem – zbyt cichym, żeby usłyszeć je przez stetoskop, chociaż ultrasonograf mógł ujawnić jego trzepotanie. Mózg dzielił się na półkule i zaczynał wysyłać fale impulsów elektrycznych.

*Dlaczego mi nie powiedziałaś?*

Rozpoznała zranione spojrzenie Graya, gdy zadał to pytanie. Tylko pokręciła głową. Sama nie wiedziała – a może bała się prawdy i nie chciała wnikać zbyt głęboko.

Gray wystąpił z kolejnym pytaniem.

*Chcesz zatrzymać...?*

Powstrzymała go jadowitym spojrzeniem i ostrzejszą ripostą.

*Na razie nie ma znaczenia, czego chcę.*

I ta odpowiedź była najbliższa prawdzie. W każdej chwili decyzja przestanie zależeć od niej... może już nie zależy. Czy mogła być czegokolwiek pewna po tym, co się stało wczoraj?

Lepiej nie żywić nadziei.

A przecież nawet podjęcie decyzji wymagało nadziei.

Trzymała się jednego. Zgięła palce na brzuchu i zacisnęła pięść.

Nadzieja nie ocali jej dziecka.

Lepszą ścieżką była ta, którą dobrze знаła.

Zemsta.

Jeśli istnieją jakieś szanse ratunku dla niej i jej dziecka, nie podda się i będzie o nie walczyć. I nie spocznie, póki sprawcy tego ataku nie zostaną pochyceni albo zabici.

Lepiej to drugie.

Ta myśl rozluźniła jej palce. Potarła dłonią brzuch, jakby chciała dodać otuchy temu, co – nie do wiary! – w niej spało.

Moje dziecko...

Drzwi kajuty się otworzyły. Bez patrzenia wiedziała, kto do nich dołączył. Rozpoznała go po rytmie oddechu, po zapachu. Zatrzymała rękę na brzuchu, pozwalając sobie na króciutką chwilę nadziei.

Nasze dziecko...

## Godzina 0.32

Gray rzucił się tyłem z relingu. Wyskoczył ostatni i butla na plecach pociągnęła go w dół. Nie chcąc, żeby ktoś zauważył ich aktywność, skakali z burty katamaranu niewidocznej z wyspy.

Kiedy komputer nurkowy na nadgarstku pokazał sześć metrów, Gray nadmuchał kamizelkę. Unosząc się na stałej głębokości, założył na maskę noktowizor nurkowy DVS-110. Painter zorganizował dostarczenie niezbędnego wyposażenia na Maui. Sprzęt do nurkowania został przysłany ze stacji Straży Wybrzeża w Wailuku prosto do ich odrzutowca. Wszystko na nich czekało, łącznie z bronią i materiałami wybuchowymi.

Komandor przeszukał wzrokiem wodę. Pozostałych pięcioro członków grupy desantowej unosiło się w ciemności; widział ich niewyraźne sylwetki. Dał im znak, mrugając latarką UV i wskazując prosto na zachód w kierunku wyspy. Wszyscy unieśli kciuki.

Wolałby płynąć po ciemku, ale mieli ze sobą cywili, więc uznał, że zapalenie jednej latarki jest ryzykiem do przyjęcia. Gdy ruszył, spojrzał w lewo i prawo, sprawdzając, czy Ken i Aiko nie panikują. Zabrał profesora z uwagi na jego entomologiczne doświadczenie, a agentka japońskiego wywiadu nie chciała zostać na pokładzie łodzi; przekonywała Graya, że najlepiej się nadaje do zebrania obciążających dowodów, żeby władze jej kraju nie miały zastrzeżeń.



Niechętnie wyraził zgodę, świadom, że czas jest zbyt ważny, żeby stosować nadmierne środki ostrożności. Wraz z Seichan i Kowalskim zrobi wszystko co w jego mocy, żeby chronić tych dwoje. Palu jako jedyny z nich był już na Ikikauō, więc miał być przewodnikiem.

Gotów ruszać, Gray sięgnął do kamizelki na piersi, gdzie miał przypięty scubajet. Osobisty napęd w kształcie torpedy był tylko trochę dłuższy niż jego przedramię, ale dość silny, żeby zapewnić pływaczowi oszałamiającą podwodną jazdę.

Sprawdził, czy inni wzięli z niego przykład, i zapuścił silnik. Płynął powoli, dopóki wszyscy nie ustawili się jak podwodna eskadra bojowa. Usatysfakcjonowany, zwiększył obroty silnika i pomknęli z prędkością prawie dziesięciu kilometrów na godzinę. W takim tempie powinni w niespełna dwadzieścia minut przebyć trzy kilometry dzielące ich od brzegu.

W tym czasie kuzyni Palu mieli udawać, że odpływają, żeby odsunąć od nich wszelkie podejrzenia.

Kierując się ku wyspie, Gray starał się mieć oko na innych. Nie było to łatwe, ponieważ rozpraszał go widok w dole. Światło ultrafioletowe rozpałało rafy i przez noktowizor widział kalejdoskop fluorescencyjnych barw. Kamieniste koralowce świeciły w odcieniach akwamaryny i szkarłatu. Czułki ukwiałów jarzyły się żółcienią i limonkową zielenią. Homary płonęły jak lampy, a przed nim manta sunęła na skraju blasku, zostawiając za sobą rozmigotany kilwater.

Parł naprzód, starając się nie skupiać uwagi na otaczającym go świecie cudów.

Od czasu do czasu widział coś innego, obcego w tym środowisku: kotwicę na wpół obrośniętą przez koralowce, nową rafę utworzoną przez szczątki starego samolotu z okresu drugiej wojny światowej, a nawet wystającą z piasku lufę starego działa okrętowego. Były to upiorne pamiątki po zacieklej bitwie o Midway, stoczonej wokół tych wysp po ataku na Pearl Harbor.

Gdy płynął, widoki roztapiały się w ciemności. W końcu zniknęły nawet koralowce, zastąpione przez piasek. Dno się wznosiło, zmuszając go do płynięcia pod górę.

Dotarli do płycizn otaczających wyspę.

Gray wyłączył latarkę i scubajet. Świat wokół niego pograżył się w monochromatycznych odcieniach przyćmionej szarości. Komandor płynął, kierując się wskazaniami kompasu i GPS-u, żeby pokonać ostatni odcinek do miejsca wyznaczonego przez współrzędne. Gestem dał znać, że wszyscy mają zostać pod wodą, a sam wstał i przyjrzał się skruszonemu muirowi skał za wąskim pasem plaży.

Ciemniejszy cień oznaczał wejście do groty, w której, jak powiedział mu Palu, ich przodkowie chronili się na tych dalekich wyspach podczas wypraw myśliwskich i rybackich.

Obecność Graya nie wywołała alarmu, więc skinął na innych, żeby wyszli na brzeg. Wygramolili się z wody, z butlami i w kamizelkach, i w całkowitej ciszy szybko zanieśli ekwipunek w cienie groty. Nie zdjęli pianek do nurkowania. Czarne stroje będą służyć jako kamuflaż.

– To było zdumiewające – wydyszał Ken, wciąż patrząc na morze.

– Ale teraz czeka nas najtrudniejsza część – uprzedził ich Gray, gdy przycupnęli w grupie. – Dawna stacja Straży Wybrzeża leży półtora kilometra na zachód stąd. Musimy założyć, że tamci obserwują brzeg i wyspę. Najlepiej będzie pójść przez wzgórze, żeby dotrzeć do wschodniego skraju jeziora.

– Nazywamy je Make Luawai – szepnął Palu, rzucając spojrzenie przez ramię. – Czyli Zabójcza Studnia.

– To nie brzmi zachęcająco – mruknął Kowalski.

Palu wzruszył ramionami.

– Oznacza tylko tyle, że woda jest bardzo słona. Niedobra do picia.

Hawajczyk stał w głębi groty. Przed chwilą, po uzyskaniu zgody Graya, pstryknął zapalniczką, osłaniając płomyk dłonią. Miękki blask oświetlił petroglify. W kamieniu były wycięte postacie o dużych trójkątnych torsach i patykowatych kończynach. Niektóre siedziały w prymitywnie oddanych łódkach, inne śmigały po skałach z ościeniami w ręce. Wśród nich widniały rozproszone koncentryczne kręgi, a także ryby i żółwie morskie.

Palu opuścił ramiona, wyraźnie zasmucony.

Kowalski stanął obok niego i nagle dźgnął palcem w petroglif.

– Patrz, wieloryb! – oznajmił z wielką dumą.

– *Koholā, brah* – powiedział Palu, już uśmiechnięty, otrząsając się z melancholii.

– To nasza nazwa. I z szacunkiem, proszę. *Koholā* to *aumakua* mojej rodziny, nasz osobisty bóg. – Wydał pierś i łupnął w nią dłonią. – Może dlatego wszyscy rośniemy tacy wielcy.

Kowalski odwrócił się i uderzył głową w strop jaskini. Potarł ciemię.

– Może wezmę tego Kola także za mojego boga.

– *Koholā* – poprawił go Palu.

– Kapuję. Kola.

– Prawie dobrze, *brah*.

Gray przywołał ich i dokończył przedstawianie planu.

– Kiedy dotrzemy do jeziora, zejdziemy pod wodę. Tym razem będziemy płynąć zupełnie po ciemku. – Spojrzał pytająco na Kena i Aiko, chcąc mieć pewność, że się zgadzają.

Oboje przytaknęli, chociaż profesor miał przestraszoną minę.

Wcale mu się nie dziwię, pomyślał komandor, wstając.

– Miejmy nadzieję, że podejdziemy na tyle blisko, żeby się dowiedzieć, co się tam dzieje.

Seichan też wstała... i nagle, skrzywiona z bólu, przycisnęła rękę do lewego boku.

Złapał ją za łokieć.

– W porządku?

– Tylko skurcz. – Uwolniła rękę. – Nic takiego.

Zmartwiony spojrzał na Kena, który teraz był jeszcze bardziej przerażony.

# PIERWSZY INSTAR

Kremowa larwa na oślep przekopywała się przez mięsień. Kolce na dziesięciu segmentach ciała pozwalały jej przewiercać się przez ścięgna i tłuszcz. Nie śpieszyła się, zjadając krew i tkankę. Skurcze mięśni zaciskały ostre chitynowe części aparatu gębowego. Larwa gryzła kęsy, które trafiały do już wypchanego brzucha.

Ledwie kilka godzin po wykluciu się z jaja – w którym była z kilkoma innymi larwami – już była dziesięć razy większa. Miała teraz pół milimetra długości. Sieć nerwowa w elastycznym oskórku zareagowała na szybki wzrost. Hormony wezbrały w jej ciele. Pod starą warstwą oskórka zaczęła formować się nowa, w przygotowaniu do linienia, które znowu pozwoli na dziesięciokrotny wzrost.

Ale najpierw potrzebowała więcej pożywienia: cukru zapewniającego energię, żeby wwiercić się głębiej, białka dla powiększania długości, tłuszczu jako zapasu na to, co nadchodzi.

Była nienasycona.

Gdy wwierciła się głębiej, kolce rozdarły naczynie włosowate. Krew skąpała jej segmenty. Przetchniki na bokach zasysały tlen z hemoglobiny. Po zatankowaniu ryła dalej, ślepa, ale niepozbawiona zmysłów.

Zostawiała za sobą szlak wydzielanych związków chemicznych.

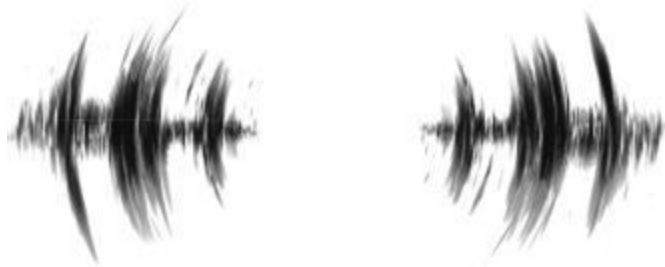
Niektóre zawierały środki bakteriobójcze, żeby zmacerowana tkanka nie została zainfekowana.

Posiłek musi żyć.

Te same kropelki wysyłały biochemiczne wiadomości do krwioobiegu żywiciela. Larwa wykorzystywała gotową sieć naczyń krwionośnych do przekazywania informacji swoim siostram, żerującym gdzieś indziej. W ten sposób koordynowały linienie i wyznaczały swoje terytorium.

Ale, co najważniejsze, taka łączność ostrzegała o obszarach zakazanych.

Nerwy w gotowym do zrzucenia oskórku reagowały na dźwięk, na ciężkie dudnienia mięśnia, który utrzymywał gospodarza przy życiu. Dźwięk, uporczywy i regularny, niósł się przez tkanki.

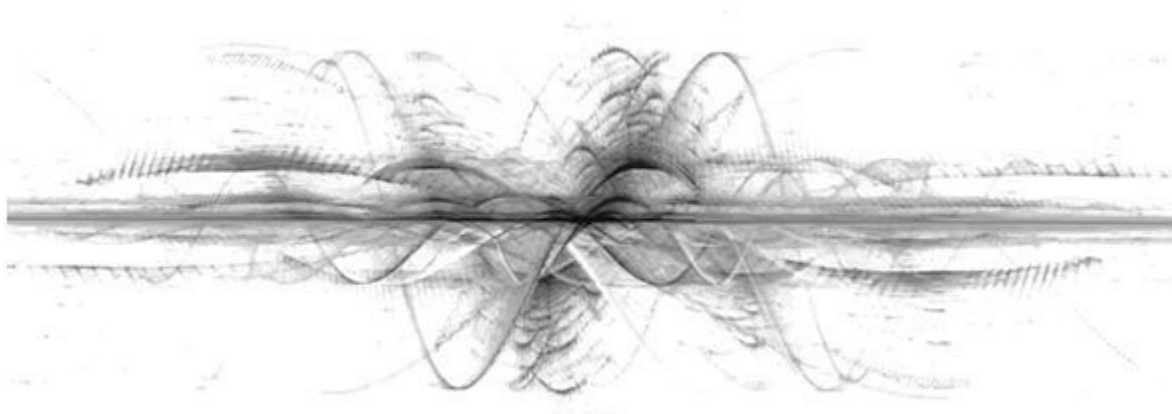


Cztery tysiące larw, posłusznych pradawnemu instynktowi, trzymało się z dala od źródła dźwięku i nie szukało pokarmu w tej głębokiej donośnej studni.

Posiłek musi żyć.

Larwa zareagowała i zawróciła, oddalając się od dudniącego bicia. Gdy wżerała się głębiej, musnęła cienki nerw. Impuls elektryczny skurczył jej mięśnie. Wykręciła się i oddaliła. Jej ciało cały czas reagowało na podobny, choć znacznie większy stymulant.

Żywiciela przenikały płynące z góry potężne fale potencjału elektrycznego.



Larwa wiedziała, że musi oddalić się od ich źródła z najprostszego powodu.

Posiłek musi żyć.

Mając wyznaczoną ścieżkę, wnikała coraz głębiej.

Nagle, gdy kolce rozdarły następną włóściczkę, napłynęło nowe biochemiczne ostrzeżenie. Inne larwy wykryły wewnątrz żywiciela drugie trzepotanie mięśnia, różniące się od niskiego dudnienia. To samo miejsce wysyłało też maleńkie fale aktywności neurologicznej.

Larwa – jak wszystkie inne – posłuchała nowej wiadomości i opuściła ten obszar, kierowana odwiecznymi instrukcjami zapisanymi w kodzie genetycznym.

Jej cel był prosty i pradawny, wytyczony przez pierwotne nakazy.

Jeść i rosnać...

I...

...posiłek musi żyć.

Ale ta ostatnia instrukcja była tymczasowa.

## 20

Tallin, Estonia

8 maja, godzina 14.08 czasu miejscowego

Kat kuciała obok Tamma. Gorąca krew sączyła się pomiędzy jej palcami, gdy dokładała starań, żeby zatamować krwotok z rany na szyi. Dyrektor stracił przytomność, gdy uderzył głową w kamienną podłogę, ale oddychał.

Jak długo?

Jego córka Lara wciąż stała nieruchomo, sparaliżowana przez szok.

Sam stał przed Eleną, zasłaniając krwawy widok, i próbował wezwać pomoc przez telefon. Pociski uderzały w grube drzwi, odbijając się od ich żelaznych elementów. Strzały były stłumione, co znaczyło, że napastnicy mają broń wyposażoną w tłumiki.

– Nie ma sygnału – powiedział Sam, podnosząc wyżej komórkę.

Kat domyśliła się, że grube kamienne ściany uniemożliwiają nawiązanie połączenia.

Albo ktoś blokuje łączność.

Spojrzała na drzwi.

Tak czy inaczej, nie byli to pospolici złodzieje.

Nagle strzały ucichły, co było bardziej niepokojące niż odgłosy uderzeń. Wyobraziła sobie, że napastnicy przygotowują się do wyważenia drzwi.

Monk z pewnością myślał o tym samym. Marszcząc czoło, wciąż napierał barkiem na drzwi. Trzymał klamkę, ale zamek wyglądał na ozdobny, wykonany w taki sposób, żeby pasował do średniowiecznych okuć.

Omiótł wzrokiem pokój.

– Gdzie jest tajemne wyjście, gdy się go potrzebuje?

Kat rozważała zabarykadowanie drzwi ciężkim stołem bibliotecznym i trzymanie fortu do czasu przybycia odsieczy. Zrezygnowała jednak z pomysłu, wiedząc, że oznaczałoby pewną śmierć dyrektora Tamma i prawdopodobnie ich wszystkich.

Musi być inny sposób...

Oboje z Monkiem mieli pod lekkimi kurtkami broń – sig-sauery P226 – ale wynik strzelaniny w bibliotece mógłby być taki sam jak w przypadku biernego czekania na ratunek.

Spojrzała na jedyne okno w pomieszczeniu. Wyglądała przez nie wcześniej. Pod nim, sześć kondygnacji niżej, znajdował się parking dla pracowników. Zewnętrzna ściana budynku była licowana kamiennymi płytami. Odstępy między nimi powinny zapewnić przyzwoity uchwyt dla palców. Dwa piętra niżej wokół budynku biegł wąski dekoracyjny gzyms.

Ważyla szanse.

Może z pomocą Monka...

Mąż zobaczył, na czym skupia uwagę. Gdy odwróciła głowę w jego stronę, z łatwością odgadł jej plan.

– To obłęd – skomentował. – Ale między innymi dlatego się z tobą ożeniłem.

## Godzina 14.10

Elena kulila się z Larą pod stołem. Obok nich Sam garbił się nad bezwładnym ciałem Tamma. Zastąpił Kat i przyciskał chusteczkę do rany na szyi Estończyka. Krew przesiąkała przez materiał.

Kończy się czas, przemknęło mu przez głowę.

Kat pomyślała o tym samym, ale z innego powodu. Wyprostowała się, odrywając ucho od drzwi.

– Słyszę, że coś tam robią.

– Pewnie rozmieszczają ładunki, żeby wysadzić zawiasy. – Monk kuczał w kącie, próbując podnieść zabytkową zbroję.

– W takim razie zaczynamy – zarządziła Kat. Odsunęła się od drzwi i stanęła przy stole.

Monk wreszcie zarzucił zbroję na ramię i obszedł stół z drugiej strony. Stęknął głośno, podchodząc do okna w głębi pokoju.

Rozległ się trzask.

Elena niewiele widziała ze swojej kryjówki, ale wyobraziła sobie zbroję wylatującą przez okno i żeglującą w dół na leżący daleko w dole parking.

– Szybko! – krzyknęła Kat, gdy dołączyła do męża.



Przez wytłuczone okno wpadła muzyka z festynu na tallińskim Starym Mieście. Wesole tony ironicznie kontrastowały z niebezpieczeństwem, jakie im wszystkim groziło.

– Szybko, szybko... – ponaglała Kat.

Elena podskoczyła, słysząc dwa głośnie wybuchy. Obróciła się, żeby pomiędzy nogami krzesła spojrzeć na drzwi, i w tym momencie buchnął na nią dym; kawałki strzaskanego drewna zagrzechotały na blacie stołu. Skręcony pas metalu przemknął po kamiennej posadzce, podskakując jak puszczone kaczką.

Wysadzone z zawiasów masywne drzwi runęły do wewnątrz. Z hukiem uderzyły w podłogę, zagrzechotały i znieruchomiały. Zadudniły na nich buty. Czterej mężczyźni wpadli do pokoju i zajęli pozycje pod ścianami.

Elena przywarła brzuchem do podłogi i zerknęła ku oknu.

Dostrzegła rękę Monka zaciśniętą na zewnętrznym parapecie. Palce się poruszały, szukając pewniejszego uchwytu.

Nie ona jedna ją zauważyła.

Wybuchły krzyki, po japońsku, a może po arabsku.

Dwóch zamaskowanych mężczyzn okrążyło stół i podbiegło do okna.

Elena osłoniła głowę, wiedząc, co się zaraz stanie. W wyobraźni ujrzała zaskoczone miny tych dwóch, gdy zobaczyli rękę – i nic więcej.

Chociaż została uprzedzona, wybuch wycisnął jej powietrze z płuc. Monk powiedział im o zabezpieczeniu wbudowanym w protezę, o ukrytym w dłoni ładunku C4. Siła eksplozji rzuciła dwóch mężczyzn przez pokój. Ciężki stół przesunął się o dobre pół metra. Krzesła przekoziółkowały po podłodze. Książki i papiery wzleciały pod sufit.

Nie czekając, aż kurz osiadzie, Monk i Kat strzelili z kryjówek na regałach po obu stronach od wejścia. Liczyli na to, że wcześniejszy trzask wybijanej szyby przyciągnie napastników do okna.

Ich plan się powiódł.

Dwóch pozostałych mężczyzn znalazło się w krzyżowym ogniu. Obaj runęli na podłogę przy wyważonych drzwiach.

Monk i Kat zeskoczyli na podłogę i wylądowali w tym samym czasie. Jak w opracowanym choreograficznie tańcu, jednocześnie podbiegli do drzwi. Na chwilę przystanęli w progu, po czym wyskoczyli na zewnątrz, osłaniając się wzajemnie i celując w oba końce korytarza.

Gdy balet się skończył, Kat zajrzała do pokoju.

– Czysto! – zawołała. – Idziemy!

Elena na czworakach ruszyła w jej stronę. Sam niechętnie przekazał swój obowiązek córce Tamma.

– Przykro mi – szepnął.

– Natychmiast przyślemy tu ratowników – zwróciła się Elena do Lary, dotykając jej ramienia.

Nic więcej nie mogli zrobić. Elena nie chciała zostawiać dziewczyny, ale Kat ostrzegła, że jeśli zostaną, a w gmachu – w holu albo na zewnątrz – są inni napastnicy, ich obecność może spowodować czyjąś śmierć.

Dlatego musieli opuścić budynek.

Ale nie frontowymi drzwiami.

Elena ścisnęła w rękę identyfikator Lary, mający im zapewnić dostęp do windy towarowej w drugim końcu korytarza. Planowali zjechać do piwnicy i wyjść przez parking dla pracowników, licząc na to, że nikt tam nie czuwa.

Uciekając z Samem u boku, Elena spojrzała przez ramię na zadymiony, zdezastowany pokój. Zignorowała kałuże krwi i martwe ciała. Patrzyła na opadające płonące kartki.

To, co zostało ze spuścizny Smithsona.

Wszystko przepadło.

Ścisnąc dwa krzyżyki wiszące na łańcuszku okularów – po jednym dla każdej wnuczki – Elena odwróciła się i pobiegła za Kat i jej mężem. Modliła się, żeby następne kroki szlakiem Smithsona nie były takie krwawe.

Ale nie miała wielkich nadziei.

## Godzina 14.44

Gdy znów znaleźli się pod jasnym popołudniowym niebem, Kat poprowadziła ich przez zatłoczone centrum Starego Miasta. Ryczała muzyka, straganiarze zachwalali wystawione towary, dzieci plątały się pod nogami. Ludzie śmiali się – niektórzy podpici, inni po prostu w dobrych humorach.

Rozlew krwi i starcie w bibliotece wydawały się złym snem. Chyba żaden z uczestników festynu nie zauważył zamieszania, prawdopodobnie dlatego, że wybuchy i strzały miały miejsce na tyłach ogromnego gmachu. Jedyłą oznaką wcześniejszego chaosu było dalekie wycie syren zbliżające się do Biblioteki Narodowej.

Kat wezwała służby ratownicze, gdy tylko dotarli do piwnicy i stwierdzili, że komórki znów działają. Powiadomiła również znajdujących się tam członków personelu o stanie dyrektora i poprosiła, żeby pomogli Larze zajmującej się ojcem. Nagłe przybycie nieznanym wzbudziło podejrzliwość, ale pistolet w jej ręce zniechęcił pracowników do zadawania pytań.

Po wyjściu na zewnątrz Kat natychmiast skierowała się ku gwarnemu festynowi. Wiedziała, że wypożyczony samochód może być obserwowany, więc postanowiła do niego nie wracać. Poza tym liczyła, że tłumy i zamieszanie na wąskich uliczkach pomogą im zgubić ewentualny pościg.

Na razie najważniejsze było oddalenie się od biblioteki. Później podejmą kroki, żeby dotrzeć do odrzutowca.

Spojrzała na mapę GPS-u, żeby sprawdzić, czy się nie zgubili w labiryncie średniowiecznych ulic. Wskazała następny zakręt w lewo.

– Tędy.

Odwróciła się, żeby sprawdzić, czy wszyscy ją słyszeli.

Sam i Elena skinęli głowami, oboje bledsi niż zwykle.

Przeżywali trudne chwile.

Za nimi Monk podchwycił jej spojrzenie. Też musiał zwrócić uwagę na stan starszej pary. W milczeniu dał jej znać, że dwoje naukowców zbliża się do granic wytrzymałości.

Skinęła do niego głową.

Czas wydostać się z tego labiryntu, znaleźć taksówkę i ruszyć na lotnisko.

Zdekoncentrowana i zmartwiona, nie zwróciła uwagi na motocykl lawirujący przez tłum. Widok nie był niczym niezwykłym. Tylko motocykle, skutery i małe europejskie motorynki śmigły po wąskich brukowanych ulicach Starego Miasta.

A jednak, gdy się obracała, włoski zjeżyły jej się na karku. Dawno temu nauczyła się ufać temu ostrzeżeniu, kiedy jej ciało wyczuwało zagrożenie, zanim zarejestrował je umysł. Motocyklem jechały dwie osoby, obie w kaskach, z zasłoniętymi twarzami. Nie były uczestnikami festynu; ich język ciała świadczył o związku z wojskiem.

Niestety, patrzyła na nich o ułamek sekundy za długo.

Głupia.

Silnik zawył i motocykl wystrzelił do przodu. Kat sięgnęła po broń. Monk zauważył jej ruch i obrócił się, wydając pistolet.

Oboje byli za wolni.

Motor do nich podjechał i kierowca kopnął Monka, rzucając go na mur. Kat wyrwała broń z kabury, ale motocykl już ich mijał. Kierowca nie zwolnił, gdy pasażer się wychylił, złapał Elenę w talii, przerzucił ją sobie przez kolana i wbił igłę strzykawki w jej szyję.

Po czym paląc gumy, odjechał.

Kat uniosła pistolet, lecz porywacze byli już daleko w tłumie. Nie miała szans na czysty strzał. Pobiegła do miejsca, gdzie skręcili na deptak.

Maszyna zygakowała pomiędzy spacerowiczami, ogródkami kawiarnianymi i ulicznymi muzykami. Sprawę komplikowało to, że wzdłuż jednej strony ulicy ciągnęły się sklepy z markizami tworzącymi ciemny tunel.

Natychmiast straciła ich z oczu.

– Podsadź mnie – zwróciła się do Monka, gdy do niej podbiegł.

Znał ją za dobrze, żeby kwestionować to polecenie. Przykląkł, a ona odbiła się od jego drugiego kolana i skoczyła. Przyłożył rękę do jej pośladka i pchnął ją wyżej. Wylądowała na brzuchu na najbliższej markizie, wykorzystwała sprężyste napięte płótno, żeby stanąć na nogach, i pobiegła.

Mknęła po kolejnych markizach, od czasu do czasu przeskakując przez lukę. Pędząc nad głowami tłumu, unikała panującego w dole ścisku. Modliła się, żeby motocykl utknął wśród pieszych, bo wtedy zdoła go dogonić.

Nadsłuchiwała zawodzenia dwusuwu.

I nagle usłyszała.

Z przodu, może dwadzieścia metrów dalej.

Przyśpieszyła, robiąc co w swojej mocy, żeby zmniejszyć odległość.

Niestety, z przodu ukazał się koniec uliczki wytyczony przez krytą dachówką arkadę. Była to brama w średniowiecznym murze miejskim. Kiedy porywacze opuszczą Stare Miasto, ulice staną przed nimi otworem i zgubi ich na zawsze.

Pobiegła jeszcze szybciej... i zobaczyła problem.

Za bramą był mały plac – bez markiz. Jej pościg zaraz się skończy.

Nie zwolniła jednak.

Gdy zbliżała się do bramy, dostrzegła motor, który wpadł na plac, płosząc przechodniów. Jeden z wielu biorących udział w festynie szczudlarzy – mężczyzna w pstrokatym kostiumie na pięciometrowych tyczkach – nie zdążył w porę zejść z drogi i przechylił się, gubiąc jedno szczudło.

Kat podziękowała za tę odrobinę szczęścia i wepchnęła pistolet za pas.

Dotarła do ostatniej markizy i bez namysłu skoczyła nad tłumem. Chwyciła przewracające się szczudło i wykorzystwała swój pęd, żeby przemienić je w tyczkę lekkoatlety. Mocno zaciskając ręce, opuściła nogi, zrobiła wymach... i pozęglowała nad placem.

Przeskoczyła nad motorem, który zwolnił w wąskiej zatłoczonej bramie, i zrobiła salto. Ludzie rozpięchli się w panice, pozwalając jej bezpiecznie wylądować. Żeby zamortyzować siłę uderzenia, padła na ziemię w przysiadzie, twarzą do motocykla.

Maszyna pędziła prosto na nią.

Kat wyrwała zza pasa pistolet, wycelowała i strzeliła.

Pocisk strzaskał osłonę kasku.

Maszyna się przewróciła i sunęła ślizgiem po bruku, mijając ją z lewej strony.

Pasażer zeskoczył w ostatniej chwili i przeturlał się. Kat wymierzyła, gdy wstał, ale okręcił się na pięcie i wpadł między oszołomionych gapiów.

W momencie gdy porywacz zeskoczył z siodełka, Elena spadła z motoru. Teraz próbowała usiąść, ale była mocno oszołomiona – albo wskutek upadku, albo zastrzyku.

Prawdopodobnie dostała środek uspokajający, żeby się nie broniła.

Kat pomogła jej usiąść.

– Nic ci nie jest?

Elena spojrzała na swoje ręce i nogi, potem na tłum gapiów.

– Chy... chyba nie.

Ich uwagę przyciągnęło głośne trąbienie. Mały jaskrawozielony mini cooper przebijał się na placyk. Spanikowany już tłum umknął mu z drogi.

Kat stanęła nad Eleną i uniosła sig-sauera, opuściła jednak broń, gdy zobaczyła Monka za kierownicą. Albo zarekwirował, albo ukradł pojazd.

Podjechał do nich i wyhamował.

– Wsiadać! – krzyknął przez otwarte okno, jeszcze zanim się zatrzymał.

Otworzył tylne drzwi.

Kat podniosła Elenę, wepchnęła ją na siedzenie, wskoczyła do środka i zatrzasnęła drzwi.

– Jedź! – rzuciła.

Dodał gazu i ruszył. Po chwili małe auto przemknęło pod sklepioną bramą i wyjechało ze Starego Miasta.

Tymczasem Kat wgramoliła się na przedni fotel, zostawiając Sama z Eleną.

Monk skrzywił i zadał pytanie nękające go od początku ataku:

– Skąd wiedzieli, że tu jesteśmy?

Sama się już nad tym zastanawiała. Poza garstką osób w Sigmie o planowanej podróży wiedzieli tylko ludzie z japońskiego wywiadu.

A wśród nich wyróżniała się jedna podejrzana.

Aiko Higashi.

Kat sięgnęła do kieszeni po telefon satelitarny.

– Muszę się skontaktować z Painterem.

– Po co?

– Każę mu ostrzec Graya.

– Przed czym?

Kat z niepokojem spojrzała na Monka.

– Sądzę, że pakuje się prosto w pułapkę.

Atol Ikikauō

8 maja, godzina 1.34 czasu miejscowego

Gray, przygotowany, wszedł do słonej wody.

Przeprawa przez gęsto zalesione wzniesienia na wschodni płaski brzeg jeziora zajęła im dwadzieścia długich minut. Musieli iść powoli, używając noktowizorów, starając się nie spłoszyć stad gniazdujących tam ptaków. Z ciemnych koron drzew pikowały na nich nietoperze.

Po wejściu do jeziora Gray miał nadzieję, że tylko nietoperze zauważyły ich obecność. Jezioro Luawai miało czterysta metrów szerokości i osiemset długości. Powietrze pachniało solanką, nad ciemną wodą unosiły się chmary gryzących muszek i hałaśliwych komarów. W wodzie też było życie, ryby wyskakiwały, polując na owady.

– Uważajcie, gdzie stajecie – przestrzegł swoich towarzyszy. – Dno opada stromo.

Ledwie dwa metry od brzegu woda sięgała mu po szyję. Nawet przez piankę czuł, że jest wyraźnie cieplejsza od otaczającego wyspę oceanu. I nie było to przyjemne; miał wrażenie, że brodzi w letniej zupie. Wysokie zasolenie, trzy razy większe niż w morzu, pogłębiało to dziwne uczucie. Woda w nienaturalny sposób wypierała jego ciało.

Przed zanurkowaniem ostatni raz przeszukał wzrokiem przeciwny brzeg. Przez gogle noktowizyjne dostrzegł niewyraźny blask nad wzniesieniami, wskazujący położenie starej instalacji Straży Wybrzeża.

Panowała cisza.

Usatysfakcjonowany, zanurzył się cały. Kiedy wszyscy do niego dołączyli, natychmiast kazał im ruszać. Przepłynęli wpływ pięćdziesiąt metrów, po czym włączyli cicho mruczące scubajety. Tym razem płynęli bliżej powierzchni, nie schodząc niżej niż na trzy metry. Na tej głębokości widzieli przesączaające się przez wodę światło gwiazd.

Co nie znaczy, że Gray potrzebował tego skąpego oświelenia. Mógłby płynąć tylko z kompasem, oceniając odległość przez liczenie wymachów nogami, ale musiał się dostosować do cywilów. Odrobina światła pomoże im trzymać się w zasięgu wzroku, co, jak miał nadzieję, zmniejszy ryzyko wybuchu paniki.

Podjął ten środek ostrożności nie tylko dla ich dobra.

Sunąc przez wodę, spojrzął za siebie. W drodze do jeziora Seichan próbowała maskować doskwierający jej ból, ale widział, jak się poci i niepewnie stawia kroki, i słyszał jej wytężony oddech. Wyglądało na to, że jej stan się pogarsza. Na brzegu zacisnęła zęby z taką siłą, że nabrzmiały jej mięśnie szczęki, gdy walczyła z bólem.

Nie wypatrzył jej w wodzie i oświadczył jej jeszcze większy niepokój. Wiedział, że Seichan płynie z Palu na samym końcu, ale najwyraźniej z jakiegoś powodu musiała zwolnić.

Opadły go wyrzuty sumienia.

Powinienem być bardziej stanowczy, uprzeć się, że ma zostać na Maui.

Znał ją jednak i wiedział, że znalazłaby sposób, żeby za nimi podążyć. W Hanie rozpoznał upór na jej kamiennej twarzy. Nieraz widział już u niej taką minę. Ale w tym wypadku jej determinacja miała jeszcze inny powód. Seichan troszczyła się nie tylko o siebie, ale przede wszystkim o życie, które w sobie nosiła.

Wierząc, że będzie walczyć do ostatniego tchu, spojrzął w przód... i o włos uniknął zderzenia. Skręcił w ostatniej chwili. Przeszkodą było stojące w pionie skrzydło starego samolotu. Gdy przepływał obok wraku, scubajet na jego piersi musnął metal, zdzierając warstwę alg.

Za przeszkodą wyłączył napęd i obrócił się. Ken i Aiko, którzy również spostrzegli skrzydło samolotu, rozdzielili się, żeby je ominąć, i Gray stracił ich z oczu.

Klnąc pod nosem, dał znak Kowalskiemu, popychając go w ślad za Aiko, a sam popłynął za Kenem. Miał nadzieję, że go dopędzi, ale na wszelki wypadek włączył latarkę UV.

Zobaczył przed sobą profesora. Ten na szczęście miał dość zdrowego rozsądku, żeby wyłączyć silnik scubajeta. Gray podpłynął do niego, utworzył kółko z palca wskazującego i kciuka, pytając w ten sposób, czy wszystko w porządku. Naukowiec odpowiedział mu tym samym, chociaż oczy miał wielkie ze strachu.

Razem skierowali się tam, gdzie zniknęli Aiko i Kowalski. Gray ostrożnie płynął przez cmentarzysko. Snop światła UV wyłowił z mroku wraki kilku samolotów. Fragmenty były rozsiane na dużym obszarze. Połowa śmigła wystawała z piasku,



przypominając krzyż na cmentarzu. Na dnie jeziora spoczywały rozdarte kadłuby. Połamane skrzydła sterczały pod różnymi kątami albo leżały płasko w mule.

Szczątki były pokryte i obwieszane algami.

Mimo to Gray rozpoznał typ samolotów, głównie po rzucającym się w oczy kręgu na jednym skrzydle i po nosie torpedy wystającym spod innego kadłuba. Były to wraki japońskich bombowców torpedowych z czasów drugiej wojny światowej – Nakajima B5N – zwykle startujących z lotniskowców.

Wyobraził sobie zażarty bój stoczony nad tą wyspą, epizod czterodniowej bitwy o Midway. Amerykańskie siły powietrzno-morskie zadały wówczas decydujący cios, po którym cesarska flota Japonii już się nie podniosła.

Gdy patrzył na cmentarzysko, z mroku wyłoniły się ciemne kształty.

Jeden mały, drugi wielki.

Aiko i Kowalski.

Płynęli ku światłu jego latarki.

Gdzie Seichan i Palu? – zastanawiał się Gray.

Czy wciąż byli za nimi? A może już minęli to miejsce?

Nie miał pojęcia, co się stało, ale opracowali plan awaryjny, na wypadek gdyby się rozdzielili. Mieli się spotkać w miejscu wyznaczonym przez współrzędne na zachodnim brzegu jeziora albo – jeśli zostaną wykryci – wrócić do grotty.

Nie mając innego wyboru, dał pozostałym znać, żeby płynęli dalej. Podjął jednak dodatkowy środek ostrożności i kazał im trzymać się blisko siebie. Nie zamierzał zgubić nikogo więcej.

Kiedy zostawili cmentarzysko za sobą, dno jeziora znowu opadło w ciemność, która rozciągała się poza zasięg jego latarki. Było tak, jakby płynęli w rozległej pustce.

Czując się odsłonięty nad tą otchłanią, Gray pomyślał o wyłączeniu latarki, ale najpierw poświecił za siebie, mając nadzieję, że blask będzie czymś w rodzaju latarni morskiej dla Seichan i Palu.

Jeśli w ogóle tam byli.

W końcu zgasił światło.

Jakby na dany znak w głębinie eksplodowała oślepiająca jasność. Zszokowany, ściągnął z maski gogle noktowizyjne. Blask poraził mu siatkówkę oczu i minęło parę sekund, zanim odzyskał wzrok.

Daleko w dole na dnie jeziora jarzył się duży kompleks. Wyglądał jak ogromna płyta główna, która nagle ożyła. Gray rozróżniał przejrzyste tunele, które łączyły

szereg kopulastych szklanych komór, tworząc wielopoziomowy labirynt. Inne ciemniejsze miejsca oznaczały pomieszczenia o stalowych ścianach.

Gray zrozumiał, co widzi.

Podwodne laboratorium.

Mógł również odgadnąć jego przeznaczenie. Czy jest lepszy sposób na odizolowanie niebezpiecznego organizmu, nad którym prowadzi się prace?

Lecz rozjarzony podwodny kompleks nie był jedynym źródłem oślepiającego światła. Jaskrawy stożek blasku płynął z dziobu zmierzającego ku nim podwodnego pojazdu.

Nie mając możliwości ucieczki, Gray przywołał swoich towarzyszy. Aiko i Ken byli spanikowani, a twarz Kowalskiego wyrażała ponurą rezygnację.

Komandor dał im znak, że mają wypłynąć na powierzchnię.

Połyskiwały tam kałuże światła, zbliżające się od zachodniego brzegu. Przez wodę niosło się stłumione dudnienie silników.

Łodzie...

Zostali wzięci w kleszcze, od góry i z dołu.

Gray wypłynął na powierzchnię i ściągnął maskę. Inni zrobili to samo. Zmierzały ku nim trzy pontony. Na każdym z nich cieniste postacie trzymały karabiny.

Pewną pociechą było to, że nie zostali natychmiast zastrzeleni, chociaż Gray nie był tym zaskoczony. Spodziewał się, że gospodarze wyspy będą chcieli przesłuchać intruzów.

Ale najwyraźniej inni nie byli im potrzebni.

Usłyszeli głośny huk wybuchu gdzieś na południowym wschodzie.

Wszyscy się odwrócili i patrzyli, jak w ciemne niebo wzlataje kula ognia.

Kowalski ponuro ściągnął brwi, równie dobrze jak Gray wiedząc, co było źródłem eksplozji.

Katamaran.

Gray, ciesząc się, że Palu tego nie widział, powiódł wzrokiem po ciemnym jeziorze, znów się zastanawiając, gdzie zniknęli ci dwoje. Ich nieobecność wcześniej go martwiła, ale teraz dawała mu nadzieję.

Przynajmniej nie wpadli w te sidła.

Jakiś ruch skierował jego uwagę na wodę.

W dole smukły snop blasku oddalał się od Graya i jego towarzyszy. Podwodny pojazd mknął w kierunku cmentarzyska japońskich samolotów, skręcając w prawo i lewo; najwyraźniej prowadził poszukiwania.

Gray modlił się, żeby Seichan i Palu znaleźli bezpieczną kryjówkę.  
Przed jarzącym się rekinem przeszukującym te mroczne wody.

## Godzina 1.52

Seichan, wciśnięta we wnętrze wraku, zapierała się rękami i nogami o ściany kadłuba. Japoński bombowiec pękł pod wpływem siły uderzenia; kadłub rozpadł się na dwie części. Za plecami miała kokpit ze szkieletem pilota uwięzionym w murszejących pasach.

Nazwa jeziora – Zabójcza Studnia – okazała się zbyt prawdziwa dla tego lotnika.  
Miejmy nadzieję, że z nami będzie inaczej.

Patrzyła przez dwumetrową przestrzeń otwartej wody, która oddzielała ją od tylnej części samolotu. Tam ukrywał się Palu. Nie widziała go, ale mogła sobie wyobrazić jego udręczoną minę, gdy tkwił w ciasnocie ogona.

Wpłynęli na skraj tego podwodnego cmentarzyska zaledwie przed chwilą. To przez nią zostali daleko z tyłu za pozostałymi członkami zespołu. Palu jej nie odstąpił, zapewne na rozkaz Graya.

Miała problem ze swoim napędem. Nie mogła wrzucić najwyższego biegu, co zmusiło ją do wymachiwania nogami, żeby utrzymać tempo narzucone przez pozostałych.

W normalnych okolicznościach nie miałyby z tym problemu.

Ale jej stan daleko odbiegał od normalności.

Nawet teraz ostrza bólu dźgały jej mięśnie. Ramiona jej się trzęsły, gdy przyciskała dłonie do kadłuba. Każde włókno w jej plecach płonęło.

Dopiero po długiej chwili zdołała się skupić na szkoleniu, jakie przeszła w Gildii. Wyciszyła umysł, zimnymi ścianami odgrodziła się od złego samopoczucia. Głęboko wdychała tlen z butli. Nauczono ją, że ból to system wczesnego ostrzegania organizmu i niekoniecznie jest proporcjonalny do odniesionych obrażeń czy, jak w tym wypadku, inwazji pasożytów. Wszystko ją bolało i piekło, lecz czuła, że ma w sobie siłę.

Na razie.

I teraz tylko to się liczyło.

Gray i inni wpadli w kłopoty.

Gdy płynęła z Palu przez cmentarzysko, świat przed nimi eksplodował w milczącej chmurze jasności. Na tle blasku wyraźnie ujrzała porośnięte algami szczątki samolotów. Gogle wzmocniły światło i przez chwilę nic nie widziała.

Mimo to nie zdjęła noktowizora i instynktownie popłynęła w cienie – tam gdzie spędziła większą część życia. Szukała schronienia, pociągając Palu za sobą, aż natknęła się na przełamany wrak na dnie jeziora.

Mieli szczęście, że tak szybko znaleźli kryjówkę.

Gdy się schowali, z głębin wyłonił się mały pojazd podwodny. W blasku jego reflektorów dostrzegła ciemne plamki wznoszące się ku powierzchni.

Gray i pozostali.

Po chwili pojawiły się jasne łodzie mknące po dachu tego wodnego świata. Zdobycz znalazła się w pułapce, więc pojazd skierował dziób ku cmentarzysku i ruszył w jego stronę. Reflektor zakreślał łuki.

Wiedzą, że tu jesteśmy, czy tylko podejmują środki ostrożności? – zastanawiała się Seichan.

Tak czy inaczej, nie mogła przed nimi uciec.

Po wpłynięciu na cmentarzysko przyjrzała się pojazdowi. Był to dwuosobowy skuter dla płetwonurków. Osłona z lexanu wyginała się nad dziobem, ale tył był otwarty. Za osłoną siedział sternik, a za nim kulił się pasażer z nisko pochyloną głową.

Wiedziała, że takie pojazdy zanurzalne są używane przez wojsko do przerzucania nurków na terytorium wroga. Uznała, że ten został zaprojektowany w podobnym celu, zwłaszcza że zauważyła kuszę sterczącą nad ramieniem pasażera.

Równie niepokojące były dwa stalowe szpice po obu stronach reflektora. Wyglądało na to, że skuter ma własną broń.

Gdy wpłynął nad pole wraków, pasażer zsunął się z siodelka i zanurkował. Wyglądało na to, że zamierza dokładnie przeszukać cmentarzysko i wyeliminować albo wypłoszyć z kryjówki każdy potencjalny cel.

Na dnie jeziora leżało tylko kilka wraków, więc liczba kryjówek była ograniczona. Nurek z pewnością znał te miejsca. Płynął prosto ku sąsiedniemu wrakowi. Skierował lampę przymocowaną do kuszy w strzaskane okno kokpitu. Kadłub został oświetlony od środka, promienie wystrzeliły przez szczeliny.

Po sprawdzeniu, czy nikogo tam nie ma, nieprzyjaciel popłynął ku przełamanemu samolotowi. Gdy Seichan i Palu ujrzeli blask latarki, cofnęli się jak najdalej

od niego. Dzięki oświeceniu Seichan widziała twarz Hawajczyka. Dała mu znak, wyciągając ręce i naśladując niedźwiedzi uścisk.

Palu skrzywił się za maską, marszcząc nos z konsternacji.

Miała nadzieję, że rozszyfrował jej gest.

Kiedy rozdzielająca ich woda pojaśniała, przygotowała broń i chwyciła ją w ręce. Zaparła się nogami i czekała. Gdy czubek kuszy z czarnej stali pojawił się w polu widzenia, rzuciła pierwszą bronią.

Pęd nurka niósł go na spotkanie twarzą w twarz z pociskiem.

Była to czaszka pilota.

Biała kość uderzyła w maskę wroga.

Reagując zgodnie z naturą ludzką – na niespodziewany atak i charakter obiektu – nurek skręcił. Skierował kuszę w stronę tej połowy kadłuba, w której kryła się Seichan, jednocześnie płynąc ku tej drugiej.

Zanim zdążył strzelić, potężne ramiona chwyciły go od tyłu i wciągnęły w rufową część samolotu, jak pajak wciąga ofiarę w podziemną pułapkę. Wyglądało na to, że Palu zrozumiał wiadomość.

Seichan odbiła się od fotela w kokpicie i ruszyła przez dzielącą ich przestrzeń. Szybko spojrzała w górę. Reflektor skutera przeszukiwał wrakowisko po lewej stronie.

Dobrze, uznała.

Płynąc do Palu, zderzyła się z nurkiem i przycisnęła lufę sig-sauera do jego piersi. Strzał był stłumiony, ale wciąż głośny. Miała nadzieję, że zagłuszy go hałas silnika. Strzelanie z pistoletu pod wodą zawsze jest problematyczne. Po oddaniu jednego strzału broń staje się bezużyteczna, a skuteczny zasięg wynosi nie więcej niż pół metra. Seichan wykorzystała to ograniczenie, żeby pocisk został w ciele mężczyzny.

Sztylet miałyby więcej sensu w podwodnej walce, lecz obawiała się, że jej cel mógłby za bardzo się miotać. Co więcej, krwawy szlak z dużej ziejącej rany byłby dla myśliwego w górze równie oczywisty jak sygnał dymny.

Odsunęła lufę i ścisnęła ranę przez piankowy kombinezon. Gdy stwierdziła, że przeciwnik nie żyje, zerwała z kadłuba garść alg i zakorkowała nimi dziurę po kuli. Następnie odpięła latarkę z kuszy, podała ją Palu i wskazała w kierunku skutera.

„Udawaj nurka”, poprosiła go bezgłośnie.

Skinął głową na znak, że rozumie, minął ją i opadł nisko nad dno. Popłynął za wiązką światła. Był mniej więcej tej samej postury co tamten. Przy odrobinie szczęścia podstęp nie od razu wyjdzie na jaw.

Kiedy Hawajczyk odpłynął, Seichan zdarła maskę z twarzy martwego mężczyzny. Zabrała mu słuchawki z mikrofonem, podpięła je do swojego radia, ściągnęła swoje okulary i założyła maskę nurka. Gdy wydmuchała z niej wodę, zobaczyła, że nad wrakiem samolotu już zalega ciemność. Nurek na skuterze i Palu oddalili się.

Seichan porzuciła kryjówkę i popłynęła w czarną toń.

Mimo bólu przeszywającego jej ciało czuła się spokojniejsza w swym naturalnym żywiole, cień w ciemności.

– Widzisz cele? – usłyszała w uchu słowa szeptane po japońsku. Sternik odezwał się do swojego partnera.

Seichan знаła odpowiedź. Martwy nurek wyglądał na Japończyka, więc odpowiedziała w tym samym języku.

– *Ōrukuria.*

Czysto.

Wznosiła się, aż osiągnęła poziom powoli płynącego skutera. Zajęła pozycję w jego kilwaterze. Każdy ruch nóg przyprawiał ją o katusze, ale skupiła się na celu, podpływając coraz bliżej.

W dole Palu wciąż udawał, że sprawdza wraki, od czasu do czasu przystając.

Seichan na tle jasności wyraźnie widziała sylwetkę sternika siedzącego pod osłoną. Przyśpieszyła, co rozniecilo węgle żarzące się w jej brzuchu i nogach.

– Ruch pięć metrów z przodu – szepnęła przez radio po japońsku, w języku, który doskonale znała z lat młodości spędzonych w Azji Południowo-Wschodniej. – Widzisz coś?

– Z góry nic – odparł sternik.

Licząc na to, że przeciwnik skupi uwagę na dole, podpłynęła do skutera, wycelowała ze zdobytej kuszy i strzeliła.

Strzała przemknęła przez otwartą tylną część pojazdu i trafiła mężczyznę w kark, niemal odcinając mu głowę. Krew szybko wypełniła lexanową kopułę. Skuter opadał, wlokąc za sobą szkarłatny szlak.

Ponieważ byli sami, Seichan nie musiała się obawiać, że ktoś zobaczy ten szczególny sygnał. Pośpieszyła w ślad za nim i dopędziła skuter. Chwyciła kierownicę, ściągnęła sternika z siodełka i odepchnęła go. Ciężki ekwipunek pociągnął zwłoki bez kamizelki ratowniczej ku czekającemu na dnie cementarzysku.

Seichan spojrziała na przyrządy. Miała pewne doświadczenie w prowadzeniu takich pojazdów, ale dawno ich nie używała. Po kilku próbach zdołała uruchomić skuter i popłynęła w kierunku Palu. Hawajczyk zauważył krwawy upadek sternika i czekał w pobliżu.

Pewnie sprawdzał, czy to nie ja, przemknęło Seichan przez głowę.

Kiedy znalazła się wystarczająco blisko, odbił się od dna i usiadł za jej plecami.

Z pytającym wyrazem twarzy wskazał w górę.

Pokręciła głową i wskazała w dół.

Czas złożyć wizytę gospodarzom wyspy.

Zanim ruszyła, zrobiła błyskawiczną inwentaryzację. Miała ukryte w pochwach sztylety i sig-sauera, którego mogła wysuszyć i przywrócić do stanu używalności. Nie była to duża siła rażenia, lecz Seichan uznała, że da sobie radę. Postanowiła polegać nie na tym, co wyniosła z Gildii, ale na umiejętnościach, jakie zdobyła dzięki ojcu swojego nienarodzonego dziecka, mężczyźnie będącemu mistrzem myślenia lateralnego i sprytnej improwizacji.

Chcąc uratować Graya, muszę zachowywać się jak on.

Gdy skręciła kierownicę i włączyła pędniki, jej kończyny przeniknął ogień. Pole widzenia zawęziło się do punkcika. Zgarbiła się, przyciskając rękę do brzucha, pragnąc przepędzić ból – nie ze swojego ciała, ale z tego, co w sobie chroniła.

Zaczerpnęła tchu, zwracając uwagę, że wskaźnik zapasu tlenu przesunął się do czerwonej strefy.

Kończy się czas.

Wyprostowała się, świadoma, że ta prawda odnosi się do nich wszystkich.

Zwłaszcza do jednego życia.

Wcześniej złożyła obietnicę – Grayowi, sobie, ale przede wszystkim nienarodzonemu dziecku.

Nie zawiodę cię.

Od wielu godzin jednak narastało w niej ponure pytanie.

Ile będę skłonna poświęcić, żeby dotrzymać tej obietnicy?

Waszyngton, USA

8 maja, godzina 8.55 czasu miejscowego

Co teraz?

Painter Crowe jechał windą z centrum dowodzenia Sigmy na parter Smithsonian Castle. Wezwał go kustosz muzeum, Simon Wright. Painter nie miał czasu do stracenia, ale tamten przekonywał go, że będzie chciał zobaczyć to, co miał do pokazania.

Jeśli nic nie zyskam, przynajmniej rozprostuję nogi, tłumaczył sobie dyrektor Sigmy.

Spędził w podziemiach całą noc, pozwalając sobie na krótką drzemkę około piątej rano. Współpracował z różnymi agencjami na całym świecie. Gdy tylko ugasił jeden pożar, zaraz wybuchał następny.

Gdy drzwi windy otworzyły się w pomieszczeniu, w którym za biurkiem siedział uzbrojony strażnik, Painter usłyszał sygnał komórki. Spojrzał na ekran i rozpoznał numer. Skinął głową do strażnika. Ten wyprostował się, witając go w milczeniu. Pokój był zabezpieczony przez kamery i elektroniczne systemy chroniące przed podsłuchem. Samo otworzenie drzwi do tego małego pomieszczenia wymagało użycia specjalnej karty elektronicznej z holograficzną literą Σ.

Painter podniósł telefon do ucha i stanął w kącie. Nie chciał wychodzić z zapewniającego prywatność pomieszczenia.

– Kat, jak sobie radzi doktor Delgado?

– Wygląda na to, że ma już za sobą najgorsze skutki środka uspokajającego.

Wyobraził sobie próbę porwania na ulicach Tallina dyrektorki Biblioteki Kongresu. Kobieta została uratowana, ale atak na estońską Bibliotekę Narodową wzbudził poważne zaniepokojenie.



– Dzięki za wysłanie ratowników na lotnisko – powiedziała Kat. – Monka martwiło jej ciśnienie, ale chyba środek przestał działać. Upiera się, że powinna nam towarzyszyć.

– Nie jestem zaskoczony. Odniosłem wrażenie, że ta pani nie da sobie w kaszę dmuchać.

– Zgadza się. Nauczyłam się od niej kilku nowych hiszpańskich przekleństw. – Kat westchnęła. – I słyszałam, że dyrektor Tamm przechodzi operację. Wciąż jest w stanie krytycznym. Gdyby nie jego pomoc... i jego córki...

Jej głos się wyciszył, stłumiony przez poczucie winy. Painter doskonale znał ten rodzaj wyrzutów sumienia.

– Dopilnujemy, żeby ich ciężka praca i poświęcenie nie poszły na marne – obiecał. – Kiedy lecicie do Gdańska?

– Będziemy w powietrzu za pięć minut. Ale przed startem chciałam poruszyć jeszcze jedną sprawę. Może już wiesz, kto nas zaatakował i skąd wiedzieli, że jesteśmy w Tallinie?

Usłyszał frustrację w jej głosie. Będąc w terenie, nie miała dostępu do swoich źródeł i z niecierpliwością pragnęła odzyskać kontrolę.

– Jason wciąż sprawdza pewne tropy. Chłopak jest w tym dobry. Skoncentruj się na Gdańsku, spróbuj się dowiedzieć, gdzie James Smithson zdobył ten bursztyn. Potrzebujemy odpowiedzi. Hawaje z minuty na minutę pogrążają się w coraz większym chaosie.

– Jak wygląda sytuacja?

– Liczba ofiar śmiertelnych wzrosła do ponad dwustu. Do szpitali i ośrodków zdrowia trafia coraz więcej nieprzytomnych pacjentów.

– Jak tych czworo, których Gray ściągnął z Haleakali?

– Chyba tak. Wzrasta liczba zainfekowanych. Specjaliści próbują znaleźć metodę zwalczania pasożytów. Dziewczyna Kowalskiego, Maria, dołączyła do grupy specjalnej w Hanie, żeby badać organizm, wykorzystując swoją znajomość genetyki.

– Nie powinna zostać ewakuowana?

– Odmówiła, chociaż wie, że zostanie uwięziona na wyspie, gdy zapadnie decyzja o blokadzie. Powiedziała, że wierzy, że ugasimy ten pożar.

– Mam nadzieję, że Kowalski zdąży ją zaobrączkować, zanim dziewczyna się połapie, jaki z niego gagatek.

Painter się uśmiechnął.

– Święte słowa.

– Jak przebiega wprowadzanie kwarantanny?

– W tej chwili tylko powiększa panikę i chaos. W Honolulu wybuchły zamieszki, gdy zmobilizowano Gwardię Narodową. Żołnierze nie szczędzą starań, żeby odciąć kordonem obszary lęgowe, ale wygląda na to, że kolonie ciągle się przenoszą i rozdzielają, zajmując nowe terytoria. To jak próba łapania motyli dziurawą siatką.

– Słyszałam, że wypróbują całą gamę środków owadobójczych.

– Na razie jedynym skutkiem było rozwścieczenie os i rozproszenie roju – powiedział Painter. – Co gorsza, napłynęły doniesienia, że osy są również na Molokai i Lanai.

– Więc już migrują z wyspy na wyspę?

– Na to wygląda. Poza tym nie wiadomo, ile zainfekowanych ptaków i ssaków odzyskało siły po wstrzyknięciu neurotoksyny. Na pewno już się przemieszczają, co dodatkowo umocni kolonie na wyspach. – Painter miał kłopot z ogarnięciem ogromu zagrożenia dla wysp i całego świata. – Już odwołano loty, co dodatkowo podsyca panikę. Wokół wysp powstaje blokada morska, żeby uniemożliwić komukolwiek przedostanie się na ten obszar albo opuszczenie go.

– Mimo wszystko to może nie wystarczyć – zaznaczyła Kat. – Utrzymanie kwarantanny na takim wielkim obszarze nie jest możliwe. W końcu ktoś albo coś się wyrwie i przeniesie tę plagę na ląd.

Painter wiedział, że Kat ma rację. Pomyślał o ostrzeżeniu Kena Matsuiego, który powiedział, że być może trzeba będzie zastosować drastyczne środki.

„...będziecie musieli zrzucić bomby atomowe na Hawaje”.

Modlił się, żeby do tego nie doszło, chociaż już słyszał pogłoski dochodzące z różnych szczebli, na których rozważano i oceniano taki scenariusz. Jedną z strategii polegała na ewakuacji mieszkańców samolotami i lotniskowcami do porzuconej bazy na atolu Johnston, leżącym około tysiąca trzystu kilometrów na zachód od Hawajów, a następnie wysterylizowaniu archipelagu taktycznymi uderzeniami nuklearnymi.

Z takim planem wiązało się jednak mnóstwo problemów. Painter wiedział, że powierzchnia atolu Johnston wynosi tylko dwanaście kilometrów kwadratowych, które z trudem pomieściłyby wszystkich mieszkańców Hawajów. I niektórzy prawdopodobnie odmówiliby ewakuacji. Następnie dochodziło pytanie, co dalej zrobić z przesiedlonymi ludźmi.

Co gorsza, jeśli chociaż jeden człowiek został zainfekowany i w jego organizmie rozwijały się larwy, cały cykl rozpocznie się od nowa. Czy to będzie oznaczać, że

wyspiarze nigdy nie opuszczą atolu? Czy przeprowadzka będzie dla nich wyrokiem dożywocia?

– Potrzebujemy lepszego rozwiązania – mruknął do siebie, ale Kat go usłyszała.

– Zrobimy co w naszej mocy, żeby zobaczyć, czy są jakieś odpowiedzi na końcu szlaku Smithsona – obiecała. – A co z Grayem i jego ekipą?

Painter wiedział, że Kat się obawia, że tamci wpadli w pułapkę, być może zastawioną przez Aiko Higashi. Po zasadzce w Tallinie wydawała się przekonana, że wiadomości o jej misji w Estonii przekazał wrogowi ktoś, kto pracuje w wywiadzie japońskim.

– Gray jeszcze się nie odezwał – odparł i westchnął ciężko. – Ale wyłączył radio przed wyruszeniem na wyspę. Jason nadstawia ucha, czekając na kontakt.

– Mam nadzieję, że jest bezpieczny i że coś tam znajdzie.

Jak my wszyscy, pomyślał Painter.

Sprawdził, która godzina.

– Muszę kończyć. Czeka na mnie Simon Wright. Daj Jasonowi znać, jak wylądujecie w Gdańsku.

– Czego chce od ciebie kustosz?

– Oto jest pytanie.

Painter zakończył rozmowę, schował komórkę i ruszył do wyjścia. Muzeum otwarto przed niecałą godziną, więc było niewielu zwiedzających. Nikt nie poświęcił mu drugiego spojrzenia, gdy wyszedł przez nierzucające się w oczy drzwi.

Skierował się do północnego wejścia Castle. Simon poprosił o spotkanie w podobnym do kaplicy pomieszczeniu na lewo od tego wejścia. Była to Krypta Smithsona z trumną i tablicą pamiątkową. Painter wiele razy w roku odwiedzał to miejsce, z szacunku dla fundatora tej instytucji. Wydawało się to stosowne.

Kustosz czekał na progu kaplicy, ubrany w świeżo wyprasowany garnitur. Zaczeseane do tyłu długie białe włosy nie zasłaniały wyrytych na czole bruzd pogłębionych przez zmartwienie. Zauważył Paintera i uniósł rękę.

– Dziękuję, że po raz kolejny pozwoliłeś mi nadużyć twojego czasu. Uznałem, że to może być ważne.

– Co chcesz mi pokazać?

Simon zaprosił go do kaplicy i z rękami na biodrach stanął przed wysokim grobowcem, wyraźnie go podziwiając. Painter musiał przyznać, że wygląda imponująco. Na ozdobnym marmurowym sarkofagu spoczywała duża urna z białego kamienia, zawierająca szczątki Smithsona.



– Przechodziłem obok tej krypty niezliczoną ilość razy – zaczął Simon – ale dzisiaj zacząłem się zastanawiać, czy Smithson nie próbował nam czegoś powiedzieć. Może chciał utrwalić w kamieniu coś, co nie mogłoby spłonąć w pożarze jak jego dzienniki.

– Co takiego?

Simon na niego spojrział.

– Coś, co ukrył na swoim nagrobku.

– Nie rozumiem – rzucił Painter, unosząc brwi.

– Alexander Graham Bell sprowadził z Włoch nie tylko kości Jamesa Smithsona. Prawie rok później ten monument został rozebrany, zapakowany i przysłany tutaj.

– Simon z nabożnością poklepał blok kamienia. – To oryginalny nagrobek, który kiedyś stał na cmentarzu San Beningo i Genui.

Dyrektor Sigmy wiedział o tym, ale nie miał pojęcia, dlaczego miałyby to mieć znaczenie.

– Bratanek Smithsona – ciągnął kustosz – Henry James Hungerford, zamówił nagrobek, ale zdobiące go symbole do dziś są tajemnicą. Niektórzy uważali, że zaprojektował je sam Smithson, jako ukłon w stronę swojego zainteresowania wiedzą klasyczną. Spójrz na te lwie łapy podtrzymujące urnę. Takie ozdobne elementy można znaleźć w całym świecie starożytnym. W Grecji, Rzymie, nawet Egipcie. Łapy reprezentują siłę.

Wskazał inne wyrzeźbione detale.

– Gałąź wawrzynu symbolizuje Drzewo Życia. Ptak jest duszą wzlatującą do nieba. Muszla ze swoimi więzami z morzem oznacza wieczność i odrodzenie.

Spojrzał na Paintera spod uniesionej brwi.

Ten zrozumiał, co sugeruje.

– Myślisz, że kazał umieścić muszlę na nagrobku, żeby wskazać, że jego grób zawiera coś, co może się odrodzić, co może być nieśmiertelne? – spytał. – To mocno naciągana teoria.

– Możliwe. – Kustosz wskazał szczyt urny. – Widzisz to zwieńczenie w kształcie szyszki? Szyszka też symbolizuje odrodzenie. Dla mnie to wygląda jak temat przewodni.

Painter skrzyżował ręce na piersi, ani trochę nieprzekonany.

Simon zwrócił uwagę na jego pozę, uśmiechnął się i wskazał rząd zdobień poniżej wieka urny.

– Spójrz na te trzy symbole na prawo od centralnej muszli. Muszli, która symbolizuje odrodzenie.

Painter podszedł bliżej i zimny dreszcz przebiegł mu po kręgosłupie.

Dlaczego nie dostrzegłem tego wcześniej?



Trzy płaskorzeźby obok muszli wyobrażały węża, kawałek skały i skrzydlatego owada.

Uniósł rękę i przeciągnął palcami po kamieniu.

– Myślisz, że to miało wyobrażać bryłę bursztynu. – Przesunął rękę na węża. – A ten gad symbolizuje uwięzione w bursztynie kości dinozaura. Skrzydlaty owad...

– Większość ludzi uważa, że to ćma – wtrącił Simon. – Zrodzona z kokonu, jest uosobieniem życia po śmierci. Ale może symbol ma podwójne znaczenie i reprezentuje nie tylko odrodzenie po śmierci, ale również stworzenia, które mogą dokonać tego cudu.

Painter muskał palcami symbole, jakby czytał wiadomość wypisaną alfabetem Braille'a przez fundatora Smithsonian Institution.

– Osy zrodzone z bursztynu z kośćmi gada – mruknął.

Simon cofnął się i znów wsparł ręce na biodrach.

– Jeśli kazał wyrzeźbić to ostrzeżenie na swoim grobie, nasuwa się pytanie...

– ...co jeszcze tu napisał? – dokończył za niego Painter.

Przeniósł spojrzenie na fantazyjne ozdoby. Czy naprawdę mogły zawierać jakieś informacje? Jeśli nawet nie na temat leku, to może przynajmniej zawierały sugestię, skąd pochodzi bryła bursztynu?

Poklepał kustosza po ramieniu.

– Simonie, może jednak zwerbuję cię do Sigmy – zażartował.

– Dzięki, ale podoba mi się moja praca. Zwłaszcza że raczej nie zarobię kulki podczas jej wykonywania.

Painter wskazał kryptę.

– Czy ktoś z personelu mógłby sfotografować nagrobek, od góry do dołu i ze wszystkich stron, i przysłać mi zdjęcia?

– Zaraz sam się tym zajmę.

– Dzięki.

Dyrektor Sigmy odwrócił się i odszedł. Chciał, żeby Kat jak najszybciej obejrzała zdjęcia, i modlił się, by pomogły jej w poszukiwaniach. Zamierzał je również pokazać Grayowi, który miał niesamowity dar dostrzegania tego, co zostało ukryte na widoku.

Niestety, z tym wiązał się duży problem.

Do licha, gdzie jest Gray?

## Atol Ikikauō

8 maja, godzina 2.22 czasu miejscowego

Ken drżał, gdy winda opadała w głąb wyspy. Miał na sobie tylko spodenki kąpielowe, ale odczuwał chłód wcale nie z powodu skąpego ubrania. Mroził go widok karabinów wycelowanych w ich czwórkę. W dużej kabinie obok profesora i jego towarzyszy jechało czterech japońskich strażników, z bronią wymierzoną w piersi jeńców.

Aiko, w jednoczęściowym kostiumie kąpielowym, stała obok Kena. Gray i Kowalski stali po obu stronach, też tylko w kąpielówkach.

Po pochwyceniu zaprowadzono ich na zachodnią stronę wyspy, gdzie na niewysokich wzniesieniach stało skupisko betonowych budynków z pordzewiałymi metalowymi dachami. Placówka Straży Wybrzeża górowała nad ciemnym pasem startowym z kruszonych koralowców, biegnącym równoległe do linii brzegowej. Na bliższym końcu pasa stał mały odrzutowiec i większy samolot transportowy.

Gdy szli ku największemu budynkowi, w zatoczce na dole pojawiła się smukła biała łódź. Ślizgała się na dwóch wysokich hydroplatach, zbliżając się do długiego mola, przy którym wreszcie zwolniła i opadła na kil.

Ken domyślał się, skąd przybyła. Gwiazdy na południu wciąż przysłaniał słup dymu, oznaczając miejsce, gdzie jeszcze pływały szczątki rybackiego katamaranu.

Po wejściu do wielkiego budynku Straży Wybrzeża kazano im zdjąć cały ekwipunek, łącznie z piankami, i zabrano do szybu wybitego w betonowym fundamencie. Wisiała tam klatka windy towarowej wielkości garażu na jedno auto. Górna połowa, obramowana przez pręty, była otwarta.

Nie mogąc dłużej patrzeć na lufy karabinów, Ken skupił się na przemykających wokół nich skalnych ścianach. Górne warstwy wyspy składały się ze sprasowanych koralowców, ale teraz opadali przez ciemny wulkaniczny bazalt. Historia wyspy była zapisana w jej budowie geologicznej. Wyspy powstałe dawno temu przez erupcje

wulkanów wzdłuż Grzbietu Środkowopacyficznego powoli dryfowały na północny zachód, pchane przez siły tektoniczne. Z czasem się podniosły, wystawiając na słońce kolonie koralowców.

Ken próbował czerpać siłę z otaczającego go twardego kamienia, gdy nagle winda gwałtownie się zatrzymała. Zaskoczony, poleciał w kierunku Graya, lecz ten zdążył złapać go mocno za łokieć, dzięki czemu profesor odzyskał równowagę.

Może to jest siła, na którą powinienem tu liczyć, pomyślał.

Kiedy strażnik czekający przed windą otworzył drzwi, Ken i pozostali pod groźbą broni wyszli do tunelu.

Zanim kazano im ruszać, Aiko przyjrzała się szybko.

– Wykorzystali zabudowania Straży Wybrzeża, żeby ukryć prace górnicze. – Mówiła ze spokojem, niemal z podziwem.

Kenowi serce podchodziło do gardła. Otarł pot z czoła. Uświadomił sobie, jak bardzo nie pasuje do grupy tych dzielnych ludzi.

Tunel prowadził do okrągłych stalowych drzwi, dość grubych, żeby chronić skarbiec w banku. Były uchylone. Profesor przeszedł przez nie jako ostatni z ich czwórki. Mimo przerażenia szeroko otworzył oczy na widok tego, co znajdowało się za drzwiami.

Szklany tunel, oświetlony biegnącym pod sklepieniem szeregiem żarówek LED, ciągnął się w ciemne wody jeziora. Na tę głębokość nie docierało światło gwiazd. Podwodny kompleks był światem samym w sobie. Trzy poziomowy labirynt tuneli i pomieszczeń przypominał stację kosmiczną zagubioną w bezgwiazdnej pustce.

Jeden z towarzyszy Kena miał inne skojarzenia.

– Wygląda jak wymyślna klatka dla chomików – skomentował cierpko Kowalski.  
– Tylko szkoda, że to my jesteśmy tkwiącymi tu głupimi chomikami.

– Dalej – ponaglił go burkliwym głosem idący za nim mężczyzna.

Gdy szli w głąb kompleksu, Ken zwracał uwagę na jego rozplanowanie. Znajdowali się na środkowym poziomie. Górny i dolny składały się z sekcji skupionych wokół szklanych kopuł. Układ sugerował, że prowadzone tu badania są wysoce wyspecjalizowane.

Z gwarancją ścisłej izolacji.

Powód tych zabezpieczeń stał się oczywisty, gdy mijali boczny tunel prowadzący do jednego z nakrytych kopułą pomieszczeń. Wejście uszczelniała śluza, ale przez szyby mogli zobaczyć kłębiącą się na każdej powierzchni masę owadów. W powietrzu wirowały ciemne serpentyny.



Ken zmrużył oczy i zwolnił, chcąc się lepiej przyjrzeć, ale strażnik trącił go lufą karabinu.

Zaniepokojona Aiko spojrzała na profesora, marszcząc czoło.

– Sądzę... sądzą, że tam są wojowniczkę – odezwała się. – Te wielkie, szkarłatno-czarne. – Popatrzyła przez jarzący się kompleks na inne komory. – Może podzielili rój i każdą jego grupę badają osobno.

Szklanymi tunelami chodzili technicy w białych fartuchach laboratoryjnych. Przed nimi mężczyźni w niebieskich kombinezonach pchali w ich kierunku ciężko załadowane wózki, tak że ci w fartuchach musieli przywierać do ścian, żeby tamtych przepuścić.

– Najwyraźniej przygotowują się do zamknięcia ośrodka – mruknął Gray, gdy wózki ich mijaly.

Ken obawiał się, co może z tego wynikać.

Co to oznacza dla nas? – zastanawiał się.

Kiedy wózki przejechały, strażnicy poprowadzili ich na koniec tunelu, gdzie centralna kolumna łączyła trzy poziomy. Biegły w niej spiralne schody, ale ich skierowano do pomieszczenia znajdującego się w środku całego kompleksu.

Pierwszy strażnik wcisnął guzik umieszczony obok dwuskrzydłowych drzwi i przysunął usta do głośnika. Powiedział coś szybko po japońsku, zbyt cicho, żeby Ken mógł wyłapać słowa.

Gdy się cofnął, drzwi się rozsunęły, odsłaniając kolisty gabinet ze stojącym pośrodku dużym biurkiem z wypolerowanego drewna tekowego. Biurko i siedzącego za nim mężczyznę okalały regały z tego samego materiału.

Nieznajomy wstał na widok przybyszów. Wyglądał na nie więcej niż trzydzieści lat. Był w garniturze skrojonym w taki sposób, żeby eksponował jego wysportowaną, muskularną sylwetkę. Zmrużył oczy, równie czarne jak krótkie włosy, i przypatrywał im się przez kilka sekund, najwyraźniej ich oceniając.

Miał stoicki wyraz twarzy – pomijając dwie pionowe zmarszczki pomiędzy brwiami i mocno zaciśnięte usta – ale spowijała go chmura gniewu.

Aiko zabrała głos, leciutko skłaniając głowę:

– *Kon'nichiwa*, Masahiro Ito.

Usta mężczyzny stwardniały, zmarszczki się pogłębiły. Wyraźnie był zirytowany, że ktoś odezwał się do niego bez pytania. Minęła długa chwila, zanim odzyskał zimną krew.

– Pani Higashi – rzucił.

– Znacie się? – zapytał Gray, zerkając na Aiko.

– *Hai*. – Ukłoniła się głębiej, po czym uniosła rękę. – Przedstawiam Masahira Ito, wiceprezesa działu badawczo-rozwojowego Fenikkusu Laboratories.

Ken już zauważył złote logo korporacji na ścianie za biurkiem. Wyobrażało ognisty krąg wokół stylizowanego ptaka o płomienistych skrzydłach. W oku feniksa, mitycznego imiennika koncernu farmaceutycznego, tkwił rubin wielkości paznokcia kciuka.

– Jak zdrowie pańskiego dziadka? – zapytała po japońsku Aiko.

Masahiro powoli usiadł.

– Ma się dobrze – odparł, uczestnicząc w oficjalnym tańcu charakterystycznym dla japońskich biznesmenów, którego podstawą było uprzejme uznanie pochodzenia i dziedzictwa równych sobie.

– Miło mi to słyszeć. – Aiko znów lekko skłoniła głowę i zakończyła ten krótki rytuał, przechodząc na angielski. Przeszyła mężczyznę stalowym spojrzeniem. – Zatem może zechce pan wyjaśnić atak pańskiej rodziny na Hawaje.

Ken wzdrygnął się, słysząc jej bezceremonialne słowa.

Masahiro nie zareagował.

– Nie sądzę, żeby w tych okolicznościach wyjaśnienia były konieczne albo wymagane – odezwał się po chwili i przeniósł spojrzenie na uzbrojonych strażników. – Ale powiem, że wszystko przebiega zgodnie z planem mojego dziadka... z wyjątkiem jednego szczegółu.

Zmrużył oczy, patrząc na Graya.

– Gdzie twój partner?

Gray zerknął na Kowalskiego, udając zdziwienie.

– Stoi tutaj.

Masahiro wstał i oparł ręce na biurku.

– Kobieta... twoja kobieta. Zdradziecka *kisama*, która spowodowała upadek Kage.

Kowalski pochylił się w stronę Graya i wycedził cicho:

– Chyba mówi o Seichan.

Komandor nieznacznie pokręcił głową, po czym wyprostował ramiona, porzucając wszelkie pozory uległości. Utkwił w Japończyku chłodne spojrzenie.

– Jest na Maui. Odizolowana i chora po zainfekowaniu pasożytami przez coś, co, kanalie, wypuściliście na wyspie – powiedział z nutą gniewu, żeby przydać powagi swoim słowom.

Japończyk mierzył się z nim wzrokiem, próbując się zorientować, czy mówi prawdę.

Wpadli w zasadzkę, ale dzięki temu, że wylądowali po drugiej stronie wyspy i płynęli pod wodą w ciemności, nieprzyjaciel nie wiedział, ilu ich było.

W sercu Kena wezbrała nadzieja.

Masahiro usiadł.

– Może zatem moje działania na Maui nie były kompletną porażką. Jeśli nawet nie bezpośrednio, skazały twoją kobietę na śmierć w męczarniach.

Gray nie musiał udawać rozpacz.

– Więzień kłamie – powiedział ktoś za nimi zimnym głosem.

Ken odwrócił się i zobaczył niezwykłą kobietę z eskortą uzbrojonych mężczyzn. Miała śnieżnobiałe włosy, o ton jaśniejsze niż jej blada cera. Bok jej twarzy szpecił duży czarny tatuaż: połowa zębatego koła.

Kobieta omiotła gabinet przenikliwym spojrzeniem błękitnych jak lód oczu i zatrzymała je na Grayu.

Ten spiął się, jakby gotów na nią skoczyć.

Znał ją.

## Godzina 2.34

Wala Michajłowa...

Gray zacisnął pięści, żeby powstrzymać się od natychmiastowego ataku. Po ubiegłorocznych wydarzeniach w Afryce wiedział, że zabójczyni żyje. Miała nawet czelność zostawić białą różę z jednym czarnym płatkim na grobie swojego brata bliźniaka.

Komandor patrzył na czarny tatuaż na jej twarzy, przedstawiający połowę kołowrotu, pogańskiego symbolu solarnego z krajów słowiańskich. Drugą połowę nosił jej równie blady brat. W ubiegłym roku Anton zginął w Afryce, będąc daleko od siostry. Widząc furię tłącą się w oczach Wali, Gray domyślał się, kogo obwinia za jego śmierć.

Ani na chwilę nie odrywając od niego spojrzenia, kobieta zwróciła się do Masahira:

– Nie było jej na łodzi. Dokładnie ją przeszukaliśmy.

Za progiem pojawiło się dwóch znajomych mężczyzn. Stanęli z opuszczonymi ramionami, patrząc spode łba. Byli to kuzyni Palu: Makaio i Tua.

Gray poczuł umiarkowaną ulgę. Braciom groziło niebezpieczeństwo, ale przynajmniej żyli. Domyślił się, że Wala przeprowadziła atak na katamaran i wysadziła go po pochwyceniu kuzynów Palu.

Masahiro pogardliwie spojrzał na kobietę.

– Może w takim razie została na Maui.

– Nie – oświadczyła z przekonaniem Wala. – Jest gdzieś na tej wyspie.

– Nie możesz być pewna...

– Jest tutaj – przerwała mu z gniewnym spojrzeniem, po czym wskazała Graya. – I on nam powie gdzie.

Masahiro był jednocześnie niepewny i zirytowany. Najwyraźniej tych dwoje nie pałało do siebie miłością.

– Jakie to ma znaczenie? – rzucił. – Mamy opuścić tę wyspę za czterdzieści minut, paść wszystko za sobą.

– Takie, że twój dziadek, *Jōnin* Ito, będzie chciał usłyszeć, że ta kobieta nie żyje – odparła. – Zwłaszcza po twojej porażce na Maui. – Oczekała, aż jej słowa wystarczająco go zabolą, po czym spojrzała na Graya. – Poza tym czterdzieści minut spokojnie mi wystarczy, żebym go złamała.

Spróbuj, pomyślał komandor.

Przyjmując jego milczące wyzwanie, odwróciła się w stronę ludzi przy wejściu i wskazała kuzynów Palu.

– Zabierzcie ich tam, gdzie powiedziałam. Ale będzie mi potrzebna jeszcze jedna osoba. Ktoś, dzięki komu ten facet stanie się bardziej uległy. – Zatrzymała spojrzenie na Aiko. – Może kobieta...

Masahiro wstał.

– Nie. Dziadek powiedział, że pani Higashi nie może doznać krzywdy. Była pożyteczna w przeszłości i znów może się przydać.

Gray zerknął na Aiko.

Co on przez to rozumie? – zastanawiał się.

Aiko nie zmieniła wyrazu twarzy, nieporuszona ani przez groźbę Wali, ani przez insynuację Masahira.

– Zatem cywil. – Wala wskazała Kena. – Niewinny w tym wszystkim.

– Nie. – Masahiro wyszedł zza biurka i stanął naprzeciwko niej. – W ciągu swojej krótkiej pracy z osami profesor Matsui osiągnął znacznie więcej niż jakikolwiek

inny naukowiec. Dziadek uznał, że nawet nadana przez niego nazwa, Odokuro, jest inspirująca, bo nawiązuje do naszych mitologii i dziedzictwa. – Spojrzał na Kena. – *Jōnin* Ito jest przekonany, że właściwe argumenty skłonią go do przejścia na naszą stronę.

Sądząc po osłupiałej minie profesora, wydawało się to wątpliwe.

– Zostaje mi zatem niewielki wybór. – Wala obróciła się ku ostatniemu członkowi zespołu. – Brać go.

Kowalski jęknął, ale trącony karabinem w żebra, niechętnie ruszył do drzwi.

Gray zrobił krok do przodu.

– Dokąd go zabierasz?

Wala napięła usta, pokazując czubki zębów w swojej wersji uśmiechu.

– Na sprawdzenie, jaką masz silną wolę. – Odwróciła się do wyjścia. – I żołądek.

## Godzina 2.58

Ken z Aiko u boku siedł za Grayem po schodach. Dwóch strażników celowało z karabinów w ich plecy. Błada kobieta, w towarzystwie kolejnej pary uzbrojonych mężczyzn, prowadziła.

Obok niej siedł Masahiro Ito; każdy jego sztywny ruch wyrażał zniecierpliwienie. Dwa razy spojrzął na zegarek, gdy wchodzili na wyższy poziom kompleksu laboratoriów.

Tam skierowali się do jednej z czterech sekcji. Na ich widok dwóch techników w białych fartuchach skręciło w boczny tunel, śpiesznie schodząc im z drogi. Obaj mieli spuszczone wzrok, ale jeden zerknął przez ramię w stronę, w którą się kierowali – tam, gdzie najprawdopodobniej zabrano Kowalskiego i kuzynów Palu.

Gdy technik się odwrócił, Ken dostrzegł jego przerażoną minę.

Nie może być dobrze, pomyślał.

Na kolejnym skrzyżowaniu tuneli skręcili i podeszli do przeszklonych drzwi, za którymi znajdowała się stalowa komora. Stało w niej trzech więźniów. Strażnicy skuli im ręce i przypięli kajdanki do zwisających z sufitu łańcuchów.

Makaio i Tua mieli szeroko otwarte przerażone oczy. Kowalski tylko patrzył spode łba, jakby chciał komuś naprawdę mocno przyłać. W pewnej chwili spojrzął przez szybę na Graya takim wzrokiem, jakby go winił za obecne kłopoty.

Wala też popatrzyła na komandora.

– Dam ci trzy szanse na wyjawienie, gdzie ukrywa się twoja kobieta. To pierwsza z nich. Zanim zrobi się paskudnie. Współpracuj, a śmierć twoich przyjaciół będzie szybka i lekka.

Gray zachował kamienny wyraz twarzy, lecz w jego oczach błysnęła ledwie hamowana furia.

Wala wzruszyła ramionami.

– Jak uważasz.

Postukała palcem w szybę. Strażnicy natychmiast wyszli na korytarz. Zamknęli za sobą drzwi, obracając kołem podobnym do tych na włazach w okęcie podwodnym.

Ken zwrócił uwagę na podłogę z perforowanej stali pod bosymi stopami uwięzionych mężczyzn. Wyobraził sobie wypływającą z dołu morską wodę.

Zamierzają ich utopić?

Jego uwagę przyciągnął ruch na ścianie naprzeciwko wejścia do komory. Obok niskiego włazu otworzył się rząd przednich ścianek czegoś, co wyglądało jak szuflady. Ścianki opadły na zawiasach, tworząc półeczki, i z prostokątnych otworów wypłynął potok ciemności, zalewając szczelnie zamkniętą komorę.

To nie woda zagrażała mężczyznom.

Ken zrozumiał, że pomieszczenie przylega do jednej z kopulastych komór testowych, która nie zawierała wojowniczek uzbrojonych w zabójcze żądła.

Było w niej coś znacznie gorszego.

Osy wlewające się do komory nie miały skrzydeł, były wielkości orzecha laskowego. Choć małe, rekompensowały swoje rozmiary liczebnością... a także siłą mocnych żuwaczek.

W swoim laboratorium w Kioto profesor widział, co takie osy robiły ze szczurem.

Nie mogę na to patrzeć.

Chciał się odsunąć od szyby, lecz lufa karabinu nacisnęła na jego kręgosłup i zmusiła go do pozostania na miejscu. Gray wyczuł jego strach i wzrokiem poprosił o wyjaśnienie.

Kenowi odjęło mowę. Za szybą chmara wylewała się z sąsiedniej klatki i rozpełzała po podłodze, sunąc pod ścianami. Osy okrężały ofiarę, żeby ją osaczyć.

Wala pokazała Grayowi dwa palce.

– To twoja druga szansa, żeby zacząć mówić – powiedziała.

Zignorował ją, skupiając uwagę na Kenie.

– Co to jest?

Profesor musiał przełknąć ślinę, żeby odpowiedzieć.

– Żniwiarki.

# ŻNIWIARKA

Tak naprawdę to nie była „ona”, to były „one”.

Mała osa zderzała się ze swoimi sąsiadkami. Ich długie czułki plątały się, odnóża ocierały, utrudniając określenie, gdzie kończy się osobnik, a zaczyna chmara.

Więź wzmacniały maleńkie włoski pokrywające ich ciała. W innych kastach roju te drobne włókienka po prostu gromadziły pyłek. Dla chmary dawno temu stały się narzędziem komunikacji. Muskające się włoski pozwalały substancjom chemicznym i feromonom przenikać masę zbitych ciał, stapiając jednostki w jedność.

Gdy wpłynęły na to nowe terytorium, ich idealnie nastrojone zmysły wykryły obecność ofiary. Odkrycie zostało wzmocnione tysiącrotnie przez resztę chmary. Hormony zareagowały, pobudzając grube mięśnie oplecione wokół ostrych żuwaczek.

Gruczoł ulokowany pomiędzy oczami wydzielił do wnętrza aparatu gębowego kropelkę oleju zawierającą 2-heptanon, czynnik paralizujący. Trucizna jednej kropli wystarczała do obezwładnienia gąsienicy albo niewielkiego owada, ale gdy chmara łączyła siły, mogła powalić znacznie większą ofiarę.

W dodatku ślina zawierała mieszanę enzymów trawiennych, dostatecznie potężnych, żeby zmiękczyć najtwardsze tkanki. Ta cecha wyewoluowała w czasach, kiedy ich posiłek był okryty pancernymi łuskami.

Kierowane instynktem wpisanym w kod genetyczny, owady rozdzieliły się, tworząc kleszcze, żeby okrążyć ofiarę.

Przez cały czas gromadziły informacje o posiłku, głównie oceniając poziom zagrożenia. Nie miały się jednak czego obawiać. Ich ciała były chronione przez twarde powłoki, zaprojektowane dawno temu do wytrzymywania ogromnego nacisku, takiego jak stąpanie pradawnych olbrzymów. Szybko oceniły ryzyko i podzieliły się informacjami.

Gdy osiągnęły konsensus, kalkulacje przeszły w instrukcje.

Dokonały wyboru celów, dzieląc się ucztą.



Kilka grup w chmarze trzasnęło zadnimi odnóżami, klekocąc głośno i szybko. Inne dołączyły do chóru. Był to jednocześnie sygnał gotowości i środek umożliwiający głębszą analizę jakości posiłku.

Klekot odbijał się od celu, wracając z dodatkowymi szczegółami.  
Najpierw tylko forma, kształt i wielkość.



Gdy kakofonia stała się głośniejsza, wzmocniona przez ich wielką liczbę, żniwiarka spenetrowała zewnętrzne powierzchnie ofiary i ujawniła zawartą wewnątrz ucztę.



Chmara wykryła twarde kości, prężące się mięso, płynącą krew i miękkie trzewia. Wszystko to miało potencjał elektryczny, najsilniejszy w czaszce.

Taki bogaty łup spowodował wybuch głodu, podsycając pragnienie odarcia ofiary do gołych kości. Drapieżne crescendo narastało, aż stało się niezaprzeczalne.

Chmara jednocześnie rzuciła się do uczyty.

Nic ich nie powstrzyma.

Nic nie może ich powstrzymać.

CZEŚĆ CZWARTA  
**PRZYBÓJ**

Σ

Gdańsk, Polska

8 maja, godzina 16.00 czasu miejscowego

Mężczyzna wisiał w okowach na dziedzińcu.

– To nie może być dobry znak – skomentował cierpko Monk, gdy zbliżyli się do więźnia.

Kat nie wierzyła w znaki czy zabobony, ale pamiętając o wydarzeniach w Tallinie, miała się na baczności.

Więzień zaśmiał się, gdy jego towarzysz zrobił mu zdjęcie. Obaj byli turystami zwiedzającymi Muzeum Historyczne Miasta Gdańska, mieszczące się w kompleksie gotyckich budynków z czternastego wieku. W dawnych czasach znajdowały się tutaj więzienie miejskie i pręgierz. W jednej z wież zachowały się cele więzienne z wystawionymi na pokaz narzędziami tortur w całej ich krwawej chwale.

Ale nie tam zmierzała Kat ze swoimi towarzyszami.

Pięciokondygnacyjne muzeum za zabytkowym dziedzińcem udekorowanym okowami i łańcuchami było w większości poświęcone temu, co miasto zwało „złotem Bałtyku”. Nad ostrym gotyckim łukiem wisiała tablica z napisem MUZEUM BURSZTYNU.

Elena przetłumaczyła nazwę, gdy szli ku sklepionemu przejściu. Patrząc w górę, potknęła się na bruku. Sam ją podtrzymał.

Odkąd wylądowali w Gdańsku, entomolog nie odstępował jej ani na krok. Elena już nie odczuwała skutków środka uspokajającego, który wstrzyknięto jej podczas próby porwania, ale Sam wciąż nad nią czuwał, zwłaszcza wtedy, gdy szli ulicą Długą, malowniczą promenadą biegnącą pomiędzy wysokimi zabytkowymi kamienicami.

Kat pilnie obserwowała, gdy szli – nie Elenę, ale otoczenie. Wokół nich tłoczyli się turyści, co ją denerwowało. Kamienice po obu stronach ulicy zostały przekształcone w sklepy, małe hotele i kawiarnie. W wielu suterrenach mieściły się

sklepy z biżuterią albo galerie specjalizujące się w „złocie” miasta, będące stałym przypomnieniem o dawnej chwale Gdańska jako bursztynowej stolicy świata.

Po uiszczeniu drobnej opłaty za wejście Kat poprowadziła swoich towarzyszy po stromych schodach do właściwego muzeum. Na pierwszym piętrze w licznych oświetlonych gablotach połyskiwały bursztynowe dzieła sztuki. Kat dzieliła uwagę pomiędzy wypatrywanie zagrożenia i cuda połyskujące za szkłem. Drzewo z bursztynowymi liśćmi rosło na tle pejzażu kwiatów ze „złota Bałtyku”. Średniowieczny żaglowiec wyrzeźbiony ze skamieniałej żywicy miał na masztach bursztynowe żagle. W gablotach jarzyły się lampy z bursztynowymi kloszami, przesycające salę złocistym blaskiem.

Elena przystanęła przed obracającym się na postumencie bursztynowym jajem Fabergé. Ażurowa złota górna część była otwarta, tak że można było zobaczyć znajdujące się w środku wypolerowane jajeczko z bursztynu.

– Piękne – mruknęła Elena, podnosząc okulary do czytania, żeby lepiej widzieć.

– Musi być warte fortunę – powiedział Sam, pochylając się obok niej.

Trąciła go ramieniem.

– Masz rację pod wieloma względami. Założę się, że to jajko, dar cara, jest symbolem więzi handlowych z Rosją, gdzie wydobywa się najwięcej bursztynu. To prawda odnosząca się tak do przeszłości, jak do dnia dzisiejszego.

– I właśnie tam James Smithson zmierzał w swojej podróży przez kontynent – dodał z naciskiem Sam.

Dopóki nie skorzystał ze skrótu, pomyślała Kat.

Elena pokiwała głową.

– Rosjanie wydobywają bursztyn w obwodzie kaliningradzkim. Dawniej miasto Kaliningrad nazywało się Königsberg, czyli Królewska Góra.

Sam wyprostował się, masując sobie plecy.

– W takim razie to jajo naprawdę ma królewską historię.

– Historię, która sięga znacznie dalej w przeszłość niż panowanie pierwszych carów. – Elena mrużyła oczy, patrząc na wypolerowane jajeczko. – Jeśli przyjrzesz się z bliska, dostrzeżesz muszkę w bursztynie. – Powiodła wzrokiem po towarzyszącej jej trójce. – Jest tak, jakby bursztyn zachował w sobie całą historię tego regionu. Kulturalną, polityczną, nawet biologiczną.

– Na nieszczęście dla Hawajów może zachował zbyt wiele – wtrącił Monk.

Myśląc o tym, Kat spojrzała na zegarek.

– Powinniśmy pójść dalej. – Skierowała ich ku wąskim schodom prowadzącym na następne piętro. – Tędy.

Przed wyjazdem z Tallina skontaktowała się z dyrektorem muzeum. Sprzedała mu tę samą historyjkę co wcześniej w Estonii: jej zespół próbuje odtworzyć utraconą kolekcję minerałów Smithsona, poczynając od wyjątkowo dużej bryły bursztynu wydobytej w tym regionie. Dyrektor z radością zaproponował pomoc, zwłaszcza gdy usłyszał, że do zespołu należy dyrektorka Biblioteki Kongresu USA.

Kat miała nadzieję, że jego współpraca nie skończy się równie tragicznie jak w przypadku Tamma. Otrzymała wiadomość z Tallina, że Estończyk już jest po operacji, ale bez żadnych gwarancji na przeżycie. Lara czuwała przy jego łóżku.

Wchodząc po schodach, Kat myślała o tym z poczuciem winy. Nie cierpiała narażać cywilów, ale ponieważ sytuacja na Hawajach – gdzie zagrożone były miliony – pogarszała się z godziny na godzinę, nie miała wyboru.

Dotarli na następne piętro, poświęcone historii bursztynu. Na ceglanej ścianie po prawej stronie wisiała duża średniowieczna mapa. Podobnie jak tamta, którą pokazała im Lara, ta też ukazywała historyczny szlak handlowy biegnący wzdłuż wybrzeża Morza Bałtyckiego z Petersburga do Gdańska, a stamtąd na południe – przez Polskę aż do Włoch.

Szlak bursztynowy.

Gdzieś po drodze Smithson zdobył swój bursztyn.

Ale gdzie?

– Kochanie – zwrócił się do niej Monk – zdaje się, że ten facet próbuje przyciągnąć twoją uwagę.

Z drugiego końca sali machał do nich ręką niski mężczyzna w garniturze, który zbyt ciasno opinał jego wydatny brzuch. Był to dyrektor muzeum. Stał za aksamitnym sznurem, który odcinał wejście do sąsiedniego pomieszczenia. Rozpoznał Elenę.

– Doktor Delgado, co za zaszczyt! – zawołał.

Rozproszeni po sali turyści przenosili spojrzenia z mężczyzny na Amerykanów.

Kat zdusiła jęk. Poprosiła dyrektora, żeby zachował tę wizytę w tajemnicy, ale najwyraźniej puścił jej słowa mimo uszu. Szybko skierowała swoich towarzyszy do drzwi. Dyrektor odpiął sznur i zaprosił ich do niedostępnego dla zwiedzających pokoju.

– Z przyjemnością... – zaczął wylewnie – z prawdziwą przyjemnością gościmy panią dyrektor Biblioteki Kongresu w naszych skromnych progach.

Elena ze spokojem odebrała te wyrazy zawodowego szacunku. Z ciepłym uśmiechem uścisnęła rękę mężczyzny.

– Dziękuję, dyrektorze Bosko. Jesteśmy wdzięczni za pańską pomoc i... dyskrecję. – Położyła nacisk na ostatnie słowo, jednocześnie rzucając Kat przepraszające spojrzenie.

Dyrektor pokiwał głową.

– Oczywiście – powiedział po polsku i natychmiast przeszedł na angielski. – Proszę wejść, tutaj będziemy mogli swobodnie porozmawiać.

Kat podążyła za Boską do pokoju, w którym stały przepierzenia i kilka pustych gablot. Wyglądało na to, że przygotowuje się tu następną ekspozycję. Dyrektor zaprowadził ich w głąb pomieszczenia. Wprawdzie nie było ich widać z sąsiedniej sali, ale miejsce zdecydowanie nie zapewniało prywatności.

Na stole leżało kilka przedmiotów, wszystkie z bursztynu.

– Zebrałem je, chcąc pomóc państwu w poszukiwaniach – wyjaśnił Bosko. – Mam nadzieję, że dobrze zrozumiałem państwa intencje.

– Tak, tak, oczywiście – zapewniła go Elena.

Kat spod zmarszczonych brwi patrzyła na kolekcję. Nie widziała żadnych dokumentów, dzienników ani książek.

– Czy znalazł pan jakieś dokumenty dotyczące pobytu Jamesa Smithsona w waszym mieście?

Bosko ściągnął usta i pokręcił głową.

– Niestety, nie. Przeszukaliśmy wszystkie z czasu, kiedy Smithson wszedł na pokład statku i popłynął do Tallina. – Wrodzony optymizm szybko przepędził smutek z jego twarzy. – Ale może mając więcej czasu, moglibyśmy coś znaleźć.

Czas nie jest luksusem, na który nas stać, pomyślała Kat.

Miała przecucie, że właśnie go marnują.

– Spójrzcie – odezwał się nagle Sam, pochylając się nad leżącymi na stole okazami. – Zdumiewające.

Wszyscy podeszli. Pod szkłem powiększającym spoczywała gruda bursztynu wielkości pięści. Była oświetlona i wypolerowana, żeby lepiej było widać to, co zastygło wewnątrz.

Elena spojrzała przez lupę.

– To jaszczurka.

– Naukowa ciekawostka z naszych zbiorów – powiedział Bosko, dumnie wypinając pierś. – Nieczęsto można zobaczyć takie stworzenie zachowane w całości, od końca ogona do czubka wąskiego nosa.

Kat również to doceniała, chociaż tylko jako dobitne przypomnienie o celu ich poszukiwań. Dyrektor muzeum widocznie też o tym pomyślał.

– Kiedy opisała pani przedmiot znaleziony w grobie Smithsona, dużą bryłę bursztynu zawierającą kości jakiegoś prehistorycznego gada, od razu przyszedł mi na myśl ten eksponat. – Uniósł brwi. – I może jest sposób, żeby państwu pomóc w zlokalizowaniu miejsca pochodzenia tamtego okazu.

– Jaki? – zapytała Kat.

Bosko wskazał jaszczurkę w bursztynie.

– To zwierzątko ma trzydzieści dwa miliony lat, co jest typowe dla wieku bursztynu występującego na tym obszarze. Złoża w Rosji i wokół Morza Bałtyckiego są całkiem młode. Powstały w trzeciorzędzie, jakieś trzydzieści do pięćdziesięciu milionów lat temu. Co więcej, nasz bursztyn, chociaż wygląda na twardy jak skała, jeszcze nie jest w pełni ukształtowany.

Monk przyjrzał się kolekcji na stole.

– Mówi pan, że wciąż twardnieje.

– Owszem. – Polak uśmiechnął się szeroko, policzki mu poróżwiały. – Stąd wiem, że bursztyn Smithsona nie pochodził z wybrzeży Bałtyku.

Czyżbyśmy od początku podążali złym tropem? – pomyślała Kat z rozpaczą.

– Naprawdę starego bursztynu musicie szukać gdzie indziej – kontynuował Bosko. – Złoża są rozproszone po całym świecie. Występują w Ameryce Północnej czy Hiszpanii, gdzie można znaleźć bursztyn pochodzący sprzed dwustu milionów lat.

– Ale co to oznacza? – zapytała Kat, może ciut za ostro, bo traciła cierpliwość.

Dyrektor zwrócił uwagę na jej ton i trochę powściągnął żywy temperament.

– Tak, przepraszam. W rozmowie przez telefon wspomniała pani, że kości w tamtej bryle prawdopodobnie należały do małego dinozaura.

– Zgadza się.

– Zatem bursztyn Smithsona musiał pochodzić z naprawdę starego złoża. Jeśli założymy, że inkluzja pochodziła z okresu kredy, kiedy zaczęło się wymieranie dinozaurów, to bursztyn musiałby mieć od osiemdziesięciu do stu milionów lat. Dwa razy więcej niż ten z regionu Morza Bałtyckiego.

Kat w wyobraźni ujrzała wiszącą na ścianie średniowieczną mapę.

– Więc nie mogła zostać znaleziona gdzieś na szlaku bursztynowym?



Monk zaklął pod nosem. Nerwowo muskał palcami obejmę nowej protezy; czuł się tak, jakby miał na nogach nową parę butów. Nauczony doświadczeniem, zawsze zabierał ze sobą zapasową sztuczną rękę.

– Niczego takiego nie sugerowałem – zaznaczył Bosko. – Powiedziałem tylko, że ten bursztyn nie pochodził z naszego wybrzeża. Ale kiedyś prehistoryczny ocean, Tetyda, pokrywał całą południową Polskę. Wówczas lasy na jego brzegach ociekały gęstą żywicą, która w końcu stwardniała w bursztyn.

Kat podążała za jego logiką.

– Więc im dalej na południe – znów wyobraziła sobie mapę – tym starszy bursztyn.

Dyrektor, przez chwilę przygaszony, znowu pojaśniał.

– Dość stary, żeby zawierał w sobie kości dinozaura.

Ale gdzie? – głowiła się Kat.

– Prawdopodobnie zastanawiają się państwo, gdzie Smithson znalazł swoją bryłę bursztynu – dodał Bosko, jakby czytał w jej myślach. Niewątpliwie był bystrzejszy, niż sugerował to jego żywiołowy entuzjazm. Podeszedł do stołu. – Wyłożyłem tu próbki bursztynu, od najstarszej do najmłodszej. Proszę zwrócić uwagę, że z wiekiem ten materiał ciemnieje, zyskując głęboką czerwonawobrązową barwę. Większość najstarszych bursztynów zalega w niebieskiej ziemi.

Monk uniósł brwi.

– W niebieskiej ziemi?

– Naukowe określenie to glaukonityt. Piaskowiec powstający na brzegach cofających się mórz.

Monk pokiwał głową.

– Na przykład Tetydy.

– Zgadza się. Najstarsze i najgłębsze złoża niebieskiej ziemi znajdują się na południu Polski.

– W regionie, przez który biegł szlak bursztynowy – powiedziała Kat.

Nagle zapragnęła bliżej przyjrzeć się tamtej mapie. Coś nie dawało jej spokoju, ale nie mogła tego sprecyzować.

Bosko błysnął szelmowskim uśmiechem.

– Dlatego pozwoliłem sobie dodatkowo...

Przerwał mu głośny huk. Wszyscy podskoczyli i odwrócili się w stronę wejścia do pokoju. Jeden z metalowych słupków podtrzymujących aksamitny sznur leżał przewrócony. Słyszeli tupot zbliżających się stóp.

Kat sięgnęła po broń do kabury pod żakietem.

## Godzina 16.20

Elena cofnęła się do stołu, gdy Monk i Kat jednocześnie wyjęli pistolety i wycelowali je w wejście. Podszedł do niej Sam.

Dyrektora muzeum przestraszył widok broni, ale szybko się opanował i uniósł dłonie.

– Nie strzelać. Właśnie o tym mówiłem.

Zza przepierzenia wyskoczył przygarbiony wysoki mężczyzna w długim fartuchu, który wydymał się na jego kościstych ramionach jak peleryna. Obronnym gestem przyciskał do piersi podniszczoną torbę. Prawdopodobnie miał nie więcej niż czterdzieści parę lat, ale wychudzona twarz sprawiała, że wyglądał staro i ponuro. Gdy spostrzegł uniesione pistolety, nie okazał strachu, może tylko jeszcze bardziej sępniał, jakby spodziewał się zasadzki.

– To doktor Damian Śląski – przedstawił go Bosko, stając pomiędzy nim a bronią. – Kolega po fachu. Z naszego siostrzanego Muzeum Bursztynu niedawno otwartego w Krakowie. Przyjechał wypożyczyć kilka naszych eksponatów na wystawę poświęconą osiemnastowiecznemu bursztyniarstwu. Był tu, kiedy pani zadzwoniła.

– Ile jest takich muzeów? – mruknął Monk.

Bosko go usłyszał i wziął pytanie na poważnie.

– Jedno w Kopenhadze, drugie na Dominikanie i oczywiście w Kaliningradzie.

– Nie zapominaj o Połdnie na Litwie – dodał z powagą Śląski, po czym lekceważąco wzruszył ramionami. – Ale to tylko oddział Litewskiego Muzeum Sztuki.

Kat zgromiła wzrokiem Monka za to, że niepotrzebnie zmienił temat, i próbowała skierować rozmowę na właściwe tory.

– Dyrektorze, zakładam, że zwrócił się pan do doktora Śląskiego o pomoc.

– Tak, to prawda. Jeśli szukacie starego bursztynu, złóż przed setek milionów lat, to mój zacny przyjaciel Damian będzie najlepszym źródłem informacji.

Bosko poklepał Śląskiego po ramieniu, a ten tylko westchnął w odpowiedzi. Stanowili dziwną parę. Jeden niski, drugi wysoki. Jeden pulchny, drugi chudy. Ale tak naprawdę różniło ich usposobienie. Optymistyczny Bosko wydawał się niezdolny do zmarszczenia czoła, natomiast Śląski miał usta zamrożone w grymasie wiecznego niezadowolenia.

Elena wyczuła jednak łączącą ich prawdziwą przyjaźń, coś znacznie silniejszego niż tylko relacje zawodowe.

– Damian jest kierownikiem laboratorium bursztynu w swoim muzeum – wyjaśnił z entuzjazmem Bosko. – Mają tam jedyny w Krakowie spektrometr do analizowania autentyczności bursztynowych okazów. Damian specjalizuje się w datowaniu bursztynu. Nie ma nikogo lepszego. – Bosko wyszczerzył zęby do kolegi, a ten wzruszył ramionami jakby na znak, że docenia szczerść komplementu, ale nie czerpie z niego żadnej przyjemności. – Kraków leży niedaleko południowej granicy – podjął Bosko. – Znajdują się tam bardzo stare warstwy niebieskiej ziemi, piaskowca glaukonitowego zostawionego przez Tetydę. Czasami znajdowano w nich bursztyn.

– Jak często? – zapytała Kat.

Elena rozumiała wagę jej pytania. Jeśli takie złoża były nieliczne i leżały daleko od siebie, to zawęzi obszar poszukiwań.

– Mam w komputerze informacje o większości tych odkryć, dawnych i obecnych – odparł doktor Śląski. – Zrealizowanie projektu było możliwe tylko dzięki pewnemu muzeum historycznemu, które posiada rozległą kolekcję kartograficzną. Przeglądałem ją przez wiele miesięcy. Na kilku mapach, niektórych z czternastego wieku, są naniesione złoża starego bursztynu.

– Jeśli podzieliliby się pan z nami swoją wiedzą, mogłoby nam to pomóc w zlokalizowaniu miejsca, gdzie James Smithson zdobył swoją bryłę – powiedziała Kat.

– Albo przynajmniej ograniczyć pole poszukiwań – dodała Elena.

– Nie jestem pewien, czy to pomoże – wyznał Śląski. – Skartowałem ponad trzysta stanowisk w południowej Polsce.

Kat skrzywiła się, ale nie chciała porzucić tego tropu.

– Może jeśli zawężymy parametry do czasu podróży Smithsona szlakiem bursztynowym, to będziemy mogli...

Posępny doktor pokręcił głową.

– Nie ma potrzeby zadawać sobie trudu. Przyszedłem tutaj, ponieważ sądzę, że wiem, skąd Smithson miał swoją bryłę prastarego bursztynu.

Zaskoczona Kat zamrugwała.

– Jak...?

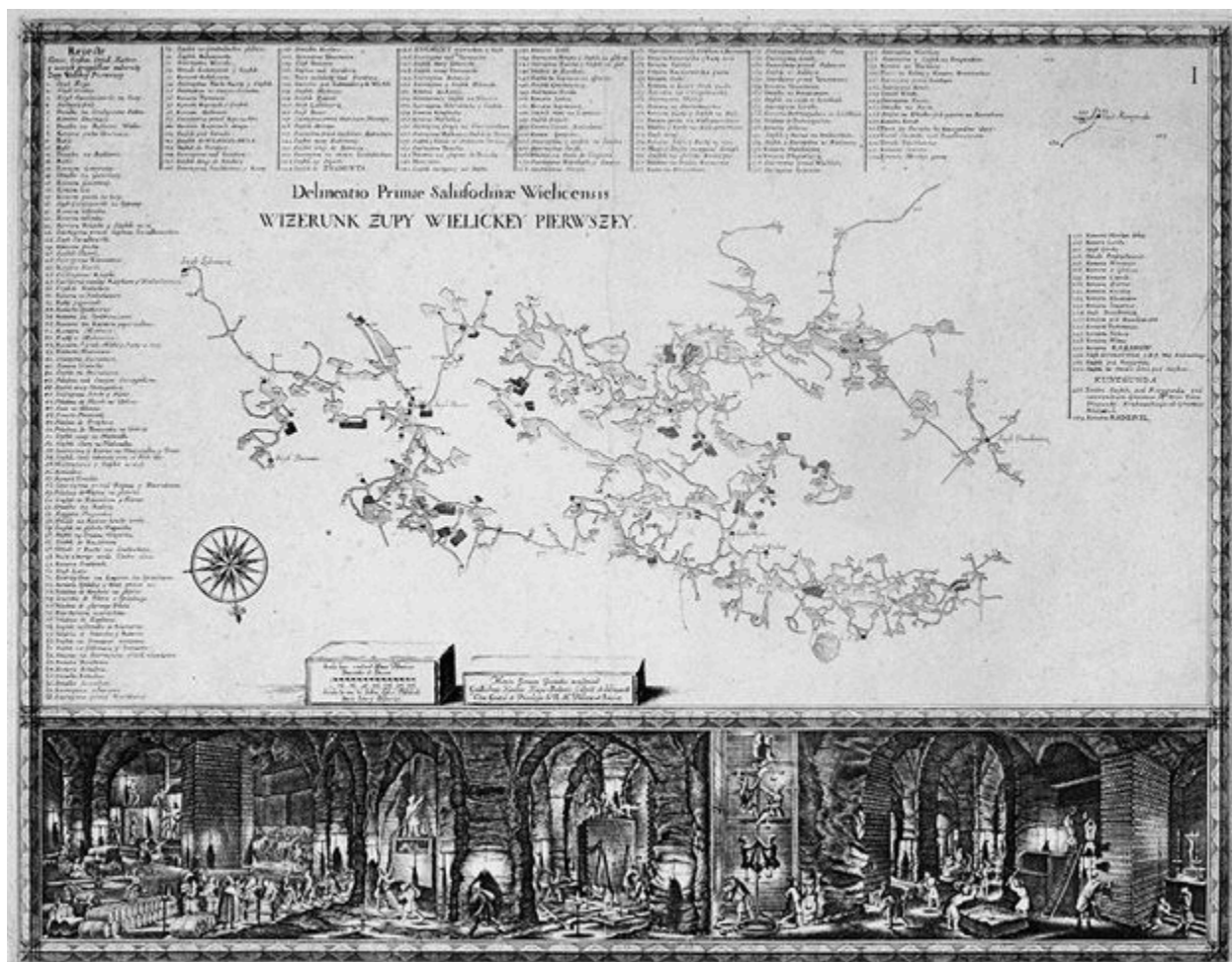
Bosko klasnął w dłonie.

– Czy nie mówiłem, że Damian jest człowiekiem, jakiego potrzebujecie?

## Godzina 16.32

– Co to jest? – zapytała Kat.

Starła się zrozumieć, jaki związek z tym, co Śląski powiedział przed chwilą, ma to, na co właśnie patrzyła. Stali przed laptopem, który doktor wyjął z torby i położył na stole. Na ekranie widniała bardzo stara mapa.



– Mapa pochodzi z muzealnych zbiorów kartograficznych – odparł doktor. – Sporządził ją Willem Hondius w roku tysiąc sześćset czterdziestym piątym, chociaż panuje przekonanie, że opierał się na wcześniejszej pracy kartografa Marcina Germana.

– Tak, ale jak ta mapa może nam pomóc? – ponagliła go Kat, czując każdą upływającą minutę.

– To jedna z map, które wykorzystałem do tworzenia mojego zestawienia. Są na niej zaznaczone dwa miejsca wydobywania bursztynu. Ale nie dlatego chciałem

ją państwu pokazać. – Śląski spojrział twardo na Kat. – Musicie zrozumieć, że złoża w południowej Polsce są nieliczne, stosunkowo małe i rozproszone. Dlatego też nie powstały kopalnie wydobywające wyłącznie bursztyn. Odkryć dokonywano przypadkowo.

Monk oderwał wzrok od mapy i wyprostował się.

– Mówi pan, że złoża odkrywano podczas prowadzenia prac górniczych.

– Co pasuje do relacji z dziennika Archibalda MacLeisha – wtrąciła Kat. – Podczas pijatyki z geologiem Smithson miał powiedzieć, że górnicy przypadkowo natknęli się na bogate złożo bursztynu. – Powstrzymała się od dodania, że w tamtej kopalni wybuchła straszna choroba roznoszona przez żądłące owady.

*Zrodzone z kości ze skały.*

Kat przypuszczała, że górnicy strzaskali uwięzione w bursztynie prehistoryczne kości pełne kryptobiotycznych cyst Odokuro. Wchłonęli je, rozpylone, z powietrzem albo jedzeniem i wkrótce stali się żywymi trupami, pełnymi zżerających ich od środka larw, aż w końcu z ich zwłok wyłoniły się dorosłe osy.

Nic dziwnego, że wrzucono bomby zapalające do tuneli, a potem je zapieczęto- wano, pomyślała.

Śląski oczywiście nic o tym nie wiedział, ale doszedł do swojego wniosku.

– Założyłem, że złożo bursztynu zostało przypadkowo odkryte w już istniejącej kopalni. W okresie, kiedy Smithson odwiedził Polskę, istniało wiele czynnych ko- palń, w których wydobywano miedź, siarkę, srebro. Ale na południu największe były kopalnie soli.

Wskazał mapę na ekranie.

– Jak ta wyrysowana przez Hondiusa. W dolnej części zamieścił winiety ukazu- jące ogrom prowadzonych tam prac.

– Co to za kopalnia? – zapytała Elena, patrząc przez okulary na ryciny pod mapą.

– Jedno z najsłynniejszych miejsc w Polsce. Kopalnia Soli Wieliczka. Powstała w trzynastym wieku i kontynuowała działalność wydobywczą do roku dwa tysiące siódmego, kiedy to została wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO.

Monk uniósł brwi.

– Dlaczego starą kopalnię spotkał taki zaszczyt?

– Musicie ją odwiedzić – powiedział Bosko z ożywieniem. – Jest cudowna. Przez stulecia górnicy zdobili komory i tworzyli rzeźby, głównie o tematyce religijnej, bo pragnęli, żeby Bóg zapewnił im bezpieczeństwo.

– Od wieków ich dzieła ściągają do Wieliczki niezliczonych gości – dodał Śląski z nutką dumy w głosie. – W szesnastym wieku zwiedzał ją nasz słynny astronom Mikołaj Kopernik. Polski kompozytor Fryderyk Chopin zrobił to samo w dziewiętnastym. W bliższych nam czasach kopalnię odwiedziło kilku amerykańskich prezydentów, podobnie jak obecny papież.

Kat odgadła, do czego zmierza doktor.

– Taka sława z pewnością skusiła geologa podróżującego przebiegającym w pobliżu szklakiem bursztynowym.

– Jak mógłby się oprzeć? – powiedział Śląski z cieniem uśmiechu. – Dlatego zadzwoniłem do kopalni i poprosiłem o sprawdzenie listy gości w czasie, kiedy w okolicy przebywał Smithson.

– I znaleźli jego nazwisko? – zapytał Monk.

Śląski przytaknął.

Kat patrzyła na mapę jarzącą się na ekranie laptopa.

– I z tej mapy wynika, że kiedyś znaleziono tam bursztyn?

– Owszem. W warstwie soli, w jakiej trafiają się złoża bursztynu.

Kat czuła, że są coraz bliżej celu.

Sam odchrząknął. Jako entomolog prawdopodobnie miał niewiele do dodania, ale jego zmarszczone czoło wskazywało, że coś go trapi.

– O co chodzi? – zwróciła się do niego Kat.

– Pamiętam z notatek naukowych profesora Matsuiego dotyczących... – Zawiesił głos, gdy spojrzał na dwóch Polaków; najwyraźniej nie chciał mówić zbyt otwarcie.

Kat chciała machnąć ręką na ten zbytek ostrożności, bo przecież czas uciekał, odciągnęła go jednak na stronę.

– Co? – zapytała szeptem.

– Profesor Matsui przypisał pozorną nieśmiertelność os cechom genetycznym zapożyczonym od innych organizmów i być może tego, co nazwał „ciemną materią życia”, mikrobów Łazarza, które podobno mogą wrócić do życia po setkach milionów lat uśpienia.

Kat pamiętała tę teorię jak przez mgłę.

– No i?

– Matsui sporządził ich listę – odparł Sam. – Natronobacterium, Virgibacillus, Halorubacterium, Oceanobacillus. Wszystkie zostały odkryte w formacjach kryształów. I to nie pierwszych lepszych. Wszystkie znaleziono w kryształach tego samego rodzaju.

Kat nie pamiętała szczegółów, ale mogła zgadnąć. Popatrzyła na mapę na ekranie.

– W soli.

Sam pokiwał głową.

– Może osy zostały zainfekowane przez te uwielbiające sól organizmy. I z czasem część kodu genetycznego mikrobów została włączona do genomu os, zapewniając im zdolność do zapadania w kryptobiozę.

Innymi słowy, dar życia po śmierci.

– Jeśli masz rację, to byłoby dalsze potwierdzenie, że jesteśmy na właściwym tropie. – Kat spojrzała na zegarek. – Możemy to sprawdzić tylko w jeden sposób.

– Zamierzałem dzisiaj wrócić do Krakowa – oznajmił Śląski, gdy wrócili do pozostałych. – Może powinienem państwu towarzyszyć.

Kat, pamiętając krew sączącą się przez jej palce, gdy próbowała utrzymać dyrektora Tamma przy życiu, chciała odmówić, lecz Polak okazał się uparty.

– Znam i kopalnię, i pracowników muzeum – powiedział. – Z pewnością nakłonię ich do pomocy w waszych poszukiwaniach.

Czas uciekał, więc jak mogła odmówić?

Zerknęła na męża. Monk, który podzielał jej obawy, miał zmartwioną minę, ale w końcu wzruszył ramionami, dochodząc do tego samego wniosku co ona.

– Dziękuję, doktorze – rzucił. – Będziemy wdzięczni za pomoc.

Pożegnali się z dyrektorem Boską i opuścili muzeum. Znów przemierzali ulicę Długą, mijając butik z biżuterią i małe kawiarenki, lawirując w tłumach miejscowych i turystów.

Kat wysnuła kolejny wniosek i podzieliła się nim z mężem.

– Chyba jestem winna przeprosiny Aiko Higashi.

– Na to wygląda – zgodził się z nią Monk.

Przed wyjazdem z Tallina Kat poprosiła Paintera, żeby naprowadził japońskie służby wywiadowcze na fałszywy trop, mówiąc, że zmierzają do Petersburga. Plan przeskoczenia na północny kraniec szlaku bursztynowego wydawał się sensowny i przekonujący. Jeśli doszło do przecieku ze strony Japończyków, wróg powinien ich szukać w północnej Rosji.

Tak się nie stało.

– Ilu? – zapytała.

– Naliczyłem pięciu.

Byli śledzeni.

Kat szła, przygotowana do działania, gdyby śledzący ich ludzie wykonali jakiś wrogi ruch, ale ich zachowanie świadczyło o tym, że tylko obserwują. Kimkolwiek byli, niewątpliwie wyciągnęli wnioski z porażki w Tallinie i trzymali się z daleka.

Zastanawiała się, czy ich zgubić, czy może pozwolić im wierzyć, że nie zostali wykryci. Obie strategie miały swoje plusy i minusy.

Na razie miała jednak większe zmartwienie.

Jak oni się dowiedzieli, że jesteśmy w Gdańsku? – głowiła się.

Doszła do jednego wniosku.

Albo w Waszyngtonie, albo tutaj...

...jest wśród nas zdrajca.



Atol Ikikauō

8 maja, godzina 3.33 czasu miejscowego

Gray bezsilnie patrzył, jak czarny przypływ wzbiera wokół trzech uwięzionych mężczyzn. Bolała go szczęka, gdy zaciskał zęby. Nic nie mógł zrobić, żeby zapobiec temu, co zaraz się wydarzy.

Opisowa nazwa, jaką profesor Matsui opatrzył tę kastę os – żniwiarki, bezskrzydli mięsożercy – przepowiadała los trzech mężczyzn.

W zamkniętej komorze jeden nieustraszony owad oderwał się od falangi i popędził ku palcom stopy Kowalskiego. Ten, mając ręce wyciągnięte nad głowę, mógł tylko tupnąć nogą. Opuścił piętę na owada, krzywiąc się z odrazy. Poruszał ustami, zapewne klnąc, ale nie było go słychać przez izolację komory.

Kowalski podniósł nogę, żeby zobaczyć wyrządzone szkody. Nie było żadnych. Pancerne ciało osy wytrzymało napaść. Żniwiarka podskoczyła i wylądowała na szerokiej stopie, po czym pomknęła na kosmatą kostkę.

Tam się przyczepiła.

Olbrzym próbował ją strącić drugą stopą, ale nie udało mu się.

Na jego twarzy, dotąd wykrzywionej w grymasie obrzydzenia, odmalował się szok.

Gray wyobraził sobie wgryzające się głęboko żuwaczki.

Krew pociekła ze stopy wielkiego mężczyzny.

Kuzyni Palu – Makaio i Tua – którzy spostrzegli, co się stało, powoli odsuwali się od nadciągającej chmury, napinając łańcuchy. W końcu cała trójka skupiła się pośrodku komory.

– Proszę, nie róbcie tego – jęknął błagalnie Ken. Stał przy Grayu, z lufą karabinu przyciśniętą do pleców. Pilnowało ich czterech uzbrojonych strażników.

– W takim razie powiedz mi to, co chcę wiedzieć – Wala położyła dłoń na dużym zielonym przycisku, prawdopodobnie będącym wyłącznikiem awaryjnym uchylającym zagrożenie – a powstrzymam to.

Ken zerknął na Graya.

Komandor pokręcił głową, każąc mu zachować milczenie.

Wala przeniosła zimne spojrzenie na Aiko.

– Każde z was może mówić – rzuciła.

Japonka lekko odwracała głowę, żeby nie patrzeć za szybę. Wyglądało na to, że chce mocno zacisnąć powieki, ale walczyła, żeby tego nie zrobić. Może z poczucia obowiązku wobec więźniów. Skoro oni muszą cierpieć, to ja też będę.

W odpowiedzi na słowa bladej kobiety spojrzała prosto w szybę.

Wala opuściła rękę.

– Jak uważacie.

Masahiro stał obok niej z rękami skrzyżowanymi na piersi i z pogardliwą miną – nie z pogardy dla metod Wali, ale ponieważ był przekonany, że okażą się bezskuteczne.

– Tej kobiety może tu nie być – odezwał się.

– Nie ma jej – warknął Gray. – Została na Maui, jak już mówiłem. Torturujecie tych ludzi bez powodu.

Japończyk obrzucił Walę miażdżącym spojrzeniem, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem?”, po czym sprawdził, która godzina.

– Powinniśmy już ewakuować wyspę. – Lekceważąco machnął ręką w stronę komory. – Mój dziadek nie jest nimi zainteresowany, więc ich tu zostaw. Zabierajmy pozostałych i ruszajmy.

Wala odwróciła się do niego plecami.

Masahiro zmarszczył czoło.

– *Baka mesu...* – zaklął.

Zignorowała go, wyraźnie zadowolona, że postawiła na swoim.

Nie czekali długo.

W komorze owady, zapewne przyciągnięte zapachem krwi Kowalskiego, przypuściły atak. Chmara żniwiarek rzuciła się na skutych łańcuchami ludzi.

Tua stał na palcach, jakby uciekał przed wznoszącym się żarem. Jego brat, Ma-kaio, oderwał stopy od podłogi, ale długo nie wytrzymał. Gdy wisiał, kajdanki głęboko wżynały się w nadgarstki, więc w końcu musiał opuścić nogę. Stopa zniknęła

w skraju czarnej falangi. Tua tańczył w łańcuchach, gdy żniwiarki dotarły do jego nóg i zaczęły się po nich wspinać niczym płynące w górę czarne strumienie.

Kowalski używał wielkich stóp jak mioteł, próbując oczyścić podłogę wokół siebie. Ale os było po prostu zbyt wiele i przegrał tę bitwę.

Kilka sekund później mężczyźni od pasa w dół byli pokryci grubą warstwą kąsających owadów. Wili się w łańcuchach – nie w próbie strząśnięcia napastników, ale z bólu.

Ich usta otwierały się we wrzasku, którego nie było słychać zza szyby.

Gray wiedział, że może być tylko gorzej.

Coraz więcej żniwiarek parło w górę. Na razie czepiały się nóg i brzuchów. Gdy Kowalski spróbował je strząsnąć, na szybę chlapnęła krew.

Aiko w końcu nie wytrzymała, odwróciła głowę i zamknęła oczy.

Gray patrzył, wiedząc, że tyle jest winien tym ludziom.

Ale jak długo to potrwa?

– Żniwiarki są jak larwy. Będą oszczędzać narządy wewnętrzne – powiedział Ken, jakby usłyszał jego pytanie. Mówił beznamietnym głosem naukowca, prawdopodobnie w ten sposób dystansując się od tego koszmaru. – Będą jak najdłużej utrzymywać źródło pożywienia przy życiu. Wygryzając sobie drogę od zewnątrz do środka.

Gray patrzył na udręczonych mężczyzn, żałując, że profesor się odezwał.

Ale ten jeszcze nie skończył.

– Żniwiarki mają paraliżujący jad. W takiej liczbie obezwładnią każdą ofiarę.

Aiko słuchała z zamkniętymi oczami.

– Czy ten jad znieczula?

– Nie – odparł Ken i to słowo zabrzmiało jak jęk. – Choć niezdolni do ruchu, poczują każde ugryzienie, kiedy będą pożerani żywcem.

Za zbryzganą krwią szybą trzech mężczyzn wciąż walczyło, wciąż się szamotało. Ale jeśli profesor miał rację, ich walka wkrótce się skończy.

Lecz nie ból.

– Uprzedziłam, że dam ci trzy szanse – Wala z nieludzkim spokojem patrzyła na Graya – na wyjawienie, gdzie jest Seichan. To ta trzecia. – Uniosła dłoń do zielonego guzika.

Gray milczał, ale czuł drżenie mięśni pomiędzy łopatkami. Słyszał dobiegający z komory krzyk, tłumiony przez izolację.

Wala pozwoliła mu patrzeć przez kolejny długi oddech, po czym drugą ręką pstryknęła włącznik przy oknie. Z ukrytych głośników buchnęły wrzaski ilustrujące cierpienie mężczyzn.

Gray mógłby przysiąc, że słyszy krew w tych krzykach.

W komorze chmara wspinała się na klatki piersiowe więźniów, posilając się zgodnie z zapowiedzią Kena.

Od zewnątrz do środka.

Komandor nie mógł dłużej tego znieść.

– Jest tutaj – wychrypiał głośno.

Wala przekrzywiła głowę, rzucając okiem na Masahira.

– Co mówisz?

W Grayu wybuchła furia, dając mu siłę, żeby stawić czoło tej kobiecie.

– Seichan jest chora. Zainfekowana, jak mówiłem. Ale jest na wyspie.

– Gdzie?

– Nie wiem. – Ściągnął brwi. – Straciłem ją z oczu w jeziorze. Może była zbyt słaba, żeby się przeprawić.

Wala zmrużyła oczy.

– To... to prawda – wyjąkał Ken.

Nawet Aiko, która otworzyła oczy, pokiwała głową.

Błada kobieta przyjrzała się każdemu z nich, zanim podjęła decyzję.

– Naprawdę ci wierzę. – Opuściła dłoń, lecz nie wcisnęła zielonego guzika. – Ale to za mało. – Machnęła ręką na strażników, odsuwając się od okna. – Skończyliśmy. Zabrać ich do samolotu.

W komorze trzech mężczyzn wisiało jak połcie mięsa na hakach, miotając się w łańcuchach. Udręczone krzyki ścigały Graya i innych, gdy strażnicy kazali im odejść od szyby.

Odrętwiały Gray potknął się, świadomy, że nic nie może zrobić dla więźniów. Miał teraz nowy cel i to pozwoliło mu się skupić.

Patrzył na plecy Wali, składając milczącą obietnicę.

Będziesz krzyczała jeszcze głośniej, jak będę cię zabijać.

Godzina 3.55

Droga zabrała nam zbyt wiele czasu...

Seichan miała wątpliwości co do swojej decyzji, gdy skuter podnosił się w kierunku komory dokującej. Szklana kopuła ze stalową podłogą znajdowała się na najniższym poziomie kompleksu: rozjarzona pąkla pod stacją badawczą.

Podpływając, zwróciła uwagę na kolejne dwie identyczne kopuły i trzecią – większą – w której cumowała miniaturowa łódź podwodna. Kadłub wyglądał jak wielki minóg przyczepiony do kompleksu. Za nim światła skutera wyłowiły czarne oko tunelu, najpewniej prowadzącego ku otwartemu oceanowi.

Wykręciła szyję, gdy skuter wznosił się ku okrągłej sadzawce pośrodku komory dokującej. Sprężone powietrze powstrzymywało wodę jeziora od zalania kopuły.

Kiedy skuter wypływał na powierzchnię, nisko schyliła głowę nad kierownicą.

Palu kulił się za nią w odsłoniętej części pojazdu.

Gdy się wynurzyli, słona woda spływała z osłony nad siedzeniem sternika. Seichan zobaczyła przez nią wodnistą sylwetkę idącego ku nim mężczyzny.

Ściągnęła brwi. Miała nadzieję, że dok będzie pusty.

Nie ma tak dobrze, pomyślała.

Mężczyzna niecierpliwie machnął ręką.

– *Hayakusiro!* – krzyknął, nagłąc ich do pośpiechu, przekonany, że są wracającą załogą.

Seichan i Palu mieli maski zabitych nurków, więc z łatwością mógł się pomylić.

– Właśnie napłynął rozkaz ewakuacji – powiedział po japońsku, wskazując radio. – Mamy piętnaście minut na opuszczenie kompleksu.

Palu wyskoczył na brzeg i stanął plecami do niego, udając, że czeka, by pomóc Seichan.

Mężczyzna złapał go za ramię i chciał pociągnąć do wyjścia.

– Do służby! – zawołał.

Niestety, Palu nie znał japońskiego.

Tymczasem Seichan stoczyła się ze skutera i zrzuciła ekwipunek płetwonurka.

Na jej widok niezadowolona mina mężczyzny zmieniła się w zszokowaną.

Spodziewała się takiej reakcji. Kombinezon piankowy nie maskował jej gibkiej sylwetki. Zanim tamten zrobił krok, skoczyła na niego ze sztyletem w ręce.

Palu odsunął się z drogi.

Przewróciła mężczyznę na plecy i przecięła mu gardło, nad krtanią, żeby nie krzyknął do radia. Wolną ręką zasłoniła mu usta, by stłumić rżenie. Patrzyła, jak krew spływa szkarłatnym szlakiem po stalowej podłodze i ścieka do basenu.

Hawajczyk szybko zdjął sprzęt do nurkowania i podszedł do śluzy. Stanął z boku, z dala od podobnego do bulaju okna. Nad drzwiami świeciła się zielona lampka, wskazując, że ciśnienie w śluzie jest dostosowane do tego panującego w kopule.

Seichan podniosła się znad martwego mężczyzny, lecz zanim zrobiła krok, poczuła potworny ból w całym ciele. Skuliła się, nie mając siły poruszać nogami. Oddychała z trudem, próbując zapanować nad bólem.

– Chodź – rzucił Palu, podbiegając do niej.

Objął ją i pomógł jej dojść do śluzy. Miała wrażenie, że idzie przez pole ognia. Otworzył drzwi, wepchnął ją do ciasnej klatki i wszedł za nią.

Oświetlony zegar nad drugimi drzwiami zaczął odliczanie trzech minut, gdy ciśnienie w śluzie spadało do poziomu głównej stacji. Seichan przeklinała, że trwa to tak długo, rozumiała jednak, że jest to konieczne dla zmniejszenia ryzyka choroby kesonowej powodowanej przez nagłe uwalnianie azotu i tworzenie się pęcherzyków we krwi.

Zniecierpliwiona, podeszła do małego bulaja w drugich drzwiach. Przyjrzała się szklanemu tunelowi, który odchodził od doku. Na szczęście był pusty.

Odrobina szczęścia.

Jej ulga była, niestety, krótkotrwała.

Bo nagle zawyła syrena. W małym pomieszczeniu hałas brzmiał ogłuszająco. Skuliła się, próbując odgadnąć, co się dzieje.

Czy to syrena ewakuacyjna? A może ktoś zauważył ich obecność?

Palu udzielił odpowiedzi, wskazując sklepienie kopuły dokującej, gdzie obracała się kamera.

Seichan, otumaniona bólem, nie zauważyła jej wcześniej.

Odwróciła się do drugich drzwi i zobaczyła przez bulaj trzech mężczyzn w hełmach i kamizelkach kuloodpornych. Biegli szklanym tunelem ku śluzie, z kolbami karabinów przyciśniętymi do ramion.

Spojrzała na zegar.

Jeszcze dwie minuty.

Sami zamknęli się w celi.

Wymieniła spojrzenia z Palu, zadając mu milczące pytanie.

„Jesteś gotowy?”

Wzruszył ramionami, wiedząc, że nie mają wyboru.

## Godzina 4.04

Gdy syrena ryczała, Ken stał plecami do ściany tunelu pomiędzy Grayem i Aiko. Celowano w nich z karabinów, wokół panował chaos.

Patrzył w kierunku odległego o pięć metrów zbryzganego krwią okna. Zostali zatrzymani w tunelu, kiedy rozległ się alarm. Nawet syreny nie zagłuszyły wrzasków więźniów. Żniwiarki już pokryły ich torsy i ramiona. Szamotali się słabiej, gdy zaczął działać zawarty w jadzie czynnik paraliżujący.

Gray, z twarzą pociemniałą z wściekłości, też patrzył w tamtą stronę.

Aiko wbijała wzrok w gołe palce stóp.

Kilka kroków dalej Wala i Masahiro rozmawiali przez radia. Z powodu hałasu Gray nie słyszał, co mówią, ale w pewnej chwili błada kobieta zwróciła na niego lodowate spojrzenie. Napięła wargi, unosząc kącik ust w czymś, co mogło być tylko uśmiechem satysfakcji.

Gray zauważył, że skupia na nim uwagę.

Nagle syrena umilkła. Kenowi dzwoniło w uszach.

– Wygląda na to, że całe nasze przesłuchanie okazało się zbędne – powiedziała Wala, podchodząc do nich.

– Seichan tu jest – rzucił Gray.

– Zapakowana i gotowa do wysłania dziadkowi Masahira.

Nie okazał rozpaczy, gdy usłyszał te wieści. Wyprostował ramiona i przymrużył oczy, patrząc na Walę.

– Nie byłbym tego taki pewien.

## Godzina 4.07

Przez okno śluzy Seichan patrzyła na trzech uzbrojonych mężczyzn w tunelu. Ponad jej głową zegar odliczał ostatnie sekundy dekompresji do chwili, gdy zostanie zwolniony automatyczny zamek w drzwiach prowadzących do stacji.

Palu, pogodzony z nieuniknionym, oparł się o ścianę.

W końcu zegar pokazał 00.00 i czerwone światło zmieniło się na zielone.

Czas minął.

Trzej mężczyźni na zewnątrz zajęli pozycje. Dwóch stało kilka metrów w głębi tunelu z karabinami wymierzonymi w drzwi.

– Ręce nad głowę! – krzyknął przez okno trzeci. – Tak, żebym je widział!

Seichan posłuchała, Palu też.

– Kiedy otworzę drzwi, czekajcie. Wyjdźcie dopiero wtedy, jak wam powiem. Zrozumiano?

Skinęła głową za siebie i Hawajczyka.

Ból przeorywał mięśnie jej nóg i ramion, utrudniając stanie z uniesionymi rękami. Wyobraziła sobie maleńkie larwy wygryzające sobie drogę przez jej ciało, zostawiające za sobą ogień.

Niech to się skończy...

Strażnik gniewnie spojrział na uwięzioną parę, po czym przesunął się w bok, otwierając stalowe drzwi. Osłonił się nimi, na wypadek gdyby spróbowali jakiejś sztuczki. Jego koledzy przyłożyli policzki do kolb, mierząc w służę.

– Wyjść powoli! – krzyknął. – Jeśli opuścicie ręce, zginiecie.

Seichan wyszła pierwsza. Powietrze w stacji było chłodniejsze. Wyczuła też różnicę ciśnienia. Miała wrażenie, że ruch rozdrażnił larwy. Ostry ból przeniknął jej nogi.

Palu szedł za nią, w jej tempie, z rękami nad głową.

Strażnik wysunął się zza drzwi i wycelował w ich plecy.

– Naprzód – rozkazał. – Powoli.

Nie mając wyboru, Seichan pozwoliła, żeby mężczyźni kierowali ich w głąb tunelu ku głównej części stacji. W jej głowie tykał zegar. Szkolenie w Gildii nauczyło ją dyscypliny, szufladkowania procesów myślowych.

Tylko że teraz, kiedy ból trawił każde włókno jej mięśni, niełatwo było zachować dyscyplinę.

Gdy dotarli do miejsca, gdzie tunel łączył się z główną stacją, pot zrosił jej czoło. Oddychała szybko, urywanie. Zatrzymała się na zakręcie, zadyszana, zgięta w pół. Ręce jej się trzęsły, ale wciąż trzymała je uniesione nad głową.

– Naprzód! – krzyknął mężczyzna z tyłu.

Palu odwrócił się i warknął.

– Ona jest chora, *brah*. I w ciąży. Daj jej złapać oddech.

Strażnik patrzył gniewnie, jak Seichan z trudem chwyta powietrze.

– Dziesięć sekund.

Potrzebowała tylko dwóch.



Podczas gdy zegar tykał w jej głowie, skoczyła w bok, wyciągając ostrze z pochwy na nadgarstku.

Palu skoczył za nią.

Zanim strażnicy mogli zareagować, całą stacją wstrząsnął wybuch. Seichan pyknęło w uszach z powodu zmiany ciśnienia. Wylądowała na najbliższym strażniku, którego eksplozja zbiła z nóg. Wbiła mu nóż pod brodę, naciskała, aż jego szpic się zatrzymał na kości, i wyrwała mężczyźnie karabin. Wciąż leżąc na podłodze, strzeliła do drugiego, trafiając go w gardło.

Palu rzucił się na ostatniego i trzy razy trzasnął mięsistą pięścią w jego nos. Wróg bezwładnie osunął się na podłogę.

– Idziemy! – rzuciła Seichan, wskazując centrum stacji karabinem, który podniosła.

Podczas podejścia do doku przestudiowała i zapamiętała rozkład stacji, który teraz obracał się w jej głowie jak trójwymiarowy model. Podjęła nie tylko ten środek ostrożności. Przygotowała strategię, której nauczyła ją nie Gildia, ale Gray.

Improwizować w biegu, wykorzystać stare możliwości w nowe i niespodziewane sposoby.

To co postanowiła wykorzystać, zdecydowanie było stare – sięgało czasów drugiej wojny światowej. Wcześniej, przed opuszczeniem cmentarzyska japońskich bombowców, znalazła w piasku nietkniętą torpedę. Razem z Palu ostrożnie przypięli ją pod skuterem i przymocowali do jej nosa zapalnik czasowy z małym ładunkiem C4.

Nie miała pojęcia, czy torpeda przez dziesiątki lat leżąca w wodzie o wysokim zasoleniu wciąż jest sprawna.

Teraz poznała odpowiedź.

Gdy biegła z Palu, słyszała ścigające ich potężne bulgotanie. Rozpoznała zagrożenie, którego się spodziewała. Wyobraziła sobie wysadzone drzwi śluzy, a może nawet cały dok. Jezioro, już niepowstrzymywane przez wysokie ciśnienie powietrza, wdzierało się do stacji.

Zaryzykowała i rzuciła okiem przez ramię. Zza zakrętu waliła woda. Uderzyła w ścianę z taką siłą, że wstrząsnęła całym tunelem. Kotłująca się fala pędziła w ich stronę, pchając przed sobą splątane ciała.

– Seichan! – ryknął Palu z paniką w głosie, wytrzeszczając oczy.

Spojrzała przed siebie. Dziesięć metrów dalej w tunelu zamykały się okrągłe stalowe drzwi, skonstruowane jak przysłona w aparacie fotograficznym. Dekompresja

spowodowała włączenie automatycznego systemu grodzi, przeznaczonego do odcięcia zalanych części stacji.

Seichan pędziła co tchu po płytach z perforowanej stali, wykorzystując palący ból w mięśniach nóg i brzucha jako napędzający ją bodziec.

Dotarła do wjazdu i skoczyła przez niego głową do przodu. Upadła na boki, przetoczyła się i wstała.

Palu...

Wielki Hawajczyk nie dorównywał jej prędkością. Woda pieniała się i warczała za jego plecami, rozdzierając elementy stalowej podłogi. Kuloodporne szkło tunelu pękało wokół niego. Drzwi się zamykały.

Seichan zrozumiała prawdę.

Palu też – w jego oczach lśniła groza.

Nie uda mu się.

Atol Ikikauō

8 maja, godzina 4.18 czasu miejscowego

Chaos daje okazje.

Gray zareagował zgodnie z nakazem instynktu wyćwiczonego przez służbę w komandosach i wyczelowanego przez lata pracy w terenie dla Sigmy. Gdy wybuch wstrząsnął stacją, wywołując panikę, komandor dopadł najbliższego strażnika i chwycił za lufę jego karabin. Szarpnął nią, uderzając mężczyznę stalową kolbą w nos.

Chrupnęła kość i karabin został w rękach Graya. Komandor obrócił go, opadł na kolano i strzelił drugiemu strażnikowi w głowę. Aiko zadziałała równie szybko, powalając trzeciego strażnika kopniakiem w szczękę. Przeturlała się po nim, podniosła karabin i zastrzeliła ostatniego.

Akcja trwała cztery długie sekundy – i niestety, Gray nie był jedynym, który wykorzystał przewagę chwili.

Skierował broń ku największemu zagrożeniu, ale Wala osłaniała się Kenem, trzymając go ręką za szyję. Drugą ręką przyciskała lufę pistoletu do jego skroni. Używając profesora jak żywej tarczy, pociągnęła go do bocznego tunelu. Za jej plecami wycofywał się Masahiro.

Zniknęli za rogiem.

Gray z gniewem w oczach spojrział za nimi.

– Zostań tu i osłaniaj tyły – polecił Aiko.

– *Hai.* – Japonka przyjęła postawę z karabinem przy ramieniu, mierząc w stronę zakrętu, na wypadek gdyby przysłano posiłki.

Gray pobiegł w głąb tunelu w kierunku komory z trzema uwięzionymi mężczyznami.

Ich wrzaski złowieszczo ucichły.

Serce mu waliło. Bał się, że jest za późno.

Kiedy dotarł do szyby, zobaczył ciała bezwładnie wiszące na łańcuchach. Nacisnął zielony przycisk. Zabrzmiał alarm i z setek dysz umieszczonych w suficie trysnęły grube strugi białej piany pod wysokim ciśnieniem. Ciała mężczyzn natychmiast zostały przez nią pokryte. Silne strumienie ze środkiem owadobójczym zmywały czarne owady z ich ramion, tułowi i nóg. Biała piana zrobiła się szkarłatna od krwi więźniów.

Wszyscy trzej wisieli na łańcuchach, bezwładni, bez śladów życia.

Dysze prychnęły, piana przestała lecieć i alarm się wyłączył.

Reagując na ten sygnał, Gray przyskoczył do drzwi i zakręcił kołem. Dyszał ciężko z wysiłku i przerażenia.

Spóźniłem się?

## Godzina 4.22

– Ruszaj się! – ryknęła Seichan.

Kucała obok zamykających się drzwi. Burza skłębionej wody i podartej stali mknęła za Palu, gdy przebiegał ostatni odcinek do wjazdu. Drzwi zamykały się, lecz mechanizm zablokowany przez karabin, który Seichan przed sekundą wcisnęła w otwór, zgrzytał. Pracujący napęd sprawiał, że broń dygotała.

Lufa zaczęła się zginać.

Szybciej!

Hawajczyk dobiegł do wjazdu i skoczył głową naprzód, zahaczając biodrem o karabin. W końcu wpadł do tunelu.

Seichan szarpnęła karabin, próbując go wyrwać, ale był mocno zaklinowany. Jeśli wjazd pozostanie otwarty, nie uciekną przed wściekłością wody.

Palu, doskonale rozumiejąc niebezpieczeństwo, pośpieszył jej z pomocą i razem spróbowali usunąć broń.

Karabin nawet nie drgnął i po chwili było już za późno.

Ściana wody uderzyła w drzwi i strzeliła przez otwór jak z ogromnego węża strażackiego. Seichan próbowała trzymać karabin, lecz została zmyta w głąb tunelu. Zobaczyła, że Palu wciąż tkwi na posterunku, zaparty nogami o wjazd, jakimś cudem wytrzymując napór wody.

Rozległ się trzask i Hawajczyk potoczył się w jej stronę.

Seichan parsknęła, chwytając powietrze, próbując nie dać się porwać wodzie.

Po kilku przerażających, zapierających dech w piersi sekundach siła prądu osłabła. Woda, która przeniosła ich kawałek dalej, wciąż płynęła, ale już nie z taką siłą.

Seichan odwróciła się do brnącego ku niej Palu. Ścisnął w ręce karabin.

– Jak... jak to...? – Mówienie sprawiało jej zbyt potworny ból, więc ruchem głowy wskazała broń.

Spojrzał na skrzywioną lufę i odrzucił bezużyteczną broń.

– Nie ja, *kaikaina*. – Popatrzył na zamknięty właz. – Jakiś wielki kawał stali trzasnął w karabin z drugiej strony. Wybił go.

Z ulgą skinęła głową, lecz nie wyzbyła się obaw.

I nie bez powodu.

Stacja jęczała pod ciężarem zatopionej części. Na szkle pojawiały się rysy.

Nie wytrzyma, pomyślała Seichan.

Jakby na potwierdzenie, kopuła dokująca pękła i zaczęła powoli opadać na dno jeziora.

Pora stąd zwiewać.

Seichan podniosła się. Palu również wstał, z głośnym jękiem.

– Dokąd? – zapytał.

Ruszyła, unikając odpowiedzi i prawdy.

Nie miała pojęcia.

## Godzina 4.33

Gray zakręcił kołem i mechanizm odblokował zamek. Zrobił głęboki wdech i szarpnął stalowe drzwi. Resztki piany bryznęły na korytarz, niosąc ze sobą smród, który przyprawił go o mdłości. Mdląca słodycz przemieszana z fetorem gnijącego mięsa.

Krzywiąc się, spojrzał na trzy bezwładnie wiszące ciała. Ściekała z nich różowa piana. Z tej odległości niepodobna było ocenić, jakie obrażenia spowodowała fala kłuszących os.

Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać.

Wszedł do środka. Panczerze martwych albo otumanionych bezskrzydłych os chrzęściły pod jego bosymi stopami. Były tak twarde, że miał wrażenie, że idzie

po szklanych kulkach... z ostrymi kolcami. Żuwaczki, które już nie mogły gryźć, ale pozostały ostre jak brzytwa, kaleczyły mu podeszwy.

Gdy dotarł do Kowalskiego, wielka dłoń nieznacznie się uniosła, a potem opadła, jakby każąc mu odejść. Komandora zalała fala ulgi. Zobaczył, że piersi kuzynów Palu lekko unoszą się i opadają.

Żyją... ale jak długo?

Pośpiesznie zwolnił zatrzaski kajdanek i trzej mężczyźni legli w zupie piany, krwi i martwych os. Przez okno zobaczył Aiko, która wciąż strzegła prowadzącego do nich tunelu. Gray wiedział, że posiłki zjawią się lada moment. Kiedy to nastąpi, Aiko nie zdoła długo ich powstrzymać – z pewnością nie na tyle długo, żeby zdążył przenieść trzech sparaliżowanych mężczyzn w bezpieczne miejsce.

Za szybą dostrzegł jedyną nadzieję.

Pobiegł do wyjścia, stąpając po zdradliwie śliskiej, zasłanej osami podłodze. Na ścianie w korytarzu wisiała biała metalowa skrzynka z czerwonym krzyżem. Modlił się, żeby obecność apteczki pierwszej pomocy w tym miejscu była uzasadniona.

Jak stanowiska do przemywania oczu przy toksycznych chemikaliach.

Szarpnięciem otworzył drzwiczki. Połowę zawartości stanowił rząd autostrzykawek. Wyglądały jak epipeny, wstrzykiwacze z epinefryną, i może tym właśnie były. Na Maui używano epinefryny jako czynnika łagodzącego działanie jadu os składających jaja.

Zabrał połowę strzykawek i popędził do komory.

Najpierw ukląkł przy Kowalskim, zębami zdarł opakowanie i wbił igłę w jego szyję. Zawartość strzykawki wpłynęła przez skórę... czy raczej przez to, co z niej zostało.

Gdy zrobił zastrzyk Makaio i Tui, w końcu spojrzął na odniesione przez nich obrażenia. Ich nogi, barki i w dużej części plecy i brzuchy wyglądały jak odarte ze skóry. Bliższe oględziny wykazały jednak, że skóra jest względnie cała, choć pokryta dziobami tysięcy ugryzień wielkości groszku. Krew sączyła się z niezliczonych ranek, ale przynajmniej nic nie wskazywało na krwotok z arterii.

Piersi, szyje i głowy w większości zostały oszczędzone.

Gray przypomniał sobie, jak Ken mówił, że żniwiarki omijają najważniejsze narządy, żeby jak najdłużej utrzymać źródło pożywienia przy życiu.

Mimo to życie tych mężczyzn było zagrożone z powodu wykrwawienia z licznych ranek. Potrzebowali opieki medycznej, być może transfuzji.

Jego uwagę przyciągnął gardłowy jęk. Kowalski powoli uniósł głowę, usiadł i kołysał się na wpół przytomny. Skoro już się ruszał, to oznaczało, że strzykawki zawierają coś potężniejszego niż epinefryna. Najpewniej substancję osłabiającą działanie paraliżującej trucizny żniwiarek.

Chwilę później Makaio i Tua też się poruszyli.

– Krę... kręci mi się w głowie – poskarżył się Kowalski.

– Bardzo cię boli?

Oszołomiony Kowalski spojrzał na zalane krwią rozpostarte nogi.

– Sam nie wiem, czy coś czuję.

Jeśli taka była prawda, strzykawki musiały zawierać również środek przeciwbólowy, być może opioidy.

– Możesz wstać? – zapytał Gray.

– A muszę?

Odpowiedział mu huk strzałów.

Gray odwrócił się do szyby. Aiko cofała się w kierunku komory, strzelając w głąb tunelu. Zauważyła kogoś i próbowała utrzymać na dystans.

Kowalski usiłował wstać, lecz wyglądał jak byk próbujący jeździć na wrotkach. Makaio i Tua jeszcze nawet nie usiedli.

Nie byli w stanie poruszać się samodzielnie.

Aiko wystrzeliła kolejne trzy pociski, po czym skoczyła w otwarte drzwi.

– Musimy uciekać.

Gray spojrzał na powoli przytomniejących mężczyzn.

Nie zostawię ich.

## Godzina 4.44

Ken chwiejnie zszedł z ostatnich stopni na środkowy poziom. Ktoś go włókł, wbijając mu silne blade palce w przedramię. Wala groziła mu czarnym pistoletem trzymanym w drugiej ręce. Towarzyszyło im dwóch uzbrojonych strażników, którzy osłaniali Masahira.

I nie bez powodu.

W tej części stacji panował totalny chaos. Technicy laboratoryjni i pracownicy fizyczni ewakuowali się tutaj z górnego i dolnego poziomu. Stłoczyli się w głównym

tunelu prowadzącym na wyspę, blokując go, co tylko powiększyło panikę. Wszyscy próbowali uciec z zagrożonej stacji.

Wala pistoletem szturchnęła jednego z uzbrojonej eskorty.

– Oczyść nam drogę. Wychodzimy. Strzelaj, jeśli będzie trzeba.

Strażnik skinął głową i ruszył.

– Stój! – rozkazał Masahiro. Wskazał otwarte drzwi swojego gabinetu. – Nie zamierzam ryzykować. Za mną.

Wprowadził ich do wyłożonego drewnem tekowym pomieszczenia. Ken znów spojrzał na płonącego złotego feniksa na ścianie za biurkiem, logo Fenikkusu Laboratories. Wiedział, dokąd zostanie zabrany, jeśli przeżyje następną godzinę. Tam albo zgodzi się na współpracę, albo zostanie zabity.

Wala spojrzała gniewnie na Masahira.

– Dlaczego marnujesz czas?

– Dodatkowe zabezpieczenie – odwarknął i wszedł za biurko.

– Jakie?

– Na wypadek wtargnięcia wroga. – Przyłożył dłoń do szklanego prostokąta pod symbolem feniksa i ekran pojaśniał.

– Dlaczego nie zostałam o tym poinformowana?

Gdy czytnik skanował jego dłoń, Masahiro obrzucił ją pogardliwym spojrzeniem.

– To mój obiekt. Mój dziadek ci ufa, ale ja nie jestem taki naiwny, żeby mówić o wszystkim *gaijin*.

Twarz Wali stężała.

Ken przypuszczał, że jej albinizm zawsze i wszędzie czynił ją *gaijin*, obcą, osobą budzącą podejrzliwość z powodu cechy genetycznej, na którą nie miała wpływu. Poza tym nie była Japonką. Wiedział, jakie znaczenie przywiązuje się do pochodzenia w japońskiej zamkniętej kulturze. Nawet jego mieszana krew – japońska i niemiecka – stawiała go niżej w oczach kolegów naukowców w Kioto. Pamiętał, jak buntował się przeciwko temu odwiecznemu uprzedzeniu.

Wala wyraźnie też czuła się poniżana z powodu swojego statusu – traktowana przez japońskich zwierzchników jak ktoś gorszy. Pogardliwe słowo *gaijin* rozgniewało ją.

Zacisnęła palce na łokciu Kena.

Gdy dłoń Masahira została przeskanowana, otworzył się zamaskowany panel, odsłaniając czerwony przycisk.



– Będziemy mieli cztery minuty – uprzedził Masahiro. – Wierz mi, w tym czasie będziemy chcieli być za pancernymi drzwiami.

Nie kryjąc zdenerwowania, wcisnął pięścią guzik.

Wala spojrzała na niego ze ściągniętymi brwiami.

– Co zamierzasz...

Wskazał drzwi.

– Teraz możemy iść – rzucił.

Sztywnym krokiem wyszedł z biurka i rozkazał dwóm strażnikom oczyścić dla nich drogę. Rozkaz okazał się niepotrzebny. Korytarz już opustoszał. Maruderzy uciekali w głąb długiego tunelu.

Ale nie byli ostatni.

Z wyższego poziomu niósł się w dół schodów trzask strzałów. Wala wysłała tam uzbrojonych ludzi, żeby rozprawili się z Grayem i Aiko. Najwyraźniej bitwa wciąż trwała.

Ken spojrział w górę, życząc im, żeby się utrzymali.

Ale czy w ostatecznym rozrachunku naprawdę coś to pomoże?

Pomyślał o czerwonym guziku pod płonącym feniksem.

Mieli mniej niż cztery minuty.

Wala, z nieodgadnionym wyrazem twarzy, też spojrzała w górę. To czujność ratowała jej życie. Nagle odwróciła się, przyciągając Kena do siebie, bo za nimi huknął strzał. Przy głowie profesora zaświszczał pocisk, zahaczając o skraj lewego ucha. Ból na chwilę go oślepił.

Gdy pojaśniało mu w oczach, zobaczył biegnącą w ich stronę Seichan z uniesioną bronią z dymiącą lufą.

## Godzina 5.02

Skąd ona się tu wzięła?!

Na widok wytatuowanej twarzy wiedźmy Seichan zareagowała błyskawicznie. Zdając sobie sprawę, że ma najlepszą okazję na wyeliminowanie tego śmiertelnego zagrożenia, natychmiast strzeliła. Tylko że w desperacji musiała się zdradzić – może szurnięciem stopy na stalowych schodach albo głośniejszym sapnięciem, a może tę sukę ostrzegło wrodzone wyczulenie na niebezpieczeństwo.

Gildia nauczyła je obie, żeby bezustannie mieć się na baczności, przez cały czas zwracać uwagę na szczegóły otoczenia i być gotową do działania.

Przeklinając nadnaturalne zmysły kobiety z białymi włosami, Seichan strzeliła do jednego ze strażników. Kula trafiła w ramię i obróciła go; karabin wyleciał mu z ręki.

Drugi strażnik chwycił Japończyka w garniturze i ściągnął go z linii ognia do bocznego tunelu. Z mapy obracającej się w jej głowie Seichan wiedziała, że to główny korytarz prowadzący ze stacji na wyspę.

Nie zwracając uwagi na uciekających mężczyzn, skupiła się na Wali Michajłowej.

Ta osłaniała się profesorem Matsuim jak żywą tarczą. Seichan oddała jeszcze dwa strzały, nie zamierzając trafić w cel. Nie mogła ryzykować, że zrani Kena. Strzelała, żeby odpędzić kobietę od głównego tunelu, uniemożliwić jej ucieczkę. Jednocześnie biegła ku jedynej kryjówce: otwartym drzwiom biura.

Wala odpowiedziała ogniem, lecz Seichan była równie dobrze wyszkolona do przewidywania zagrożenia i szybkiego reagowania. Instynktownie – chociaż z rozważą – odpowiedziała na ruchy ciała przeciwniczki i jej spojrzenie. Uskoczyła przed kulami, które rykoszetowały od stali.

Skupiaj się na mnie, zaklinała ją w myślach.

Kątem oka zobaczyła biegnącego Palu. Z tasakiem w ręce przemknął przez otwartą przestrzeń do schodów na górę, gdzie wciąż huczały strzały.

Kilka minut temu, gdy szli ku centrum stacji, słyszała wymianę ognia. Na chwilę przystanęła, żeby rozebrać i wyczyścić sig-sauera i przygotować go do użycia. Przez cały czas uszkodzona stacja trzeszczała i jęczała wokół niej, nagłąc ją do pośpiechu.

Podobnie jak płynące z góry echa kolejnych strzałów.

Mogła być tylko jedna przyczyna tej strzelaniny.

Gray.

Wiedząc o tym, pobiegła schodami na górę i na środkowym poziomie zobaczyła profesora Matsuiego wleczonego w stronę wyjścia przez ducha z jej przeszłości. Wysłała Palu na pomoc Grayowi i innym, a sama podjęła próbę ratunku Kena.

Wala pchnęła profesora na podłogę, bo jego szamotanina przeszkadzała jej celować. Mając swobodę ruchów, natychmiast oddała dwa strzały. Jeden pocisk przemknął obok głowy Seichan, drugi musnął jej udo.

Poczuła piekący ból, lecz zignorowała go i biegła dalej.

Jeszcze tylko kawałek...

Gdy znalazła się w bezpiecznym biurze, Wala została odsłonięta w tunelu. Seichan mogła ją wyeliminować albo zmusić do ucieczki.

Zanim jednak mogła zrealizować swój cel, pękły jej obie nogi.

Przynajmniej takie odniosła wrażenie.

Wysiłek zbudził drzemiącą w niej hordeę. Ból przeorał jej ciało, powodując skurcz mięśni i zamieniając je w twarde kamienie. Nogi odmówiły jej posłuszeństwa i runęła na podłogę. Cierpienie zawężyło jej pole widzenia i osłabiło kontrolę nad ciałem.

Gdy padała, pistolet wypadł jej z ręki, po czym prześliznął się po podłodze w głąb biura. Chciała poczołgać się za nim, lecz gdy wykonała pierwszy ruch, ktoś nad nią stanął.

Spojrzała w górę, wiedząc, kogo zobaczy.

Wala podniosła Kena – trzymała go za włosy, odciągając mu głowę do tyłu. Krew spływająca z jego ucha ściekała mu po szyi.

Kobieta z białymi włosami mierzyła z pistoletu w Seichan.

– Czekałam na to długo – powiedziała. – Tropiłam ciebie i tego sukinsyna przez pół świata i dwa razy was zgubiłam.

Seichan popatrzyła na nią z wściekłością w załzawionych z bólu oczach.

Więc dlatego wiedzieli, że jesteśmy na Maui, pomyślała.

Wala przysunęła pistolet do jej głowy.

Ken jęknął.

– Nie...

Jego błaganie trafiło w próżnię.

Spróbował jeszcze raz:

– Ona... ona jest w ciąży.

Wala na chwilę zamarła... po czym się roześmiała. Był to mrozący krew w żyłach głuchy dźwięk.

– Idealnie... po prostu idealnie. Lepiej, niż mogłam się spodziewać.

Uniosła pistolet i opuściła, uderzając stalowym chwytem w skroń Seichan.

Świat Seichan stał się oslepiająco biały, a potem spowół ją mrok.

Ostatnie słowa, które usłyszała, ścigały ją, gdy zapadała się w otchłań nieświadomości.

– Jeśli dożyjesz, może wezmę sobie twoje dziecko.

## Godzina 5.18

Odrętwiały z szoku Ken szedł w kierunku wyjścia z tunelu, powłócząc nogami. Gorąca krew ściekała z rozdartego ucha. Za nim kroczył strażnik, który uciekł z Masahirem w czasie krótkiej wymiany ognia i wrócił po odstawieniu swojego pracodawcy w bezpieczne miejsce.

Wala maszerowała na czele. Za nią dwóch mężczyzn wlokło nieprzytomną Seichan. Wszyscy poruszali się szybko.

Dwadzieścia metrów dalej szklany tunel kończył się przed grubymi pancernymi drzwiami.

Przed nimi stał Masahiro, z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Dwadzieścia sekund i drzwi się zamkną! – ryknął.

Wala nie przyśpieszyła, przeciwstawiając mu się nawet w tych okolicznościach.

Ken przypuszczał, że Masahiro pozwoliłby im tam zostać, blokując za sobą drzwi, ale zauważył zdobycz Wali: Seichan, która upokorzyła go na Maui. Mściwy błysk w oczach Japończyka świadczył o tym, że chce wyrównać rachunki, zanim ucieknie z wyspy.

Profesor odliczał w myśli ostatnie sekundy.

Zbliżyli się do progu, gdy jego wewnętrzny zegar doszedł do zera.

W tym momencie Ken usłyszał serię detonacji. Odwrócił się i zobaczył błyski ognia w całej stacji, dym i płomienie w bocznym tunelu z prawej strony za wygiętymi stalowymi drzwiami.

– Szybciej! – rozkazał Masahiro.

Ken pobiegł wraz z innymi, lecz wciąż oglądał się na tunel.

I wtedy zobaczył prawdziwy cel eksplozji.

Dym pociemniał, gdy kłębiący się rój wpadł na korytarz, uciekając z komory testowej, którą profesor zauważył wcześniej, kiedy ich tu prowadzono. Pamiętał, że była pełna pełzających wojowniczek. Rozwścieczone hałasem i płomieniami osy szalały w dymie, szukając celu ataku.

– Teraz albo nigdy – ostrzegł Masahiro.

Słyszając kolejne wybuchy, Ken domyślił się, że są wysadzane drzwi wszystkich komór testowych.

Po latach uwięzienia Odokuro wreszcie wyrwały się na wolność.

Ale osy nie były jedynym zagrożeniem.

Stacja trzęsła się i dudniła. Do tunelu wdzierała się woda.

Ken zrozumiał.

Wszystko się wali.

Atol Ikikauō

8 maja, godzina 5.28 czasu miejscowego

Ogłuszony przez bliskie wybuchy Gray kuczał w korytarzu przed pełną piany ruiną komnaty tortur, w której kłębił się dym. Właz zamykający wejście do sąsiedniej klatki żniwiarek został wyrwany z zawiasów i przemknął przez komorę, wybijając szybę po drugiej stronie.

W dymie snuło się kilka zbłąkanych żniwiarek, które nie brały udziału w uczcie. Gdy wpełzły w pianę, otumaniał je środek owadobójczy.

Na szczęście Kowalski i kuzyni Palu odzyskali siły na tyle, żeby wyczołgać się albo wyjść chwiejnym krokiem na korytarz, zanim nastąpił wybuch. Teraz wszyscy stali, chociaż musieli opierać się o ścianę.

Krew sączyła się z ich kończyn, na szczęście coraz wolniej, ponieważ ranki po ugryzieniach się zasklepiały.

Po drugiej stronie Graya Aiko też opierała się o ścianę, przyciskając karabin do piersi. Za rogiem w sąsiednim tunelu leżało dwóch martwych mężczyzn.

Było to jedyne wyjście z tej części stacji.

Aiko udowodniła, że jest doskonałym strzelcem, i tylko dzięki temu wszyscy jeszcze żyli.

Ale jak długo?

Uniosła palec, sygnalizując, że został jej ostatni nabój.

Gray modlił się, żeby wystarczył. Po wybuchu strzały z drugiej strony tunelu ucichły. Nie wiedział, czy tamci uciekli, czy czekają ukryci, mając nadzieję, że eksplozja ich wypłoszy.

Po pierwszym wybuchu rozważał ucieczkę, przekonany, że jeśli zostaną, to zginą. Oczywiście wciąż im to groziło. Woda wlewała się do klatki żniwiarek i ściekała na stalową podłogę. Eksplozja musiała uszkodzić szklaną kopułę.

Nie minie wiele czasu, a szkło nie wytrzyma ciśnienia panującego na tej głębokości i woda zaleje tę część stacji.

Aiko spojrzała na niego z łatwym do odczytania wyrazem twarzy.

Co zrobić?

Dudnienie stóp przyciągnęło ich uwagę w kierunku tunelu. Wróg podejmował ostatnią próbę ataku. Aiko przyklękła i wyjrzała zza rogu.

Jedna kula przeciwko ilu?

Gray też się wychylił, chcąc poznać odpowiedź i ocenić zagrożenie. Biegło ku nim dwóch mężczyzn, jeden pięć metrów za drugim. Ten z przodu próbował wyrwać broń z kabury.

Dziwne, że jeszcze nie miał jej w ręce.

Japonka też to spostrzegła i może dlatego powstrzymała się od strzału, oszczędzając jedyny nabój.

Pierwszy biegnący w końcu wyciągnął pistolet, obrócił się i wycelował za siebie. Ale zanim strzelił, coś go uderzyło w tył nogi. Runął na ścianę, odwracając się na tyle, że Aiko zobaczyła szerokie ostrze wbite w udo.

Zdołał jednak utrzymać pistolet i wymierzył w pędzącego za nim mężczyznę. Lecz zanim nacisnął spust, Aiko strzeliła i jego głowa eksplodowała.

Ten z tyłu wyhamował z uniesionymi rękami, bez broni.

Palu.

Aiko i Gray wyszli z ukrycia. Uniesione ręce Hawajczyka pokrywała krew. Gray rozpoznał ostrze w nodze martwego. Pochodziło z arsenału Seichan. Palu wywalczył sobie drogę przez strażników, którzy nie opuścili jeszcze kompleksu; wykorzystał zaskoczenie i wybuch, żeby powalić przeciwników z wyjątkiem ostatniego, który próbował uciec.

– Gdzie jest Seichan? – spytał Gray, podchodząc do niego.

Hawajczyk się skrzywił.

– Zabrali ją. Kiedy wszedłem na górę, zobaczyłem ją w dole. Wlekli ją w kierunku wyjścia na wyspę. Mają też profesora.

– W takim razie chodźmy po nich – rzucił Gray i ruszył, nie zwlekając ani sekundy.

Palu zagroził mu jednak drogę potężnym ramieniem.

– Nie. Nie uda się.

Aiko najwyraźniej się z nim zgadzała.

– Nie ma naboji – przypomniała, unosząc karabin.

– Możemy znaleźć amunicję i broń. Jeśli zdążymy, zanim zamkną...

Przerwał mu głośny huk. To kopuła nie wytrzymała pod ciśnieniem i woda wyniosła Kowalskiego i pozostałych dwóch mężczyzn w pole widzenia Palu. Hawajczyk wytrzeszczył oczy na widok swoich kuzynów... i ich stanu. Nie wiedział o ataku na katamaran.

Gray nie miał czasu na wyjaśnienia.

– Teraz nie mamy wyboru. Idziemy do wyjścia.

Palu nie opuścił ręki.

– Nie tędy.

– No to którędy?

Hawajczyk wskazał w dół.

– Na samo dno tego przekłętego miejsca – powiedział.

– Dlaczego? Co tam jest?

Palu odwrócił się i ruszył pierwszy.

– Miejmy nadzieję, że wyjście.

## Godzina 5.30

Masahiro stał obok pancernych drzwi, gdy w końcu strażnicy wciągnęli nieprzytomną kobietę ze stacji do wyciętego w skale tunelu. Patrzył na krew ściekającą z jej skroni. Ktoś uderzył ją pistoletem.

Dostała za swoje.

Żałował, że ten sam los nie spotkał jej porywaczki, bladej Rosjanki. Jakby afiszując się ze swoimi jeńcami, Wala rozmyślnie narzuciła wolne tempo podczas opuszczania stacji.

Gdy mijala Masahira, obrzuciła go spojrzeniem pełnym zadowolenia z siebie.

Ten zawrzał z wściekłości, bo wiedział, że ta *gaijin* przypisze sobie zasługi za pojmanie jeńców.

Cofnął się, gdy dym wtoczył się do zewnętrznego korytarza, niosąc ze sobą złowrogie brzęczenie uwolnionych os.

– Zamknij – rozkazał, odwracając się plecami do stacji.

Moja rola tutaj została skończona, pomyślał.

Mylił się jednak.

Wala skinęła na dwóch strażników należących do jej osobistego zespołu.



Jeden chwycił Masahira za kłapy marynarki i wypchnął go przez pancerne drzwi z powrotem do stacji. Masahiro potknął się o próg i upadł na podłogę tunelu. Drugi strażnik naparł ramieniem na grube stalowe drzwi i zaczął je zamykać.

Nie...

Masahiro chciał się podnieść, ale coś wylądowało mu na policzku. Przerażony, pacnął ręką. Miał wrażenie, że w jego ciało wbił się rozżarzony węgielek. Spодziewał się, że poczuje skórę topiącą się na policzku.

Przez łzy bólu patrzył, jak drzwi powoli się zamykają. Zanim się zatrzasnęły, Wala spojrziała na niego z drugiej strony. W jej oczach zalśniła zimna satysfakcja z odniesionego zwycięstwa.

Potem Wala zniknęła.

W tej ostatniej chwili Masahiro zrozumiał przyczynę swojej ostatecznej porażki: nie docenił głębi ambicji tej kobiety.

Pomruk za jego plecami stawał się coraz głośniejszy; przyśpieszony oddech i walące serce Masahira przyciągały chmurę. Gdy na niego opadła, zamknął oczy. Osy atakowały ze wszystkich stron, uderzały jak twardy grad, który często nawiedza wyższe partie góry Fudzi.

Tyle że tutaj zamiast lodu był ogień.

Wrzask wyrwał się z gardła Masahira, otwierając nową drogę dla os. Wpełzały do jego ust, tłoczyły się wewnątrz, wciskając się coraz głębiej, żądając bez chwili przerwy.

Jego wycie zamieniło się w skowyt.

Aż wreszcie rozdzierający ból rzucił go w otchłań nieświadomości.

## Godzina 5.38

Gray biegł z innymi, uczestnicząc w szaleńczej ucieczce po schodach w dół centralnego trzonu stacji. Przystawali tylko po to, żeby zabrać broń martwym strażnikom, ponuremu rękodziełu Palu i jego tasaka.

Cała konstrukcja trzęsła się i dudniła.

Stopnie były zdradliwe, gdy klatka schodowa przemieniła się w wodospad. Zarwały się inne kopuły na wyższym poziomie. Jezioro szybko zalewało stację, wdzierając się ze wszystkich stron. Gray czuł w uszach narastające ciśnienie, gdy

zbliżające się ściany wody sprężyły pozostałe powietrze. Oddychał z coraz większym trudem, bo dym wciskał się w coraz mniejsze przestrzenie.

I nie tylko dym.

Gdy wbiegli na środkowy poziom, strząsnął zbłąkaną osę, która wplątała mu się we włosy. Zdążyła ukąsić go w ucho, co odczuł jak kopnięcie muła w bok głowy. Między nimi i schodami na dolny poziom ciemny rój unosił się na końcu głównego tunelu prowadzącego na wyspę. Osy kłębiły się i kotłowały. W zamkniętej przestrzeni ich brzęczenie brzmiało jak bezustanny trzask wyładowań elektrycznych.

Nie mając wyboru, pobiegli dalej.

– Nie zwalniać! – zawołał Gray. – Biegniemy!

Skulili się pod biurkiem Masahira. Ich ruch przyciągnął osy. Brzęczenie przybrało na sile, gdy owady znalazły nowe cele, żeby wyładować swoją furję.

– Szybciej! – ponaglił Gray.

Wiedział, że żąda niemożliwego. Aiko biegła na czele z Palu, który pomagał Makaio, niemal go niosąc. Krok za nimi Kowalski prowadził Tuę.

Rój się zbliżał – ciemna fala grożąca rozbiciem się o ich ciała.

Komandor skierował swoich towarzyszy ku schodom na dolny poziom. Mając na sobie tylko kąpielówki, czuł się zupełnie nagi. Spodziewając się kolejnych ukąszeń, dostał gęsiej skórki.

Kowalski nagle zaklął, upadł na kolano i klepnął się po karku.

Gray do niego podbiegł, złapał Tuę jedną ręką, a drugą wyciągnął do Kowalskiego.

Wielki mężczyzna tylko obrzucił go gniewnym spojrzeniem i wstał o własnych siłach, po czym razem pośpieszyli za innymi.

Gray poczuł uderzenie w prawą nogę, w lewe ramię i ból niemal go obezwładnił. Komandor zmusił się jednak do kontynuowania ucieczki. Adrenalina walczyła z bólem. Łzy spływały mu po policzkach. Nogi mu się trzęsły.

Kowalski zauważył jego cierpienie i chwycił go w pasie; teraz musiał niemal nieść i jego, i Tuę. Gray był pod wielkim wrażeniem jego siły, zwłaszcza gdy spostrzegł, ile os siedzi na barkach i plecach Kowalskiego. Mięśnie olbrzyma prężyły się i drżały wskutek licznych uządleń.

Może antidotum w strzykawkach albo opioidy dodały mu siły, chociaż Gray podejrzewał, że raczej napędza go czysty upór.

Przed nimi Aiko i inni dotarli do schodów i zniknęli w buchającym z nich dymie.

Jak długodystansowiec, który widzi linię mety, Kowalski stęknął i przyśpieszył. Gdy wreszcie wpadli w gęsty dym, osy zaczęły się wycofywać.

Uciekły nawet te, które obsiadły ich ciała.

Po chwili Gray zrozumiał, co je przepędziło. Kaszlał w dymie, który cuchnął spaloną gumą. Czuł na języku smak płonącej ropy. Próbował wstrzymać oddech, ale ból i zmęczenie zmusiły go do nabrania powietrza.

W końcu znaleźli się na dolnym poziomie, gdzie woda sięgała do kolan. Gdy opuścili klatkę schodową, która jak komin odprowadzała dym w górę, powietrze się przeczyszcilo. Dym płynął pod sklepieniem tuneli, więc jeśli pochylali głowy, niżej znajdowali warstwę powietrza zdatnego do oddychania.

Poza tym lodowata woda nieco uśmierzała ból użądleń.

– Tędy – powiedział Palu, wskazując tunel po lewej stronie.

Ruszył pierwszy, szybko brodząc w wodzie.

Na powierzchni unosiło się mnóstwo szczątków wraz z grubą warstwą utopionych os: maleńkie zwiadowczynie, większe składające jaja samice i inne, których Gray nie rozpoznawał.

– Powinna być w następnym tunelu – dodał Hawajczyk. – O ile wciąż tam jest...

Następny korytarz był długi, biegł do odległego krańca stacji.

Gray modlił się, żeby dzięki oddaleniu tamta część pozostała nienaruszona. Gdy biegli, poziom wody szybko się podnosił; sięgała już do pasa. W pewnym momencie łatwiej było na wpeł płynąć, unosząc się na powierzchni i odpychając nogami. Dzięki tej metodzie mieli głowy znacznie poniżej warstwy dymu.

Tunel skończył się przed zamkniętymi drzwiami.

Śluza.

Jak przewidywał Palu.

Hawajczyk powiedział, że on i Seichan widzieli w doku małą łódź podwodną. Zapewne używano jej do dostarczania zapasów, może nawet części konstrukcji w trakcie budowy stacji.

Teraz była jedyną nadzieją na ucieczkę.

I nie tylko dla nich.

Okazało się, że nie są jedynymi osobami uwięzionymi w zatopionej stacji.

Przed śluzą trzęsło się trzech mężczyzn. Wyglądali jak podtopione szczury.

Aiko wycelowała w nich karabin i powiedziała coś po japońsku. Następnie zwróciła się do Graya:

– To załoga łodzi. Mieli za zadanie zabrać ją stąd.

Gray poczuł falę ulgi. Wcześniej zastanawiał się, czy poradzi sobie z obsługą łodzi. Obecność załogi rozwiązywała problem.

Aiko jednak nie miała zadowolonej miny i wyjaśniła dlaczego.

– Chcieli wejść do środka, ale mechanizm uległ zniszczeniu. Nie ma możliwości, żeby się stąd wydostać.

Gray podszedł do śluzy, ruchem ręki każąc załodze zejść z drogi. Spojrzał przez dwa okna na suchy dok. Kiosk małej łodzi podwodnej sterczał nad powierzchnią wody, jakby na nich czekał.

Przybity komandor oparł czoło o szybę.

Tak blisko, a jednak tak daleko.

## Godzina 5.49

Ken siedział w ładowni samolotu transportowego, który wystartował z wyspy. Pas był krótki, więc startowali z ogromnym przyśpieszeniem, a zaraz potem stromo wznieśli się w niebo.

Napisy w cyrylicy wewnątrz kadłuba świadczyły, że maszyna kiedyś należała do rosyjskich albo serbskich sił zbrojnych. Projekt był prosty. Za zamkniętymi drzwiami mieściła się kabina załogi, a resztę wnętrza zajmowała ładownia z rozkładanymi siedzeniami wzdłuż ścian.

Piętrzyły się w niej skrzynie, paki i beczki przypięte pasami albo zabezpieczone siatką. Zawierały wszystko, co zabrano ze stacji.

Gdy samolot się pochylił, głowa Seichan bezwładnie się zakołysała. Krew na skroni zdążyła zaschnąć, ale kobieta nie odzyskała przytomności. Mimo to porywacze woleli nie ryzykować. Skrępowali jej ręce i nogi kajdankami i łańcuchami. Przypięli ją pasami do siedzenia. Obok niej siedział strażnik z pistoletem w ręce. Drugi zajmował miejsce naprzeciwko, z karabinem na kolanach.

Uwagę Kena przyciągnęło trzaśnięcie drzwi.

Wala wyszła z kokpitu i wskazała obu strażników.

– Ty i ty – zwróciła się do nich po japońsku. – Ze mną.

Mężczyźni posłusznie zerwali się z siedzeń.

Ken wiedział, że cała załoga jest wobec niej lojalna. Nikt nie zaprotestował, gdy porzuciła Masahira na stacji. Podjęła również dodatkowe kroki, żeby zatuszować swoje poczynania. Kiedy dotarli do zabudowań Straży Wybrzeża, Ken zobaczył istną rzeź. Wyglądało na to, że ludzie Wali urządzili zasadzkę na wszystkich, którzy

ewakuowali się windą towarową, i wystrzelali ich z karabinów. Zawleczone pod ścianę ciała leżały w jeziorze krwi.

Wala obrzuciła zwłoki beznamiętnym spojrzeniem.

Ken zrozumiał, że dokonała czegoś w rodzaju zamachu stanu.

Potwierdziła to głośna eksplozja, która wstrząsnęła samolotem. Wykręcił szyję, żeby spojrzeć przez okno za plecami. Zardzewiały dach budynku Straży Wybrzeża żeglował wysoko w powietrzu, napędzany przez kolumnę dymu i ognia.

Zaciera ślady, pomyślał profesor.

Nagle w ładowni zaświszczał wiatr. Ken wzdrygnął się, przekonany, że jakiś lecący odłamek przeszył kadłub. Po chwili zobaczył, że opuszcza się kłapa w ogonie samolotu.

Wala stanęła przy otworze i wskazała w dół.

Dwóch mężczyzn przeturlało dużą pomarańczową beczkę do otwartego wjazdu i na dany znak zepchnęli ją z pokładu. Ken spojrział w okno. Śledził wzrokiem beczkę, gdy koziółkowała w drodze na dół. Spadła na pirs, gdzie był zacumowany poduszkowiec. W niebo wzbily się ogień i dym w kształcie grzyba. Fontanny płomieni wystrzeliły w górę, pochłaniając drewnianą przystań i łódź.

Samolot wciąż krążył nad wyspą i zrzucono kolejne ładunki zapalające. Nad atolem rozpościerały się kłęby dymu i płomienie. Podobne zniszczenia Ken widział na brazylijskiej wyspie Queimada Grande.

Zamierzają wszystko spalić do gołej skały.

Ale na tym nie koniec.

Wala znów wskazała ręką, krzycząc, żeby ludzie ją słyszeli w szumie wiatru. Ken zrozumiał tylko jedno słowo: *mizūmi*.

Skulił się, podejrzewając, co się wydarzy.

Samolot odleciał kawałek od wyspy, po czym zawrócił, żeby zrzucić ostatnie bomby. Tym razem beczki nie były przeznaczone do postawienia czegokolwiek w ogniu.

Miały służyć jako bomby głębinowe.

Bo *mizūmi* oznacza jezioro.

## Godzina 5.55

– To wariactwo – rzucił Kowalski, szczerząc zęby w dzikim uśmiechu.

Gray nie mógł się nie zgodzić. Ale jeśli umrą za kilka sekund, Kowalski odejdzie z radością. Ekspert od materiałów wybuchowych niczego nie uwielbiał bardziej niż wysadzania w powietrze różnych rzeczy.

Komandor i inni schowali się za podważonym fragmentem stalowej podłogi w odległości jakichś dwudziestu metrów od zablokowanej śluzy. Wcześniej Kowalski i Palu podłączyli urządzenie zegarowe do kostki C4. Była ostatnią z zapasu, który strażak zabrał z Maui. Albo się uda, albo wszyscy zginą.

Plan polegał na wysadzeniu dwojga drzwi śluzy i zapewnieniu sobie dostępu do kopuły doku. Ale tyle rzeczy mogło pójść nie tak. Jeśli ładunek okaże się za słaby, nie wysadzi drzwi. Jeśli będzie za silny, może zniszczyć łódź podwodną albo nawet spowodować zawalenie się tej części stacji.

Musieli jednak zaryzykować.

Gdy przygotowywali ładunek, Gray słuchał wybuchów niosących się z góry przez wodę. Matowy blask sugerował, że wycofujący się wróg zrzuca na wyspę bomby zapalające.

– Przygotować się! – zawołał Kowalski. Patrzył na zegarek Palu i odliczał ostatnie sekundy, zginając palce uniesionej dłoni.

W tym czasie woda wirowała już na wysokości piersi – i dobrze.

Gray wiedział, że w kopule musi panować zwiększone ciśnienie, żeby nie zalała jej woda z jeziora. Kiedy wysadzą drzwi, gwałtowna dekompresja może spowodować natychmiastowe wdarcie się jeziora. Ich jedyną nadzieją było to, że powietrze uwięzione w zalanej stacji nieco wyrówna różnicę ciśnień.

Tylko jeszcze jeden drobiazg może wszystko zepsuć...

Kowalski zgiął ostatni palec, zaciskając pięść.

Komandor uprzedził, że mają otworzyć usta i zrobić wydech, żeby łatwiej znieść wstrząs wybuchu. Niewiele to dało. Eksplozja uderzyła w bębenki i ścisnęła klatkę piersiową tak, że nie wiedział, czy jeszcze kiedyś zdoła zaczerpnąć tchu.

Potem było po wszystkim.

Zassał powietrze, pozostali zrobili to samo.

Dwoje drzwi przed nimi zniknęło.

Za śluzą woda w basenie wokół kiosku łodzi podniosła się na spotkanie z tą napływającą z tunelu.

Gray odetchnął.

Wydawało się, że ciśnienie powietrza nie wpuści jeziora.

Na razie jest dobrze.

Opuścili uniesiony fragment podłogi i pozwolili, żeby prąd zawłókł ich do doku. Gdy wpłynęli do komory, ze sklepionego stropu zaczęły wystrzeliwać strumienie wody. Szkło popękało wskutek wybuchu.

Rysy rozbiegały się i poszerzały.

Gray wskazał kiosk.

– Do środka! Natychmiast!

Jeden z załogi popłynął do drabinki i wspiął się na szczyt. Przykucnął i zakręcił kołem, żeby odblokować właz.

Inni weszli za nim. Mężczyzna otworzył właz i pomagał, gdy kolejno schodzili do małej łodzi podwodnej. Gray czekał, pilnując, żeby wszyscy znaleźli się na pokładzie.

Spojrzał w oczy przerażonego mężczyzny na kiosku.

W zasadzie już nie byli wrogami.

Jakiś ruch za szkłem przyciągnął uwagę Graya. W ich stronę spadała jaskrawo-pomarańczowa beczka.

Nie, nie, nie...

Skoczył, złapał członka załogi i rzucił go głową w dół do otworu. Zsunął się po drabinie i w momencie, gdy eksplozja zakołysała łodzią, zatrzasnął za sobą właz.

Kiosk z głośnym hukiem uderzył w skraj basenu.

Gray wisiał na jednej ręce, trzymając się szczebla drabinki, drugą zakręcając właz. W końcu zeskoczył na dół i z ulgą zobaczył, że mężczyzna, którego zrzucił, spadł na innych, co złagodziło lądowanie.

– Zabieraj nas stąd! – krzyknął.

Silniki zamruczały, przerywając mu w pół słowa. Dwóch członków załogi już zdążyło zająć swoje miejsca.

Komandor przeszedł do przodu, schylając głowę pod niskim sufitem. Rozpoznał tę małą łódź. Był to miniaturowy okręt podwodny typu Una zbudowany dla jugosłowiańskiej marynarki wojennej, służący do stawiania min albo dostarczania sił specjalnych na wody zbyt płytkie dla większych jednostek. Metalowy stożek dziobu został zastąpiony szkłem polimerowym.

Siedzący z przodu sternik zwiększał zanurzenie, oddalając się od stacji.

Gray podszedł do niego i zdążył zobaczyć ostateczne zniszczenie stacji. Wybuch bomby głębinowej roztrzaskał część kompleksu. Bąble powietrza płynęły w górę, a zburzone tunele opadały na dno jeziora. Reszta rozpadała się w zwolnionym tempie. Światła awaryjne zamrugały i zgasły – do jeziora powrócił mrok.

Któryś Japończyk pstryknął włącznikiem i snop światła wystrzelił do przodu, ujawniając ciemne oko tunelu łączącego jezioro z oceanem. Sternik skręcił w tamtą stronę. Otwór wydawał się za mały nawet dla miniaturowej łodzi podwodnej.

Gray zobaczył, że nawigator pochyla się nad sonarem Krupp Atlas. Urządzenie mogło pracować w trybie aktywnym lub pasywnym.

Zaniepokojony, przywołał do siebie Aiko.

– Powiedz im, że w tunelu mogą mieć zapalone światło, ale na otwartych wodach muszą je zgasić i używać tylko sonaru pasywnego, żebyśmy nie zostali wykryci.

Pokiwała głową i przekazała polecenie.

Gdy dziób łodzi wsuwał się do tunelu, Gray spojrzał w górę. Ten, kto zrzucił bomby głębinowe, wciąż mógł tam być i monitorować okoliczny obszar.

– Akumulatory są naładowane? – zwrócił się do Japończyków, gdy łódź wreszcie znalazła się w tunelu.

Jeden z nich znał angielski na tyle, że odpowiedział uniesionymi kciukami.

– W takim razie zwiewajmy stąd na Midway. Maksymalna moc.

Gray z ponurą satysfakcją popatrzył w ciemność rozpraszaną przez światło łodzi i złożył Seichan milczącą obietnicę.

Nie spocznię, póki znów nie będę cię miał w ramionach.



Przestrzeń powietrzna nad Pacyfikiem  
8 maja, godzina 6.17 czasu miejscowego

Świat powoli wracał, przynosząc ze sobą cierpienie.

Seichan czuła pulsowanie w lewej skroni i ogień w kończynach. Ból skręcał jej trzewia. Chciała zwymiotować, ale bała się, że to tylko pogorszy sytuację. Mrugała, broniąc się przed oślepiającą jasnością, która przeszywała jej czaszkę.

Jęcząc, chciała osłonić oczy przed blaskiem, ale miała skute ręce, z łańcuchami ciągnącymi się do kostek nóg.

Po kilku kolejnych oddechach zrozumiała, że znajduje się w ładowni samolotu. Brzmienie silnika sugerowało, że prawdopodobnie jest to turbośmigłowiec. Obróciła głowę i świat zawirował jej w oczach.

Mimo to zauważyła Kena przypiętego pasami na sąsiednim siedzeniu.

– Jak się czujesz? – zapytał.

Skrzywiła się i zmusiła suchy język do sformułowania paru słów.

– Gray... inni...

Ken spuścił wzrok na skute ręce.

– Nie wiem. Zostali na dole. – Spojrzał na nią ze smutkiem. – Zrzucili bomby zapalające na wyspę. Stacja jest zniszczona.

Obróciła głowę i spojrzała przez okno. Słońce wzeszło i jasno świeciło nad spokojnym oceanem, pozwalając zobaczyć dokonane w nocy zniszczenia.

Za samolotem wyspa płonęła, spowita kłębam dymu.

Seichan patrzyła na to, nie dopuszczając do siebie myśli, że Graya już nie ma. Kurczowo czepiała się nadziei, próbując przemienić ją w pewność, ale ból i wyczerpanie mieszały jej w głowie. Poczwała wzbierające łzy, co tylko ją rozżłościło.

Gdy spojrzała przed siebie, ból eksplodował w jej brzuchu.

Krzyknęła, pochylając się nad skutymi rękami. Zamknęła oczy i wciągała hausty powietrza, jakby chciała zdmuchnąć szalejący w niej ogień. Trwało to wieczność, ale w końcu ból osłabł na tyle, że mogła się wyprostować.

Gdy skupiła wzrok, zobaczyła znajomą wytatuowaną twarz. Wala klęczała przed nią.

– Ocknęłaś się?

Seichan nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Kobieta z białymi włosami przeniosła spojrzenie na Kena.

– Jesteś entomologiem. Na jakim ona jest etapie?

Skrzywił się.

– Ból sugeruje, że larwy zaczynają drugie linienie – odparł.

– Co oznacza, że prawdziwe cierpienie dopiero się zacznie.

Seichan nie mogła pohamować drżenia, gdy usłyszała te słowa.

Ken popatrzył na nią ze współczuciem. Gdyby miała wolne ręce, uderzyłaby go w twarz. Nie chciała litości, od nikogo.

– Ma jeszcze dzień – dodał. – Potem trzecie instary zaczną migrować w kości.

Wiedziała, co to oznacza.

Wala spojrzała na jej brzuch.

– A dziecko?

Profesor pokręcił głową.

– Nie wiem.

Błękitne jak lód oczy z namysłem spojrzały na Seichan.

– Ocenimy jej stan, gdy wylądujemy w Japonii. Cięża może się okazać pożyteczna dla planów Fenikkusu Laboratories. Jeśli tak, przybędę z trzema zdobyczami, a nie tylko z dwiema.

Wala wyprostowała się i spojrzała na nich z góry.

Zanim zdążyła się odwrócić, z ogona samolotu przybiegł jakiś mężczyzna.

– Obserwatorzy zidentyfikowali łódź podwodną. Właśnie opuściła wyspę i przecina płycizny.

Wala zacisnęła pięści.

– Wiedziałam, że ten szczer znajdzie jakiś sposób, żeby uciec z tonącego okrętu.

Gray...

Seichan całym sercem uchwyciła się tej nadziei.

– To mogą być nasi – zaznaczył mężczyzna.

– Bez znaczenia. – Wala wskazała tył samolotu. – Ile beczek nam zostało?

– Dziesięć.

Zakręciła ręką w powietrzu.

– Zawróć i otwórz właz. Zrzucimy połowę ładunku, żeby ich zmiękczyć, a potem zatoczmy krąg i zrzucimy resztę.

– *Hai!* – Mężczyzna pobiegł do kokpitu, żeby przekazać rozkazy.

Wala znów popatrzyła na Seichan.

– Wyspę otaczają kilometry płytkich wód. Nie mają dokąd uciec, będziemy ich widzieć jak na dłoni.

Nadzieja zaczęła się rozwiewać.

Kobieta z białymi włosami odgadła jej rozpacz.

– Nie ma obawy, będziesz z pierwszego rzędu oglądać śmierć ojca swojego dziecka.

## Godzina 6.32

Gray przeklinał nowy dzień.

Trzymał ręce na oparciu fotela sternika. Łódź podwodna sunęła nisko nad rafami. Ławice ryb umykały jej z drogi, ich łuski odbijały jasność porannego słońca.

Ten miniaturowy okręt podwodny został specjalnie zaprojektowany do pływania w takich płytkich wodach, ale to nie zmieniało faktu, że komandor czuł się piekielnie odsłonięty.

– Jaką mamy głębokość?

Sternik, Nakamura, mówił po angielsku.

– Trzydzieści metrów.

Gray wiedział, że muszą znaleźć co najmniej dwustumetrową głębię, żeby ukryć się w cieniach. Nie mógł się powstrzymać od ciągłego spoglądania w górę i sternik odgadł, co go dręczy.

– Niedaleko stąd jest głęboki rów, z którego zwykle korzystamy, żeby pozostać w ukryciu – powiedział. – Jakies dziesięć kilometrów przed nami.

Idealnie.

– Zabierz nas tam jak najszybciej.

– *Hai.*

Aiko stała obok niego. Wciąż miała karabin, ale teraz zarzucony na ramię. Nie musieli zastraszać członków załogi. Niedawni współpracownicy próbowali ich zabić, więc bez wahania przeszli na drugą stronę.

Chyląc głowę pod niskim sufitem, podszedł Palu, który przez dwadzieścia minut zajmował się opatrywaniem trzech pokąsanych mężczyzn. Obandażował ich zakrwawione kończyny i nakleił gaziki na rany na plecach i brzuchach.

– Jak się trzymają? – zapytała Aiko.

Hawajczyk się skrzywił.

– Stracili dużo krwi. Tua jest bardzo blady. Ma pierwsze objawy wstrząsu.

Aiko zwróciła się do Graya:

– Do Midway jest sto trzydzieści kilometrów. Nawet z maksymalną prędkością dotrzemy tam za siedem, osiem godzin.

Zerknęła przez ramię na mężczyzn. Łatwo było odczytać jej myśli.

Nie wytrzymają tak długo.

Gray też się tego obawiał.

– Kiedy się stąd oddalimy, możemy zaryzykować wysunięcie anteny i wyślemy sygnał do bazy na Midway. Zorganizują transport powietrzny.

Palu pokiwał głową. Mrużąc oczy, patrzył na rozciągające się przed nimi rafy.

– Lepiej nie czekajmy zbyt długo.

Czując presję czasu, Gray spojrzał tam, gdzie patrzył Hawajczyk.

– Pięknie tu – mruknął Palu ze smutkiem, jakby rozmyślał o tym, co już zostało bezpowrotnie stracone. – Niedługo powinniśmy wejść na wody Papahānaumokuākea.

Gray rozpoznał nazwę obszaru chronionego otaczającego te odległe wyspy. Nad jasnymi wodami sunęła ciemna chmura, jakby odzwierciedlając ponury nastrój Hawajczyka.

Komandor o parę sekund za późno zrozumiał, co to takiego.

Chmura poruszała się zbyt szybko, zmierzając prosto w ich stronę.

Aiko chwyciła go za ramię.

– Samolot.

Rzucił się do przodu.

– W lewo! Szybko!

Sternik zareagował natychmiast. Przekręcił koło, ustawiając stery w przeciwnych kierunkach – jeden unosząc, drugi opuszczając, żeby ostro skręcić. Łódź mocno się przechyliła, rzucając wszystkich w bok.

Kowalski jęknął z tyłu. Po nagłym manewrze poznał, że są w kłopotach.

Gray patrzył przez szklany dziób na przemykający nad nimi cień. Przez warstwę wody dostrzegł na niebie kształt krzyża.

Zdecydowanie samolot.

Ale czy wrogi?

Uzyskał odpowiedź na to pytanie, gdy grad ciemnych przedmiotów runął do morza na prawo od nich. Kiedy cień samolotu odpłynął, w świetle słońca ukazały się pomarańczowe beczki.

– Trzymać się! – ryknął Gray.

Łodzią wstrząsały kolejne wybuchy. W burtę uderzały kawałki koralowców. Pochylali się coraz głębiej. Gray wstrzymał oddech, błagając w duchu, żeby nie obrócili się kilem do góry. Jeśli do tego dojdzie, klapy balastowe otworzą się pod nimi i pójdą na dno.

Gdy wybuchy ucichły, łódź się wyprostowała.

Komandor odetchnął z ulgą.

Ale wciąż groziło im niebezpieczeństwo.

Ciśnienie uszkodziło uszczelkę pomiędzy stożkiem dziobu i kadłubem. Do wnętrza sączyła się woda. Jeszcze bardziej niepokojące było wyraźne pęknięcie w szkłe dziobu. Stożek wytrzymał, lecz jeśli nastąpi kolejny atak...

Gray przeszukał wzrokiem wodę. Po sterburcie morze zniknęło, przysłonięte przez wzbity muł i odłamki koralu. Spoglądał we wszystkie strony, wypatrując powracającego czarnego cienia; nie wiedział, skąd nadleci, ale nie miał wątpliwości, że to nastąpi.

Byli łatwym celem.

– Jak daleko do tego rowu? – zapytał sternika.

– Jeszcze osiem kilometrów.

Za daleko.

Nie zdążą dotrzeć do mrocznej kryjówki, samolot będzie szybszy.

Gray wciąż się rozglądał – szukając nie wroga, ale jakiegoś rozwiązania.

– Może powinniśmy wrócić na wyspę – zasugerowała Aiko. – I ukryć się w tunelu, dopóki niebezpieczeństwo nie przeminie.

Pokręcił głową.

Nawet jeśli zawrócą i w porę dotrą do schronienia, nie podobała mu się myśl, że mogą tam utknąć na zawsze. Wystarczyłoby kilka dobrze ulokowanych ładunków,

a zostaliby pogrzebani w grobie, który sami by sobie wybrali. Ale jej słowa podsunęły mu pewien pomysł.

Położył rękę na ramieniu sternika.

– Zapomnij o rowie. Płyn na południowy zachód. – Wskazał kierunek. – Pełną mocą.

Odwrócił się w stronę Palu, dziękując mu w milczeniu.

Skonsternowaną twarz Hawajczyka nagle rozjaśnił uśmiech.

– Jak już mówiłem, jesteś *lolo buggah*.

## Godzina 6.49

– Gdzie oni się podziali? – mruknęła Wala.

Jej frustracja była dla Seichan źródłem zadowolenia. Wiedźma patrzyła przez okno obok niej, najwyraźniej chcąc się rozkoszować jej bólem w chwili, kiedy łódź podwodna zostanie zniszczona.

Tylko że sytuacja się zmieniła.

Ocieężały samolot potrzebował zbyt dużo czasu, żeby zatoczyć krąg i podjąć poszukiwanie celu w jasnej wodzie. Gdy zawrócili, w morzu rozpościerała się chmura mułu wzbitego przez pierwsze bombardowanie. Nie było wiadomo, czy bomby zniszczyły łódź podwodną. Być może zatonąła i spoczywała na dnie pod tą chmurą.

Wala na wszelki wypadek rozkazała przeszukać trasę prowadzącą do rowu. Niczego nie znaleźli i wydawała się coraz bardziej przekonana, że cel został zniszczony. Mimo to kazała zawrócić i sprawdzić, czy łódź nie popłynęła ku wyspie.

Znów ani śladu.

Później Wala stanęła przed Seichan z rękami na biodrach. Miała zadowoloną minę.

– Jeden z głowy – odezwała się chełpliwie, przenosząc spojrzenie z twarzy Seichan na jej brzuch. – Jeszcze dwoje.

– Cel zlokalizowany – zameldował pilot przez radio. – Uciekają na południowy zachód.

Gdy samolot skręcił w tamtą stronę, rysy Wali stwardniały. Zakłęła w ojczystym języku i odwróciła się w stronę okna.

– Dokąd oni płyną, do cholery?!

Seichan też spojrzała w tę stronę. Zignorowała wybuch bólu, uśmierzając go widokiem zirytowanej wiedźmy. Podchwyciła spojrzenie Kena i wyczytała w nim nadzieję. Nie chciała jej podzielać. Jeszcze nie. Być może Graya nawet nie ma na pokładzie tej łodzi podwodnej.

Nagle Wala odepchnęła się od okna, z oczami szeroko otwartymi z furii. Chwyciła najbliższego strażnika i pchnęła go w stronę kokpitu.

– Każ pilotowi na nich zanurkować. Natychmiast! Niech podejdzie jak najbliżej. Mężczyzna zrobił zaskoczoną minę, ale skinął głową i pobiegł do kokpitu.

Ona tymczasem popędziła do otwartego luku, gdzie na zrzucenie czekało ostatnie pięć beczek.

– Nie pozwolę tym sukinsynom tam dotrzeć – wymamrotała po rosyjsku, co świadczyło o jej silnym wzburzeniu.

Seichan udawała, że jej nie słyszy ani nie rozumie, ale słyszała i rozumiała. Zaciekawiona, skupiła pełną uwagę na oknie. Słońce raziło ją w oczy, gdy wypatrywała tego, co tak bardzo rozgniewało Walę.

– Spójrz! – krzyknął Ken. – Z przodu.

Zmrużyła oczy w blasku... i też to zobaczyła.

Półtora kilometra dalej na falach kołysała się flotylla tratw i wysepek. Ciągnęły się po horyzont. Gdy samolot mknął w tamtym kierunku, dziwne morze zdawało się nie mieć końca.

– Co to jest? – zapytała Seichan.

## Godzina 6.54

Palu podsunął Grayowi pomysł, możliwą kryjówkę na otwartym oceanie. Na pokładzie katamaranu Hawajczyk mówił o niebezpieczeństwie czającym się na skrajach morskiego rezerwatu, zagrażającym wyspom i otaczającemu je wodnemu życiu.

Gray już widział pierwsze dowody: leżącą na dnie czarną oponę, płataninę foliowych torebek wirujących jak skupisko białych wodorostów, zgubioną sieć rybacką zahaczoną o koralowce.

Prosto przed sobą mieli ogromną kryjówkę.

Znana jako Wielka Pacyficzna Plama Śmieci, była większym od Teksasu zbiorowiskiem zegnanych tu przez prądy oceaniczne pływających odpadków. Na

powierzchni unosiły się wysepki nagromadzonych śmieci: plastikowe butelki i torby, kubki styropianowe, beczki z platform wiertniczych, skrzynie ze statków. Ale prawdziwe niebezpieczeństwo czyhało w dole. Do głębokości kilku metrów wodę przyciemniała toksyczna zawiesina drobin rozłożonego przez światło słoneczne plastiku.

Zanieczyszczenia groziły klęską ekologiczną, ale im oferowały nadzieję na schronienie przed nadciągającą burzą.

Gdy płynęli w kierunku celu, Gray czuł, że czas ucieka. Przykucnął obok sternika. Oczywiście nie mógł tego zobaczyć, ale wyobrażał sobie nadciągający cień samolotu.

Wbił palce w oparcie fotela.

– Już prawie – szepnęła Aiko, jakby się bała, że wróg ich usłyszy.

Palu skrzywił się z niezadowolenia.

– Nie mów, żeby nie zapeszyć – szepnął.

Stożek dziobu miniaturowej łodzi podwodnej celował ku ciemniejszej wodzie, gdzie pole śmieci przysłaniało słońce.

I zaraz, miejmy nadzieję, przysłoni nas.

Gray wstrzymał oddech, błagając silniki o więcej mocy. W końcu łódź wsunęła się pod grubą warstwę kawałków plastiku. Świat natychmiast ściemniał. Przed nimi ciemniejsze łaty oceanu oznaczały śmieci piętrzące się na powierzchni.

Chrapliwie wypuścił powietrze.

Udało się!

Nagle rufą wstrząsnął stłumiony huk. Łódź na moment zadarła dziób, gdy dotarła do nich fala uderzeniowa.

Gray zatoczył się na fotel sternika.

– Ostro na sterburtę! – ryknął i wskazał cętkowaną cienistą łatę pod tratwą śmieci. – Pełna moc!

Sternik wprawnie zrobił zwrot, gdy następna bomba przebiła się przez warstwę zanieczyszczeń i wybuchła jak gwiazda. Padł na nich ciemniejszy cień, kiedy samolot przelatywał nad polem odpadków. Za rufą eksplodowały kolejne bomby, ale znacznie dalej.

Strzelają na ślepo, pomyślał Gray.

Co więcej, bomby wzbiły piasek i muł, jeszcze bardziej zmniejszając widoczność.

Chwilę później w oceanie zapadła cisza, co oznaczało zakończenie nalotu.

Ale czy nie zawrócą?



Wiedząc, że muszą się gdzieś ukryć, Gray wypatrzył duży dywan śmieci i zalegający pod nim mroczny cień. Wskazał go sternikowi.

– Płyn tam i zatrzymaj się.

Sternik skinął głową. Zwolnił i zawisł pod ochronnym dywanem. Spodnią stronę tworzyła płatanina sieci. Kilka zwisało jak hiszpański mech.

Dziób musnął jedną taką girlandę. Gdy się obróciła, zobaczyli uwikłaną w niej martwą fokę. Była obrana z mięsa niemal do czysta, zostały tylko gumowate płetwy i kości.

Aiko ze świstem wciągnęła powietrze.

Nawet Gray zadrżał na ten widok.

– To tak zwane sieci widma. – Palu wskazał szczątki foki. – Do Plamy trafiają setki ton sieci. Niesione przez prądy, same kontynuują połów. Chwytają i więżą zwierzęta, po czym przynoszą tutaj swój upiorny ładunek.

Gray patrzył na oplątaną sieciami masę śmieci i kości.

Miejmy nadzieję, że nie podzielimy tego losu.

## Godzina 7.12

Seichan z przyjemnością patrzyła na rozdrażnioną Wale, która sztywnym krokiem wracała z ogona samolotu. Drzwi ładowni już się zamykały po zrzuconiu z pokładu ostatnich beczek.

– Myślisz, że przeżyli? – zapytał szeptem Ken, gdy się zbliżała.

Wystarczyło jedno spojrzenie na twarz wiedźmy, żeby wyczytać z niej odpowiedź. Ponura Wala patrzyła spode łba. Nad jej głową wisiały burzowe chmury. Nawet tatuaż stał się jakby wyraźniejszy.

– Tak sędzę – odszepnęła Seichan.

Wala zatrzymała się i zajazgotała po japońsku do kogoś z załogi:

– Każ pilotowi lecieć do Tokio. Chcę wylądować przed wschodem słońca.

Ken pochylił się ku Seichan.

– To koniec? Poddają się?

– Nie sędzę, żeby mieli wybór.

– Jeszcze słowo, a każeć was zakneblować – zagroziła Wala, usłyszawszy ich szepty.

Seichan wyteńczyła siły, żeby wzruszyć obolałymi ramionami.

– Wygląda na to, że się pomyliłaś.

– W związku z czym?

– Z tym, że jeden z głowy, jeszcze dwoje – odparła Seichan, przypominając jej słowa. – Coś mi mówi, że twój wynik znowu wynosi zero.

Wala zacisnęła pięść, odwróciła się i nie mogąc się pohamować, z półobrotu uderzyła ją w usta.

Seichan trzasnęła głową w kadłub. Poczowała smak krwi, bo pięść rozcięła jej wargę. Wybuchnął ból, ale był niczym w porównaniu z tym, który już w niej szalał. Cios nie przygasił ani jej rozbawienia, ani pewności.

Parsknęła śmiechem przez zakrwawione usta.

Wala z gniewną miną poszła do kokpitu.

Seichan wciąż się śmiała; nie była w stanie się powstrzymać. Tylko jedna osoba pomyślałaby o szukaniu ratunku w śmietniku.

Teraz wiedziała na pewno, kto żyje i jest na pokładzie tamtej łodzi.

Ojciec jej dziecka.

## Godzina 8.22

– Widzisz coś? – zapytał Kowalski.

Gray oglądał niebo przez peryskop. Odczekał godzinę, zanim nabrał pewności, że samolot opuścił ten obszar. Wrogowi albo skończył się arsenał bomb, albo czas. Wiedział, że samolot nie będzie krążyć tu w nieskończoność, nie bez ryzyka wykrycia. Płonąca wyspa przyciągnie czyjąś uwagę, najpewniej amerykańskiego wojska.

– Niebo czyste ze wszystkich stron – oznajmił. Odsunął się od peryskopu, który został wysunięty nad tratwę śmieci, i zwrócił się do załogi: – Postawmy antenę.

Spojrzał na Palu siedzącego ze swoim kuzynem Makaio. Obaj z niepokojem patrzyli na Tuę, który drżał i miał zsiniałe usta. Ból, utrata krwi i przerażenie dały mu się poważnie we znaki.

Aiko stała obok kulącego się pod kocem Kowalskiego.

– Co zrobimy po odstawieniu ich do szpitala na Midway? – zwróciła się do Graya.

Komandor, który widział tylko jedną opcję, popatrzył na Japonkę.

– Przeniesiemy walkę na teren wroga.

Fujikawaguchiko, Japonia

9 maja, godzina 5.05 czasu miejscowego

– Przykro mi, *Jōnin* Ito.

Takashi siedział przy stole *kotatsu*. Nie czuł ciepła węgla ukrytych pod kołdrą okrywającą ramę. Obejmował dłońmi czarkę zielonej herbaty z prażonym brązowym ryżem, chłodną i zapomnianą.

Trwał tak z pochyloną głową, nie zwracając uwagi na twarz bladej kobiety na ekranie laptopa. Słowa, które przed chwilą od niej usłyszał, były jak nóż wbity w jego serce.

„Ci łajdacy zabili twojego wnuka”.

Chciał, żeby to zdanie wsączyło się w jego kości i tam osiadło, zanim on się odezwie. Kobieta opowiedziała mu o nocnej napaści na wyspę, o odwadze Masahira, o przebiegłości człowieka, który odebrał życie jego wnukowi. Szczegóły nie miały znaczenia; liczył się tylko wynik.

Czy jestem przeklęty? – zastanawiał się, jak wiele razy w ciągu swojego długiego życia.

Stracił ukochaną Miu w strzelaninie w ciemnym tunelu. Lata później jego druga żona – miła kobieta o słodkich ustach – zmarła podczas porodu, dając mu jedyne dziecko. Nazwał go Akihiko, czyli jasny księżę, mając nadzieję, że taki dar zrównoważy jego tragiczne przyjście na ten świat. Jak on go kochał, jak bardzo kochał tego młodego człowieka, prostego jak trzcina, prześcigającego inteligencją oboje rodziców. Wreszcie Akihiko dał mu jedyne dziecko i spełniwszy ten obowiązek, rok później wraz z żoną zginął w wypadku samochodowym.

Takashi wychowywał Masahira jak rodzony syna. Ale chłopiec zawsze nosił w sobie gorycz, miał mrok we krwi, jakby tragedia rodziny zapuściła korzenie w jego sercu. Mimo wszelkich starań Takashiego – łagodnych i stanowczych – nie połączyła ich głęboka więź. Zawsze podchodzili do siebie z rezerwą.

Ale jedno było niezaprzeczalne.

Kochał wnuka.

Wreszcie uniósł głowę i napił się herbaty. Codziennie budził się o czwartej rano, żeby o tej wczesnej porze medytować przy herbacie, patrząc na wschód słońca nad górą Fudzi ze swojego gabinetu. Rytuał przygotowywał go do spotkania z nowym dniem.

Nawet tym.

– *Ichi-go ichi-e* – szepnął nad krawędzią czarki.

Stare powiedzenie przypisywane szesnastowiecznemu mistrzowi ceremonii herbaty, Senowi no Rikyū, w przybliżeniu oznaczało „Jeden czas, jedna szansa”. Było przypomnieniem, że należy doceniać tych, z którymi krzyżują się nasze ścieżki, ponieważ mogą się więcej nie skrzyżować. Było świadectwem przemijalności życia.

Takashi zbyt dobrze poznał tę lekcję.

Gdy herbata zwilżyła mu usta i rozluźniła język, spojrzął nad brzegiem czarki. Na oszronionych zboczach Fudzi skrzyło się zimne słońce wczesnej wiosny. Światło odbijało się od kryształków lodu i stawiało je w ogniu.

Jedno i drugie przemawiało do serca Takashiego.

Lód i ogień.

Pozwolił, żeby serce pozostało zimne, podczas gdy furia rozgrzewała jego krew.

– Gdzie jest ten łajdak, który zabił mojego wnuka? – zapytał, wciąż z czarką przy ustach.

– Nie wiem – odparła kobieta.

Spojrzał na ekran, żeby zobaczyła ogień płonący w jego oczach.

Wala Michajłowa skłoniła głowę, uznając jego prawo do gniewu.

– Ale wiem, gdzie będzie. Mam jego kobietę. – Uniosła wzrok, jej oczy błysnęły. – I jego nienarodzone dziecko.

Takashi odstawił czarkę na stół. Wyobraził sobie uśmiech Miu, jej rękę na swoim policzku, jej usta na swoich wargach.

– Przyjdzie po nich – powiedział.

– *Hai*. – Usta Wali zacisnęły się w twardą linię. – Poza tym ona jest chora, zarażona pasożytami przez to, co wypuściliście na Hawajach.

Wyprostował się, znajdując satysfakcję w tej miarce zemsty wywartej przez wnuka.

– Więc tak – kontynuowała Wala – przybędzie po nią, po dziecko, ale również po lekarstwo dla niej.

– W takim razie się rozczaruje.

Takashi patrzył w stygnącą herbatę. Dotknął lodu w swoim sercu i wyznał sekret, którym nigdy się nie podzielił z wnukiem. Po dziesięcioleciach badań jedno stało się jasne.

– Nie ma lekarstwa – powiedział.

CZEŚĆ PIĄTA  
**POCZWARKA**

Σ

Wieliczka, Polska

9 maja, godzina 0.08 czasu miejscowego

– Jeśli nadal będziemy chodzić po średniowiecznych budynkach, wynajmę zbroję, żeby lepiej do nich pasować – powiedział Monk.

Jego żona uśmiechnęła się, jednocześnie próbując zasłonić ręką ziewnięcie. Wszyscy siedzieli wokół stołu w małej bibliotece naukowej, mieszczącej się w północnej wieży urokliwego trzynastowiecznego zamku. Wszędzie wokół piętrzyły się regały, tak blisko, jakby nad ich ramionami spoglądały na stare mapy rozpostarte na stole.

Kat przetarła zmęczone oczy.

Minęła północ i wszystkim brakowało snu. Po przeanalizowaniu kilku szczegółów w Gdańsku opuścili wybrzeże Bałtyku i polecili na południe Polski. Wylądowali w Krakowie cztery godziny temu. Gdy jeszcze byli w powietrzu, najnowszy członek ich zespołu – doktor Damian Śląski – skontaktował się z kierownictwem kopalni soli w Wieliczce i załatwił im wstęp do podziemnego labiryntu poza godzinami zwiedzania.

Niestety, nie byli pierwszymi, którzy wystosowali taką petycję. Śląski dowiedział się, że podziemny kościół – kaplica Świętej Kingi – został wynajęty na prywatne nabożeństwo. Najwyraźniej nie należało to do rzadkości. Co niedzielę w kaplicy odprawiano msze, odbywały się tam śluby, a nawet koncerty.

Gdy Śląski dowiedział się o nocnym nabożeństwie, zaproponował, żeby poczekać na zakończenie i dopiero wtedy ruszyć do kopalni. Kat, która nie chciała tracić czasu, z początku była temu przeciwna. Aby ją przekonać, naukowiec zaproponował krótką wycieczkę.

Później zrozumiała, że była to mądra rada.

Po wylądowaniu w Krakowie po dwudziestu minutach jazdy znaleźli się w kompleksie kopalni. Zamiast pójść prosto do biura turystycznego, Śląski zaprowadził ich

kilkaset metrów dalej, do miejskiego muzeum. Muzeum Żup Krakowskich mieściło się w fortyfikacjach zwanych Zamkiem Żupnym. Przez ponad siedem stuleci średniowieczny kompleks budynków był siedzibą zarządu kopalni. Rada nadzorowała nie tylko kopalnię soli w Wieliczce, ale również zlokalizowaną w pobliżu kopalnię w Bochni.

Wydobywanie soli w dawnych czasach było wielkim przedsięwzięciem. Śląski powiedział, że zyski z kopalni stanowiły jedną trzecią dochodów skarbu królestwa. Dorzucił ciekawostkę, że oznaczające zapłatę słowo „salarium” pochodzi ze starożytnego Rzymu, gdzie z początku żołnierze dostawali żołd w postaci garści soli.

Od niego Kat dowiedziała się o skali przedsięwzięcia... i o czekających ich wyzwaniach.

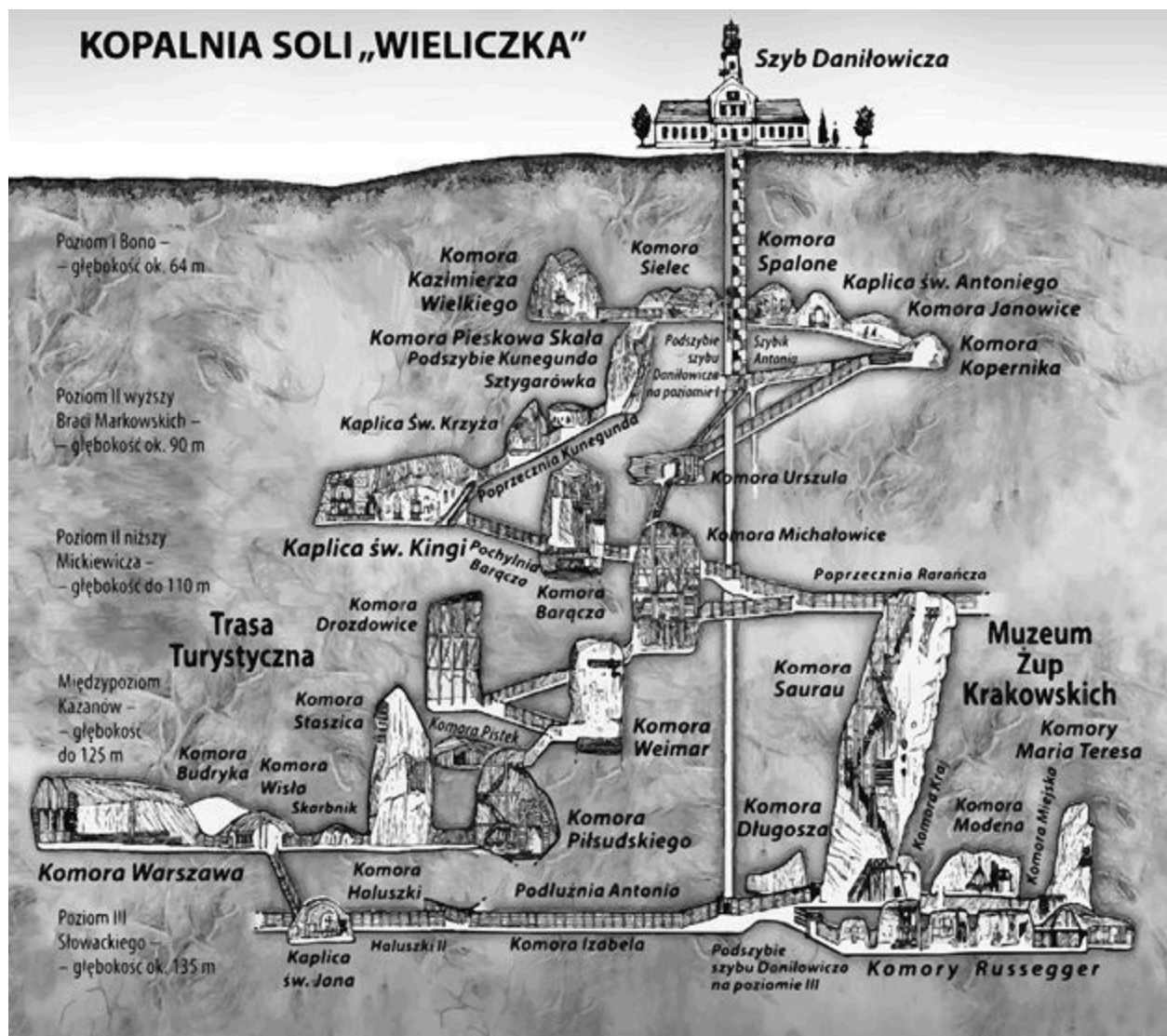
Dlatego chciał, żebyśmy najpierw przyszli tutaj, pomyślała.

Patrzyła na mapy, niektóre z czasów założenia kopalni. Śląski wybrał je z bogatych zbiorów kartograficznych zawierających ponad cztery tysiące map. Znaczna część dotyczyła górnictwa. To tutaj prowadził dla swojego muzeum badania dotyczące złóż bursztynu w regionie.

Poczynając od najstarszych map, ilustrował historię kopalni, warstwa po warstwie powiększającej labirynt tuneli i komór. Już sama wielkość tego miejsca zniechęcała.

– Pokażę je wam z innej perspektywy. – Śląski rozłożył nowszą mapę. – Ta została sporządzona przez mojego przyjaciela Mariusza Szelerewicza. Oferuje zwiedzającym kopalnię wizję tego, co znajduje się pod ziemią.





Kat przyglądała się labiryntowi chodników, szybów i komór, które tworzyły kompleks.

Elena przysunęła się bliżej, patrząc przez okulary. Mimo późnej pory tryskała energią, oczy błyszczały jej z podekscytowania, czasami cmokała na widok kolejnej mapy. Wyraźnie była w swoim żywiole.

Sam, przeciwnie, apatycznie siedział po drugiej stronie stołu i głowa mu się kiwała, gdy walczył z sennością. Dla entomologa historia kartografii i kopalnictwa musiała być mało pociągająca – na pewno nie na tyle, żeby przeważać nad zmęczeniem.

Dyrektorka Biblioteki Kongresu przeciągnęła palcem po mapie.

– Rozumiem, że łatwo się tam zgubić – powiedziała ze zmartwieniem w głosie.

– Owszem – potwierdził Śląski. – I ta mapa ukazuje tylko trasę turystyczną na górnych poziomach kopalni. Najniższy dostępny dla zwiedzających poziom znajduje się na głębokości stu metrów. A kopalnia jest trzy razy głębsza.

Jęknęła cicho i zbladła.

– Trzysta metrów... – Elenie nie podobała się myśl o wyprawie tak daleko pod ziemię.

Następne słowa Śląskiego nie podniosły jej na duchu.

– Wiele obszarów kopalni jest niedostępnych z powodu zawałów i zalania.

Kat uniosła brwi.

– Zalania? – zdziwiła się.

Polak przytaknął.

– Gdy prace wydobywcze docierały do zwierciadła wód podziemnych, na najniższych poziomach powstało wiele jezior i stawów.

Kat zaczęła podzielać złe przeczucia Eleny.

Z każdą chwilą było gorzej.

A Śląski jeszcze nie skończył.

– Trasa turystyczna ma około czterech kilometrów, ale łączna długość chodników w kopalni wynosi prawie czterysta. – Położył dłoń na mapie przyjaciela. – Tutaj mamy przedstawiony tylko jeden procent kopalni.

Monk westchnął i pochylił się na krześle.

– Zdecydowanie widzimy to teraz z innej perspektywy, tak jak pan mówił.

Elena pokręciła głową.

– Czy w ogóle możemy mieć nadzieję na odkrycie, gdzie Smithson znalazł swój bursztyn?

– A jeśli nie mamy racji co do tej kopalni? – mruknął Sam i ziewnął. – Smithson mógł go znaleźć w sąsiedniej kopalni. Albo zupełnie gdzie indziej.

Kat nie chciała w to wierzyć.

– Już w dziewiętnastym wieku turyści tłumnie zwiedzali Wieliczkę – powiedział Śląski. – Górnicy tolerowali ich obecność, ale w innych kopalniach było inaczej.

– Ale nawet jeśli trafiliśmy na właściwe miejsce, to gdzie rozpocząć poszukiwania? – wtrąciła Elena. – Chodzi mi o to, ile komór jest na dole.

– Ponad dwa tysiące.

Kat zamknęła oczy, przytłoczona wielkością kopalni. Poza tym nie opuszczało jej wrażenie, że pominęła coś ważnego. Podobne odczucia towarzyszyły jej w Gdańsku.

Czego nie dostrzegam?

Sfrustrowana i wyczerpana, nie mogła określić źródła tego uczucia.

Śląski wskazał ręką mapy na stole.

– Jak widzicie, wszystkie chodniki i komory są drobiazgowo ponumerowane albo opatrzone nazwami. Od pierwszych wyrobisk blisko powierzchni po późniejsze na większej głębokości.

Kat zauważyła, że pokolenia kartografów przekazywały te informacje przez stulecia. Z jakiegoś powodu to znów podsyciło dręczące ją wrażenie, ale na tym koniec.

Polak wzruszył ramionami.

– Jeśli ten wasz Smithson zostawił jakąś wskazówkę...

Kat wyprostowała się tak gwałtownie, że wszyscy skupili na niej uwagę.

Czyżby to było to? – zastanawiała się.

– Kochanie, widzę, że masz tę swoją minę – zwrócił się do niej Monk.

Wyjęła telefon satelitarny, postukała w ekran i wczytała przysłane przez Paintera zdjęcia z krypty Jamesa Smithsona. Przejrzała je, zanim wylądowali w Gdańsku. Dyrektor był przekonany, że w nagrobku może być ukryta wskazówka. Zakreślił płaskorzeźby węża, kamienia i skrzydlatego owada, jakby dawał do zrozumienia, że Smithson użył tych symboli do zasugerowania, co jest schowane w jego trumnie.

Podczas lotu do Krakowa rozmyślała o znaczeniu muszli znajdującej się obok tych trzech symboli. Rozważała pomysł, że Smithson kazał je umieścić jako zawołowaną wskazówkę prowadzącą do kopalni, w której eksploatowano złoża soli powstałe podczas wysychania oceanu Tetydy.

Muszla symbolizowała pradawne morze.

W końcu odrzuciła tę myśl jako zbyt fantastyczną. Zresztą nawet gdyby miała rację, w czym to by pomogło? Już samo nazwisko Smithsona znalezione na liście odwiedzających kopalnię świadczyło, że są na właściwym tropie.

Ale wzmianka Śląskiego o liczbie komór – ponad dwóch tysiącach – przypomniała jej o tajemnicy otaczającej grób Smithsona, o błędzie znalezionym na nagrobku, bawiącym i wprawiającym w zakłopotanie historyków.

Wczytała zdjęcie inskrypcji na marmurowej krypcie.

*Pamięci szacownego  
Jamesa Smithsona,  
członka  
Towarzystwa  
Królewskiego  
w Londynie,  
zmarłego w Genui  
26 czerwca 1829  
w wieku 75 lat*

– Spójrzcie na to – powiedziała i przeczytała trzy ostatnie wersy z datą śmierci Smithsona. – „...zmarłego w Genui dwudziestego szóstego czerwca w wieku siedemdziesięciu pięciu lat”.

– O co chodzi? – zapytał Sam.

Elena oczywiście natychmiast zrozumiała. Zdjęła okulary, odsłaniając wielkie oczy.

– To nieprawda. Data śmierci jest poprawna, ale James Smithson urodził się piątego czerwca tysiąc siedemset sześćdziesiątego piątego.

Monk policzył w pamięci.

– To by znaczyło, że umarł w wieku zaledwie sześćdziesięciu czterech, a nie siedemdziesięciu pięciu lat.

Sam uniósł brwi.

– Ale co oznacza ta różnica jedenastu lat?

– Miejmy nadzieję, że ma znaczenie na skalę światową – odparła Kat. – Historycy są zaskoczeni, że ukochany bratanek Smithsona popełnił tak rażący błąd. A jeśli to nie pomyłka? Jeśli Smithson kazał wyryć na grobie błędną datę, podobnie jak węża, kamień i osę?

– Jako wskazówkę – dodał Monk.

Kat przeniosła spojrzenie na Śląskiego.

– Powiedział pan, że w czasie zamknięcia kopalni było tam ponad dwa tysiące komór. Zakładam, że nawet wtedy, kiedy odwiedzał ją Smithson, liczba musiała być podobna, plus minus parę setek.

– Z pewnością.

Monk zrozumiał.

– Kat, myślisz, że Smithson zostawił na swoim grobie numer komory, jak adres wskazujący miejsce, gdzie znalazł swoją bryłę bursztynu?

– Jeśli od daty jego śmierci odejmiesz siedemdziesiąt pięć, otrzymasz rok tysiąc siedemset pięćdziesiąty czwarty, a wiemy, że nie w tym roku się urodził.

– Może liczba wskazuje komorę albo chodnik w kopalni – powiedziała Elena głosem ściszym z przejęcia.

Wszyscy spojrzeli na Śląskiego.

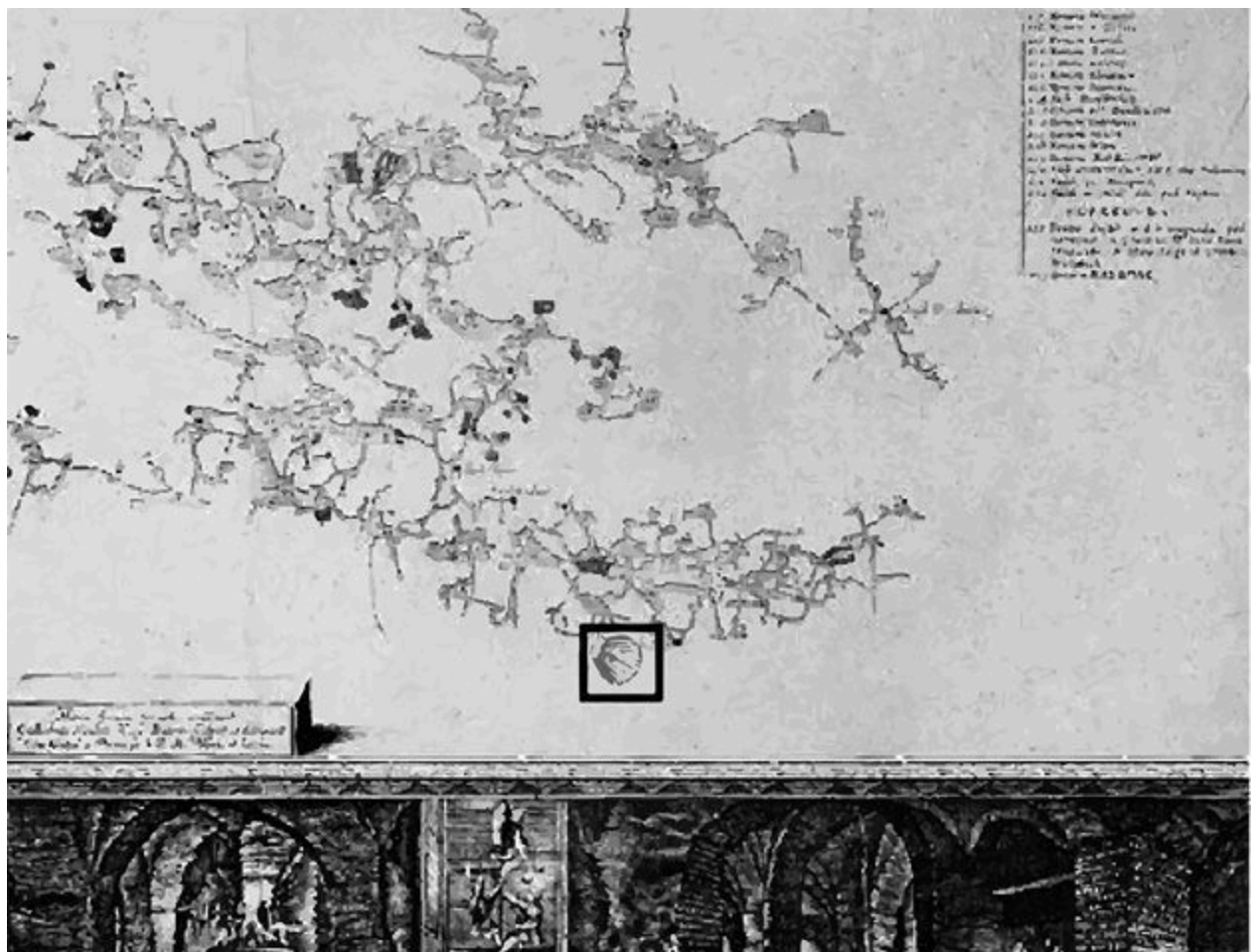
– Może pan pokazać nam na mapie, gdzie jest komora o numerze tysiąc siedemset pięćdziesiąt cztery?

– Naturalnie. – Polak odwrócił się i przysunął laptopa. – Mam skompilowane i skatalogowane takie informacje. To zajmie chwilę.

Po kilku sekundach stukania w klawiaturę na ekranie ukazała się znajoma mapa.

– Już pan ją nam pokazywał – zauważyła Elena. – W Gdańsku.

– Tak, to mapa autorstwa Wilhelma Hondiusa. Zaznaczyłem na niej komorę opatrzoną numerem tysiąc siedemset pięćdziesiąt cztery.



Pochylił się, żeby przeczytać odręczną legendę mapy.

– Ta część kopalni ma przypisaną nazwę. Z dość oczywistego powodu.

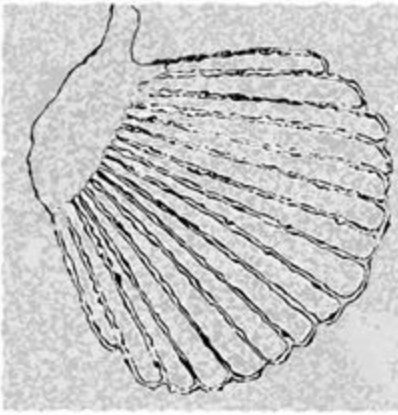
– Jak się nazywa? – zapytał Sam.

– Kaplica Muszli.

Kat głośno wypuściła powietrze, wyobrażając sobie dużą muszlę na nagrobku Smithsona.

Śląski powiększył podświetlony fragment.

– Jak powiedziałem, wybór nazwy jest całkiem oczywisty.



Na mapie widniały połączone chodniki wachlarzowato odchodzące od centralnej komory. Całość przypominała muszlę przegrzebka.

– To na pewno to miejsce – mruknęła Kat.

Sam nie był taki pewny.

– Dlaczego górnicy mieliby wycinać takie tunele? To nie wydaje się praktyczne.

Śląski wzruszył ramionami.

– Kiedy tam zejdziemy, wszystko stanie się jasne.

– Zatem chodźmy. – Kat spojrzała na zegarek. – Minęła pierwsza. Z pewnością msza już się skończyła.

Polak uniósł rękę.

– Najpierw ostrzeżenie. – Wskazał obraz na ekranie laptopa. – Kaplica Muszli może na mapie jest maleńka, ale w rzeczywistości jej powierzchnia wynosi kilometr kwadratowy. Większa część się zawaliła po tym, jak została porzucona.

– Dlaczego została porzucona? – zapytała Kat, zastanawiając się, czy mogło mieć to związek z tym, na co podobno natknęli się górnicy.

Śląski miał inne wyjaśnienie.

– Ta część kopalni została zalana. – Powiększył mapę i zakreślił część sąsiednich tuneli. – Teraz jest tam jeziorko.

Kat wyobraziła sobie wodę... i wielką muszlę leżącą na brzegu, jakby została wymyta.

– Mimo to musimy tam pójść – oznajmiła i spojrzała na pozostałych, sprawdzając, czy ktoś się sprzeciwi.

Elena nie kryła zaniepokojenia, ale pokiwała głową.

Decyzja zapadła i ruszyli w drogę. Poszli z zamku przez park w kierunku rozległej budowli widocznej między drzewami. Lampy oświetlały żółty budynek kryty

czerwoną dachówką z piętrzącą się nad nim wieżą. Była to stara wieża szybowa ulokowana nad prowadzącym do serca kopalni szybem Daniłowicza.

Nocne powietrze okazało się chłodne, więc wszyscy włożyli kurtki. W drodze przez park Kat sprawdzała, czy nie są śledzeni. Ci, którzy tropili ich w Gdańsku, nie pokazali się w Krakowie. Wcześniej o zamiarze lotu na południe Polski powiadomiła tylko Paintera i Jasona. Poprosiła dyrektora, żeby zachował te informacje w sekrecie, nawet przed amerykańskimi służbami wywiadowczymi.

Może to pomogło im zgubić ogon.

Mimo wszystko zachowała czujność.

W czasie rozmowy Painter podał jej najnowsze informacje dotyczące sytuacji na Hawajach. Chaos narastał i ustalono plan ewakuacji, chociaż nadal pracowano nad logistyką. Początek exodusu miał się rozpocząć za dwanaście godzin. Mieszkańcy wysp będą przesiedlani drogą lotniczą i morską na atol Johnston. Monumentalne przedsięwzięcie będzie nadzwyczaj skomplikowane, wymagające współpracy międzynarodowej, ale nikt nie śmiał czekać dłużej... jeśli chciał mieć nadzieję na opanowanie sytuacji i zapobieżenie rozprzestrzenieniu się os na cały świat.

Monk zwrócił uwagę na nastrój żony.

– Jeśli coś tu jest, znajdziemy to – obiecał jej.

Mam nadzieję, pomyślała.



Fujikawaguchiko, Japonia

9 maja, godzina 8.10 czasu miejscowego

To musi być to miejsce.

Seichan walczyła, przebijając się przez mgłę bólu, żeby zobaczyć cel podróży. Siedziała w ładowni lekkiego śmigłowca transportowego Fuji-Bell 204B, będącego japońskim wariantem amerykańskiej maszyny. Pokryty śniegiem stożek Fudzi wyraźnie rysował się na tle ciemnych chmur, jakby góra odpierała atak burzy.

Jezioro w dole odzwierciedlało tę bitwę.

Rozpoznała jezioro Kawaguchiko. Śmigłowiec opadał ku miasteczku leżącemu na jego brzegu. Próbowwała sobie przypomnieć jego nazwę, ale łoskot wirników dudnił jej w głowie, nie pozwalając się skupić.

Maszyna skręciła ku przedmieściom i ładownię zalało światło porannego słońca. Seichan zmrużyła oczy i patrzyła, chłonąc każdy szczegół.

Liny kolejki linowej ciągnęły się z miasteczka na wierzchołek sąsiedniej góry, skąd musiał się roztaczać oszałamiający widok. W dolnej partii zbocza nad czubkami drzew piętrzyła się wielokondygnacyjna stalowo-szklana pagoda. Odbijając i łamiąc światło słoneczne, wyglądała jak rzeźba z lodu i ognia.

Z kąta podejścia śmigłowca Seichan wywnioskowała, że właśnie tam zacierają. Przyjrzała się okolicy. Nowoczesna pagoda stała w samym środku grodzonego murem kwadratu o powierzchni jakichś czterystu hektarów. Otaczało ją kilkanaście mniejszych budynków, mających nie więcej niż jedno piętro, jakby nie chciały konkurować z połyskującą świątynią.

Śmigłowiec skierował się na lądowisko mrugające światłami. Seichan zobaczyła japoński ogród za pagodą, strumienie i wodospady wokół dużego stawu koi z pływającymi liśćmi nenufarów. Nad wodą wyginał się drewniany mostek prowadzący do maleńkiej herbaciarni na wysepce. W ogrodzie rosły klony, wiśnie i śliwy, i kępy

rozkołysanych bambusów. W kącie skalny ogródek z drzewkami bonsai okalał przestrzeń do medytacji, zasłaną zagrabionym piaskiem.

Seichan, świadoma czekającego ją wyzwania, próbowała wchłaniać spokój emanujący z tych ogrodów. Wciąż czuła na języku smak krwi z wargi rozciętej przez pięść Wali. Jej napastniczka siedziała obok pilota. Ignorowała ją przez pięć godzin lotu do Tokio, pozwalając jej na niespokojny sen. Seichan była wdzięczna za tę krótką chwilę wytchnienia. Lot z Tokio do miasta nad jeziorem trwał tylko dwadzieścia minut.

Przypuszczała, że tu nie zazna niczego poza bólem.

Nawet teraz czuła, że Ken Matsui przygląda jej się z sąsiedniego fotela, w milczeniu oceniając każdy jej grymas, drgnienie i sapnięcie. Minęły dwadzieścia cztery godziny od chwili, kiedy została zainfekowana. W tym czasie tysiące larw przeszły drugie linienie. Niedługo głodny legion zacznie migrować w jej kości, gdzie będzie kontynuować ucztę, jednocześnie obsiewając szpik swoimi cystowymi klonami.

Za dwadzieścia cztery godziny...

Gdy lądowali, w śmigłowiec uderzył podmuch wiatru. Płozy twardo spadły na lądowisko. Siła uderzenia wstrząsnęła Seichan na tyle mocno, żeby przebudzić zerującą w niej hordę. Ból wybuchł w jej brzuchu i promieniował w kończyny. Spróbowała zdusić cierpienie, ale to tylko pogorszyło sprawę. Ból wrócił z kończyn do brzucha, a potem znów się wycofał.

Niech to się skończy... błagam...

Nie skończyło się.

W pewnym momencie zemdląca. Ocknęła się, słysząc trzask pioruna i czując na twarzy lodowate krople deszczu. Leżała na plecach, przypięta do noszy na kółkach. Widziała niebo, w połowie sine i ciemne, w połowie słoneczne i błękitne. Nadciągała gnana zimnym wiatrem burza.

Nosze pomknęły ku otwartym stalowym drzwiom niskiego betonowego budynku. Wewnątrz zjechały po pochylni do podziemnego tunelu. Światłówki pod sufitem przemykały, gdy Seichan balansowała na ostrym jak brzytwa skraju męczarni. Każdy podskok wózka zwiększał poziom bólu o kolejną kreskę.

Próbowała oderwać się od cierpienia, odizolować je w odległym zakamarku umysłu.

Okazało się to niemożliwe.

Ból był zbyt różnorodny. Był jak tygrys rozdierający wnętrzności – uderzał łapą, potem przysiadał, żeby znów skoczyć i zaatakować inne miejsce w jej ciele.

Łzy spływały po jej policzkach. Miała kłopoty z oddychaniem.

Próbowała się skupić, zapamiętać rozkład korytarzy. Przypuszczała, że wiozą ją do pagody, do jej podziemnych poziomów.

W pewnym momencie popadła w delirium, z którego wyrwał ją ostry głos Kena.

– Dokąd ją zabieracie?

Zamrugła i jej głowa odwróciła się stroną głosu.

Wala trzymała jego ramię. Gdy wózek skręcił w lewo, pociągnęła Kena w drugą stronę.

Rozdzielają nas, przemknęło przez myśl Seichan.

– Na oddział – usłyszała głos Wali. – Przejdzie badania, łącznie z oceną ciąży. Przy odrobinie szczęścia zostanie naszym cennym królikiem doświadczalnym.

Strach, który owładnął Seichan, na chwilę stłumił ból. Nie bała się o siebie, tylko o dziecko. Mimo niebezpieczeństwa była gotowa poddać się badaniom. Przez pokłady cierpienia przebiło się jedno pytanie.

Czy moje dziecko jeszcze żyje?

Do tej pory w panującym chaosie ukrywała to zmartwienie w głębi serca, gdzie paliło jak rozżarzony węgiel. Z każdą godziną od czasu opuszczenia Maui rósł nacisk pozostawionego bez odpowiedzi pytania.

Musi poznać odpowiedź.

Niestety, siła tego pragnienia nie na długo odparła cierpienie. Wepchnięty do windy wózek uderzył w ścianę kabiny. Wstrząs przeszył ją jak uderzenie prądem, wzmacniając falę bólu.

Świat poszarzał i zrobił się czarny.

Kiedy znów oprzytomniała, nie miała pojęcia, ile czasu minęło. Leżała na szpitalnym łóżku, z rękami i nogami przypiętymi do ramy. Ktoś ją przebrał w szpitalną koszulę i podciągnął ją do piersi.

Dwie osoby w niebieskich kitlach – chyba lekarz i pielęgniarka – stały po obu stronach łóżka. Pielęgniarka właśnie skończyła rozprowadzać lodowaty żel po jej odsłoniętym brzuchu. Nagły ziąb na rozgrzanej skórze przywrócił Seichan przytomność. Lekarz trzymał głowicę do badania ultrasonografem, kalibrując stojące przy łóżku urządzenie.

– Nastawione – odezwał się cicho po japońsku i obrócił się w stronę łóżka. Zobaczył, że otworzyła oczy. – Wygląda na to, że nasza pacjentka się przebudziła. Jest tak silna, że z powodzeniem zniesie ból drugiego stopnia.

Zignorowała jego słowa i tylko na niego patrzyła. Był drobnym mężczyzną o delikatnych rysach i cienkim wąsie. Mogłaby się z nim rozprawić w kilka sekund, ale nawet gdyby była wolna, toby się powstrzymała. W tej chwili był najważniejszym człowiekiem na świecie i jedynym, który mógł odpowiedzieć na nękające ją pytanie.

– Mam dać plaster z fentanylem? – zapytała pielęgniarka, pyzata starsza kobieta o srogim wyrazie twarzy. – Ma niebezpiecznie wysoką gorączkę, pewnie z bólu.

– Wstrzymaj się chwilę. – Lekarz wzruszył ramionami. – Długo radziła sobie bez środków przeciwbólowych, a jeśli jest w ciąży, nie chcę dawać jej opioidów. Jeżeli wynik badania okaże się pozytywny, zawsze będziemy mogli wprowadzić ją w śpiączkę.

– *Hai*, doktorze Hamada.

Pielęgniarka podeszła do aparatu USG, a lekarz, trzymając przejrzystą głowicę, pochylił się nad Seichan. Kiedy głowica dotknęła jej skóry, po raz pierwszy odezwał się do Seichan.

– Obawiam się, że będzie bolało.

– Nie szkodzi – odparła.

– Dobrze. – Skinął na pielęgniarkę i ta pstryknęła włącznikiem.

Seichan przygotowała się, wbijając palce w prześcieradło. Z początku czuła tylko ostry nacisk na brzuch, gdy lekarz przesunął głowicę, lecz nagle urządzenie stało się skalpelem rozcinającym ją do kręgosłupa. Seichan krzyknęła, nie mogąc się powstrzymać. Spojrzała nad podkasaną koszulą, spodziewając się zobaczyć jelita wypływające z ziejącej rany.

Niczego takiego nie zobaczyła.

Doktor zgarbił się, słysząc jej krzyk.

– Larwy są wrażliwe na fale dźwiękowe – wyjaśnił. – Dostają szału. Czuje pani ich ucieczkę przed ultradźwiękami.

Jego wyjaśnienie – choć miało być pomocne – stukrotnie zwiększyło cierpienie. Wyobraziła sobie masy larw przegryzające tkanki i mięśnie w szaleńczej panice.

– Mam zrobić przerwę? – zapytał.

Nie mogąc mówić, pokręciła głową jak dziki koń próbujący pozbyć się wędzidla.

Dalej...

Skinął głową i kontynuował badanie, wodząc głowicą po jej brzuchu. Pot i łzy ściekały jej po policzkach. Ból ją oślepił. Paznokcie wbijały się przez prześcieradło w skórę.

Nagle, kiedy była pewna, że dłużej tego nie znieś, katusze się skończyły. Odetchnęła z ulgą, szlochając, zbyt udręczona, żeby się tym przejmować.

– Jest. – Doktor Hamada odchylił się, żeby mogła spojrzeć na ekran. Wolną ręką wskazał skupisko trzepoczących szarych pikseli. – Bicie serca pani dziecka.

Żyje...

Ogarnęła ją nieopisana radość.

– Wiemy, że drugie instary unikają narządów istotnych dla życia, takich jak serce – powiedział lekarz. – Na szczęście pani ciąża jest na tyle zaawansowana, że bicie serca płodu i jego fale mózgowy odpychają larwy. Przynajmniej na razie.

Zauważył jej grymas.

– Trzecie instary nie są takie wyrozumiałe – dodał. – Kiedy zapewnią sobie genetyczną kontynuację, obsiewając szpik kryptobiotycznymi klonami, przestanie im zależeć na życiu gospodarza.

W zakamarku umysłu Seichan rozpoczęło się odliczanie. Dwadzieścia cztery godziny...

Hamada odsunął głowicę i ekran ultrasonografu ściemniał, trzepotanie zniknęło. Seichan oddałaby prawą rękę za to, żeby jeszcze przez kilka sekund widzieć bijące serce swojego dziecka.

Straciwszy tę ostoję, przestała walczyć. Pokój wokół niej się rozmywał.

Gdy odpływała, usłyszała Hamadę mówiącego do pielęgniarki:

– Płód wygląda na zdrowy.

Poczuła ulgę, ale doktor nie skończył mówić.

– Powinien być idealnym okazem dla następnego etapu eksperymentu.

## Godzina 8.32

Gdybym tak się nie bał, byłbym pod wrażeniem.

Ken patrzył na rozległe podziemne laboratorium. W porównaniu z nim to, które przez dziesięć lat składał kawałek po kawałku na Uniwersytecie Cornella dzięki grantom i funduszom od sponsorów, wydawało się maleńkie.

Jego przewodnik, doktor Yukio Oshiro, przewyższał go o głowę, ale był taki chudy, że przypominał pająka. Pasowało to do jego – znanych Kenowi – publikacji na temat pajęczaków i ich jadu.

– Zbliżamy się do fazy pierwszej klinicznych prób blokerów kanałów jonowych do leczenia dystrofii mięśni – oznajmił z dumą Oshiro, kończąc wypowiedź sapnięciem irytacji. – Tędy.

Wyraźnie nie był zadowolony, że wyznaczono mu takie zadanie.

Gdy zwiedzali koliste pomieszczenie, kiwał głową do znajdujących się tam naukowców, a ci przerywali pracę i kłaniali się z respektem, czego najwyraźniej wymagał.

– Oczywiście, mamy zespoły pracujące nad innymi lekami. – Oshiro wskazywał grupy ludzi. – Zespół Alfa bada obiecujący analgetyk. Beta lek antynowotworowy. Gamma pestycydy. Mógłbym wymieniać bez końca. Możliwości są niemal nieograniczone. Dopiero zaczynamy je zgłębiać.

– I wszystkie te związki pochodzą z jadu prehistorycznych os?

– Odokuro, jak pan je nazwał. – Oshiro lekceważąco pokręcił głową. W japońskiej kulturze korporacyjnej był to odpowiednik pokazania środkowego palca. – Otrzymał mi okólnik nakazujący używanie tej nazwy. Wygląda na to, że Takashi Ito darzy pana szacunkiem.

I prawdopodobnie dlatego zafundowano mi tę wycieczkę, pomyślał Ken.

Wiedział, że przygotowują go do wcielenia do personelu. Chłodne zachowanie Oshira z pewnością oznaczało, że doktor czuje się zagrożony.

Ken wnikliwie przyglądał się laboratorium. Nie musiał udawać, że jest pełen podziwu. Było tam mnóstwo sprzętu i narzędzi. Niektóre z tych rzeczy widział po raz pierwszy. Laboratorium było znacznie większe i lepiej wyposażone niż to, które miał u siebie.

Szybko zorientował się w jego rozkładzie. Było podzielone na dwie części, które prowadziły prace nad jadem pobranym od os z różnych kast. Z doświadczenia wiedział, że typowe gruczoły jadowe zawierają setki różnych związków chemicznych i cząsteczek.

Jedna część laboratorium zajmowała się proteomiką, czyli badaniem białek i peptydów. Świadczyły o tym mrużące spektrometry masowe i trzy urządzenia do elektroforezy w żelu, służące do wyodrębniania protein.

Inne aparaty stanowiły dla niego tajemnicę.

Oshiro zauważył jego zaintrygowaną minę.

– Tam zespół Alfa stosuje metodę cytometrii przepływowowej, wykorzystując lasery femto- i pikosekundowe do badania i wyodrębniania obiecujących białek – wyjaśnił chełpliwym tonem.

– Robi wrażenie – przyznał z niekłamany podziwem Ken.

– I jest konieczne, jak pan wie, gdy ma się do czynienia z takimi małymi próbkami.

Ken pokiwał głową. Pozyskanie jadu od węża, który na ogół produkuje przyzwoitą próbkę, to coś zupełnie innego niż pozyskanie jadu pająka... albo, jak w tym wypadku, osy.

Skierował uwagę na drugą część laboratorium, poświęconą genomice. Tutaj używano sekwenserów nukleotydowych do badania RNA i DNA związanego z produkcją jadu, a także do gromadzenia cennych danych transkryptomicznych.

Dobrze wiedział, jak trudna jest praca nad jadem. Zawartość gruczołu jadowego może się znacznie różnić w zależności od płci okazów, rodzaju pożywienia i panującej temperatury. Czasami łatwiejsze jest sekwencjonowanie DNA i wykorzystanie inżynierii wstecznej do odtworzenia toksycznego peptydu niż szukanie go w próbce.

Ken wskazał zespół Gamma pracujący na sekwenserach.

– Macie sprzęt następnej generacji. W waszym laboratorium z pewnością można przeprowadzać niewiarygodnie dokładne analizy jadu.

– Oczywiście, ale to wcale nie znaczy, że nie walimy głową w mur. – Oshiro spojrział na grupę ludzi. – Na przykład zespół Gamma odkrył obiecujące fragmenty transkrypcji RNA, łącznie z produkującym je genem, ale jak dotąd nie znalazł protein, które powinny syntetyzować.

– Jak znalezienie cienia, ale nie obiektu, który go rzuca.

– Właśnie. – Oshiro błysnął nieczęstym u niego uśmiechem, jakby uznał Kena za dorównującego mu rywala na polu zawodowym i zapalał się do dyskusji. – Ten gen występuje powszechnie u wszystkich kast gatunku, ale wciąż umykają nam zakodowane w nim proteiny. Właśnie dlatego potrzebujemy najtęższych umysłów.

Ken z marszu mógłby mu podać kilka powodów tego stanu rzeczy, ale zachował milczenie. Zwłaszcza że czuł, że Oshiro zmierza do tego, by zaprosić go do pracy w laboratorium. A on nie będzie śmiał nie przyjąć tego zaproszenia. Szybko zmienił temat, wskazując rzucające się w oczy stalowe czerwone drzwi w głębi laboratorium.

– Co tam jest?

Oshiro położył ręce na biodrach, jego twarz stężała.

– Nie ma się o co martwić. Wiem tylko, że kierownik zespołu, doktor Hamada, często rekwiruje całe laboratorium i przepędza nas stąd jak muchy. To bardzo irytujące i destrukcyjnie wpływa na naszą pracę.

– Co bada?

Wzruszył ramionami.

– Wiem tylko tyle, że ma to związek z ewolucyjną historią Odokuro.

Ken zmarszczył brwi.

– Czemu mają służyć te badania?

Odpowiedziało mu kolejne wzruszenie ramionami, jakby Oshiro mówił: „To nie moje badania, więc dlaczego miałyby mnie interesować?”. Ken nie dopytywał się więc. Spotykał się już z podobną ciasnotą umysłową u niektórych naukowców. To pułapka prowadząca do błędów i straconych okazji, i łatwo w nią wpaść. Przez lata nauczył się, żeby w żaden sposób nie dławić naukowej ciekawości.

Tutaj ta lekcja była szczególnie ważna.

Gdy Oshiro kontynuował wycieczkę, Ken skupiał uwagę na czerwonych drzwiach.

Co naprawdę się tam dzieje?

## Godzina 8.35

Siedząc przy stole w gabinecie, Takashi złączył czubki palców przed ustami, patrząc na obraz z kamery na ekranie laptopa. Widział oddział szpitalny, obiektyw skupiał się na jednym łóżku. Przywiązana do niego na wpół przytomna kobieta od czasu do czasu szamotała się w więzach, ale głównie spała. Jej czoło lśniło od potu, miała spierzchnięte, spękane usta.

Dostrzegł jednak piękno przyćmione przez chorobę. Jej mieszana krew, azjatycka i europejska, zawierała najlepsze cechy z obu spuścizn. Posiniaczone usta, umalowane, tworzyłyby idealny łuk. Kości policzkowe, wysoko zarysowane i szerokie, przechodziły w idealny podbródek. Krótkie, prosto ścięte czarne włosy podkreślały delikatność jej rysów, przypominając mu o ukochanej Miu.

Zabrzmiało ciche pukanie do drzwi i zaraz potem się otworzyły.

Osobisty sekretarz uklonił się i przesunął w bok, przepuszczając kobietę, którą Takashi wezwał do swojego gabinetu. Wala wpadła jak burza, jej błękitne jak lód oczy ciskały gromy. Nad Fudzi przetaczały się deszczowe chmury i góra powitała Walę uderzeniem pioruna, który wstrząsnął szybami w oknach.

Tym razem kobieta nawet nie próbowała zamaskować swojej bladej karnacji. Takashi przez chwilę był wytrącony z równowagi. Wyglądała eterycznie, upiornie. Było tak, jakby tylko czarny tatuaż utrzymywał ją na tej płaszczyźnie istnienia.



Ukloniła się głęboko i na znak gospodarza usiadła naprzeciwko niego.

– *Chūnin* Michajłowa – powitał ją, używając nowego tytułu nawiązującego do pozycji, jaką odziedziczyła po jego wnuku.

Kłęczała, chyląc głowę na znak, że dziękuje za ten awans.

Takashi skupił uwagę na ekranie laptopa, ukazującym kobietę przywiązaną do łóżka.

– Spodziewa się dziecka?

– *Hai*. Doktor Hamada potwierdził, że jest w ciąży.

– Doskonale.

Przyglądał się kobiecie na ekranie. Ona i jej towarzysze byli winni śmierci jego wnuka. Miał prawo im się odplacić.

Pomyślał o dalszych losach tej kobiety.

Podczas wojny odwiedził twierdzę Zhongma, gdzie tajny oddział cesarskiej armii japońskiej prowadził zbrodnicze badania. Tam na ciężarnych Chinkach siłą sprawdzonych z pobliskich wiosek przeprowadzano eksperymenty z użyciem broni chemicznej i biologicznej, a później bez znieczulenia wyjmowano im płody z łona. Wciąż słyszał krzyki matek, widział słabe ramiona sięgające po zakrwawione dzieci, zanim zabrała je śmierć.

Wówczas, nowy w Kage, musiał ukrywać odrazę, jaką budziło w nim to bestialstwo.

Ale teraz będę się tym rozkoszować, pomyślał.

Miał zamiar sprawić, żeby kolejna kobieta cierpiała.

– A Amerykanin? – zapytał.

– Bez obaw. Jeśli nawet przeżył, to po nią przyjdzie. – Z rozmysłem zrobiła pauzę, wyraźnie powstrzymując się od mówienia.

– O co chodzi?

Spojrzała na ekran i spuściła wzrok.

– Mówiłeś, że nie ma lekarstwa na to, co ją nęka.

Zrozumiał pytanie ukryte za tym stwierdzeniem.

– Zastanawiasz się, dlaczego podjęliśmy ryzyko, wypuszczając coś, nad czym nie mamy kontroli – powiedział.

– *Hai, Jōnin* Ito.

– To nie szaleństwo, tylko kalkulacja – zapewnił ją. – To co uwolniliśmy na Hawajach, jest tylko próbką. Kiedy świat zrozumie zagrożenie, wtedy rozpoczniemy drugą fazę.

Uniosła wzrok i zmarszczyła czoło.

– Drugą fazę?

– Atol Ikikauō nie był naszym jedynym punktem wyjścia.

Zszokowana, otworzyła szeroko oczy.

– Inne ośrodki są gotowe do działania na mój rozkaz. Rozprzestrzenią Odokuro w Europie, Rosji, Chinach, Australii. Szkoda, że straciliśmy wyspę u wybrzeży Brazylii, niemal zdradzając nasz plan Ameryce Południowej. Z naszych ostrożnych kalkulacji wynika jednak, że za dwa lata osy opanują cały świat.

Patrzyła na niego w osłupieniu.

– Zamierzasz go zniszczyć? – Gniew zabarwił jej słowa.

– Nie. – Takashi odpowiedział na jej gniew zimną stanowczością. – Jak mówiłem, to nie obłąd, tylko kalkulacja.

Dostrzegł jej zakłopotaną minę i westchnął.

– Jakie leki według ciebie przynoszą największy zysk? – podjął ściszym głosem, jakby uspokajał dziecko.

Zaskoczona nagłą zmianą tematu, tylko pokręciła głową.

– Nie te, które leczą – powiedział. – Te dają ograniczony zysk. Pomyśl o tych, które są potrzebne do zwalczania symptomów nieuleczalnej choroby. To one stanowią gwarancję dożywotnych zysków. Nauczyłem się tej lekcji dawno temu, kiedy założyłem ten koncern.

– I tutaj ją stosujesz?

Nie zadał sobie trudu, żeby potwierdzić to, co oczywiste.

– Ale jak? – zapytała.

– Nie zamierzam niszczyć świata, chcę go tylko rzucić na kolana.

– Ale skoro nie ma leku...? – Zająknęła się, próbując zrozumieć.

– Za rok, kiedy świat pogrąży się w cierpieniu i chaosie, nasz koncern zaoferuje środek uśmierzający symptomy. Nie mamy leku dla zainfekowanych, ale opracowaliśmy aerozol, który zabija populacje dojrzałych os. Udoskonalenie środka zajęło nam dwadzieścia lat. Jest silnie toksyczny, niemal niemożliwy do skopiowania i spowoduje wielkie zniszczenia. Pozwoli krajom przetrwać, kuśtykać dalej.

W jej oczach rozbłysło zrozumienie.

– Tak, nigdy nie będą bezpieczni – powiedziała. – W skażonym, zainfekowanym środowisku Odokuro wciąż będzie się odradzać.

– Nieuleczalna choroba, nad którą tylko my możemy mieć kontrolę.

– Więc w końcu świat stanie się zależny od Japonii, od twojego koncernu.

– I jeśli ktoś się sprzeciwi – wzruszył ramionami – wstrzymamy dostawy aerozolu, dopóki ten ktoś się nie podporządkuje.

– A co z Japonią?

– W czasie początkowej ekspansji os nie odniesiemy szwanku. Już mamy naturalną przewagę wynikającą z izolacji przez otaczające nas morza, ale natychmiast zostanie wdrożony tajny program oprysków służących ochronie naszych brzegów. Za rok będziemy jedynym silnym krajem, gotowym zaoferować pomoc tym, którzy się ugną przed nową cesarską Japonią.

Michajłowa przez chwilę siedziała w milczeniu, przyswajając sobie te rewelacje.

– Chcesz opanować świat bez wystrzelenia ani jednej kuli.

– Po dziewięćdziesięciu latach nauczyłem się, że armie powstają i upadają. Od szogunów Tokugawy, którzy dawno temu poddali się cesarzom Japonii, po cesarzy, którzy zostali upokorzeni przez aliantów. Prawdziwą siłę znajdziesz nie w sztychu miecza czy w lufie pistoletu, ale w pomysłowości i innowacji.

*Chūnin* Michajłowa patrzyła na niego i w jej nieodgadnionych oczach odbijała się ciemna burza szalejąca za oknem. W końcu spuściła powieki i pochyliła czoło do podłogi.

Takashi przyjął jej hołd, splatając palce na kolanach, wiedząc, że niedługo...

...cały świat będzie zmuszony ukłonić się przed nim.

Wieliczka, Polska

9 maja, godzina 1.44 czasu miejscowego

– Do kopalni soli marsz! – rzucił wesoło Monk.

Elena drgnęła, słysząc trzask dużych czerwonych drzwi windy. Skoncentrowała się na oddychaniu; wciągała powietrze przez nos i wydychała je ustami, co – jak dowiedziała się z programu Oprah Winfrey – uspokajało. Gdy dorastała w rodzinie imigranckich robotników, była to jedyna „terapia”, na jaką było ich stać.

Od dzieciństwa nie znosiła małych zamkniętych pomieszczeń. Rodzice byli przekonani, że jest to skutkiem stłumionych wspomnień z czasów, kiedy szli tunelem prowadzącym z magazynu w Tijuanie do San Diego. Tą trasą kartel Sinaloa przewoził narkotyki – a robotnicy z rodzinami mogli za odpowiednią cenę kupić sobie wstęp do Stanów Zjednoczonych.

– Trzymasz się? – zapytał Sam, który stał przy niej, gdy winda opadała w trzewia ziemi.

Elena nerwowo muskała palcami dwa krzyżyki wiszące na łańcuszku okularów. Zmusiła się do opuszczenia ręki.

– Powtarzam sobie, że zjeżdżamy tylko do piwnic biblioteki – odparła.

– Zatem ta biblioteka ma cholernie głębokie piwnice – powiedział z krzywym uśmiechem.

Obrzuciła go spojrzeniem, które mówiło: „Nie pomagasz mi”.

– Wybacz. – Wyciągnął rękę. – Może to posłuży jako przeprosiny.

Miała ochotę odmówić, nie chcąc być postrzegana jako kobieta, która potrzebuje wsparcia mężczyzny.

Pieprzyć to!

Ujęła jego suchą, ciepłą rękę. Ucisnęła dłoń Eleny, dodając jej otuchy. Starła się nie okazywać zakłopotania. W drodze do windy nie próbowała ukryć strachu.

Wolała być szczerą, na wypadek gdyby musiała zrezygnować z wyprawy do kopalni i zostawić poszukiwania innym.

Postanowiła ignorować szerszą perspektywę – świadomość, że jest pogrzebana dziesiątki metrów pod ziemią – i skoncentrować się na robieniu po jednym kroku. Oczywiście, nie w windzie. Zamknięta przestrzeń nasilała jej niepokój, potęgowała strach.

Po drugiej stronie metalowej klatki Kat skupiała uwagę na dwojgu towarzyszącym im osobom. Po przybyciu do kopalni Śląski przedstawił ich rzeczniczce, młodej ładnej blondynce, Klarze Barańskiej. Ponury doktor patrzył na nią w sposób, który jasno świadczył o tym, że jest w niej zadurzony. Elena przypuszczała, że jego częste wizyty w pobliskim muzeum nie służą jedynie celom naukowym.

– Doktorze – zagadnęła go Kat – wcześniej wspomniał pan, że na mapie Hondiusa są zaznaczone dwa miejsca, gdzie znaleziono bursztyn. Czy któreś z nich leży w pobliżu Kaplicy Muszli?

Elena słuchała, wykorzystując rozmowę, żeby oderwać myśli od zjazdu do kopalni.

– Nie. Oba stanowiska były małe i zostały wyeksploatowane na długo przed wizytą Smithsona.

Klara pokiwała głową.

– Żadna kopalnia nie pozwoliłaby sobie na zmarnowanie takich odkryć. W przeszłości sól była cenna, ale bursztyn jeszcze cenniejszy. Nawet dzisiaj skromna bursztynowa bransoletka może kosztować tyle co rolex.

– Z powodu tej wartości wiele stanowisk było plądrowanych przez czarnych górników – wtrącił Śląski.

Elena jako Latynoska odruchowo zareagowała na ten przejaw rasizmu.

– Co pan rozumie przez czarnych górników?

– Nawiązuję do tych, którzy rabowali cudzy urobek albo chowali do kieszeni część swojego, a potem sprzedawali skradzione dobra na czarnym rynku. Prawdę mówiąc, dwie trzecie sprzedawanego dzisiaj bursztynu jest pozyskane nielegalnie.

Wstrząs windy przerwał rozmowę. Gdy drzwi się otworzyły, usłyszeli ponurą muzykę. Elenę przebiegł dreszcz, który nie miał nic wspólnego z temperaturą wynoszącą piętnaście stopni. Ogarnęło ją złe przeczucie, że ta muzyka zapowiada ich pogrzeb.

Klara zaoferowała bardziej prozaiczne wyjaśnienie:

– Kończy się nocna msza. Słyszałam, że późno zaczęli.

Monk uśmiechnął się do żony.

– Przypuszczam, że raczej to msza przedranna.

Kat wypchnęła go z windy, a Sam krzepiąco ścisnął ramię Eleny. Wciąż trzymał ją za rękę... a raczej to ona mocno ścisnęła jego dłoń.

Gdy weszli do tunelu, Elenę zaskoczyły słony posmak powietrza i duża wilgotność. Miała wrażenie, że znalazła się na dnie morza, z którego zniknęła woda, zostawiając po sobie tylko słonego ducha.

Oddychała z wysiłkiem, jakby się topiła.

Gdy spojrzała w gardziel klatki schodowej, która biegła na powierzchnię równolegle do szybu windy i miała osiemset stopni, nie mogła już sobie wmawiać, że jest w bibliotecznej piwnicy.

Dzięki Bogu, że nie musieliśmy schodzić jak zwyczajni turyści.

– Jesteśmy na głębokości zaledwie dziewięćdziesięciu metrów – oznajmiła Klara. Zaledwie?!

Elena powstrzymała się od prychnięcia.

Przewodniczka wskazała tunel po lewej stronie.

– Prowadzi do komory poświęconej astronomowi Kopernikowi. Tam zobaczycie również kaplicę Świętego Antoniego, najstarszą w kopalni, mającą czterysta lat.

Śląski wskazał ręką w przeciwnym kierunku.

– Ale pójdziemy tędy, jak najkrótszą drogą do kaplicy, której szukamy.

Klara pokiwała głową.

– Wysłałam przed nami trzy osoby, żeby przygotowały przeprawę przez jeziorko.  
– Uśmiechnęła się do nich. – To moi starsi bracia.

– Wygląda na rodzinny interes – zażartował Monk.

Klara wzięła jego słowa na poważnie.

– Oczywiście. Mamy sól we krwi. Gdy kopalnia była czynna, pracował tu mój ojciec, a przed nim dziadek. – Skinęła na nich ręką jak młoda nauczycielka prowadząca wycieczkę. – Idziemy, przed nami daleka droga.

W miarę jak szli, muzyka stawała się coraz głośniejsza. Z dołu płynęły ściszone tony hymnu. Mijali kolejne komory i nisze z ekspozycjami ilustrującymi głównie pracę górników, z modelami robotników i koni.

Śląski z miną bardziej ponurą niż zwykle wskazał czworonogiego górnika.

– Konie spędzały na dole całe życie – wyjaśnił. – Nigdy nie widziały światła słońca.

– Podobnie jak wielu górników we wczesnych stuleciach – dodała Klara.

Wzruszył ramionami, bardziej przejęty losem koni.

Gdy schodzili kolejnymi ciągami schodów do innych komór, widzieli wciąż działające wyposażenie kopalni, łącznie z wielkim kieratem, drewnianą maszyną wyciągową. Wykorzystywano tutaj również siły natury, o czym świadczyło ogromne koło wodne obracające się w strumieniu. Wyglądało tak, jakby pracowało od wieków.

Sam wciąż trzymał Elenę za rękę. Już się nie przejmowała, jak to wygląda. Historia kopalni była interesująca, ale nie na tyle, żeby pozwolić jej zapomnieć o ciężarze skał wiszących nad głową.

Jej towarzysz też spojrział w górę, chociaż z innego powodu.

– Nie rozumiem – powiedział. – Gdzie jest sól?

Elena też się nad tym zastanawiała. Skała miała odcienie szarości, drewno stempli podpierających strop było bielone.

Klara uśmiechnęła się i zatoczyła ręką łuk.

– Wszędzie wokół. Wszystko, co widzicie, jest solą w naturalnej postaci. Proszę, poskrobcie palcem i spróbujcie.

Sam odpowiedział jej z uśmiechem:

– Mama mnie uczyła, żeby nie lizać ścian. Uwierzę pani na słowo.

– Dlaczego drewno jest pomalowane na biało? – zainteresował się Monk.

– Przede wszystkim po to, żeby lepiej odbijało światło lamp górniczych. – Wskazała swój kask ze współczesną lampą na baterie.

Wszyscy zostali wyposażeni w podobny ekwipunek, chociaż mieli potrzebować świateł dopiero wtedy, gdy dotrą do obszaru niedostępnego dla zwiedzających.

Klara z uczuciem poklepała stempel.

– Z czasem sól zaimpregnowała stare drewno, które teraz jest twarde jak kamień. Poza tym, że jest wytrzymałe, przemawia do górników.

Monk uniósł brew.

– Przemawia?

– Gdy nacisk jest zbyt wielki, podpory jęczą, ostrzegając o zbliżającym się zawale i dając górnikom czas na ucieczkę. – Jeszcze raz klepnęła stempel. – Oczywiście milczą od lat.

Elena patrzyła na drewno, modląc się, żeby pozostało ciche.

Gdy schodzili coraz niżej, w komorach i niszach pojawiły się rękodzieła górników: rzeźby z soli, od fantastycznych smoków po krasnoludki. Niektóre postacie były podświetlone i zdawało się, że emanują wewnętrznym ciepłem.

Przewodniczka przystanęła w wejściu do jednej z komór i zapaliła lampę. W sнопie światła ukazało się popiersie brodatego mężczyzny w koronie.

– Wypada podziękować Kazimierzowi Wielkiemu – powiedziała. – Zwłaszcza że zaniedbanie przynosi pecha.

Skoro tak, Elena z przyjemnością zatrzymała się przed komorą.

– Kazimierz, ostatni polski król z dynastii Piastów, był bardzo postępowy – ciągnęła Klara. – Popierał rozwój nauki i pogoń za wiedzą, założył Akademię Krakowską. Co więcej, jako jedyny europejski władca przyjął Żydów i zachęcał ich do osiedlania się w Polsce. I wielu z nich skorzystało z tego zaproszenia.

Zawiesiła głos. Nie chciała wspominać o losie potomków tamtych osadników, zgotowanym im później, gdy nazistowskie Niemcy napadły na Polskę.

– Ruszajmy – zarządziła ponurym tonem.

Po stromym zejściu do długiego tunelu zaczęli napotykać grupy ludzi idących w przeciwnym kierunku. Mężczyźni byli w ciemnych garniturach, kobiety w strojach o stonowanych kolorach. Wraz z zakończeniem mszy ucichła muzyka. Wierni wracali na powierzchnię. Głosy z przodu brzmiały donośnie w znakomitej akustyce.

Wreszcie grupa Amerykanów wraz z towarzyszącą im dwójką Polaków dotarła do ich źródła i stanęła na szerokiej galerii w rozległej komorze.

– Klejnot w koronie Wieliczki – oznajmiła Klara. – Kaplica Świętej Kingi.

Elena ze wstrzymanym oddechem patrzyła na to miejsce. Bardziej przypominało katedrę niż kaplicę. Ze sklepienia zwisały masywne żyrandole z kryształów soli. W drugim końcu nad wyrzeźbionym z soli ołtarzem wznosił się wielki krzyż. W podświetlonych wnękach wzdłuż ścian znajdowały się arcydzieła wykonywane przez pokolenia górników. Były tam sceny biblijne: Maria z Józefem przybywający do Betlejem, dzieciątko Jezus w żłobie. Nawet ściany i podłogi zostały wycięte i wypolerowane w taki sposób, że wyglądały jak cegły i ośmiokątne płytki.

Uczestnicy mszy jeszcze nie wyszli, zostało co najmniej dwieście osób, chociaż sala mogła pomieścić dwa razy więcej. Kilka osób szło po schodach, rozpoczynając długą wędrówkę na powierzchnię.

W tej chwili Elena im nie zazdrościła, że wychodzą. Puściła rękę Sama i podeszła do balustrady, żeby mieć lepszy widok na tę kryształową katedrę – Kaplicę Sykstyńską wyrzeźbioną w soli.

– Legenda mówi, że Kinga, węgierska księżniczka, została zaręczona przez ojca z księciem Krakowa – powiedziała Klara. – Przed opuszczeniem ojczyzny wrzuciła



pierścień zaręczynowy do kopalni soli. Po przybyciu do Krakowa wskazała miejsce i rozkazała kopać. W nowej kopalni górnicy znaleźli dużą bryłę soli, a w niej pierścień Kingi. Od tamtej pory Kinga jest patronką górników.

– A powinna po prostu wypełnić formularz roszczenia ubezpieczeniowego – szepnął Monk. – Zaoszczędziłoby to katorżniczej pracy.

Klara zganiała go wzrokiem.

Nikt nie powinien lekceważyć świętej, zwłaszcza w jej królestwie.

Z nieco obrażoną miną Klara sprowadziła ich z galerii do wiodących głębiej tuneli. W trakcie wędrówki labiryntem grot i chodników napotykali zalane komory ze szmaragdowymi jeziorkami. Nad nieruchomą wodą odbijającą światła biegły drewniane pomosty. Na dnie leżały połyskujące jak zagubiony smoczy skarb warstwy monet od wieków wrzucanych w toń przez zwiedzających wraz z ich modlitwami i życzeniami.

– Dotarliśmy już do zwierciadła wód gruntowych? – zapytała Kat. – To dlatego te komory są zalane?

– Nie, to stawy powstałe z wody deszczowej, wsączającej się tutaj od wieków. Znacznie większe jeziorka znajdują się dwa razy niżej.

Elena jęknęła. Chciała zrobić to cicho, ale akustyka wzmocniła jej skargę. Nie bronila się, gdy Sam znów wziął ją za rękę.

Klara poprowadziła ich do końca trasy turystycznej, gdzie zaczynał się stromy chodnik. Tam nie było światła ani podświetlonych posągów, tylko bezkresne egipskie ciemności.

– Tu musimy włączyć lampy – oświadczyła, zapalając swoją.

Wszyscy poszli w jej ślady. Poza lampami na kaskach mieli latarki. Elena z całych sił ścisnęła swoją w wolnej ręce.

Gdy Klara ruszyła, Monk pochylił się w stronę żony.

– Porzućcie wszelką nadzieję, wy, którzy wchodzicie – rzucił cytatem z Dantego, przytaczając słowa wypisane nad bramą do piekła.

## Godzina 3.42

Kat stała na brzegu rozległego jeziora. Snopy światła z ich lamp padały na ciemną wodę. Blask odbijał się od płaskiej powierzchni i migotał w niskiej pieczarze. Powietrze było wilgotne i pachniało jak nad morzem.

Jezioro rozciągało się tak daleko, że nie widzieli przeciwnego brzegu.

Sama jego wielkość przyprawiała o zawrót głowy.

– Kilka lat temu gościliśmy tu windsurferów – powiedziała Klara, chcąc zilustrować wielkość jeziora. – Żagle w tej komorze wyglądały niesamowicie.

– A skąd wzięli wiatr? – zainteresował się Monk. Uniósł palec, jakby chciał wykryć podmuchy.

Klara się uśmiechnęła.

– Mieli wielkie dmuchawy z agregatami.

– Innymi słowy, oszukiwali.

– Czasami trzeba improwizować, żeby zadowolić gości. Jak dzisiaj.

Pomachała ręką do trzech braci stojących na brzegu przy małym pontonie i skuterze wodnym. Ubrani w stroje nieprzemakalne – wszyscy jasnowłosi jak siostra i muskularni jak zapaśnicy – przynieśli sprzęt z innych zalanych poziomów kopalni. Najwyraźniej dolne poziomy tworzyły labirynt stawów, jeziorok i krętych kanałów.

– Moi bracia zabrali również narzędzia, na wypadek gdybyście znaleźli zaginione złoża bursztynu i chcieli wydobyć okaz do zbiorów waszego muzeum.

Klara z szacunkiem skłoniła głowę przed Eleną Delgado.

Kat spojrzała na zegarek, dotkliwie świadoma upływającego czasu.

– Zatem do dzieła.

Droga do końca szlaku turystycznego zajęła im półtorej godziny. Tutaj chodniki były gorzej utrzymane; ich ściany przypominały zastygłe strumienie soli. Musieli schodzić po rozklekotanych schodach, a nawet po drabinach pokrytych solnym szronem.

Wszystko wydawało się dziwnie nietknięte, zakonserwowane od dziesiątków lat – jeśli nie wieków – dzięki wysokiej zawartości potasu w powietrzu.

Po drodze napotkali kolejne dowody artystycznej działalności górników: maleńką niszę z figurą Madonny z dzieciątkiem, wyryte na ścianach cytaty z Biblii. Mijali postacie o rysach zatartych przez strużki soli. Stały niczym widmowi strażnicy wzdłuż ich trasy, jakby radziły im zawrócić.

Kat z zadowoleniem wsiadła na ponton, którym mieli przebyć ostatni etap drogi. Według doktora Śląskiego Kaplica Muszli znajdowała się na drugim brzegu jeziora.

Piotr, brat Klary, rzucił cumę i wskoczył na rufę. Drugi, Antoni, zapuścił silnik. Grzegorz, najmłodszy, dobrnął do skutera i dodał jego dudnienie do panującego chóru.

Hałas odbijający się od niskiego stropu był tak głośny, że Kat czuła go w klatce piersiowej.

Ruszyli przez jezioro, kierowani światłem obrotowego reflektora na dziobie pontonu, gdzie siedział Piotr, wypatrując przeszkód ukrytych pod powierzchnią.

Śląski przerwał panujące napięcie, zwracając się do Sama:

– W muzeum pytał pan, dlaczego górnicy mieliby tworzyć tak unikalną strukturę jak Kaplica Muszli. Może po tym, co widzieliście, zdoła pan zrozumieć. Po spędzeniu na dole całego życia chcieli zostawić po sobie jakiś ślad, spuściznę dla następców.

– Poza rzeźbami i zdobieniami znajdziecie inne komory kopalni przeobrażone przez ich pracę w dzieła sztuki – dodała Klara.

– Jak kaplica Świętej Kingi – wtrąciła Elena.

– Zgadza się.

Rozmowa urwała się, jakby zduszona przez ciężar zalegającej nad nimi soli. Nie pomagało również to, że strop powoli opadał. Zanim w świetle reflektora ukazał się brzeg, Kat mogłaby unieść rękę i musnąć go czubkami palców.

Wszyscy odruchowo się garbili.

Z początku mogło się wydawać, że po tej stronie jeziora jest tylko lita skała, ale gdy Piotr skierował łódź w lewo, ujrzeli kanał niknący za zakrętem. Wpłynęli do niego powoli. Miał kształt litery S i kończył się nachyloną gładką ścianą.

Dziób pontonu wsunął się na kamienny brzeg.

Za nim znajdowała się duża grota, wielkości jednej czwartej kaplicy Świętej Kingi. Śląski wstał i wskazał przed siebie.

– Wejście do Kaplicy Muszli.

Kat odtworzyła w pamięci mapę, którą wcześniej widziała, z komorą stanowiącą punkt wyjścia do wachlarzowato rozpostartej muszli. Nawet stąd widziała ciemny zarys rozchodzących się promieniście korytarzy.

Czując ulgę, że dotarli tu bezpiecznie, kazała wszystkim wysiadać. Wygramolili się z pontonu i weszli po nachylonym brzegu do groty. Uczucie ulgi przepadło bez śladu, gdy Kat zobaczyła, w jakim stanie jest ta część kopalni.

Połowa tuneli dawno temu się zawaliła. W tych nienaruszonych woda ściekała ze szczelin i pęknięć w stropie.

Kat wyobraziła sobie spływającą tu deszczówkę. Rozpuszczona w niej sól wytrącała się, twardniejąc w śnieżnobiałą skorupę. Płachty zastygłej solanki pokrywały ściany, ze stropów zwisały długie kruche sople.

Traciła nadzieję na znalezienie miejsca, z którego pochodziła bursztynowa bryła Smithsona. Najprawdopodobniej było pogrzebane pod tonami skał ze starych zawałów.

– Musimy się rozejrzeć – przypomniał żonie Monk, jak zawsze czytając jej w myślach.

Skinęła głową i włączyła latarkę, dodając jej światło do blasku lampy na kasku. Inni wzięli przykład z Kat.

Sam ze ściągniętymi brwiami patrzył na liczne tunele.

– Chyba powinniśmy skorzystać z jakiejś wyliczanki. Ene due rabe...

– Może powinniśmy się rozdzielić – zaproponował Monk. – W ten sposób zbadamy więcej miejsc.

Elena nie kryła niezadowolenia.

– Czy to mądry plan?

– Nie wiem – odparła Kat. – Na razie trzymajmy się razem. Nie mamy czasu na szukanie, jeśli ktoś się zgubi.

Decyzja zapadła. Kat ruszyła w głąb tunelu po prawej stronie, zamierzając systematycznie zbadać ten labirynt. Antoni i Grzegorz zostali z radiem, gotowi przynieść z pontonu narzędzia, gdyby okazały się potrzebne.

Szli w głąb ciemnego korytarza. Był na tyle szeroki, że dwie osoby mogły iść obok siebie, ale nie brakowało w nim przeszkód. Solne stalaktyty zagradzały im drogę. Wokół butów chlupotała woda, powoli spływająca ku zalanemu labiryntowi, który zostawili za sobą.

Kat rozglądała się, świecąc lampą na kasku i latarką na ściany i strop, szukając śladów bytności Smithsona.

Nie znalazła niczego, ale uznała, że podjęła właściwą decyzję. Pół godziny później dotarli do końca długiego na pół kilometra korytarza. Przypomniała sobie, co Śląski mówił o powierzchni Kaplicy Muszli.

Kilometr kwadratowy.

Mieli jeszcze mnóstwo do zbadania.

Tunel kończył się wąską arkadą, która biegła wzdłuż wylotów innych korytarzy. Tutaj dochodziły wszystkie promieniste tunele. Za arkadami strop opadał, tworząc ostry skraj muszli.

Kat ruszyła do następnego tunelu, gotowa wrócić tam, skąd zaczęła. Zamierzała zrobić co w ludzkiej mocy, żeby spenetrować wszystkie korytarze, które się nie zarwały.

– Spójrzcie na to – powiedziała Elena.

Przyklękła, oświetlając nachylający się niski strop. Jak w tunelach, sól utworzyła tu barierę stalaktytów, kolców i kolumn odcinających dojście do tylnej części długiej jaskini. Wyglądały jak oszroniona brama więzienna przegradzająca arkady.

Kat i inni dołączyli do dyrektorki Biblioteki Kongresu.

Gdy Elena przesuwiała snop światła po stropie, ukazywały się płaskorzeźby. Kat skierowała światło latarki w tę stronę, podobnie jak wszyscy pozostali, rozproszeni wzdłuż bariery.

Zdawało się, że pokryta naciekami i miejscami wykruszona płaskorzeźba wyobraża wielką bitwę. Nad walczącymi unosiły się skrzydlate anioły uzbrojone we włócznie i łuki. W dole poskręcane demony próbowały wydostać się z podziemi, szczerząc zęby i prężąc pazury. Płaskorzeźba przywiodła Kat na myśl obraz Hieronima Boscha, tyle że wyrzeźbiony w soli.

– Wiecie, co to jest? – zapytała, nie odrywając wzroku od stropu.

– Nie... – odparł z rozczarowaniem w głosie Śląski.

– Słyszałam pogłoski o jakimś piekielnym dziele sztuki w głębi kopalni – powiedziała Klara – ale z powodu zalania i ryzyka zawałów niewielu śmiałków zapuszcza się w jej odległe części. Zresztą nienaruszone przeszkody, przez które musieliśmy się przebijać, wyraźnie świadczą o tym, że nikt tu nie zaglądał od wielu lat. – Pokręciła głową. – Może nawet dziesięcioleci, jeśli nie dłużej.

Kat wyprostowała się i zaświeciła wzdłuż zakrzywionej ściany groty. Z pewnością miała pół kilometra długości. Wiedziała, że nie mają wyboru.

– Musimy przeszukać całość – zadecydowała.

Nikt nie zaoponował, wszyscy wyczuwali znaczenie dokonanego odkrycia.

– Wypatrujcie czegoś, co może być ważne albo niezwykle.

Sam z grymasem patrzył na makabryczną dekorację.

– Jakby cokolwiek tutaj było zwyczajne.

Szli gęsiego, z Klarą na czele. Światło latarek podskakiwało po solnym arcydziele, ożywiając pole bitwy.

Siedem par oczu pilnie przypatrywało się każdemu szczegółowi.

Kat pierwsza spostrzegła anomalię, i to w ostatniej chwili. Cofnęła się, wpadając na Monka, i skierowała na nią snop światła.

Wtedy on też to zauważył.

– Już widzieliśmy tego robaczka, prawda? – szepnął do niej.

Wszyscy do nich podeszli, świecąc w to samo miejsce.

„Robaczek” był ukryty wśród aniołów – po prostu kolejna skrzydlata figura krążąca nad hordą demonów.

Kat rozpoznała symbol – taki sam ozdobił grobowiec Smithsona.



Był to skrzydlaty owad, może ćma, ale Kat wiedziała swoje.

To była osa.

– Musimy przyrzeć się z bliska – rzuciła Kat.

Szybko rozbili solne sople i filary, żeby odsłonić symbol. Jak większa część długiej płaskorzeźby, był pokryty skorupą soli zacierającą szczegóły.

Kat sięgnęła po butelkę z wodą, zamierzając rozpuścić i zmyć sól.

Piotr przepchnął się do niej i wyciągnął termos.

– Gorąca herbata – powiedział po polsku.

Żaden z braci nie znał angielskiego, więc Klara przetłumaczyła.

– Mówi, żeby spróbowała pani gorącą herbatą. Powinna lepiej usunąć sól niż zimna woda.

Dobry pomysł.

Kat zmoczyła chusteczkę gorącą herbatą, a resztę wylała na symbol. Przycisnęła chusteczkę do wyrzeźbionego owada.

– Miejmy nadzieję, że pod solą coś jest – zwróciła się do Monka, gdy czekała – może wiadomość zostawiona tu przez Smithsona. Jeśli tylko uda się...

Wciąż naciskając miejsce na płaskorzeźbie, poczuła, że solna skorupa ustępuje. Wizerunek osy wsunął się w ścianę. Usłyszeli głośny trzask, osuwało się coś dużego.

Kat odsunęła się, upuszczając chusteczkę i odpychając wszystkich.

Przed nią część stropu opadła, miażdżąc stalaktyty. Usłyszeli szum rwącej wody i jęk potężnych kół zębanych.

Przypomniała sobie obracające się daleko nad nimi koło wodne, które widziała wcześniej.

Najwyraźniej nie ono jedno działało.

Fragment stropu opadł i dotknął podłoża, tworząc pochylnię.

Kat spojrziała w zapraszającą ich ciemność.

– No i popatrz, co narobiłaś – powiedział Monk.

Fujikawaguchiko, Japonia

9 maja, godzina 11.58 czasu miejscowego

– Dwie minuty – uprzedził Gray.

Siedział na motocyklu Yamaha PES2 z silnikiem elektrycznym. Wraz z czterema członkami zespołu ukrywał się w lesie za kompleksem Fenikkusu Laboratories. Wszyscy mieli kaski wyposażone w radia i wyświetlacze HUD. Gray widział rzucany na wewnętrzną stronę osłony widok z kamer głównych sił uderzeniowych zbliżających się do bramy frontowej.

Popatrzył na cel wznoszący się pośrodku grodzonego terenu: pagodę ze szkła i stali, zwaną *Kōri no Shiro*, Lodowy Zamek.

Dochodziło południe, ale niebo było ciemne. Po zboczach góry Fudzi toczyła się burza z piorunami i bombardowała je gradem. Trzasnęła błyskawica, przeglądając się w Lodowym Zamku.

Szalejąca burza powinna im się przysłużyć, osłaniając ich wejście do środka.

– Minuta – uprzedził przez radio.

Aiko kucała za motocyklem po jednej stronie, Palu po drugiej. Aiko powiększyła zespół o dwóch mężczyzn, Hogę i Enda. Zwerbowała ich z grupy zadaniowej świeżo utworzonej jednostki wywiadu japońskiego. Ona i jej ludzie pod kaskami mieli czarne maski, przez które widać było tylko oczy, więc cała trójka przywodziła na myśl współczesnych wojowników ninja. Gray nie miał pojęcia, jak wyglądają mężczyźni; wiedział tylko to, że są gibcy, muskularni i uzbrojeni po zęby.

Gdy odliczał ostatnie sekundy, serce waliło mu w uszach; nie mógł się doczekać rozpoczęcia akcji. Stracili cenny czas, żeby się tu dostać. Po zakończeniu ataku bombowego wezwali pomoc przez radio. Z Midway natychmiast wysłano po nich śmigłowce. Po bezpiecznym wylądowaniu w bazie Kowalski i kuzyni Palu zostali przetransportowani do szpitala, gdzie zajęli się nimi lekarze. Tua wciąż był w stanie krytycznym.



Pozostałych Gray zabrał do prywatnego odrzutowca, który z maksymalną prędkością pomknął do Japonii. Podczas lotu Aiko opracowała plan ataku, a także powiadomiła swoich zwierzchników, że koncern Fenikkusu Laboratories ponosi odpowiedzialność za atak na Hawajach. Wskazała pagodę jako najbardziej prawdopodobny cel, ponieważ tam przebywał Takashi Ito, a także z powodu tajnego charakteru ośrodka. Z obawy, żeby informacje nie dotarły do wroga, przekazała je tylko zaufanym osobom. Wyraziła również zaniepokojenie, że być może ludzie z Fenikkusu Laboratories przekupili albo zaszantażowali kogoś z nowo powstałej agencji, wykorzystując okres reorganizacji służb wywiadowczych.

W rozmowie telefonicznej Painter podzielił te obawy. Przekazał również najświeższe informacje o ewakuacji na Hawajach. Dwa słowa ilustrowały tę akcję: panika i chaos. Sytuacja coraz bardziej się pogarszała.

Dlatego też dyrektor Sigmy położył szczególny nacisk na priorytet misji: za wszelką cenę odkryć, jakie środki zaradcze podjął wróg przeciwko zagrożeniu. Gray rozumiał sugestię kryjącą się za tym rozkazem. Nawet jeśli będzie trzeba poświęcić Seichan i Kena.

W kasku widział, jak grupa japońskich sił bezpieczeństwa zbliża się do głównej bramy. Na czele jechał pojazd pancerny. Miniczołg nie zwolnił. Wyposażony w taran, uderzył w stalową bramę, otwierając drogę dla brygady. Nad motocyklami i jeepami ryknęły syreny.

Jakby w odpowiedzi na hałas, zadudnił grzmot i rozwidlona błyskawica rozdarła chmury. Zimny deszcz spadł jak ciemna zasłona, tłumiąc panujące w dole zamieszanie.

– Jazda, jazda! – krzyknął przez radio Gray.

Pod osłoną burzy, wykorzystując odwróconą uwagę ochrony kompleksu, ruszyli ze wzniesienia na tyłach. Pędzili przez ciemny las ze zgaszonymi reflektorami. Deszcz utrudniał widoczność, ale wyświetlacze HUD rzucały na osłony noktowizyjny obraz górskiego szlaku, którym jechali. Od czasu do czasu błyskawice zacierały go, co działało na nerwy, nikt jednak nie zwolnił.

Nawet Palu.

Hawajczyk już na Maui powiedział, że ma doświadczenie w jeździe terenowej. Jak się okazało, nie skłamał, podskakując na skałach i ślizgając się w błocie, zaimponował Grayowi umiejętnością jazdy na motorze.

Skoro nie musiał się martwić o Palu, Gray zwiększył tempo, żeby pokonać ostatnie kilkaset metrów przez las. Ponieważ wszyscy w kompleksie skupiali uwagę

na bramie, nikt nie podniósł alarmu, gdy pięć motocykli z poślizgiem wyhamowało przed ogrodzeniem na tyłach.

Hoga zeskoczył z motoru, jeszcze zanim ten się zatrzymał i przewrócił. Odpiął z uda pojemnik i podszedł do ogrodzenia. Rozbłysnął płomień, jasny jak wybuch supernowej. Hoga przysunął palnik do siatki i przeciął ją jednym ruchem ręki.

Nie był to zwyczajny palnik acetylenowy, ale urządzenie opracowane przez nową agencję Aiko, będącą, jak przypuszczał Gray, japońskim odpowiednikiem Sigmy.

Co nie znaczy, że Aiko potwierdziła jego domysły.

Mając otwartą drogę, wemknęli się na teren kompleksu i schyleni pobiegli po wypielegnowanych trawnikach do kępy drzew. Kierowali się ku lądowisku dla śmigłowców. Z informacji uzyskanych przez Aiko wynikało, że w pobliskim budynku jest wejście do tunelu prowadzącego do piwnic głównej wieży.

Ich celem było dotarcie do podziemnego laboratorium, zanim siły atakujące od frontu rozpoczną systematyczne przeczesywanie kompleksu. Nie mogli ryzykować, że ktoś wykasuje i zniszczy dowody.

Przebiegli w deszczu do betonowego budynku obok lądowiska. Po drugiej stronie wieży wyły syreny, na co nakładały się rozkazy wyszczekiwane przez megafony.

Na znak Graya jego grupa wpadła przez otwarte drzwi do małego hangaru. Dwóch pracowników w beżowych kombinezonach, już zdenerwowanych z powodu panującego hałasu i zamieszania, podskoczyło na ich widok.

Hoga i Endo podbiegli z uniesioną bronią i bezgłośnie ich unieszkodliwili. Hoga strzelił pierwszy. Smukłe strzałki uderzyły w pierś jego celu. Seria impulsów elektrycznych sprawiła, że wstrząsany drgawkami mężczyzna upadł i po chwili znieruchomiał.

Endo strzelił do drugiego robotnika, trafiając go w szyję czymś, co przypominało dużego czarnego pajaka ze stali. Pocisk wpompował do organizmu szybko działający środek usypiający. Mężczyzna zrobił dwa kroki i osunął się na podłogę.

Atak trwał trzy sekundy.

Mijając nieprzytomnych ludzi, Gray spojrzał na dzieło Hogi i Enda. Podziwiając ich broń, zdał sobie sprawę, że Sigma musi popracować nad czymś takim albo przynajmniej wymienić się informacjami z powstającą agencją Aiko.

Gdy dotarli do prowadzącej w dół pochylni, spojrzał przed siebie.

Skoncentrował się, świadom, o co się toczy gra. Celem tej operacji nie było wprawdzie ratowanie Seichan i Kena, lecz świata, ale dla niego te dwa cele się łączyły.

Gdy zeszli po pochylni do długiego tunelu, narzucił szybkie tempo, napędzany pytaniem, które budziło w nim strach.

Czy już się spóźniliśmy?

## Godzina 12.08

Czas się kończy.

Ken patrzył, jak doktor Oshiro idzie do niego przez laboratorium. Siedział przy stanowisku przydzielonym zespołowi Gamma.

Postawa kierownika laboratorium wyrażała dominację, żądanie podporządkowania mu się w tym małym królestwie. Grymas niezadowolenia na jego twarzy sugerował, że Ken nie może liczyć na dalszą zwłokę. Stało się to jeszcze bardziej jasne, gdy Oshiro przywołał strażnika.

Chcą usłyszeć odpowiedź, domyślił się Ken.

Współpraca albo śmierć.

Wcześniej, grając na zwłokę, poprosił kierownika o zgodę na przejrzanie dokumentacji badań, argumentując, że to pomoże mu podjąć decyzję. Podejrzliwość na twarzy Oshira świadczyła o tym, że przejrzał tę wymówkę. Mimo wszystko wyraził zgodę, w oczywisty sposób zadowolony, że to zakończy jego rolę przewodnika wycieczki.

Od ponad dwóch godzin przypatrywał się Kenowi z drugiego końca laboratorium, oceniając go jak kandydata ubiegającego się o posadę.

I może tak było.

Wcześniej Ken wybrał zespół Gamma, wyczuwając, że w ich badaniach jest coś znaczącego. Siedział z teczką. Na okładce widniały japońskie znaki 農林水産省, Nōrin-suisan-shō, czyli japońskie Ministerstwo Rolnictwa, Leśnictwa i Połowów Morskich. Teczka zawierała podanie o dotacje na badania, a także raporty z obiecujących prób wprowadzania na rynek nowego preparatu owadobójczego, toksyny uzyskanej z peptydów wyodrębnionych z jadu os Odokuro.

Oshiro podszedł do stołu i stanął, podpierając się pod boki.

– Jakie są pana wnioski po zaznajomieniu się z badaniami zespołu Gamma? Może pan udowodnić, że jest pan coś dla mnie wart?

Ken wyprostował się na krześle.

– Tylko takie, że ta praca prowadzi w ślepią uliczkę.

Szef laboratorium uniósł brwi, zaskoczony jego beczelnością. Nawet członkowie zespołu Gamma spojrzeli na Kena z konsternacją. Kenowi było przykro, że tak lekceważąco podsumował ich starania, ale wnioski były zrozumiałe same przez się.

– Jak to? – rzucił Oshiro wyzywającym tonem.

– Przejrzałem analizy DNA widmowego peptydu.

W ten obrazowy sposób badacze nazwali bezskutecznie poszukiwaną proteinę, zapowiadając się obiecująco jako środek owadobójczy. Zidentyfikowali szereg genów, które potencjalnie mogłyby ją produkować, ale nie znaleźli jej w gruczołach jadowych gatunku.

– Zespół Gamma rzeczywiście poluje na ducha – dodał Ken. Wskazał komputer, na którym przeglądał kod, czytając sekwencję jak podręcznik. – Mieli rację co do analizy genetycznej. Wydaje się, że te serie genów kodują enzymy biolityczne wymierzone przeciwko stawonogom. Każdy owad, któremu wstrzyknie się tę toksynę, rozpuści się od środka.

– Otóż to – powiedział Oshiro. – Taka substancja byłaby idealnym pestycydem.

Ken jeszcze nie dał za wygraną.

– Ale przedstawiciele gatunku Odokuro w końcu się nauczyli, że lepiej jest zachować ofiarę przy życiu. To co przypadkowo odkrył zespół Gamma, jest fragmentem śmieciowego DNA, starego kodu, który już nie koduje białek, ale wciąż jest wpisany w DNA os. Nie zastanawiał się pan, dlaczego zespołowi nie udało się znaleźć tej proteiny?

Oshiro zająknął się, mamrocząc coś o trudnościach i wyzwaniach.

Ken wszedł mu w słowo, nie dbając o to, że w ten sposób go obraża i krytykuje jego przedsięwzięcie.

– Jak u większości gatunków na tej planecie, łącznie z nami, DNA Odokuro jest mieszaniną aktywnych genów, śmieci i fragmentów kodu uzyskanych wskutek kontaktów z wirusami i bakteriami. W rzeczywistości to zarażenie os prastarymi mikrobami Łazarza dało im zdolność hibernowania przez setki lat.

Oshiro wzruszył ramionami.

– Do czego pan zmierza?

– Brakującego białka, tego widmowego peptydu, nie można znaleźć, ponieważ jego kod jest ewolucyjną ślepią uliczką. – Wskazał członka zespołu Gamma. – Przedstawił mi pan metylację DNA w tych genach i to, że sekwencja genów jest zamknięta przez markery epigenetyczne.

– *Hai* – przytaknął mężczyzna.

– Te markery, zdobiące DNA jak choinkowe lampki – ciągnął Ken – decydują, czy ten fragment kodu kiedykolwiek się uaktywni, czy DNA kiedykolwiek wyprodukuje proteiny takie jak te, których szukacie. – Spojrzał na członków zespołu Gamma, potem na Oshira. – Innymi słowy, ten stary fragment bezużytecznego kodu dawno temu został zamknięty, a klucz wyrzucony.

Oshiro głośno przełknął ślinę.

Ken wzruszył ramionami.

– Bez tego idealnego klucza ta sekwencja nigdy nie wyprodukuje żadnych protein. A odtworzenie klucza, który zasadniczo ma milion permutacji, jest prawie niemożliwe.

Kierownik laboratorium powiódł wzrokiem po zmartwionych twarzach. Nikt nie chciał spojrzeć mu w oczy.

– Jeśli ma pan rację... – zaczął.

– Badania utknęły w ślepej uliczce – znów wszedł mu w słowo Ken.

Oshiro zacisnął zęby, naprężając mięśnie szczęki.

– Może Takashi Ito miał co do pana rację – powiedział tak, jakby każde słowo sprawiało mu ból. – Może jednak na coś się pan przyda.

Skinął na strażnika. Ken odgadł, że po zdaniu tego egzaminu usłyszy propozycję zatrudnienia na stałe – propozycję nie do odrzucenia.

Jak mógłbym dla nich pracować?

Dreszcz przebiegł mu po plecach, gdy przygotowywał się na spotkanie z nieuchronnym.

Nagle ryknęła syrena, obwieszczając stan zagrożenia.

Wszyscy zamarli.

Ken jako jedyny odetchnął z ulgą.

Nie do wiary, uratował go dzwonek.

## Godzina 12.28

Syrena wyła, gdy Gray kucnął na podeście schodów w piwnicy. Nad jego głową duże stalowe drzwi odcinały drogę na wyższe kondygnacje wieży. Przypuszczał, że podobne drzwi strzegą wszystkich innych wyjść.

Nieprzyjaciel uszczelnił to miejsce.

Po drodze nie napotkali większego oporu. Zgodnie z ich oczekiwaniami, ochronę przyciągnęła strzelanina przy głównym wejściu. Gray i jego towarzysze zdążyli się tu wśliznąć, ale co dalej?

Aiko próbowała znaleźć odpowiedź na to pytanie. Klęczała nad technikiem laboratoryjnym skulonym na podeście. Hoga przyciskał nóż do szyi przerażonego mężczyzny, a ona szybko mówiła po japońsku. Podczas przesłuchania Enda stał na straży w korytarzu i puszczał krótkie serie, żeby zachęcić ewakuujący się personel do szukania innego wyjścia. Obaj ludzie Aiko zdjęli hełmy, ale zachowali czarne maski, więc wciąż przypominali anonimowych wojowników ninja.

Alarm nagle umilkł.

Cisza działała na nerwy.

Aiko wyprostowała się i pozwoliła jeńcowi uciec. Spojrzała na Graya.

– Powiedział, że mężczyznę odpowiadającego rysopisowi profesora Matsuiego zabrano na poziom czwarty. – Wskazała w dół schodów. – Do laboratorium toksykologicznego.

– A Seichan?

Pokręciła głową.

– Nic o niej nie wie.

Gray, wiedząc, że Aiko zrobiła wszystko co w jej mocy, nie miał wyboru; musiał się pogodzić z tym, co usłyszał. Mógł tylko mieć nadzieję, że Ken i Seichan są razem.

– Idziemy – rzucił.

Zbiegli po schodach na czwarty poziom. Niżej znajdował się następny, ale wstęp blokowały czerwone drzwi. To ich zaintrygowało, ale zignorowali tę zagadkę i ruszyli w głąb korytarza czwartego poziomu.

Aiko prowadziła, kierując się wskazówkami, które uzyskała od przesłuchanego mężczyzny. Przebyli szereg pustych korytarzy. Od czasu do czasu ktoś wyglądał zza uchylonych drzwi, ale szybko zniknął, spłoszony widokiem broni.

– Na końcu korytarza. – Aiko wskazała drzwi opatrzone symbolem zagrożenia biologicznego. – To powinno być tutaj.

Gray przyśpieszył. Pierwszy dotarł do drzwi i wpadł do wielkiego laboratorium pełnego najnowocześniejszego sprzętu. Omiótł je lufą sig-sauera, podczas gdy inni się rozproszyli.

Ludzie, którzy tu pracowali, uciekli w pośpiechu. Na stołach leżały rozrzucone papiery, na podłodze potłuczone naczynia laboratoryjne. Z jednego komputera snuł się dym, jakby ktoś usmażył twardy dysk.

Gray spojrział na Aiko, czując zimny ciężar na sercu.

Tu ich nie ma.

## Godzina 12.32

Ken biegł wzdłuż ściany zaciemnionego korytarza.

Co ja robię?

Cztery minuty temu podjął pośpieszną decyzję. Gdy alarm wzniesił panikę w laboratorium, zszedł wszystkim z drogi, żeby go nie stratowali. Przez tę krótką chwilę nikt nie zwracał na niego uwagi. Nawet Oshiro zagarnął dla siebie uzbrojonego strażnika i pociągnął go do wbudowanego w ścianę wysokiego sejfu.

Ken wykorzystał zamieszanie, żeby przekraść się do dwuskrzydłowych czerwonych drzwi w głębi pomieszczenia. Chciał za nie zajrzeć od chwili, gdy trafił do laboratorium, ciekaw, jakie badania są prowadzone w tajemnicy przed Oshirem.

Teraz jednak kierowały nim inne motywy.

Miał nadzieję, że ktoś wewnątrz zareaguje na alarm i otworzy drzwi. Tak też się stało. Ken przypuszczał, że są stamtąd inne wyjścia, ponieważ z tego nikt nie korzystał w ciągu wielu godzin, jakie spędził w laboratorium. Ale przynajmniej dla jednego technika te drzwi musiały stanowić najbliższą drogę ucieczki.

Ken skorzystał z okazji, żeby się za nie prześliznąć. Gdy się zamknęły, usłyszał szmer automatycznego zamka. Wiedział, że Oshiro nie ma możliwości za nim podążyć. Oddzielony barykadą od porywaczy, Ken ruszył w głąb tej odizolowanej części kompleksu badawczego.

Gdy skradał się korytarzem, słyszał głosy dobiegające z otwartych drzwi przed sobą. Na korytarz wylewało się światło. Zbliżył się ostrożnie. Bał się, żeby ktoś go nie usłyszał w złowieszczej ciszy, jaka zapadła po ucichnięciu alarmu.

Dotarł do drzwi i zobaczył maleńkie pomieszczenie z rzędem zlewów. Na półkach leżały zielone fartuchy i pudełka rękawiczek. W powietrzu unosił się silny zapach mydła i jodyny. Najwyraźniej była to umywalnia chirurgiczna.

Za oknem w sąsiednim pomieszczeniu duża lampa oświetlała dwoje ludzi w fartuchach i maskach, pracujących przy stole operacyjnym. Śpieszne ruchy świadczyły o tym, że alarm zaskoczył ich w trakcie operacji.

Ken już miał pójść dalej, żeby go nie zauważyli, kiedy wyższa z dwóch osób przesunęła się, odsłaniając leżącą na stole pacjentkę.

Seichan...

Obawiając się najgorszego, wrócił do umywalni i zerknął przez okno.

– Nie mamy czasu, żeby ją uśpić i przygotować – powiedział chirurg z wyraźnym rozdrażnieniem. – Trzeba z niej zrezygnować jako z obiektu badań.

– *Hai*, doktorze Hamada – odparła pielęgniarka. – A co z płodem?

– Jeśli się pośpieszymy, zdążymy go wydobyć. Już zemdląca z bólu. Jest przypięta pasami, więc możemy przeprowadzić histerektomię bez anestezji. Wyjmiemy płód wraz z macicą. Nie jest to idealne rozwiązanie, nie takie, na jakie liczyłem, ale komórki macierzyste płodu będą bardzo pożyteczne.

– Przygotuję instrumenty.

– Szybko. Bunkier może paść lada chwila. Długo nie utrzymają wyjścia.

– *Hai*.

Gdy pielęgniarka podeszła do półek, sfrustrowany doktor Hamada pochylił się nad pacjentką.

– Strasznie żałuję, że tracę tę okazję – powiedział. – Chociaż może w sumie nie ma to znaczenia. Rezonans magnetyczny wykazał, że drugie instary w jej mięśniach rosną, przygotowując się do trzeciego linienia. Zapewne niektóre larwy już rozpoczęły ten proces. – Wzruszył ramionami. – Wielka szkoda. Z drugiej strony, żywy embrion powie nam więcej teraz niż po zjedzeniu przez instary.

Przerażony tymi planami Ken rozglądał się po małym pomieszczeniu, szukając broni, jednocześnie mając na oku salę operacyjną. Pielęgniarka wróciła z zapieczętowanym pakietem, położyła go na tacy ze stali nierdzewnej i rozdarła.

Czas się kończy...

Złapał, co miał pod ręką, z trudem przełknął ślinę i wpadł do sali operacyjnej. Pielęgniarka stała bliżej drzwi. Zaskoczona, podskoczyła z krzykiem. Ken uniósł gaśnicę i chlasnął ją dyszą w twarz. Japonka zamrugnęła, sięgnęła do oczu i zatoczyła się do tyłu.

Minął ją, złapał gaśnicę za uchwyt i uderzył lekarza w bok głowy. Metal zadźwięczał w zderzeniu z czaszką. Mężczyzna osunął się na kolana, po czym padł twarzą na podłogę.



Ken odwrócił się ku pielęgniarce. Kobieta przetarła oczy i zobaczyła leżącego szefa. Gdy Ken z groźną miną zrobił krok w jej stronę, odwróciła się i pobięła do wyjścia. Nie miał czasu jej ścigać. Modlił się, żeby w rozgardiaszu towarzyszącym ewakuacji nie znalazła kogoś, kto mógłby tu interweniować.

Szybko rozpiął pasy, którymi była skrepowana Seichan. Jej głowa kiwała się bezwładnie, usta wykrzywiały się w bolesnym grymasie. Straciła przytomność z cierpienia i wyczerpania.

Podszedł do kroplówki, z której jakiś płyn ściekał przez rurkę do igły w jej ręce. Ścisnął w palcach rurkę, gotów ją wyrwać. Zamierzał podnieść Seichan ze stołu i zabrać do jakiejś kryjówki.

Ale co potem?

Zdał sobie sprawę, że taki plan skończy się ich pojmaniem albo śmiercią. Odwrócił się w stronę stojącego w pobliżu wózka z zestawem reanimacyjnym. Wsunął górną szufladę i zobaczył rząd leków pierwszej pomocy. Przesuwał palcami po butelkach, czytając etykiety. Zatrzymał rękę na ampułce morfiny, ważąc zalety środka uśmierzającego ból przeciwko ryzyku dla dziecka.

Jeszcze nie...

Zdecydował się na epinefrynę. Miał nadzieję, że jeśli zdoła wyrwać Seichan ze spowodowanego przez ból omdlenia, sama poradzi sobie z cierpieniem. Przynajmniej dopóki stąd nie uciekną.

Napełnił strzykawkę, podszedł do Seichan i wsunął igłę w wenflon. Nie wiedział, ile i jak podać, więc powoli wstrzykiwał dawkę.

Taka ostrożność była nie do zniesienia.

Oddychał przez zaciśnięte zęby.

Dalej...

Jęk leżącego na podłodze doktora Hamady odzwierciedlał jego uczucia. Ken pamiętał ostrzeżenie lekarza o zagrożeniu dla życia nienarodzonego dziecka, o tym, że larwy już zaczynają przeobrażać się w trzecie instary.

Spojrzał na odsłonięty brzuch Seichan.

Dobry Boże, błagam, żeby on się mylił.

## DRUGI INSTAR

Larwa powoli przemieszczała się w zmacerowanym mięsniu. Była rozdęta, najedzona do syta. Od czasu ostatniego linienia powiększyła się dziesięć razy – miała dobre pół centymetra długości. Segmentowany szkielet zewnętrzny nie mógł się bardziej rozciągnąć i zaczął ciemnieć. Napięcie spodniej warstwy epidermy sprawiło, że gruczoły ulokowane za mózgiem wydzieliły hormon, ekdyzon, żeby przygotować larwę do kolejnego zrzucenia skóry.

Upośledzona, poruszała się wolniej i jadła mniej – ponieważ już nie potrzebowała paliwa, żeby rosnąć, i dlatego, że sztywniejące żuwaczki utrudniały przeżuwanie. Pomiędzy miękkim oskórkiem i sztywną zewnętrzną kutykulą narastała gruba warstwa płynu nawilżającego. Gruczoły w głowie i tułowi produkowały płynny jedwab.

Proces nie przebiegał zupełnie spokojnie. W jej ciele zachodziły zmiany. Na bokach tworzyły się drobne białe plamki – tarcze imaginalne – wskazując miejsca, gdzie z czasem wyrosną skrzydła. Wzdłuż ciała wiły się srebrne niteczki, czekając, aż staną się tchawkami.

Gdy larwa leniwie przebijała się przez tkanki, w pewnym momencie uderzyła w coś twardego. Żuwaczkami obadła przeszkodę, definiując podłużny kształt.



Rozpoznała zbity pakiet jedwabiu. Węsząc, wyczuła, co skrywa się w środku.



Gdy omijała przeszkodę, pojawiło się więcej szczegółów, ujawniając przemianę zachodzącą wewnątrz kokonu. Była tam inna larwa.



Była cicha i nieruchoma... ale tylko na pozór. Wewnątrz tej martwej łupiny wykluwało się życie. Powstawała świeża warstwa nabłonka. Wyrastały nowe żuwaczki, mocne, przeznaczone do przegryzienia się przez kość.

Kiedy larwa ominęła przeszkodę, poruszała się coraz wolniej, zbliżając się do chwili, kiedy ona też uwije sobie gniazdo i rozpocznie przeobrażenie.

W czasie tego przebijania się narastała w niej ewolucyjna pewność.

Już niedługo.

Fujikawaguchiko, Japonia

9 maja, godzina 12.39 czasu miejscowego

Seichan zbudziła się z tak silnym dźgnięciem bólu między oczami, aż ją oślepiło. Lata brutalnego szkolenia w Gildii nauczyły ją kontrolowania odruchów warunkowych. Pomimo pulsowania w głowie i dezorientacji ani drgnęła, koncentrując się na miarowym oddychaniu, by nie zdradzić, że odzyskała przytomność.

Gdy oślepiający ogień przygasł, leciutko uchyliła powieki.

Ujrzała nad sobą jasne światła. Twardy, zimny stół chłodził jej nagie plecy. Poczowała silny zapach środków antyseptycznych. Jej serce biło szybko – zbyt szybko, galopowało, chociaż nie powinno.

Słyszała gorączkowy szept.

– Dalej, dalej, dalej...

Rozpoznała akcent profesora Matsuiego. Jego nagłący głos zdradzał panikę.

Nie poruszyła się jednak, czekając jeszcze kilka sekund, dyskretnie rozglądając się po otoczeniu. Kącikami oczu chłonęła detale.

Jestem w sali operacyjnej.

Wreszcie Ken wszedł w pole widzenia. W jednej ręce trzymał strzykawkę, a w drugiej szklaną buteleczkę.

– Nie mogę jej podać zbyt wiele – mamrotał do siebie, wbijając igłę w gumową zatyczkę.

Znowu zwróciła uwagę na nienaturalnie szybkie trzepotanie serca.

Spowodowane przez lek.

Adrenalina...

Zrozumiała, że mężczyzna próbuje ją wybudzić, i obróciła głowę w jego stronę. W tej samej chwili za Kenem pojawił się cień w masce na twarzy i stroju chirurgicznym.

Rozpoznała go.

Doktor Hamada...

Mężczyzna sięgnął rękami do gardła Kena.

I w tym momencie Seichan wkroczyła do akcji.

Już mając napięte mięśnie, zeskoczyła ze stołu, zrywając serwety chirurgiczne z na wpół nagiego ciała. Nie odrywając wzroku od Hamady, chwyciła skalpel z otwartego pakietu. Stojak kroplówki przewrócił się, wyrrywając wenflon z jej ręki. Odepchnęła Kena z drogi i złapała lekarza za szyję.

Błyskawicznie prześliznęła się za doktora i wsunęła skalpel pod jego szczękę, przykładając ostrze do pulsującej tętnicy.

Pojawiła się kropla krwi.

– Przyda się nam? – zapytała, z trudem poruszając spękkanymi ustami.

Ken potrzebował chwili, żeby wziąć się w garść i zrozumieć sens jej pytania. Przeniósł spojrzenie ze skalpela na twarz jej jeńca. Hamada zeszywniał, świadom, że jego życie zależy od następnych słów.

– Nie... może... – Ken spojrzał na wahadłowe drzwi. – Wyła syrena, trwa ewakuacja. Słyszałem, jak wspomniał o wyjściu przez jakiś bunkier.

– Pokażesz nam drogę – syknęła Seichan do ucha lekarza. Kolanami uderzyła go w tył nóg i rzuciła na podłogę, po czym przekazała skalpel Kenowi. – Pilnuj go.

Wziął ostrze w drżące palce, ale po chwili pewnie zacisnął rękę.

Podeszła do kosza z wyrzuconymi fartuchami i szybko włożyła jeden, nie zwracając uwagi na zaschniętą krew. Wetknęła włosy pod czepek chirurgiczny i zawiązała maskę, tak że wisiała luźno na jej podbródku. Zawsze będzie mogła ją podnieść, żeby ukryć rysy twarzy. Miała nadzieję, że półzajatyckie pochodzenie pozwoli jej uchodzić za Japonkę z personelu.

Przygotowawszy się, kazała Kenowi zrobić to samo. Profesor pomknął do sąsiedniego pomieszczenia i minutę później wrócił w stroju chirurgicznym.

Seichan podniosła Hamadę z podłogi.

– Pokaż nam wyjście... a może przeżyjesz.

Lekarz skwapliwie pokiwał głową.

– Na końcu korytarza jest winda.

Ruszyli. Seichan wbijała pięść w plecy Hamady i przyciskała skalpel do jego boku. Była przekonana, że mężczyzna zdaje sobie sprawę, że wbicie skalpela w nerkę i przekreślenie ostrza spowoduje śmiertelne obrażenia.

Gdy szli, krew płynąca z ranki po wyrwanym wenflonie ściekała z jej nadgarstka.

W zasadzie nie czuła bólu – co uznała za podejrzanę.

– Co mi dałeś? – zapytała profesora. – Morfinę, fentanyl?

Pamiętała, jak Hamada mówił, że silny środek przeciwbólowy może zaszkodzić dziecku.

– Nie – odparł Ken. – Tylko epinefrynę. Dlaczego pytasz?

– Nieważne. Ból nie jest tak silny jak wcześniej.

Ken i Hamada wymienili spojrzenia.

– Co? – zapytała, widząc zmartwienie na twarzy profesora.

– Przed trzecim linieniem larwy na krótki czas się uspokajają. Być może właśnie to się dzieje. Ale kiedy wylęgną się trzecie instary...

Zawiesił głos, co wiele mówiło o czekającym ją bólu i zagrożeniu.

Zrozumiała. W tej chwili doświadczała spokoju przed burzą.

W milczeniu doszli do wind na końcu korytarza. Seichan posłużyła się zerwaną z szyi Hamady kartą elektroniczną, żeby wezwać kabinę. Gdy drzwi się otworzyły, szybko weszli do środka.

Seichan zwróciła uwagę, że na pulpicie jest tylko jeden przycisk – na dół – ani jednego ku powierzchni. Kazała Kenowi przytrzymać drzwi, żeby się nie zamknęły, i dźgnęła Hamadę skalpelem tak mocno, że skrzywił się z bólu.

– To pułapka?

– Nie, nie – zapewnił ją ze zboląłą miną. – Wszystkie laboratoria na dole są zamknięte, na wypadek gdyby próbowała tam przeniknąć konkurencja. Tylko ściśle wyselekcjonowany personel ma dostęp do poziomu piątego. Bunkier badawczy na dole ma własną trasę ewakuacyjną, zapewniającą bezpieczną ucieczkę osobom o kluczowym znaczeniu dla firmy.

Spojrzała na Kena, bez słowa pytając, czy wie coś więcej.

Ze zmartwionym wyrazem twarzy skinął głową.

– Słyszałem, jak mówił, że wyjście na dole może zostać szybko zamknięte.

– To prawda – potwierdził lekarz.

Nie mając innej możliwości i wiedząc, że czas ucieka, Seichan weszła głębiej do windy i kazała Kenowi zrobić to samo. Gdy drzwi się zamknęły, z korytarza dobiegł głośny huk, jakby próbując ich zatrzymać.

Za późno.

Godzina 12.48

Gray machnął ręką, odpędzając dym od twarzy. Osłonięty solidnym stołem, kucnął między Aiko i Palu w kolistym laboratorium. Dwaj zamaskowani mężczyźni, Hoga i Endo, rozmieścili ładunki wybuchowe wokół zawiasów i automatycznego zamka dużych czerwonych metalowych drzwi, po czym skryli się w pobliżu.

Gray patrzył, jak drzwi przewracają się w kłębach dymu.

– Wstawaj! – krzyknął Palu do skulonego obok niego mężczyzny.

Był to Yukio Oshiro, kierownik laboratorium. Kilka minut temu, gdy stwierdzili, że pomieszczenie jest puste, naukowiec wbiegł z krzykiem, że wszystkie wyjścia z podziemnych poziomów zostały zablokowane. Mówił rozkazującym tonem, przekonany, że są członkami ochrony kompleksu.

Broń wycelowana w jego pierś szybko wyprowadziła go z błędu. Aiko kazała mu uklęknąć z rękami na karku.

Przesłuchała go w dwie minuty. Dowiedziała się, jaką funkcję tu sprawuje, i zmusiła go do otworzenia ściennego sejfu, w którym zaraz po ogłoszeniu ewakuacji umieszczono całą dokumentację badawczą. Otworzenie zamka wymagało zeskanowania siatkówki. Powieki prawego oka mężczyzny już puchły, bo gdy próbował stawiać opór, Endo siłą przycisnął jego twarz do czytnika.

Schowali teczki do plecaków, po czym wyruszyli na poszukiwanie Kena i Seichan. Oshiro nawet nie słyszał o Seichan, ale jego mina zdradziła, że wie o profesorze Matsumim. Wyglądało na to, że w panującym zamieszaniu Ken zdołał się wymknąć i odgrodzić zamkniętymi drzwiami od pościgu.

Sprytnie...

Gray wskazał ręką wysadzone z zawiasów drzwi. Mając otwartą drogę, ruszyli do ściśle chronionej części kompleksu. Oshiro nie miał tam wstępu, więc nie mógł służyć za przewodnika, ale Palu i tak go zabrał. Naukowiec z pewnością wiedział o prowadzonych badaniach więcej, niż opisano w dokumentach.

Był więc na razie cenny.

Szli w głąb korytarza, mijając puste sale operacyjne i laboratoria medyczne. Cicho nawoływali Kena, ale nie uzyskali odpowiedzi.

Komandor martwił się, bo wiedział, że mają ograniczony czas na akcję ratunkową. Akta i Oshiro byli zbyt ważni, żeby długo ryzykować. Jeśli w teczkach znajdowały się jakieś informacje mogące pomóc w opanowaniu plagi Odokuro, należało jak najszybciej wydobyć je na światło dzienne.

Aiko również zdawała sobie z tego sprawę. Obrzuciła Graya twardym spojrzeniem, z łatwością do odczytania troską. Mieli dość materiałów wybuchowych, żeby

wydostać się z zamkniętej piwnicy, ale z każdą minutą pobytu na dole ryzykowali wszystko – w imię poszukiwań, które mogły okazać się daremne.

A jeśli złapali Kena i go zabili?

Hoga przystanął kilka metrów dalej i osunął się na kolano. Uniósł dwa palce w powietrze, pokazując wilgotne, ciemne opuszki.

Krew.

Mimo zagrożenia dla misji Aiko wskazała przed siebie, chcąc podążać tym tropem. Na końcu korytarza zobaczyli drzwi windy. Były pomalowane na czerwono, jak te, które wysadzili, żeby się tutaj dostać. Endo wskazał mniejsze drzwi z boku. Przez wąskie okno zobaczyli prowadzące w dół schody.

Nie na górę.

Jeśli Ken tutaj dotarł, mógł pójść tylko w jedną stronę.

Niestety, drzwi były zamknięte.

Gdy Hoga i Endo przygotowywali kolejny ładunek, Gray spojrzał na Oshira.

– Co jest na dole? – spytał.

Naukowiec pokręcił głową.

– Nie...

– Musiałeś słyszeć jakieś pogłoski – przerwał mu Gray. Nawet w ściśle tajnych ośrodkach rządowych wszyscy szepczą i snują domysły. – Co słyszałeś?

Oshiro spuścił wzrok.

Pału potrząsnął nim za kołnierz.

– Mów!

Naukowiec skulił się ze wstydu.

– Prowadzą eksperymenty... eksperymenty na ludziach.

## Godzina 12.50

– Przejść do fazy drugiej – rozkazał Takashi, korzystając z telefonu szyfrującego.

– *Hai, Jōnin* Ito – odparł dowódca wyspiarskiej bazy koncernu na Morzu Norweskim. – Natychmiast się tym zajmę.

Takashi, siedząc przy biurku, w wyobraźni ujrzał dziesiątki samolotów ruszających z lodowych pasów startowych. Za kilka godzin flota powietrzna wyrzuci ładunki os w głównych miastach Europy.

Zakończył rozmowę.



Była siódma... i ostatnia.

Samoloty już powinny startować na innych wyspach, posiadanych albo dzierżawionych przez Fenikkusu Laboratories na całym świecie. Z wyjątkiem Antarktydy, żaden kontynent nie zostanie oszczędzony.

Zadowolony, że nic nie powstrzyma rozpętanej przez niego burzy, powoli wstał zza biurka. Sięgnął po laskę i mocno zacisnął chude palce na gałce w kształcie feniksa ze złota i drewna różanego. Ostre pióra i dziób mitycznego stworzenia wbijały mu się w skórę, gdy podpierał się, głęboko oddychając.

Nawet ten nieznaczny wysiłek stanowił dla niego wyzwanie.

Kiedy złapał oddech, pokuśtykał po matach *tatami* pokrywających tekową podłogę. Maty były tradycyjne, splecione z trawy *igusa*, z wewnętrzną warstwą ze słomy ryżowej, w przeciwieństwie do tańszych wersji z tworzyw sztucznych.

Podszedł do ściany i odsunął ekran *shoji* zasłaniający prywatny sejf. Przyłożył prawą dłoń do czytnika i zrobił to poprawnie dopiero po drugiej próbie. W duchu przeklął nowy system bezpieczeństwa, który kazał zainstalować jego wnuk.

I spójrz, Masahiro, dokąd zaprowadziła cię ta ostrożność.

Nagle poczuł się tak, jakby przybyło mu lat. Otworzył grube drzwiczki i wyjął jedyny przedmiot znajdujący się w sejfie. Wewnątrz bryły szkła akrylowego znajdował się kawałek bursztynu zawierający kości prehistorycznego gada. Stworzenie zostało zidentyfikowane jako młody arizozuch, żyjący we wczesnej kredzie niewielki dinozaur o krokodylim łbie. W jego kościach i czaszce znaleziono mnóstwo cyst.

Takashi wolał jednak pierwotną, elegantszą nazwę znaleziska.

*Diabelska Korona.*

Oparł laskę o ścianę, wiedząc, że będą mu potrzebne obie ręce, żeby zanieść skarb na biurko. Był ciężki, chociaż stanowił tylko część bryły wykradzonej z tuneli pod Waszyngtonem. Resztę bursztynu pochłonęły dziesiątki lat badań nad jego śmiertelnościami tajemnicami.

Ogromnie cenił to, co pozostało, pamiętał bowiem o przelanej krwi i straconym życiu, o cenie za sprowadzenie bursztynu do Japonii. Wreszcie spełniał złożoną przed wieloma laty obietnicę. Operacja realizowana od kilku dni służyła zarówno osobistej zemście, jak i triumfowi, który od dawna należał się Japonii.

Stojąc przy biurku, zerknął na pozostawioną laskę.

Przeniósł spojrzenie na nieśmiertelnego feniksa, symbol wiecznej natury os, zdolności Odokuro do odradzania się z popiołów.

Jak nowe cesarstwo japońskie.

Był to jego dar dla Miu za jej poświęcenie, za jej miłość.

Nawet z wyżyn swojego biura słyszał bitwę toczącą się na parterze, gdy japońskie siły specjalne atakowały Lodowy Zamek. Słyszał echo wybuchów i strzałów, ale wydawały się dalekie, drobne i mało znaczące.

Popatrzył przez okno na wierzchołek góry Fudzi. Szalała burza, błyskawice oświetlały szczyt i rozległe zwały czarnych chmur. Siła burzy szydziła z nieistotnej walki na dole.

Dłuższe zwlekanie nie byłoby jednak mądre.

Takashi podniósł telefon i przeprowadził ostatnią rozmowę przed udaniem się do śmigłowca, który czekał na dachu pagody, żeby go zabrać w bezpieczne miejsce. Tutaj zakończył pracę. Nie potrzebował stąd niczego poza tym, co leżało na biurku i symbolizowało pęknięte serce Miu.

Położył rękę na Diabelskiej Koronie.

Dokonało się, ukochana.

Usłyszał sygnał nawiązania połączenia. Zgłosił się szef ochrony. Mężczyzna czekał na tę rozmowę, gotów odebrać ostatni rozkaz. Takashi go wydał, nakazując odpalenie rozmieszczonych w całym budynku ładunków zapalających.

Nadszedł czas, żeby spalić Lodowy Zamek.

Wieliczka, Polska

9 maja, godzina 5.51 czasu miejscowego

*Porzućcie wszelką nadzieję...*

Elena wspomniała słowa wypowiedziane przez Monka po wejściu do kopalni. Gdy szła za innymi po pochylni do rozległej komory, nie mogła przestać myśleć o ostrzeżeniu Dantego.

Napięcie i niejasny strach uciszyły rozmowy. Piotr, brat Klary, został przy wejściu, na wypadek gdyby ukryte drzwi same z siebie postanowiły się zamknąć.

Światła przesywały ciemność, snopy blasku skakały we wszystkie strony. Uwagę Eleny przyciągnął plusk ściekającej wody. Wysoko na ścianie wisiało duże drewniane koło wodne, obracane przez strumień spływający ze stropu i znikający w dziurze w podłożu.

Wyobraziła sobie jezioro nad głową i zobaczyła otwarty właz, z którego wylewała się woda. Musiał się otworzyć, kiedy Kat wcisnęła przycisk w kształcie osy. Woda wprawiała w ruch koło i przekładnie zębate, opuszczając pochylnię.

Stary mechanizm wyglądał jak pokryty szronem, co sugerowało, że sól spetryfikowała drewno, jak stemple, które wcześniej poklepywała Klara.

Tylko że to drewno wciąż mówiło – a ściślej rzecz ujmując, jęczało.

Koła zębate złowieszczo trzeszczały, a to wielkie skarżyło się niskim zawodem.

Przebiegł ją dreszcz, gdy słuchała tego żałobnego tonu. A może przyczyną drżenia był nagły chłód – powietrze w komorze było znacznie zimniejsze, pachnące solą i wilgocią, a także czymś gorzkim, gryzącym.

Jak swąd starego ogniska zalanego wodą.

Szli przez grotę. Strop wisiał na wysokości dziesięciu metrów. Komora dorównywała wielkością kaplicy Świętej Kingi, ale po kilku krokach stało się jasne, że nie jest poświęcona żadnemu świętemu.

Kamień pod nogami stał się ciemniejszy, przyciemniony przez ogień.

Płaską powierzchnię urozmaicały drobne pagórki.

Kat przyjrzała się bliżej jednemu z nich.

– Zwęglone kości – oznajmiła i machnęła latarką, oświetlając dziesiątki kopczyków. Jedne były zwarte, inne wydłużone. – Szczątki uwięzionych tu górników.

Monk podszedł do największego stosu.

– I koni – dodał, kręcąc głową.

Elena wróciła myślą do opowieści o górnikach i koniach, które rzadko, jeśli w ogóle, widziały światło dnia. Takie komory były gotowymi izolatkami. Nic dziwnego, że kopalnia zdołała powstrzymać uwolnioną tu plagę.

I zachować ją w tajemnicy.

Gdy ostrożnie szli pomiędzy kopczykami, Klara się przeżegnała. Sekundę później Elena zrobiła to samo, modląc się o ochronę.

Kat przystanęła, żeby skrobnąć podeszwą buta oleistą warstwę sadzy wokół wysokiego kopca popiołu.

– Chcąc oczyścić to miejsce, spiętrzyli drewno, potem polali wszystko olejem używanym do lamp, podłożyli ogień i zapieczętowali grotę.

Elena, przyglądając się kopcom, próbowała wyobrazić sobie uwięzionych tu robotników. Nie wyczytała paniki w układzie ich szczątków; nic nie zdradzało, że biegli do wyjścia. Od Klary dowiedziała się, że górnicy tworzyli zżyłą rodzinę. Ludzie w tej komorze byli prawdopodobnie zbyt chorzy, żeby szukać ratunku... a może rozumieli, że stanowią zagrożenie dla reszty kopalni i poświęcili się w imię większego dobra.

Znów nakreśliła znak krzyża – tym razem z szacunku dla zmarłych, bo wiedziała, że ich cierpienie ocaliło świat, nie pozwalając pladze wydostać się z kopalni.

Spojrzała na szczątki.

Oto prawdziwi święci kopalni, pomyślała.

– Chodźcie to zobaczyć! – zawołał Sam.

Zaraz po wejściu obaj z doktorem Śląskim ominęli cmentarzysko i podeszli do ściany. Jej dolną część pokrywała warstwa sadzy, jakby dawne płomienie uderzyły tu niczym fale, przyczerniając skałę.

Gdy inni do nich podeszli, zaświecili wyżej. Jasne światło zdawało się wnikać w ścianę, rozpalać ją, nadając jej bogaty czerwony odcień.

Kat wypuściła powietrze przez zęby, a Monk ostro zagwizdał.

Mężczyźni odsunęli się, świecąc wyżej i na boki.

– Bursztyn – powiedział Śląski, patrząc na Amerykanów. – To bursztyn.

Zdumieni odkryciem, wszyscy skierowali latarki na ściany i strop. Kamień pochłaniał światło i jarzył się wewnętrznym ogniem.

– Jest tak, jakbyśmy byli w środku klejnotu – szepnęła Elena.

– Może jesteśmy. – Śląski przeciągnął palcami po ścianie. – Zobaczcie, jaka jest gładka.

Elena sprawdziła.

– Jakby bursztyn się stopił i zastygł.

– Właśnie. Bursztyn mięknie w temperaturze stu pięćdziesięciu stopni Celsjusza. Staje się plastyczny. Współcześni rzemieślnicy wykorzystują tę cechę. Podgrzewają okruchy, a kiedy zmiękną, pod wysokim ciśnieniem łączą je w większe bryły.

Kat cofnęła się i zadarła głowę, wodząc wzrokiem po rozległej przestrzeni.

– Mówi pan, że właśnie to stało się tutaj?

– Tylko na znacznie większą skalę. – Głos Polaka wyrażał niemal nabożne zdumienie. – Jeśli naprawdę stąd pochodził bursztyn Smithsona, to oznacza, że złoże ma setki milionów lat. Powstało w czasach, kiedy tę część wybrzeża Tetydy porastały lasy iglaste, zanim siły tektoniczne rozerwały superkontynent. Temperatura i ciśnienie towarzyszące tym procesom mogły ścisnąć miękki bursztyn i uformować ten gigantyczny bąbel.

– No dobrze – rzuciła Kat. – Ale jeśli rzeczywiście stąd pochodziła próbka Jamesa Smithsona, to gdzie została wydobyta?

Klara zaświeciła w głąb komory. Tam ściana była naruszona i skruszona.

Szli przez komorę, mijając żelazne wózki i głowice kilofów na wpół pogrzebane w popiele. Elena wyobraziła sobie płonący porzucony sprzęt, po którym zostały tylko te żelazne szkielety.

Obok niej Sam i Śląski kontynuowali badanie ściany. Wyglądało na to, że w grocie zachowały się inne szczątki, o wiele starsze.

Sam przystanął i przycisnął latarkę do bursztynu, rozpalając go od środka.

– Boże, to chyba *Cyllonium* w nienaruszonym stanie – szepnął z wielkim przejęciem.

Wszyscy skupili się przy nim.

W bursztynie unosił się skrzydlaty owad wielkości pięści.

– To ogromna cykada – wyjaśnił Sam. – Z wczesnej kredy.

Chwilę później entomolog pośpieszył dalej.

– I spójrzcie tutaj. Cała chmara *Austroraphidia*, wymarłych wielbłądków z tego samego okresu.

Elena patrzyła na bursztyn pełen, jak mogło się zdawać, owadów zastygłych w locie. Miały po piętnaście centymetrów długości i dwa razy dłuższe skrzydła.

Sam szedł dalej, przystając i świecąc latarką.

– *Kararhynchus*, wymarły żuk z późnej jury... *Eolepidopterix*, prehistoryczna olbrzymia ćma... *Protolepis*, jeden z pierwszych prawdziwych motyli...

Prowadził ich przez to prehistoryczne insektarium, pokazując ogromne mrówki, parecznika długiego jak ręka Eleny, wielkiego pająka rodem z koszmarów. Wśród tej encyklopedii wymarłych robaków, żuków, much i ciem były również fragmenty drzew. Gałązki i konary. Prymitywne szyszki. Duże, szerokie liście. Elena zatrzymała się przy wielkim kwiecie, którego śnieżnobiałe płatki wyglądały na tak świeże jak w chwili, gdy się rozwinęły.

Ale to nie było wszystko.

Kat wskazała czaszkę wielkości kuli do kręgli, zaopatrzoną w szpiczastą krokodylą szczękę z ostrymi zębami.

– Zdecydowanie gad – szepnęła.

Monk pokiwał głową.

– Jakby ktoś zmiksował kawał jurajskiej historii i postanowił zachować ją w bursztynie.

– I wygląda na to, że wszystko pochodzi z tego samego okresu co bursztynowa bryła Smithsona – dodała Kat.

Stojący kilka metrów dalej Sam przywołał ich ruchem ręki.

– Tutaj – rzucił ponuro.

Gdy podeszli, Elena dostrzegła w jego oczach błysk strachu. Serce załomotało jej w piersi.

Sam świecił latarką w głąb bursztynu, oświetlając uwięziony rój znajomych owadów o czarno-szkarłatnych odwłokach.

Osy wojowniczeki.

– Odokuro – orzekł Sam. – Są tutaj.

## Godzina 6.04

Zdecydowanie znaleźli się we właściwym miejscu.

Kat czuła jednocześnie ulgę i przerażenie. Od trzech minut szła wraz z innymi wzdłuż zakrzywionej ściany. Z każdym krokiem widziała coraz więcej wcieleń tego piekielnego gatunku, od maleńkich trutni po wielkie królowe. W miarę jak się przesuwali, liczba konkurujących gatunków malała, zastępowana przez dokonujące spustoszenia osy, aż w końcu zostały prawie tylko Odokuro.

I łatwo było zobaczyć dlaczego.

– Uch! – Elena oderwała wzrok od małej jaszczurki z brzuchem rozdartym przez oszalą osę.

Odokuro niszczyły prehistoryczne środowisko, pożerając i wykorzystując całą biomasę.

Dwie osoby okazały niewielkie zainteresowanie tym zatrważającym widokiem. Śląski i Klara poszli dalej. Doktor przystanął i opadł na kolano.

Gdy Kat podeszła, usłyszała, że ze złością w głosie mówi po polsku do Klary.

– Co się stało? – zapytała Kat.

Śląski wycedził przez zęby coś, co z pewnością było przekleństwem, i wstał. Szybko wziął się w garść i wskazał kolejną część ściany. Z poczerniałej części na dole wyrąbano kilka bloków i w głębi jaśniał świeży bursztyn.

– Nie zrobili tego górnicy, którzy tutaj zmarli – wyjaśnił. – To robota złodziei, którzy przyszli później.

Kat zrozumiała. Ktoś tu był po tym, jak wszystko zostało spalone. Ktoś się dowiedział o bezcennym złożu i postanowił ukradkiem skorzystać z okazji.

– Czarni górnicy – dodała Klara, równie poruszona jak Śląski. Spojrzała w stronę pochylni. – Może dlatego ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby zamaskować wejście.

Monk przysunął usta do ucha żony.

– To może również wyjaśniać, jak James Smithson wszedł w posiadanie swojej bryły. Najpewniej kupił ją od jednego z tych czarnych górników.

Skinęła głową.

Jeśli tak, prawdopodobnie z tego samego źródła dowiedział się o dawnej tragedii.

Kat pomyślała o pierwszej grupie górników, którzy skruszyli uwięzione w bursztynie prehistoryczne kości, uwalniając kryptobiotyczne cysty. Umierali potworną śmiercią, gdy po wchłonięciu cyst w ich ciałach wylęgły się larwy – i zjadały ich od środka, aż z wyjedzonych ciał wydostały się dorosłe osy.

Podczas gdy Kat przystanąła, oglądając zniszczoną ścianę, Sam szedł dalej, wzdłuż światłem latarki z góry na dół. Kątem oka zobaczyła, że zatrzymał się, cofnął o krok i znów przysunął do ściany, oglądając wybrane miejsca.

– Słuchajcie! – zawołał. – Coś... coś tu jest nie w porządku.

Podeszli, przyciągnięci jego skonsternowanym tonem. Oświetlili fragment bursztynu i zobaczyli Odokuro we wszystkich koszmarnych wcieleniach.

Kat uniosła brwi, nie mając pojęcia, co tak zaniepokoiło entomologa.

Sam zbliżył się do ściany, kierując snop światła na kilka okazów.

– Sądzę, że już były martwe, zanim ugrzęzły w żywicy.

– Dlaczego tak uważasz? – zapytała Kat.

– Jeśli przyrzeć im się z bliska, można zobaczyć, że są zdeformowane. Spójrzcie na tę wojowniczkę. Egzoszkielet się zapadł. Otaczający go bursztyn jest zaplamiony.

Kat zmrużyła oczy, a Elena nałożyła okulary.

Ma rację, pomyślała Kat.

Osa wyglądała na zmiażdżoną, jej powłoka pękła. Bursztyn przyciemniały niewyraźne pasemka, jakby dusza owada opuszczała martwe ciało.

– To chyba hemolimfa – odezwał się Sam. – Jakby osa wykrwawiła się przed śmiercią.

Monk przyjrzał się z bliska.

– Mogła zostać zmiażdżona przez ciśnienie, które uformowało ten bąbel.

– Nie. – Sam się odsunął. – Wygląda na to, że wszystkie osy w tej części odniosły identyczne obrażenia, podczas gdy inne gatunki... tu *Palaeolepidopterix*, tam *Tektonargus*... niczego takiego nie wykazują.

Popatrzył na nich z głębokim przekonaniem.

– Cokolwiek je zabiło, zginęły, zanim żywica je zakonserwowała.

Kat powoli pokiwała głową, przyznając mu rację.

– Jeśli zdołamy się dowiedzieć, co to było... – Popatrzyła na pozostałych. Nie musiała mówić tego, co było oczywiste.

Oto mieli przed sobą cel swojej podróży. Coś w prehistorycznej przeszłości zahamowało rozprzestrzenianie się tego drapieżnika, uniemożliwiając mu całkowite zdominowanie pradawnego świata.

Ale co to było?

Poszli dalej. Śląski i Klara teraz im towarzyszyli, zaintrygowani ich nagłym podnieceniem.

Lampy oświetliły następny fragment ściany, ukazując destrukcję Odokuro. Żadna kasta nie została oszczędzona. Tysiące maleńkich zwiadowczyń utworzyły wysokie sterty. Strażniczki leżały zdeformowane, zgniecione. Dziesiątki królowych wisiały w mgiełce swojej krwi.



Ale jakie było źródło tych zniszczeń?

Kilka metrów dalej uwagę Kat przyciągnął błysk koloru. Zaświeciła tam latarkę. Inni zrobili to samo.

Na skalnym podłożu leżały zwłoki... ale nie spopielone szczątki górnika.

Martwy mężczyzna miał nietknięte ubranie, jego blada cera kontrastowała z ciemnymi włosami i brodą. Twarz – zakonserwowana dzięki wysokiemu stężeniu sodu w powietrzu – wyrażała szok i przerażenie. W pobliżu leżał kilof. Mężczyzna miał skrępowane ręce.

Łatwo było określić przyczynę jego śmierci.

Miał poderżnięte gardło.

Powód zabójstwa też był oczywisty.

Niedaleko od zwłok stała wyrębana ze ściany wysoka do pasa kostka bursztynu. W dawnych czasach musiała być warta fortunę.

– Czarny górnik – powiedział Śląski.

Klara ze smutkiem pokiwała głową.

– Z takimi złodziejami rozprawiano się brutalnie.

Sam podszedł obejrzeć zniszczoną część ściany, która wydawała się pociemniała, ale nie od dawnego ognia. Wrócił do bloku bursztynu, który miał podobny odcień. Postawił na nim latarkę, przykucnął i z nagłym krzykiem klapnął na pośladki.

Blok jarzył się jak lampa. Światło ujawniło ukryty wewnątrz skarb. Nic dziwnego, że martwy górnik chciał ukraść tak dużą bryłę. Jak mógłby się oprzeć?

Sam podniósł się na kolana, nie odrywając wzroku od znaleziska.

– Profesor Matsui się mylił... wszyscy się mylili. – Jego ton wyrażał konsternację.

Fujikawaguchiko, Japonia

9 maja, godzina 13.05 czasu miejscowego

– Zjechaliśmy niżej niż o jeden poziom – powiedział Ken, gdy wysiedli z windy na poziomie piątym. Czuł w uszach zmianę ciśnienia podczas trwającej minutę jazdy z poziomu czwartego.

Nawet temperatura była tutaj niższa.

Ogarnął wzrokiem krótki korytarz prowadzący do stalowych rozsuwanych drzwi. Pusty.

Skinął na Seichan, żeby wyszła za nim. Ubrana w fartuch chirurgiczny i maskę, brutalnie pociągnęła doktora Hamadę za ramię. Drugą rękę przyciskała do jego boku, grożąc mu ukrytym skalpelem.

– Na jakiej głębokości jesteśmy? – zapytała.

– Siedem... siedemdziesiąt metrów – wyjąkał Hamada.

Ken wzdrygnął się wewnątrz. Był to odpowiednik wkopanego w ziemię dwudziestopiętrowego budynku.

– Dlaczego tak głęboko?

– Ten poziom służy jako bunkier dla naszych najtajniejszych prac. Podobno może przetrwać atak nuklearny. Miejsce zostało wybrane również z uwagi na wyjątkową budowę geologiczną, która zapewnia naturalną izolację.

– To znaczy? – Pot na czole Seichan świadczył o tym, że kobieta wciąż cierpi, choć larwy w jej ciele się uspokoiły.

– Sami zobaczcie. – Hamada wskazał rozsuwane drzwi. – Na stacji ewakuacyjnej.

Gdy podeszli, drzwi się otworzyły, odsłaniając koliste laboratorium, jeśli chodzi o wielkość, takie samo jak to na górze. Nikogo tam nie zastali. Naprzeciwko wejścia mrugała zielona strzałka, zapewne wskazując drogę ewakuacyjną dla personelu na tym poziomie.

Ken rozglądał się, gdy śpieszyli w tamtą stronę.

Z laboratorium sąsiadowały pomieszczenia zawierające klatki ze szczurami i królikami. Na stołach stały wirówki, termocyklery i autoklawy. Półki były zastawione naczyniami laboratoryjnymi i butelkami z enzymami restrykcyjnymi, reagentami i roztworami buforowymi.

Zwolnił, gdy zauważył dwie wiele mówiące etykiety: CAS9 i TRACRRNA PLASMID.

– Przeprowadzacie tu Crispr/Cas – zwrócił się do Hamady.

Doktor wzruszył ramionami.

Seichan spojrzała pytająco na Kena.

– To metoda inżynierii genetycznej – wyjaśnił. – Mając taki sprzęt, mogą wycinać fragmenty DNA jak litery z encyklopedii. Bez większego wysiłku.

– Z czym tutaj eksperymentujecie? – zapytała Seichan, każąc im się zatrzymać. Jej pełen napięcia głos i błysk w oku wskazywały, że ma nadzieję, iż badania mają związek z lekiem.

– Prowadzimy wnikliwe badania nad strukturą genetyczną os, żeby rozwikłać tajemnicę zdumiewającej długowieczności gatunku – odparł Hamada.

Kena zmroził strach.

– Chcesz powiedzieć, że eksperymentowaliście z fragmentem DNA zapożyczonym od mikroobów Łazarza, które przed wiekami zainfekowały osy.

– Owszem. Po dziesięciu latach dokładnego analizowania pożyczonych fragmentów DNA stwierdziliśmy, że Odokuro wykorzystują je w wyjątkowy i zdumiewający sposób. Odkrycie wygląda obiecująco nie tylko dla przedłużania życia, ale też być może nawet dla zmartwychwstania.

Ken spojrzał na niego ostro.

– To obłąd!

– Wolę określenie „myślenie perspektywiczne” – sparował Hamada. – Niestety, musieliśmy długo czekać na opracowanie najnowocześniejszych narzędzi, takich jak metoda Crispr/Cas, żeby przeprowadzić próby kliniczne.

Wskazał szereg ciemnych okien blisko drzwi.

Seichan pchnęła go do przodu. Ken nie chciał zaglądać przez te okna, ale nie mógł się powstrzymać. Skraje szyb od wewnątrz były lekko oblodzone, jakby w pomieszczeniu panował mróz.

Przyćmione światła oświetlały długi rząd łóżek szpitalnych. Zajmowali je mężczyźni i kobiety, od nastolatków po osoby w podeszłym wieku. Leżeli nieruchomo, podłączeni do wszelkiego rodzaju aparatów, od kroplówek po elektroencefalografy rejestrujące aktywność mózgu, która nawet zza szyby wyglądała na znikomą.

Hamada to potwierdził.

– Wszyscy są w śpiączce farmakologicznej. Nie jesteśmy potworami. Trzymamy się ścisłych zaleceń i minimalizujemy ból i stres obiektów badań.

Ken miał inne zdanie, ale go nie wyraził, bo odjęło mu mowę.

„Pacjenci” wyglądali makabrycznie. Jeden miał poparzone ręce, pokryte czarną spękaną skórą. Drugi leżał z otwartym brzuchem, z widocznymi wysuszonymi jelitami. Kobieta przy oknie była od pasa w dół zamrożona w bloku lodu. Wszędzie mnożyły się okropności: okaleczenia, sączące się wrzody, zdarta skóra, oparzenia popromienne.

Przypomniał sobie, co czytał o japońskich obozach w Chinach podczas drugiej wojny światowej, gdzie naukowcy przeprowadzali koszmarnie eksperymenty biologiczne na więźniach i okolicznych wieśniakach. Najwyraźniej ktoś odrodził tamten program w nowym tysiącleciu.

Gdy mijali kolejne okna, Hamada próbował usprawiedliwić swoją pracę, chociaż nie do końca zdołał ukryć wstyd.

– Oddziałujemy inwazyjnie na tkanki, na narządy. Ustanawiamy granice, a potem zaczynamy testy, badając zdolność genów Łazarza do regenerowania uszkodzonych części ciała.

Seichan dość już zobaczyła. Jej twarz zastygła w maskę furii. Wiedziała, że właśnie tu planował sprowadzić ją Hamada, żeby eksperymentować na niej i jej dziecku.

Lekarz krzyknął, dźgnięty skalpelem, gdy popchnęła go ku drzwiom. Ken nie miał ochoty zostawać tu dłużej. Stracili dużo czasu i nie dowiedzieli się niczego, co pomogłoby Seichan.

Za drzwiami labirynt korytarzy prowadził do biur i mniejszych laboratoriów. Mrugające zielone strzałki wskazywały drogę ewakuacyjną. W korytarzach robiło się coraz zimniej. Przyśpieszali za każdym kolejnym zakrętem, czując, że czas się kończy.

Wreszcie czerwone drzwi na końcu korytarza się otworzyły.

Omyło ich lodowate powietrze.

Wybiegli na coś, co mogłoby uchodzić za nieskazitelnie czystą stację japońskiego metra. W długim tunelu przy wąskim peronie stało siedem białych wagoników w kształcie kapsulek. Przez maleńkie okna widzieli stłoczone w nich postacie.

Ostatni ludzie ewakuujący się z tego poziomu.

Ken dostrzegł także mężczyzn z karabinami na ramionach. Szedł po peronie ze schyloną głową, odwracając wzrok. Seichan robiła to samo, wbijając pięść w plecy Hamady.

Pierwszy wagonik nagle wystartował, odjeżdżając bezgłośnie w głąb ciemnego tunelu. Był zasilany elektrycznie i nie jechał po szynach; napędzały go niewielkie koła zębate, stabilizowane przez umieszczone z przodu i z tyłu dwie pary dużych płóz.

Profesor zobaczył, że powierzchnię tunelu tworzy wypolerowany lód. Przypomniał sobie słowa Hamady, że to miejsce zostało wybrane z powodu naturalnej izolacji zapewnionej przez wyjątkową budowę geologiczną.

Teraz zrozumiał.

Była to jedna z licznych rur lawowych góry Fudzi. Koledzy po fachu z laboratorium w Kioto pokazywali mu zdjęcia z wycieczek do jaskiń lodowych Narusawa na zboczach wulkanu, z grotami i tunelami pokrytymi lodem, obwieszonymi krystalicznymi stalaktytami. Podobno cała góra jest pocięta przez takie wiecznie zamrożone korytarze.

Ludzie z Fenikkusu Laboratories wykorzystali górę, ponieważ oferowała naturalne chłodzenie i gotowy tunel zapewniający idealną trasę ucieczki. Ken wyobraził sobie wagonik mknący pod jeziorem Kawaguchi do jakiegoś dalekiego bezpiecznego miejsca.

Gdybyśmy tylko my mogli tam dotrzeć...

Kiedy podeszli do ostatniej kapsuły, drzwi się otworzyły. Było tam mnóstwo miejsca dla trojga ostatnich maruderów.

Niestety, połowę wagonika zajmowali uzbrojeni ludzie.

Pod wodzą znajomej osoby, która wyszła im na powitanie.

Wala Michajłowa.

Miała na sobie biały skafander z kapturem. Z bladą twarzą i śnieżnymi włosami wyglądała jak królowa tej lodowej stacji. Wyniosły uśmiech podkreślał jej pretensje do korony i władzy.

Seichan osłoniła się Hamadą jak tarczą.

– Cofnij się – poleciła Kenowi, który jednak nie ruszył się z miejsca.

Wala miała za sobą grupę mężczyzn i kobiet o surowych rysach, szybkich i uzbrojonych. Ken rozpoznał kilka twarzy z atolu Ikikauō. Byli to starannie dobrani ludzie, lojalni i bezlitośni.

Rozpoznał jeszcze jedną osobę.

Wala w jednej ręce miała duży pistolet, a drugą trzymała starszą kobietę w niebieskim fartuchu. Była to pielęgniarka, która uciekła z sali operacyjnej. Wyglądało na to, że jednak znalazła kogoś w trakcie ewakuacji, żeby wszcząć alarm.

Gdy drugi wagonik ruszył w drogę, usłyszeli stłumione wycie alarmu.

Ken obejrzał się i zobaczył, że ostatnia zielona strzałka zmieniła kolor na czerwony.

Wala też to zauważyła.

– Wygląda na to, że nasz znamienity przywódca rozkazał zniszczyć tę poświęconą nauce pagodę. – Wycelowała z pistoletu. – Co nie znaczy, że to będzie wasze zmartwienie.

Strzeliła.

## Godzina 13.11

To nie wróży nic dobrego.

Gray prowadził, na złamanie karku pędząc w dół. Gdy Hoga i Endo wysadzili na czwartym poziomie czerwone drzwi na klatkę schodową, wszyscy rozpoczęli bieg po schodach, które zdawały się nie mieć końca. Gray naliczył dwanaście podestów, zanim prowadzące ich zielone strzałki zmieniły kolor, mrugając na czerwono, i zabrzmiała syrena.

– Szybciej! – ponaglił. Przeskakiwał po kilka stopni, uderzając w ściany i odbijając się na zakrętach.

Aiko, zwinniejsza niż on, wyprzedziła go. Hoga i Endo deptali jej po piętach. Pału biegł na samym końcu, spowalniany przez swojego spanikowanego jeńca, doktora Oshira. Hawajczyk na wpełni niosł naukowca, obejmując go w pasie.

Nagle usłyszeli huk, a po nim kolejne wybuchy.

Komandor skręcał na następnym podeście, gdy lawinowa seria eksplozji zakłócała posadami wieży. Obejrzał się, żeby spojrzeć na innych.

Pału leżał głową w dół na schodach. Uchronił się przed upadkiem na podest, chwytając balustradę, ale wypuścił jeńca. Oshiro siedział na wyższym podeście. Oczywiście miał wielkie ze strachu, ale spoglądał na ręce, jakby chciał potwierdzić, że jest wolny.

Gray przewidział jego ruch.

– Nie!

Oshiro poderwał się i jak zając śmignął po schodach, uciekając na górę. Szybko zniknął za zakrętem.

Pału już się podnosił, gotów go ścigać.

– Daj spokój. – Gray wskazał w dół. – Nie ma czasu.

Jakby na potwierdzenie jego słów, z góry dobiegło przeraźliwe wycie. Poczul w uszach zmianę ciśnienia.

– Biegiem!

Pędzili, skacząc z podestu na podest, zderzając się na zakrętach. Powietrze robiło się coraz gorętsze i gęstsze. Każdy oddech palił ich w płucach. Gray słyszał ryczącego za nimi smoka.

Wyobraził sobie ścigającą ich ścianę płomieni.

Wreszcie dotarli na dół, otworzyli drzwi i wyskoczyli na krótki korytarz.

– Dalej! – ryknął.

Biegli zwartą grupą. Stalowe drzwi rozsunęły się przed nimi, jakby zapraszając ich w bezpieczne miejsce. Wpadli do laboratorium. Uwagę Graya przyciągnął niski szum.

Smok ich dopędził.

Ogień wdarł się za nimi do kolistej przestrzeni, smażąc powietrze, gdy uskoczyli z drogi. Stalowe drzwi powoli się zamknęły i płomienie w laboratorium zgasły. Na zewnątrz panowało piekło. Tryskacze pod sufitem zareagowały na podwyższoną temperaturę i zaczęły zalewać pomieszczenie.

Lepiej późno niż wcale.

Gray zebrał wszystkich.

– Powinniśmy...

Obrócił się, słysząc strzały dobiegające z wyjścia po drugiej stronie laboratorium. Serce ścisnęło mu się w piersi.

Pobiegli do drzwi.

Z każdym krokiem huk strzałów stawał się głośniejszy.

## Godzina 13.15

„Walcz albo giń”.

Tak brzmiały słowa Wali, gdy wcisnęła pistolet w dłoń Seichan. Ta nie pojmowała sytuacji i przez chwilę nie musiała.

Kilka sekund temu Wala strzeliła w nich z pistoletu. Doktor Hamada upadł, trafiony w pierś. Seichan próbowała go podtrzymać, użyć jako tarczy. Drugi pocisk wystrzelony przez Walę zdmuchnął połowę czaszki pielęgniarki.

Wala odepchnęła ciało i wskazała dymiącą bronią ostatni wagonik.

– Wsiadać!

Seichan, otumaniona przez ból i zbyt zaskoczona, żeby cokolwiek zrozumieć, nie ruszyła się z miejsca.

Drzwi innych wagoników otworzyły się i wyskoczyli z nich uzbrojeni ludzie, ponad dwudziestu, wywabieni przez huk wystrzałów. Z początku strażnicy, z pewnością przydzieleni do ochrony najważniejszych członków personelu badawczego, byli zdezorientowani.

Kobieta z białą twarzą wykorzystwała przewagę i otworzyła ogień, powalając połowę z nich dziką serią. W czasie wymiany strzałów wepchnęła Kena do wagonu i dała broń Seichan.

Seichan teraz kuciała przy Wali, która stała w otwartych drzwiach ostatniego wagonika. Razem strzelały do pozostałych ochroniarzy. Wala straciła na peronie czterech swoich ludzi. Pozostali, niektórzy ranni, byli za nimi w wagoniku. Czterech ukrywało się za filarami na zewnątrz, próbując oskrzydlić wroga.

Rosjanka klęła z każdym oddawanym strzałem.

Seichan czuła płynący od niej zapach potu i prochu. Najwyraźniej Wala nie doceeniła ochroniarzy i nie przewidziała ich gwałtownej reakcji. Drogo ją to kosztowało i naraziło ich wszystkich.

Jeden z jej ludzi wyskoczył z kryjówki, żeby mieć lepszy kąt strzału, i padł, zanim zrobił cztery kroki.

Wala zawarczała z frustracji, uznając to za początek impasu. Co gorsza, czas nie był ich sprzymierzeńcem.

Nagle otworzyły się drzwi i na stację pomiędzy ostrzeliwujące się strony wpadła nowa grupa.

Seichan nie mogła uwierzyć własnym oczom.

Gray i Palu mknęli po peronie w towarzystwie trzech zamaskowanych osób. Otworzyli ogień, mierząc w oczywiste zagrożenie: uzbrojonych strażników.

– Do mnie! – ryknęła Wala do swoich pozostałych ludzi, wykorzystując sytuację.

Natychmiast posłuchali i wpadli do wagonika. Wala wsparła wysiłki Graya, eliminując następnego ochroniarza. Seichan zrobiła to samo.

Po kilku sekundach bitwa dobiegła końca.



Jakby na dany znak, kolejny wagonik odjechał w głąb tunelu, a za nim następny, sunąc na wąskich płozach po lodzie.

Gray wraz z pozostałymi pobiegł do ostatniego.

Natychmiast spostrzegł Seichan i ulga rozjaśniła jego twarz, ale wpatrywał się w stojącą obok niej bladą kobietę. Wycelował w nią, gdy się zbliżył.

Seichan podniosła się, osłaniając Walę.

– Odsuń się – warknął Gray.

Stawiła czoło jego furii.

– Jeszcze nie.

## Godzina 13.18

Gray, zdumiony reakcją Seichan, patrzył gniewnie. Kiedy wpadł na peron, spostrzegł dwie kobiety zgodnie strzelające z otwartych drzwi wagonu. Najwyraźniej walcząc ze wspólnym wrogiem, przeciwniczki postanowiły połączyć siły.

Ale bitwa się skończyła.

Jego grupa wymierzyła broń w ludzi w wagoniku; niektórzy byli ranni, inni nie mieli obrażeń. Tamci zrobili to samo.

Co tu się dzieje, do cholery? – zastanawiał się.

Wala schowała pistolet do kabury. Z przesadną ostrożnością sięgnęła do kieszeni, wyjęła mały pendrive i rzuciła go.

Komandor, nie opuszczając pistoletu, złapał urządzenie w locie i zacisnął na nim palce.

– Co to jest?

– Bilet dla mnie i moich ludzi. – Wskazała pendrive. – Są na nim informacje dotyczące lokalizacji magazynu z beczkami pełnymi gazu.

– Gazu?

– Owadobójczego. Opracowanego przez Fenikkusu Laboratories. Skutecznego przeciwko osom, ale wysoce rakotwórczego i toksycznego dla wielu innych gatunków. Spowoduje potworne zniszczenia w ekosystemie, ale robi co trzeba. – Spojrzała na Aiko. – Koncern planował w przyszłych miesiącach i latach wykorzystać gaz do ochrony brzegów Japonii, ale na Hawajach też powinien się sprawdzić.

Gray nagle się ucieszył, że jej nie zastrzelił, zwłaszcza gdy usłyszał następne słowa.

– Pendrive jest zabezpieczony i ulegnie samozniszczeniu, jeśli ktoś spróbuje go otworzyć. – Wala spojrzała na niego. – Przyślę ci kod, kiedy będę bezpieczna.

– Skąd mamy wiedzieć, że to zrobisz albo czy w ogóle coś na nim jest?

– Nie bardziej niż wam zależy mi na końcu świata. Coś takiego nie odpowiada moim planom na przyszłość. Jesteście mi potrzebni, żeby ocalić dla mnie świat.

Zrozumiał.

Przebiegła dziwka chce z nas zrobić narzędzia dla swoich ambicji.

Przyjrzał się jej ekipie. Znał takie twarde rysy; czasami u Seichan widywał podobny wyraz twarzy. Wszyscy kiedyś należeli do Gildii. Skoro przetrwali światową czystkę, musieli być naprawdę dobrzy i niebezpieczni.

I podlegali kobiecie, która miała serce równie lodowate jak kolor jej skóry.

Jak mogę pozwolić im odejść, nasieniu, z którego wyrośnie coś znacznie gorszego?

Westchnął, znając odpowiedź.

Jutro...

Opuścił broń i kazał innym zrobić to samo.

Wala rozciągnęła usta w szyderczym uśmiechu zadowolenia.

– Na znak dobrej woli już wysłałam sygnał autodestrukcji do samolotów startujących z wysp na całym świecie, niosących śmiertelny ładunek do największych miast.

Gray przypomniał sobie trzy cessen lecące ku brzegom Maui.

– Jak więc widzisz – kontynuowała Wala – zajęłam się tym problemem, żebyśmy mogli skupić uwagę na Hawajach. – Wzruszyła ramionami, przenosząc spojrzenie na Seichan. – Niestety, pestycyd nie działa na larwy w organizmie.

Tego się obawiał. Ujął rękę Seichan, czując żar gorączki w jej dłoni i palcach.

– Co oznacza, że zagrożenie na Hawajach nie przeminie – dodała Wala. – Trzeba będzie wciąż dusić je toksycznym gazem. Zniszczenia środowiska będą się kumulować, a wyspy zostaną poddane trwałej izolacji, żeby chronić resztę świata.

Gray spojrzał na Palu, którego twarz zrobiła się szara jak popiół. Takie rozwiązanie nie było najlepsze, ale innego nie mieli.

Trzy pozostałe wagoniki już odjechały. Wiedząc, że nie ma wyboru i musi współpracować, Gray kazał swoim ludziom zająć miejsca obok członków Gildii.

Gdy drzwi się zamknęły, Wala uniosła wzrok.

– Aha, mam jeszcze jeden pożegnalny prezent.

## Godzina 13.22

Takashi Ito stał przed oknem w swoim gabinecie, patrząc na burzę szalejącą nad górą Fudzi. W ciemnych chmurach trzaskały błyskawice. Słuchał gromów, czuł je pod palcami przyciśniętymi do szyby.

Burza odzwierciedlała wrzący w nim gniew.

Kiedy podszedł do okna, szyba była zimna, omywana przez deszcz i bombardowana przez drobny grad. Już się rozgrzała, ocieplona przez buchające z dołu płomienie, gdy ogień wypalał sobie drogę przez stalową konstrukcję. Na dole szalał pożar. Szyby pękały, płomienie przeglądały się w jasnych odłamkach.

Za nim dym z korytarza wsączał się pod drzwiami.

Nikt nie przyszedł po Takashiego.

Kiedy chciał wyjść, stwierdził, że drzwi są zablokowane.

Domyślał się, że jego sekretarz nie żyje, podobnie jak załoga śmigłowca na dachu. Wcześniej widział na ekranie laptopa przekazy z różnych instalacji. Kolejne maszyny eksplodowały w powietrzu i spadały do mórz na całym świecie.

Wiedział, że mogła zorganizować to tylko jedna osoba.

Biała jak najdelikatniejsza porcelana.

*Chūnin* Michajłowa.

Teraz podejrzewał, że nie powiedziała mu prawdy o losie jego wnuka Masahira. Mimo wszystko szanował jej ambicje, które najwyraźniej nie miały granic. Działania tej kobiety świadczyły o tym, że nie chce globalnej apokalipsy, bo to ograniczyłoby jej możliwości, podporządkowało jej przyszłość japońskim panom.

Uznał jednak, że musi spotkać ją kara.

Znając jej najbardziej prawdopodobną trasę ucieczki, już podjął odpowiednie kroki. Kompleks był wyposażony w ostatnie zabezpieczenie, przeznaczone na najgorszy scenariusz. Tym razem nie będzie to oczyszczający ogień.

Ale coś równie oczyszczającego.

Zadowolony, odwrócił się od okna i podszedł do niskiego biurka. Dym zamglił pokój, utrudniając oddychanie.

Takashi Ito osunął się na kolana. Zamierzał zrobić to z wdziękiem, ale mocno uderzył w podłogę, aż zadygotały kości. Zignorował ból i usadowił się przed biurkiem. Spojrzał na burzę, wiedząc, że to jego ostatnia, po czym sięgnął po arkusz grubego papieru.

Nie patrząc, zgiął kartkę raz i drugi. Pamięć kierowała jego palcami. Spoglądał na burzę, ale już nie czuł gniewu. Powoli składał kartkę.

Kiedy skończył, na biurku leżała biała lilia.

Ulubione origami Miu.

Ostrożnie podniósł figurkę i położył ją na bloku zawierającym ostatni kawałek Diabelskiej Korony. Dla niego było to pęknięte serce żony.

Płomienie wspięły się do okna i tańczyły jasno.

To nie potrwa długo, pomyślał.

Dym już go dusił, wdzierając się do gardła i płuc. Niebawem jego ciało spłonie, stając się ostatnim kadzidłem ofiarnym dla ukochanej.

Miu...

Wróciły do niego dziewiętnastowieczne słowa Ōtagaki Rengetsu, przemawiające do cudów i tajemnic kadzidła.

*Smużka*

*Wonnego dymu*

*Z kadzidelka*

*Znika bez śladu:*

*Dokąd zmierza?*

Modlił się i przenosząc wzrok z dzikiej burzy na delikatny kwiat, widział to, co ten kwiat symbolizował.

Proszę, pozwól mi tam pójść.

## Godzina 13.43

Ken trzymał się uchwyty zwisającego z poziomego drążka. Wnętrze wagonika mknącego przez zamarznięty tunel było wyraźnie podzielone. Grupa Wali rozlokowała się z przodu, oni zajęli miejsca z tyłu. Nikt się nie odzywał, nikt nie spuszczał wzroku z przeciwnego obozu.

Ciszę zakłócał tylko grzechot płóz i niskie wycie silnika elektrycznego. Po kilku minutach dźwięk stał się irytujący.

Profesor uznał, że nie powinien się skarżyć.

Nagle w wagoniku zrobiło się ciemno i silnik zgasł.

Siła bezwładności rzuciła ich do przodu. Po chwili zamieszania i przepychania zabłyśły światła na karabinach, rozjaśniając mroczne wnętrza.

– Co się stało? – zapytał Palu, podnosząc się z podłogi.

Gray się rozejrzył.

– Ktoś wyłączył zasilanie.

– Ale kto? – zapytała Seichan.

Wala знаła odpowiedź.

– Takashi Ito.

Wagonik powoli ruszył... ale do tyłu. Bez zasilania, zsuwał się w dół nachylonego tunelu ku stacji.

Komandor podszedł do drzwi.

– Jeśli je otworzymy, możemy wyskoczyć i pójść dalej pieszo.

– Nie uda się – rzuciła Wala, przechylając głowę. – Słuchajcie.

Ken wyteżył słuch, starając się nie zwracać uwagi na walenie serca. Wstrzymał oddech i po chwili usłyszał niskie dudnienie.

– Co to? – szepnął.

Gray zeszywniał.

– Woda – powiedział po chwili.

– Woda z jeziora – sprecyzowała Wala.

Wcześniej Ken wyobrażał sobie tę podziemną trasę, przypuszczając, że prowadzi pod dnem jeziora Kawaguchi.

Wala ściągnęła brwi.

– Ito rozmieścił ładunki wzdłuż tunelu. Pod dnem jeziora, nad naszymi głowami. Zaplanował, że w razie konieczności zaleje to miejsce, zmyje wszystkie dowody swoich działań w podziemiach wieży.

Łącznie z nami, pomyślał Ken.

Wagonik wciąż się zsuwał ku nieuchronnej zagładzie.

– Pomóżcie mi otworzyć drzwi – polecił Gray ludziom Wali. Zwrócił się do partnerów Aiko: – Hoga i Endo, ile wam zostało ładunków?

Jeden podniósł cztery palce, drugi dwa.

– Musi wystarczyć.

Z pomocą Palu i innych Gray otworzył drzwi. Za nimi połyskiwała ściana lodu.

– Wysiadać! – nakazał wszystkim. – Będziemy potrzebować siły i masy, żeby zatrzymać wagonik, póki to jeszcze możliwe.

Nikt nie zaoponował.

Ken wysiadł jako ostatni. Gdy wagonik nabierał prędkości, wszyscy ustawili się za tylnymi płozami. Jednocześnie napparli na wagonik, zapierając się nogami.

Buty ślizgały się po lodzie. Przypominali mrówki próbujące zatrzymać upragniony kęs staczający się po zboczu. Wagonik był wykonany głównie z lekkiego tworzywa, mimo to nie mogli go zatrzymać.

Nagle Ken wpadł na pomysł.

Opuścił swoje miejsce i padł na plecy. Pozwolił, żeby wagonik przetoczył się nad nim, sunąc na złowieszczo bliskich dużych zębatych kołach. Przyglądał się podwoziu.

Dalej...

Wreszcie to zobaczył.

Kłapę blisko miejsca, gdzie, jak przypuszczał, znajdował się blok silnika.

Szybko zwolnił zaczepy i złapał się krawędzi otworu, gdy wagonik się ześlizgiwał. Miał nadzieję, że we wnęce są akumulatory. I tak było. Wolną ręką zaczął je podważać i pozwalał im spadać na lód, tak że zostawiały szlak za wagonem.

Każdy ważył piętnaście kilogramów.

Gdy wyrzucił piętnaście, zmniejszając ciężar o prawie ćwierć tony, wagonik zwolnił i w końcu się zatrzymał.

Ken odetchnął z ulgą. Palu chwycił go za kostki i wyciągnął, po czym zamknął w niedźwiedzim uścisku.

– Szybko myślisz – pochwalił Gray profesora.

– Mam... mam priusa – powiedział Ken, wzruszając ramionami. – Przysięgam, że połowa ciężaru auta to akumulatory.

Obejrzał się. Kilka metrów dalej Hoga i Endo rozmieszczali ładunki wokół obwodu tunelu. Gray kazał ludziom Wali zebrać kilka akumulatorów i zaklinować nimi tylne koła, żeby wagonik nie ruszył z miejsca.

Kiedy wszystko przygotowali, Gray machnął ręką.

– Cofnąć się!

Musiał wrzeszczeć, żeby słyszeli go w szumie pędzącej wody. Jezioro już zalało dolny poziom wieży i pędziło w ich stronę.

Ciężko oddychając ze strachu, Ken wsiadł z innymi do wagonika.

Gdy drzwi się zamknęły, Gray skinął na partnerów Aiko.

– Odpalać! – nakazał.

Jeden z nich wcisnął guzik detonatora.

Siła wybuchu przesunęła wagonik o prawie pół metra. Eksplozja była ogłuszająca; powietrze pod zwiększonym ciśnieniem uderzyło w bębunki i klatki piersiowe. Lód i kamienie posypały się na tył wagonika i zagrzechotały za oknami.

Gdy powrócił spokój, Ken rozejrzał się ze zdumieniem.

– Nie rozumiem. Czy ten zawał wystarczy, żeby zatrzymać wodę?

Gray pokręcił głową.

– Nie ma szans – odparł.

– Więc co...?

– Pomyśl o korku w butelce szampana.

Zanim Ken zdążył to zrobić, szalejąca woda z rykiem runęła na przeszkodę. Korek wytrzymał tylko ułamek sekundy... a potem wyskoczył.

Uderzył w tył wagonika jak taran i mocno pchnął go do przodu. Dwie grupy znów się splątały, gdy ludzie Wali wpadli na ekipę Graya.

Woda pchała wagonik w górę tunelu. Bryzgała za oknami, ale na razie mknęli przed czołem powodzi.

Nikt nawet nie próbował wstać, wszyscy leżeli na podłodze.

Wreszcie, gdy poziom wody w tunelu zrównał się z poziomem powierzchni jeziora, wagonik zwolnił i zatrzymał się. Gray kazał wszystkim wysiąść. Sto metrów dalej przyzywały ich światła.

Pobiegli w tamtym kierunku, dźwigając rannych. Gray jedną ręką podtrzymywał Seichan, a drugą jednego z wrogów.

Tunel doprowadził ich do długiego betonowego magazynu. Stały tam wagoniki, które bezpiecznie przybyły przed odcięciem zasilania. Były puste, porzucone przez uciekających.

Wyszli na zewnątrz w ponurą ulewę.

Burza powoli mijała, dudniąc ostatnimi skargami. Gray pociągnął Walę na stronę i rozmawiali cicho, niemal dotykając się głowami. Prawdopodobnie wymuszał na niej obietnicę, że dotrzyma słowa.

Ken usłyszał jej słowa, gdy stanęła ze swoimi ludźmi.

– Nie chciałam, żeby tak się skończyło. – Popatrzyła z litością na Seichan, a ta odpowiedziała jej gniewnym spojrzeniem. – Lepsza byłaby kulka. Ale przynajmniej będziesz mogła się pożegnać.

Gdy odeszli, Gray objął Seichan. Oparła zmęczoną głowę na jego ramieniu. Wydawało się, że oboje już rozpoczęli długą, bolesną drogę ku pożegnaniu.

Nie mogąc na to patrzeć, Ken odszedł. Byli gdzieś wysoko na zboczach góry Fudzi, skąd roztaczał się panoramiczny widok na jezioro Kawaguchi. Jego poziom się obniżył, wodę otaczały teraz szerokie połacie błota.

Na drugim brzegu, pod niskimi burzowymi chmurami, płonęła ognista latarnia.

Było to wszystko, co zostało z Lodowego Zamku.

Gdy Ken patrzył na płonącą budowlę, dręczyło go podejrzenie, które powoli przeradzało się w pewność.

Coś pominęliśmy.

A teraz było już za późno.



Wieliczka, Polska

9 maja, godzina 6.18 czasu miejscowego

Elena kuciała z innymi wokół dużego bloku. Wciąż leżała na nim latarka Sama, rozpalając bursztyn.

– Co to jest? – zapytała, patrząc w głąb.

Sam krążył wokół nich, jakby to mogło pomóc w rozwiązaniu tej zagadki.

– Poczwarzka – odparł w końcu. – Kokon.

Elena tyle już się domyśliła. W bursztynie tkwił duży, gęsto utkany wrzecionowaty twór. Otaczała go ciemniejsza aureola bursztynu, jakby próbowała zasłonić zawarty w nim koszmar.

Z rozdarcia z boku kokonu wystawało stworzenie wielkości szczeniaka. Na schylonej głowie leżał długi czułek. Duże czarne fasetowe oczy patrzyły na nich. Długie pożyłkowane skrzydła, które wyglądały na wilgotne, pozostały na zawsze złożone na wygiętym grzbiecie. Zaopatrzone w stawy przednie odnóża wczepiały się w kokon.

Elena wyobraziła sobie, jak owad walczył o wydostanie się z kokonu, zanim uwięziła go i zabiła żywica prehistorycznej sosny.

Stworzenie przegrało tę walkę.

Kat wskazała wielkiego owada.

– Sam, Elenie chodzi o to, co wyłaziło z tego kokonu.

Spojrzał na nich w taki sposób, jakby odpowiedź powinna być oczywista.

– To Odokuro. Spójrzcie na charakterystyczny wzór na odwłoku. Czarne i szkarłatne pasy. Nawet żuwaczki, w świecie owadów unikatowe jak odciski palców, oznaczają przynależność osy do tego gatunku. Potwierdzi to analiza genetyczna, ale ja już jestem pewien.

Monk potarł podbródek; zarost głośno zachrząścił pod tworzywem protezy.

– Czytałem opracowanie profesora Matsuiego na temat Odokuro. O niczym takim nie napisał.

– Ponieważ to wcielenie nigdy nie pojawiło się w jego laboratorium.

– Ale co to jest? – naciskała Elena.

Sam obrzucił ją przepaszającym spojrzeniem.

– Wybacz. Chyba patrzymy na nigdy dotąd niewidzianą królową Odokuro.

– Chwileczkę. – Monk zmarszczył czoło. – Czy profesor Matsui nie mówił, że Odokuro nie mają królowej?

– Nie mógł o tym wiedzieć. Uznał więc, że Odokuro były gatunkiem pośrednim między prehistorycznymi samotnymi osami i ich bardziej społecznymi potomkami, tymi, które nauczyły się tworzyć roje i wykształciły wyspecjalizowane kasty.

Monk pokiwał głową.

– Ale był przekonany, że rozmnażanie Odokuro opierało się na zachowaniu starszych os samotnych. Że gatunek rozmnażał się dzięki licznym samicom, a nie jedynej królowej w roju.

– Musiał się mylić – wtrąciła Kat.

– Może nie do końca... – Sam wciąż okrążał blok, oglądając owada ze wszystkich stron. – Miał rację, twierdząc, że ten gatunek ma cechy os samotnych i społecznych. Po prostu nie przyszło mu na myśl, że w przeszłości istniała królowa roju. Może królowe rodzą się tylko w środowisku naturalnym, a nie w warunkach laboratoryjnych.

– Dlaczego? – dociekała Elena. – Jaka była ich rola w roju?

– Nie wiem, ale musiała być ważna. Może stanowi odpowiedź na wszystko.

Elena też tak pomyślała. Podniosła się, zbyt niespokojna, żeby trwać w nieruchomej pozycji. Ból przeszył jej kolana i o mało nie straciła równowagi.

Na szczęście był tam Sam; chwycił jej rękę i ją podtrzymał.

– Dzięki za... – zaczęła, odwracając się do niego.

Przyciągnął ją do siebie tak gwałtownie, że się przestraszyła. Objął ją w tali i przycisnął lufę pistoletu do jej szyi.

– Niech nikt się nie rusza.

Przechylił głowę i powiedział coś szybko po japońsku.

Za nimi rozbłysły światła. Przez jaskinię przemykały cienie. Buty dudniły po skale. Z celowników laserowych zamontowanych na karabinach wystrzeliły wąskie czerwone promienie. Po chwili dzikiego tańca szkarłatne włócznie zatrzymały się na grupie stojącej w oszołomieniu obok bloku bursztynu.

– Na kolana – rozkazał Sam. – Ręce za głowę.

Elena spojrzała na intruzów, potem na swoich towarzyszy. Kolejno klękali, unosząc puste ręce i zaciskając je na potylicach.

Kat stała, patrząc na Sama z mordem w oczach.

W końcu ona też powoli osunęła się na kamienną podłogę.

## Godzina 6.22

– Dlaczego? – zapytała Kat, gdy ją rozbrojono.

Przecież już to wiem, pomyślała.

Domyśliła się, że siedmioosobowa grupa uderzeniowa ukryła się wśród uczestników nocnej mszy, wysłana przez zdrajcę, gdy byli zajęci przeglądaniem starych map w muzeum. Widziała, jak Sam przechylił głowę, gdy mówił po japońsku – z pewnością miał radio ukryte głęboko w przewodzie prawego ucha, pozwalające mu się porozumiewać i jednocześnie go śledzić.

– Dlaczego? – powtórzył jej pytanie, skupiając na niej uwagę, gdy chodził wśród swoich ludzi. Trzymali wszystkich na muszce, więc pchnął Elenę, żeby do nich dołączyła. – Nazywam to zemstą. Na rządzie, który wydziera dziedzictwo ciężko pracującym Amerykanom. Z powodu podatku od spadku i zaległych podatków od nieruchomości ranczo w Montanie, należące do mojej rodziny od czterech pokoleń, było bliskie zajęcia przez bank... przez bank, który podczas kryzysu został dofinansowany pieniędzmi z moich podatków. Więc co jestem winien takiemu rządowi?

Dwóch mężczyzn podniosło blok z kokonem. Wydawało się to nieprawdopodobnym wyczynem, dopóki Kat nie przypomniała sobie, jak mała jest gęstość bursztynu. Ruszyli ze skarbem przez grootę, zamierzając go wynieść.

Ścigała ich gniewnym wzrokiem.

Wszystko wskazywało na to, że martwy górnik nie był tu jedynym złodziejem.

– Ludzie z Fenikkusu Laboratories – kontynuował Sam – skontaktowali się ze mną po tym, jak Matsui napisał do mnie o swoim odkryciu w Brazylii. Już wtedy mieli go na oku. Takashiemu Ito albo jego długim rękom niewiele umyka. Uregulował moje wszystkie długi w zamian za informowanie koncernu o postępach profesora. – Wzruszył ramionami. – Później ty do mnie zadzwoniłaś i propozycja Takashiego stała się znacznie bardziej lukratywna.

Kat skinęła głową, wskazując blok bursztynu.

– Co masz nadzieję uzyskać?

– Biorąc pod uwagę to, co planuje Takashi Ito, jego specjalne względy będą wystarczającą nagrodą.

– A co planuje? – zapytała.

Sam parsknął śmiechem, cofając się krok po kroku za dwoma mężczyznami i swoją zdobyczą.

– Możesz mi wierzyć, będziecie szczęśliwi, jeśli spotka was szybka śmierć. – Zwrócił się do swoich ludzi, szybko i płynnie mówiąc po japońsku. Kat też знаła ten język. – Jak wyjdziemy, zastrzelcie ich i wysadźcie za sobą wyjście. Lepiej, żeby za wcześnie nie znaleziono ich ciał... chociaż za jakiś czas i tak nie będzie to miało znaczenia.

Dowódca grupy skinął głową.

– *Hai.*

Kat zwymyślała się za to, że dokładniej nie prześwietliła entomologa, zanim go wzięli na swoją misję. W pośpiechu, nagłona przez uciekający czas, obdarzyła zbyt wielkim zaufaniem naukowca pracującego dla National Zoo, części Smithsonian Institution.

Patrzyła, jak Sam wychodzi z dwoma mężczyznami niosącymi zdobycz. Gdy ich lampy oświetliły pochylnię, spostrzegła leżące na samym dole ciało.

Piotr...

Obawiała się, że ten sam los spotkał Grzegorza i Antoniego na brzegu jeziora.

Spojrzała na Klarę, która też zauważyła brata. Dziewczyna drżała, w jej oczach połyskiwały łzy. Zwykle ponura twarz Śląskiego zsiniała z furii. Elena wyglądała na oszołomioną i wstrząśniętą, zarówno samą sytuacją, jak i zdradą. Kat wiedziała, że ta kobieta żywiła ciepłe uczucia do dwulicowego entomologa.

Wreszcie zatrzymała spojrzenie na Monku.

Skinęła głową, dając mu znak.

Może Sam wcześniej wyprowadził ją w pole, ale chwilę temu się zdradził; zszokowany odkryciem królowej Odokuro, nieumyślnie zrzucił maskę. „Profesor Matsui się mylił... wszyscy się mylili”. Kat uznała ten dobór słów za dziwny. Kim byli ci wszyscy? Przecież Sam kontaktował się tylko z Kenem odnośnie do tego gatunku.

Ponieważ nie mogła być niczego pewna, postanowiła wtedy zachować milczenie. Miała nadzieję, że Sam powie coś o tym odkryciu, zanim ona go zdemaskuje. Wiedziała, że to nigdy dotąd niewidziane wcielenie os musi być znaczące. Chociaż

może powinna być bardziej przezorna. Nie przewidziała, że ten człowiek tak nagle chwyci Elenę.

Co nie znaczyło, że Kat nie miała planu awaryjnego.

## Godzina 6.34

Elena siedziała na ziemi, zbyt słaba, żeby się wyprostować. Rozpacz i żal pozba-  
wiły ją sił. Drżały jej ramiona, gdy trzymała ręce na karku. Chciała jedną opuścić,  
żeby dotknąć krzyżyków na łańcuszku okularów, posłać ostatnią modlitwę do córki  
i dwóch wnuczek, życzyć im długiego i spełnionego życia.

Stwierdziła, że trudno jej się skoncentrować na tej ostatniej prośbie do Boga, nie  
wtedy, gdy pięć karabinów mierzyło w jej grupę. Dostrzegła nieznaczne skinienie  
Kat do męża, ostatni milczący wyraz miłości i uczucia, które ci dwoje jawnie okazy-  
wali podczas tej podróży. Wiedziała, że mają dzieci, i dołączyła ich dziewczynki do  
swoich modłów.

Monk odpowiedział na znak żony, po czym, wciąż z rękami za głową, odwrócił  
się ku ich katom. Elena zamrugła, gdy spostrzegła swoją pomyłkę. Za głową Monka  
była tylko jedna dłoń. Palce muskały tytanowy mankiet na nadgarstku, w którym  
niedawno tkwiła proteza.

Teraz jej nie było.

Kiedy Sam rozkazał swoim ludziom odebrać im broń, w gorączce chwili zapo-  
mniał ich powiadomić o ukrytym zagrożeniu. Poza tym Elena podejrzewała, że Kat  
rozmyślnie skupiała ich uwagę na sobie, wypytyjąc Sama, rozprasząc wszystkich,  
żeby Monk mógł niepostrzeżenie odpiąć i rzucić protezę.

Ale gdzie i jak?

Nagle spostrzegła, że coś się rusza za nogami uzbrojonych mężczyzn: błądy  
pająk pomykał po spalonym bursztynowym podłożu.

Wróciła myślą do kwatery Sigmy w Waszyngtonie, gdzie Monk demonstrował  
możliwość zdalnego kontrolowania odłączonej protezy. Najwyraźniej miał w tym  
sporą wprawę. Sztuczna ręka zatańczyła na palcach i zbliżyła się do mężczyzn.

Elena pamiętała też to, co stało się w bibliotece w Tallinie.

– Bum! – szepnął Monk.

Na ten znak Kat skoczyła na nią, a Monk rzucił się na Śląskiego i Klarę.  
Huk eksplozji ogłuszył Elenę, a błysk w prawie zupełnej ciemności oślepił. Twardo

wylądowała na boku, osłonięta przez Kat. Jeszcze nie przebrzmiało echo wybuchu, gdy Kat się podniosła.

Elena leżała, mrugając po błysku. Przed nią Kat prześliznęła się na biodrze i sięgnęła po karabin mężczyzny z dymiącymi poharatanymi plecami. Leżąc, strzeliła z bliska do drugiego, który się podnosił. Padł jak długi.

Ten, który stał dalej, wyszedł bez szwanku; siła eksplozji tylko rzuciła go na kolana. Wycelował w Kat, lecz nagle jego pierś eksplodowała, przebita szpicem kilofu. Padł na twarz, odsłaniając Monka, który trzymał w ręce stylisko zakonserwowanego przez sól górniczego narzędzia.

Pozostali dwaj wrogowie, znajdujący się najbliżej wybuchu, już nie żyli.

Monk szybko podniósł dwa karabiny i jeden chciał podać Śląskiemu.

– Umiesz się tym posługiwać?

Doktor cofnął się o krok, kręcąc głową.

Elena wstała i do nich podeszła. Wzięła broń, szybko ją sprawdziła i skinęła głową.

– Nie ma sprawy. Wychowałam się w *barrio* we Wschodnim Los Angeles.

Monk wyszczerzył do niej zęby.

– Jesteś bibliotekarką o wielu talentach.

Kat zachowała zimną krew.

– Za nami! – rzuciła. – Ale trzymajcie się blisko pochylni.

– Co chcecie zrobić? – zapytała Elena.

– Zabrać się do roboty – odparła Kat, patrząc na męża.

## Godzina 6.39

Gdy opuścili przekłętą grootę, Kat szybko zmieniła taktykę.

Kopalnia jęczała wokół nich. Grunt trząsł się pod nogami. Kruche solne stalaktyty odrywały się od sklepienia i spadały, rozsypując się na kawałki. Wstrząs spowodowany wybuchem zdestabilizował ten delikatny zakątek kopalni. Połowa muszli zarwała się w przeszłości, a teraz pozostałej części groziło to samo.

Mimo wszystko Kat zatrzymała się u stóp pochylni, żeby sprawdzić, co z Piotrem. Zobaczyła ostrze wbite w kark biednego mężczyzny. Monk odciągnął Klarę na bok, oszczędzając jej tego widoku.

Prostując się, Kat zgrzytnęła zębami.

– W porządku, nowy plan. Wynosimy się stąd, wszyscy, ale Monk i ja na czele. Pozostali kilka metrów za nami.

Nie czekała na potwierdzenie. Ścisnęła zdobyty karabin i ruszyła chodnikiem, którym tu przyszedli. Wiedząc, że Sam i jego ludzie słyszeli eksplozję, narzuciła szybkie tempo. Czy uwierzą, że ich koledzy wysadzili wejście do groty, zgodnie z rozkazem Sama?

Nie знаła odpowiedzi, ale nie mogła pozwolić, żeby zdrajca uciekł ze skradzionym skarbem. Jeśli blok bursztynu naprawdę zawierał odpowiedź, muszą go odzyskać.

Gdy szli długim na czterysta metrów tunelem, tąpnięcia stawały się coraz silniejsze. Wybuch musiał spowodować efekt domina – jedna część osłabiała następną i tak coraz dalej. Powietrze wypełniały drobiny soli, migoczące jak diamenty w świetle lamp na kaskach.

Grunt nagle podskoczył pod nogami Kat, rzucając ją na ścianę. Inni też ucierpieli, ale przynajmniej nie upadli. Nad nimi przewaliła się fala dymu i soli.

Tunel zarwał się za ich plecami.

– Szybciej! – ponagliła.

Przyśpieszyli prawie do biegu. Kat czuła, że zbliżają się do wyjścia, gdy nagle w świetle jej lampy ukazało się rumowisko zagrządzające drogę. Chodnik się zawalił.

Monk podbiegł, gdy się zatrzymała.

– Co teraz? – spytał.

– Nie wiem... – Zrozpaczona, pokręciła głową.

Objął ją w talii.

– Użyj tego swojego dużego mózgu, żeby nas stąd wydostać – powiedział.

Wbiła spojrzenie pod nogi – nie z poczucia klęski, ale żeby popatrzeć na płynącą wodę, coraz bardziej rwącą.

Obejrzała się, strzepując z nosa solny pył. Tunel za nimi się zarwał, ale skoro woda płynęła...

– Wracamy – zdecydowała. – Musimy zawrócić.

Wszyscy się wycofali.

W niespełną minutę dotarli do miejsca, gdzie runęła ściana chodnika. Zamiast całkiem go zablokować, otworzyła przejście do sąsiedniego tunelu.

– Szybciej! – zawołała Kat. – Szybciej! Szybciej!

Gdy wgramolili się do tunelu, podziękowała górnikom za ich umiejętności techniczne. Posuwali się powoli z powodu przeszkód w postaci formacji solnych, ale na szczęście kawałek dalej wstrząs je pokruszył, co pozwoliło im przyspieszyć.

Wreszcie dotarli do miejsca, gdzie zbiegały się tunele. Kat szła ostrożnie, z uniesionym karabinem, obawiając się, że Sam mógł zostawić jednego ze swoich ludzi. Na szczęście komora okazała się pusta. Na brzegu kanału, który prowadził z jeziora, leżały dwa ciała.

Grzegorz i Antoni.

Zacisnęła palce na broni.

Skuter wodny leżał obok ciał, ale ponton zniknął, zabrany przez Sama do przetransportowania zdobyczy. Kat zobaczyła również rozrzucone butle i zrozumiała, że napastnicy bezgłośnie przyplłynęli pod wodą, żeby urządzić zasadzkę na braci Klary.

Przywołała pozostałych.

– Eleno, zostań tu z Klarą i doktorem Śląskim. Ukryjcie się. – Wskazała karabin w ręce dyrektorki Biblioteki Kongresu. – Jeśli wróci tu ktoś poza nami...

Elena wyżej uniosła broń.

– ...to gorzko tego pożałuje – powiedziała.

Dobrze, pomyślała Kat i ruszyła do skutera. W milczeniu przeprosiła Grzegorza, gdy odpinała kluczyki od jego kamizelki. Oboje z Monkiem zepchnęli skuter na ciemną wodę i szybko wsiedli. Nie mogąc kierować bez protezy, Monk zajął miejsce z tyłu. W zdrowej ręce trzymał sig-sauera, którego odzyskał, gdy zabili porywaczy.

Kat, trzymając karabin na udach, chwyciła kierownicę.

Jej mąż się pochylił.

– Kocha...

– Wiem. Nie będzie zaskoczenia.

Na otwartej wodzie to będzie jawny atak.

– Nie, chciałem tylko powiedzieć, że cię kocham.

– Och. – Obróciła głowę i cmoknęła go w policzek. – Ja ciebie też.

Monk się wyprostował.

– Nie dajmy się zastrzelić tym sukinsynom.

Pochyliła się.

Dlatego cię kocham... zawsze jesteśmy jednej myśli, pomyślała.



Zapуściła silnik, wcisnęła gaz i pognali w głąb kanału. Nie zwalniała na zakrętach drogi wodnej. Pędzili coraz szybciej. Gdy wpadli na jezioro, skuter niemal unosił się nad wodą, muskając jej gładką powierzchnię.

Z przodu dostrzegła cel: samotne światło sunące przez czarne jezioro. Już zgasila lampę na kasku i po ciemku pędziła ku swojej zwierzynie. Tamci zbliżali się do dalekiego brzegu, ale powoli ze względu na ładunek.

Kat nie miała takich ograniczeń i igła prędkościomierza zbliżała się do sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Kałuża światła szybko się powiększała. Płynęła bez świateł, ale nic nie mogło zamaskować hałasu silnika.

Zanim wrogowie uznali, że na zbliżającym się pojeździe nie siedzą ci, którzy mieli przeprowadzić egzekucję, skuter był niemal przy nich. Strzały karabinowe zagłuszyły ryk silnika. Kat lawirowała, utrudniając celowanie do małego pojazdu.

Monk odpowiedział ogniem i huk wystrzałów zabrzmiał ogłuszająco w jej uchu. Na szczęście miał znacznie większy i jaśniejszy cel. Wyeliminował jednego strzelca i zmusił drugiego do skulenia się za bryłą bursztynu. Gdy opróżnił magazynek, sięgnął po karabin leżący na udach Kat.

Uniósł go w jednej ręce, oparł na przedramieniu i puścił serię, rozdzierając gumową łódkę na strzępy. Ponton przechylił się na uszkodzoną stronę.

Któryś z ludzi Sama chciał do nich strzelić, ale stracił równowagę w tonącym pontonie. Gdy się przewracał, Monk wziął go na cel i dwa razy strzelił mu w pierś – pożegnalny prezent przed posłaniem go do podwodnego grobu.

Nie tylko strzelec stracił równowagę.

Blok bursztynu się zachwiał, przewrócił na bok i z pluskiem zsunął się w mroczne głąbie jeziora.

Monk wpadł w popłoch na ten widok. Podał karabin żonie i zeskoczył ze skutera, gdy przemykali obok tonącego pontonu.

Kat nie miała czasu mu powiedzieć, że niepotrzebnie się wysila.

Skuliła się i pędziła ku brzegowi. Na początku ataku zauważyła bryzg wody blisko dziobu pontonu. Szczur uciekł z tonącego statku. Kątem oka śledziła Sama płynącego do brzegu.

Już wygramolił się z wody i biegł do tunelu prowadzącego do wyjścia. Mknęła ku niemu, ale miał dość zdrowego rozsądku, żeby zgasić lampę na swoim kasku. Jego sylwetka była nieco ciemniejszą plamą na tle atramentowej ciemności.

Kiedy dotrze do labiryntu chodników, złapanie go będzie prawie niemożliwe.

Skuter z niemal maksymalną prędkością wpadł na nachylony brzeg. Kat jechała, ściskając go udami. Uniosła karabin i opróżniła magazynek w ostatniej serii, ale nawet nie próbowała trafić w cel.

Strzeliła w wielkie solne stalaktyty zwisające ze stropu. Nacieki runęły, siekąc ostrymi odłamkami.

Usłyszała krzyk przerażenia.

Gdy skuter zwolnił, zeskoczyła z siodełka i pobiegła w kierunku źródła wrzasku. Wiedząc, że Sam jest uzbrojony, nie zapaliła latarki na kasku. Kulila się w biegu, próbując go wypatrzyć. Jej buty chrzęściły na ostrych kawałkach soli.

Nagle usłyszała głośniejszy krzyk, który doprowadził ją do ciała wijącego się na ziemi. Zapaliła latarkę. W szyi Sama tkwił szpic złamanego stalaktytu. Drugi solny sopel przeszył ramię, a trzeci wbił się w lewe udo. Zdrajca miotał się coraz słabiej, gdy krew wyciekała z rany na szyi, ale jego ból z pewnością narastał.

Krzyki udręki niosły się po tunelu.

Kat wiedziała, co sprawia mu katusze... poza świadomością zbliżającej się śmierci.

Sól w ranach.

Odwróciła się i odeszła, głucha na jego wycie. Gdy dotarła do jeziora, wreszcie się uciszył.

Krzyżyk ci na drogę.

Stała na brzegu i zobaczyła, że Monk pływa w tę i we w tę przy na wpół zatopionym pontonie.

– Nie mogę znaleźć bursztynu! – ryknął, gdy ją zobaczył. – Potrzebujemy nurków.

Kat przyłożyła ręce do ust.

– Czekaj! – zawołała.

– Na co?

Powiodła wzrokiem po jeziorze. Po paru sekundach zobaczyła, jak coś dużego wyskakuje na powierzchnię i kołysze się koło jej zaskoczonego męża.

– Bursztyn pływa! – krzyknęła.

Mając gęstość mniejszą niż słona woda, bursztyn unosił się na powierzchni. Właśnie dlatego tyle okruchów bursztynu, wyrwanych przez fale z naturalnych złóż, można znaleźć na piaszczystych plażach Bałtyku.

– Teraz mi to mówisz? – jęknął Monk.

Podpłynął do bloku i zaczął go pchać w jej stronę.

Kat westchnęła, stojąc z rękami na biodrach. Odzyskali zdobycz, ale czy im to coś da? Przypomniała sobie królową uwięzioną w bursztynie.

Co oznaczało dla nich to znalezisko?

Tokio, Japonia

9 maja, godzina 16.18 czasu miejscowego

Dwie godziny po ucieczce z płonącego Lodowego Zamku Gray krążył po sali konferencyjnej w Agencji Bezpieczeństwa Publicznego. Ich siedziba znajdowała się w centrum Tokio, w dzielnicy Chiyoda, będącej odpowiednikiem amerykańskiego National Mall. Za oknem roztaczał się widok na malownicze tereny Pałacu Cesarzowskiego. W tej samej dzielnicy znajdowały się również gmach Sądu Najwyższego i oficjalna rezydencja premiera.

Gray czekał na wideokonferencję z Painterem Crowe'em. Wcześniej powiadomił dyrektora o wszystkim, co się stało, a przed chwilą napłynęła nagła prośba o rozmowę. Obawiał się najgorszego. Wcześniej pracował z Aiko i jej kolegami. Krótco po przybyciu do Tokio Wala dotrzymała słowa i przysłała kod umożliwiający otwarcie pendrive'a. Aiko wyekspediowała wojsko do zabezpieczenia magazynu pełnego pestycydów opracowanych przez Fenikkusu Laboratories.

Transportowce z tymi pojemnikami – eskortowane przez japońską eskadrę samolotów gaśniczych do rozpylenia środka – już były w drodze na Hawaje. Związek chemiczny powinien wyniszczyć dorosłe osy, ale nie obiecywał ulgi tym, którzy zostali zainfekowani: ludziom, zwierzętom, owadom.

Aiko przetłumaczyła Grayowi część raportów toksykologicznych znalezionych w zabranej z sejfu dokumentacji badań. Z lektury wynikało, że pestycyd jest wysoce rakotwórczy i toksyczny dla wielu gatunków stawonogów. Użycie go spowoduje spustoszenie we wrażliwym ekosystemie wyspy. Co najgorsze, Hawaje zostaną skażone na zawsze; będą wymagały bezustannego monitorowania i powtarzania oprysków, gdy larwy będą się przeobrażać w osobniki dorosłe.

Może byłoby lepiej, gdyby po prostu zrzucono tam bomby atomowe, pomyślał ponuro Gray.

I nie był jedynym zwolennikiem takiego rozwiązania.

Aiko nawiązała tajną łączność z amerykańską armią i różnymi agencjami wywiadowczymi. Zastosowanie pestycydu przypominało zatykanie palcem dziury w tamie – nie eliminowało zagrożenia, jakim było rozprzestrzenienie się plagi. Wiele krajów uważało, że ryzyko jest zbyt wysokie.

A teraz to nagłe wezwanie od Paintera.

Gray przyjrzał się osobom zgromadzonym w pokoju. Dyrektor prosił o obecność profesora Matsuego, a także Seichan i Palu. Hawajczyk wciąż wyglądał na zaszokowanego po tym, jak usłyszał o ponurej przyszłości swojej ojczyzny. Seichan na pozór zachowywała stoicki spokój, ale udręka w jej oczach i mocno zaciśnięte usta wskazywały, że dobrze wie, że w najlepszym wypadku tylko godziny dzielą ją od powrotu dziesięć razy większego bólu, gdy trzecie instary zaczną pustoszyć jej ciało. Ken spoglądał na nią, jakby wypatrywał w jej drgnieniu czy oddechu zapowiedzi końca.

Wreszcie duży ekran na ścianie nad stołem pojaśniał, przyciągając uwagę obecnych. Zaskoczony Gray zeszywniał. Spodziewał się zobaczyć twarz dyrektora. Tymczasem na ostrym jak brzytwa obrazie ujrzał szczupłą postać opierającą się o stół w pomieszczeniu wyglądającym jak małe laboratorium.

– Kat? – Zbliżył się do ekranu. – Gdzie jesteś? Co się dzieje?

– Jestem w Krakowie, w muzeum bursztynu. Painter zaaranżował rozmowę, ponieważ sprawa jest pilna.

– Dlaczego?

– Coś tu znaleźliśmy. Coś, co dla nas nie ma sensu. Ale to wykracza poza zakres naszej wiedzy. Jedyne człowiek, który mógłby pomóc... hm... musiałam go zabić. Więc mam nadzieję, że może profesor Matsui coś z tego zrozumie.

Gray zmarszczył czoło.

– Co znaleźliście?

Kat szybko wyjaśniła, co się stało w Polsce, opowiedziała o kopalni, o wielkim złożu bursztynu i o bloku zawierającym unikatowy okaz.

– Pokażę go. – Zwróciła się do operatora sprzętu: – Monk, przynieś kamerę do stołu.

Obraz drgnął, gdy obiektyw najpierw skierował się w górę, a następnie opadł na szeroki stół, na którym leżała wielka kostka połyskującego bursztynu. Była oświetlona pod wieloma kątami, żeby lepiej było widać to, co zastygło w środku.

Krzesło za Grayem przewróciło się.

– Boże... – Ken obiegł stół, żeby stanąć przed ekranem. Pochylił się, wyciągając rękę, jakby chciał pochwycić bursztyn. – To prehistoryczna poczwarka. Zalana przez żywicę w trakcie wykluwania się owada z kokonu.

Twarz Kat pojawiła się kącice ekranu.

– Profesorze Matsui, czy mogą to być narodziny królowej Odokuro?

– Co? Nie. Nie ma takiej... – Przysunął się jeszcze bardziej. – Sekundę...

Przez długą chwilę wpatrywał się w obraz, prosząc Monka o filmowanie obiektu z różnych stron i o przestawianie lamp.

– Ken – ponaglił go Gray, chcąc wreszcie usłyszeć jego opinię. – Tak czy nie?

Profesor obliznął usta.

– Tak... tak – szepnął. Przeszukał ekran wzrokiem i znalazł Kat. – Proszę mi podać więcej szczegółów o tym, co widzieliście, zwłaszcza o stanie martwych os.

Powtórzyła swoją opowieść, przerywając, gdy zadawał pytania.

– Sam uznał, że się wykrwawiły – dodała na koniec. – Albo przynajmniej że coś się z nich wysączyło.

– Rozpuszczały się od środka – mruknął do siebie Ken.

Kat go usłyszała.

– Mniej więcej.

Ken cofnął się i ciężko opadł na krzesło.

– Myliłem się. Od początku się myliłem.

– Co do istnienia królowej Odokuro? – zapytał Gray.

Profesor skinął głową.

– To na pewno, chociaż podejrzewam, że taka królowa nigdy nie pojawiłaby się w warunkach laboratoryjnych. Tylko w roju w środowisku naturalnym.

– Ale dlaczego? – zapytała Kat. – I co to oznacza?

Spojrzał na nią.

– To oznacza, że myliłem się również co do zadań zespołu Gamma. Od początku mieli odpowiedź. Zamek, nie klucz.

– O czym ty mówisz? – wtrącił się Gray. – Jakich badań?

– Jedna z grup Fenikkusu zajmowała się badaniem serii genów, szukając brakującego białka, które nazywali widmowym peptydem. Używali takiej nazwy, bo znaleźli geny, ale nie proteinę, którą kodowały. Analiza sekwencji sugerowała, że jest to silny czynnik powodujący rozkładanie się tkanki organicznej ofiary.

Kat spojrzała na blok bursztynu.

– Od środka na zewnątrz.

Ken przytaknął.

– Uznałem, że to fragment starego kodu, odziedziczony po przodkach śmieć z czasów, kiedy Odokuro zabijało swoich gospodarzy. Byłem przekonany, że po osiągnięciu wyższego poziomu ewolucyjnego osy odrzuciły ten toksyczny peptyd, zamykając go w grupie markerów epigenetycznych. Myślałem, że zespół Gamma marnuje czas, że nawet za milion lat nie znajdą klucza do tego zamka.

– A teraz... po tym, jak zobaczyłeś królową? – zapytał Gray.

Profesor wzruszył ramionami.

– Miałem rację przynajmniej w jednej sprawie. Klucz rzeczywiście ma dwa miliony lat. – Wskazał ekran. – Ona jest kluczem.

– To znaczy? – Kat spojrzała na blok bursztynu. – Co ma pan na myśli?

– Powinienem to wiedzieć, a przynajmniej podejrzewać. – Ken pokręcił głową. – Czuję, że coś mi umyka. Zapomniałem o podstawowym zachowaniu błonkoskrzydłych, os i pszczół.

– O jakim zachowaniu? – zapytał Gray.

– U os społecznych, czyli tych, które mają królową, tylko ona przeżywa zimę. Reszta roju ginie z zimna. Królowa hibernuje, czekając na wiosenne ciepło. Gdy się budzi, mając odwłok pełen zapłodnionych jaj, przywraca rój do życia.

Gray pamiętał, jak Ken o tym mówił w domu w Hanie, kiedy przedstawiał skalę zagrożenia, jakie może spowodować ten gatunek os.

Ken wstał i podszedł do ekranu.

– Dlatego nikt z nas nie widział wcześniej takiej królowej. Pojawia się tylko wtedy, gdy pogarszają się warunki środowiskowe i kolonia jest zagrożona. W ten sposób zapewnia przetrwanie gatunku. A jaja składa dopiero po tym, jak zyska pewność, że stara kolonia wymarła. Jeśli nie zabił jej mróz, bierze sprawy w swoje ręce.

– Jak? – zapytała Kat.

– Jeszcze nie jestem pewien, ale przypuszczam, że wyzwała potężne feromony. Czy pani nie mówiła, że bursztyn otaczający miejsce, z którego wydobyto ten blok, był ciemniejszy niż wszędzie indziej? Nawet w tym bloku widzę, że wokół królowej odcień jest o kilka tonów ciemniejszy.

Gray zrozumiał, o co mu chodzi.

– Myślisz, że przyciemniła go substancja wydzielana przez królową.

– Substancja, która, o czym jestem przekonany, stanowi klucz do zaktywizowania genów widmowego peptydu. Z kluczem do zamka geny zaczną wytwarzać proteiny rozkładające tkankę organiczną. Wcześniej myślałem, że są one bronią do walki

z innymi drapieżnikami. – Pokręcił głową. – Nie, to samobójcza pigułka dla tego gatunku. Zabije każdą kastę Odokuro, która ma tę sekwencję genów.

– I wszystkie osy mają te geny? – zapytała Kat.

Ken zignorował ją i spojrzał na Seichan.

– Nawet ich larwy.

Gray dostrzegł promyk nadziei, ale szybko go zgasił. Bał się, że nadzieja może okazać się złudna.

Na ekranie Kat przywołała kogoś w pole widzenia.

– Doktorze Śląski, pańskie laboratorium jako jedno z dwóch w Polsce jest wyposażone w nowoczesny spektrometr masowy do badania autentyczności bursztynu.

– Zgadza się. Możemy oceniać jakość, analizować zanieczyszczenia, nawet datować próbki.

– Jeśli więc pobierze pan próbkę zanieczyszczonego bursztynu, będzie pan mógł określić skład chemiczny zanieczyszczeń?

– Mając czas i środki, na pewno.

– Mogę zapewnić potrzebne środki, ale czas... tego nie mogę dać.

Śląski chyba rozumiał.

– Zrobię co w mojej mocy.

Gray spojrzał na stojącą przy nim Seichan.

Złapała go za rękę.

Do diabła z tym!

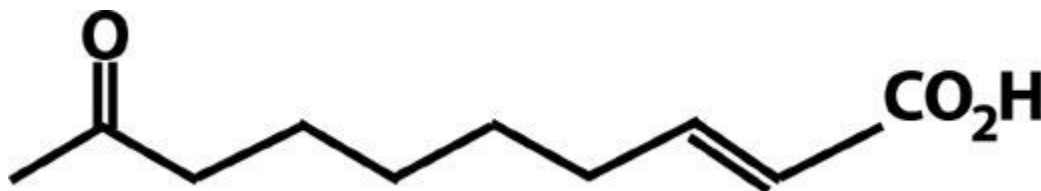
Ścisnął jej palce i pozwolił, żeby nadzieja przepełniła mu serce.

Dla niej, dla siebie, dla ich nienarodzonego dziecka.

Godzina 20.37

– Jest! – rzucił Ken.

Pokręcił głową, patrząc na wzór strukturalny na ekranie laptopa.



Oczywiście, to ta substancja chemiczna!



Wciąż był w pokoju konferencyjnym, podobnie jak wszyscy inni. Skupiali się przed laptopem. Na ekranie ściennym trwał przekaz wideo z Polski. W krakowskim laboratorium tłoczyli się wezwani przez Kat specjaliści: biolodzy molekularni, genetycy, chemicy organiczni. Ściągnięto również nowy sprzęt.

Posępny doktor Śląski żelazną ręką panował nad chaosem... i po czterech godzinach wyłuskali odpowiedź z bursztynu.

– Jesteś pewien, że to właściwa substancja chemiczna? – zwrócił się Gray do Kena. – Nie jakieś zanieczyszczenie?

– Jestem pewien.

– Skąd ta pewność? – nacisnął Gray z napięciem w głosie.

– Bo ją rozpoznaję. To pochodna kwasu dziewięcio-keto-dwu-decenowego. – Widząc skonsternowaną minę Graya, profesor wyjaśnił: – Znana również jako substancja mateczna.

Gray spojrział na stworzenie jarzące się w bursztynie.

– Więc tak, jestem całkowicie pewien – dodał Ken ze zmęczonym uśmiechem. – Związek jest bardzo podobny do aromatycznych ketonów wydzielanych przez królową pszczół miodnych. Wiele innych błonkoskrzydłych produkuje podobne feromony.

– Jak one działają na pszczoły?

– Kiedy nowa królowa odlatuje z ula, żeby założyć nowy rój, wyrzuca obłok tej substancji na stary ul i hormony sterylizują wszystkie pozostawione tam robotnice.

– Dlaczego?

– W ten sposób zapewnia sobie spuściznę genetyczną, eliminując wcześniejszą linię. – Ken wskazał ekran. – To co robi królowa Odokuro, zbytnio się nie różni. Ale w tym gatunku są liczne samice zdolne do rozplodu i infekowania... jak wielka osa, która zaatakowała Seichan... dlatego królowa wprowadza bardziej agresywną taktykę, opcję nuklearną, jeśli wolisz. Kiedy rój jest zagrożony, czyści tablicę genetyczną i daje początek następnemu pokoleniu ze swoimi genami.

Profesor wzruszył ramionami.

– Brzmi to bezwzględnie, ale z ewolucyjnego punktu widzenia ma sens. Kiedy środowisko jest zagrożone, najlepszą szansą na przetrwanie gatunku jest to, żeby jeden osobnik spakował manatki, wykasował wszelkie ślady istnienia roju i przeniósł się na zieleńsze pastwiska z nowym zestawem genów. Przez niezliczone milenia odmianę tej strategii stosowały wszystkie gatunki os, u których roje giną każdej

zimy, żeby odrodzić się na wiosnę. Albo, jak pszczoły, sterylizują sobie drogę do nowego genetycznego dziedzictwa.

– A te feromony? Będą skuteczne jako lek?

– Nadzwyczaj. Nie dość, że są bezpieczne, to jeszcze konkretnie przypisane do Odokuro. Nie powinny zaszkodzić innym gatunkom. Poza tym aromat ketonów przyciągnie rój. Zlecą się jak ćmy do płomienia.

Ken się wyprostował.

– Najlepsze ze wszystkiego jest to, że każde laboratorium powinno bez trudu uzyskać tę substancję, i to w dużych ilościach. Kiedy zostanie rozpylona nad wodą, nad roślinami i wsiąknie w ziemię, każde zainfekowane stworzenie, które ją wypije, zje albo zliże, wchłonie ją do krwiobiegu, gdzie powinna zniszczyć wszystkie larwy.

– A co z ludźmi? – Gray ujął rękę Seichan.

Profesor zobaczył, że w jej oczach połyskuje zapowiedź łez – nie z powodu powracającego bólu, ale z nadziei.

– Bez różnicy – zapewnił ich. – Założę się, że wystarczy jeden zastrzyk dożylny albo domięśniowy. Chociaż dla pewności zalecałbym kilkudniową kurację.

Gray przytulił Seichan i głośno odetchnął.

– Więc jest lek.

Palu chwycił Kena za ramię. Uśmiech Hawajczyka świadczył o tym, że rozumie, co to oznacza dla jego ojczystych wysp.

– *Brah*, to nie tylko lek. Cholera, to nasze zbawienie.

Ken odpowiedział równie szerokim uśmiechem.

Masz całkowitą rację, pomyślał.

Wieliczka, Polska

23 maja, godzina 22.18 czasu miejscowego

Kat siedziała obok Monka w kaplicy Świętej Kingi. W podziemnej katedrze panował tłok, tłum ludzi przyszedł na nabożeństwo żałobne. Solny krzyż nad ołtarzem jarzył się wewnętrznym blaskiem. Chór dziecięcy śpiewał hymn, który odbijał się echem od ścian i płynął do nieba, przecząc tonom skał.

Klara siedziała w pierwszym rzędzie, ubrana na czarno, z pochyloną głową. Przed nią spoczywały trumny jej trzech braci. Były wyrzeźbione z bursztynu, same w sobie bezcenne, ale najważniejsi byli spoczywający w nich ludzie, którzy oddali życie za przyszłość świata. Mieli zostać pochowani tutaj, nowi święci w tym świętym miejscu.

– Piotr, Grzegorz, Antoni – szepnęła Kat, oddając im cześć, zamierzając nigdy nie zapomnieć ich imion.

Monk ścisnął jej rękę. Wczoraj wieczorem przylecieli z Waszyngtonu, żeby wziąć udział w nabożeństwie, i mieli odlecieć tej nocy.

Chociaż minęły dwa tygodnie, wciąż było wiele do zrobienia. Hawaje wracały do normalności, codziennie opryskiwane związkami organicznymi. Jak zapowiedział profesor Matsui, aromatyczne feromony unicestwiły Odokuro, przyciągając osy z każdego gniazda i kolonii. W szpitalach przyjmowano ludzi i robiono im zastrzyki domięśniowe. Ekolodzy i biolodzy monitorowali środowisko, wypatrując oznak odradzania się os.

Hawaje były bezpieczne, więc Kat skupiła uwagę na tropieniu innych kompleksów badawczych należących do Fenikkusu Laboratories. Ścisłe współpracowała z Aiko, żeby koordynować działania międzynarodowe. Co więcej, ta praca pomogła Aiko skonsolidować jej tajną agencję, którą nazwała TaU – *Tako no Ude* – czyli Ramiona Ośmiornicy, co było trafną nazwą dla nowej jednostki wywiadowczej. Ale

Kat również wiedziała, że w alfabecie greckim tau jest następną literą po sigmie, co było jasnym sygnałem dla ich amerykańskiego odpowiednika.

Gdy chór śpiewał, zerknęła na profesora Matsuiego, który siedział obok doktora Śląskiego. Obaj naukowcy badali tajemnice uwięzione w bursztynie. Komora okazała się skarbnicą prehistorycznego życia. Poza tym Ken otrzymał propozycję pracy w Waszyngtonie. Wciąż się zastanawiał, czy objąć wakat na stanowisku szefa wydziału entomologii w National Zoo.

Kat miała nadzieję, że się zgodzi.

Śląski pochylił się i szepnął coś do Kena; ten pokiwał głową. Obaj spojrzeli na Klarę. Starali się pocieszyć zrozpaczoną dziewczynę, ale Kat wiedziała, że tylko czas uleczy jej rany. Czowała ulgę na myśl, że inna kobieta nie musi doświadczać podobnego bólu. Wczoraj dostała wiadomość z Tallina, że dyrektor Tamm wyszedł ze szpitala i jest w domu z córką Larą.

Westchnęła ciężko.

Chwała Bogu...

Wyprostowała się, gdy chór majestatycznie zakończył śpiew. Do balustrady obok trumien podszedł chłopiec, blondynek o rumianych policzkach, jak młody duch martwych braci. Zaśpiewał po polsku *Ave Maria* bez akompaniamentu. Jego słodki głos wyrażał ból utraty z większą siłą niż jakiegokolwiek słowa.

Gdy chłopiec z całego serca śpiewał do nieba, Kat spuściła głowę.

Monk ją przytulił.

Łzy spływały z jej oczu... na ręce obejmującego ją męża.

Mocno do niego przywarła.

Nigdy nie pozwól mi odejść.

Waszyngton, USA

Godzina 8.05 czasu miejscowego

– Pamiętajcie, nie dotykamy niczego bez pozwolenia – przykazała Elena.

Dwie wnuczki energicznie pokiwały głowami, gdy otworzyła drzwi Smithsonian Castle.

– *Sí, abuela* – odpowiedziały jednym głosem.

Elena poczuła zapach, gdy tylko weszła za nimi do środka. Słodka woń róż, bzu i lilii wypełniała marmurową salę, przyciągając ją do kaplicy niedaleko drzwi.

Poprowadziła dziewczynki do czekających tam mężczyzn: Paintera Crowe'a i kustosa muzeum, Simona Wrighta. Na podłodze u ich stóp leżały bukiety i pojedyncze kwiaty. W małym pomieszczeniu, w którym stała trumna Jamesa Smithsona, było ich jeszcze więcej.

– A kim są te młode damy? – zapytał Painter, pochylając się, gdy do niego podeszła.

Dziewczynki wstydliwie schowały się za jej nogami. Dopiero z tego bezpiecznego miejsca starsza odważyła się wskazać młodszą siostrę.

– To Olivia. A ja jestem Anna.

– Jesteście bibliotekarkami jak wasza babcia?

Olivia zachichotała.

– Nie.

Anna tupnęła.

– Ale ja bede.

– Będę – poprawiła ją Elena.

– Nie wątpię – powiedział Painter, gdy się wyprostował. Spojrzał na pełną kwiatów kryptę. – Zastanawiam się, która z was zbierze więcej żółtych kwiatków. Naprawdę lubię żółty kolor.

– Ja, ja! – pisnęły dziewczynki, ale karnie czekały, aż babcia wyrazi zgodę.

Elena wzruszyła ramionami.

– Śmiało. Tylko uważajcie na kolczaste róże. Nie chcę, żeby wasza mama nasłala na mnie opiekę społeczną.

Rozchichotane dziewczynki skoczyły ku stosom kwiatów.

Elena pokręciła głową.

– Psotnice.

– W to też nie wątpię. – Painter wskazał kwiaty. – Pani artykuł w „Washington Times” wywołał spory oddźwięk.

– A może wystąpienie w *Good Morning America* – dodał z szerokim uśmiechem Simon.

Elena się zarumieniła.

– Tylko próbowałam zrobić trochę reklamy waszemu założycielowi.

– I tak się stało – podsumował Simon.

Po powrocie do Stanów Elena opisała swoje przygody w Europie, jak podążali tropem zagadkowych wskazówek zostawionych przez Jamesa Smithsona, żeby ocalić świat. Zakończyła artykuł w gazecie apelem o oddanie należnego hołdu temu człowiekowi: *Powinien zostać obsypany kwiatami.*

Wyglądało na to, że ludzie, których zaciekały symbole i postanowili je zobaczyć na własne oczy, posłuchali jej apelu.

Painter skinął głową do Simona.

– Uznaliśmy, że pani też zasłużyła na małą nagrodę. Dlatego zaprosiliśmy tu panią przed otwarciem Castle. Wręczenie jej tutaj wydaje się właściwe.

– Bzdura. Nie potrzebuję...

– Dobry Boże, kobieto – przerwał jej Simon z westchnieniem irytacji – pozwól mu dać to, co dla ciebie ma.

Przewróciła oczami.

– Niech będzie.

Painter sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął małe pudełko, nie większe niż talia kart.

– Dla damy, która ma wszystko... łącznie z dwiema niesfornymi wnuczkami.

Zaciekawiona, wzięła podarunek.

– Proszę otworzyć – ponaglił ją Simon, niemal podskakując z ekscytacji.

Otworzyła wieczko, odsłaniając czarną jak obsydian metalową tabliczkę leżącą na poduszeczce z czerwonego jedwabiu. Gdy przechyliła pudełko, z powierzchni tabliczki uniósł się holograficzny srebrny symbol.

Była to jedna grecka litera.

Sigma.

– Klucze do królestwa – wyjaśnił Simon.

– Na wypadek gdyby kiedyś znudziło się pani stanowisko dyrektorki Biblioteki Kongresu – powiedział Painter. – I gdyby zatęskniła pani za małą przygodą.

Spojrzała na niego złym okiem.

Wzruszył ramionami.

– Albo może gdyby chciała pani wpaść na dół na kubek kawy. Z tym kluczem moje drzwi zawsze stoją otworem.

Zatrzasnęła wieczko.

– Dyrektorze Crowe, kawa będzie dla mnie wystarczającą przygodą.

– No nie wiem. Nigdy pani nie próbowała tej siekiery, którą zaparza Kowalski. Pijąc ją, mogłaby pani pożałować, że nie została zastrzelona.

Szeroko się uśmiechnęła.

– Zaryzykuję.

Takoma Park, Maryland

Godzina 20.08 czasu miejscowego

Gray stał przed tablicą z napisem „NA SPRZEDAŻ” w ogródku przed domem swoich rodziców. W hortensjach cykały świerszcze i mrugały świetliki.

Mniejszy napis na poprzeczce ogłaszał: „SPRZEDANE”.

Ruszył przez ogródek. Pamiętał koszenie trawnika, świeży zapach ściętej trawy, pchanie ręcznej kosiarki, bo ojciec był zbyt skąpy, żeby kupić spalinową. Na końcu podjazdu za domem stał garaż, zamknięty i ciemny, ale Gray wciąż słyszał, jak ojciec w nim łomocze i klnie, majstrując przy swoim wiekowym thunderbirdzie. Przypomniawszy sobie matkę obserwującą męża przez kuchenne okno, przypalającą rodzinną kolację, bo zawsze wołała czytać książki i artykuły naukowe, niż uczyć się gotowania.

Wszędzie, gdzie spojrzał, widział duchy.

Właśnie dlatego dziewięć miesięcy temu postanowił wyjechać z Seichan na wakacje. Bardziej niż oderwania się od Sigmy i obowiązków potrzebował ucieczki od tego domu. Miesiąc temu wreszcie się zgodził, żeby jego brat Kenny wystawił go na sprzedaż.

Do czego któremuś z nas miałoby się przydać to miejsce? – pomyślał wtedy.

Nie mając powodu zostawać dłużej, Kenny wrócił do Kalifornii, żeby szukać nowej pracy w branży informatycznej. Od kilku tygodni jedynymi osobami, które zaglądały do domu, byli pośrednicy handlu nieruchomościami i potencjalni nabywcy.

Od czasu powrotu do Stanów Gray nie był tu ani razu. W końcu przyjechał, bo dom został sprzedany, więc musiał zdecydować o dalszych losach tego, co w nim zostało. Nie miał pojęcia, co zrobić ze starymi meblami i gromadzonymi przez całe życie bibelotami, które kiedyś wydawały się takie ważne. Zastanawiał się, czy nie przekazać ich jakiejś organizacji charytatywnej.

Westchnął.

Znał powód kryjący się za tą zwłoką i wahaniem.

*Obiecuj mi...*

Wciąż czuł opór tłoka, gdy wstrzykiwał śmiertelną dawkę. Pamiętał, jak palce ojca wiotczały, gdy trzymał jego wątłą rękę, czując odciski i kruchość kości. W owym czasie pogodził się z myślą, że podjął właściwą decyzję, ale wciąż nie mógł uciec przed poczuciem winy.

Duchy ściagały go nawet na drugim końcu świata.

A teraz zatoczyłem pełen krąg, pomyślał.

Ani mądrzejszy, ani mniej winny.

Z rezygnacją przyjął do wiadomości fakt, że będzie dźwigać to brzemie do końca życia. Nie chcąc już dłużej zwlekać, ruszył do drzwi frontowych. Seichan pierwsza weszła do domu, tłumacząc, że musi się położyć. Larwy nie żyły i jej kuracja dobiegła końca, ale organizm potrzebował czasu, żeby się oczyścić, i ta walka stanowiła wyzwanie dla układu odpornościowego. Na szczęście zrobione dziś rano badania wykazały, że dziecko ma się dobrze.

Mimo melancholii Gray uśmiechnął się łagodnie, wspominając trzepotanie małego serca na ekranie ultrasonografu.

Nasze dziecko...

Pokręcił głową, zdumiony nieprawdopodobieństwem tego wszystkiego.

Obojgu, matce i dziecku, nic już nie groziło. Nawet Kowalski odzyskiwał siły, podobnie jak kuzyni Palu. Tego dnia Gray rozmawiał z wielkoludem, który wciąż przebywał na Maui. „Dokończę te cholerne wakacje”, powiedział mu Kowalski, który dołączył do swojej przyjaciółki Marii, wspierającej miejscowe służby. Zatrzymali się u rodziny Palu.

Kowalski miał tylko jedną skargę: „Każą mi nosić rajstopy”. Próbując uśmierzyć jego przerażenie, Maria wyjaśniła, że zgodnie z zaleceniem lekarza ma przez sześć tygodni nosić medyczne rajstopy uciskowe, żeby przyspieszyć gojenie się ranek po ukąszeniach. Gray nalegał, żeby przysłała mu zdjęcia. Na wypadek gdyby kiedyś musiał go zaszantażować.

Sięgnął do klamki i pociągnął.

Drzwi ani drgnęły.

Już miał zapukać, gdy się otworzyły.

Seichan stała z uniesioną brwią, kołysząc kluczem na palcu.

– Zmieniłam zamki – oświadczyła.

– Co? Dlaczego?

Cofnęła się, żeby go wpuścić. Doskonale wiedział, jak wygląda wnętrze domu jego rodziców.



Ale wszystko się zmieniło.

Meble zniknęły. Zamiast wykładzin były ręcznie heblowane deski. Duży kominek stał w zupełnie innym miejscu. Nawet z progu Gray widział nowe granitowe blaty i szafki w kuchni.

– Seichan...

– Zamknij się. – Złapała go za rękę i ruszyła ku schodom na piętro, chociaż najpierw ruchem głowy wskazała trawnik przed domem i stojącą na nim tablicę. – Jak myślisz, kto to kupił?

Zanim mógł odpowiedzieć, pociągnęła go na górę.

Wszystko wyglądało inaczej. Drewnianą poręcz zastąpiła nowa z kutego żelaza. Tapety zostały zdarte. Ściany były świeżo pomalowane.

– Nie martw się – rzuciła. – Thunderbird twojego ojca wciąż stoi w garażu. Nie miałam zamiaru rozstawać się z tą pięknością. Poza tym są tam pudła z rzeczami osobistymi. Później możesz je przejrzeć. Ale najpierw...

Zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami.

– Pora przestać uciekać przed duchami.

Graya przebiegł dreszcz na myśl, jak dobrze go rozszyfrowała.

Otworzyła drzwi i wciągnęła go do środka. Mała sypialnia była pusta jak reszta domu. Z wyjątkiem jednego mebla.

W pokoju stało śnieżnobiałe łóżeczko.

– Skoro nie możesz przed nimi uciec, może zaprosz je do swojego życia i pozwól im dzielić twoje radości i smutki.

Gray poczuł szloch narastający w gardle i spróbował go zdusić. Rozejrzał się, oddychając głęboko.

– Tyle pracy... a ja nie miałem o niczym pojęcia.

Wzruszyła ramionami.

– Nietrudno wyprowadzić cię w pole, Gray. Poza tym robienie tego wszystkiego było dla mnie lepszymi wakacjami niż podróż dokoła świata.

Pokręcił głową, uśmiechając się przez łzy.

– W takim razie cieszymy się tym, póki możemy. Spokój nie potrwa długo.

– Masz rację. – Jej twarz spochmurniała. – Wala gdzieś tam jest. Bez wątplenia coś knuje.

Gray osunął się na kolana, podciągnął jej bluzkę i pocałował Seichan w brzuch.

– Nie to miałem na myśli – szepnął do niego.

EPILOG  
**HALEAKALA, MAUI**

Σ

# KRÓLOWA

Wie, że nadszedł czas.

Napędzany przez hormony zegar biologiczny zmusza jej nowe ciało do wicia się w czarnym kokonie. Żuwaczkami skubie jedwab, który wysnuła jako larwa. Wygryza dziurkę w kokonie zmięczonym przez ślinę z substancją mateczną wydzielaną przez gruczoły w aparacie gębowym.

Rozwija i wysuwa jeden czulek, badając świat na zewnątrz. Wrażliwe sensile testują wilgotne chłodne powietrze. Zadowolona, przebija trójkątną głowę przez otwór i używa haczyków na przedniej parze odnóży, żeby rozedrzeć kokon. Cienka skorupka kruszy się pod jej ciężarem, gdy z niej wychodzi.

Pozostaje w ciemności, żeby doprowadzić się do porządku, przygotować do wyjścia. Czyści nieruchome czarne oczy i muska czułki delikatnymi grzebieniami po spodniej stronie przednich nóg.

Przez cały czas hemolimfa wpływa do długich żyłek w jej wilgotnych zmiętych skrzydełkach, które powoli się rozpościerają i powiększają. Kiedy już są długie i mocne, trzepocze nimi, żeby je osuszyć.

Dopiero wtedy jest gotowa.

Spełza na wilgotną skałę tunelu. Tutaj, bezpiecznie ukryta w ciemności, przed miesiącami utkała swój kokon. Teraz ucieka z miejsca swoich narodzin, żeby poszukać nowego domu.

Jej odwłok jest ciężki od jaj, z których wylęgną się jej klony, każdy z możliwością przepoczwarczenia się w osobnika należącego do takiej, a nie innej kasty jej nowego roju.

Królowa ma w sobie przyszłość.

Idąc, zostawia za sobą aromatyczny trop. Ponętny zapach zwabi tu każdy przebywający w okolicy stary rój; słodka pułapka zabije, wymazując genetyczny rodowód. Musi przetrwać tylko jej kod, niezagrożony przez przeszłość.

Idzie bez chwili przerwy. Nie zatrzyma się, dopóki nie znajdzie odpowiedniego domu. Ale gdy kontynuuje wędrówkę, kamień pod jej stopami staje się chłodniejszy.

Ona mimo to prze naprzód, napędzana odwiecznym pragnieniem przetrwania. Czuje przed sobą świeże powietrze, obiecujące wyjście do świata na górze.

Kamień przemienia się w warstwę lodu.

Królowa przystaje, zderza ostatnią parę odnóży i bada powietrze czułkami. W zwojach nerwowych jej mózgu tworzy się obraz.



Powierzchnię tunelu pokrywają draperie, kolce i fale lodu. Pomimo niebezpieczeństwa idzie dalej, nie mogąc zawrócić, nie mogąc się przeciwstawić genetycznemu instynktowi. Idzie w zimnie, ponadczasowa i cierpliwa. Ona się nie zmieni. Będzie czekać, aż świat to zrobi.

Jeśli nie teraz, jej czas kiedyś nadejdzie.

Wiedząc o tym, maszeruje zimnymi tunelami, aż zamarzają skrzydła i sztywnieją odnóży. Jej ciało ziębnie. Zatrzymuje się dopiero wtedy, gdy nogi przymarzają do lodu.

Tam zostanie.

Tam będzie trwać.

Czekając na kolejną szansę powstania.

# Nota od autora

## Prawda czy fikcja

Znów doszliśmy do chwili, Wy i ja, kiedy muszę oddzielić fakty od fikcji. Oczywiście wolałbym, żebyście po prostu uwierzyli w każde słowo – jest to marzeniem wszystkich powieściopisarzy. Ale czasami prawda jest równie fascynująca jak fikcja, więc idźmy dalej i oddzielmy ziarno od plew.

Pomyślałem, żeby zacząć od przeszłości i posuwać się naprzód. Ta książka jest pełna interesujących postaci historycznych, łącznie z tajemniczym założycielem Smithsonian Institution. Może zacznijmy od niego.

### **James Smithson**

Zważywszy, że brytyjski chemik i geolog ufundował największą instytucję edukacyjno-badawczą naszego narodu, pozostaje on mocno niedoceniony. Mam nadzieję, że ta powieść pomoże naprawić to oczywiste niedopatrzenie. Prawie wszystko, co o nim napisałem, jest oparte na faktach. Był szanowanym członkiem brytyjskiego Towarzystwa Królewskiego i podróżował po całej Europie, gromadząc wielką kolekcję minerałów, która rzeczywiście została przekazana Stanom Zjednoczonym wraz z jego majątkiem (kolekcja uległa zniszczeniu pod koniec drugiej wojny światowej, gdy w Smithsonian Castle wybuchł pożar).

Po śmierci Smithsona Alexander Graham Bell z małżonką udali się do Europy i wrócili stamtąd z jego szczątkami. Nagrobek, znajdujące się na nim symbole, a także napis z omyłkowo podanym wiekiem są prawdziwe. Proponuję wycieczkę do Castle i sprawdzenie tych szczegółów. I jeśli odczujecie taką potrzebę, złóżcie tam kwiat ku pamięci fundatora.

Jeśli nie możecie odbyć takiej podróży, a chcecie więcej wiedzieć o tym człowieku i jego życiu, polecam lekturę:

Heather Ewing, *The Lost World of James Smithson*.

### **Joseph Henry**

Pierwszy sekretarz Smithsonian Institution, Joseph Henry, nadzorował muzeum podczas wojny secesyjnej i rzeczywiście był tam obecny w chwili wybuchu pożaru. Podobno przyczyną była wada instalacji pieca, a nie nikczemna robota wczesnych członków Gildii. Ale krążą plotki, że w tej historii może być coś więcej, jako że Joseph Henry, zagorzały abolicjonista, podczas wojny potajemnie pomagał Abrahamowi Lincolnowi.

### **Archibald MacLeish**

Dociekliwy bohater tej opowieści rzeczywiście był dyrektorem Biblioteki Kongresu podczas drugiej wojny światowej. Jako szef Komisji do spraw Ochrony Dóbr Kulturalnych zabezpieczał skarby narodowe. Obawiając się nalotów bombowych, wysłał Deklarację Niepodległości, Konstytucję i kopię Biblii Gutenberga do Fort Knox. Pracownicy Smithsonian Institution nawet zakopali sztandar głęboko w Parku Narodowym Shenandoah. MacLeish nalegał na budowę schronu przeciwlotniczego pod National Mall, żeby tam magazynować skarby narodowe w czasie zagrożenia. Niestety, z powodu kosztów Kongres storpedował jego pomysł.

Przechodząc od przeszłości do teraźniejszości, przyjrzyjmy się nauce. Oto fakty często dziwniejsze niż fikcja, zwłaszcza w odniesieniu do...

### **Osy, osy i jeszcze więcej os**

Powieść przedstawia intrygujące cechy biologiczne, zachowanie i życie gatunków błonkoskrzydłych. Wszystkie fantastyczne umiejętności, zdolności, zmysły i koszmary zawarte we fragmentach napisanych z perspektywy przedstawicieli różnych kast zostały zaobserwowane podczas badań dziko żyjących gatunków. Fascynujący (i niepokojący) wgląd w ich świat zapewnią następujące książki:

Matt Simon, *The Wasp That Brainwashed the Caterpillar*.

Scott Richard Shaw, *Planet of the Bugs: Evolution and the Rise of Insects*.

Potencjał gruczołów jadowych rewelacyjnie opisują:

Justin O. Schmidt, *The Sting of the Wild*.

Christie Wilcox, *Venomous: How Earth's Deadliest Creatures Mastered Biochemistry*.

W powieści pada pytanie: Jaką rolę odegrały owady w śmierci dinozaurów? Oto odpowiedź: Ogromną! Informacje i prowokacyjne argumenty znajdziecie w:

George Poinar Jr. i Roberta Poinar, *What Bugged the Dinosaurs? Insects, Disease and Death in the Cretaceous*.

Książka ta zawiera tysiące innych szczegółów dotyczących życia owadów i ich znaczenia w naszym życiu, ale pozwolę sobie dodać coś od siebie. Odokuro wydają się straszne, ale osy jako takie odgrywają ważną rolę w przyrodzie. Są nie tylko ważnymi zapylaczami, ale również kontrolują populacje niepożądanych owadów. Podobno osy z jednego gniazda likwidują pięć ton ogrodowych szkodników w ciągu roku. Może więc warto paroma uządnieniami zapłacić za ich sąsiedztwo. Oczywiście pod warunkiem, że nie są to prehistoryczne Odokuro.

### **Mikroby Łazarza i niesporczaki**

Połączyłem tu dwa zagadnienia, gdyż oba organizmy nawiązują do tematu poruszonego w tej powieści: zdumiewających genetycznych zdolności niektórych gatunków do przetrwania na przekór wszelkim szansom. Gdy kończyłem *Diabelską Koronę*, w „National Geographic” ukazał się artykuł o niesporczakach, zatytułowany *Te niezniszczalne zwierzęta przetrwają globalną apokalipsę*. I taka jest prawda. 20 maja 2017 roku „New Scientist” zamieścił artykuł zatytułowany *Pobudka*, w którym Colin Barras opisuje zdumiewającą zdolność mikrobów Łazarza do przetrwania setek milionów lat w kryształach soli, „w strefie zmroku pomiędzy życiem i śmiercią”.

Jest również dobrze udokumentowane, że wiele gatunków „pożyczają” pożyteczne fragmenty kodu genetycznego od innych, zwłaszcza po infekcji wirusowej albo bakteryjnej. Biorąc więc pod uwagę korzyści zamknięte w kodzie DNA mikrobów Łazarza i niesporczaków, kto wie, czy takie cudowne cechy już nie zostały „pożyczone” przez jakiś ambitny gatunek?

### **Gatunki inwazyjne**

Osią tej powieści jest zagrożenie środowiska spowodowane przez obcych najeźdźców. Gray wspomina o szkodach powodowanych przez pytony w Everglades, europejskie króliki w Australii, azjatyckie karpie w amerykańskich jeziorach. Ale istnieje wiele innych gatunków inwazyjnych. Jednym ze zmartwień Departamentu

Bezpieczeństwa Krajowego jest to, że jakieś wrogie mocarstwo może wykorzystać takie organizmy jako broń do prowadzenia wojny. Zwłaszcza że obrona przed takim zagrożeniem jest prawie niemożliwa.

Jedną z radości pisania powieści jest badanie intrygujących zakątków świata. Pomyślałem więc, że krótko opowiem o niektórych zdumiewających miejscach. Możecie zaplanować następne wakacje.

### **Tallin, Estonia**

Miałem okazję odwiedzić to miasto kilka lat temu. Było to jak powrót do czasów średniowiecza. Stare Miasto z wąskimi brukowanymi ulicami jest cudem. Jednocześnie Tallin ze start-upami w dziedzinie nowoczesnej techniki stanowi prawdziwą Dolinę Krzemową Europy (w przeliczeniu na jednego mieszkańca takich firm jest więcej niż gdziekolwiek indziej na kontynencie). Co do Biblioteki Narodowej, jest to zdumiewający gmach łączący cechy współczesne i średniowieczne i stanowi prawdziwą wizytówkę miasta. Dlatego chyba powinienem przeprosić, że wysadziłem w powietrze jej sporą część.

### **Szlak Bursztynowy**

Starożytny szlak handlowy biegł z Petersburga do Wenecji. Jest tak stary, że w napierśniku Tutenchamona rzeczywiście tkwią okruchy bałtyckiego bursztynu. Dwa muzea wspomniane w powieści – jedno w Gdańsku, drugie w Krakowie – są prawdziwymi placówkami otwartymi dla zwiedzających. I muzeum w Krakowie ma nowoczesne laboratorium do analizowania bursztynu.

### **Kopalnia Soli „Wieliczka”**

Wpisana na listę światowego dziedzictwa UNESCO, tak naprawdę powinna zostać uznana za jeden z cudów świata. Wszystko w powieści dotyczące jej piękna i majestatu jest oparte na faktach. Mapa turystyczna (autorstwa Mariusza Szelewickiego i zamieszczona za pozwoleniem jego córki Pauliny) oferuje wgląd w ten zdumiewający labirynt. Niektóre szczegóły związane z geografią i geologią kopalni są moim wymysłem. Ale te dotyczące wielkości znajdujących się tam jezior – i pływania windsurferów korzystających z wielkich wentylatorów – są prawdziwe.



## **Japonia i góra Fudzi**

Mała miejscowość wypoczynkowa i jezioro przedstawione w książce istnieją naprawdę, oczywiście nie ma tam ośrodka badawczego i Lodowego Zamku Fenikkusu Laboratories. Zamarznięte jaskinie lawowe pod górą Fudzi istnieją (i owszem, choć to zaskakujące, są również na Hawajach). W tokijskiej świątyni można nawet zobaczyć kapliczkę zamęczonych owadów, gdzie Takashi Ito pali kadzidło ku pamięci zmarłej żony.

Japońskie służby wywiadowcze rzeczywiście są na etapie reorganizacji, konsolidacji i zwiększania swojego międzynarodowego zasięgu. Proces przebiega powoli i ostrożnie, z powodu obawy przed infiltracją i korupcją. Co do nowej tajnej grupy Aiko – TaU – to czysta spekulacja. Chociaż niektóre rodzaje broni przedstawione w tej książce są oparte na teoretycznych prototypach zaprojektowanych przez DARPA. Przynajmniej oni twierdzą, że są teoretyczne.

## **Maui i Zewnętrzne Wyspy Hawajskie**

Staralem się być jak najbardziej dokładny, opisując Hanę, ale pewne szczegóły zostały lekko zmienione. Nie zbłądźcie jednak, jeśli się tam udacie, i zobaczcie, że wszystko jest prawdziwe.

Muszę przyznać, że stworzyłem nową wyspę (taka jest moc pisarza) na północnym zachodzie archipelagu Hawajów. Wymyśliłem atol Ikikauō, ale na podstawie szczegółów dotyczących dwóch sąsiednich wysp. Wyspa Laysan nosi hawajską nazwę Kauō, czyli „jajo”. Jak na mojej fikcyjnej Ikikauō („małe jajo”), na Laysan jest duże jezioro. W pobliżu, na atolu Kure, niedaleko Midway, jest porzucona stacja Straży Wybrzeża. I to prawda, że cały region zaśmiecają zatopione wraki z okresu drugiej wojny światowej.

Na koniec: Wielka Pacyficzna Plama Śmieci, niestety, istnieje i stanowi zagrożenie dla Zewnętrznych Wysp Hawajskich. Nawet drobny szczegół o „siecicach widmach” jest również tragicznie zgodny z prawdą.

Tak oto doszliśmy do końca opowieści. Tysiące innych drobiazgów też są prawdziwe, ale jak wspomniałem na początku: wołałbym, żebyście uwierzyli we wszystko.

Zanim się pożegnam, zostawię Wam jeszcze wiersz japońskiej buddyjskiej mniszki Ōtagaki Rengetsu. Jej słowa przekazują moje ostatnie życzenie dla Was wszystkich:

*W przyszłości  
szczęścia  
i długiego życia...  
dwa pączkujące liście  
oby rosły tysiąc lat.*

Obyście wiedli długie i szczęśliwe życie. Co do lojalnych członków Sigma Force...  
cóż, czas pokaże.

# Spis treści

Okładka.....	1
O książce.....	2
Strona tytułowa.....	3
O autorze .....	4
Tego autora .....	5
Strona redakcyjna .....	7
Dedykacja.....	8
Podziękowania .....	9
Z zapisków historycznych .....	11
Z zapisków naukowych.....	13
Motto .....	15
Prolog.....	16
CZĘŚĆ PIERWSZA. KOLONIA .....	30
1 .....	31
2 .....	39
3 .....	45
ZWIADOWCZYNI.....	52
4 .....	56
5 .....	62
6 .....	67
WOJOWNICZKA.....	71
7 .....	75
8 .....	84
9 .....	90
CZĘŚĆ DRUGA. FAZA ROZWOJU .....	99
10 .....	100
11 .....	111
TRUTENÍ.....	118
12 .....	122
13 .....	131
14 .....	144

MATKA.....	151
15 .....	155
16 .....	167
CZEŚĆ TRZECIA. SZLAK BURSZTYNOWY .....	175
17 .....	176
18 .....	182
19 .....	196
PIERWSZY INSTAR .....	204
20 .....	207
21 .....	215
22 .....	224
23 .....	231
ŻNIWIARKA .....	240
CZEŚĆ CZWARTA. PRZYBÓJ .....	243
24 .....	244
25 .....	257
26 .....	267
27 .....	278
28 .....	289
29 .....	299
CZEŚĆ PIĄTA. POCZWARKA .....	302
30 .....	303
31 .....	313
32 .....	324
33 .....	336
DRUGI INSTAR .....	346
34 .....	348
35 .....	355
36 .....	362
37 .....	377
38 .....	388
39 .....	395
EPILOG. HALEAKALA, MAUI.....	402
KRÓLOWA.....	403
Nota od autora.....	405